



JILL BARNETT



DNI LATA

Tytuł oryginału THE DAYS OF SUMMER

*Pisanie książek wzbogaciło mnie wewnętrznie i stanowi dla mnie
najcenniejszą przyjaźń od dwudziestu lat.*

*Dla Kristin i Benjamina Hannahów, którzy stali u mojego boku,
zapewniając mi wsparcie zarówno w przypadku zwycięstw, jak i porażek.*

Najwyraźniej zesłały mi Was niebiosy.

Część pierwsza

1957

Krzywdząc innych, przenosimy na bliźnich upokorzenia, których
doznaliśmy w przeszłości.

Simone Weil

1

Południowa Kalifornia

Ciepłe i duszne noce to coś całkiem naturalnego w Los Angeles, w miejscu, gdzie życie często jest jednym wielkim spektaklem, a pogoda rzadko bywa ważna. Tutaj w światłach rampy lepiej widać ludzi i wydarzenia. Niemal każdej nocy w którymś punkcie miasta snopy światła omiatają niebo - tego wieczoru lasery zamontowano przed La Cienega Art Gallery. Zgromadziły się tu tłumy stałych bywalców wystaw, śmietanka towarzyska, przedstawiciele starych, bogatych rodów i nowobogacy. Wśród nich przewijali się poeci egzystencjalni i przedstawiciele cyganerii. Było ich tak wielu, że mogliby zappełnić wszystkie kawiarnie od Hollywood po Hermosa Beach.

Znani krytycy sztuki toczyli dysputy na temat perspektywy i znaczenia poszczególnych obrazów, zastanawiali się nad przesłaniem dzieł. Wszyscy podziwiali artystkę - pełną werwy kobietę, której olbrzymie płótna przedstawiały jaskrawe eksplozje kolorów - i pisali o jej sztuce w słowach równie zuchwałych jak same dzieła. Malarka była porównywana do abstrakcyjnych ekspresjonistów, takich jak Pollock czy de Kooning. Rachel Espinosa, gdyż to o niej mowa, była ulubienicą świata sztuki Los Angeles, a równocześnie żoną Rudy ego Banninga.

Rudy pojawił się na wernisażu późno, wcześniej całe popołudnie pił. Jego ojciec miał rację, nazywając go frajerem, ale łatwiej było wszystko przełknąć po wypiciu butelki szkockiej. Kiedy Rudy zaparkował swój

samochód, reflektory przed galerią już wyłączono. Wchodząc do budynku, mężczyzna oparł się o drzwi, żeby nie upaść.

W galerii nad bezbarwnym morzem czarnych beretów, szarych, miękkich kapeluszy i koków unosiła się biała mgiełka dymu tytoniowego. W rogu sali niewielki zespół grał dziwne utwory będące mieszanką calypso i jazzu - coś między Harrym Belafonte a Daveem Brubeckiem. Alkohol lał się strumieniami. Wszędzie panoszyły się wysokie, srebrzyste stojaki z papierosami. Przekąski podano w stylu katalońskim, co miało służyć rozpowszechnieniu kłamstwa, że żona Rudy'ego, Rachel Maria-Teresa Antonia Espinosa, jest hiszpańską arystokratką. Ten wieczór należał do niej, dlatego osobowość głównej bohaterki odcisnęła piętno na całej wystawie.

Malarka stała w zalanej światłem części sali przed jednym ze swoich największych i najnowszych obrazów, *Lamentem Ginsberga*. Tłum falował wokół niej, jednak większość osób zachowywała pewien dystans, jakby bali się podejść zbyt blisko do tak znanej osobistości. Dziennikarz z „Los Angeles Times” przeprowadzał z nią wywiad, a fotograf w koszuli z podwiniętymi rękawami krążył wokół nich i robił zdjęcia przy ostrych, oślepiających błyskach flesza.

Rachel przybrała starannie wypracowaną pozę, którą Rudy widywał już wcześniej: w uniesionej ręce trzymała kieliszek martini z trzema cebulkami koktajlowymi. Tego dnia miała na sobie jaskrawopomarańczowy kostium i najwyraźniej dobrze się czuła.

Rudy porwał drinka z tacy od przechodzącego kelnera i szybko opróżnił kieliszek, po czym zbliżył się do żony na odległość trzech metrów. W pierwszej chwili go nie zauważyła, potem jednak gwałtownie

się odwróciła. Popatrzyli na siebie, a w ich oczach widać było resztki uczuć z czasów, kiedy to samo przechwycenie spojrzenia partnera wystarczało, by cały świat wokół przestał istnieć. Na twarzy Rachel pojawiła się łagodność, ale tylko do chwili, gdy Rudy odstawił pusty kieliszek na tacę, wziął następny, wznosił go w szyderczym toaście i opróżnił. Obserwowała go, starając się zapanować nad sobą.

- Kochanie! - zawołała, a potem odwróciła się do dziennikarza ze słowami: - Proszę mi wybaczyć. - Ruszyła przed siebie z wyciągniętymi ramionami. Gdy Rudy nie odwzajemnił tego gestu, wsunęła mu rękę pod pachę i odprowadziła go na bok. - Spóźniłeś się.

- Naprawdę? - Rudy rozejrzał się wokoło. - O której zaczęła się ta farsa?

- Jesteś pijany. Cuchnieš szkocką. - Odciaęnęła go od tłumy.

- Próbuješ wepchnąć mnie do kąta? Mam sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Trudno mnie schować. - Rudy zatrzymał się i odwrócił, tak że Rachel stanęła twarzą do pomieszczenia. - Bardzo rzucasz się w oczy. Tylko popatrz, wszyscy na ciebie patrzą.

- Przestań! - szepnęła ze złością.

- Wiem, Rachel.

- To chyba oczywiste. Nikt nie wlał w ciebie na siłę pół butelki szkockiej. - Westchnęła zmęczona. - Cholera jasna, Rudy. Czy musisz wszystko psuć?

- Ty dziwko!

Zacisnęła palce na jego rękę. Osoby znajdujące się najbliżej zaczęły między sobą szeptać i zrobiły krok w stronę kłóącego się małżeństwa.

- Wiem - powtórzył z naciskiem.

Orkiestra przestała grać, w sali zapanowała całkowita cisza.

Rudy'emu przyszła do głowy zabawna myśl, że jeśli wcześniej nic się tu nie działo, teraz zaproszeni goście mogliby obejrzeć właściwy spektakl.

- O czym ty mówisz?

Najwyraźniej kobiecie, którą niegdyś poślubił, pozostały tylko dwie cechy: uroda i skłonność do kłamstw. Dziwne, ale całkiem inaczej wyobrażał sobie konfrontację z żoną.

- Chcesz, żebym to wykrzyczał? Tutaj? Przy wszystkich? - Machnął ręką. - W obecności tego dziennikarza, kochanie? - Rudy z trudem oddychał, jakby przebiegł wiele kilometrów. Na granicy pola widzenia dostrzegł gęstą mgłę, a w gardle czuł smak mocnego alkoholu. — Wykrzyczę to w obecności całego świata. Niech to wszystko diabli wezmą! Niech cię diabli wezmą, Rachel!

Rzucił kieliszkiem w obraz za jej plecami. Szkło rozbiło się na kawałeczki. Rudy chwiejnym krokiem wyszedł z sali. Owionęło go nocne powietrze. Na krawężniku chwycił się samochodu, żeby nie upaść, po czym usiadł za kierownicą.

Rachel wybiegła za nim.

- Rudy!

Włożył kluczyk do stacyjki. Rachel gwałtownie otworzyła drzwi od strony pasażera.

- Stój! Zaczekaj!

- Idź do diabła!

Wsiadła i próbowała zabrać mu kluczyki.

- Nie jedź!

Rudy chwycił ją za przegub i przyciągnął do siebie, aż jej twarz znalazła się o kilka centymetrów od jego.

- Wynos się, jeśli nie chcesz, żebym cię włókł za samochodem.

Odepchnął ją i zapuścił silnik.

-Nie!

Rachel zamknęła drzwi i ponownie wyciągnęła rękę w stronę stacyjki. Rudy wdepnął pedał gazu. Samochód gwałtownie ruszył, w niekontrolowany sposób zmieniał pasy, podczas gdy prowadzący usiłował zapanować nad kierownicą. Słychać było pisk opon, jednak mężczyzna nie zwracał na to uwagi.

- Rudy, przestań!

W jej głosie czuło się strach. W kolejny zakręt Rudy wszedł jeszcze szybciej. Samochód zarzucił tyłem, mimo to kierowca pędził przed siebie tak szybko, jak tylko mógł. Rachel kurczowo chwyciła się drzwi.

Wydawało się, że się skurczyła i nagle odzyskała ludzkie cechy; przestała być boginią tworzącą niezrozumiałe obrazy, patrzącą na świat z sobie tylko znanej perspektywy. Na najbliższym skrzyżowaniu światła zmieniły się na czerwone. Rudy tak mocno wcisnął pedał hamulca, że Rachel musiała zaprzeć się o deskę rozdzielczą.

- Prowadzisz jak szalenciec. Zjedź na bok i spróbujmy porozmawiać.

- Oto cała Rachel ze swoim opanowanym głosem. Przemawia przez ciebie zdrowy rozsądek i arogancja, jakbyś miała prawo spoglądać z wysoka na nas wszystkich, zwykłych śmiertelników, tylko dlatego, że nic nie czujesz.

- Czuję. Czasami aż za dużo. Powinieneś o tym wiedzieć. Wiem, że jesteś zdenerwowany. Porozmawiajmy. Proszę.

- Określenie „zdenerwowany” nawet w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla tego, co się ze mną dzieje. Do cholery, jest o wiele za późno na jakiegokolwiek rozmowy.

Zapaliło się zielone światło i Rudy znów rozpoczął swoją szaleńczą jazdę.

- Przestań! Proszę. Pomyśl o chłopcach - powiedziała szybko.

- Myślę o chłopcach. A co z tobą? Czy potrafisz myśleć o kimkolwiek oprócz siebie?

W kolejny zakręt wszedł z taką prędkością, że wypadli na przeciwny pas. Wokół rozległy się klaksony i pisk opon. Jakaś ciężarówka musiała gwałtownie skręcić, żeby się z nimi nie zderzyć. Rudy postarał się opanować niekontrolowany poślizg i wrócić na swój pas. Na widok żółtego światła zdjął nogę z gazu, by zahamować, zawahał się, po czym ponownie przyspieszył. Uznał, że zdąży przejechać.

- Nie rób tego! - krzyknęła Rachel. - Zaraz będzie czerwone!

- Owszem. - Oderwał wzrok od drogi. - Boisz się, Rachel? Może teraz coś poczujesz.

Słyszając jej cichy pisk, poczuł się mocny. Ojciec nie miał racji - wcale nie był słabeuszem i głupcem. Już nie. Wskazówka prędkościomierza zadrżała w okolicach stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Pedał gazu był wciśnięty do oporu. Rudy czuł pod palcami, jak wibracje z silnika przenoszą się na kierownicę.

- Boże! - Rachel złapała go za ramię. - Uważaj!

Na skrzyżowanie wjechało białe kombi.

Rudy tak mocno wdepnął hamulec, że niemal poczuł, jak pęka oparcie fotela. Pojazd wpadł w poślizg, rozległ się pisk opon, a w

powietrzu rozszedł się swąd palonej gumy. Niebieski napis namalowany na boku kombi rósł w oczach. „Rockandrollowy pojazd Jimmy'ego Peytona i The Fireflies”.

Kierowca białego samochodu popatrzył na Rudy'ego z przerażeniem. Pasażerów ogarnęła panika. Jeden z nich przycisnął ręce do bocznej szyby. Rudy ze stoickim spokojem zdał sobie sprawę, że zginą. Rachel złapała go za rękę i zaczęła krzyczeć. W chwili zderzenia jej krzyk zamienił się w jęk. Rudy zauważył, że deska rozdzielcza pędzi w jego stronę, a wskazówka prędkościomierza wciąż wskazuje sto dziesięć kilometrów na godzinę. Potem nastąpił potworny wybuch.

RS

2

Seattle, stan Waszyngton

Trzy godziny temu obcy człowiek stanął na progu eleganckiego mieszkania Kathryn Peyton i przekazał jej wiadomość o śmierci jej męża. Nieznajomy - inspektor z miejscowej komendy policji - chciał ją o wszystkim poinformować, zanim zrobi to jakiś reporter, ale tę wiadomość podano w radiu już kilka minut po wizycie policjanta.

„Dziś w nocy w Los Angeles zginął w tragicznym wypadku samochodowym dwudziestosześcioletni piosenkarz i artysta estradowy, Jimmy Peyton. W ubiegłym tygodniu jego czwarta płyta zajęła pierwsze miejsce na listach przebojów”.

Dzięki informacji w radiu śmierć Jimmy'ego nabrała bardziej realnych kształtów, choć Kathryn wciąż się zastanawiała, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Kiedy zadzwoniła do matki męża, usłyszała, że Julia Peyton jest zdruzgotana i w tej chwili nie chce z nikim rozmawiać. Wobec tego Kathryn wybrała numer swojej siostry w Kalifornii i rozmawiała z nią, póki wszystko nie zostało powiedziane, a przedłużanie połączenia stało się nonsensowne i niezręczne.

Zadzwoniło do niej kilku dziennikarzy, żeby zadać jakieś pytania. Kathryn odkładała słuchawkę, a w końcu wyłączyła telefon. Wtedy zaczęli pukać do drzwi - ale w sypialni prawie nie było tego słychać. Przed północą przedstawiciele mediów dali jej święty spokój. W czterech ścianach sypialni przy zaciągniętych zasłonach wreszcie mogła zignorować dzwonek do drzwi czy telefon, położyć się na łóżku i mocno obejmować poduszkę Jimmy'ego, aż do bólu wszystkich mięśni.

Poszewka wciąż pachniała jego wodą po goleniu, tak samo jak cała pościel i luźna, niebieska koszula, którą Kathryn miała na sobie. Kobieta wpadła w panikę na myśl, że będzie musiała wyprać pościel, pozbyć się koszul i wszystkich ubrań męża, bo w przeciwnym razie zamieni się w jedną z owych zdziwaczałych staruszek, które gromadzą przedmioty zmarłych bliskich i zachowują ich pokoje w takim stanie, w jakim znajdowały się za życia właścicieli. W taki oto sposób powstają pokryte pajęczynami miejsca kultu osób, które odeszły w chwili, kiedy były najszcześniejsze. Kathryn płakała samotnie w ciemnościach, dopóki nie zmorzył jej sen.

Obudziło ją dzwonienie budzika. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Gdy Jimmy był w trasie, co wieczór dzwonił do niej zza kulis i mówił: „Kocham cię, dziecinko. Zrobiliśmy dzisiaj furorę”.

Jednak w nierealnym świecie, w którym nie było już Jimmy'ego, budzik uparcie dzwonił. Po omacku próbowała znaleźć wyłącznik, a gdy jej się to nie udało, cisnęła przeklętym zegarem o ścianę. Ale z ciemnego kąta pokoju nadal dobiegało uporczywe brzęczenie. Kathryn miała ochotę zakryć głowę poduszką i poczekać, aż budzik ucichnie... albo ona sama przestanie oddychać.

Koniec końców wstała i wyłączyła alarm. Na ścianie, w miejscu, gdzie rozbił się budzik, dostrzegła wyraźną rysę. Pokój został pomalowany na niebiesko zaledwie trzy tygodnie temu. W tym samym kolorze była pościel, narzuta i fotele. Wszystko dlatego, że ostatnia piosenka Jimmy'ego nosiła tytuł *Błękit*.

Kathryn rzuciła budzik na łóżko i chwiejnym krokiem powędrowała do łazienki, gdzie odkręciła kran i zaczęła z siorbaniem pić zaczerpniętą

dłonią wodę. Przetarła usta rękawem koszuli Jimmy'ego, potem otworzyła szafkę z kosmetykami.

Jego półka znajdowała się na wysokości oczu. Zobaczyła kupioną w ubiegłym tygodniu odżywkę do włosów i pozbawiony zakrętki czerwony pojemniczek old spice'a. Wciągnęła dobrze znany zapach głęboko w płuca i poczuła, że zalewa ją fala potwornej rozpacz. Butelczka wyślizgnęła jej się z palców i wpadła do kosza na śmieci, ale tam wyglądała jeszcze bardziej przerażająco niż na półce. Czy ten widok nie potwierdzał faktu, że to dzieje się naprawdę? Kiedy wszystko stało rządkiem na półce, życie ciągle zachowywało pozory normalności.

Ostrożnie odłożyła butelkę na miejsce, tuż obok niewielkiego, czarnego prostokątnego opakowania z maszynką do golenia. Bardzo długo przyglądała się temu pudełeczku, a potem sięgnęła po butelkę z lekarami na receptę. Na opakowaniu widniał ładny napis: „James Peyton. Seconal. Środek nasenny. Zażywać po jednej tabletki. Zawartość opakowania: 60 sztuk”.

Jedna tabletki, żeby zasnąć. Sześćdziesiąt, aby umrzeć. Odkręciła kran i pochyliła się z garścią czerwonych tabletek przy ustach.

- Czy to cukierki, mamó?

- Laurel! - Kathryn gwałtownie się wyprostowała, schowała dłoń z tabletkami za plecy i bacznie przyjrzała się pełnej zaciekawienia twarzy czteroletniej córeczki. - Co ty tu robisz?

- Chcę cukierka.

- To nie są cukierki - odpowiedziała ostro.

- Widziałam, że trzymałaś w ręce cukierki z cynamonem, mamó.

- Nieprawda. To są tabletki. Widzisz? - Kathryn otworzyła dłoń i wysypała pastylki z powrotem do buteleczki. - Tabletki na sen.

- Ja też chcę.

Kathryn przyklękła.

- Chodź tutaj.

To Laurel by ją znalazła. Właśnie Laurel. Roztrzęsiona i sparaliżowana tą myślą Kathryn oparła brodę na czubku głowy córeczki i zaczęła wdychać czystą, dobrze znaną woń dziecięcego szamponu i mydła ivory. Dopiero po dłuższej chwili wypuściła Laurel z objęć.

- Nie mogę zasnąć.

Spoglądała na nią twarz Jimmy'ego w miniaturze. Dzień po dniu, patrząc na tę buźkę córeczki, będzie miała przed oczami wizerunek mężczyzny, którego kochała. Kathryn nie potrafiła powiedzieć, czy to błogosławieństwo, czy przekleństwo.

- Umyję ci buzię. Widać na niej ślady łez. - Kathryn zanurzyła myjkę w ciepłej wodzie i przetarła zaczerwienioną twarz Laurel. - O, proszę, gotowe.

Wyprostowała się i automatycznie zamknęła lustrzane drzwiczki szafki na kosmetyki. Gdy zobaczyła własne odbicie i wyobraziła sobie bezbarwne, pełne smutku życie, musiała oprzeć się o zimną umywalkę. Uświadomienie sobie, że ona tu jest, a Jimmy'ego nie ma i nie będzie, spowodowało niemal fizyczny ból.

Kiedyś opróżni szafkę z kosmetykami, spokojnie wyrzuci wszystko do kosza, wypierze pościel i zrobi coś z odzieżą męża. To przecież tylko przedmioty, nie on sam - wmawiała sobie.

- Czy te lekarstwa smakują jak cukierki? - spytała Laurel, wskazując buteleczkę z tabletkami nasennymi.

- Nie. - Kathryn wykrzywiła twarz. - Są paskudne. - Wrzuciła tabletki do muszli klozetowej i spuściła wodę. - Nie potrzebujemy lekarstw.

To zdumiewające, ile sceptycyzmu można dostrzec na obliczu czterolatki.

- Jest późno - powiedziała Kate. - Możesz dziś spać w naszym... w moim łóżku.

Laurel podskoczyła z radości, natychmiast skupiając uwagę na czymś innym.

- Bo tatuś odszedł?

- Tak, bo tatuś odszedł.

Kiedy Laurel Peyton po raz ostatni machała tacie na pożegnanie, siedziała na tylnym siedzeniu długiego, czarnego cadillaca należącego do domu pogrzebowego „Magnolia”. Machanie na pożegnanie jest czymś całkiem naturalnym, jeśli twój ojciec nieustannie wyjeżdża w trasy koncertowe, jednak z powodu błyskających fleszy i tłumów reporterów kłębiących się wokół samochodu nie wszystko było takie normalne.

Trzy kobiety w samochodzie - Kathryn, jej siostra Evie i matka Jimmy'ego, Julia - starały się osłaniać Laurel przed ludźmi za szybami samochodu. Chwilę później dziennikarze w idiotycznych, ciemnych strojach zostali w tyle - nadal tłoczyli się nad grobem jak wrony, podczas gdy cadillac zjeżdżał z pagórka.

Za ich plecami Kathryn widziała tylko jednobarwne niebo nad Seattle oraz porzrzućane po bujnych trawnikach jaskrawe kępki świeżych

kwiatów - okruchy życia rozsiane w miejscu, które całkowicie poświęcone zostało śmierci. Opony chrzęściły na zwirowej drodze, jakby coś rozgniatały, deszcz bębnił natarczywie w dach samochodu, a sygnał migacza przypominał bicie serca.

Matka Jimmy'ego poklepała kierowcę po ramieniu.

- Młody człowieku... Młody człowieku! Nie słyszy pan tego? Proszę wyłączyć migacz.

Julia Laurelhurst Peyton przypominała granitowy posąg. Jedyne Jimmy potrafił ją poruszyć.

Laurel zaczęła swoim dziecięcym, niezbyt czystym głosem śpiewać jeden z przebojów ojca. Kathryn zrobiło się niedobrze. Spojrzała na Julię, która wyglądała przez okno z twarzą odwróconą od pozostałych pasażerów.

Evie wzięła ją za rękę.

- Ona nie rozumie, Kay.

- Zrozumie to bardzo szybko - rzuciła Julia zachrypniętym, typowym głosem palacza, nawet nie odwracając głowy. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej papierośnicę. - Musisz uświadomić jej, jak wygląda prawda, Kathryn. To twój matczyny obowiązek.

Jej matczyny obowiązek polegał na tym, żeby trzymać się z daleka od seconalu. Jej matczyny obowiązek polegał na tym, by pokonywać godzinę po godzinie, dzień po dniu. Jej matczyny obowiązek polegał na tym, żeby robić wszystko, co najlepsze dla Laurel, ponieważ Jimmy'ego już nie było.

Julia postukała papierosem o wierzch dłoni, a potem włożyła go między pomalowane na czerwono wargi i zapaliła. W powietrzu uniół się dym.

- Mój syn był gwiazdą. - Spojrzała na Kathryn i Evie. - Widziałyście dziennikarzy. - Zaciągnęła się kilka razy dymem papierosowym. - Jutro w radiu będą grać jego piosenki.

Kathryn zastanawiała się, czy będzie szukać w radiu jego nagrań. Zaczęła cicho płakać.

- Nie płacz, Kathryn. - Julia uniosła dłoń. - Przestań. Evie wręczyła siostrze chusteczkę higieniczną.

- Niech płacze, jeśli chce.

Julia zgasiła papierosa w popielniczce.

- Laurel? Chodź do babci.

Poklepała siedzenie obok siebie, ale dziewczynka wskoczyła jej na kolana. Julia zaczęła nucić tę samą piosenkę, mocno ściskając wnuczkę; wkrótce po obwisłych i pokrytych grubą warstwą pudru policzkach zaczęły płynąć strumienie łez.

Sześć godzin później to Kathryn mocno obejmowała Laurel, przebijając się przez tłum dziennikarzy czekających przed drzwiami wejściowymi do budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Peytonów.

- Przepraszam, Kay - powiedziała Evie. - Powinniśmy były wynająć ochronę.

Zablokowała zamykające się drzwi windy, usłyszawszy, że dwóch natrętnych reporterów wykrzykuje jakieś pytania.

Na szczęście na dziesiątym piętrze nie było nikogo. Kathryn zaczęła, aż Evie otworzy drzwi do mieszkania.

- Spójrz, Evie. Wygląda na to, że Laurel zasnęła. Chciałabym być dzieckiem i nie zdawać sobie sprawy z chaosu panującego na dole. Chciałabym obudzić się ze świadomością, że to wszystko było złym snem.

Evie cicho zamknęła drzwi.

- Połóż ją do łóżka.

Kilka minut później Kathryn weszła do salonu. Evie stała w kącie przy stoliku na kółkach, na którym był kubełek z lodem i kryształowe karafki z alkoholem.

- Przyrządę jakieś drinki, coś mocnego. Bóg mi świadkiem, że bardzo tego potrzebuję. - Na moment przyjrzała się Kathryn. - Co ja mówię? Może powinnam raczej dać ci słomkę i całą butelkę.

Kathryn zdjęła kapelusz i rzuciła go na ławę.

- To był fatalny dzień.

- Teściowa nie próbowała ułatwić ci zadania. Spójrz na mnie. - Evie poklepała się po policzkach. - Jestem blada? Jak sądzisz, czy po pożegnaniu z Julią zostało mi w żyłach jeszcze choć trochę krwi, czy też wysała ją do ostatniej kropli?

- Jesteś okropna.

- Nie, to ona jest okropna. Ja tylko mówię szczerą prawdę. Kathryn rozpięła kostium, opadła na sofę i opuściła głowę na poduszki. Bezpośrednio nad jej głową w dźwiękoszczelnym suficie widać było dziurę na wiszącą lampę. Jedną z tych rzeczy, którą mieli zamiar się zająć w najbliższym czasie. Żelazny pogrzebacz stojący obok skrzynki z drewnem wciąż jeszcze nosił ślady niedawnej przeprowadzki... Lustro nad

kominkiem wisiało odrobinę krzywo... Wszystko było takie samo jak wcześniej, a jednocześnie wszystko się zmieniło.

- Wykazujesz wyjątkową cierpliwość, tolerując tę kobietę. Jest tak krytycznie usposobiona. - Evie wrzuciła kostki lodu do kilku wysokich szklanek na drinki. - Czego się napijesz?

- Czegokolwiek.

- Nie wiem, skąd bierzesz tę cierpliwość. Tata co dwie sekundy spoglądał na zegarek, jeśli tylko ktoś kazał mu czekać, a mama była taka sama jak ja - nie tolerowała nikogo, kto się z nią nie zgadzał. Jesteś święta w naszej rodzinie, Kay.

- Wcale nie jestem święta. Po prostu kochałam jej syna. Evie zamarła w bezruchu ze szczypcami do lodu w dłoni.

- Myślałam, że pięknie mi serce z rozpaczy, kiedy Laurel zaczęła śpiewać.

- A ja miałam ochotę zakryć jej usta dłonią.

- Nie sądzę, by ktokolwiek lepiej śpiewał piosenki Jimmy'ego Peytona niż jego córka. Nie wiedziałas, co zrobić, bo w obecności Julii czułaś się niezręcznie.

- Nie chodzi wcale o Julię. Po prostu przestałam rozumieć świat. Odnoszę wrażenie, że to, co się stało, jest takie złe, Evie, takie niesprawiedliwe. Chce mi się krzyczeć i wymyślać Bogu, powiedzieć Mu, że popełnił ogromny błąd. Jimmy miał jeszcze tyle do zrobienia. Mógł uczynić świat lepszym. Widziałam to. Ty też to widziałas.

- Wszyscy to widzieli, Kay.

- Mieliśmy tyle wspaniałych marzeń, tymczasem jego życie poszło na marne. Gdy o tym myślę, chce mi się krzyczeć.

- Możesz burzyć krzykiem ściany, jeśli masz na to ochotę. To naprawdę jest niesprawiedliwe. Rób wszystko, co uważasz za słuszne, żeby przejść przez ten koszmar.

To rzeczywiście był koszmar. Wszystko się zmieniało i wymykało spod kontroli. Bolała ją skóra, jakby była nieodpowiednia dla jej ciała - tak samo jak zmiany, które nastąpiły w ciągu ostatnich dni. Kiedy zerknęła na przekrzywione lustro nad kominkiem, dostrzegła na własnej twarzy piętno nagłego wdowieństwa.

Evie pobrzękiwała butelkami.

- Gdzie są srebrne zawieszki, dzięki którym wiadomo, co zawiera dana butelka?

- Laurel myślała, że to naszyjniki, więc pozakładała je na szyje swoim lalkom. - Kathryn przetarła dłońmi twarz. - To doprowadzało Jimmy'ego do szaleństwa, nie miał jednak serca, by jej je odebrać.

Evie uniosła dwie butelki.

- Zastanawiam się, w której z nich jest szkocka. - W tej brązowej.

- Bardzo śmieszne. - Siostra Kathryn powąchała zawartość jednej z butelek. - Burbon.

- Ja poproszę burbona z colą.

Evie naląła do szklanki sporą porcję alkoholu i dodała odrobinę coli.

- Pewnego wieczoru Laurel kazała mi przeczytać napisy na poszczególnych naszyjnikach, a potem nazwała swoje lalki: Burbon, Szkocka, Rum, Dżin i Wódka. Jimmy i ja nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu.

To dziwne, że wciąż tak dobrze pamiętała jego śmiech. Dziwne też, ale przez ułamek sekundy zapomniała, że znalazła się w ciemnym, innym wymiarze przeznaczonym dla tych, którzy zostali na tym świecie.

- Proszę.

Evie wręczyła jej drinka, usiadła i podwinęła nogi pod siebie. Przez chwilę milczały.

Lata spędzone z Jimmym przesunęły się w myślach Kathryn jak pojedyncze klatki filmu dokumentalnego. Przypomniała sobie jego śmiech, jego obawy, łzy wzruszenia, kiedy po raz pierwszy ujrzał w objęciach Kathryn płaczącą i głodną córeczkę. Słyszała, jak śpiewa piosenki, które pisał z myślą o niej i dla niej. W głowie kobiety wciąż brzmiały pierwsze słowa, jakie jej powiedział... i ostatnie: „Jeszcze jedna noc w trasie, dziecinko. Jutro będę w domu”.

Evie odstawiła kieliszek.

- Boże, to jest naprawdę dobre. Może kilka drinków zmyje gorycz, którą zostawił po sobie język Julii.

- Myślisz, że mówiła prawdę?

- Szczerze wątpię - odparła Evie. - Mam tylko pytanie, o którą z kąśliwych mądrości twojej teściowej ci chodzi.

- Powiedziała, że w kręgach towarzyskich samotne kobiety są źle widziane.

- Och! - Evie gorzko się roześmiała. - Twierdzi, że wdowy powinny być twarde, bo ludzie czują dyskomfort, gdy patrzą na czyjś żal.

- No cóż, sama jest wdową, więc pewnie coś wie na ten temat.

- To typowa modliszka. Najpierw pożarła swojego partnera i teraz radzi sobie ze swoim żalem, nie pozwalając ci opłakiwać męża.

Powiedziała również, że samotne, niezależne kobiety mają wypaczone priorytety życiowe. - Evie zadarła brodę i zaczęła naśladować chrapliwy głos Julii. - „Jesteś rozwódką, droga Evie, a małżeństwo z rozwódką przypomina wizytę na torze wyścigowym i postawienie wszystkich pieniędzy na słabego konia. Rozwódki stanowią łatwy cel dla mężczyzn, którzy chcą zaciągnąć je do łóżka, ale nie mają zamiaru się z nimi żenić”.

- Nie powinnaś jej pozwalać na osobiste wycieczki.

- Masz większą wprawę w radzeniu sobie z nią niż ja, Kay.

- Możliwe, że nabiorę jeszcze większej. - Kathryn postawiła kieliszek na kolanie i wbiła wzrok w szkło. - Julia chce, żebym zrezygnowała z tego mieszkania i przeprowadziła się do niej.

Evie obróciła się na kanapie i spojrzała na siostrę.

- Nie możesz mieszkać pod jednym dachem z negatywnie nastawioną do wszystkiego kobietą. Ona wyssie z ciebie życie aż do ostatniej drobinki. Bardzo często mam ochotę założyć jej kaganiec. Nawet teraz, kiedy powinnam jej naprawdę współczuć, wygadywała takie rzeczy, że chciałam ją uderzyć.

- Czuję, że za fasadą pozorów ukrywa się bardzo wrażliwa istota. Widziałas ją w samochodzie. Julia potrzebuje Laurel. Nasza mama i tata nie żyją, moja córeczka powinna więc znać swoją jedyną babcię.

- Ta kobieta to emocjonalna próżnia.

- Wobec Laurel nigdy się tak nie zachowuje. Było mi naprawdę smutno, kiedy mówiła dzisiaj o swoim synu jako o gwiazdzie - jakby nic jej po nim nie zostało oprócz kilku minut, podczas których jakieś radio będzie emitowało jedną z jego piosenek. Ja mam Laurel. Może matka Jimmy'ego również powinna ją mieć?

- Byłaś żoną Jimmy'ego. Powinna lepiej cię traktować.

- On mawiał, że nie chodzi jej o mnie. Po prostu nigdy nie pozwoliła mu całkiem odejść. Poza tym kiedy patrzę na Laurel, zastanawiam się, jaką ja będę matką. A jeśli stanę się nadopiekuńcza? Jak poradzę sobie sama? Skąd będę wiedzieć, co jest słuszne, a co nie, i jak ochraniać ją przed całym światem?

- Będiesz postępować tak samo jak za życia Jimmy'ego. Nie dasz rady ochronić jej przed wszystkim.

- Laurel nie ma już ojca, ale gdybym wprowadziła się do Julii, miałyby przynajmniej babcię. To mieszkanie nie jest już takie jak kiedyś. Wszystkie kolory wyblakły, a różne przedmioty straciły dla mnie znaczenie. Całkowita pustka. Nie wiem, czy tu wytrzymam.

- Zawsze możesz zamieszkać ze mną, Kay. Na Catalinie jest naprawdę przepięknie - to mała i bezpieczna wyspa. Dom mam też mały, ale bez trudu się pomieścimy. Na tyłach można by dobudować dla ciebie studio z kołem garncarskim i piecem do wypalania.

- Mówiłaś, że chcesz założyć tam ogród.

- Komu potrzebny jest ogród? Moje wykłady zawsze odbywają się rano, więc mogłabym opiekować się Laurel popołudniami i wieczorami, a ty w tym czasie zajmowałabyś się pracą. Proszę, zastanów się nad tym.

- Dziękuję ci za tę propozycję, ale to byłaby katastrofa. Po pierwsze, niedawno kupiłaś ten dom, po drugie, jest tam tylko jedna łazienka. Ciągłe byśmy się o siebie potykały.

Evie ujęła dłoń siostry.

- Chciałabym, żebyś przyjechała.

- Wiem. - Kathryn rozejrzała się wokół. - Może jestem głupia, ale zastanawiam się, czy nie powinnam zostać tutaj.

- Cholera, Kay, nie wiem. Nie potrafię ci powiedzieć, co powinnaś zrobić. Boję się tylko o to, jak będzie wyglądać wasze życie u twojej teściowej.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Pójdą sobie. - Kathryn wzięła do ręki drinka.

Dzwonek uporczywie dzwonił. Evie podniosła się z miejsca.

- Nie wytrzymam. Otworzę.

- Nie. Nie. - Kathryn wstała. - Ja to zrobię.

Kiedy otworzyła drzwi, błysnął flesz i wszystko wokół nagle zrobiło się białe.

- Jesteśmy z gazety „Star”. Chcielibyśmy przeprowadzić z panią wywiad. Jak się pani czuje jako wdowa po Jimmym Peytonie?

- Zostawcie ją w spokoju! - Evie natychmiast stanęła za plecami siostry i położyła dłoń na jej ramieniu. - Wynoście się! - Wyciągnęła rękę i klnąc na czym świat stoi, zatrzęsnęła drzwi.

Kathryn ukryła twarz w dłoniach.

- Nie wiem, czy sobie z tym poradzę.

- Mamusiu?

Laurel stała w ciemnej wnęce korytarza, trzymając pod pachą dużą kaczkę, którą dostała od Jimmy'ego. Kathryn podbiegła i wzięła ją na ręce.

- Wszystko w porządku, aniołku?

Laurel kiwnęła głową, nie przestając ścisnąć pluszowej kaczki, ale nadal nie odrywała pełnego ciekawości spojrzenia od drzwi wejściowych.

- Coś takiego nigdy nie zdarzyłoby się u Julii. - Kathryn spojrziała znacząco na siostrę. - Ma bramę wejściową i zatrudnia gosposię.

Evie kiwnęła głową.

Kathryn wiedziała, że za wszelką cenę musi chronić córeczkę. Tego dnia ludzie wygadywali największe głupoty, jakie można wymyślić: „Czas leczy rany”, „Bóg bardzo potrzebował Jimmy'ego”, „Jesteś młoda, kochanie, jeszcze wyjdiesz za mąż”. Kathryn mogła się tylko domyślać, co z tych komentarzy dotarło do Laurel. Ile czasu upłynie, nim dziennikarze zostawią je wreszcie w spokoju?

- Mamusiu? - Laurel ujęła swoimi małymi rączkami twarz Kathryn i przybliżyła ją do siebie. Robiła to zawsze, gdy chciała, żeby skupić na niej uwagę. - Ci ludzie za drzwiami chcieli z tobą porozmawiać, bo jesteś obudową po tatusiu?

Minęła długa chwila, nim Kathryn zrozumiała, o czym mówi Laurel. Obróciła się do siostry.

- Jestem obudową.

Evie próbowała pohamować śmiech.

- Jestem obudową - powtórzyła Kathryn.

Określenie wydało jej się tak zabawne, że wybuchnęła gromkim śmiechem. Nie mogła go powstrzymać. To tylko śmiech - wmawiała sobie - wywołany przez głupie emocje i panikę. Z jej gardła jednak wydobywał się chrapliwy dźwięk, który wcale nie przypominał śmiechu.

3

Hrabstwo Orange, Kalifornia

Na długim pasie między Los Angeles a San Diego miasta powstawały niezwykle szybko i błyskawicznie się rozrastały, zlewając się w jedną całość. Parki rozrywki z kolejkami górskimi pojawiały się w miejscach, w których wcześniej rozpościerały się plantacje krzewów owocowych i pomarańcz, gdzie po zapłaceniu pięćdziesięciu centów każdy mógł zrywać, co tylko chciał. Teraz w tej okolicy szeregi krytych gontem domków z przylegającymi garażami były sprzedawane, jeszcze nim je postawiono. Sygnalizacja świetlna pojawiała się na skrzyżowaniach ulic, które nagle stały się zbyt ruchliwe, by wystarczył zwykły znak „stop”.

Transport publiczny? Istniał... przynajmniej w planach. W południowej Kalifornii nie można się było obejść bez samochodu, a ropa stanowiła świetny biznes. Podobne do młotów pompy pracujące w szybach naftowych ciągnęły się wzdłuż nadbrzeżnej autostrady na całej długości Huntington Beach. Tutaj smoła pokrywała duże połacie piasku i jak guma oblepiała połamane muszelki, śmieci oraz mętnozielone przybrzeżne wodorosty. Tubylcy nazywali to miejsce Plażą Puszek - a naprawdę przypominało ono wysypisko śmieci i tak właśnie wszyscy je traktowali.

Smoła stanowiła wysoką cenę, jaką płacili posiadacze samochodów za wydobywanie ropy z wnętrza ziemi, tak samo jak ażurowe, czarne szyby wiertnicze na Signal Hill i działające pełną parą rafinerie przy Sepulveda Boulevard. Ich wysokie, podobne do cygar kominy wyrzucały w niebo biały dym i ostre zapachy, zatruwając słodkie kalifornijskie powietrze. W klubach nocnych Los Angeles krążył dowcip, że mieszkańcy

południowej Kalifornii płacą za używanie samochodów dolarami i zapachami.

Prawda wyglądała jednak tak, że ludzie płacili za auta, żeby mogli się swobodnie przemieszczać i decydować, gdzie i kiedy chcą się wybrać. Kupowali domy, bo kusiała ich myśl o posiadaniu własnego kawałka ziemi tam, gdzie przez większość czasu świeci słońce, a gwiazdy filmowe prowadzą rozrzutne życie i umierają w tragicznych okolicznościach.

Nadmorska miejscowość wypoczynkowa Newport Beach należała do niezwykle atrakcyjnych miejsc. Woda w oceanie była czysta, piasek drobnutki jak cukier, nigdzie nie leżały wszechobecne śmieci.

Śnieżnobiałe jachty zawijały do prywatnych przystani na wyspach, a adresy stojących tam rozległych willi były uważane za równie atrakcyjne jak w Beverly Hills. Gdy wiał suchy pustynny wiatr Santa Ana, zapach eukaliptusów unoszący się nad autostradą numer 1 oczyszczał ludziom nosy i zatoki skuteczniej niż leki na katar. Połączenie gęstej ropy i kamfory pozwoliło uruchomić firmę Banning Oil, która wytwarzała produkty na bazie ropy. Dzięki temu Victor Gay-lord Banning miał dość pieniędzy, żeby kupić sporą część ekskluzywnej Lido Isle w Newport, zresztą niemal nie zauważył ubytku na swoich kontach bankowych.

W to czwartkowe popołudnie, pewnie około trzeciej, czyli w środku dnia, Victor był w domu i stał przed przeszkloną ścianą, która dzieliła go od zagospodarowanego wybrzeża rozciągającego się jak okiem sięgnąć błękitnego Pacyfiku. Wpatrywał się we własne odbicie w szkło i widział twarz jedynej osoby, którą nigdy nie chciał zostać. Jego ojciec był słabym człowiekiem i ponosił jedynie porażki.

Victor dorastał w domu, w którym panowało ciągle niezadowolenie. Matka widziała w nim tylko młodszą wersję ojca i dowód na to, że w przeszłości dokonała złego wyboru. Oparciem dla chłopca, który nigdy nie zdołał uzyskać aprobaty matki, była siostra Aletta. To właśnie ona zapłaciła najwyższą cenę za niepowodzenia ojca. Zmarła, bo zabrakło pieniędzy, żeby ją uratować. Tym samym Victora opuściła jedyna osoba, na której polegał.

Śmierć Aletty do reszty załamała matkę chłopca. Nie mogąc znieść widoku dziecka, które jej zostało, często na wiele godzin zamykała Victora w garderobie. W końcu uznała, że najlepszym sposobem na przerwanie agonii będzie samobójstwo. Nie chciała żyć ze swoim słabym mężem i synem, który wyglądał jak ojciec i który niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie mógł zastąpić ukochanej córki. Po samobójczej śmierci matki Victor czuł się tak zdruzgotany, że nie panował nad sobą i płakał przez wiele dni. Dziedzictwo Banningów było wyjątkowo przykre, stanowiło część jego osobowości, choć próbował to przezwyciężyć.

Tego dnia wygląd jego twarzy i oczu dowodził, że w nocy nie spał. Nie golił się od wczoraj, od chwili, kiedy dokonał identyfikacji ciała syna i synowej, spoczywających w długich, stalowych szufladach w kostnicy w Los Angeles. Jeśli pominąć wydarzenia sprzed kilku dni, niemal od dziesięciu lat nie widział Rudy'ego ani z nim nie rozmawiał. Wszystkie informacje na temat syna zdobywał od Rachel. Uzewnętrznienie emocji, które targały nim w głębi duszy, powaliłoby go na kolana. Przeważał głęboki żal, który nawet mocnego człowieka pozbawia sił, jeśli tylko go zdominuje.

Usłyszawszy, że nadjeżdża lincoln town car, Victor podszedł do wąskiego okna, z którego między mięsistymi liśćmi drzewa herbacianego widać było podjazd. Obok samochodu stali dwaj chłopcy ubrani w podobne, pasiaste podkoszulki i sztywne dzinsy z podwiniętymi nogawkami. Dzieliły ich cztery lata, ale już obaj wyglądali jak typowi Banningowie: mieli jasne włosy, kwadratowe szczęki i szerokie usta, stanowiące spuściznę po dziadku Victora. Po matce odziedziczyli jasną skórę, poważne miny i gęste, ciemne brwi. Młodszy, Cale, ścisnął dłoń starszego brata, Juda. Przypominali dwie nie do końca pasujące do siebie podpórki do książek.

Victor widział jedynie ich kruchość, kiedy kurczowo do siebie przywarli jak wystraszone małe dziewczynki. Nigdy nie zdołają stanąć na własnych nogach. Rachel całkiem ich zepsuła. Zobaczył już dosyć, więc odszedł od okna, zastanawiając się, co będzie musiał zrobić, żeby zmienić ich z maminsyneków w mężczyzn, którzy byliby w stanie przetrwać w jego świecie.

Wkrótce usłyszał przyciszone głosy służby, a w holu rozległy się szybkie kroki dzieci, z którymi nigdy wcześniej nie rozmawiał. Kierowca, trzymając w dłoniach czapkę, wszedł do pokoju.

- Przywiozłem pańskich wnuków.

Harlan nie był mężczyzną wysokim, ale silniejszym niż wół i wyglądem trochę go przypominał. Jak przystało na byłego boksera wagi średniej, miał płaski, złamany nos i porcelanowe przednie zęby, za które zapłacił Victor.

- Chce pan, żebym przyprowadził chłopców na górę?

- Nie. Zaraz zejść. Nie sprawiali ci kłopotu? Harlan potrząsnął przecząco głową.

- Siedzieli z tyłu i szeptali coś na temat przejażdżki limuzyną. Uznali, że to dość wyjątkowe wydarzenie.

- Czy mg wrócił już z zakładu lakierniczego? - spytał Victor.

- Tak, proszę pana.

- Sprawdź, jak pomalowano nadproża i maskę.

- Sprawdziłem to dziś rano.

- To dobrze.

Jego syn uwielbiał kiedyś ten samochód, ale potem rzucił Victorowi kluczyki i zrezygnował ze wszystkiego, co wiązało się z Banningami.

- Niech chłopcy na razie zaczekają w holu - powiedział starszy pan spokojnie. - Zaraz zejść.

Harlan wyszedł, a Victor nalał sobie szkocką. Marzył o tym, by znaleźć się w innym miejscu, wrócić do miłszych chwil, które mógł policzyć na palcach jednej ręki. Kiedy drewniana podłoga zaskrzypiała mu pod nogami, spojrzał na obrys klapy prowadzącej do schronu przeciwoatomowego, który, zdaniem architekta, był tu niezbędny. W rzeczywistości była to tylko bezużyteczna dziura w podłodze i wcale nie uchroniła go przed katastrofą życiową — jego syn zginął, żywiąc do ojca nienawiść. Whisky w niczym nie mogła mu pomóc. Nie da się utopić błędów w alkoholu... chociaż Rudy z pewnością próbował to robić. Dlatego teraz Victor tkwił tutaj - na krawędzi klapy w podłodze, z bezużytecznym drinkiem w ręku, w obliczu największego oceanu świata i najgorszego ze swoich grzechów.

Cale Banning stał ze starszym bratem w holu dziwnego domu w dziwnej okolicy i czekał na dziwnego człowieka - dziadka, o którego istnieniu dowiedział się zaledwie kilka godzin temu. Obok piętrzyły się walizki i zabawki chłopców, ułożone w pośpiechu w stos, który powodował zakłopotanie - takie samo, jakie odczuwali właściciele tych przedmiotów. Cale pociągnął swojego brata, Juda, za koszulę.

- Jak to możliwe, że nie mogę sobie dziadka przypomnieć? Dlaczego nigdy u nas nie był? Nie lubił nas?

- Kto wie?

Cale spojrzał na zabawki i walizki - w ogóle nie pasowały do tego otoczenia.

Jud usiadł na schodach, oparł łokcie na kościstych kolanach i opuścił ręce między nogi.

- Pamiętam jego samochód - powiedział do Cale'a. - Widziałem, jak kilka razy odjeżdżał spod naszego domu.

- A czy kiedyś widziałeś jego samego?

-Nie.

Cale rozglądał się po pustym pomieszczeniu, jakby szukał czegoś znajomego. Wysoko na ścianie, nad klatką schodową, zobaczył okno z kolorowego szkła. Przypominało witraż w kościele.

- Popatrz tam!

- Widziałem to - odparł Jud z roztargnieniem. - To jedno z dzieł mamy.

Cale przyjrzał się obrazowi zawieszonemu obok witraża. Był ogromny. Kiedy pewnego razu spytał matkę, dlaczego maluje tak wielkie płótna, powiedziała mu, że duże obrazy mogą więcej wyrazić, ale da się to

zrozumieć dopiero w pewnym wieku, więc niech spyta ponownie, gdy będzie miał tyle lat co Jud. Cale spojrział na brata.

- Czy wiesz, czemu mama malowała takie duże obrazy?

-Nie.

- Przypuszczam, że chciała w ten sposób coś powiedzieć.

Cale przyjrzał się czerwonym, niebieskim, zielonym i żółtym pociągnięciom widocznym na płótnie nad jego głową. Pracownia matki zawsze stała dla nich otworem. Mama pachniała olejem lnianym, a jej ubranie było pokryte kolorowymi plamami; wszystko to miało dla chłopca tyle samo sensu co wiszące tu obrazy. W pracowni obaj chłopcy mogli za to litrami pić coca-cole, zajadać kanapki z sałatką jajeczną i biszkopty nadziewane masą. W tym czasie matka rozmawiała z nimi, malując długimi, zamaszystymi pociągnięciami pędzla, co angażowało całe jej ciało i najwyraźniej miało sens tylko dla niej. Pewnego razu, gdy odsunęła się od pracy, powiedziała, że sztuka mówi o życiu i o tym, jak ludzie myślą i co czują. Czasami owe przesłania są ukryte, stanowią tajemnicę, którą mogą dostrzec tylko wybrani, jednak dusza artysty zawsze jest widoczna w jego obrazach, jeśli tylko ktoś zechce dokładnie przyjrzeć się dziełu.

- Jud? Jak wygląda dusza?

Starszy z chłopców spojrział na brata.

- Ale z ciebie dziwak!

Cale usiadł i podparł brodę rękami.

- Tęsknię za nią.

Jud bez słowa objął brata, a Cale oparł głowę na jego ramieniu, bo jeśli rodzice naprawdę nie żyli, został mu tylko Jud.

Kiedy uniósł wzrok, ujrzał jakiegoś mężczyznę. Był wysoki i trochę podobny do taty, ale w jego ciemnych włosach widać było jaśniejsze pasemka. Patrzył na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Cale wyprostował się.

- Dlaczego kazałeś nas tu przywieźć?

Jud poderwał się tak szybko, jakby zobaczył ogień, ale ich dziadek nadał milczał.

Dlaczego go nie znali? Dlaczego on nic nie mówił? Dlaczego mama i tata musieli umrzeć i zostawić ich tylko z nim samym? Cale chciał w coś uderzyć — nawet w surową twarz mężczyzny stojącego nad nimi.

- Jak to możliwe, że cię nie znam? Czy naprawdę jesteś moim dziadkiem?

Cale wykonał krok do przodu. Jud złapał go za rękę i przyciągnął go z powrotem.

- Zostań tutaj.

- Ty jesteś Cale - odezwał się wreszcie ich dziadek. Cale stał w cieniu rzucanym przez brata.

-Tak.

- A ty masz na imię Jud. - Dziadek potrząsnął ręką starszego z braci, jakby był on dorosłym mężczyzną, nie podał jednak dłoni młodszemu. - Chodź ze mną - powiedział do Juda, po czym wyszedł frontowymi drzwiami, a chłopiec podążył za nim.

Cale również poczuł się jego wnukiem, pobiegł więc za nimi, idąc w ślady brata wędrującego u boku dziadka. Młodszy z chłopców wyprzedził tę dwójkę, a potem odwrócił się i niemalże biegnąc tyłem przed dziadkiem, spytał:

- Dokąd idziemy?

- Do garażu.

- Po co?

- Chcę coś pokazać twojemu bratu.

Chciał coś pokazać Judowi, ale nie jemu.

- Co takiego? - spytał Cale. Dziadek nie zwalniał kroku.

- Co chcesz mu pokazać? - Cale cały czas szedł przed nimi, obawiając się, że jeśli teraz się zatrzyma, dziadek go zdepcze. - Nie lubisz mnie - powiedział Cale.

Dziadek spojrzał na niego.

- Czy to, czy cię lubię, jest ważne?

- Tak - odparł Cale.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś moim dziadkiem. Powinieneś mnie lubić. Victor się roześmiał.

- Dobra odpowiedź, Cale.

Przez krótką chwilę chłopczyk pomyślał, że może dziadek go polubi.

- Czemu sądzisz, że cię nie lubię?

- Nie chcesz ze mną rozmawiać.

- Czy to cię martwi?

-Tak.

- Dlaczego?

- Bo nie zrobiłem niczego złego.

- A więc sądzisz, że musisz zrobić coś złego, żeby ktoś cię nie lubił?

Cale wiedział, że czasami ludzie nie lubili kogoś bez żadnego powodu.

- Nie wiem - powiedział zgodnie z prawdą.

- Zastanów się nad tym, a gdy znajdziesz odpowiedź, zapukaj do tych drzwi i powiedz, do jakiego wniosku doszedłeś. - Dziadek odwrócił się w stronę Juda i przytrzymał otwarte drzwi. - Wejdź, synu.

Jud zniknął w środku.

Kiedy Cale usiłował rzucić okiem do środka, dziadek zablokował mu drogę.

- Co by było, gdybym powiedział ci, że lubię Juda, ponieważ jest najstarszym wnukiem?

Cale stał sztywno, jakby połknął kij, z rękami wzdłuż tułowia.

Przypominał żołnierzy noszących wysokie, czerwone czapla, chroniących królowe i ukrywających przed ludźmi swoje uczucia.

- Odpowiedz - naciskał dziadek. - Co byś wtedy powiedział?

- Powiedziałbym, że jesteś głupim staruchem. Wyraz twarzy dziadka nie uległ zmianie.

- Może nim jestem - rzucił w końcu, a potem zamknął chłopcu drzwi przed nosem.

Cale leżał w łóżku, czekając, aż w holu zapadnie cisza. Drzewo za oknem kołysało się na wietrze, a on leżał tutaj, słysząc bicie swego serca, własny oddech i czując pustą przestrzeń pod kołdrą. Jego brat znajdował się po drugiej stronie holu, stanowiącego część domu mężczyzny, który kazał mówić im do siebie „Victorze”. Nie „dziadku” ani „dziadziu”.

Victorze.

Kiedy z holu przestały dochodzić jakiegokolwiek odgłosy, Cale wyskoczył z łóżka i podszedł do szafy. Przyniósł na łóżko naręczce ubrań, a potem zwinął tak, by kształtem przypominały śpiącego człowieka.

Sypialnia dziadka znajdowała się na końcu długiego, ciemnego korytarza na drugim piętrze. Dwuskrzydłowe drzwi były lekko uchylone, a na drewnianą podłogę padała smuga światła. Cale podążał za głosem Victora, który krzyczał na kogoś przez telefon.

- Co ma znaczyć stwierdzenie, że nie uda ci się odzyskać obrazów? Jaki dom aukcyjny? Gdzie?

Cale zatrzymał się pół metra od drzwi.

- Powiedz im, że nie mają pełnomocnictwa, by je sprzedać. Te obrazy należą do rodziny. Pieprzyć kontrakt! Jesteś moim prawnikiem. Powstrzymaj tę aukcję. Niech to diabli, jeśli będziesz musiał, kup je wszystkie. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztować. Chcę mieć wszystkie płótna.

Dziadek rzucił słuchawką i zaklął.

Cale zaczekał do chwili, gdy Victor poszedł do łazienki. Chłopiec ruszył szybko w stronę sypialni Juda i wślizgnął się do środka.

Jud uniósł się na łokciach.

- Czego chcesz?

- Mogę tutaj spać?

- Płakałeś?

- Nie. Nie płakałem - skłamał Cale. Jud uniósł prześcieradło.

- Proszę.

Cale podbiegł, skoczył i przeturlał się na środek łóżka.

- Posuń się, świniou.

- Nie jestem świnią.

Cale wpatrywał się w ciemny sufit, martwiąc się, czy jutrzejszy dzień będzie tak okropny jak wczorajszy i dzisiejszy. Przykrył się pościelą.

Sekundę później włączyło się oślepiające, jaskrawe światło, a w drzwiach stanął Victor.

- Co ty tu robisz? - spytał.

Cale natychmiast poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Nieważne - powiedział dziadek tym samym rozgniewanym tonem, którego używał podczas rozmowy telefonicznej. Przeszedł szerokość pomieszczenia i odsunął nakrycie.

Jud był zbyt przerażony, by cokolwiek z siebie wydusić.

- W tym domu wszyscy śpią w własnych pokojach. - Victor postawił Cale'a na nogi, położył mu ręce na ramionach i odprowadził go do jego pokoju. Tam włączył światło i czekał moment, po czym wskazał tobołek leżący w łóżku.

- Wiesz, co mi to mówi?

Jestem w opałach - pomyślał Cale, ale powiedział jedynie nadęsanym głosem: -Nie.

Victor odsunął pościel.

- To mi mówi, że cholernie dobrze wiedziałeś, że powinieneś być zostać w swoim łóżku.

Cale nie komentował tego stwierdzenia.

- Masz osiem lat, a ja jestem o wiele starszy. Nie ma takiej sztuczki, którą mógłbyś zastosować, żeby nie zostać przeze mnie przejrzanym. - Rzucił ubrania w kąt. - Teraz wskakuj do łóżka.

Cale wpęznął do łóżka i położył się sztywno, wbijając wzrok w sufit.

- Chcesz, żebym zostawił włączone światło?

- Nie - odpowiedział Cale z obrzydzeniem, a kiedy światło zgasło, naciągnął pościel na głowę. Przez białe prześcieradło wszystko było widać. Dziadek stał w drzwiach, a jego sylwetka odcinała się na tle światła dochodzącego z holu.

- Mężczyźni z rodziny Banningów nikogo nie potrzebują, Cale. Radzimy sobie sami.

Zamknął drzwi, a w pokoju zapadła ciemność.

Juda obudził hałas przypominający walenie kijem baseballowym w blaszane pojemniki. Zanim chłopiec dotarł do okna, zaczęły ujadać psy należące do sąsiada. Było po północy, a w powietrzu wisiała mgiełka. Cale leżał jak długi obok drewnianych drzwi prowadzących do garażu. Obok niego stały dwa blaszane kubły na śmieci, z których jeden kręcił się jak bąk, a betonowym podjazdem prowadzącym w stronę ulicy toczyły się beczki. Jego młodszy brat próbował zajrzeć przez szyby umieszczone wysoko w drzwiach garażowych. Jud otworzył okno i spytał głośnym szeptem:

- Zwariowałaś? Wracaj do środka. Pospiesz się! Cale usiadł, rozcierając tył głowy.

- Chcę zobaczyć czerwony samochód.

- Debilu, jest środek nocy!

- Wiem, ale on nie pozwoli mi na niego popatrzeć. Nie pozwala mi z tobą rozmawiać ani zostać u ciebie na noc. Zresztą teraz śpi.

- Ja też spałem, ale obudził mnie huk podobny do odgłosów katastrofy kolejowej.

Ich dziadek wyszedł z cienia i ruszył w stronę Cale'a. Sposób, w jaki się poruszał, świadczył o nadchodzącym niebezpieczeństwie.

Jud wychylił się przez okno.

- Nie waż się robić mu krzywdy!

Victor spojrzał w górę i zmarszczył czoło.

- Nie zamierzam go skrzywdzić.

- Skąd mamy to wiedzieć?! - wrzasnął Jud. - Nawet cię nie znamy.

Chłopiec zbiegł po schodach. Zanim dotarł na dół, ze swojego pokoju nad garażem wyszedł szofer ze śrutówką w dłoniach, a Cale wpatrywał się w Victora z uporem... miał dokładnie ten sam wyraz twarzy co dziadek.

- Nie próbuj go uderzyć - ostrzegł Jud.

- Nie mam zamiaru go bić - odparł Victor zrozpaczonym tonem.

Przeniósł wzrok na Cale'a. - Sądzisz, że chcę cię zbić?

- Jest mi to obojętne.

- To wszystko twoja wina - zauważył Jud. - Powinieneś pokazać samochód również jemu.

Szofer zszedł jeszcze jeden schodek w dół.

- Panie Banning?

- Wszystko pod kontrolą, Harlan. - W głosie dziadka chłopców słychać było zmęczenie. - Wracaj do łóżka.

Szofer odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach na górę.

- Harlanie, zaczekaj! Ty... - Victor wymierzył palec w stronę wojowniczej twarzy Cale'a. - Przepraszam, że go obudziłem.

Przez krótką chwilę Jud sądził, że Cale odmówi. Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność, potem jednak chłopiec odwrócił się w stronę kierowcy. Nie wyglądał wcale na skruszonego, gdy mówił:

- Przepraszam, że pana obudziłem.

- W porządku, synu. - Harlan wszedł schodami na górę, zostawiając ich trzech stojących w milczeniu.

- A więc, Jud, sądzisz, że powinienem pokazać Cale'owi samochód?

-Tak.

- W porządku. - Victor wyciągnął klucz z kieszeni szlafroka, otworzył zamek i uchylił drzwi. - Wchodźcie do środka i oglądajcie, co tylko zechcecie.

Cale prześlizgnął się pod ramieniem Victora, a brązowa piżamka z nadrukowaną postacią z kreskówek tylko mignęła mu przed oczami. Jud poszedł w jego ślady. Stojący w środku samochód mg wydawał się niski i smukły, chromowane części pięknie lśniły. Jasnobrązowy miękki dach był złożony, a w szkle przednich reflektorów odbijało się zbyt jasne światło lamp w garażu. Takich samochodów już się nie widywało, pojawiały się jedynie w starych filmach. Pojazd był kanciasty, miał progi ułatwiające wsiadanie. Czerwony lakier sprawiał, że całość wyglądała niczym miniaturowy pojazd straży pożarnej.

- O kurczę! - Cale obszedł mg, a potem oparł dłonie na kolanach i zrobił minę do zewnętrznego lusterka. Kilka kolejnych grymasów skierował do polerowanej, chromowanej osłony chłodnicy. Był po prostu małym chłopcem w krzywo zapiętej piżamie, któremu kilka liści przylepiło się do pleców i wojowniczo nastroszonych włosów.

Dziadek oparł się o błotnik.

- Kupiłem ten wóz dla waszego ojca.

Jud nie wiedział, że mg należało do ich taty. Potrafił go sobie wyobrazić jedynie za kierownicą starego, dwutonowego forda. Jednak w jego ojcu było coś dzikiego, przypominającego ten czerwony samochód.

- Jud. - Dziadek otworzył drzwi samochodu. - Wsiadź. Chłopiec wsunął się na miękki, skórzany fotel i położył stopy na pedałach. Jego mały braciszek wspiął się na fotel pasażera. Cale paplał, opuszczał i podnosił szybę oraz blokował zamki w drzwiach, podczas gdy Jud po prostu obydwoma dłońmi ścisnął kierownicę i wyglądał przez niską szybę umieszczoną w chromowanej ramie. Starał się wyczuć coś znajomego: obecność taty i tego, co po nim zostało - jeśli po zmarłym człowieku w ogóle cokolwiek zostaje. Jud poczuł dziwne, silne pragnienie, by ten samochód należał do niego. Pragnął go bardziej niż czegokolwiek innego w swoim dotychczasowym życiu.

Obok niego klęknął Cale, podskakiwał i dotykał oparcia siedzenia.

- Pewnego dnia będę miał ten samochód. Będę dokładnie taki jak tata i będę wszędzie jeździł tym wozem.

Jud rzucił bratu szybkie spojrzenie, potem kolejne pod adresem starszego pana, który przyglądał im się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Nie, braciszku - pomyślał starszy z chłopców. - Nie. Ten samochód będzie mój.

4

Kathryn zapłaciła kierowcy i szybko wysiadła z córką z pomarańczowej taksówki, cuchnącej niczym brudna popielniczka. Laurel pobiegła po schodach prowadzących do domu Julii Peyton - był to budynek wzniesiony w stylu Tudorów, z dwuspadowym dachem, witrażami w oknach, kamiennymi kominami oraz bujnymi kwiatami wokół idealnie przystrzyżonego trawnika.

- Spóźniłyście się, Kathryn. - Julia stała w drzwiach wejściowych. Miała na sobie buty na obcasach oraz biżuterię z pereł. - Spodziewałam się, że przyjdziecie przed lunchem.

- Ludzie, którzy zajmowali się przeprowadzką, potrzebowali więcej czasu, niż zakładałam. - Kathryn zamknęła z trzaskiem torebkę, zła na siebie o to, że od razu zaczyna się usprawiedliwiać.

- Babciu! Babciu! - Laurel podskakiwała w miejscu. - Przyjechałyśmy, by z tobą zamieszkać.

- Tak, to prawda. Chodź, przytul się do mnie.

Julia rozpostarła ramiona, a Laurel pobiegła prosto w jej objęcia. Kathryn odwróciła się, by spojrzeć za siebie w dół pagórka, i dostrzegła tył taksówki znikający za żelazną bramą. W oddali pod bezchmurnym niebem rozciągała się metalicznie połyskująca powierzchnia wody. Widok ten zakłócał jedynie zielony skrawek lądu nazywany Bainbridge Island oraz pokryte śniegiem góry Olympic. „Zatoka Puget to miejsce, ponad którym krążą orły”. Tak brzmi wers z jednej z piosenek Jimmy'ego. Zbyt wiele takich zdań dźwięczało teraz jej w głowie i nie zawsze były to fragmenty

jego tekstów. Słowa uwieczniały jednak jego myśli i stanowiły dowód, że kiedyś chodził po tym świecie.

Furgonetka pomalowana w zielono-żółte kwiaty pierwiosnka kanadyjskiego z głośnym piskiem opon zahamowała na podjeździe. Klamka zapadła - pomyślała Kathryn.

- Wejdz do środka. Mamy tyle do zrobienia - powiedziała Julia, a potem zniknęła w środku wraz z Laurel, która wciąż paplała z podnieceniem.

Kathryn stała nieruchomo, kurczowo ściskając obydwoma dłońmi torebkę i patrząc na imponujący dom, w którym dorastał jej mąż. Teraz to samo czeka jej córkę. W trakcie tych bezsensownych dni, które minęły od śmierci Jimmy'ego, nic nie zmieniło odczucia Kathryn, że utknęła uwieczniona pomiędzy mężem a dzieckiem. Schwytana w pułapkę. Tak właśnie się czuła. Nie miała już domu ani męża. Laurel była tutaj, tak samo jak Julia. Jakaś część jej samej też musi wciąż tu być, prawda? To właśnie sobie powtarzała.

Kathryn zaczęła wlec się nogą za nogą ze słowami:

- Spróbujemy.

W ciągu dwóch tygodni napięcie pomiędzy dwiema kobietami obecnymi w życiu Jimmy'ego Peytona zagaściło atmosferę do tego stopnia, że powietrze w domu można było kroić nożem. Kathryn, która nie radziła sobie z konfliktami na tyle dobrze, by samodzielnie rozpocząć wojnę, szybko traciła chęć do walki z Julią.

Pierwszy incydent wydarzył się, kiedy Kathryn wypakowała oprawione w ramki płyty Jimmy'ego. Ten widok wywoływał u niej potworny ból, więc umieściła je w pudle na strychu. Następnego dnia

ujrzała wszystkie wystawione w holu wejściowym, gdzie każdy musiał zobaczyć je, gdy tylko przekroczył próg domu. Kathryn zdjęła je i z płaczem ukryła pod łóżkiem. Tego wieczoru podczas kolacji, która jak zwykle składała się z ulubionych potraw Jimmy'ego, Julia przystąpiła do konfrontacji:

- Zdjęłaś nagrania Jimmy'ego.

-Tak.

Jej teściowa podczas całego posiłku ze złością paliła papierosa za papierosem, dopóki cisza nie zrobiła się tak gęsta jak dym tytoniowy, a dalsze siedzenie w milczeniu było nie do zniesienia. Kathryn wstała.

- Pora na kąpiel, Laurel.

- Pozwól dziecku zjeść deser. - Julia odłożyła swoją lnianą serwetkę na talerz i postawiła przed wnuczką miseczkę z lodami.

Kathryn ponownie usiadła i wpatrywała się w ciężkie, złote zasłony wiszące w oknach. Pomiędzy kotarami a powierzchnią szyb znajdowały się jasne, niezwykle cienkie zasłonki. Kathryn poczuła się tak samo przezroczysta jak one.

- Rodzina Johnny'ego Ace'a* oddała jego płyty do muzeum - powiedziała Julia.

- Te nagrania powinny kiedyś trafić w ręce Laurel.

- Laurel będzie wiedziała, że są ważne, jeśli będą wisiały w holu. - Julia użyła oficjalnego tonu. - Zdjęłam obrazy Picassa i Matisse'a.

Jeszcze tego samego wieczoru Kathryn powiesiła z powrotem płyty, po czym poszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi i położyła się z głową przepelnioną różnymi myślami. Od tej chwili wchodziła do domu bocznym wejściem lub przez kuchnię.

** Johnny Ace - gwiazda muzyki R&B, poniósł śmierć podczas gry w rosyjską ruletkę (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).*

W czasie, który upłynął między zgodą Kathryn na opuszczenie własnego mieszkania a ich sprowadzeniem się do teściowej, Julia przerobiła sypialnię Jimmy'ego tak, by mogła tam zamieszkać Laurel. Przyległy pokój zabaw pozostał jednak niezmienny od okresu dzieciństwa ojca dziewczynki. Kilka wieczorów później Kathryn natknęła się na starszą panią, kiedy ta siedziała z wnuczką na kolanach, przeglądając z nią stare slajdy.

- Chodź, usiądź z nami, Kathryn. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek wcześniej widziała te fotografie.

- Chodź, mamó. Chodź tutaj. Tatuś miał czerwony trójkołowy rowerek, taki sam jak mój.

Wypowiedź Laurel już brzmiała jak słowa Julii. „Przyjdź tutaj. Chodź ze mną. Chodź tutaj. Chodź. Chodź. Chodź”.

Tak więc Kathryn obejrzała kolejno wszystkie zdjęcia, każde z nich wysysało z niej odrobinę życia. Nie opowiedziała o tym Evie podczas wieczornej rozmowy telefonicznej, ponieważ chciała uniknąć kolejnego stresu. W tym okresie bardzo łatwo ustępowała pod naciskiem. Wsunęła jednak pod pachę zamieszczoną w niedzielnej gazecie część z anonsami dotyczącymi wynajmu i w zaciszu swojej sypialni zaczęła zakreślać ogłoszenia.

W następnym tygodniu po kryjomu obejrzała mały dom w Magnolii, z podwórkiem i widokiem na zatokę. Z tego powodu wróciła do domu później, niż planowała, pospiesznie więc udała się do kuchni, by przygotować lunch dla Laurel.

- Zabieram dla Laurel masło orzechowe i dżem.

- Jest pierwsza po południu. Mała już jadła. Dałam jej kanapkę z szynką i sałatą.

- Laurel nie lubi szynki.

- Oczywiście, że lubi. To był przysmak Jimmy'ego. - Julia wzięła od Kathryn talerz i postawiła go na pobliskim stoliku. -Chodź. Chciałabym coś ci pokazać. - Poprowadziła ją na tyły domu, obok nowej huśtawki i zestawu drążków, aż w polu widzenia pojawił się szpaler cedrów okalających tylny trawnik. Julia zatrzymała się. - Popatrz, Kathryn.

Pomiędzy drzewami stał mały domek, miniaturowa wersja głównego budynku. Julia wręczyła jej klucz.

- Wejdz do środka.

To, co według przypuszczeń Kathryn było domkiem zabaw dla Laurel, okazało się dużym, otwartym pomieszczeniem z półkami wzdłuż ścian, głębokim zlewozmywakiem oraz pokrytą kafelkami ladą pod szerokim, frontowym oknem.

Julia oparła się o ladę, kładąc dłonie na jej brzegu.

- Stąd, a także z tego szerokiego okna mogłabyś widzieć plac zabaw Laurel. Myślałam, że mogłybyśmy umieścić tu twoje koło garncarskie. Piec do wypalania jest za rogiem, tak więc pomieszczenie nie będzie się nagrzewało. Ta lodówka jest przeznaczona na glinę.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Kathryn oniemiała z wrażenia. - To cudowne.

- Dobrze. - Julia ujęła w palce zapałkę i uniosła ją do papierosa, którego trzymała w ustach, po czym odrzuciła głowę do tyłu i wypuściła z płuc dym. - Wiem, że decyzja o przyjeździe tutaj nie była dla ciebie łatwa.

Chciałam, żebyś wiedziała, że cieszę się z tego, że tu jesteście. - Przez ułamek sekundy Julia popatrzyła na synową, na jej twarzy malował się strach zwierzęcia uwięzionego na drzewie, spoglądającego w dół na myśliwego i jego broń. - Korzystaj z tego wszystkiego.

Julia odwróciła się i wyszła.

Studio marzeń Kathryn nie mogłoby być ani odrobinę lepsze. Przez okno wpadało światło i ciepło, kafelki lśniły, pomieszczenie wydawało się nieskazitelnie czyste, nowe, bez ziemistego zapachu wilgoci czy woni wypalanej gliny. Białe, nagie i czyste ściany nie nosiły żadnych śladów. Kiedy tutaj stała, jej przeszłość znikła, a przyszłość ziała niepokojącą pustką.

Niepokoilo ją jednak coś innego. Spojrzała w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stała Julia, i zdała sobie sprawę, że rozumie przerażone spojrzenie teściowej. Nie dalej jak tego ranka Kathryn widziała coś takiego w lustrze.

W ciągu kilku kolejnych dni Kathryn przestała czytać ogłoszenia w dziale nieruchomości, a Julia przestała mówić jej, co ma robić i jak powinna się czuć. Kathryn właśnie ubierała się po wyjściu spod prysznica, kiedy usłyszała śpiewanie Laurel. Brzmiało ono tak, jakby dziewczynka skakała po łóżku w sąsiednim pokoju.

Kathryn wbiegła do holu.

- Laurel! Proszę, powiedz mi, że nie skaczesz właśnie po łóżku babci.

Po raz pierwszy przekroczyła próg apartamentu Julii. Laurel skakała radośnie po przykrytym jedwabną pościelą łóżku babci i śpiewała:

- Uwielbiam kawę, uwielbiam herbatę...

- Przestań.

Laurel spojrzała na nią pomiędzy skokami.

- Wszystko w porządku, Kathryn. - Julia wyszła z łazienki, nakładając sobie na twarz krem chłodzący. - Pozwoliłam jej poskakać. - Sukienka Julii harmonizowała z wystrojem wnętrza, który opierał się na miękkości i bieli. Wszystkie meble - włączając w to toaletkę stojącą w jednym kącie i sprzęt audio zajmujący kolejny róg pomieszczenia - lśniły bielą. Apartament był wyposażony luksusowo, poczynając od dywanów i pościeli, kończąc na jedwabnych zasłonach przy dwóch długich, wielodzietnych oknach wychodzących na morze. Pomiędzy oknami wisiał obraz o wymiarach półtora na dwa i pół metra - płótno pokryte śmiałymi kolorami reprezentowało sztukę współczesną, która dominowała w kolekcji Julii. Widząc dzieło sztuki, Kathryn poczuła, że krew odpływa jej z głowy.

- Jest imponujący, nieprawdaż? - Julia starła krem za pomocą chusteczki higienicznej. - Nad łóżkiem jest jeszcze jeden.

Kathryn zwróciła się w kierunku łóżka, po którym Laurel nadal skakała.

- Malarka nazywała się Espinosa. Kupiłam je jakiś czas temu. Ich wartość z pewnością ciągle rośnie, chociaż Bóg mi świadkiem, że już na początku zapłaciłam za nie dostatecznie dużo. Tydzień temu ktoś zadzwonił do mnie z galerii - artystka niedawno zmarła i rodzina stara się dotrzeć do wszystkich jej dzieł. Obrazy pasują tu tak idealnie, że nie chciałam ich sprzedawać. Wystrój całego pomieszczenia opiera się właśnie na nich.

Kathryn odzyskała głos.

- Czy wiesz, kim była ta malarka?

- To Rachel Espinosa, hiszpańska artystka.

- Była żoną Rudy'ego Banninga.

- Banninga? - Julia usiadła. - Banninga? - W jej głosie pojawiło się przerażenie, a twarz przybrała szary kolor. Uniosła wzrok i spojrzała na Kathryn. - On zabił Jimmy'ego. Rudy Banning zamordował mojego syna.

- Rachel Espinosa Banning zginęła w tym samym wypadku.

Tamtego wieczoru odbywał się jej wernisaż. Nie czytałaś gazet?

Julia potrząsnęła głową.

- Nie mogłam i nie chciałam ich czytać. Bałam się.

- Ona i jej mąż pokłócili się i opuścili wystawę. Niewiele później stracił panowanie nad samochodem.

- Mój Boże. - Julia wstała. - Mój Boże... - Skierowała się do łazienki i zamknęła drzwi.

Kathryn stała jak wmurowana, wpatrując się w obydwie obrazy, dopóki nie połączyły się w niewyraźną całość. Potem po prostu ich już nie dostrzegała.

Tej nocy obudziła się z dreszczami wywołanymi koszmarem. Usiadła na łóżku, zaskoczona głośnymi dźwiękami muzyki Jimmy'ego, dochodzącymi z sąsiedniego pomieszczenia.

Laurel przyszła do jej łóżka.

- Mamo, ta muzyka jest za głośna. Zrób coś, żeby ucichła. Kathryn ją przytuliła.

- Zaczekaj tutaj. Poproszę babcię, żeby to wyłączyła. Co, do diabła, Julia sobie myśli? Zastukała w drzwi.

-Julio?

Po otwarciu drzwi Kathryn zamarła w bezruchu. Jej teściowa stała na łóżku z długim, kuchennym nożem w dłoni, a obraz został rozcięty od jednego rogu aż do drugiego.

-Julio!

Starsza pani spokojnie wykonała kolejne cięcie, odwróciła się w stronę Kathryn, po czym zeszła na dywan.

- Nie chcę ich w swojej sypialni ani w tym domu. Julia ruszyła w stronę drugiego płótna.

- Zaczekaj! Nie rób tego.

- Muszę je zniszczyć. Oni zniszczyli moje życie. Zabili mojego syna.

- Powiedziałaś, że rodzina chce odzyskać obrazy.

- Owszem.

Julia wyglądała na drobną, zagubioną i zakłopotaną osobę. Ani trochę nie przypominała kogoś, kto doprowadzał innych ludzi do szaleństwa.

- Więc nie niszc ich. Najlepszą zemstą będzie nigdy ich nie sprzedawać. - Wiedziała, że to było podłe, ale właśnie dlatego pomysł wydawał się tak dobry. - Nigdy ich nie sprzedawaj.

Julia przeniosła wzrok z noża trzymanego w dłoni na drugi obraz wiszący na ścianie. Wzięła głęboki wdech, otarła łzy rękawem jedwabnej sukienki i wręczyła Kathryn nóż. Synowa otoczyła starszą panią ramieniem. - Już dobrze.

- Nic nigdy nie będzie już dobrze. - Julia zaczęła płakać i oparła się o Kathryn. Nie przypominała wcale niewzruszonego posągu, lecz wątłą i kruchą lupinkę.

- Chodź ze mną - powiedziała Kathryn. — Możesz przespąć się dzisiaj w jednej z sypialni dla gości. Jutro usunę te obrazy.

- Nigdy ich nie sprzedam. Masz rację, Kathryn. Nigdy ich nie sprzedamy.

RS

Część druga

1970

Często zmuszamy ludzi do tego, by słono płacili za rzeczy, które we własnym mniemaniu dajemy im za darmo.

Marie Josephine de Suin de Beausac

5

Newport Beach, Kalifornia

W Słonecznym Stanie ziemia obfitowała w bogactwa, a jej kolor był tak ciemny jak wydobywana tu ropa naftowa. Róże z odsłoniętymi korzeniami zaczynały kwitnąć już kilka tygodni po zasadzeniu. Każdej wiosny krzewy z rodziny werbenowatych trzykrotnie zwiększały swoje wymiary, wypełniając wąskie granice pomiędzy posiadłościami w miejscu, gdzie każdy metr kwadratowy gruntu wyceniano na setki tysięcy dolarów. Korzenie drzew pieprzowca brazylijskiego rozsadzały ogrodzenia okalające podwórza, a eukaliptusy wystrzeliwały wysoko w niebieskie niebo niczym bajkowe pędy fasoli, rosnąc tak szybko, że ich kora pękała, odpadała i na ziemi zamieniała się w pył. Jeśli ktoś uklęknął i zagłębił dłonie w ziemi, mógł wyczuć jej płodność, a kiedy już wstał, wszyscy wokół mieli wrażenie, że wygląda na wyższego.

Reklamowane na billboardach jeszcze niezbudowane nieruchomości sprzedawały się na pniu i sieć zabudowań pokrywająca nadbrzeżne pagórki robiła się coraz gęstsza, ponieważ ludzie pragnęli zyskać fałszywe poczucie spokoju, które zapewniał widok na Pacyfik. Newport nie było już uzdrowską enklawą jak niegdyś. Teraz na wybrzeżu pojawiły się nowe restauracje, a wśród zabudowań wyrastały wszelkie możliwe konstrukcje - od wytwórni konserw oraz nowoczesnych budynków ze szkła i stali aż po ulokowany na stałym lądzie prom rzeczny. Większość terenu zajmowały luksusowe domy. Posiadłości dzielono na mniejsze, których powierzchnie nie mierzyło się już w tak archaicznych jednostkach jak akr. Wjazdy do

poszczególnych grup domów były zagrodzone białymi szlabanami, podnoszonymi i opuszczanymi przez zajmujących specjalne budki umundurowanych pracowników ochrony. Słowem: obrazek przywodzący na myśl stare filmy, sceny przekraczania granic oraz czasy zimnej wojny. W tym wypadku strażnik nie usiłował jednak powstrzymywać ludzi od wejścia na dany teren. Jego zadanie polegało na czuwaniu nad tym, by z okolicy nie ulotnił się prestiż.

To tutaj mali Banningowie wyrosli na młodych mężczyzn -wysokich, dobrze zbudowanych młodzieńców, o złotym kolorze skóry, jak z reklamy Kalifornii. Przez trzynaście lat zmienili się bardzo. Teraz każdy z nich chciał tylko wygrywać. Mieli wszystko, poza aprobatą dziadka.

Kiedy trafiła się okazja, Victor Banning kupił sąsiadujące z jego domem parcele, zburzył stojące tam budynki i wyremontował swoją rezydencję, która rozrosła się na pięć działek, zajmując cały półwysep. Były tu teraz trzy przystanie, pełnowymiarowe boisko do koszykówki oraz siedem garaży. Banning Oil Company przekształciła się w BanCo, koncern zaangażowany we wszystko - począwszy od wytwarzania substancji ropopochodnych i paliw, poprzez produkcję, aż po rekultywację terenów po wydobywczych. Firma znajdowała się na liście pięciuset największych przedsiębiorstw magazynu „Fortune” i stanowiła wyzwanie dla głodnych sukcesu młodych menedżerów, walczących o uzyskanie w niej pracy.

Jednak to nie głód sprawił, że Jud Banning podjął pracę w firmie swojego dziadka. Nastąpiło to w maju, krótko po ukończeniu Stanford Business School z wynikami plasującymi go wśród najlepszych pięciu procent absolwentów. Uzyskał tam tytuł magistra w dziedzinie zarządzania

finansami firmy, a także na wydziałach biznesu i marketingu. Do podjęcia pracy w BanCo skłoniły go oczekiwania i poczucie naturalnego porządku Victora.

W czasie studiów każdego lata Jud pracował w jakiejś części firmy dziadka, najczęściej wykonując różne prace fizyczne. Jednak robienie kariery w rodzinnej firmie nie było marzeniem kolegów ze studiów Juda. Niezależnie od tego, jak bardzo zmieniła się rezydencja i firma Victora, on nadal pozostawał taki sam - wciąż był wymagający i trudny w pożyciu. Nigdy też nie faworyzował swojego wnuka.

Była wczesna wiosna - ten okres roku, kiedy poranna mgiełka od morza rzadko utrzymywała się nad wybrzeżem, tak więc słońce skrzyło się w wodzie i odbijało się od szyb domów stojących wzdłuż wybrzeża wyspy. Naturalne światło przenikało również przez wychodzącą na morze przeszkloną ścianę w domu Banningów. W jadalni robiło się ciepło, a promienie słońca rozlewały się wokół niczym stopione masło, obejmując cały pokój oraz Juda Banninga śpiącego przy stole w jadalni.

Obudzony, gwałtownie się wyprostował. Tak samo jak w trzy poprzednie poranki gosposia stała nad nim z dzbankiem kawy. Rozejrzał się po pokoju i z nutką paniki w głosie spytał:

- Która godzina?

- Jest wcześnie.

Według oceny Marii mogło być albo wcześnie, albo późno. Dni, tygodnie czy miesiące miały dla niej znaczenie tylko wtedy, gdy wiązały się z jakimś świętem religijnym - środą popielcową, wielkim postem czy Wniebowzięciem Najświętszej Marii Panny. Można ją było spytać, kiedy zostaną przygotowane steki, a ona potrafiła odpowiedzieć, jak należy

przyrządzić wołowinę. Maria przyjechała z Meksyku, by pracować jako kucharka, gospoia i niania, dwa dni po pojawieniu się tutaj Juda i Cale'a. Po trzynastu latach wciąż była jedyną kobietą w tym domostwie. Postawiła kawę i kubek z wymownym stuknięciem.

- Zasypiasz tutaj każdej nocy, Jud, wszędzie wokół walają się papiery.

- Wiem. Wiem.

- Dzisiaj wraca do domu pan Victor. Chcesz, żeby zobaczył cię w takim stanie?

- Nie zobaczy. Dzisiaj jest spotkanie zarządu.

- Łóżka służą do spania. Biurka - do pracy. Przy stołach się je.

- Nigdy nie jadałem przy stole - odpowiedział, udając śmiertelną powagę. Maria ledwie na niego spojrzała, więc zmienił temat. - Nie będzie mnie tutaj w przyszłym tygodniu. Jutro wybieram się z Cale'em na wyspę.

- Co za chłopak. - Potrząsnęła głową i skierowała się do kuchni. - Nigdy nie ma go w domu.

- Jest zajęty szkołą.

- Jest zajęty dziewczętami - odpowiedziała Maria i zniknęła za rogiem.

Jud usłyszał dochodzący z telewizora w kuchni głos Barbary Walters, dziennikarki prowadzącej program *Today*. To oznaczało, że nie jest jeszcze spóźniony. Swój zegarek znalazł pod wykresami, grafikami, notatkami oraz rachunkami zysków i strat. Było piętnaście po siódmej. Nałożył zegarek na rękę i przeczesał dłońmi zmierzwione włosy. Nie obcinał ich tylko po to, by zirytować Victora. W przeciwieństwie do Cale'a przejawy buntu u Juda miały o wiele bardziej ograniczony zasięg.

Wokół niego piętrzyła się praca papierkowa z całego tygodnia, a na pobliskim krześle leżał stos czarnych, lśniących teczek z jego propozycjami dla rady nadzorczej. Dzisiaj był pierwszy piątek miesiąca i spotkanie zarządu miało się rozpocząć, jak zawsze, o dziesiątej rano. Od kiedy zaczął negocjacje z innym dostawcą, wiedział, że kroi się świetny interes. W ten sposób mógł obciąć proponowane koszty nowych tankowców o ponad dwa miliony i spodziewał się, że ta kwota zrobi na zarządzie piorunujące wrażenie.

Godzinę później schodził po schodach, gwiżdżąc i wiążąc nowy krawat. Szybko włożył płaszcz i zatrzymał się, by spojrzeć w lustro. Poprawiając mankiety, powiedział:

- Staruszkule, ależ mam dla ciebie okazję.

Kilka minut później natknął się przy drzwiach na Marię.

- Zabierz ze sobą gazety pana Victora. - Położyła je na niesionym przez Judę pudle z teczkami, a potem otworzyła mu drzwi wejściowe. - Dzisiaj jest Wielki Piątek. Wybierz się do kościoła.

- Jasne - odpowiedział i pomyślał, że nie był w kościele od ślubu swojego współlokatora z akademika.

Z garaży z siedmioma miejscami dla samochodów i dobrze wyposażonego warsztatu dochodził równomierny terkot kompresora, przypominający serię z karabinu maszynowego. Harlan pracował z głową pod maską srebrnego bentleya Victora. Po lewej stronie w niewielkich boksach stały trzy sportowe samochody - porsche 1600D z 1959 roku, Chevrolet corvette rocznik 63 ze zdejmowanym dachem oraz jaguar XKE. Wszystkie trzy należały do Cale'a i wszystkie były jaskrawoczerwone, jednak żadnym z nich nie jeździł na tyle często, by któryś stał się jego

ulubieńcem. Niezależnie od tego, ile sportowych samochodów kupił, żaden z nich nie mógł zastąpić mg należącego niegdyś do ich taty.

Roadster stał zaparkowany w czwartym boksie. Lśnił niczym kalifornijskie słońce, gdyż opiekujący się nim Harlan naprawdę kochał samochody. Każdy pojazd należący do Banningów był wspaniałą maszyną z płynnie pracującym silnikiem, zawsze czystą karoserią i lśnącymi chromowanymi wykończeniami oraz oponami.

Jud otworzył drzwi od strony kierowcy, położył na podłodze teczek z prezentacjami i rzucił swoją aktówkę na siedzenie pasażera. Otworzył bagażnik i umieścił tam gazety - „Los Angeles Times”, „Examiner”, „New York Times”, „Wall Street Journal”, „Register”, „Daily Pilot” oraz „San Diego Tribune”. Jud nie rozumiał swojego dziadka. Przecież jeśli przeczytało się jedną gazetę, to znało się treść wszystkich pozostałych.

Harlan wysunął głowę spod maski bentleya i wyciągnął szmatkę z tylnej kieszeni swojego szarego kombinezonu roboczego. Dostrzegł Juda, zmarszczył czoło i spojrzał na wiszący na ścianie stary zegar z logo Banning Oil Company. Chwilę później wyłączył hałaśliwy kompresor.

- Wcześniej pan wyjeżdża. Samolot pańskiego dziadka wylądzuje najwcześniej o wpół do dziesiątej.

- Muszę być tam wcześniej.

Wyraz twarzy Harlana mówił jednak to, co wiedział każdy pracownik Banningów. Nikt nie podejmował ważnych decyzji, póki Victor nie pojawił się na miejscu. Harlan wepchnął szmatkę do kieszeni i wrócił do pracy.

Jud rozgrzał silnik, a potem wycofał samochód. Czekaając na otwarcie bramy przez elektroniczny mechanizm, niespokojnie bębnił

palcami po kierownicy, po czym dwukrotnie zatrąbił klaksonem i wyjechał z garażu.

Siedziba firmy BanCo w Santa Ana zajmowała ostatnie siedem pięter Grove Building, konstrukcji zbudowanej ze szkła, metalu i betonu. Nazwa budynku pochodziła od starych gajów pomarańczowych, które wykarczowano, żeby przygotować miejsce pod plac budowy. Od strony Piątej Alei oraz Main Street wznosiły się szklane budynki, odbijające się w sobie nawzajem i niepozwalające na jakiegokolwiek skojarzenia z polami uprawnymi. Tutaj dochodziły odgłosy z pobliskich autostrad, hałas samochodów pędzących międzystanową trasą numer 5, a w powietrzu słychać było pełne napięcia brzęczenie, efekt ludzkich działań unoszący się nad ulicami zatłoczonymi w porze lunchu czy po piątej po południu.

Na piętnastym piętrze Victor Banning siedział przed teczką z propozycjami i słuchał przemówienia Juda. Do tej sali konferencyjnej nie docierały żadne hałasy z zewnątrz.

- Wiem, że Banningowie nigdy nie robili interesów z Marvetti Industries - powiedział Jud. - Spotkałem się jednak z ich przedstawicielami i stwierdzam, że te tankowce są klasą samą w sobie.

Victor wstał, słysząc słowo „Marvetti”.

- To koniec spotkania.

Na parę sekund zapadła znacząca chwila absolutnej ciszy. Później członkowie zarządu odłożyli swoje te czki i uciekli z pomieszczenia jak szczury z tonącego okrętu.

Jud poczerwieniał i wbił wzrok w Victora.

- O co tu chodzi, do jasnej cholery?

- Porozmawiamy w moim biurze.

Victor skierował się do swojego prywatnego pomieszczenia. Jud podążył za nim w milczeniu i zamknął drzwi.

- W porządku. Co jest grane?

Victor nie spieszył się. Usiadł przy swoim biurku - wielkim, imponującym, prostokątnym meblu, pozwalającym zachować odpowiedni dystans pomiędzy starszym panem a jego rozmówcami.

- To teraz mi to powiedz.

- Co mam ci powiedzieć? Przerwałeś spotkanie w środku mojej prezentacji.

- Chciałem cię powstrzymać, nim zrobisz z siebie kompletnego głupca.

Jud poczuł, że ogarnia go szal, a język jego ciała to zdradza poprzez całkowitą sztywność. Victor czasami zapominał, jak bardzo młody jest ten chłopak. On sam nauczył się być bezwzględny i chronić swój tyłek oraz własną firmę jeszcze przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat. Miał żonę i dziecko w domu, pracował po osiemnaście godzin dziennie, a przed sobą tylko jeden cel.

- Nie zmierzałem do tego, by zrobić z siebie głupca. Czy sądzisz, że nie wiem, jak przygotować prezentację? - Jud przeczesał ręką te swoje przeklęte długie włosy. - Cholera...

- Ten interes z firmą Marvettiego sprawia, że stoisz po kolana w gównie.

- Przedsiębiorstwo Marvettiego ma sprzęt wiertniczy, który może od ręki sprzedać. Nie musimy czekać, aż Fisk przygotuje swoje tankowce. Nie musimy zamawiać oddzielnie całego sprzętu. W przypadku

Marvettiego to będzie jedna transakcja, bo statki są już odpowiednio przygotowane. Dzięki temu zaoszczędzimy jedną trzecią ceny.

Victor po prostu patrzył na niego. Jud nie szukał więc dość dokładnie.

- Ten układ - mój układ - pozwoli zaoszczędzić firmie dwa miliony dolarów. - Jud uniósł dwa palce. - Dwa miliony dolarów.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś z mojej krwi może być tak cholernie głupi. Czego oni was właściwie uczyli na studiach przez tych sześć lat?

- Wystarczająco wielu rzeczy, bym potrafił wiedzieć, jak dobić targu z jednym z największych dostawców na świecie.

Victor roześmiał się, słysząc te słowa.

- Nigdy dotąd nie robiliśmy interesów z Marvettim. - Jud uderzył się w pierś. - To ja się tego podjąłem. Ja sam.

- Wydaje ci się, że nie potrafię robić interesów, z kim zechcę?

Wnuk Victora nie miał przygotowanej riposty na takie pytanie. Ten dzieciak nie jest głupi, jedynie niedoświadczony -pomyślał starszy pan.

Jud odezwał się spokojnym głosem:

- Sprawdziłem papiery firmy. Nie ma w nich żadnej wzmianki o transakcjach z Marvettim.

- Jaki jest według ciebie powód takiej sytuacji?

- Nie mieliśmy tam dojścia.

- Kto ci to powiedział?

- Joe Syverson przyznał, że krążyła plotka o nienawiści Marvettiego do ciebie.

- Nie robiłem z nim interesów, gdy jeszcze nic nie znałem, i z pewnością nie będę tego robić teraz. Powinieneś być spytać mnie, nie Syversona.

- Ostatnim razem, kiedy zadałem ci pytanie, usłyszałem, że nie zamierzasz bawić się w mamkę w miejscu pracy. Powiedziałeś, że powinienem nauczyć się samodzielnie myśleć.

- „Myśleć” to najważniejsze słowo, Jud.

- Idź do diabła.

- Na litość boską, przestań się na mnie gapić i uspokój się. Powiedz mi, skąd wziął się pomysł tej twojej transakcji.

- Kilka miesięcy temu wpadłem w klubie na Richarda Dentona. - Jud zaczął krążyć przed biurkiem Victora. – Zaprosił mnie na drinka ze swoją czwórką. Jedną z tych osób był dyrektor sprzedaży w firmie Marvettiego.

- A więc przyszli do ciebie.

- Nie. - Jud odwrócił się twarzą do Victora. - Nic takiego się nie zdarzyło. Musiałem się cholernie napracować przy tej transakcji. Robiłem wszystko, przy okazji niemalże całując go w tyłek.

Dzieciak nie zauważył, kiedy to nadeszło - pomyślał Victor.

- Czy był tam Fitzpatrick?

- Tak.

Victor popatrzył na Juda.

- A więc sądzisz, że ludzie tacy jak Denton i Fitzpatrick przyjmą cię do swojego zamkniętego klubu biznesowego, ot tak sobie? - To mówiąc, pstryknął palcami. - Dlaczego mieliby tak postąpić? Ponieważ studiowałeś w Stanfordzie? Ponieważ podoba im się twój wygląd? Ponieważ jeździsz małym, pięknym mg, nosisz kaszmirowe swetry i dobrze grasz w golfa? A

może dlatego, że jesteś moim wnukiem? — Victor wychylił się do przodu, opierając dłonie na biurku. - Jesteś zadzierającym nosa dzieciakiem, który dopiero co opuścił college.

Jud potrząsnął głową, jakby dziadek go uderzył.

- Masz dwadzieścia pięć lat, a musisz się jeszcze cholernie dużo nauczyć. - Victor nabrał powietrza w płuca i rozparł się w fotelu. -

Pierwsza zasada w biznesie brzmi: sprawdzaj ofertę. Nie patrz na to, jakiego rodzaju transakcję ci proponują. Spójrz na to, co oni z tego będą mieli.

- Wiem, co będą z tego mieli. Wielomilionowy kontrakt z BanCo.

Właśnie coś takiego mogę im zaproponować - odparł Jud z urażoną dumą.

Victor poczuł tę dumę i wszystkie związane z nią aspekty.

- Masz całkowitą rację.

Jud popatrzył zaskoczony. Widać było, że dla niego najbardziej liczyło się własne ego, a nie instynkt - to była kolejna rzecz do zmiany.

- Jeśli sprytny biznesmen chce czegoś, ale nie może tego dostać, szuka najsłabszego punktu przeciwnika. - Victor na chwilę zawiesił głos, w końcu dodał: - W moim przypadku to ty jesteś takim punktem.

- Czego więc ode mnie chcesz? - odezwał się Jud przez zaciśnięte zęby.

- Chcę, żebyś wykonywał swoją pracę. Kiedy zaczynasz pracować nad transakcją, bądź absolutnie pewien, że wiesz o kontrahencie wszystko. Szczególnie dotyczy to motywów jego działania. Musisz ustalić jego rozmiar buta, imiona dzieci, zasraną grupę krwi. Należy sprawdzić, ile zapłacił fiskusowi w ostatnim roku. Powinieneś poznać każdy pieprzony szczegół, nim w ogóle zaczniesz negocjacje.

- Co jest nie w porządku, jeśli chodzi o Marvettiego? Dlaczego nie chcesz zawierać z nim transakcji?

- Nie zamierzam cię w niczym wyręczać. Zrób użytek ze swojej głowy, do jasnej cholery. Chcę, żebyś zrozumiał, że...

- Chcesz, żebym był doskonały.

- Nie. Nie wierzę w cuda. - Victor mógł się założyć, że Jud miał go ochotę uderzyć, słysząc te słowa. Nabrał głęboko powietrza w płuca. - Chcę, żebyś nauczył się pracować tak jak ja. Chcę, żebyś myślał tak jak ja.

- Dlaczego, do cholery, miałbym być taki jak ty?

Victor wstał z fotela.

- Ty zacietrzewiony, młody głupcze. Nie masz pojęcia, jakie błędy czekają cię w przyszłości.

- Owszem, mam. Właśnie patrzę na swój największy błąd, starcze. Myślałem, że mogę być częścią tej firmy. To ty się pomyliłeś, jeśli sądziłeś, że kiedykolwiek zechcę stać się kimś takim jak ty.

- A więc jesteś głupi - chociaż nigdy tak o tobie nie myślałem, Jud. Chciałeś nauczyć się, jak pracować w tym biznesie. Obserwuj mnie i ucz się, do cholery!

- Nie prosiłem cię o reprimendy udzielane za każdym razem, gdy się ruszę! Nie mogę robić niczego, kiedy ty jesteś w pobliżu!

Jud nachylił się nad biurkiem, ich nosy niemal stykały się ze sobą. Victor wstał i po chwili odezwał się spokojniejszym głosem:

- Twoim jedynym problemem jest to, że jesteś młody. Nie lubisz też przyznawać się do błędów.

- Twoim zdaniem ciągle popełniam błędy.

- Nie zawsze popełniasz błędy. Myślisz jedynie, że wiesz wszystko.

- Czyli sędzę, że jestem dokładnie taki jak ty.

W kompletnej ciszy, która nastąpiła po tym stwierdzeniu, Victor zadał sobie pytanie, ile jeszcze czasu potrzeba, żeby dotrzeć do twardej głowy tego dzieciaka. Jud przypominał mu pod tym względem Rudy'ego - patrząc na stojącego przed sobą rozzłoszczonego młodego mężczyznę, miał wrażenie, że cofnął się w czasie. Rudy zrujnowałby jednak firmę, podczas gdy Jud był niesamowicie sprytny, korzystał z okazji i był silniejszym z braci. Cale z trudem brnął przez szkołę średnią. Pewnie też kobieta nigdy nie zdołałaby stanąć pomiędzy Judem a interesami. Jud nie myślał za pomocą rozporoka.

- Uważasz, że jestem wobec ciebie surowy? Cóż, to prawda. - Victor ponownie usiadł i rozparł się w fotelu, nie odrywając wzroku od Juda. - Stworzyłem ten interes dzięki temu, że byłem wystarczająco twardy, i niech mnie diabli wezmą, jeśli dopuszczę do jego upadku dlatego, że ty jesteś zbyt uparty, by słuchać i się uczyć.

- Co więc mam powiedzieć Marvettiemu? „Mój dziadek zakazał mi robienia interesów”? Już słyszę szepty: „Jud Banning to mięczak. Marionetka. Robi dokładnie to, co każe mu dziadek”. Wspaniale... po prostu wspaniale.

- Chcesz, żebym udzielił ci wszystkich odpowiedzi, a ja nie mam zamiaru tego robić. Mnie nikt nie mówił, co mam robić. Rozwiąż to samodzielnie. Pokaż światu, jakim człowiekiem jesteś.

- Chcesz powiedzieć, że w tym twoim twardym, pełnym rywalizacji świecie biznesu stałeś się kimś dzięki niedotrzymywaniu obietnic? Jak, do cholery, mam liczyć na to, że ktokolwiek będzie mnie poważnie traktował?

Victor rozparł się w fotelu, skrzyżował ramiona i ledwo spoglądał na wnuka. Nie zamierzał prowadzić Juda przez życie za rączkę.

- Cholera, Victor. To jest moja transakcja. Czy muszę tracić swój honor i reputację dlatego, że ty nie lubisz Marvettiego?

- Straciłeś reputację, kiedy pozwoliłeś, by jego sługusy namówiły cię do zawarcia z nim transakcji. Sam dojdź do tego, dlaczego. Wtedy przyjdiesz do mnie i powiesz, jak atrakcyjna jest twoja transakcja.

Na pełnej napięcia twarzy Juda widać było złość, upokorzenie i coś niemalże pierwotnego.

- Chcę mieć możliwość odcisnięcia własnego piętna na tej firmie, robienia rzeczy na swój sposób.

- Twój sposób działania jest błędny. - Victor nie ruszył się. Jud był głupio uparty, jednak starszy pan wiedział, że jego wnuk nie przekroczy ostatecznej granicy - tej, której naruszenie oznaczałoby wyrzucenie go z firmy na zbity pysk. Cisza między nimi była pełna napięcia, a milczenie mówiło więcej, niż mogłyby wyrazić słowa. - Idź. - Victor machnął ręką i odwrócił wzrok. - Wyjdź stąd. - Starszy pan podniósł teczkę leżącą na jego biurku, a gdy Jud był już niemal w drzwiach, wymówił jego imię. - Nie wracaj, póki nie będziesz gotów do robienia wszystkiego w poprawny sposób.

Jud szarpnięciem otworzył sobie drzwi.

- Masz na myśli robienie wszystkiego po twojemu.

- Owszem, mam na myśli działanie po mojemu.

Loyola University Marymount College, Del Rey Hills, Kalifornia

W rodzinie Banningów nie było żadnych lekarzy. Cale nie zamierzał wcale podążać śladami otaczanego szacunkiem dziadka. Przeciwstawiał

się głoszonej przez niego zasadzie naturalnego porządku, jednak nie robił tego z powodu młodzieńczego buntu. Kiedy Cale był mały, a ktoś pytał go, kim chce zostać, gdy dorośnie, odpowiedź zawsze brzmiała tak samo. Podczas gdy jego przyjaciele wahali się i w jednym tygodniu chcieli zostać kowbojami, a w kolejnym - strażakami, on sam ratował wszystkie możliwe stworzenia - od robaków aż po wpółutopionego kota sąsiadów. Kiedy tylko jakaś mewa wpadła na niemalże niewidoczne przeszklone fragmenty rezydencji, Cale umieszczał nieprzytomnego ptaka w pudełku na ogrzanej suszarką do włosów ręczniku, a po godzinie mewa sama odlatywała.

W tamtym okresie sypiał w całkowitym bezruchu. Rano wypełzał z łóżka, pozostawiwszy prześcieradła wciąż na swoim miejscu, a Maria mówiła później, że spał pewnie na podłodze lub w pokoju Juda. Prawda wyglądała tak, że po upływie pierwszego miesiąca nigdy nie próbował spać u Juda. Ich chłopcęca bliskość była częścią dzieciństwa. Jud był jego bratem, ale Cale jak nieprzezorne mewy wystarczająco dużo razy walnął głową w szklany mur wzniesiony między nimi przez Victora, by przestać tamtędy latać.

Akceptacji szukał więc Cale u płci przeciwnej, i to jeszcze zanim zaczął szkołę średnią. W college'u podczas pierwszych lat imprezowanie uważał za ważniejsze od spania. Przebywając z dala od domu, odkrył nowy wymiar wolności. Akademiki były tylko miejscem do spania. Tam właśnie się udał tego popołudnia, gdy wyszedł z kopertą z University of Washington z biura rozdzielającego pocztę studentów.

Od oceanu wiał chłodny, popołudniowy wietrzyk, spychając smog w głąb lądu, z dala od kampusu usytuowanego na urwisku ponad zachodnim

skrajem basenu Los Angeles. Studenci siedzieli na ławkach i leżeli na trawnikach, otoczonych czystym zapachem skoszonej trawy oraz łanami krzaków różanych o kwiatach wielkości otwartej dłoni. Tak jak niemal każdego dnia, kilkoro starszych kapłanów i sióstr zakonnych grało w bocce w miejscu zwanym Zatopionym Ogrodem, a na drugim końcu tego terenu paru studentów uganiało się za latającymi dyskami. Na środku parku, pomiędzy dwiema potężnymi magnoliami zawieszono transparent z namalowanym buldogiem za kratami oraz hasłem „Tłuc Zagi”. Dzisiaj był ostatni wieczór przed letnią przerwą w nauce, a to oznaczało, że odbędzie się mecz, w którym drużyna z Loyola University zmierzy się z drużyną z Gonzagi w walce o tytuł najlepszego zespołu w ich lidze.

Cale opuścił Saint Robert's Hall i skierował się prosto do kwater starszych studentów — trzypiętrowego budynku z drewnianą fasadą ze stiukami, który z łatwością wtopiłby się w jakiekolwiek osiedle mieszkaniowe w dowolnej części Los Angeles. Kiedy zmierzał w stronę akademika, jego umysłu wcale nie zaprzętała nadchodząca wielka rozgrywka. Każde z dwupokojowych mieszkań było przeznaczone dla czterech studentów dwóch ostatnich lat, ale gdy rzucił swoje książki na stolik, nie było nikogo. Cale chwycił zimne piwo i ruszył do swojego pokoju, pachnącego skarpetkami, mokrymi ręcznikami oraz pizzą. Usiadł na łóżku, długo wpatrywał się w białą kopertę, zanim otworzył ją i rozłożył znajdujący się w środku list.

24 marca 1970 r.

Drogi Panie Banning!

Z przykrością informujemy, że nie spełnia Pan wymogów niezbędnych, by ubiegać się o przyjęcie na studia na University of Washington School of Medicine.

Bla, bla, bla... Zmiał list w kulkę i zacisnął pięści. Każda odpowiedź brzmiała tak samo. Odmowy z najlepszych uczelni przysły z prędkością kul wystrzeliwanych przez karabin maszynowy - tak zareagował Harvard, Stanford, Johns Hopkins. Nadchodziły tydzień po tygodniu, przypominając niemający końca pojedynki bokserski, w którym było mu pisane przegrać.

Nagle drzwi otwały się z hukiem i pojawił się w nich współ-lokator Cale'a, a równocześnie jego kolega z zespołu, nieczysto śpiewając parafrazę piosenki zespołu Creedence Clearwater.

William Dorsey był wnukiem szefa big-bandu, jednak talent muzyczny najwyraźniej nie przeszedł na dalsze pokolenia — chłopak odziedziczył jedynie gwiazdorstwo. Will uwielbiał wiwatujące tłumy, niezależnie od tego, czy było to boisko do koszykówki, czy też ich akademik, gdzie jako jedyny pierwszorzecznik potrafił w czasie krótszym niż trzy minuty wypić jednym duszkiem sześciopak zawierającego osiem procent alkoholu piwa Colt 45, i na dodatek nie zwymiotować. Will był gwiazdą koszykówki. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, swobodny sposób chodzenia, a do tego ręce i nogi jak z gumy. Kiedy poruszał się na boisku, było w tym coś z magii. Jego rzuty z wyskoku były genialne - potrafił w ciągu dwóch minut zdobyć więcej punktów niż inni zawodnicy w lidze. Nic dziwnego, że jednogłośnie został wybrany na kapitana drużyny Lwów. Łowcy talentów kręcili się koło niego podczas prawie każdego meczu.

Will zamknął kopnięciem drzwi, a potem zatrzymał się, by przesłać rytualnego całusa fotografii o wymiarach 20 na 25 centymetrów, przedstawiającej Jeannine Byer, fantastyczną blondynkę studiującą pielęgniarstwo w Mount Saint Mary. Chłopak spojrzał na Cale'a i przystanął.

- Kto umarł?

- Ja. - Cale uniósł zmięty list.

- Jeszcze jeden? Która to uczelnia?

- University of Washington.

- Do diabła, człowieku, wcale nie chciałeś tam jechać. Tam pada przez cały czas. — Will rzucił swoje książki na podłogę, podniósł metalowy kosz na śmieci i postawił go na swojej głowie. - Tutaj! - wskazał ręką śmietnik. — Ten list powinien znaleźć się właśnie tutaj. Żalotne palanty. Jeden rzut. Dawaj, człowieku. Uda ci się!

Cale posłał list w powietrze - kulka papieru zatoczyła łuk i wylądowała z cichym szmerem we wnętrzu kosza.

Will podniósł do ust puszkę z piwem Cale'a, jakby to był mikrofon. Dmuchał do środka, wywołując głuchy dźwięk. Naśladując jednego ze znanych komentatorów sportowych, zaczął przemowę:

- Dzisiejszego wieczoru Cale Banning zdobył kooooolejny punkt. Ma szansę pokonać wszelkie iiiiistniejące rekordy, jeśli chodzi o liczbę odrzuconych podań do uczelni medycznych! Jest jednak nadzieja! Ten wykształcony popapraniec nie wyczerpał jeszcze wszystkich możliwości. Kanada? Meksyk? Kraje trzeciego świata? Jeśli zaś wszystkie inne opcje zawiodą, paaaaaan Cale Banning może złożyć podanie do biura rekrutacyjnego Wujka Sama, skąd z pewnością szybko zostanie skierowany do

renomowanego uniwersytetu w wietnamskim Da Nang, tuż przy bazie amerykańskiego lotnictwa!

- Bardzo śmieszne. - Cale rzucił w niego mokrym ręcznikiem. - Uniwersytet w Da Nang, niech to szlag trafi.

- No cóż, gdybym to ja miał wysyłać ludzi do dżungli, nie chciałbym, żeby ślady krwi znaczyły trasę ich przemarszu. - Will zrzucił z łóżka kilka taśm z nagraniami, położył się na materacu na plecach i skrzyżował stopy. Miał na nogach sandały kupione za dolara w czasie weekendowej wyprawy do Tijuany, którą urządził sobie w trakcie przerwy z okazji Święta Dziękczynienia. - Kiedy marzyłem o naborze, miałem na myśli NBA, a nie Armię Stanów Zjednoczonych. - Podłożył sobie ręce pod głowę i leżał, wpatrując się w sufit.

Nagle podniósł się i spojrzał na Cale'a.

- Twoje wyniki z egzaminu uprawniającego do podjęcia studiów medycznych nie są wystarczające?

- Uczelnie medyczne są zatłoczone. Nikt nie chce jechać do Da Nang.

- W wiadomościach zbyt często słyszy się o poległych. Czy to było ostatnie z twoich podań?

- Nie. Nie dostałem jeszcze odpowiedzi z San Diego, Texasu oraz University of South California.

- Co zrobisz, jeśli wszyscy odpowiedzą „nic z tego”? Cale opuścił głowę, oparł łokcie na kolanach i potarł oczy.

- Nie wiem.

- Nie mogę uwierzyć, że poświęciłeś swoją średnią dla biustu o obwodzie stu centymetrów. Czy w tym roku chodziłeś na jakieś zajęcia?

- Na jakieś chodziłem.

Po długiej przerwie Will spytał:

- Czy ona była tego warta? Cale gorzko się roześmiał. -Nie.

- Czy rozmawiałeś już z dziadkiem?

- O taaaak. Jasne. Po prostu nie mogę się doczekać tej rozmowy.

Will podniósł piłkę do koszykówki i zaczął ją przerzucać z ręki do ręki.

- Victor Banning. Wielki i potężny czarnoksiężnik z krainy Oz. Spotkałem go tylko raz w życiu i marzyłem o tym, by mieć krucyfiks, który mógłbym przed sobą trzymać.

- To jedna z jego lepszych cech.

- Musi mieć możliwość, żeby ci pomóc - biorąc pod uwagę jego znajomości. - Will przestał podrzucać piłkę i spojrzał na Cale'a. - Co by było, gdybyście wreszcie ucięli sobie rozmowę od serca?

- On nie ma serca.

- Porozmawiaj z nim.

- Spędziłem wiele lat, próbując mówić do mojego dziadka. Nikt nie mówi do Victora. To on mówi do innych. Za każdym razem, kiedy jadę do domu, słyszę, że marnuję swoją przyszłość. To jeden z wielu powodów, dla których tam nie bywam. - Cale opuścił wzrok i potrząsnął głową. - Boże, Will. Jak mogłem wszystko tak spieprzyć?

Jedynym dźwiękiem rozbrzmiewającym w pomieszczeniu był odgłos odbijania się piłki od sufitu, po którym nastąpiła długa chwila ciszy. Will przytrzymał piłkę na wysokości klatki piersiowej i spojrzał na przyjaciela.

- Paaaaaskudnie - powiedział, po czym rzucił piłką w Cale'a.

Cale złapał ją odruchowo, a potem się roześmiał.

- Pocałuj mnie gdzieś, ty ocytany mięśniaku! Kiedy zadzwonił telefon, Will podniósł słuchawkę.

- Tu dom naćpanych Timothy'ego Leary'ego*. Nie możemy się upalić, gdyż jesteśmy za bardzo naćpani. - Spojrzenie Willa powędrowało w stronę Cale'a. - Taaaak, jest tutaj... gdzieś w okolicy. Sprawdzę, czy zdołam go znaleźć. Sądzę, że widzę jego nogę... Tutaj, w kącie! Leży pogrzebany pod... chwileczkę! Chwileczkę, sądzą, że będzie potrzebna koparka. - Przerwał w celu zwiększenia efektu, a potem potrząsnął głową.

- Ojoj. Fatalnie. Wygląda na to, że on umiera. Proponuję napis na nagrobku: „Tutaj leży Cale Banning, który trzeciego kwietnia 1970 roku udusił się pod największą w historii współczesnego świata stertą odmów przyjęcia na studia medyczne”. - Will odsunął słuchawkę i szepnął: - To Jud, Pan Szczęściarz.

- Witaj, wielki bracie.

- Witaj. - Głęboki głos Juda brzmiał dokładnie tak jak tembr ich ojca. Cale zawsze potrzebował dodatkowej sekundy, by przypomnieć sobie, kto naprawdę znajduje się na drugim końcu linii.

- Will Dorsey to niezły świr — powiedział Jud.

- Taak. - Cale spojrział na współlokatora. - Wiem. Powinieneś spróbować z nim pomieszkać. To przypomina sytuację, w której jesteś uwięziony wewnątrz wiersza Ferlinghettiego**.

Will odwrócił się i ruszył truchtem w stronę łazienki. Kilka sekund później Cale usłyszał szum wody z prysznica oraz niewyraźne dźwięki piosenki Jimmy'ego Hendrixa dochodzące z radia tranzystorowego.

** Timothy Leary - amerykański pisarz, psycholog, profesor Harvardu. Znany orędownik stosowania narkotyków. Ikona kontrkultury amerykańskiej w latach 60.*

*** Lawrence Ferlinghetti (ur. 1919) - współczesny poeta związany z literacko--kulturowym ruchem bitników, propagującym idee anarchicznego indywidualizmu i nonkonformizmu.*

- Co jest grane? - spytał Cale brata.

- Dzwonię z doku dla parowców, czekam właśnie, aż będę mógł wejść na pokład. Dzisiaj płynę na wyspę.

Cholera... Cale zapomniał, że to w ten weekend zaplanowali spotkać się na wyspie Catalina.

- Nie mogę jeszcze wyjechać, Jud. Dzisiejszego wieczoru gramy mecz fazy play-off.

- Wiem. Chciałem po prostu dać ci znać, że będę wcześniej. Muszę się stąd dzisiaj zbierać.

- Co jest nie tak?

- Spytaj raczej, co jest w porządku. - W głosie Juda słyhać było obrzydzenie.

- Victor.

- Taak, no cóż, nie namawiaj mnie, żebym zaczynał. Opowiem ci wszystko jutro.

Rozłączyli się. Cale nie widział brata od wielu miesięcy. Wykorzystywał szkołę jako wymówkę, by nie pojawiać się w domu - to stało się wygodnym przyzwyczajeniem. Broniąc się przed przyjazdem do Newport, zasłaniał się sportem, nauką lub czymkolwiek innym. W domu nie spodziewał się zastać niczego poza oczekiwaniami Victora. Cale

wyciągnął spod łóżka swój sprzęt sportowy, przerzucił torbę przez ramię, załomotał do drzwi łazienki, po czym je otworzył. Kłęby pary uderzyły go prosto w twarz.

- Jak długo zamierzasz tu jeszcze tkwić?
- Póki się nie umyję. Cale wyłączył radio.
- Co słysząc u Pana Doskonałego? - spytał Will.
- Jud nie jest doskonały.

- Jest cholernie blisko, jeśli porównuję go z wszystkimi innymi ludźmi, których znam.

Cale spojrział w lustro na swoje zamglone odbicie, niewyraźne i dalekie od doskonałości. Może dziadek nie był jedyną osobą, której unikał. Jud został przyjęty na pierwszą wybraną przez siebie uczelnię - czyli Stanford - zarówno w przypadku studiów magisterskich, jak i podyplomowych. Nie miał pojęcia, jak wygląda list z odmową przyjęcia na listę studentów. Problemy stanowiące dla Cale'a barierę nie do pokonania dla Juda były bułką z masłem - przemykał przez życie niczym znakomity zawodnik na srebrzystych łyżwach, nigdy nie chwiejąc się ani nie upadając. Jud zaczął naukę w college'u, kiedy Cale wciąż był w szkole średniej. Młodszy z braci wiedział, że do końca życia nie zapomni tamtego lata, gdy Victor podarował Judowi mg ich ojca.

Od sierpnia w domu został tylko Cale i Victor, żyli więc w domu pogrążonym w ciszy, chyba że przyjechał Jud, gdyż był akurat długi weekend lub ferie na uczelni. życie toczyło się według ustalonych wzorców. Jud ustawiał poprzeczkę, a Cale zazwyczaj nie mógł jej pokonać. Od tego dnia, w którym obaj przyjechali do domu dziadka tą

długą, czarną limuzyną, jego życie bardzo różniło się od losów starszego brata. Miał wrażenie, że było to całkowicie zgodne z planami Victora.

Cale zamknął torbę z przyborami do golenia.

- Jutro spotykam się z bratem na wyspie Catalina. Ponieważ wszystko wskazuje na to, że zamierzasz zostać pod prysznicem, póki nie skończymy szkoły, idę sam na salę gimnastyczną. Tam wezmę prysznic.

Zamknął za sobą drzwi, jednak zatrzymał się na środku pokoju. Na jego łóżku leżała rozdarta koperta. Porozmawiaj z Victorem - poradził mu Will. Cale w wyobraźni usłyszał słowa dziadka: „Ty młody głupcze. Pozwoliłeś, by dziewczyna zniszczyła twoje marzenia. Miałeś jedynie pójść do college'u i przyswajać sobie wiedzę, a nie uciekać z zajęć i pieprzyć się z jakąś słodką ślicznotką". Victor miał niesamowitą zdolność koncentrowania się na otwartej, krwawiącej ranie, a potem zadawania pchnięć nożem prosto w to miejsce.

Cale wrzucił kopertę do kosza. Nie ma szans, żeby teraz wybrał się do Newport. Will trafnie nazywał Victora wielkim i potężnym czarnoksiężnikiem z krainy Oz. A przez niego Cale nie miał miejsca, które mógłby nazwać domem.

6

Po latach spędzonych z teściową Kathryn Peyton zagubiła gdzieś istotę samej siebie. Julia w chwili śmierci Jimmy'ego nie była osobą w podeszłym wieku. Jej pięćdziesiąt pięć lat nie miałyby większego znaczenia, nawet przy dwudziestu trzech latach synowej, gdyby nie to, że wydawała się osobą słabego zdrowia. Już na pierwszy rzut oka widać było, że ma kłopoty z kośćmi, co w połączeniu ze skłonnością do kontrolowania wszystkiego budziło respekt u ludzi. Dzięki obecności dziecka w domu umysł Julii zachował pełną sprawność, ale nie ciało. Po dwunastu latach choroby nic już nie mogło zapobiec jej śmierci.

To właśnie te dwanaście lat sprawiło, że Kathryn zapomniała o sobie. Była matką Laurel, synową Julii, żyjącą na odludziu artystką, znaną tylko dzięki sprzedawanym dziełom. Tylko nie było Kathryn. Jej życie zostało rozdzielone na dwie niepasujące do siebie części - przed i po śmierci Jimmy'ego. Wszystko, co było wcześniej, wydawało jej się snem. To, co było później, traktowała jak pobyt na obcym terytorium.

Dopiero niedawno została zmuszona do trzeźwego spojrzenia na własne życie i zobaczyła, kim się stała. Przedtem wszystko odciągało ją od samej siebie - Laurel i Julia ciągle potrzebowały pomocy, a praca twórcza zapewniała schronienie przed własnymi uczuciami. Aż pewnego dnia okazało się, że mieszka w domu zmarłej teściowej i nikt nie mówi jej, co ma robić lub jak żyć. Już tutaj nie pasowała i czuła się przytłoczona wewnętrzną pustką - tak było do momentu, w którym Evie zadzwoniła do siostry z gotowym planem. Wychodziła za mąż i przeprowadzała się do

Chicago, tak więc Kathryn mogła kupić dom na wyspie Catalina. Wybór chwili był wprost idealny. Nic nie trzymało jej w Seattle.

- Pomijając wszystko inne, masz prawie trzydzieści sześć lat — zauważyła Evie.

Wkrótce Kathryn kupiła ten dom i przeprowadziła się do Santa Catalina, na małą wyspę będącą częścią wysp Santa Barbara, leżących u wybrzeży południowej Kalifornii. Tutaj wszystko wydawało się zupełnie inne. Kiedy obserwowało się księżyc z wioski Avalon, srebrny glob wyglądał tak, jakby wynurzał się prosto z morza. Rosnące tu palmy były niezwykle wysokie, a ich kołyszące się na morskim wietrze liście przypominały ręce machające na powitanie. Życie toczyło się w leniwym tempie, a wszystko zaczynało się dopiero wtedy, kiedy ktoś dotarł na wyspę - jachtem, promem bądź hydroplanem. To była kraina łodzi z przeszklonymi górnymi pokładami, zatok biorących swoje nazwy od klejnotów, świat rozgiazd oraz muszli. A ludzie woleli poruszać się wózkami golfowymi niż samochodami.

Esther Williams* pewnego razu skoczyła na grzbiecie konia z jednego z morskich urwisk i w ten sposób powstał niewielki, acz nader dramatyczny fragment w historii kinematografii oraz samej wyspy. Studia filmowe przysłały stado bawołów, by nakręcić western, po czym pozwoliły zwierzętom stać się częścią wyspy, podobnie jak wcześniej w przypadku sporej grupy kóz i innych najwyraźniej symbolicznych zwierząt. I tak powoli Catalina stała się magiczną wyspą - skrawkiem lądu wyrastającym z mgieł, szmaragdem wśród morza szafirów, miejscem, w którym ryby naprawdę potrafiły latać.

Padający tutaj deszcz nie tworzył ściany wody, odcinającej cię od reszty świata, a świecące słońce powodowało, że wszystkie sprawy wydawały się prostsze. Łatwiej można było dostrzec ostre krawędzie i łagodne krzywizny tworzące zwykłe życie. Patrząc w lustro, każdy widział osobę, którą jest, a nie kogoś, kim był.

W czystym powietrzu i promieniach słońca samotne życie nie było już dłużej możliwe. To samo podpowiadało jej zresztą proste wnętrze małego domku, składającego się z pokoi równie barwnych jak osobowość Evie. Toteż nikogo nie zaskoczyło, że pewnego wieczoru Kathryn usiadła z mężczyzną o nazwisku

** Esther Williams - amerykańska pływaczka, a po zakończeniu kariery sportowej - gwiazda filmowa.*

Stephen Randall do stołu, na którym stał dzban margarity oraz talerz pełen nachos. Spotkała tego człowieka tydzień wcześniej na zebraniu miejscowej Izby Biznesu. Kathryn usiadła wtedy samotnie przy barze w meksykańskiej restauracji i myślała o tym, że lekkomyślnością było już samo pojawienie się tutaj. Wiedziała, jak się ukrywać, nie wiedziała jednak, jak zachowywać się na randkach.

To tylko kilka drinków - powiedziała sobie, kiedy wkroczył pewnego popołudnia do jej sklepu. Jednak tego wieczoru pojawił się w barze z naręczem żonkili, potem drinki zamieniły się w aperitif, a on wyszedł po kilku godzinach z jej domowym numerem telefonu. To zabawne, ale wcale nie żałowała, że podała mu swój telefon, nawet teraz, kiedy stawiała przepelniony wazon na szklanym stoliku w swojej sypialni. Kwiaty, które jej podarował, miały ten sam słoneczny odcień co ściany. Kolor pełen szczęścia - w taki właśnie sposób Evie określała barwę farby, której użyła

wewnątrz budynku. Żonkile były takie radosne jak lwie paszcze czy bratki, a także zagubione kobiety, które przenosiły się na małe wyspy na błękitnym Pacyfiku.

Molo Wilmington, port Los Angeles

Laurel Peyton stała na skrzyżowaniu, podczas gdy autobus miejski oddalał się od nabrzeża i kierował z powrotem w kierunku przedmieść Los Angeles. Delikatny wietrzyk poruszył kapelusz dziewczyny, docisnęła go więc do głowy, podniosła dużą, rdzawobrazową torbę z zamszu i szybko skierowała się w stronę łodzi, jak prawie w każdy piątek, kiedy to odbywała swój dwugodzinny rejs do domu.

Prom „Catalina” był dziewięćdziesięciometrowym białym parowcem, tak naprawdę statkiem, choć wszyscy i tak określali go mianem łodzi. Jednostka stała właśnie przycumowana jak zawsze w ostatnim doku, gdzie jej potężny kadłub i wyspy Santa Barbara dzieliła rozległa płaszczyna niebieskoszarej wody. W większość dni wyspę można było dostrzec niemal z każdego miejsca wybrzeża południowej Kalifornii. Na tle horyzontu przypominała ogromnego, śpiącego wielbłąda, czasami kryła się wśród morskich mgieł, a czasami widać było poszarpaną linię drzew rosnących na jej wzgórzach.

Laurel przyłączyła się do długiej kolejki oczekujących na wejście na pokład. Gorące późnopołudniowe słońce świeciło prosto w oczy. Promienie słoneczne były w Kalifornii bardzo mocne, szczególnie w dni takie jak ten, kiedy nie odczuwało się podmuchów chłodnego wiatru od oceanu. Ludzie przesuwali się w kolejce i mamrotali coś ze zniecierpliwieniem, zdejmując swetry i kurtki. Dzieciaki marudziły, niektóre biegały dokoła, a ich matki ignorowały pociechy, wachlując się

broszurkami opisującymi wyspę lub złożonymi mapkami zawierającymi przewodnik.

Chociaż Laurel mieszkała w Kalifornii krócej niż rok, z niezawodnością godną tubylca odróżniała turystów od reszty tłumu. Mężczyźni nosili ciemne koszule do słomkowych kapeluszy z czarnymi wstążkami oraz skarpetki do sandałów. Kobiety w kwiecistych sukienkach nosiły białe torebki z lśniącej skóry oraz nylonowe pończochy. Z dobrodziejstw słońca korzystały jedynie damy pochodzące z Kalifornii, pokazując opaloną skórę wygładzoną odrobiną olejku dla dzieci.

Laurel spojrzała w lewo, skąd od strony budek telefonicznych dochodził głęboki głos. Młody mężczyzna, odwrócony tyłem, opierał się niedbale o ścianę. Był wysoki, o jasnobrązowych włosach i szczupłej budowie ciała. Wyglądał jak gwiazdor filmowy. Miał na sobie szorty w kolorze khaki oraz cytrynowo-żółty podkoszulek, a jego skóra na tle jasnych ubrań wydawała się mocno opalona. Nosił sandały, bez żadnych skarpetek.

Kiedy dwóch członków załogi zeszło w dół trapem i odpięło blokujący go łańcuch, kolejka ruszyła do przodu z jednogłośnym westchnieniem ulgi. Mężczyzna obserwowany przez Laurel obejrzał się przez ramię, a dziewczynie zabrakło tchu w piersiach. Ten człowiek stanowił połączenie Paula Newmana oraz Ryana O'Neala. Był dla niej zdecydowanie za stary – mógł mieć około dwudziestu pięciu lat - kiedy jednak przechodził obok, wyraźnie mrugnął.

Laurel powoli policzyła do dziesięciu, po czym zdecydowała się odwrócić. Starła się zachowywać naturalnie, w efekcie straciła go z oczu. Kolejka na pokład była wyraźnie odgradzona, miała szerokość czterech

lub pięciu osób i sięgała aż po bramkę obrotową. Autobusy dalekobieżne na parkingu w dalszym ciągu opuszczali turyści. Ten mężczyzna wydawał się na tyle wysoki, że wyróżniałby się na tle każdego tłumu - myślała Laurel, gdy systematycznie przeszukiwała nabrzeże od prawa do lewa.

- Przepraszam, panienko. - Jakiś mężczyzna poklepał ją po ramieniu.

- Blokuje pani kolejkę.

I Pomiedzy Laurel a tragem zrobiła się wyraźna przerwa.

- Przepraszam - powiedziała i szybko ruszyła z zaczerwienioną twarzą, starając się zarzucić torbę na ramię.

Przy trapie powitał ją znajomy członek załogi.

- I znowu z powrotem do domu?

- Właśnie. Ale macie już pełną łódź.

- Dzisiaj zaczynają się ferie wiosenne. Następných kilka weekendów będzie dość zwariowanych z powodu dzieciaków z college'ów i szkół średnich. Słyszałem, że ostatniego roku na wyspie działo się niemal tak jak w Palm Springs. To może być ostatnia spokojna przeprawa w najbliższym czasie.

Uprzejmy uśmiech na jej twarzy ukrywał prawdę - nie miała pojęcia, jak wygląda przerwa wiosenna na wyspie Catalina. Mieszkały tu z matką zaledwie od poprzedniego lata, kiedy sprowadziły się tutaj, zostawiając za sobą wszystkich i wszystko, co znajome. Laurel w połowie długości trapu odwróciła się i przyjrzała stojącemu w tyle tłumowi, jednak kolejka składała się teraz wyłącznie z głów i kapeluszy, a tłum oglądany z tego miejsca przypominał rozsypane kule do gry. Gdy znalazła się już na pokładzie, dalej wypatrywała przystojnego chłopaka w żółtej koszulce, ale szybko poddała się i poszła poszukać sobie jakiegoś miejsca.

Półtorej godziny później siedzenie zdawało się twarde niczym skała. Słońce lśniło nisko nad jaskrawofioletową linią horyzontu, przypominając złotą kulę, która w magiczny sposób unosiła się na powierzchni niebieskiej wody. Pasażerowie przeszli na dziób, gdyż stamtąd zachód słońca wyglądał bardziej ognście, a to oznaczało brak kolejek w barze z przekąskami. W środku Laurel przyjrzała się czarnej karcie menu z ozdobnymi, białymi literami. Uniosła wzrok i ujrzała Paula O'Neala we własnej osobie, stojącego zaledwie trzy osoby dalej. Uśmiechnął się, a ona odwzajemniła mu się tym samym.

- Co mogę pani podać? - Pracownik za barem wyczekiwał niecierpliwie ze sztucznym uśmiechem na twarzy.

Szybko rozejrzała się po pokładzie i wyrzuciła z siebie pierwszą myśl, która wpadła jej do głowy:

- Białe wino.

Natychmiast zapadła całkowita cisza - ten rodzaj milczenia, który sprawia, że człowiek ma ochotę zapaść się pod ziemię.

- Czy mogę zobaczyć pani dowód osobisty? Zaczęła grzebać w torebce, udając, że go ma.

- Musi gdzieś tu być. Jestem pewna. - Przysunęła twarz tak blisko, że poczuła stare listki owocowej gumy do żucia na dnie torby. — Proszę chwileczkę zaczekać. — Zaczerwieniła się. Wepchnęła portfel w kąt torebki, a potem uniosła głowę. - Bardzo mi przykro. Nie mam portfela.

- Nie mogę sprzedać pani alkoholu bez sprawdzenia dokumentu tożsamości. - Dlaczego jego głos brzmiał tak, jakby wrzeszczał przez megafon statku? - Czy mogę zaproponować pani coś innego?

Rzuciła okiem na pokład i znowu spojrzała na torebkę.

- Nie mam portfela - skłamała, po czym odeszła, nie oglądając się za siebie. Pchnięciem otworzyła jedno skrzydło drzwi i poczuła na zaczerwienionej twarzy podmuch powietrza.

Siedzenia na rufie statku były osłonięte przed wiatrem i bryzgami wody. Laurel usiadła na ławce, gdzie mogła oprzeć głowę o bok kadłuba i ukryć się przed wszystkimi. Mewy leciały wzdłuż trasy statku, a ląd stanowił odległą linię mrocznych wzgórz, z których rzadko mrugały małe punkciki świateł. Na zewnątrz wciąż było jasno, kiedy włączony został reflektor na dziobie statku. Światło wydawało się wyjątkowo mocne, więc Laurel otworzyła torbę, wyjęła z niej książkę i odszukała ostatnią stronę, którą czytała w autobusie.

Ktoś podszedł do jej kąta i zatrzymał się. Laurel dostrzegła żółtą koszulkę i przysunęła książkę tak blisko siebie, że nie mogła przeczytać ani jednego słowa. Drobne monety zabrzęczały mu w kieszeni, gdy usiadł obok niej.

Jak mam udawać, że nie jestem debilką, którą właśnie wylegitymowano? - zapytała samą siebie.

Mężczyzna postawił między nimi plastikowy kubek, a potem upił piwa.

Czy powinna po niego sięgnąć? Jeśli nie był przeznaczony dla niej... cóż, po prostu umrze... znowu. Uniosła głowę i spojrzała na samotnie stojącego drinka.

- Zamierzasz zaczekać, aż rozpuści się cały lód w tym winie? Laurel opuściła książkę.

- Słucham?

Wręczył jej plastikowy kubek.

- To dla ciebie.

- Och! Dziękuję. - Mój Boże, ależ on był przystojny. Do tego przyglądał jej się oczami w kolorze błękitnego lodu. - Jak miło! Dziękuję.

- Masz tutaj ciężką lekturę. To na zajęcia z ekonomii? -Nie.

Roześmiał się.

- Odkąd to dziewczyny czytają *Bogactwo narodów* Adama Smitha dla czystej przyjemności?

Zamknęła książkę, spojrzała na obwołutę i znowu na swojego rozmówcę.

- Wstyd przyznać, ale nie mam nic innego do czytania. Zostawiłam w domu wszystkie komiksy opisujące przygody lalki Barbie.

- Zostały tam razem z portfelem? - odpalił w odpowiedzi.

- Tak. - Ona również musiała się roześmiać. - Razem z moim portfelem.

- W porządku - odparł. - Zasłużyłem sobie na ten komentarz o Barbie. Nie powiedziałem tego wszystkiego tak jak należy, prawda?

-To fakt.

- No i starałem się zrobić na tobie wrażenie.

- Naprawdę? Dlaczego? Czy wyglądam na kogoś, na kim trzeba robić wrażenie?

Przyglądał jej się przez kolejnych kilka sekund.

- Znow się pomyliłem.

- Może kupienie mi drinka było rzeczą, która robi wystarczające wrażenie. To naprawdę miłe.

- Wyglądałaś na bardzo spragnioną.

- Doprawdy? - Delikatnie się roześmiała. - Wydawało mi się, że wyglądałam na zakłopotaną.

- To też. - Upił łyk piwa i skupił wzrok na wodach oceanu. Laurel wpatrywała się w drinka trzymanego w dłoniach, czując zakłopotanie wywołane każdą kolejną sekundą milczenia.

- A ty co lubisz czytać?

- Po tym, co powiedziałem, jestem zdziwiony, że nie zapytałaś, czy w ogóle potrafię czytać.

- Szczerze mówiąc, właśnie zastanawiałam się, czy wśród czytanych przez ciebie materiałów nie dominują reklamówki.

Wybuchnął śmiechem.

- Zasłużyłem sobie na to.

- Pewnie tak.

- Masz fantastyczne poczucie humoru.

- Wydajesz się tym zaskoczony.

- Chyba pozostawię to stwierdzenie bez komentarza. W przeciwnym razie wpakuję się w jeszcze większe kłopoty. - Wstał. - Chętnie wypiję jeszcze jedno piwo, nim zamkną bar. Masz ochotę na kolejnego drinka?

- Nie, dzięki.

Roześmiała się, a ten głupi dźwięk chyba powiedział całemu światu, co ona myśli. On tu wróci. Popijała drinka przy relingu, przyglądając się wyspie i błyskającym światłom Avalonu — miejsca, gdzie znajdował się jej dom, odkąd przeprowadziła się tu po ukończeniu szkoły średniej.

Przeprowadzka okazała się ciężkim przeżyciem, zważywszy na to, że opuszczała miejsce, w którym miała przyjaciółki będące jej

powierniczkami od czasów, kiedy wspólnie bawiły się w piaskownicy. W

nowym mieście Laurel nagle poczuła się osamotniona. Widziała przed sobą liczne światła, jednak żadne z nich nie było przyjazne.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Podszedł do niej z butelką piwa, na której skraplała się woda.

- To nie trwało zbyt długo.

- Nie było kolejki.

Tym razem, kiedy na nią popatrzył, Laurel poczuła się zupełnie inaczej. Miała wrażenie, że już nie jest pozbawiona przyjaciół, samotna. Chciała powiedzieć coś pomysłowego, zapadającego w pamięć.

- W porządku. - Oparł przedramiona na relingu obok niej, nadal trzymając w rękach piwo. - Pora wyjaśnić pewne sprawy. Twój portfel nie został wcale w domu.

-Nie.

- A więc jestem winien współudziału w przestępstwie osoby nieletniej. - Wokół jego oczu i ust widać było tylko miękkość, żadnego osądu czy potępienia.

- Można to tak nazwać.

- Jak bardzo nieletnia jest ta osoba?

Laurel rozważyła kłamstwo. W odpowiednich ubraniach wyglądała przynajmniej na dwadzieścia lat, jednak chęć bycia starszym wcale nie sprawiała, że człowiekowi przybywało lat. Postanowiła stawić mu czoło.

- Mam siedemnaście lat.

Zakrztusił się swoim piwem.

- Siedemnaście? Żartujesz.

- Nie. Wkrótce będę miała osiemnaście.

Spojrzał na nią, może z nadzieją, że nagle przybędzie jej pięć lat, a potem zaklął pod nosem. Jego spojrzenie zatrzymało się na drinku, który trzymała w ręce. Bez słowa wziął go od niej i wrzucił do wody.

Laurel odsunęła się od barierki i skrzyżowała ręce na piersiach, nie mówiąc ani słowa, czując jedynie drzenie kolan i ogólną kruchość swego ciała.

Wydawał się zaskoczony własnym posunięciem, nie miał jednak zamiaru przeproszać.

- Zapłaciłeś za tego drinka - powiedziała. - Mogłeś z nim zrobić wszystko, na co miałeś ochotę.

Unióśł dłoń w stronę jej policzka, znów stając się kimś niemal przystępnym, prawie przepraszającym, a do tego stał tak blisko, że poczuła zapach jego wody po goleniu.

- Jesteś w szkole średniej?

- Nie. Uczę się w college'u.

- W wieku siedemnastu lat? - Najwyraźniej uznał to za kłamstwo.

- Przeskoczyłam trzecią klasę. Uzyskałam dyplom szkoły średniej krótko po skończeniu siedemnastu lat.

Na jego twarzy można było wyczytać wypisane niemal drukowanymi literami określenie „nimfetka”. Chwilę później coś zachrypiało w głośniku:

- Proszę o uwagę. Zbliżamy się do portu Avalon na wyspie Catalina. Proszę się upewnić, czy zabrali państwo swój bagaż podręczny. Pasażerowie będą wysiadać od strony prawej burty. Ze względów bezpieczeństwa prosimy w trakcie wysiadania małe dzieci trzymać za rękę.

To był koniec komunikatu, a Laurel spojrzała na swojego rozmówcę.

- Masz zamiar przytrzymać mnie za rękę, kiedy będziemy wysiadać?

Nie roześmiał się.

- Zdaje się, że mój wiek zabił twoje poczucie humoru.

Przez chwilę Laurel myślała, że jej towarzysz chce powiedzieć na koniec coś miłego, jednak od pobliskiego relingu oderwała się grupka dzieci, skaczących i krzyczących: „Już jesteśmy! Już jesteśmy!”.

- Już jesteśmy — rzuciła ponad tymi podskakującymi, hałaśliwymi istotami. Dzieci obiegły ich łukiem, robiąc przy tym sporo hałasu. Laurel zerwała kontakt wzrokowy, a kiedy ponownie spojrzała, jej towarzysz potrząsnął głową.

- Przepraszam - powiedział, a potem odszedł, nie oglądając się za siebie.

Laurel została, czując pustkę w głowie, zakłopotanie, zawstydzenie i przygnębienie. Może to on spowodował wszystkie te emocje, a może wywołała je ona sama. Apatycznie wzięła do ręki swoją grubą książkę w starej obwolucie ozdobionej grubymi, bezpretensjonalnymi czcionkami. Pewne rzeczy można było ukryć... Zerwała papierową obwolutę, a na prawdziwej okładce ukazały się jaskraworóżowe litery tytułu *The Adventurers*, autorstwa Harolda Robbinsa. Wrzuciła obwolutę do pobliskiego kosza na śmieci, wepchnęła książkę pod pachę i ruszyła w kierunku trapu.

Za linią wzgórz zachodzące słońce jarzyło się na różowo, a ze zgromadzonego tłumu dochodził głośny pomruk. Ustawione na masztach reflektory oświetlały dok oraz rampę prowadzącą na pokład. Niewiele ponad sto metrów od doku znajdowała się Crescent Street, serce miasteczka. Tutejsi chłopcy sprzedawali gazety, za pięćdziesiąt centów

proponowali także podwiezienie czerwonymi wózkami bagaży do znajdujących się przy bocznych uliczkach hoteli lub do przytulnych zajazdów mieszczących się na wyspie. Tłum rozchodził się wokół ubranych w białe szorty i sandały dziewcząt, które rozdawały ulotki z kuponami zniżkowymi na kanapki z owocami morza, homary oraz oferowane za pół ceny kufle beczkowego piwa.

W całym tym tłumie Laurel nie zdołała jednak dostrzec wysokiego, przystojnego mężczyzny w cytrynowożółtej koszulce.

Zapadł się pod ziemię, zupełnie jakby nigdy go tu nie było. Dla niej faktycznie nie istniał - nie знаła nawet jego imienia.

Victor rzucił okiem na zegarek stojący na biurku i wstał, przy okazji naciskając znajdujący się na podłodze przycisk przywołujący jego sekretarkę. W ten sposób właściwie zakończył wywiad, którego udzielał. Pytania dziennikarza zaczęły zmierzać w kierunku, który nie spodobał się starszemu panu.

- Mam kolejne spotkanie.

- Chciałem zadać panu jeszcze kilka pytań, panie Banning...

Victorze. Jest dopiero wpół do szóstej. Wie pan, że to ma być temat na pierwszą stronę.

Victor roześmiał się.

- Nie siedzielibyśmy w tym biurze, gdyby to nie był temat na pierwszą stronę.

Drzwi gabinetu otworzyły się i weszła sekretarka, która wyrecytowała:

- Samochód czeka, panie Banning. Jeszcze trochę i się pan spóźni.

Dziennikarz wciąż siedział z magnetofonem na oparciu fotela i lśniącym włoskim piórem w dłoni. Miał przyciętą bródkę, a jego kręcone włosy były zebrane w kucyk, który opadał do połowy długości marynarki od jego garnituru, wartego jakieś pięćset dolarów.

Victor wyszedł z za biurka.

- Widzę, że zdołałem zmusić cię do milczenia, a to najlepsze rozwiązanie. Nie mówimy tym samym językiem, synu.

Wyszedł z pomieszczenia, chociaż młody człowiek, jękając się oraz żonglując swoim notatnikiem i magnetofonem, prosił Victora, by zaczekał. Starszy pan skierował się przez korytarz prosto do swojej prywatnej windy.

Dobrze wiedział, że w tym artykule zostałby opisany jako krwiożerczy przedsiębiorca. Gdzieś głęboko w swoim wnętrzu Victor czuł się przedsiębiorcą naftowym, który ciężką pracą doszedł do fortuny w czasach, kiedy przed firmami stały tylko dwie drogi - ekspansywny rozwój lub plajta. Dziennikarz był jego całkowitym przeciwieństwem, kimś, kto chciał ograniczać przemysł, a jego radykalne spojrzenie na świat wydawało się aż nazbyt modne. Ludzie tacy jak on emanowali niepasującą do nich powagą, a także ospałością w kwestiach dotyczących prawdziwych i kluczowych spraw, zmieniających otaczający świat.

Wywodząca się z Berkeley pogarda reportera była wyczuwalna nawet pod przykrywką profesjonalnego tonu. Ludzie tego typu wykorzystywali swoje tytuły zdobyte na kosztownych studiach po to, by namawiać sądy do wstrzymywania budowy dróg. Pozbawiali oni pracy setki osób, zajmowali się bezwartościowymi sprawami i zatrzymywali postęp, byle tylko uratować jakąś cholerną żabę. Szczerze mówiąc, Victor

traktowałyby ich z szacunkiem, gdyby naprawdę robili to dla tej żaby. Ten typ ludzi stanowił jednak fałszywą awangardę - pozwalającą sobie na wszystko grupę, która pławiła się w luksusie.

Victor i ludzie jego pokroju sprawiali, że świat stawał się lepszy dla wszystkich: powstawały stacje benzynowe z myjniami oraz drogi z kanalizacją, dzięki czemu nie było powodzi; dolary pochodzące z podatków szły na szkoły publiczne i budowę autostrad, a okres prosperity pobudzał rynek nieruchomości, dzięki czemu wartość gruntów rosła z miesiąca na miesiąc.

Później, kiedy dotarł już do domu, brał bardzo długo prysznic. W ten sposób starał się zmyć z siebie niesmak pozostawiony przez wywiad, który zdawał się sugerować, że wszystko, co Victor osiągnął w życiu, stanowiło duży błąd. Starszemu panu trudno było jednak pozbyć się irytacji. Jakieś jej resztki zostały w nim nawet wtedy, gdy jechał na północ drogą numer 405, siedząc z tyłu w bentleyu prowadzonym przez Harlana.

W oddali majaczyły faliste wzgórza, pokryte teraz zielonkawą mgiełką, łączące San Pedro z Palos Verdes. Victor pamiętał czasy, kiedy na tych wzgórzach rozciągały się jedynie pola dzikich kwiatów i wysokiej po pas gorczycy. W tamtym okresie znajdował się tu także składający się z wielu porzucanych rancz, podupadający hiszpański majątek, który założono jeszcze w czasach, gdy Kalifornia nie była nawet stanem. Teraz na tych wzgórzach stały kosztowne posiadłości, a drogi, wzdłuż których je budowano, widać było tak wyraźnie jak nowe kierunki w rozwijającej się ekonomii.

Wszystko się zmieniało. I to było słuszne. Victor powiedział sobie, że nie będzie się przejmował artykułami pisanymi o ludziach takich jak on

- o pokoleniu żadnym sukcesu i władzy, o grupie zwycięzców, którzy spełnili swoje marzenia i z dumą budowali coś w miejsce niczego zamiast zajmować się paplaniną mającą na celu zwiększyć nakład gazety.

Victor dwukrotnie był żonaty, jeden raz kogoś pokochał. Większość swojego życia spędził na pracy i najciężej harował, gdy miał żonę i małego syna. Anna zmarła nagle, dziś nie przypominał sobie, by rozpaczał po stracie tej kobiety, która stanowiła dla niego zakazany owoc i którą poślubił po wielu wysiłkach.

Ostatnimi czasy stał się tematem zbyt wielu artykułów, a te opisujące sprawy osobiste powodowały, że zamykał się w sobie jeszcze szybciej niż w przypadku dzisiejszego wywiadu. Może był poirytowany, ponieważ wywiad udzielony sześć tygodni temu magazynowi „Look” poruszył kilka drażliwych kwestii? Gazety i czasopisma przysyłały dziennikarki poszukujące historii, które zainteresowałyby ludzi. Kobiety te przybywały po zapoznaniu się z historią jego rodziny i starały się odnaleźć jakąś samotną, głupią i romantyczną część osobowości Victora - coś, co nie miało z nim nic wspólnego.

Jego syn był dla niego kimś obcym - miał zaledwie trzy lata, kiedy Victor pochował Annę. Starszy pan przypominał sobie tamten okres, gdy wydawało mu się, iż z tym dzieckiem nie łączy go nic poza krwią oraz wspólnym nazwiskiem. Jego potomek zaczynał płakać za każdym razem, kiedy ojciec wracał do domu - po prostu obdarzał go krótkim spojrzeniem, a potem uciekał, przepadając na wiele godzin w jakimś zakamarku gigantycznego domu w Pasadenie, należącego niegdyś do rodziny zmarłej matki.

Dzień, w którym Victor odnalazł syna kulącego się w szafie Anny, stanowił symbol łączącej ich ponurej więzi - podczas gdy on sam bywał tam zamykany, jego syn szukał w tym miejscu schronienia. Minęło wiele czasu, nim Rudy potrafił spokojnie usiąść w jednym pomieszczeniu ze swoim ojcem. Jeszcze dłużej trwało, nim chłopiec zaakceptował Victora jako swojego tatę.

Starszy pan spędził swoje dzieciństwo, walcząc o akceptację. Nie miał zamiaru walczyć o nią ponownie - nawet dla swojego syna. Wkrótce na twarzy Rudy'ego rozpoznał wyraz porażki, który widniał na obliczu ojca Victora. Obaj z Rudym byli przekłęci od samego początku. Klątwa Banningów ominęła jedno pokolenie, ale nic z dokonań Rudy'ego nie zmieniło opinii Victora, że był on słabym młodym człowiekiem bez przyszłości. Jediną rzeczą, na jaką Rudy, emu wystarczyło siły, okazało się odejście od ojca i trzymanie się od niego z daleka.

Druga żona poszła w ślady syna z pierwszego małżeństwa i również odeszła od Victora, a on nigdy tego nie żałował. Stanowiła pewną wygodę i tak naprawdę to ona się za nim uganiała. Kobiety, małżeństwa, a nawet romanse - to wszystko minęło dawno temu, a teraz Victor został ze swoim jedynym potomstwem - Cale'em i Judem. Odezwał się radiotelefon umieszczony między siedzeniami - prawnik dzwonił z nowymi wiadomościami.

- Młody Jameson zgodził się sprzedać obraz. Victor nawet się nie ruszył.

- Za ile?

- Pół miliona.

- Dobij targu. - Ton, którym Victor powiedział te słowa, był spokojniejszy niż jego umysł. Chęć odniesienia ostatecznego zwycięstwa stanowiła dla niego niemal fizyczną potrzebę, wciąż żywą i konieczną niczym jakiś narkotyk. - Są jakieś wieści o pozostałych obrazach?

- Galeria w Seattle twierdzi, że stracili trop prowadzący do klienta.

- A więc musimy znaleźć tego nabywcę.

- Nikt nie zdradzi nazwiska, Victorze. Minęło cholernych trzynaście lat, a ja nie mogę kupić nawet nazwisk tych ludzi.

- Podnieś ofertę o kolejne ćwierć miliona - skwitował starszy pan. - A prowizję o dziesięć procent. To powinno popchnąć kogoś do ustalenia, kto kupił te obrazy.

Po przekazaniu instrukcji dotyczących sposobu dostawy starszy pan rozłączył się i oparł głowę na zagłówku, w czasie kiedy Harlan skręcał na parking przed uczelnią Loyoli. Przez ułamek sekundy Victor poczuł w powietrzu zapach perfum Arpège i gwałtownie się wyprostował. Na siedzeniu naprzeciwko niego znajdowały się zdjęcia jego syna i synowej - wizerunek minionych czasów wyraźniejszy niż jakiegokolwiek wspomnienia. Trzymali się za ręce - Rachel była w ciąży, a Rudy wcale nie wyglądał jak chodząca porażka.

- Mecz już się zaczął - powiedział Harlan, otwierając drzwi. Zdjęcia z samochodu przyblakły w blasku świateł parkingu, jednak obudziły wspomnienia i sprawiły, że Victor był zamyślony i drażliwy. Kiedy mężczyźni już znaleźli się w hali koszykówki, zajęli miejsca na środku zatłoczonych trybun. Do dziewiątej wieczór drużyna z Loyoli przegrywała, więc Victor wysłał Harlana, by przyprowadził samochód, podczas gdy on sam stał ukryty w cieniu trybun.

Starszy pan obserwował, jak Cale biega truchtem po boisku, klucząc wśród innych graczy. Wyraźnie było widać zwinność, którą dawały mu długie nogi, a także pewność stóp, która pozwalała rzucać za trzy punkty. Właśnie taki pojedynczy rzut sprawił, że zmienił się nastrój na całej sali. Tłum zaczął zachowywać się głośniejsze, ludzie wstawali z miejsc. Zespół uniwersytecki grał odtąd przy wtórze oklasków i śpiewu publiczności.

Rudy również grał w koszykówkę, jednak nigdy nie był wystarczająco dobry, przez co większość meczów spędzał na ławce rezerwowych. Victor mógł opuszczać wszystkie mecze, bo to i tak nie miało większego znaczenia.

Jednak ta rozgrywka zmieniła się w ciągu pięciu minut. Dorsey gwałtownie się odwrócił, zabrał piłkę, minął z nią przeciwnika, a uśmiech na jego twarzy szerokością przypominał paski rozdzielające poszczególne części piłki. Chłopak ściągnął na siebie całą uwagę, po czym podał piłkę w przeciwnym kierunku, wprost do Cale'a, który posłał ją w powietrze. Piłka zatoczyła łuk, po czym z głośnym dźwiękiem uderzyła o obręcz kosza i odbiła się prosto do góry.

Cała hala zamarła, jedynym poruszającym się obiektem była piłka. Spadła z powrotem na obręcz i zawirowała wzdłuż jej obwodu. Obie drużyny balansowały na krawędzi oddzielającej zwycięstwo od porażki, więc po piłkę wysunęło się kilka rąk. W końcu wpadła do siatki. Na tablicy z wynikami pojawiły się białe cyfry pokazujące wynik 89: 87 dla Loyoli.

Pompony wystrzeliły w powietrze, a cheerleaderki rzuciły się w stronę parkietu. Tłum wiwatował i tupał tak głośno, że ledwie można było usłyszeć sygnał oznaczający koniec meczu. Gracze i trenerzy tłoczyli się

razem. Jeden z kolegów Cale'a z drużyny zdarł z niego koszulkę. Chwilę później obiegł parkiet, trzymając wysoko w powietrzu kawałek materiału z jego numerem - 23. Ludzie zaczęli krzyczeć:

- Banning! Banning! Banning!

Victor nie zdawał sobie sprawy z tego, że się uśmiecha. Nie pamiętał, by Rudy wywołał kiedyś u niego podobne uczucie. Victora dzieliło od Cale'a jakieś trzydzieści metrów, ale przerwa w ich rozmowach była o wiele dłuższa i sięgała Bożego Narodzenia. Starszy pan posuwał się krok za krokiem, zmniejszając ten dystans.

- Cale!

Atrakcyjna młoda blondynka zbiegła z trybun i przecięła parkiet. Jej koński ogon fruwał w powietrzu, kiedy wyciągała długie, opalone nogi, kierując się w stronę grupy graczy z Loyoli. Dziewczyna ubrana w sweter szkoły Mount Saint Mary i krótką spódniczkę oplótła ramionami Cale'a, który złapał ją i obrócił się wraz z nią, śmiejąc się, gdy pocałowała go w obydwie policzki.

Victor zatrzymał się, nie mógł już wykonać kolejnego kroku. Następną dziewczyną, dla której zniszczy swoją przyszłość. Cale niczego nie nauczył się od ubiegłego roku, nie wyciągał żadnych wniosków z przeszłości. Victor odwrócił się z obrzydzeniem i bez oglądania się za siebie wyszedł z hali sportowej. Nie było go tam, kiedy Cale postawił na ziemi dziewczynę swojego kolegi z pokoju i pociągnął ją czule za koński ogon. Potem zawiesił na swojej spoconej szyi ręcznik i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu jedynej osoby w jego życiu, dla której zwyciężanie było wszystkim, ale Victor wracał już do domu.

7

Kino Island Theater znajdowało się w budynku starego kasyna i w weekendy zawsze było tam tłoczno. Laurel stała i przyglądała się zapowiadanym atrakcjom, prezentowanym na plakatach oświetlonych rzędami lampek. Na końcu kolejki rozmawiało ze sobą kilka dziewcząt w jej wieku - jedna z nich, Shannon, pracowała na niepełnym etacie w sklepie Kathryn. Laurel podeszła więc do tej grupki, następnie zaczęła na przerwę w rozmowie i dotknęła ramienia pracownicy matki.

- Cześć.

- Cześć, Laurel. Nie widziałam cię od wielu tygodni.

- Przyjechałam do domu na ferie wiosenne. Shannon przedstawiła ją, a potem powiedziała:

- W mieście zaczyna się kompletne szaleństwo. Zawsze tak jest w czasie ferii wiosennych. Na plaży są tłumy, to samo w barach. Wszędzie są faceci i ich dziewczyny. W hotelach wszyscy imprezują. Robi się dość gorąco. Nie byłaś tutaj od Wielkanocy, prawda?

Laurel przytaknęła.

- Rzadko tu bywam ze względu na szkołę. Przyjeżdżam tylko w niektóre weekendy i w czasie ferii.

- Laurel już skończyła szkołę średnią - wyjaśniła Shannon pozostałym dziewczętom. - Chodzi do szkoły kucharskiej w Los Angeles. Możesz mi przypomnieć, jak nazywa się to miejsce?

- Pacific Culinary Institute. - Było to jedno z trzech miejsc na terenie kraju, gdzie można było odbyć kursy i potem zdobyć certyfikat Cordon Bleu. Grupy na zajęciach były bardzo małe, opłaty wygórowane, a do tego

przyjmowano zaledwie jedną z kilkuset chętnych osób. Administracja oraz cieszący się międzynarodową sławą wykładowcy podskoczyliby jak oparzeni, słysząc określenie „szkoła kucharska”. Ktoś z tego grona z pewnością machnąłby tuż przed nosem biednej Shannon nożem służącym do oddzielania mięsa od kości i rzucił:

- To instytut kulinarny. Szkoły kucharskie są dla ludzi, którzy pracują w tanich knajpach.

- Chcesz być kucharką? - spytała jedna z dziewcząt, tak jakby Laurel była wariatką.

- Chcę być profesjonalnym szefem kuchni.

- Jak w „Galopującym Smakoszu”? - Jedna z dziewcząt zachichotała. Shannon rzuciła przyjaciółce wymowne spojrzenie, ale Laurel roześmiała się i odparła:

- Graham Kerr jest dobrym szefem kuchni.

- Dlaczego chcesz być kimś takim? Człowiek musi pracować w gorącej kuchni tylko po to, by gotować dla innych ludzi. Dlaczego nie zostać po prostu gospodynią domową?

- Au! - rzuciła któraś z nich. - To nie było miłe, Karen.

- No cóż, miałam na myśli to, że taka praca jest w pewnym sensie robotą chwalonego niewolnika, prawda?

Shannon szturchnęła Karen w ramię.

- Nie powiedziałabym czegoś takiego. Sama mówiłaś, że chcesz zostać pielęgniarką. Wolałabym raczej kroić warzywa i wnosić śmieci niż zmieniać prześcieradła, wycierać chorych gąbką i opróżniać baseny.

- W restauracyjnej kuchni trudno jednak spotkać miłutkiego lekarza.

- Karen najwyraźniej miała już gotowy plan.

Kiedy cała grupka dotarła do kasy, Laurel kupiła bilet i odsunęła się na bok, czekając na resztę. Dziewczęta zapłaciły za wstęp, a potem spojrzały na nią i na Shannon.

- No cóż, wchodzimy do środka - powiedziała jedna z nich.

- Będziecie miały coś przeciwko, jeśli się do was przyłączę? - spytała Laurel Shannon. Kilka dziewcząt wymieniło pełne napięcia spojrzenia, a Karen wpatrywała się znacząco w Shannon. To był jeden z tych okropnych momentów wiele mówiącego milczenia i Laurel czuła się okropnie, ale zachowała na twarzy sztuczny uśmiech.

- Nie ma sprawy - powiedziała Shannon bez specjalnego entuzjazmu.

- Chodź.

Hol był zatłoczony. Wokół bufetu panował ruch, któremu towarzyszyły odgłosy prażącej się kukurydzy, grzechotanie lodu w pustych kubkach oraz warkot dystrybutora z napojami. W powietrzu unosił się zapach popcornu i hot dogów, toteż Laurel niemal natychmiast poczuła głód. Przyłączyła się do nich grupka tutejszych chłopców, którzy pociągnęli dziewczęta w stronę bufetu. Laurel zamówiła colę, popcorn oraz batoniki z masła orzechowego w polewie czekoladowej. Kiedy się odwróciła, dwie grupy połączyły się w pary. Pięciu chłopców, pięć dziewczyn, no i ona. Podczas gdy wszystkie pary rozmawiały, Laurel przecisnęła się w stronę Shannon i szepnęła:

- Przepraszam.

- W porządku. Nie wiedziałaś, że się tu z nimi spotykamy.

- Po prostu zaraz spływam. Nie mam nic przeciwko siedzeniu w pojedynkę — skłamała.

- Nie. — Shannon złapała ją za ramię i odwróciła się do swojego chłopaka. - Jake? To Laurel Peyton. Pracuję dla jej mamy.

Jake wydawał się naprawdę miły i zanim Laurel zdołała się wymknąć, przedstawił ją reszcie chłopców. Dziewczyna rzuciła jakąś niewyraźną wymówkę i odwróciła się z zamiarem odejścia, jednak ją zatrzymali.

- Nie możesz siedzieć sama.

Dziewczyny nie wydawały się uszczęśliwione. Laurel wprawdzie nie była sama, ale kilka minut później, gdy rozsunęła się ciężka czerwona kurtyna i przygasły światła, jej ocena sytuacji uległa diametralnej zmianie. Uznała, że samotne siedzenie byłoby lepsze niż tkwienie w środku długiego rzędu krzeseł pośród przytulających się do siebie par.

Na ekranie pojawił się napis M*A*S*H, ale jeszcze zanim pojawiła się tam Sally Kellerman jako Gorące Usta, para po prawej stronie zaczęła się całować. Laurel odstawiła colę i uderzyła o kolano Karen.

- Przepraszam.

Czyjaś dłoń złapała jej udo. Chłopak Karen najwyraźniej pomylił dziewczyny. Laurel strąciła jego dłoń, jednak para zmieniła pozycję w taki sposób, że teraz opierali się na jej ramieniu. Po drugiej stronie Shannon była zatopiona w długim, namiętym pocałunku ze swoim chłopakiem. Garbiąc się na środku swojego fotela, Laurel garściami zajadała popcorn, ignorując delikatne szepty i mruknięcia wydawane przez otaczające ją pary.

Obraz na ekranie niespodziewanie zamigotał, w końcu wszystko zniknęło. Na widowni rozległ się jęk, po czym zapanowała ciemność. Po chwili włączyły się światła i pojawił się witany buczeniem kierownik.

- Przepraszam. Przepraszam. Taśma jest uszkodzona, więc w kasie na wszystkich będą czekały darmowe bilety. Proszę jednak nie opuszczać miejsc. Wyświetlimy *Love Story*.

Publiczność klaskała i gwizdała, kiedy przygaszono światła, a na ekranie pojawił się Ryan O'Neal. Laurel razem z matką oglądała każdy odcinek *Peyton Place* — Kathryn zawsze żartowała, że muszą być wiernie nazwisku rodziny.

Laurel usadowiła się w fotelu, zamiast ramienia chłopaka ścisnęła wielką colę, torbę popcornu oraz duże, żółte pudełko z batonikami. Kapryśny los sprawił, że sama nie przeżywając romansu, mogła go obejrzyć i marzyć o szczęściu czekającym ją w przyszłości.

Na ekranie pojawiła się postać O'Neala siedzącego na trybunach. Aktor przemówił:

- Co można powiedzieć o dwudziestopięcioletniej dziewczynie, która zmarła?

Sytuacja stereotypowa - mężczyzna siedzi w barze i topi w kieliszku swoje smutki. Takie lokale zapewniały doskonałe warunki do robienia sobie wyrzutów z powodu popełniania głupich błędów. Jud właśnie postępował według tego wzorca, tkwiąc w małej knajpie przy plaży w Avalonie. Barman szybko uporał się z zamówieniami. Ze stanowiącej obowiązkowe wyposażenie baru, ustawionej w zadymionym kącie szafy grającej płynęły dźwięki piosenki zespołu Three Dog Night. W głębi, w zakamarkach lokalu, goście grali w bilard i popijali drinki.

W ciągu niecałej godziny bar napełnił się ludźmi, aż wreszcie poziom hałasu osiągnął wiele decybeli. Jud spijał pianę z piwa i starał się nie słyszeć cukierkowej piosenki mającej „przekazywać radość rybom w

ciemnoniebieskim morzu". Usiłował także odciąć się od okropnego hałasu, który robiła przy pobliskim stoliku grupa studentów z uniwersytetu w San Diego, z głośnym stukotem odstawiając kolejne puste kieliszki i śpiewając pieśń bojową swojego uniwersytetu w bliżej nieokreślonej tonacji. Zachowywali się tak, jakby cały świat stanowił ich własność. Taki rodzaj imprezowania stracił dla Juda urok, nim rozpoczął trzeci rok swoich studiów. Nagle poczuł się staro. Dzisiaj zaczął od napastowania nieletniej dziewczyny, potem zdołał przekonać dziadka, że jest kompletnym matolem. A jeszcze rano myślał, że cały świat leży u jego stóp. W tej chwili miał odwrotne wrażenie.

Po opuszczeniu biura firmy Jud, z urażoną dumą i podwiniętym ogonem, zaczął zastanawiać się z goryczą, czy to, co go spotkało dzisiaj rano, było kolejną gierką dziadka. Victor najwyraźniej czuł się szczęśliwy, kiedy jego wnuk sprawiał kłopoty. Jednak gdy złość już opadła, Jud zdał sobie sprawę, że dziadek nie bawiłby się w gierki w przypadku kontraktów handlowych.

Wnuk Victora wykonał wcześniej kilka telefonów i umówił się na lunch na przyszły tydzień, ale czuł się bardzo niepewnie. Choć nienawidził wysłuchiwać prawdy z ust dziadka, to zdał sobie sprawę, że ci faceci nie musieli wcale witać go z otwartymi ramionami w świecie swoich interesów. Był tak dumny z siebie, tak uradowany z ich akceptacji, że nie dostrzegał prawdziwych motywów ich działania - tak samo jak nie dostrzegł, że dzisiaj ta dziewczyna nie miała dwudziestu lat. Siedemnaście? To mogło się źle skończyć.

Jud wpatrywał się w dno kufła, ciągle przeżuwał tajemnice konfliktu między Victorem a Marvettim. Koniec końców zdecydował, że

problem nie zostanie rozwiązany tego wieczoru. Rozejrzał się po lokalu. Bary nigdy się nie zmieniały - ciągle były to zadymione i pełne zapachów miejsca, w których człowiek mógł tkwić pośród tłumu, a mimo to czuć się kompletnie samotny. Pusty domek letniskowy przy zatoczce wydawał się bardziej nęcący niż zadymiony bar, w którym chciało się wyżyć zbyt wiele dzieciaków mających właśnie przerwę na uniwersytecie. Jud dopił swoje piwo, zapłacił i wyszedł na zewnątrz, gdzie ponownie mógł zaczerpnąć powietrza w płuca.

Za drzwiami było już ciemno i chłodno, a powietrze smakowało solą przyniesioną przez ocean, którego brzeg znajdował się zaledwie trzydzieści metrów dalej. Na brukowaną drogę padało neonowe światło umieszczonych we frontowym oknie reklam piw, tworząc wzory jak u jaskrawo ubarwionych węży. Palmy wzdłuż plaży rzucały cienie podobne do gigantycznych ramion z rozczapierzonymi palcami. Widoczna w oddali woda przypominała czarną przestrzeń, sięgającą aż po miejsce, w którym migotały światełka zacumowanych łodzi rejsowych. Zapach przyływu sprawiał, że w powietrzu czuło się lato, a do tego jak na kwiecień było naprawdę ciepło - temperatura wynosiła prawie dwadzieścia stopni Celsjusza.

W pobliżu nie jeździły żadne samochody, od czasu do czasu dało się słyszeć szum elektrycznego silnika wózka golfowego lub też trzaskanie szprych roweru. Na ławce na piasku całowała się jakaś para. Jud zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i dopiero przypomniał sobie, że zamierzał rzucić palenie. Zaciągnął się jeszcze raz, a potem zdusił niedopałek butem.

Na północnym cyplu, gdzie na końcu ulicy stał stary budynek kasyna, tłum widzów opuszczał kino. Na czele znajdowała się dziewczyna,

która szła szybciej niż inni - ubrana w płaszcz, trzymała ręce wbite głęboko w kieszenie, a do tego miała fantastyczne nogi. Grupa dzieciaków przejechała obok w dwóch wózkach golfowych, pokrzykując i machając, gdy znaleźli się na jej wysokości. Dziewczyna machnęła ręką w odpowiedzi i patrzyła, jak towarzystwo znika w oddali. Potem ponownie włożyła ręce do kieszeni płaszcza i ruszyła przed siebie, nie podnosząc wzroku wbitego w ziemię nawet wtedy, kiedy przechodziła pod uliczną latarnią.

W ciepłym świetle widać było jej brązowe włosy na ramionach i twarz, która miała w sobie coś wyrazistego i znajomego, a do tego bardzo przypominała Jacqueline Bisset. To szła jego Nimfetka. Jud dostał właśnie szansę, by ją przeprosić, ale zawahał się. Chwilę później drzwi baru gwałtownie się otworzyły, niemal go uderzając. Jud został zmuszony do cofnięcia się do tyłu, w cień. Muzyka z szafy grającej rozniosła się w nocnym powietrzu, a grupa studentów z San Diego wytoczyła się na zewnątrz niczym stado małą, głośno się śmiejąc i popychając nawzajem.

Towarzystwo zaczęło rechotać, co przywołało u Juda wspomnienia z czasów, kiedy on sam dla zabawy zachowywał się jak dupek. Zamroczeni tequilla młodzi ludzie odwrócili się i natychmiast skupili uwagę na Nimfetce. Ona jednak nie przestawała iść, odsuwając się od nich i kierując w stronę piasku. Trzeba przyznać, że patrzyła prosto przed siebie nawet wtedy, gdy ją otoczyli.

- Przepraszam - powiedziała trochę zbyt promiennie i wcisnęła się między dwóch spośród nich.

- Ej, słodziutka! Grupa otoczyła ją w koło.

- Proszę. Jesteście pijani.

Nadal starała się przepchnąć pomiędzy nimi.

- Chodź tutaj.

Jeden z nich, pewnie grający w drużynie futbolowej na pozycji wspomagającego, brutalnie przyciągnął ją do siebie. Jego przyjaciele zaczęli gwizdać i wiwatować.

- Przestańcie! - Dziewczyna oparła dłonie o klatkę piersiową wielkiego mięśniaka, gdy ten usiłował ją pocałować.

Jud ruszył spod budynku.

- Zostaw ją!

- Proszę przestać! Proszę... Nie... - W jej głosie słychać było przerażenie.

Jud złapał chłopaka za ramię.

- Ty! Zostaw ją w spokoju. Już!

- O taaak. Pewnie, dupku.

Jud złapał go za ramię i oderwał od dziewczyny, która zatoczyła się do tyłu i upadła.

Gdy odwrócił się, nadział się wprost na pięść oponenta.

- Brać go! - rozległo się w grupce. - Brać go! Utworzyli krąg wokół Juda, który uchylał się przed ciosami

i spojrzał na Nimfetkę. Miotał się jak szalony i dwa razy zdołał się wykręcić z ich chwytu, jednak potem jeden z nich wykręcił mu rękę do tyłu.

- Mam go! Mam go! - rozległo się.

Kolejnych dwóch musiało go przytrzymywać, podczas gdy reszta rzuciła się do bicia. Jud poczuł smak krwi w ustach i ból w oku. Zamrugął, starając się dostrzec dziewczynę, ale brzegi jego pola widzenia zaczęły się

rozmażywać. Futbolista uniósł pięści, ze śmiechem podszedł do Juda i sprawił mu potężne lanie.

RS

8

Laurel przyklęknęła na chodniku przy nieprzytomnym chłopaku. Jedno oko zaczynało mu już puchnąć, oprócz tego miał rozcięty policzek, a z ust i nosa płynęła mu krew.

- Proszę, obudź się. Proszę...

Ulice były puste. Z oddali dobiegał tylko odgłos kroków grupy, która uciekła w boczną uliczkę, gdy Laurel zaczęła wołać, by przestali, a potem krzyczała bez końca.

- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! Proszę... - Podniosła jego głowę z twardego bruku i oparła ją na swoim udzie. - Proszę, obudź się. Nie słyszysz mnie?

Gdzie się wszyscy podziali? Drzwi do baru były zamknięte. Ludzie w środku pewnie nawet nie wiedzieli, że tu była w ogóle jakaś bójka. To niesamowite, że po niezwykle brutalnej napaści zapanowała taka cisza.

Jud jęknął, skrzywił się i powoli otworzył oczy.

- Boże, tak mi przykro. Czy możesz się ruszyć? Jak bardzo ucierpiałeś? Co mogę zrobić? - Jej słowa płynęły nieprzerwanym strumieniem.

Burknął coś, czego nie zrozumiała, zaklął, przetoczył się i oparł na dłoniach i kolanach. W milczeniu słyhać było, jak z wysiłkiem oddycha. Potem potrząsnął głową i próbował wstać.

- Proszę. Pomogę ci.

- Nie! - Gwałtownie cofnął rękę i stanął na nogach, lekko się chwiejąc. - Nie.

- Proszę. Zostałeś pobity, bo próbowałeś mi pomóc.

Jego twarz była poobijana i zaczerwieniona, a on sam wyglądał tak, jakby zaraz miał z powrotem upaść.

- Nic mi nie jest - powiedział. Splunął krwią, potem przetarł usta i z wyraźnym obrzydzeniem popatrzył na krew widoczną na dłoni.

- Potrzebujesz pomocy lekarza.

- Słucham? - Ponownie uniósł wzrok, krzywo patrząc na nią tym okiem, które jeszcze nie spuchło.

- Sprowadzę lekarza.

Odwrócił się jak ktoś, kto czuje się zakłopotany. Na plecach miał poprzyklejane liście i mnóstwo różnych śmieci, pośpiesznie więc strzepnęła z niego wszystko.

- Jezu! - Spojrzał na nią spode łba. - Po prostu idź do domu. Nie powinnaś była chodzić po mieście o takiej porze. Prosisz się o kłopoty.

- Szłam do domu.

Jud przycisnęła dłoń do rozciętej wargi, a potem odsunął się od niej o krok.

- A więc idź do domu.

- To nie była moja wina. Nie możesz mnie o to winić.

- Idź do domu - powtórzył dobitniej. Nie ruszyła się.

- Idź do domu, tam gdzie twoje miejsce! - wrzasnął. - Idź do domu, mała dziewczynko, i zostaw mnie w spokoju, do jasnej cholery!

Jego surowa mina rozmazała się za morzem łez, które napłynęły jej do oczu. Kiedy Laurel biegiem skręciła w pobliską uliczkę, czuła pieczenie na twarzy. Chwilę potem znalazła się na małym placyku, przed należącymi do jej matki pracownią i sklepem z wyrobami ceramicznymi. Dziewczyna stanęła tam, nie wiedząc, dokąd powinna się udać.

Naprzeciwko znajdował się zaciemniony sklep z zawieszoną na drzwiach tabliczką „Zamknięte”. To słowo zdawało się mówić wszystko. Ta informacja określała jej życie - zamknięte. Usiadła na wykładanej płytkami krawędzi fontanny, gdzie woda wpadała do płytkiej sadzawki.

Ten człowiek ponownie sprawił, że poczuła się jak niedojrzała idiotka, która niczym jakaś trzynastolatka staje się utrapieniem, kiedy głupio się w kimsz zakocha. Nazwał ją małą dziewczynką, żeby wytknąć Laurel wiek - zupełnie jakby mogła zmienić swoją datę urodzenia. Nie było nikogo, kto bardziej niż ona chciałby już osiągnąć dwadzieścia jeden lat, zamiast tkwić w tym dziwnym wieku między nastolatkami a dorosłymi. Nigdzie nie pasowała - ani do tej wyspy, ani do tych dziewcząt, ani do Seattle. Nawet jej wiek był nieokreślony. Dawniej mogła porozmawiać o tym, co czuje, ze swoimi przyjaciółkami ze szkoły średniej. Teraz rozjechały się po uczelniach na terenie całego kraju, a za każdym razem, kiedy z nimi rozmawiała, więcej było długich chwil milczenia niż sensownych słów. Nikt z tego grona nie wiedział już, jak ze sobą rozmawiać.

Może wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby żył ojciec. Wiedziała, że on udzieliłby jej potrzebnych odpowiedzi w chwilach, kiedy życie stawało się ciężkie i obrzydliwe. Nie mając taty, czuła się tak, jakby kuśtykała przez życie na jednej nodze, podczas gdy większość ludzi chodziła na dwóch.

Babcia Julia utrzymywała, że ojciec Laurel był gwiazdą i złożył córce obietnicę, że nigdy o niej nie zapomni. Cały ten szum dotyczący sławy wydawał się babci wyjątkowo ważny. Początkowo mała Laurel nie rozumiała różnicy pomiędzy gwiazdą muzyki a gwiazdą na niebie. Dla dzieci gwiazdy pozostają gwiazdami. Pewnej nocy, kiedy stała z cicią

Evie na zewnątrz i patrzyła na rozgwieżdżone niebo, z zakłopotaniem spytała, czym właściwie są gwiazdy. Usłyszała w odpowiedzi, że są one magicznymi tworam, innymi światami znajdującymi się tak daleko, że czasami trudno uwierzyć w ich istnienie. Laurel mogła mieć wtedy siedem lat i ślepo wierzyła w magię. Starła się również wierzyć w ojców, których nigdy nie było w pobliżu.

Tata pozostał dla niej wizerunkiem na wyblakłym zdjęciu, nazwiskiem na płycie, która wisiała na ścianie w jej pokoju. Był gwiazdą - chociaż trudno uwierzyć w istnienie czegoś takiego. Siedząc teraz i czując się kimś mało ważnym, uniosła wzrok do góry i spojrzała na gwiazdy, jakby chciała, by w magiczny sposób udzieliły jej odpowiedzi na najistotniejsze pytania - na przykład na to: Dlaczego ludzie muszą umierać? Dlaczego życie tak powoli posuwa się do przodu? Jaka jest prawdziwa miłość? Dlaczego otacza ją taka samotność? Laurel czuła się tak, jakby poruszała się w innym wymiarze niż wszyscy ludzie, a jej przeznaczeniem było obserwowanie życia z zewnątrz.

Siedząc na brzegu fontanny, dostrzegła połyskujące miedziane i srebrne monety, a woda i światło sprawiały, że pieniążki wyglądały na większe niż w rzeczywistości. Na dnie tej fontanny musiało leżeć prawie tysiąc zapomnianych życzeń.

Kiedy ktoś nie wierzył w magiczne rzeczy takie jak życzenia, nie narażał się na rozczarowanie. Po prostu rozumiał, że aż nazbyt często rzeczy wyglądają na większe, niż są naprawdę.

Laurel wyciągnęła z kieszeni jakieś drobniaki. Znalazła dwa centy. W tym wszystkim był jakiś żart losu. Odwróciła się plecami do fontanny,

zamknęła oczy, po czym rzuciła monety przez ramię i wymówiła życzenie, żeby ktoś ją pokochał.

Przez otwarte okno do salonu wpadały nocne odgłosy wydawane przez żaby, więc Kathryn usiadła tam z książką. Była niemal jedenasta, kiedy Laurel pojawiła się w drzwiach wejściowych i powiesiła swój płaszcz.

- Cześć, mamó - rzuciła z wyczerpaniem w głosie, a jej przygarbione plecy wskazywały na porażkę.

- Jak podobał ci się film? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Naprawdę ślicznie wyglądasz - powiedziała Kathryn pogodnie. - Założę się, że dziś wieczorem zawróciłaś paru osobom w głowach.

Laurel spojrzała na matkę tak, jakby uderzono ją w twarz, i z płaczem wybiegła z pomieszczenia, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi sypialni.

- Czy powiedziałam coś nie tak? - spytała Kathryn w pustym pokoju. Wszystko było o wiele prostsze, kiedy Laurel martwiła się jedynie o kostium na Halloween, napisanie streszczenia książki lub też poprawne wykonanie jakiejś skomplikowanej pozycji baletowej. W tamtych czasach Kathryn znała odpowiedzi na wszystkie pytania.

Delikatnie zastukała do drzwi sypialni Laurel.

- To ja.

- Po prostu zostaw mnie samą, mamó. Proszę. Dzieliły je czyste, białe drzwi, a także ściana stworzona

z błędnych słów i decyzji Kathryn. Słyszała stłumione szlochy Laurel i sięgnęła po klamkę, jednak jakiś głos w jej głowie powiedział: „nie wtrącaj się”. Doskonale rozumiała uzalanie się nad sobą, rozpacz,

poczucie bezsilności, zagubienia i frustracji - to były normalne emocje matki mającej nastoletnią córkę. Kathryn opadła na miękkie poduszki krzesła i wpatrywała się w pusty korytarz, zupełnie jakby tam mogła znaleźć poszukiwane odpowiedzi, a także igłę i nici do zreperowania zużytych i prujących się szwów ich związku.

Dobrze wiedziała, że przeprowadzka tutaj przysporzyła Laurel mnóstwa nieszczęść. Kathryn natomiast odpowiadało mieszkanie w dawnym lokum Evie. Ten ponad sześćdziesięcioletni domek zajmował niewielką powierzchnię, miał wysokie sklepienia, zewnętrzne zdobienia oraz podłogi z twardego drewna. Pokoje wypełniały meble plażowe - trochę wikliny w stylu wiktoriańskim, ratanu oraz zabytkowy francuski szezlong. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w domu Julii, gdzie stały głównie białe meble. W życiu Kathryn nie było zbyt wielu kolorów, jeśli pominąć pomalowaną na niebiesko sypialnię.

Evie pomalowała każde pomieszczenie na inny kolor. Cały dom był jasny i radosny, dominowały tutaj odcienie żółci i różu. To przypominało kobiecy dom. Tutaj mogła popijać herbatę z kubka pomalowanego w kwiatki zamiast korzystać z trzystuletniego serwisu herbacianego, którego używała Julia, nie pytając nawet, czy jej synowa ma ochotę na cytrynę i cukier.

Przeprowadzka na wyspę Catalina uwolniła ducha Kathryn, jednak ta wolność miała swoją cenę - tę, którą płaciła Laurel.

Kathryn zaczęła, aż ustana odgłosy płaczu. Tym razem nie zapukała. Wnętrze pomieszczenia rozświetlała przygaszona lampa oraz świece pachnące drewnem sandałowym. W rogu pomieszczenia znajdowało się łóżko Laurel, z narzutą w etniczne wzory oraz

pochodzącymi z Indii poduszkami, symetrycznie wykończonymi lamówką. Evie miała rację - tutaj z całą pewnością zupełnie jak w domu poczuliby się George Harrison, Ravi Shankar, a także członkowie sekty Hare Kriszna, wtykający ludziom goździki na lotniskach.

Jednak migotliwe światło świeczek rozjaśniało też ścianę, na której wisiała gitara Jimmy'ego, a także jego nagrania, zdjęcia, płyty oraz oprawione fotokopie kompozycji spisanych jego ręką. Poniżej tego miejsca, poświęconego pamięci ojca, zwinięta w kłębek dziewczyna leżała twarzą do ściany, jakby wciąż żyła dniem, w którym zginął Jimmy. Kathryn usiadła obok niej.

- Chcesz mi powiedzieć, co jest nie tak?

- Nie. - Laurel parsknęła ostrym, uszczypliwym śmiechem. Jest zbyt młoda, by mieć w sobie tyle gorzkości. To wszystko

z powodu przykładu, który jej dawałam - pomyślała Kathryn.

Poczuła suchość w ustach, zadając kolejne pytanie:

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Nie. - Minęła chwila, nim Laurel powiedziała coś więcej. -

Chciałabym, żeby ktoś myślał, że jestem wyjątkowa, piękna i cudowna.

- Ja uważam, że jesteś wyjątkowa, piękna i cudowna. Jej córka nie była na tyle niegrzeczna, by powiedzieć „też mi coś”, ale te słowa zawisły w powietrzu, wyrażone przez milczenie Laurel.

- Nie wiem, co mogę zrobić, byś była szczęśliwa. Laurel wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Kathryn.

- Posłuchaj, mamó. To nie twoja wina. Czasami zdarza ci się powiedzieć coś nie tak, zupełnie jak dzisiejszego wieczoru.

- Co takiego powiedziałam?

- To długa i żałosna historia.

- Nigdzie się nie wybieram. Mam dużo wolnego czasu. -Kathryn wykorzystwała jako oparcie kilka spośród tych krzykliwych poduszek.

Minęła chwila, nim Laurel zaczęła mówić, a potem już wszystko wypłynęło na fali emocji — chłopak na promie, dzieciaki przytulające się do siebie w kinie, bójka. Wszystko zostało opowiedziane z dużą przesadą, charakterystyczną dla młodych ludzi.

Laurel spojrzała na matkę.

- Czuję się tak, jakbym była całkowicie przezroczysta, niewidzialna.

Kathryn patrzyła, jak jej córka dorasta, i czuła z tego powodu dumę oraz strach. Nie tak dawno dostrzegła, że Laurel już przestała być dzieckiem. Lata zmieniły się w niewyraźną plamę, a przy matczynym boku wyrosła piękna, młoda kobieta. Kathryn chciała powiedzieć córce, że daleko jej do „przezroczyści”, wiedziała jednak, że ta nie uwierzy w żadne zapewnienia. Zamiast tego wskazała na czarno-białą fotografię, przedstawiającą Jimmy'ego z gitarą na scenie. Każdy, kto przyjrzał się temu zdjęciu, łatwo mógł stwierdzić, że mężczyzna patrzy na publiczność.

- Widzisz to zdjęcie twojego ojca? Laurel przytaknęła.

— Zostało zrobione pewnej nocy, kiedy występował w Hollywood, w swoim klubie przy Sunset Strip. Nie pamiętam już nazwy lokalu. Mogłaś mieć wtedy jakieś trzy latka. Jego trzecie nagranie znalazło się wówczas na szczycie list przebojów. Właśnie miał zacząć śpiewać ostatnią piosenkę i popatrzył w dół, prosto na zajmowane przez nas miejsca w pierwszym rzędzie. Zdjął gitarę, zszedł do nas, po czym wrócił na scenę z tobą w ramionach, postawił cię na ziemi, podniósł z powrotem gitarę i spytał: „Pomożesz mi śpiewać, moja mała dziewczynko?”. Kiedy

odpowiedziała: „Jasne, tatusiu”, publiczność w lokalu oszalała. Uspokoił się dopiero, gdy zaczął grać, a ty stałaś tam przed setkami ludzi bez cienia strachu. Śpiewałaś z tatą tak, jak zwykle w domu. Nie było tam ani jednej fałszywej nuty.

Kathryn wręczyła zdjęcie Laurel.

- Nie zdawałaś sobie z tego sprawy, ale wszyscy zgromadzeni, włącznie z twoim ojcem, patrzyli na ciebie i dziwili się, jakim jesteś cudownym dzieckiem.

Laurel usiadła z fotografią na łóżku, krzyżując nogi, a kiedy Kathryn wstała, dziewczyna zwinęła się w kłębek.

— Dzięki, mamó - powiedziała cicho, już wpółspiąc. Jednak sama Kathryn nie zdołała tak łatwo zasnąć. Kręciła się i przewracała, prześladowana wizjami płonących samochodów, a także pociętych obrazów. W końcu obudziła się z prześcieradłami zwiniętymi wokół nóg, wilgotną poduszką i obrazem twarzy Jimmy'ego przed oczyma. W ciągu tych wszystkich lat bywały chwile, kiedy Laurel niezwykle wyraźnie przypominała swojego ojca. Kathryn łapała się wtedy na rozważaniach poświęconych najgorszemu - obezwładniał ją strach, że córka, tak jak Jimmy, mogłaby przedwcześnie umrzeć. Kobieta musiała walczyć ze swoją wrodzoną i desperacką potrzebą nadopiekuńczości. Nie chciała zachowywać się jak Julia, która pokazała synowej, jak to jest, gdy ktoś żyje życiem własnego dziecka.

Na szczęście nigdy nic złego się nie wydarzyło, choć Kathryn od wielu lat śniły się koszmary. Ubrała się w szlafrok i wyszła z sypialni, a potem piła herbatę filiżankę za filiżanką. Kiedy na niebie na wschodzie pojawiły się różowe i złote odcienie, a wróble i drozdy zaczęły śpiewać,

Kathryn stała przy oknie swojego salonu, wciąż zatroskana. Laurel była bardzo młoda, mimo że nad wiek dojrzała. Wciąż wierzyła, że świat ma u stóp i nie obawiała się niczego.

Kiedy Kathryn obserwowała wschód słońca i popijała herbatę, poczuła, jak ogarnia ją niepokojący strach, a napój nabiera gorzkiego smaku. Pomyślała, że trzeba dodać do niego cytrynę i cukier. Udała się więc do kuchni i uzupełniła herbatę o dodatki, po czym wypila ją i poszła od swojej sypialni.

Nadal przewracała się na łóżku, patrząc na żółte ściany i powtarzając sobie, żeby nie zachowywała się głupio i nie przesadzała. Przecież zły los nie może wciąż prześladować kobiet z rodziny Peytonów i siać spustoszenia w ich życiu.

9

Była druga po południu, kiedy Cale otworzył drzwi domu Banningów na wyspie Catalina.

- Hej! Już jestem... Jud?! - zawołał, po czym rzucił torbę na podłogę i skierował się do kuchni. Położył na stole gazety i czasopisma, a następnie ruszył prosto w stronę lodówki. Oparty o jej otwarte drzwi, wyłopał pół kartonu mleka, jednego z czterech opakowań, które tam stały. Jud zrobił zakupy - mieli jajka, chleb, kielbasę, ser, steki, ziemniaki, wszystko do przygotowania sałatki, owoce, a nawet dzbanek soku pomarańczowego. W szafce na górze stały równo w rzędzie nowe pudełka z muesli... Były płatki cheerios, płatki pszenne i kukurydziane, mieszanki na naleśniki, syrop klonowy, kawa, śmietanka i cukier. Kuchnia zawierała wszystko, co było potrzebne do przyrządzania trzech posiłków dziennie. Brat Cale'a stanowił żywy przykład dobrego odżywiania się. Niech to diabli, on nawet jadał w perfekcyjny sposób.

Cale rzucił w stronę zlewu pokrywkę od pojemnika zawierającego spaghetti, zupełnie jakby bawił się latającym dyskiem, jednak obiekt nie dotarł do celu. Chłopak złapał widelec i poszedł w stronę rozsuwanych przeszklonych drzwi prowadzących na werandę, pochłaniając po drodze wielkie porcje zimnego makaronu. Plaża znajdowała się trzydzieści metrów stąd, a dalej rozciągała się szklista powierzchnia wód sennej zatoki. Na końcu werandy zza krawędzi fotela zwisały dwie naprawdę duże i kościste, gołe stopy.

To Jud chrapał na słońcu z twarzą zasłoniętą ramieniem. Cale kopnął brata w stopę.

- Obudź się, leniwy draniu, i przywitaj się ze swoim małym braciszkiem.

Jud jęknął, a potem wymamrotał przez ramię:

- Małym jak cholera. Jesteś pięć centymetrów wyższy ode mnie.

- A do tego wyglądam dwa razy lepiej niż ty.

- Jeśli o to chodzi, w innych okolicznościach kłóciłbym się z tobą, jednak dzisiaj nie będę tego robił. - Jud odsunął rękę. Jego twarz stanowiła mieszaninę różnych odcieni czerni i błękitu.

- Mam nadzieję, że ten drugi facet wygląda gorzej niż ty.

- Odszedł nawet bez skaleczenia. - Jud spróbował się podnieść, a potem skrzywił się. - Cholera, to boli. Wszystko boli.

- Wyglądasz tak, że wszystko ma prawo cię boleć. Co się stało?

Jud oparł łokcie na kolanach, opuszczając ręce swobodnie między nogami, a potem spojrzał na brata - w każdym razie wydawało się, że na niego patrzy, choć Cale wcale nie miał takiej pewności. Oczy Juda były tak zapuchnięte i przymrużone, że przypominały spojrzenie poobijanej świni.

- Odgrywałem bohatera, żeby ocalić jakąś słodką istotkę przed bandą pijaków.

Cale objął fotel i usiadł.

- Mam nadzieję, że poświęcając swoją twarz, zdobyłeś jakąś nagrodę. Masz złamany nos?

- Jest tylko spuchnięty i boli jak jasna cholera.

- Powiedz mi, że w nagrodę za swoją ofiarność dostałeś numer jej telefonu.

- Nic z tego. Nie znam nawet jej imienia. - Jud potrząsnął głową, skrzywił się i ukrył twarz w dłoniach. - Przypomnij mi, żebym więcej tego nie robił.

- Czego? Masz nie szukać szczęścia? Nie wdawać się w bójki? A może nie powinieneś potrząsać głową?

- Taaaaa...

- A więc, wielki bracie, koniec końców wylądowałeś tu poobijany i poraniony, do tego bez widoków na randkę.

- Nie jestem pewien, czy zrobiłem wielkie wrażenie, starając się uniknąć upadku na twarz i krwawiąc na chodnik. Przestań się śmiać, dupku.

- Nie śmieję się.

- Słyszę to w twoim głosie.

- No dobra. Śmieję się.

- Cholera, nie zdołałem nawet zadać jednego porządnego ciosu.

- Na to wygląda.

- Idź do wszystkich diabłów.

- Wcale nie wybieram się do piekła - czyli do domu, bo właśnie tam jest Victor. - Cale uniósł pojemnik ze spaghetti w geście uznania, a potem powiedział z pełnymi ustami: -Świetne żarcie.

- Zrobiłem je ubiegłego wieczoru.

- Przed czy po tym, jak wpadłeś na Joego Frazierę?

- Przed tym.

- Proszę. Łap. - Cale rzucił mu serwetkę. - Krew leci ci z nosa.

- Znowu? - Jud osuszył sobie nos. - Cholera. Zaczął wstawać.

- Zostań tam. Coś ci przyniosę. - Cale wrócił z dwoma stekami wyjętymi z zamrażarki. - Proszę, połóż to na twarz.

Jud zmarszczył czoło na widok steków.

- One są zamrożnięte.

- Taak, ale kawał mięsa dobrze robi na podbite oko, a lód zmniejsza opuchliznę. Masz dwa lekarstwa w jednym.

- Czy wszystko, co mogę dostać od przyszłego doktora Banninga, to porcja zamrożonego mięsa?

- Zamknij się i przyłóż sobie te steki. Kiedy odtają, możemy je usmażyć.

- A ja słyszałem, że zajęcia przygotowujące do studiów medycznych są takie trudne.

Cale nic nie odpowiedział, ale słowa brata bardzo go zaboląły. Spędził pięć nocy nad podręcznikami, żeby dostać naciąganą czwórkę z ostatniego testu z anatomii. Teraz podniósł czasopismo otwarte na rozkładówce.

- Oto lekarstwo. Proszę, spójrz.

Jud odsunął steki od twarzy i uniósł głowę.

- Ładna.

- Ładna? Czy to wszystko, co jesteś w stanie z siebie wykrzesać? - Cale ponownie przyjrzał się rozkładówce. - Więcej niż ładna. Chciałbym spotkać taką dziewczynę.

- Przydarzyło ci się to w ubiegłym roku, a twoje oceny sięgnęły dna.

Błąd Cale'a zawisł teraz w powietrzu między nimi. Chociaż jego starszy brat leżał z surowym mięsem na twarzy, chłopak poczuł się tak, jakby właśnie otrzymał solidny cios.

Jud założył nogę na nogę.

- Jak leci w szkole?

- W porządku.

- Poprawiasz oceny?

- Jezu... Zaczynasz mówić jak Victor. Wystarczy, że zbieram krytykę od staruszka. Nie potrzebuję wysłuchiwać jej również od ciebie. - Kiedy Jud nic nie powiedział, Cale dodał gorzko: - Nie chcę, żebyś mnie osądzał.

- Nie osądzam cię. - Jud ponownie zdjął z twarzy steki. - Co się dzieje?

- Nic.

- Coś jest nie tak. Jesteś zbyt drażliwy. Powiedz wreszcie, o co chodzi.

Cale rzucił czasopismo na werandę.

- Studia medyczne. Niemal wszystkie uczelnie odrzuciły moje podania. Nie pomagają nawet najwyższe oceny z egzaminów uprawniających do podjęcia studiów medycznych.

- Myślałem, że Dorsey wygłupiał się podczas naszej wczorajszej rozmowy telefonicznej.

- I tak, i nie.

- Wszędzie odrzucono twoje papiery? - Pytanie Juda zabrzmiało tak, jakby odrzucenie podania o przyjęcie na uczelnię było czymś tak samo nierzeczywistym jak lądowanie Marsjan lub też figurka Matki Boskiej roniąca prawdziwe łzy.

Cale miał ochotę uderzyć brata.

- Ciągle zostały mi jeszcze trzy uczelnie. Teksas, San Diego oraz University of South California.

- Przykro mi, stary.

- Taak, no cóż, teraz niewiele mogę na to wszystko poradzić. - To dziwne, że trudniej od osądów brata było mu przełknąć jego współczucie.

- Nie wiem, co zrobię, jeśli nie przyjmie mnie żadna uczelnia z tej ostatniej trójki.

- To niemożliwe, by wszyscy odrzucili twoje papiery. - Jud z powrotem położył się na plecach. - Dostaniesz się.

Świat jego brata był zbyt prosty. Po prostu zbyt prosty. Makaron przewrócił się w żołądku Cale'a, a on poczuł się tak, jakby zjadł go ze dwa kilogramy. Usiadł z powrotem na krześle i spojrzał na wodę, ponieważ patrząc na swojego brata, czuł się nikim.

Powietrze było całkiem nieruchome, a nad horyzontem unosiła się delikatna mgielka. Pogoda wydawała się niemal taka jak przed trzęsieniem ziemi, chociaż nad całą okolicą latały mewy. W chwilach poprzedzających trzęsienia ziemi wszystkie zwierzęta chowały się w kryjówkach - zapadała wtedy kompletna cisza, tak jakby cały świat wstrzymywał oddech.

Cale przysłuchiwał się pokrzykiwaniom mew. Kilka metrów dalej pluskała woda, uderzając cicho o piasek. W oddali rysował się ląd - nad Malibu widać było błyskawice. Ciężka, purpurowoszara chmura wisiała nad wzgórzami i Santa Monica pozostawało niewidoczne. Cale powędrował wzrokiem wzdłuż brzegu, dostrzegł słabe zarysy samolotów unoszących się nad portem lotniczym Los Angeles, a także białe skupiska nadmorskich miejscowości, z ich molami, przystaniami oraz domami stojącymi na nadbrzeżnych pagórkach.

Jud chrapnął głośniej, zatopiony w głębokim śnie. To było coś, co ostatnio rzadko zdarzało się Cale'owi. „Na pewno się dostaniesz”. Jego brat powiedział to z taką pewnością...

- Taak, Jud - powiedział cicho Cale. - To takie łatwe jak nabranie powietrza w płuca.

Chłopak poczuł, że żołądek mu za chwilę eksploduje. Za dużo makaronu. Jego kolejny wdech był tak samo płytki jak jego zasoby pewności siebie. Jud nie miał pojęcia, jak naprawdę wyglądało życie brata. Cale zamknął oczy, a wtedy przyszło mu do głowy, że być może żołądek nie buntuje się wcale z powodu pochłonięcia potężnej porcji spaghetti, tylko dlatego, że zdenerwował się z powodu urażonej dumy.

Jud obudził się później tego popołudnia z miękkim mięsem na twarzy. Usłyszał, jak Cale rzuca przed domem piłką do kosza. Kiedy starszy z braci znalazł się w środku budynku, położył steki na talerz i wsadził je do lodówki, a potem wyszedł na zewnątrz frontowymi drzwiami.

- Ej, pozwól, że pokażę ci, jak się w to gra. Cale zamarł w bezruchu, trzymając piłkę w swojej olbrzymiej dłoni.

- Taak, jasne. Przypomnij mi, kto się właśnie zdrzemnął, tatuśku? - Chłopak bez wysiłku rzucił piłkę hakiem, a ta pofrunęła wysoko w powietrzu, po czym wpadła do siatki, nawet nie dotykając obręczy. Chwilę później Cale z radością złapał piłkę i stanął twarzą w twarz z bratem, odbijając ją w przód i w tył.

- Ty zarozumiały dupku - powiedział Jud ze śmiechem.

- Zobaczymy, kto jest dupkiem, wielki bracie. Daję ci sześć punktów przewagi - dwa z powodu podeszłego wieku, a cztery za posiniaczoną

twarz. Przypomnij mi, żebym nauczył cię, jak unikać ciosów lub jak uderzać pięścią.

- Nie potrzebuję forów, geniuszu. Daj mi piłkę, a pokażę ci, jaki stary jestem.

Cale obdarzył go szerokim uśmiechem, a potem rzucił mu piłkę prosto w twarz.

Jud ruszył szybko do przodu, odwrócił się i prześlizgnął tuż pod długimi ramionami swojego młodszego brata, zdobywając punkt.

- Dwa do zera! Pieprzyć twoje fory.

Grali jeden na jednego przez bite czterdzieści pięć minut, z czerwonymi twarzami, zmierzwionymi czuprynymi, przepoconymi podkoszulkami przyklejonymi do ciał oraz rękami i nogami lśniącymi od potu w promieniach popołudniowego słońca. Po upływie godziny obaj schylili się, przypominając dwa psy mierzące się wzrokiem. Obydwaj dyszeli tak ciężko, że nie byli w stanie mówić. Jud prowadził, miał zaczerwienioną twarz, a oczy szczypały go od słonego potu. Wychrypiał tylko: „woda”.

Cale skinął głową. Obydwaj spojrzeli równocześnie w stronę węża ogrodowego. Ten, który dotrze tam pierwszy, zdobędzie dostęp do wody, a do tego luksus kilku dodatkowych oddechów w czasie oczekiwania, aż drugi z nich skończy pić. To był wyścig. Cale wystawił nogę do przodu. Jud przeskoczył nad nią, przesunął się szybko na bok, obrócił, po czym rzucił się w stronę węża. Pił przez okrągłe dwie minuty, podczas gdy zziębnięty Cale stał obok z rękami opartymi na kolanach.

Z końcówki węża płynęła ogrzana słońcem woda. Jud długo pił, a potem polewał spoconą głowę, póki ból nie ustał. Otrzeptał się niczym mokry spaniel i rzucił wąż bratu.

Jud przeszedł kilka kroków, podniósł piłkę i zaczął ją odbijać.

- Przyznajesz się do porażki?

- Ja? - Cale uniósł głowę znad węża i otarł usta. - Nie ma mowy.

Dopiero się rozgrzewam.

- To dobrze - skłamał Jud i rzucił piłką, mierząc w żołądek Cale'a.

Przez ułamek sekundy młodszy z braci wyglądał tak, jakby miał zamiar dostać torsji. Później na kolejne brutalne pół godziny rzucili się do walki. Jud odbił piłkę od nogi brata i wcisnął mu łokieć w brzuch.

- Oj, studenciku, robisz się miękkimi.

- Idź do diabła, Jud. - Cale uderzył go całym ciałem. - No i kto tu jest miękkimi, mięczaku?

Przepychali się po całym boisku, bijąc się i okładając. W końcu Cale uderzył brata w głowę wierzchem dłoni, po czym zabrał mu piłkę i stanął ponad metr dalej, przerzucając piłkę z ręki do ręki.

Jud zaczekał, aż piłka zaczęła uderzać o asfalt w jednym rytmie z ich oddechami, a potem rzucił się do przodu niczym błyskawica i przejął ze śmiechem piłkę, nie zwracając uwagi na piekielny ból w żebrach.

Wyciągnął przed siebie piłkę.

- Chodź tu i weź ją, dupku.

Cale rzucił się do przodu. Jud wystawił nogę i brat wyłożył się jak długi na asfalcie. Pod pretekstem gry w koszykówkę sprawili sobie nawzajem solidne lanie. Zanim słońce zaszło za wzgórzami, kolana Cale'a

krwawiły, a Jud myślał, że zaraz umrze, bo miał nogi jak z gumy i czuł morderczy ból głowy.

Nie zamierzał jednak przegrać. Widział rozkojarzenie na rozwścieczonej, czerwonej twarzy Cale'a i szukał oznak cierpliwości, której ten nie miał - ani teraz, ani nigdy wcześniej. Ruchy młodszego brata były nieskoordynowane, ciosy zadawane na oślep, a posunięcia desperackie.

Koniec końców obaj wylądowali na ziemi na plecach. Obolali, dyszeli, krwawili, wpatrując się w nocne niebo, którego wyrazistości nie zakłócało sączące się zza wzgórz światło dzienne. W oddali słychać było muzykę - perkusję i gitary elektryczne. Pewnie gdzieś w mieście jakiś zespół dawał koncert. Kiedy Jud wreszcie się odezwał, powiedział tylko jedno słowo:

- Przegrałeś.

Cale podniósł się i rzucił w niego piłką. Jud odbił ją ramieniem, a kiedy piłka potoczyła się dalej, leżał wciąż, zasłaniając ramieniem oczy. Był tak zmęczony, że nie wiedział, czy zdoła wstać. Usiadł z burknięciem i oparł ramiona na zgiętych kolanach.

- Nie przegrałbyś, gdybyś wykazał trochę cierpliwości. Dajesz się ponieść emocjom.

- Wiem, jak gra się w koszykówkę.

- Mówię ci tylko, w jaki sposób wygrywać. Cale nawet nie popatrzył na brata.

- Rozpalę grilla i upiekę te steki. - Jud uważał, że takie słowa można odebrać jako propozycję zawarcia pokoju. W końcu to był jedynie mecz.

- Nie jestem głodny - odparł Cale i pokuśtykał do drzwi. Na progu obejrzał się - na twarzy malowała mu się gorycz. - Nie będzie mnie dziś w nocy w domu - rzucił i zatrzasnął za sobą drzwi.

Jud powoli wstał, delikatnie się chwiejąc. Samo podniesienie się z ziemi niemal go zabiło. Pokuśtykał przez podjazd w stronę węża i przez dłuższą chwilę polewał się wodą po głowie. Potem ciśnienie gwałtownie spadło, a strumień zmałał - włączony został prysznic w domu. Kiedy Jud znalazł się w środku, słyszał przez korytarz, jak jego brat się kąpie. Zastanawiał się nad przeprosinami, ruszył jednak w stronę kuchni. Nie będzie go przepraszał ani za danie małej nauczki, ani za wygranie meczu. Jego własna opuchnięta twarz miała teraz randkę z workiem lodu, a on sam nigdzie się nie wybierał tego wieczoru.

Niech to wszyscy diabli! - powiedział do siebie. Sam zjem obydwie steki.

10

Laurel chciała wierzyć, że gdzieś na tym wielkim globie żyje chłopak, który ją pokocha. Oczywiście, mógł się on znajdować gdzieś we Francji, podczas gdy ona tkwiła na zachodnich obrzeżach innego kontynentu... Dziewczyna przeszła samotnie zatłoczonym nabrzeżem wyspy, a w ślad za nią płynęły dźwięki zespołu grającego na moło, zapach kanapek z owocami morza oraz słodzonej karmelem kukurydzy. Kupiła sobie toffi i usiadła na ławce w jaskrawym świetle rzucanym przez zawieszane nad jej głową latarnie z papierowymi lampionami. Wszędzie dokoła słychać było śmiech, rozmowy, muzykę. Odgłosy życia, nawet jeśli należało ono do innych ludzi.

W domu jej matka siedziała w fotelu i czytała powieści opisujące losy bohaterów, których życie wydawało się bardziej ekscytujące od ich własnego, lub też oglądała telewizję, w której prawdziwe były jedynie wiadomości. Zamiast ukrywać się w Seattle Kathryn Peyton ukrywała się teraz tutaj.

Laurel czuła się tak, jakby została wyrwana z korzeniami i przesadzona w jakieś miejsce daleko od domu. Walcząc z przygnębieniem, wzięła do ust kawałek toffi i przyglądała się ludziom, którzy parami lub grupkami przechadzali się po piasku. Kiedy spojrzała na plażę, dostrzegła starszego mężczyznę, który powoli oddalał się od innych spacerowiczów niczym jakaś zagubiona dusza. Zaczęła się zastanawiać, co dzieje się w sercach i umysłach innych samotnych ludzi.

Z dala od tłumu kolejny samotnik stał z rękami w tylnych kieszeniach dżinsów i wysuniętym jednym biodrem, wpatrując się w

wodę. Szerokie bary i wąska talia tworzyły trójkąt klasycznej męskiej sylwetki. Jego wzrost i jasne włosy wydały jej się znajome. Wyglądał tak samo jak wczoraj, kiedy stał przy relingu łodzi, zanim zdradziła mu swój wiek.

To była jej szansa, by wszystko naprawić. Mogła spytać, jak się czuje - udając, że żadna jego odpowiedź nie może zbić jej z tropu - a potem dodać: „Nie widziałam, by ktokolwiek padł tak szybko, od czasów, kiedy Cassius Clay pobił Sonny'ego Listona". Dostała szansę, by przedstawić się jako osoba dowcipna, niepospolita i światowa komuś, kto uważał, że ona wcale taka nie jest. Dzisiaj miał na sobie niebieską koszulkę polo, i to właśnie za nią przebijała się przez tłum. Jego kroki były jednak dłuższe niż kroki Laurel, więc wkrótce musiała zacząć biec, by za nim nadążyć. Wyciągnęła rękę i złapała go za ramię.

- Ej, ty.

Odwrócił się i popatrzył na nią.

Boże... to nie był on. Przez pełną zakłopotania, okropną chwilę stała w miejscu bez ruchu.

- Przepraszam. Pomyliłam się. Myślałam, że to ktoś inny.

- Szczęściarz - odparł.

- Niezupełnie. - Laurel zaczęła się odwracać.

- Zaczekaj, nie odchodź. - Wyciągnął ręce do góry, pokazując dłonie.

- Mogę być, kimkolwiek zechcesz. A może to moja szczęśliwa noc, a ty wybierzesz mnie w miejsce kogoś innego. Jestem nawet niezłą partią - nazywam się Cale Banning.

- Cale? - powtórzyła bezmyślnie, zaskoczona jego próbą flirtu. Jej wypowiedź zabrzmiała idiotycznie, i to był przypuszczalnie prawdziwy powód, dla którego nie bywała na randkach.

- Taak. - Wepchnął dłonie do kieszeni spodni. - Tak samo jak „kale”, czyli po angielsku „jarmuż”, tyle że z „c” na początku.

Laurel roześmiała się.

- To niewiarygodne.

- Co takiego? Ty również masz na imię Cale?

-Nie.

- Coś związanego z kapustą?

-Nie.

- Może z bakłazanem?

Potrząsnęła głową.

- Na pewno brukiew.

-Jestem Laurel..

- ... czyli po angielsku „wawrzyn” - powiedzieli jednocześnie.

- Laurel Peyton - dodała.

- No cóż, Laurel-niczym-wawrzyn Peyton. - Wziął ją za rękę. - Czy to moja szczęśliwa noc?

Laurel poczuła, że w tym momencie coś zaczyna w niej topnieć. Podczas pełnej niezręczności, długo ciągnącej się chwili milczenia Cale przyglądał się nieznajomej z natężeniem. Ona z kolei zaczęła zastanawiać się, kogo on w tej chwili widzi. Czy w oczach tego chłopaka wygląda na osobę pustą, zagubioną i kurczowo trzymającą się jego słów?

- Skoro nie powiedziałaś „nie”, chodź. - Pociągnął ją ze sobą.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Tam. - Skinieniem głowy coś wskazał, jednak Laurel nie mogła tego dostrzec z powodu tłumu.

- Zaczekaj, proszę. Cale zatrzymał się.

- Nie niszczyć tej nocy, mówiąc teraz „nie”.

- Nic nie widzę przez ten tłum. Gdzie znajduje się owo „tam”?

- Nie wierzysz mi. Drażnił się z nią.

- Nie znam cię. I nie ufam ci.

- Sprytna jesteś. - Uśmiechnął się szeroko i nagle kwestia zaufania przestała stanowić jakikolwiek problem. - Zamknij oczy, Laurel-niczym-wawrzyn Peyton, i po prostu zrób ze mną dziesięć kroków. Znajdujemy się na plaży, otoczeni przez setki ludzi, jesteś więc bezpieczna. Tylko dziesięć kroków. Podaj mi rękę.

- Nie wierzę, że to robię. - Wyciągnęła rękę i zamknęła oczy. Skóra na jego rękach była zgrubiała, a kiedy trzymał jej dłoń, poczuła jakąś wewnętrzną lekkość, jakby była balonem, który ktoś musi przytrzymać na linie, żeby nie uleciał w przestworza. Pociągnął ją delikatnie za sobą.

- Oszukujesz, dziewczyno. Nie otwieraj oczu.

- Nie oszukuję.

- Tylko się upewniam. — Ponownie ujął jej rękę. - W porządku, idziemy. Jeden, dwa, trzy... - Pociągnął ją mocniej. - Cztery, sześć, osiem, dziesięć.

- Zaczekaj. - Zaparła się nogami w piasku. -I kto tu oszukuje?

- Ja liczę, nie oszukuję. Zamknij oczy. Skrzyżowała ramiona.

- Ciąg „dwa, cztery, sześć, osiem” nazywasz liczeniem? Mówiłeś, że do której szkoły chodzisz?

- Nie mówiłem niczego takiego.

- Och, to wszystko wyjaśnia. Nie chodziłeś do szkoły. -Z każdą chwilą coraz swobodniej się śmiała, a żarty stanowiły podstawę ich przyszłej komitywy. Wydawało jej się, że te słowa będzie pamiętała nawet za pięćdziesiąt lat.

- W tym roku kończę naukę w Loyoli.

- Czy tak właśnie nauczono cię liczyć w trakcie czterech lat studiowania? Powinieneś zażądać zwrotu czesnego.

- Nie, w taki sposób liczą koszykarze. Liczymy punkty - rzut oznacza dwa lub trzy punkty.

- Koszykówka. Jesteś taki wysoki. Powinam była się domyślić. Cale się roześmiał.

- Jeśli ktoś jest wysoki, musi być koszykarzem? To dyskryminacja.

- Och, teraz rozumiem... Loyola? Wybierasz się na studia prawnicze.

-Nie.

- No cóż, oboje wiemy, że nie jesteś asem z matematyki.

- Pozwól, że policzę jeszcze raz. Dwie nerki. Dwa płuca. Dwieście sześć kości. Wybieram się na studia medyczne. Jesteśmy na miejscu. Możesz otworzyć oczy.

Jego twarz była pierwszą rzeczą, którą zobaczyła. I wtedy poczuła coś dziwnego - ciężar powietrza na swojej nadwrażliwej i wyczulonej na bodźce skórze.

Położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją, jednak nie odsunął rąk.

- To właśnie tu miałem zamiar cię zabrać. Musiała odchylić się do tyłu, by na niego popatrzeć.

- Mnie i moje dwieście sześć kości?

- Ciebie i twoje dwieście sześć kości.

Stali na skraju pomostu, dzieliło ich od siebie kilkanaście centymetrów. W pobliżu pary tańczyły w rytm muzyki granej przez jakiś zespół. Laurel czuła jego dłonie na swoich ramionach i wydawało jej się, że stojąc tak razem, robili coś najbardziej naturalnego na świecie. Dotychczas była samotna, a teraz nieznajomy chłopak sprawił, że wszystko się zmieniło. To dziwne, w jaki sposób życie może się odmienić w ciągu kilku uderzeń serca. Laurel zamknęła oczy i delikatnie zaczęła poruszać się w rytm muzyki, potem przypomniała sobie to samo cudowne uczucie, które przeżyła wczoraj na łodzi.

- Mam siedemnaście lat - wyrzuciła z siebie. Cale nic nie powiedział.

- Powinieneś o tym wiedzieć. Niedługo będę miała osiemnaście. -

Odwróciła się w jego stronę, a jego dłonie odsunęły się. Bez tego dotyku nagle poczuła się odsłonięta.

Cale przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Ale w tej chwili masz siedemnaście lat.

Laurel skinęła głową, czekając na słowa: „Miło było cię poznać, mała”.

- To tak jak bohaterka piosenki Beatlesów, *I saw her stan-ding there* - powiedział i zaczął nucić.

Laurel wybuchnęła śmiechem, częściowo z powodu odczuwanej ulgi, a częściowo dlatego, że Cale zaczął dalej się z nią drażnić, śpiewając cienkim głosem kolejne wersy piosenki. Nie przestał, dopóki zespół znów nie zaczął grać.

- To właściwa piosenka - powiedzieli jednocześnie. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że coś mogło zostać ukartowane przez los.

- Laurel - powiedział, tym razem wymawiając jedynie jej imię. Splótł razem ich palce i pociągnął ją do tańca, wywołując u niej łaskotanie w żołądku. Byli tak blisko siebie, że ich ciała delikatnie ocierały się o siebie. Cale pachniał mydłem Ivory oraz wodą po goleniu. Laurel położyła dłoń na jego koszulce w miejscu, gdzie bawełna wydawała się ciepła i miękka, zupełnie jakby skrywała takie samo serce.

Cale przesunął powoli dłoń po jej plecach. Tego rodzaju dotyku dziewczyna nigdy nie zapomina. W tym geście kryła się zaborczość.

- Tańcz ze mną - powiedział, jednak nie o to tak naprawdę ją prosił, gdyż już poruszali się w rytm muzyki. Za jego plecami na niebie błyszczało tyle gwiazd, że mogły one rozświetlić całą wyspę. Jasne punkty na ciemnym tle przypominały fajerwerki, popiół wulkaniczny lub też robaczki świętojańskie.

Kiedy tańczyli w rytm wolnej muzyki, Cale założył sobie dłoń Laurel na szyję, a nad jego ramieniem widoczna była olbrzymia, jasna tarcza księżycy.

- Dziś w nocy chcę tańczyć z tobą na piasku, Laurel-jak--wawrzyn Peyton. Chcę również, żeby wszyscy wokół nam się przyglądali.

- Dlaczego mieliby się nam przyglądać?

- Ponieważ jesteś najpiękniejszą dziewczyną na wyspie. Wyraz jego twarzy powiedział jej, że on naprawdę wierzy w swoje słowa. Zabawne, ale w tej chwili ona sama również w to uwierzyła.

Kiedy Cale był z dziewczyną, czas po prostu przestawał się liczyć. Nie istniały odmowy przyjęcia na uczelnie medyczne, głos Victora, oczekiwania, którym nigdy nie będzie w stanie sprostać, czy też doskonały brat, którego śladami powinien podążać. Nie musiał wygrywać czy

przegrywać meczów koszykówki, czy też grać jak Jud. To przypominało raczej powrót do tego szczególnego miejsca i czasu, kiedy mógł pić colę, zjadać kanapki z sałatką jajeczną oraz nadziewane masą biszkopty, a także rozmawiać z kimś, kto mówił mu, że może zostać, kim tylko zechce.

Usiedli we dwoje na ławce i rozmawiali, zaskoczeni pragnieniem dowiedzenia się o sobie nawzajem wszystkiego w ciągu jednej nocy. Kilka osób koczowało na molo po skończonym koncercie. Ludzie ci siedzieli na piasku lub na schodach prowadzących na pomost, rozmawiali w pobliżu budynków, w których znajdowały się bary z oknami wychodzącymi na wodę. Wszyscy chcieli zatrzymać urok tej nocy, pragnął tego również Cale, patrząc, jak Laurel szuka czegoś w swojej makramowej torebce. Jej brązowe włosy, przypominające kolorem wypolerowany orzech włoski, opadały w dół, osłaniając oblicze dziewczyny przed wzrokiem Cale'a.

Szybko zrozumiał, iż klucz do myśli jego towarzyszki widoczny był w rysach jej twarzy - można tam było dostrzec poczucie humoru, kiedy się z nim drażniła, a także linie mimiczne wywoływane przez uśmiech, kiedy to on drażnił się z nią. Na jej obliczu dostrzegł również zrozumienie, gdy powiedział, że jego rodzice od dawna nie żyją. Zobaczył tam również pustkę, gdy ona opowiadała o przeprowadzce z Seattle. Kiedy Laurel przyznała, iż tak naprawdę nigdy nie знаła swojego ojca, na bladej twarzy dziewczyny pojawił się dziwny smutek z domieszką jakiejś wrogości.

Odczuwała wszystko tak samo jak on. Tyle fragmentów jego życia zostało usuniętych głębokimi cięciami, że zagojenie się ran wymagało wielu lat - jeśli to w ogóle było możliwe. Gdy jednak ona uniosła wzrok znad swojej torebki, trzymając zmięte opakowanie z toffi, Cale poczuł

radość. Jej uśmiech wyrażał coś w rodzaju okrzyku „eureka!”, a on zaczął się zastanawiać, które z nich trafiło na skarb.

Im dłużej jej się przyglądał, tym większą miał ochotę, by ją pocałować, przytulić do siebie, aż ich biodra zetkną się ze sobą, a on będzie mógł dotknąć jej sekretnych, wilgotnych miejsc i zatracić się w tej cudownej istocie. Dotknął jej - po prostu chcąc założyć jej kosmyk włosów za ucho - jednak wycofał się z obawy, że może natychmiast spłonąć. Jego ręk nie dałoby się już powstrzymać - wiedział to po tym, jak z nią tańczył. W znajomości z dziewczyną taką jak Laurel była jakaś nowość i delikatność, wrażenie, że on może powiedzieć lub zrobić coś niewłaściwego, a ona wtedy odejdzie.

- Masz ochotę na toffi? - spytała.

- Jasne. Cheeseburger, frytki, piwo i lody to za mało.

- Nie zjadłam tego wszystkiego. Ty - owszem. Ja wybrałam hot doga.

- Zjadłaś pół hot doga.

- Pół mi wystarczyło. Hot dogi robi się przecież z warg, kopyt i ryjów.

- A na dokładkę z jelit - dodał bez zmrużenia oka. Prowadzone przez nich rozmowy miały specjalny rytm, tak jakby dwójka muzyków instynktownie przejmowała nawzajem motywy. Doskonale się do siebie dostroili. Laurel rozpakowała kawałek toffi.

- Wszystkie są takie same - powiedział Cale. - Toffi w czerwone paski.

- Cynamon - oznajmiła i podsunęła mu kawałek pod nos. — To jedyny smak.

- A gdzie banany, czekolada i lukrecja? Jest jeszcze przynajmniej tuzin innych smaków.

- Jeśli mam coś zjeść, wybieram tylko to, co najlepsze. W dziwaczny sposób zawisła między nimi rzadka chwila milczenia. Nie był wobec niej całkiem szczery, jeśli chodzi o studia medyczne, nawet jeśli właściwie nie skłamał. Ukrył tę niezadowolającą część samego siebie za murem żartów i dowcipów, nie mówiąc jej, że zaważył najważniejszą rzecz w swoim życiu. Laurel chciała mieć to, co najlepsze, a on chciał tej nocy jak najlepiej wypaść w jej oczach, dlatego opowiadał o koszykówce, dopóki nie zabrakło mu słów.

Laurel spojrzała na zegarek.

- Muszę wracać do domu.

- Odprowadzę cię - powiedział, nie dając jej żadnego wyboru. Nie miał pojęcia, jak ona się czuła - czy nie zanudził jej na śmierć, gładząc o koszykówce niczym jakiś sportowiec. Zanim się odwróciła, ujął ją za rękę, a gdy przechodzili pod latarnią, wychwycił delikatny uśmiech na jej twarzy. W porządku - pomyślał. Jest dobrze.

Aż nazbyt szybko stanęli na rogu Descanso Street.

- To mój dom. - Laurel wskazała stojący nieopodal szary parterowy dom, gdzie na stole obok frontowego okna paliła się lampka. Firanki były częściowo odsunięte, a nad drzwiami werandy paliło się bardzo jasne światło. Cale widział komary i ćmy, krążące bezmyślnie wokół źródła światła.

Kiedy podeszli do domu, postanowił zaryzykować.

- Oboje mamy w tym tygodniu wolne. Wybierzmy się jutro wspólnie na plażę.

- Jasne.

- Jaki jest twój numer telefonu?

Od razu mu podała, a on natychmiast go zapomniał.

- W ten sposób zapamiętujesz wszystkie kości w ludzkim ciele? - spytała.

- Oszukuję.

- W porządku. - Zapisała swój numer na jego dłoni, a potem na każdym z jego palców. - Notatki oszustów.

Roześmiała się, przypominając mu, jakie wrażenie zrobił na nim ten dźwięk dzisiejszej nocy - był niczym pierwsza odrobina cukru dla kogoś, kto przez całe życie miał do czynienia jedynie z solą.

Kiedy Laurel na niego spojrzała, Cale poczuł się, jakby stał się wyższy i mądrzejszy, jakby nie był sobą samym, lecz kimś, kogo ona pokocha. Zobaczył to na jej twarzy, w odbiciu gwiazd w jej oczach. W tej chwili potrafiliby przeskoczyć wysoki budynek jednym susem. Może to właśnie była dziewczyna, która pokocha go za to, kim nie był.

Cale uniósł brodę Laurel i nachylił się, by ją pocałować.

- Światło na werandzie - powiedziała podenerwowana. - Mama ciągle na mnie czeka.

- To nic wielkiego.

- Ale krępujące.

Sięgnął do góry i wykręcił żarówkę.

- Czasami bycie wysokim to przydatna rzecz. Jego wzrok potrzebował minuty, by przyzwyczać się do ciemności. Kiedy stali tak blisko siebie, że ich oddechy mieszały się ze sobą, Cale poczuł zapach cynamonowego toffi w powietrzu. Oboje niemal spłonęli, gdy ją

pocałował - byli jak drzewo rażone piorunem lub też sterta suchych liści, do której przytknięto zapalną. Cale poczuł tak silny przypływ pożądania, że musiał cofnąć się, zadowolony z ciemności, które kryły jego zaczerwienioną skórę. Brak światła nie mógł jednak zamaskować pragnień jego serca.

- Zadzwoń do ciebie jutro - powiedział, a Laurel bez słowa weszła do środka. Cale oddalił się, ale przystanął pod latarnią na rogu, zmuszony do spojrzenia na dom znajdujący się za jego plecami. Wyglądał tak samo zwyczajnie jak inne przy tej ulicy i w niczym nie przypominał miejsca, w którym mieszkałby anioł. Cale dostrzegł przez okno jej sylwetkę, kiedy pochylała się nad lampą. Spojrzała prosto na niego, zamarła w bezruchu na jedno lub dwa uderzenia serca, a potem przytknęła dłoń do szyby. Cale uniósł dłoń i stał tak nawet wtedy, gdy Laurel wyłączyła światło, a on nie mógł już jej dostrzec.

Wreszcie ruszył w stronę domu, włożywszy rękę do kieszeni. Pogwizdywał melodię piosenki Beatlesów. W powietrzu unosiła się dziwaczna zapowiedź wiosny, kiedy to noce pełne były sukcesów, cynamonowe toffi miało smak nowej miłości, a przyćmione życie mogło nagle rozbrzmieć nieograniczonymi możliwościami.

11

Kathryn trzymała swój samochód na stałym lądzie, w garażu w San Pedro - w Los Angeles posiadanie własnego pojazdu było koniecznością. Będąc na wyspie, każdego dnia piechotą pokonywała kilka przecznic dzielących jej pracownię i sklep od domu. Trasa prowadziła wąskimi uliczkami, które rozchodziły się po wybrzeżu niczym słowa na planszy do scrabbli, tworząc siatkę sięgającą aż po domy rozrzucone pomiędzy starymi grabami. Miasteczko wyglądało całkiem oryginalnie dzięki czerwonym i różowym pelargoniom w skrzynkach na oknach. Właściciele restauracji pozawieszali ręcznie malowane szyldy, jednak tablic ze szczegółowym menu rzadko używali - już z odległości jednej przecznicy dało się wyczuć, co jest specjalnością dnia. Wyjątkowość tej wyspy zrodziła się wśród nieustannego pokrzykiwania mew, a polegała na tym, że na nawierzchniach dróg więcej było tu odcisków stóp niż śladów opon.

O wpół do dziesiątej rano powietrze miało już osiemnaście stopni Celsjusza, a słońce zaczynało rozgrzewać chodniki i asfalt. Kathryn zajrzała do małego, znajdującego się przy bocznej uliczce sklepu, żeby kupić herbatę i cukier do swojej pracowni. W większości sklepów w sąsiedztwie królowała nostalgia. Do przeszłości należały codzienne dostawy świeżego pieczywa czy mleka. W sklepie nie było firmowych stoisk poszczególnych piekarni ozdobionych balonami, gigantycznych słoików z przetworami obok kasy czy też otwartych pudełek ze słodyczami za kilka centów. W powietrzu unosił się jedynie aromat świeżo zmielonej kawy, jednak dzięki temu taki sklep nie wydawał się chłodnym i lśniącem miejscem, oferującym zbyt wielki asortyment towarów, a więc coś, czego

tak naprawdę nikt nie potrzebował. To problem dzisiejszych czasów. Człowiek ma za duży wybór. Trzeba podejmować zbyt wiele decyzji. życie przypomina supermarket.

Klienci w kolejce do kasy rozmawiali o dzieciach, sprawach związanych z Wielkanocą oraz o ostatniej podwyżce kar w bibliotece, więc Kathryn spojrzała na stojak z czasopismami stojący obok lady. Pod tytułem „Look”, wypisanym wielkimi, drukowanymi literami, widniał nagłówek: „Rozwój i osiągnięcia: Amerykanie mówią o swojej pracy”. Wzrok Kathryn przyciągnęło znajome nazwisko wypisane białymi literami na czarnym tle. Z pięciu rzędów czasopism na stojaku wpatrywała się w kobietę twarz Victora Banninga. Pudełka z kawą i cukrem wyslizgnęły jej się z rąk. Sięgnęła po czasopismo, podczas gdy ktoś postawił na ladzie jej zakupy. Banning Oil nazywało się teraz BanCo, a firmą kierowali wspólnie potomek oraz ojciec mężczyzny, który zabił Jimmy'ego.

- Wie pani, oni mają tutaj posiadłość. Kathryn odwróciła się w stronę kobiety stojącej za nią.

- Słucham?

- Banningowie. Mają dom przy Hamilton Cove. Nie bywają tam tak często jak niegdyś, ale Victor Banning - mężczyzna, który znajduje się na tej okładce - posiada trzydziestometrowy jacht o nazwie „Catalan”. Nie sposób go nie dostrzec, gdy zawija do portu.

- Czy to pani herbata i cukier? - spytała dziewczyna przy kasie. - Chce pani również kupić to czasopismo?

- Nie. To wszystko. - Kathryn odłożyła magazyn z powrotem, szybko zapłaciła i wyszła. Kiedy postawiła torbę z zakupami na swoim stole w

pracowni, brązowy papier był całkowicie pomięty od jej uścisku. Kompletnie nie pamiętała, jak tu dotarła ani jak otworzyła drzwi.

Banning Oil. Te dwa słowa przyprawiły ją o nierówne bicie serca i sprawiły, że oczy zaszły jej krwią. Stacje benzynowe tej firmy widywała często na stałym lądzie, wraz z ich wielkimi, okrągłymi, biało-niebieskimi szyldami na skrzyżowaniach ulic. Oprócz tego znajdowały się tam także reklamy sieci warsztatów samochodowych czy też firm produkujących akcesoria motoryzacyjne. Te symbole rozmazywały się w oczach Kathryn, kiedy kilka razy w roku przejeżdżała głównymi arteriami komunikacyjnymi.

Teraz to jedno zdanie - „Wie pani, oni mają tutaj posiadłość” - sprawiło, że jej cudowny, nowy świat skurczył się i przestał prawidłowo funkcjonować. Kathryn poszła do małej łazienki przylegającej do pracowni i przemyła twarz, jakby w ten sposób mogła pozbyć się przykrego uczucia. Opierając dłonie na umywalce, spojrzała w lustro. Już wcześniej to przerabiała.

Muszę się od tego uwolnić - pomyślała. - Nie jestem Julią.

Kathryn zrobiła sobie herbatę i posłodziła ją. Chwilę później ogarnęła ją frustracja i nieopanowana złość, kiedy odkryła, że cytryna na lądzie pozieleniała i zepsuła się. Wściekłość zmusiła ją do pójścia po nową cytrynę, tak więc minęło sporo czasu, nim siadła do swojego koła garncarskiego i uciekła przed resztą dnia. W samotności procesu twórczego było coś, co zapewniało bezpieczeństwo. Tutaj mogła się rozluźnić, nawet w jeden z tych pogodnych dni, w które trudno się ukryć.

Było kilka minut po piątej, kiedy Kathryn weszła do domu i usłyszała dzwonek telefonu. Stephen Randall chciał umówić się na randkę

na sobotę. Kathryn powiedziała „tak” i rozłączyła się, nim zdążyła zmienić zdanie. Miała dziwne przeczucia w stosunku do tego, co ją czekało - nie były one ani dobre, ani złe. Evie nie zastała w domu, gdy do niej zadzwoniła, a pokój Laurel był pusty, więc Kathryn przejrzała szafę, żeby znaleźć coś, co mogłaby włożyć w sobotę. Kiedy Laurel wróciła z plaży, jej matka siedziała na łóżku, otoczona stosami niemodnych sukienek, kostiumów z ciemnej wełny ze spódniczkami sięgającymi poniżej kolan oraz rozpinanych swetrów. To wszystko były ubrania wybierane zgodnie z gustem Julii. Kathryn spojrzała na córkę stojącą w drzwiach jej pokoju.

- Mam dwadzieścia pięć par butów i żadnych ubrań.

- To nie są buty, mam. - Laurel zawiesiła na palcu wykonane ze sztucznej skóry czółenka na płaskim obcasie ze złotą sprzączką. — Coś takiego noszą pątnicy.

- Sądzę, że muszę wsiąść na łódź i zrobić solidne zakupy. Pomożesz mi wejść w lata siedemdziesiąte. Zorganizujmy tę wyprawę pojutrze.

Uśmiech zniknął z twarzy Laurel.

- O co chodzi?

- Mam plany, mam. Na cały tydzień. To ferie wiosenne. -Nie sposób było przeoczyć paniki w głosie Laurel. Dziewczyna zareagowała tak, jakby sądziła, że matka chce coś jej zabrać.

- W porządku - powiedziała Kathryn spokojnie. - Pojadę sama.

Córka stała przed nią w swoim pasiastym bikini, na które narzuciła jakąś koronkę. Miała przypalony od słońca nos i opalone nogi lśniące od masła kakaowego, w ręce trzymała słomkową torbę plażową. Była zaróżowiona, emanowała promieniami słońca oraz czymś, co wyglądało

na niepohamowane szczęście. W niczym nie przypominała smutnej, samotnej dziewczyny, która płakała w poduszkę tamtej nocy.

- Zostajesz w domu na kolację? Laurel potrząsnęła głową.

- Wychodzę. Muszę wskoczyć pod prysznic.

Zaraz potem zniknęła. Kathryn została sama ze stertą rzeczy nadających się dla Armii Zbawienia, ponownie zaskoczona zwrotem wydarzeń w jej życiu. Gdzie był Biały Króliczek? Dwie noce temu nie mogła spać z powodu poczucia winy, że przeprowadziła się tutaj w poszukiwaniu własnego szczęścia. Samolubna kobieta. Niedobra matka. Te zdania stały się jej mantrą podczas bezsennych nocy. Tego ranka wróciła do niej przeszłość, uderzając ją po twarzy. A teraz okazało się, że jej niezwykle samotna córka jest zbyt zajęta, żeby wybrać się z matką po zakupy - a ten wyjazd był potrzebny matce dziewczyny, gdyż wybierała się na randkę. Kathryn Peyton umówiła się na randkę. Jak brzmiała jej nowa mantra? Zmiany są dobre. Zmiany są ekscytujące. Zmiany potrafią pchnąć wszystko w nowym kierunku. Przynajmniej coś takiego powtarzała jej Evie.

Laurel zawsze marzyła o miłości - o takim uczuciu, jakim darzyli się jej rodzice: miłość otwierała duszę, przepelniała ją, dawała poczucie spełnienia i sprawiała, że dziewczyna stawała się kobietą. Kiedy już się ją odkryło, miłość stawała się radosna, cudowna i nieskomplikowana. Czym więc było to dzikie uczucie płonące w jej wnętrzu, coś, czego bała się nazwać, co zamieniało ją w roztopioną lawę? Wychodziła na zewnątrz z zamiarem zwolnienia biegu wydarzeń, ale jej ciało szukało bliskości ciała Cale'a, zachęcając go, by dotykał jej w skrytych i intymnych miejscach. Wybrali się na plażę, zjedli kanapki i lody, całowali się pod gwiazdami,

opowiadając sobie nawzajem o swoich losach i marzeniach, nie wspominając jednak o obawach. A to sprawiłoby, że pewne rzeczy stałyby się zbyt poważne.

Wszystko pomiędzy nimi działo się niewiarygodnie szybko. Kilka pocałunków zamieniło się w długie przytulanie się, a jeśli Cale dotknął jej w pewien konkretny sposób, otwierała się na jego dłonie i usta, pozwalając mu robić to, czego tak bardzo pragnęła. Wmawiała sobie, że nie ma w tym nic złego. Mogli się dotykać, a potem po prostu przestać. Po powrocie do domu kładła się do łóżka wciąż otoczona wilgotnymi resztkami tego, co robili, a rano czuła ból mięśni ramion spowodowany wielogodzinnym przytulaniem się do jego szerokich ramion i klatki piersiowej. Jej sutki twardniały, ilekroć patrzyła na niego, kiedy tylko ją całował, a nawet wtedy, gdy jedynie o nim myślała. W czym ciele ona żyła?

W cztery dni od spotkania z Cale'em — cztery dni, które w większej części spędzili razem - przyjechał po nią wózkiem golfowym z zielonym, pasiastym daszkiem obrzeżonym frędzlami.

- To cukierkowy samochód - powiedziała, wsiadając.

- To prawda. - Rzucił na jej kolana torebkę z toffi w czerwono-białe paski i zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni.

Gdy wyjechali z miasta i zaczęli piąć się na wzgórza, prowadził wózek golfowy zupełnie tak, jakby starał się uciec przed kimś na polu minowym. Wszystkie ostre zwroty i gwałtowne przyspieszenia sprawiały, że Laurel wybuchała śmiechem i mocniej go ścisnęła, by utrzymać się na siedzeniu. Dotarli do odcinka prowadzącego pod górę, a wózek ledwie jechał.

Laurel dotknęła jego ramienia.

- Musisz popędzić batem chomika, który napędza silnik.

- Bardzo śmieszne.

- Czy mam wysiąść i zacząć pchać?

- Nie, po prostu oprzyj się i rozluźnij, bo będę musiał zrobić coś, by zamknąć te sprytne usta.

- Obiecanki-cacanki - powiedziała. Cale otoczył ją ramieniem i rozpoczął pocałunek, który trwał przez cały podjazd do góry. Na szczycie wzniesienia harcował wietrzyk od morza, który owiewał wzgórze i śpiewał wśród czubków drzew. Laurel poczuła na twarzy ukłucie i smak soli w ustach. Niebieska zatoka rozciągająca się poniżej wyglądała niczym śnieżny pagórek, z którego ktoś wykopał niewielki fragment. Białe żagle przecinały pomarszczoną wodę. Siedzieli we dwoje na dywanie błękitnych niczym bezchmurne kalifornijskie niebo kwiatów, a roślinny kobierzec ciągnął się wokół nich bez końca, jak na obrazku z reklamy perfum. Prawdę mówiąc, Laurel nigdy nie lubiła tej wyspy, bo przypominała jej o wszystkim, co zostawiła za sobą. Jednak kiedy była tutaj na górze z Cale'em, wszystko wydało jej się inne i delikatniejsze. Zauważyła, że łatwo się rozleniwic podczas takiej wiosny.

Cale przyglądał jej się - robił to bardzo często - a potem położył się na kocu i spojrzał na widok rozciągający się poniżej.

- Podoba ci się tutaj? - spytała Laurel.

- Przyjeżdżaliśmy tutaj niemal każdego lata po śmierci moich rodziców. Victor, Jud i ja. Wtedy było inaczej.

- Inaczej w porównaniu do czego?

- Mój dziadek nie nastawiał nas wtedy tak bardzo przeciwko sobie.

Był zajęty kobietą, którą koniec końców poślubił.

- Nie wiedziałam, że masz przyrodnią babcię.

- Już nie. Nie była zresztą typem babci - miała w sobie za dużo z gwiazdy. - Cale roześmiał się. - Jednak przez pewien czas zapewniła Victorowi zajęcie i odciągnęła go od nas.

- Moja babcia zabierała mnie wszędzie i wszystko mi pokazywała - powiedziała Laurel. - Przez cały czas opowiadała o moim tacie. Nosila tę czarną, posepną żałobę, jakby zawsze stanowiła część jej osoby - to było widać w głębi jej oczu. Bała się, że wszyscy o nim zapomną. Kiedy któraś stacja radiowa wyemitowała jakąś jego piosenkę, to było dla niej jak powtórne przyście Zbawiciela na ziemię, nawet jeśli mama źle to znosiła. „Jimmy to, Jimmy tamto... ” Ja jednak kochałam te opowieści. Były wszystkim, co o nim wiem.

- Victor nigdy nie chciał rozmawiać o moich rodzicach. Natychmiast zmieniał temat. - Cale odwrócił się w jej stronę. - Ale zachowałem w pamięci wspomnienia.

Opowiadał o tym, jak jego matka stała tutaj, na tym pokrytym kwiatami wzgórzu, a jej postać nabierała w tym opisie wyjątkowych wymiarów. O ojcu mówił w taki sposób, że Laurel zapragnęła mieć chociaż jedno wspomnienie, które byłoby jej własnym przeżyciem, a nie opowieścią ludzi, którzy znali jej tatę.

Kiedy słońce zaczęło się obniżać, zjedli to, co mieli w koszyku, wypili piwo schłodzone w lodówce i leniwie przytulali się do siebie w promieniach późnopołudniowego słońca. Cale wydawał się zadowolony z tego, że może tak leżeć bez mówienia wielu rzeczy, po prostu wodząc palcem po jej plecach, odsłoniętych przez wiązany na szyi top.

- Dobrze wiedzieć, że nie jesteś doskonała - powiedział. -Masz tu pieprzyk.

Obróciła głowę, by spojrzeć przez ramię.

- Gdzie?

Cale nachylił się bliżej. -Tutaj.

Jego usta zetknęły się z jej wargami, kiedy leżeli na boku, a pomiędzy nimi znajdowały się jedynie cienkie ubrania, wyczekiwanie oraz popęd seksualny. Położyła jego dłoń na swoim biodrze i przytrzymała ją, dopóki nie zabrał jej z pełnym pożądania pomrukiem. Pragnąc więcej, zaplotła ramiona wokół jego szyi i dla obojga przestało się liczyć wszystko poza językami, ustami oraz wrzącą krwią. Kilka minut później Cale wsunął ręce pod jej ubranie, a to uczucie było tak cudowne, że Laurel nie była w stanie go powstrzymać.

- Dziecinko, jesteś taka słodka, taka delikatna.

- Cale - szepnęła. Nie poznała swojego głosu, przesyconego głodem i pożądaniem.

Poprowadził jej dłoń po swoim ciele i powoli przesunął w górę i w dół, a potem ponownie dotykał Laurel, aż oboje byli spoceni i leżeli przytuleni do siebie z walącymi sercami i zaróżowionymi twarzami. Cale odsunął się.

- Ślicznotka. Jesteś najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się zdarzyła.

- To dzieje się zbyt szybko. - Laurel czuła zakłopotanie i poczucie winy. - Nie jestem taka.

- Wiem.

- Naprawdę?

W jego spojrzeniu widać było pytanie, niepewność oraz urazę.

- Ledwie się znamy.

- Sądzisz, że zamierzam dostać się do twoich majątek, a potem cię zostawić?

- Coś takiego przeszło mi przez głowę.

- Posłuchaj. Chcę się z tobą widywać każdego dnia i każdej nocy w tym tygodniu. Chcę cię widywać, Laurel. Nie mam nikogo innego w Los Angeles. Pragnę tylko ciebie.

- W tym tygodniu - powtórzyła z goryczą te słowa i obserwowała jego oczy w poszukiwaniu oznak kłamstwa.

- Źle to ująłem. - Czuł się tak samo niezręcznie jak ona. - Nie chodziło mi tylko o ten tydzień. Możemy się widywać w weekendy i weekendowe wieczory. Mieszkasz w Westwood. To nie tak daleko ode mnie. Jakies dwadzieścia minut.

- Nie mam samochodu.

- Ja mam trzy. Roześmiała się.

- Nikt nie ma trzech samochodów.

- Ja mam - powiedział poważnie. - Trzy samochody i jeszcze pick-upa. Chcesz z któregoś korzystać?

- Nie. - Przyjrzała mu się i zamarła, widząc, że mówi prawdę. „Jestem nawet niezłą partią”. Dopiero teraz dotarły do niej słowa, które powiedział pierwszego dnia.

- O mój Boże! - powiedziała. - Jesteś bogaty?

- Nie jestem bogaty.

Kłamał.

- Mój dziadek jest bogaty.

Jej umysł zaczął składać razem wszystkie elementy.

- Cale Banning? „Banning” jak te stacje benzynowe? Tak jak Banning Oil?

Cale kiwnął głową.

- Wy jesteście właścicielami tych wszystkich stacji przy autostradzie ciągnącej się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku.

- Firma zajmuje się raczej produktami ropopochodnymi. Tworzywa sztuczne i transport. Ograniczyliśmy się do dwóch rafinerii. To już nie jest Banning Oil - kilka lat temu mój dziadek, Victor, połączył wszystko, tworząc BanCo.

- Widzisz? Boże... to tylko potwierdza, że nic o tobie nie wiem. - Zniżyła głos do szeptu. - Jeżeli pozwolę ci dalej mnie dotykać, to kim się stanę?

- Mam nadzieję, czujesz się moją dziewczyną.

- Nigdy wcześniej z nikim tego nie robiłam.

- To nieważne. Czekaj, to nie tak. Ważne, że robisz to tylko ze mną.

— Zdjął z palca sygnet swojej szkoły i położył na jej dłoni, którą zamknął w uścisku. - W porządku?

Laurel spojrzała na pierścień na dłoni. Tak właśnie kończyły się wszystkie jej dziewczęce marzenia - chciała należeć do jakiegoś chłopaka. To było zakończenie w iście filmowym stylu, jednak sygnet ciążył jej, czego nie umiała wyjaśnić i czego się nie spodziewała. Nawet kiedy powiedziała: „w porządku”, zastanawiała się, dlaczego marzenia tak bardzo różnią się od rzeczywistości.

Kathryn odsunęła się od frontowego okna, kiedy wysoki chłopak, zaborczo obejmujący jej córkę, sięgnął do góry, by odkręcić żarówkę na

werandzie. Uczucia macierzyńskie sprawiły, że nie ruszyła się z miejsca, w którym się znajdowała. Trudno było przyglądać się temu, co działo się na zewnątrz — widokowi jej córki w ramionach chłopaka, ciałom przyciśniętym do siebie jak u kochanków, ich wędrującym dłoniom. Obawiała się tego. Laurel była taka młoda, niedoświadczona i niezwykle spragniona uczucia, a przy tym dorastała w czasach wolnej miłości i nastawienia, żeby robić wszystko, na co ma się ochotę.

To nie moralność wywoływała obawy Kathryn. Chciała, by Laurel kochała i była kochana. Chciała, by jej córka cieszyła się seksem, dziećmi i szczęśliwym życiem. Jednak w wieku siedemnastu lat dominował pośpiech i brakowało solidnych podstaw. Jej córka rozpaczliwie pragnęła miłości, bo przez całe życie pozbawiona była męskiej uwagi, karmiona tylko historiami, które Kathryn opowiadała o wspólnych chwilach ojca i córki. Co będzie teraz, gdy Laurel wkracza w kobiecość, tak spragniona mężczyzny i do tego taka samotna? Kathryn widziała jedynie zwiastuny czegoś tak przerażająco niebezpiecznego, że musiała odsunąć się od okna.

Kiedy podenerwowana Laurel weszła do środka, Kathryn stała ze szklanką mleka w ręce, opierając się o ladę. Dziewczyna nie powiedziała absolutnie nic, po prostu stała z zarumienioną twarzą i wargami opuchniętymi od godzin spędzonych na całowaniu się, patrzyła trochę nieprzytomnie i emanowała tą dziką energią seksualną, której młodzi ludzie nigdy nie potrafią ukryć.

- Gdzie byłaś dziś wieczorem?

- Snułam się tu i tam.

Zaczynały się kłamstwa i Kathryn wzdrygnęła się na te słowa. Nie, mamusiu, wcale nie trzymam dłoni w słoju z ciasteczkami.

- Umawiasz się z kimś na randki. Pomimo najlepszych chęci zabrzmiało to jak oskarżenie.

Laurel zeszywniała.

- Podglądałaś nas?

- Byłam w salonie, kiedy zgasło światło przed domem. -Przerwała. Nie musiała się tłumaczyć. - Sądzę, że powinnam poznać tego chłopca.

Laurel nie odpowiedziała, a Kathryn marzyła, żeby czytać w jej myślach.

- Jestem twoją matką, Laurel. Jeśli nie chcesz tego zrobić z innego powodu, zrób to przez szacunek.

- Jest miły, mamó. Naprawdę. Kathryn przytaknęła.

- W porządku. To dobrze.

Laurel długo się wahała, potem rozluźniła się z przeciągłym westchnieniem.

- Przyprawdę go jutro do sklepu. - Po tych słowach odwróciła się, by wyjść z pomieszczenia.

- Dobranoc.

Słowa „Dobranoc, mamó” odbiły się echem w korytarzu, a Kathryn usłyszała, jak zamykają się drzwi do sypialni córki. I co teraz? Wszystko się zaczyna. Musiała o tym porozmawiać. Musi wiedzieć, co powinna robić. Było zbyt późno, by zadzwonić do Evie.

Po koszmarnej nocy telefon do siostry był pierwszą rzeczą, którą zrobiła następnego ranka. Kathryn powiedziała jej:

- Ona jest taka młoda, Evie. Laurel szuka miłości z niewłaściwych powodów. Co mam zrobić, kiedy ona tak bardzo chce się zakochać?

- Pozwól jej to zrobić, Kay. Po prostu pozwól.

12

Barwy wód otaczających wyspę Catalina przypominały różne muszle morskie - od akwamaryny widocznej na płycznach w pobliżu plaż aż po ciemnogrnatowy odcień ciągnący się wzdłuż odległego wybrzeża stałego lądu. Morze wydawało się tak nieruchome jak poranne powietrze, odbijało oślepiające promienie słońca niczym świeżo wypolerowane lustro. Jedy- nym widocznym ruchem było delikatne falowanie przyływu. Zmieniło to dopiero pojawienie się klasycznej, wykończonej mahoniem małej łodzi motorowej, która wystrzeliła zza skał i niczym diament przecięła tafłę wody. Jednostka skierowała się w stronę domu Banningów, znajdującego się w sennej, stanowiącej własność rodziny zatoce.

Zbliżając się do pomostu, Jud wyłączył silnik. Zazwyczaj wypływał łodzią i w błękitnej samotni oceanu odnajdował spokój. Tam niezawodnie przypominał sobie, gdzie się znajduje - był samotnym mężczyzną na wodach największego oceanu świata, czuł się jak mrówka przyglądająca się stadu słoń. Uświadomiwszy sobie własną nicość, mógł na nowo przemyśleć wiele spraw. Widział pewne kwestie wyraźniej, a rzeczy niewykonalne nie wyglądały już na całkiem niemożliwe do osiągnięcia. Mrówka miała wybór. Mogła wpełznąć na grzbiet słonia i dzięki temu zostać przeniesiona w inne miejsce.

Dzisiaj jednak Jud wrócił do domu bez żadnych odpowiedzi, za to ze świadomością, że jego pewność siebie została poważnie nadwreżona. Ta myśl prześladowała go niczym uporczywy ból głowy, na który nie pomaga żadne lekarstwo. Dziadek nauczył go niezmiennego prawa obowiązującego w życiu — albo wygrywasz, albo przegrywasz. Nie ma

żadnego stanu pośredniego. Zmierzasz drogą, która prowadzi tylko do jednej z tych dwóch możliwości.

Kiedy łódź zawinęła do przystani, Jud wyskoczył na zewnątrz, owinał linę holowniczą wokół słupka i zabezpieczył drugą linę. Gorące, zwietrzałe deski parzyły podeszwy jego gołych stóp. Pot zalewał mu oczy i skręcał długie włosy pod czapką, zupełnie jakby to był czerwiec, a nie kwiecień. Dłubanie przy tej łodzi miało dla niego olbrzymi urok. Poświęcił sporo czasu, trudu i pieniędzy na jej wyremontowanie, ale nie chodziło jedynie o skórzane wykończenia wnętrza, pokład z teku i odrestaurowany ośmiocylindrowy silnik.

Kupili tę jednostkę wspólnie z bratem dobrych kilka lat temu. Cale jednak nie bardzo miał czas na tę pracę, zawsze bowiem żył bieżącą chwilą. Martwił się, że życie przemknie mu koło nosa. Ujmował wszystko ogólnie: cały świat przed nim uciekał, cały świat był przeciwko niemu, cały świat leżał u jego stóp. Pod tym względem Jud stanowił przeciwieństwo brata, często koncentrował się na szczegółach. Nie miał nic przeciwko cierpliwemu czekaniu na idealny moment. Uważał, że chcąc dotrzeć do celu, trzeba podejmować ostrożne i rozważne kroki, nie można po prostu wykonać skoku bez właściwego przygotowania.

To właśnie najbardziej go irytowało w sporze o umowę z Marvettim. Wydawało mu się, że dobrze przygotował całą transakcję, że dopilnował wszystkich elementów idealnego układu. Uważał też, że wybrał najlepszy sposób, żeby zrobić wrażenie na Victorze.

Jud pamiętał, co tak naprawdę powiedział mu dziadek w ten piątek. Uznał go za nieudacznika. Tę porażkę chłopak poczuł całym ciałem, nagromadzonego napięcia nie złagodził nawet spokój i samotność ma

morzu. Jud wygiął plecy i przeciągnął się w słońcu, potem wyjął piwo z chłodziarki. Kiedy się prostował, z domu wyszedł Cale i ruszył w jego stronę.

To było coś nowego. Ostatnio Cale unikał Juda - odwołał się do najprostszego sposobu, by zrobić z kogoś złego faceta. Gdy zostałeś zbesztany, unikaj konfrontacji. Unikaj tego kogoś i spraw, by poczuł się winny. Jud poderwał się i zaczął czyścić łódź. Kiedy podniósł wzrok, Cale stał tuż przy burcie i wielkimi łykami pił z kartonu sok pomarańczowy. Jud wrzucił dużą gąbkę do wiadra z wodą.

- Ktoś dzwonił?

- Nie. Po prostu właśnie wstałem. - Cale przez chwilę milczał, a potem spytał: - Kto miałby tak wcześnie dzwonić?

— Wcześnie? - Jud uniósł wzrok, ale na twarzy brata zobaczył powagę. - Pomyśl, w jaki sposób jako lekarz stażysta zamierzasz sobie radzić z nieskończone długimi godzinami dyżurów?

— Właśnie dlatego odpoczywam. Magazynuję zapas snu na kilka lat.

- Te słowa wypowiedział zaczepnym tonem. Potem spytał: - Kto miał dzwonić?

- Spodziewam się kilku telefonów od członków zarządu. - Jud uniósł swoje piwo. - Zostawiłem im ten telefon.

Cale powoli rozejrzał się wokół, lekko mrużąc oczy przed słońcem.

- Od jak dawna jesteś na nogach?

- Koło czwartej obudził mnie hałas telewizora. Nie mogłem zasnąć, więc o wschodzie słońca wyprowadziłem łódź.

Cale skończył sok i wrzucił karton do kubła na śmieci. Potem wepchnął ręce do kieszeni spodni.

- Pijesz piwo o dziesiątej rano.

- Nazwij to śniadaniem.

- Król kuchni serwuje sobie piwo na śniadanie? — Słowa Cale'a ociekały sarkazmem.

Jud dalej czyścił pokład.

- Jest gorąco. Miałem ochotę na piwo.

Cale nie powiedział nic więcej. Może obawiał się, że przekroczył granicę, a może uznał, iż nie zdoła sprowokować brata do walki. Jud wykręcił gąbkę, poirytowany urazą noszoną przez Cale'a. Do licha, on sam też był nieźle wkurzony.

- Twoja twarz wygląda już lepiej - stwierdził Cale. - Opuchlizna zniknęła.

- Taak. Już nie wzdrygam się na myśl o goleniu.

- Zdaje się, że ostatnio rzadko się tu pokazywałem.

- Fakt.

Cale zamiast na brata spojrzął w stronę stałego lądu.

- W niedzielę wieczorem spotkałem tu dziewczynę.

- A ja myślałem, że ciągle jesteś wkurzony, bo skopałem ci tyłek w twojej grze.

- Akurat! Pozwoliłem ci wygrać.

Jud zaczął się kłócić, ale Cale mu przerwał:

- Gdybym naprawdę był wkurzony, zmusiłbym cię do rewanżu.

- Zmusiłbyś mnie? - Jud wybuchnął śmiechem. - Jasne.

- No cóż. - Cale uśmiechnął się niewyraźnie. - Skusiłbym cię.

Wcześniej tylko kilka razy sam bym rzucił piłkę do kosza. W twoim

przypadku to zawsze wystarcza. Spójrz prawdzie w oczy, Jud. Łatwo cię przejrzeć.

- Nie zauważyłem, żebyś następnego ranka stał tam z piłką, głośno domagając się rewanżu.

Jud dobrze pamiętał, że Cale spał tamtego dnia niemal do południa, potem wziął prysznic i wyszedł z domu bez słowa. Cale wszedł na pokład łodzi.

- Daj mi szmatę. Pomogę ci.

- Nie musisz tego robić.

- Powiedzmy, że muszę.

- Nie - powiedział Jud z wyższością i usiadł na piętach. - Nie musisz.

- Chcę później skorzystać z łodzi.

- Skoro tak, proszę. - Jud wręczył szmatę młodszemu bratu.

- Pomyślałem, że po południu zabiorę Laurel na rejs. To wspaniała dziewczyna.

- A do tego wygląda niczym Barbie Benton.

- To nieprawda, ma ciemne włosy. Wspaniałe nogi, wąska talia. — Cale przestał wyliczać jej atuty. - Jest zabójcza, jednak nie to lubię w niej najbardziej.

- Taak, jasne. - Jud głośno się roześmiał.

- Dobra, dobra... to na pewno pomaga. Ale ty też byś ją polubił.

Naprawdę fajnie się z nią rozmawia.

- Lubię prowadzić rozmowy za pomocą wyrazów, które mają więcej niż jedną sylabę.

- Straszny z ciebie dupek, Jud, wiesz o tym?

- Dlaczego więc się śmiejesz?

- Bo jesteś zabawnym dupkiem.

- Nie śmiałeś się, gdy żartowałem sobie z twojej poprzedniej dziewczyny.

- Masz na myśli Corkie? Kiedy człowiek zrobi już raz z siebie głupca, łatwiej śmiać się z samego siebie.

- To dobrze. Nie zapominaj o tym, skoro spotkałeś kolejną.

- Usiłujesz mnie odstraszyć, chociaż nie widziałeś jej na oczy.

- Nie odstraszam cię. Po prostu przypominam ci, żebyś tym razem zachował trzeźwość umysłu.

- Jesteś moim bratem, nie ojcem, Jud.

- Ale to ty jesteś osobą, która marudziła coś o studiach medycznych.

- Znów mówisz jak Victor.

- Gdybym był Victorem, sprawiłbym, że czułbyś się tak, jakbyś był wart jakieś dwa centy. Po prostu nie chcę, żebyś znowu to schrzanił, rozumiesz?

- Posłuchaj... wiem, że popełniłem błąd. Czy aż do śmierci będziesz mi to wypominał?

- Nie chodzi tylko o twoją ostatnią dziewczynę, Corkie, nawet jeśli ona była najgorsza z całej tej bandy. Tu istnieje pewien wzór. Gdyby nie koszykówka, mógłbyś nie dostać się do Loyoli. Pamiętasz ostatni rok w szkole średniej? Wcale nie było sielankowo... Jak nazywała się ta cheerleaderka?

- Sierra.

- Dobry Boże, jak mogłem o tym zapomnieć? Całe zacisnął usta.

- Nie widzę, żebyś ty cieszył się jakimś wspaniałym związkiem.

- Nie rozmawiamy o mnie, lecz o tobie. Teraz łatwo ci przyznać się do błędu. Za rok ta Lauren również może okazać się błędem, do którego łatwo będzie się przyznać.

- Laurel, nie Lauren. Poza tym ona jest inna. Jud spoglądał na brata bez słowa.

- Studiuję gastronomię.

- Słucham? Przygotowuje się do roli gospodyni domowej?

- Chce być szefem kuchni.

- A ty chcesz dostać się na studia medyczne.

- Wiem. Wiem. - Cale wepchnął ręce do kieszeni. - Uwierz, że tym razem dokonałem lepszego wyboru.

Łódź była czysta, więc Jud wstał i wylał za burtę zawartość kubła.

- Powinieneś ją poznać. Przekonałbyś się, że jest inna.

Z jakiegoś powodu Cale chciał uzyskać aprobatę brata, jeśli chodzi o tę dziewczynę. To było coś dziwnego, więc Jud podjął wyzwanie.

- Przyprowadź ją na kolację. Upieczemy coś na grillu.

- Dzisiaj wieczorem?

- Jasne.

Cale wyglądał tak, jakby nad czymś się zastanawiał, a potem powiedział:

- Planowałem popłynąć łodzią w okolice przesmyku Cataliny. Na pewno wrócimy przed szóstą.

- Proszę. - Jud położył kluczyki od łodzi na dłoni Cale'a. -Bak jest napełniony do połowy.

Po tych słowach udał się w stronę domu.

- Tym razem to ta właściwa dziewczyna, Jud.

Cale podążał tuż za nim, zupełnie jak w dzieciństwie, gdy młodszy z braci wszędzie chodził za starszym. Ta potrzeba aprobaty była drugą stroną osobowości Cale'a. Jud przyglądał mu się przez chwilę, a cała jego złość ulotniła się. Sam ciężko walczył, by uzyskać chociaż cień aprobaty ze strony Victora. W tej chwili stał jednak przed nim jego młodszy brat, który potrzebował jakiegoś zwycięstwa... potrzebował tego, by Jud nie był taki jak Victor. Starszy z braci doskonale to rozumiał.

- Może ona jest tą właściwą, braciszku. Może naprawdę tak jest.

Cale szedł obok Juda.

- Dzisiejszego wieczoru przekonasz się, że mam rację.

- W porządku. Wycofuję swoje słowa. - Jud szturchnął go w ramię. - Cholera, Cale, nawet ślepej kurze raz na jakiś czas trafia się ziarno.

Kathryn Peyton nacisnęła pedały koła garncarskiego i ponadkilogramowa porcja gliny ułożyła się w stożek pod jej dłońmi. Te ruchy były wyćwiczone i stanowiły jedyną część jej życia, która miała jakikolwiek rytm. Ubiegłej nocy przewracała się w łóżku, co ostatnio często się zdarzało. Nie mogła spać, targana obawami dotyczącymi decyzji o przeprowadzce tutaj, desperackiej potrzeby miłości odczuwanej przez Laurel i jej tęsknoty za chłopakiem. To były rzeczy, których Kathryn nie mogła jej zapewnić. Zanim wybiła czwarta nad ranem, przed oczyma przemknął jej każdy z wyrobów stworzonych w ciągu ubiegłego tygodnia. Zamiast liczyć barany liczyła wyroby ceramiczne.

Na półkach biegnących wzdłuż ścian jej pracowni stały wysokie, eliptyczne wazy, głębokie miski, abstrakcyjne urny oraz duże półmiski. Wszystkie wyroby czekały na pokrycie glazurą i wypalenie. Wszystkie miały również wspólną cechę - pojedynczą, poszarpaną linię dzielącą je na

pół. O piątej nad ranem Kathryn wiedziała już, jak nazwie całą kolekcję - „Umysł matki”. Zamierzała pokryć obie strony każdego z wyrobów kontrastującymi kolorami, a potem nadać naczyniom nazwy różnych emocji. „Strach”. „Zakłopotanie”. „Pragnienie”. „Ochrona”. „Wahanie”. Każdy wyrób będzie nosił numer „17”, od wieku Laurel.

Kiedy dziewczyna pojawiła się tego ranka w pracowni matki, pierwszymi słowami, jakie padły z jej ust, były:

- Tylko rozejrzyj się wokół i popatrz na wszystkie wyroby. Zbyt ciężko pracujesz, mamo.

Laurel nie mogła pamiętać czasów, w których Kathryn wypełniła całą pracownię naczyniami, i to wyłącznie dziwnymi. Większość ich prezentowała się zbyt ponuro, by dała się łatwo sprzedać, szczególnie w latach pięćdziesiątych, gdy ludzie chcieli kupować zwykłe miski i naczynia codziennego użytku. W tamtych czasach określenie „sztuka” nie było stosowane do rzeczy, które powstawały na kole garncarskim.

W ciągu minionych lat te dziwnie uformowane naczynia, dzięki którym Kathryn oczyściła organizm z żalu, stały się kluczowe dla jej kariery. Tamta kolekcja nosiła nazwę „Jimmy”, a jej części często osiągały na aukcjach wyższe ceny niż ostatnie prace.

W tej chwili skupiła się na najnowszym wyrobie - dużej misie z falistym brzegiem i nietypowym, zapętłającym się rowkiem, który wił się dokoła. Gdy całość była gotowa, Kathryn zsunęła naczynie z koła i odłożyła je na półkę.

- Mamo? - W interkomie rozległ się głos Laurel. - Jest ze mną Cale.

- Zapraszam na zaplecze. - Kathryn odłożyła interkom i opłukała ręce nad umywalką.

Chwilę później Laurel weszła do środka, ciągnąc ze sobą wysokiego, dwudziestojedno- lub dwudziestodwuletniego chłopaka i śmiejąc się z jego słów.

Kiedy Kathryn rozwiązywała fartuch, donośny dźwięk radości córki przeniknął całe jej ciało. Minęło wiele czasu, odkąd słyszała Laurel śmiejącą się w ten sposób. Powód tego śmiechu zaś emanował charakterystycznym, kalifornijskim blaskiem -był przystojny, opalony, dobrze zbudowany, o niebieskich oczach i dość wysoki, by przyciągnąć uwagę w pomieszczeniu pełnym ludzi. To on sprawiał, że Laurel późno wstawiała, pojawiała się z opuchniętymi wargami i mówiła „dobranoc” z tak rozmarzonym wzrokiem, że Kathryn nie mogła spać.

- Mamo, to jest Cale. - Laurel przedstawiła go, a potem bacznie, z lekkim podenerwowaniem jej się przyglądała.

Nie trzeba było jasnowidza, by zauważyć, że ich spotkanie jest ważne dla Laurel - matka od razu to odkryła. Szybko wsunęła włosy za ucho, uśmiechnęła się i potrząsnęła dużą, ale ciepłą i delikatną dłonią chłopaka.

- Witam, Cale.

- Miło mi panią poznać, pani Peyton.

- A więc to z twojego powodu ostatnio prawie nie widuję mojej córki.

- Tak, psze pani. Przyszedłem pobrać należność za zabranie jej spod pani opieki. Będę musiał jednak policzyć podwójną stawkę. To niezłe ziółko.

Jego żart był tak niespodziewany i zaskakujący, że Kathryn wybuchnęła zadziwiająco głośnym śmiechem.

- Cale. - Laurel wbiła mu łokieć w żebra i powiedziała cicho: -

Przestań.

Chłopak zwinął się wpół, symulując ból, a potem trzymając się za żebra, spojrzał na Kathryn.

- Sama pani widzi.

- Powinam była cię ostrzec, mamo. - Laurel skrzyżowała ręce na piersiach. - To idiota. No i chodzi do Loyoli.

-Jezuici mogliby się obrazić o to, w jaki sposób sformułowałaś tę wypowiedź, Laurel.

Córka Kathryn tylko się roześmiała.

- No dobrze, źle to ujęłam. To, że chodzi do Loyoli, nie robi z niego idioty.

Ten chłopak uroczo drażnił się z Laurel. Nic dziwnego, że wyglądała na tak szczęśliwą. Jednak spojrzenie, które młodzi wymienili między sobą, sprawiło, że Kathryn poczuła się staro i niepewnie. Nie wiedziała, co było gorsze - Laurel rozczulająca się nad sobą w domu czy też zakochana w tym chłopaku, który kładł dłonie na jej pośladkach i przyciągał ją do siebie, kiedy całowali się na dobranoc.

- Cale idzie w tym roku na studia medyczne. - Laurel podniosła dłoń Cale'a i splotła razem ich palce.

Przed oczami Kathryn mignął obraz zakochanych, którzy stali na werandzie, a jego dłonie wędrowały po całym ciele jej córki. Widziała również w oczach Laurel strach, że jej chłopak nie zostanie zaakceptowany. Słyszała podniecenie w jej głosie. Między tym dwojgiem młodych wyczuwalna była już zaborczość.

- Studia medyczne - zdołała powiedzieć Kathryn. - To spore wyzwanie. A o którą uczelnię chodzi?

- Jeszcze nie jestem zdecydowany. - Cale spojrzął na zegarek, potem na Laurel.

- Wybieramy się na rejs jego łodzią, mamó.

- Chciałem zabrać Laurel na przesmyk Cataliny, pani Peyton, później na kolację w naszym domu.

Kathryn nie była jeszcze gotowa, by im ulec - jeszcze nie.

- Przyłynąłeś na wyspę z rodziną?

- Tylko z moim bratem. Mam ferie wiosenne. Przez okrągły rok trzymamy tutaj łódź. Wiem, że jest bezpieczna.

- Kto będzie na pokładzie?

Laurel popatrzyła na matkę, jakby zwalczała właśnie chęć powiedzenia czegoś.

- Tylko my dwoje - powiedział Cale otwarcie.

Laurel spanikowała, tak jakby właśnie uświadomiła sobie, że Kathryn może nie wyrazić zgody.

- Mamó?

- To mały, lekki jacht motorowy - wtrącił szybko Cale. - Jest dobry do żeglugi, a silnik działa wspaniale. Pływam od ósmego roku życia, pani Peyton, i dobrze znam te okolice. Od wielu lat mamy tutaj dom i dorastałem na tych wodach. Nie zabierałbym Laurel, gdyby to nie było bezpieczne. Wrócimy, zanim się ściemni. Mój brat planuje upiec coś na grillu.

Kathryn spojrziała na córkę i na młodego mężczyznę. „Pozwól jej to zrobić, Kay. Po prostu pozwól” - usłyszała w myślach głos Evie.

Klamka zapadła.

- W porządku. Bawcie się dobrze.

- Dzięki, mamó. - Laurel podbiegła do niej i pocałowała ją, chociaż nie trafiła w policzek, gdyż się spieszyła, by z powrotem chwycić rękę chłopaka. - Cześć!

Para zniknęła za drzwiami, nim Kathryn zdołała nabrać powietrza w płuca. Stała z mieszanymi uczuciami, a potem na minutę usiadła. Laurel była szczęśliwa, i to jest najważniejsze. On był zabawny, uprzejmy i przyjemny. Kathryn spodobała się jego szczerość i brak fałszu. Studia medyczne stanowiły poważne zobowiązanie, wiązały się z dużymi wymaganiami i nie zostawiały wiele czasu na sen, ale on miał w sobie wiele zapału.

Laurel jednak mogła się sparzyć. Cale kończył Loyolę, a to oznaczało, że ma ponad dwadzieścia jeden lat, a jej córka dopiero za kilka tygodni skończy osiemnaście. Laurel w ciągu tego tygodnia zajmowała się sama sobą, a w oczach Kathryn to nie różniło się niczym od okresu, który dziewczyna spędzała poza domem. Odkąd skończyła szkołę średnią i zaczęła myśleć o przyszłej pracy, Kathryn starała się nie wtrącać w jej życie. Była jednak taka młoda i tak bardzo chciała dorosnąć. Już przywiązała się do tego chłopaka, i to w ciągu kilku dni.

„Wyszłaś za Jimmy'ego po kilku tygodniach znajomości” - przypomniała sobie.

Kathryn usłyszała słowa Evie, mówiącej jej, jak powinna myśleć. Brzmiały jak głos rozsądku: „Pozwól jej to zrobić, Kay”.

Na razie sama nie wiedziała, co myśleć. Przyjrzała się swojemu ubraniu w poszukiwaniu śladów gliny lub brudu, a potem wyszła z

pracowni i pokonała kilka płyt chodnikowych, które prowadziły do tylnych drzwi sklepu.

Shannon podniosła wzrok znad kasy.

- Witaj, Kathryn. Kurczę, nie wiedziałam, że Laurel chodzi na randki z Cale'em Banningiem.

- Co takiego powiedziałaś?

- Cale Banning. Jego rodzina jest dziana. Naprawdę dziana. Słyszała pani o Banning Oil, prawda? Ta firma należy do jego dziadka.

Kathryn poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy, kiedy Shannon paplała o rodzinie.

- Banning? - Już wypowiedzenie tego nazwiska powodowało ból.

- Dokładnie.

Kathryn pośpiesznie wyszła przez podwórko na ulicę i rozejrzała się w obie strony. Pobiegła na róg ulicy Crescent, słysząc w głowie słowa kobiety spotkanej w sklepie: „Wie pani, oni mają tutaj posiadłość”.

Parowiec zawinął dziś do portu wcześniej niż zwykle, a miasto i plaża były wypełnione tłumami gości ze stałego lądu. Kathryn wypatrywała różowego swetra Laurel i wysokiej sylwetki jej towarzysza o włosach ciemnoblonde. Przeszła chodnikiem pomiędzy ludźmi, zaglądając przez każde okno wystawowe, potem dostała się na plażę przylegającą do ulicy, stanęła na ławce i rozglądała się na wszystkie strony.

Parowiec zasłaniał część widoku na zatokę. Kathryn spojrzała na wodę, później zeskoczyła na dół i pobiegła po piasku, szukając wzrokiem jachtu motorowego, starając się wypatrzeć córkę na którejś z łodzi przycumowanych bliżej brzegu.

„Trzydziestometrowy jacht. Nie sposób go przeoczyć. Dom przy Hamilton Cove”.

Kathryn gorączkowo przeszukała zatokę, przebiegła wzdłuż plaży, wspięła się na chodnik i pokonała drogę do kasyna na skraju portu. Zlustrowała wzrokiem całe wybrzeże, ich jednak tam nie było.

RS

13

Jakaś kobieta stała w pewnej odległości od domu - znajdowała się na wzniesieniu zacisznej drogi prowadzącej do miasta. Jud postanowił ją zignorować - turyści czasem zapuszczali się aż tutaj. Wszedł do środka z sześciopakami piwa i ostatnią torbą zakupów, które przywiózł wózkami golfowymi. O willi Banningów nikt nie pamiętał poza Judem i jego bratem, wykorzystujących to lokum, by uciec przed chaosem stałego lądu. W domu przy Hamilton Cove nie przyjmowano gości, więc odgłos dzwonka u drzwi zaskoczył Juda. Gong był głośny, a brzmieniem przypominał hałas wywoływany przez sprzężenie między mikrofonem i głośnikiem.

Na progu domu stała obca kobieta.

- Szukam mojej córki oraz Cale'a Banninga. Nieznajoma miała delikatną karnację - rzadki widok w tej krainie opalenizny - olbrzymie brązowe oczy oraz kasztanowe włosy. Rysy jej twarzy wydawały się idealne - to był ten rodzaj doskonałości, który zapewniały mocne kości oraz odziedziczona w genach symetria. Jeśli córka chociaż trochę przypominała matkę, nic dziwnego, że Cale się zakochał.

- Nazywam się Jud Banning. Jestem bratem Cale'a.

- Czy oni tu są?

- Nie sądzę. Brat powiedział mi, że zabiera łódź, żeby popływać z dziewczyną, którą poznał. Ja sam właśnie wróciłem do domu, ale... - Urwał, ponieważ kobieta wyglądała tak, jakby patrzyła śmierci w oczy. Bładość zalewała ją kolejnymi falami, co Jud widział na własne oczy. - Wszystko w porządku? Złapał ją, zanim zdążyła upaść na ziemię.

- Cholera.

Jud kopnął zamknięte drzwi za jego plecami i położył kobietę na sofie, a potem przyniósł szklanekę wody. Stał bezradnie nad nieznajomą, zastanawiając się, czy powinien wylać na nią zawartość naczynia, czy też spróbować ją napić.

Ku jego uldze nieznajoma otworzyła oczy, a potem, zdezorientowana, zbyt szybko usiadła i przycisnęła rękę do głowy.

- Spokojnie... Proszę to wypić. - Wręczył jej szklanekę i usiadł naprzeciwko, na wypadek gdyby ponownie straciła przytomność. Wypiła wodę, po czym rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukała, wyglądała jak schwytna w pułapkę. Wcześniej, kiedy znajdowała się dalej od niego, nie zauważył jej kruchości. Teraz, siedząc tuż obok, miał wrażenie, że ta kobieta jest ze szkła, i to takiego, które mogłoby się roztrzaskać, jeśli tylko jej dotknie.

- Nie ma ich tutaj - powiedział. - Przy molo nie ma łodzi. Ale możemy skontaktować się z nimi przez radio, korzystając z pomocy straży przybrzeżnej.

- Nie. - Kobieta wpatrywała się w zatokę widoczną w oddali. - Nie. Nie powinnam była tutaj przychodzić. To nic pilnego. - Wstała. - Proszę nic im nie mówić, kiedy wrócą. Proszę. Nie ma nic bardziej wstydliviego niż niestosowne reakcje. Po prostu chciałam coś powiedzieć córce i myślałam, że jeśli ich złapię... - Jej słowa rozplynęły się, kiedy zaczęła się oddalać.

Nie przekonała tym Juda, który zastanawiał się, czy kobieta sama uwierzyła w to, co właśnie powiedziała.

- Proszę zaczekać. - Dogonił ją przy drzwiach wejściowych. - Proszę pozwolić, żebym panią odwiózł.

-Nie.

- Nie mogę pozwolić, żeby szła pani z powrotem. Właśnie pani zemdląca. - Jud spróbował rozładować napięcie. – Mój ojciec przewróciłby się w grobie, widząc coś takiego. - Twarz kobiety zrobiła się szara, a Jud pomyślał, że znów będzie musiał ją ratować. - Nie ma dyskusji. Odwożę panią do domu.

Zgodziła się w końcu na podwiezienie wózkiem golfowym. Gdy pokonywali krótką trasę do miasta, Jud co chwilę spoglądał na swoją pasażerkę, która siedziała w kompletnym milczeniu. Kolory na jej twarzy wyglądały normalniej, a ręce spoczywały na udach, mimo to nie odezwała się ani słowem, dopóki nie spytał o adres. Podjechali pod dom na Descanso. Przez całą drogę Jud szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego kobieta była tak zdenerwowana.

- On jej nie skrzywdzi.

Spojrzała na niego, szukając czegoś, jednak tylko ona wiedziała, czego wypatruje.

- Cale nie skrzywdzi pani córki, jeśli tym się pani martwi. To porządny chłopak.

- Nie powinnam była przychodzić. Poznałam pańskiego brata. Po prostu chciałam... sama nie wiem... chciałam powiedzieć coś Laurel.

- To mój brat jest zawsze tym, który ma złamane serce.

- Dziękuję za podwiezienie. - Wysiadła. - Proszę zostać. Nie mam zamiaru ponownie zemdleć. To ten upał... - rzuciła na odchodnym ostatnie usprawiedliwienie.

Jud spojrział na zamykające się drzwi wejściowe i pomyślał, że poznał właśnie pełną obaw matkę. Wózek golfowy mruczał spokojnie w

drodze powrotnej przez miasto. Kim była ta dziewczyna, z którą chodził Cale? Sympatie jego brata zawsze sprawiały kłopoty. Miał nadzieję, że wieczorem pozna odpowiedź na to pytanie. Kolacja będzie okazją, żeby poznać i ocenić, jaką córkę wychowała ta pełna emocji kobieta. Jud wrócił do domu i zaparkował wózek na podjeździe. Jeśli chodzi o kobiety, jego brat był kompletnym głupcem. Znów ten sam stary wzorzec -pomyślał, po czym ruszył biegiem do domu, bo usłyszał dzwonek telefonu.

Cale niecierpliwie czekał na zbliżające się spotkanie Laurel i Juda. Nie wiedział, co było dla niego ważniejsze - to, jak brat oceni jego sympatię, czy też co dziewczyna pomyśli o starszym z Banningów, o samym Cale'u i ogólnie o ich rodzinie. Nie zastanawiał się, dlaczego to wydawało mu się ważne. Po prostu tak było. Może wszystko było ważne.

O wpół do szóstej przekroczyli próg domu. Laurel stała w pobliżu wejścia i rozglądała się, podczas gdy Cale zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Przez wszystkie lata, kiedy tu przyjeżdżał, nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak ten dom wygląda w oczach kogoś innego.

Przez szerokie okna widać było w oddali stare molo oraz niebieskoszarą wodę. To najlepsza część widoku. Na resztę składały się jakieś nieokreślone meble, a także ceramiczne lampy z białymi abażurami, znikającymi na tle ścian w takim samym kolorze. Między wyblakłymi zdjęciami w metalowych ramkach, przedstawiającymi Catalinę sprzed pięćdziesięciu lat, wisiał brzydki, okrągły zegar. Ten dom wydawał się nijaki, płaski i pozbawiony polotu, jakby zaprojektowany przez kogoś, kto zamawia lody waniliowe, mając do wyboru ponad trzydzieści innych smaków.

Lokatorzy nie zostawili tu żadnego śladu. Nie było tu ani jednego zdjęcia Juda, Victora, Cale'a, ani też żadnych innych ludzi. Chłopak zastanawiał się, czy ten fakt nie wskazuje wyraźnie, gdzie tkwi problem Banningów. Nagle poczuł się zupełnie pusty i pełen obaw, że dziewczyna to zobaczy i nie będzie go więcej chciała.

Któregoś popołudnia był w domu Laurel. Na ścianach i stolikach znajdowały się oprawione zdjęcia przedstawiające ją, kiedy była mała - na fotografiach pojawiała się wraz z mamą, babcią, ciocią i przyjaciółmi. To były pojedyncze migawki z jej życia. Cale odprężył się w wygodnym fotelu stojącym w małym salonie i popijał colę, kiedy Laurel się przebierała. Lampa na stoliku obok niego była wykonana z przezroczystego szkła i wypełniona setkami muszelek. Laurel powiedziała mu później, że obie z matką zbierały muszelki, które były pęknięte i połamane - takie właśnie można było znaleźć na brzegu, a nie idealne, wypolerowane okazy, które każdy mógł kupić w sklepach z pamiątkami przy kalifornijskich plażach.

Wszędzie wokół widać było skomplikowane wyroby ceramiczne jej matki - leżały na półkach i pod ścianami, które miały taki sam kolor jak lakier nowego chevroleta corvette. Na każdym stoliku stały kwiaty w dziwnie uformowanych wazach, a w całym domu pachniało charakterystyczną dla kobiet czystością i słodyczą.

W swoim mrocznym domu na wyspie Cale wyczuwał jedynie zapach skarpetek i piwa. Na stole stały tu dwie puste butelki, a pod nim stare tenisówki. Mimo to na samym środku płaskiego krajobrazu jego życia pojawiła się cudowna dziewczyna, mająca na sobie puszysty, różowy sweter, obcisłe, żółte spodnie, szal z jaskrawym nadrukiem oraz

ciemnoróżową szminkę na ustach. W jego wyobraźni te dwa obrazy połączyły się - jego bezbarwne życie oraz pełna barw Laurel. Cale poczuł nieodpartą chęć, by objąć ją i trzymać blisko siebie tak długo, aż te kolory staną się również częścią jego samego.

- Gdzie jest twój brat? Cale rozejrzał się w koło.

- Nie wiem. Gdzieś tu jest. Jud! - Udał się do kuchni, a potem wyszedł z powrotem na zewnątrz. Weranda była pusta, tak samo jak pomost, a łódź przykryta brezentem.

- Cale! - zawołała Laurel. - Sądzę, że jego tu nie ma.

Na drzwiach lodówki znajdowała się notatka, przyczepiona magnesem w kształcie żółtej, uśmiechniętej twarzy.

Zastąłem wezwany do domu w sprawach służbowych. Przeprasiny dla Laurel z powodu kolacji. Mam nadzieję, że steki będą Wam smakowały, J

- Chyba nie poznasz dziś wieczorem mojego brata. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Jestem pewna, że będziemy mieli jeszcze okazję, by się spotkać.

- Właściwie te przeprosiny są adresowane do mnie. Jud miał zająć się gotowaniem. Skoro ja muszę upiec steki, to jesteśmy w opałach.

- Wiadomo, że jedno z nas ma zamiar zostać szefem kuchni, a więc to mało subtelna sugestia pod moim adresem. - Laurel pootwierzała szalki oraz lodówkę, wyjęła słoiki, przyprawy i inne rzeczy, wreszcie wskazała na wysoką szafkę obok pieca. - Czy możesz mi podać tamtą butelkę?

- O tej mówisz?

- Dzięki.

Oparł się o ladę i przyglądał Laurel.

- Stoisz mi na drodze. - Przepędziła go kawałek dalej. Cale przesunął się i dotknął jej.

- Muszę zrobić coś pożytecznego.

Gdy się odwróciła, jej wargi trafiły na jego usta. Po kilku minutach odsunęła się i oparła czoło o jego klatkę piersiową, oddychając niespokojnie.

- To mnie przeraża, Cale.

- Nie bój się.

- Postępuj ze mną ostrożnie.

- Nie będę naciskał - odparł. Chciał dać jej szczęście i sprawić, by go pokochała. Laurel nadawała sens jego życiu, wypełniała dotychczasową, ciemną pustkę, dzięki tej dziewczynie mógł odważnie stawić czoło swoim dawnym złym wyborom. Oparł brodę na jej głowie i poczuł zapach szamponu prell oraz coś słodkiego i nietypowego, przypominającego leśny miód.

Laurel nie ruszała się przez chwilę, jakby układała sobie w głowie pewne rzeczy. Kiedy się odsunęła, była uśmiechnięta i szczęśliwa, a na jej twarzy malowała się beztroska. Cale wypuścił powietrze z płuc, chociaż wcale nie zauważył, że wcześniej wstrzymał oddech.

- Słyszałeś kiedyś o stekach diana?

-Nie.

- No cóż, przygotuj się, bo niedługo dobrze je poznasz.

- To brzmi interesująco. Uwielbiam patrzeć, jak pracujesz.

- Źle mnie zrozumiałeś. - Objęła go i zawiązała mu wokół pasa śmieszny czerwony fartuszek. - Dobrze je poznasz, gdyż sam je przyrządzisz.

- Ostrzegam, że potrafię spalić nawet tosta, Laurel. Schrzanię te steki.

- Będę stać obok z gaśnicą.

- Ale to ty jesteś szefem kuchni.

- Przestań jęczeć. Ja potrafię gotować, a ty jesteś osobą, której przyda się kilka lekcji. A więc to nasze nowe role - ja będę wykładowcą, ty będziesz się uczyć.

Cale wybuchnął śmiechem, ona również się śmiała. Laurel była jak powiew świeżego powietrza w zatęchłym i pozbawionym tlenu pomieszczeniu. Gdy stanęła z tyłu, wiążąc mu wokół pasa pomarszczony fartuszek, Cale zdał sobie sprawę, że gotowanie nie będzie jedyną rzeczą, której Laurel go nauczy.

Kathryn leżała na łóżku z oczyma zasłoniętymi ramieniem, tak samo jak tej pamiętnej nocy trzynaście lat temu. Teraz ścisnęła w rękę poślizgnięty skrawek papieru.

Spadkobierca Banning Oil zginął w wypadku, w którym śmierć poniósł również gitarzysta rockowy Peyton

Rudolph Victor Banning oraz jego żona, artystka Rachel Espinosa Banning, zginęli w wypadku samochodowym w piątkowy wieczór w Los Angeles. Świadkowie twierdzą, że samochód Banninga, ford fairlaine z 56 roku, przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle i uderzył w kombi marki Chevrolet, którym kierował menedżer gitarzysty i wokalisty rockowego, Jimmy'ego Peytona. Zarówno menedżer, jak i Peyton ponieśli śmierć na miejscu. W samochodzie było również trzech członków zespołu Peytona - Fireflies. Bobby Healy, Howard Went oraz John Massey doznali wielu poparzeń i są w ciężkim stanie.

Świadkowie utrzymują, że samochód Banninga wjechał z dużą prędkością na skrzyżowanie i uderzył w bak paliwa w kombi, które stało w płomieniach. Spadkobierca magnata naftowego Victora Banninga, Rudy Banning, oraz jego żona osierocili dwóch synów w wieku ośmiu i dwunastu lat. Peyton, mieszkający w Seattle muzyk, którego nagrania królowały na listach przebojów, pozostawił żonę, Kathryn Fleming Peyton, a także czteroletnią córeczkę.

Dzieci nie zostały wymienione z imienia. W tamtych czasach dziennikarze szanowali prywatność. Kathryn doszła do wniosku, że prawdziwymi ofiarami tamtego bezsensownego wypadku zostali Laurel, Cale i Jud. Chęć uświadomienia Laurel prawdy, powiedzenie jej, kim dla Peytonów są Banningowie, to jedno. Inną rzeczą było jednak powiedzenie jej o tym tylko dlatego, że matka chciała utrzymać dziewczynę z dala od potomka tej rodziny. Tak naprawdę Kathryn obawiała się każdego chłopaka, wobec którego Laurel żywiłaby jakieś uczucia. Czy Banning był gorszy?

Tak. Odpowiedź przyszła bardzo szybko, jako reakcja instynktowna - to były wyłącznie emocje i ani śladu namysłu. Jednak tylko głupiec potrafiłby odciąć się od tamtej nocy i głębokiego bólu, który przyniosła. Czy to było w porządku wobec jej córki i synów Rudyego Banninga?

Myślenie w takich kategoriach przychodziło Kathryn z trudnością. Chciała uchronić Laurel przed Cale'em Banningiem. Co z tego, że drugi z braci był dla niej uprzejmy? Nie chciała polubić żadnego z synów Banninga. Co właściwie powiedziałaaby córce, gdyby zdołała ją odnaleźć, kiedy w panice biegała tam i z powrotem po ulicach? Czy oderwałaby

Laurel od tego chłopaka, spojrzała na nich oboje - niewinne ofiary - i powiedziała: „Ojciec Cale'a zabił twojego tatę”?

Odpowiedź na to pytanie stała się bardziej oczywista, kiedy parę godzin później Laurel zapukała do drzwi sypialni Kathryn.

- Mamo? Nie śpisz?

Kathryn pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Od płaczu miała czerwoną twarz, pokrytą plamami. Słyszała, jak Laurel wchodzi do jej pokoju. Wpadła w panikę, bo przypomniała sobie, że zostawiła na łóżku pudełko z wycinkami z gazet.

- Mamo!

- Momencik. - Kathryn wyszła z łazienki z kremem chłodzącym na twarzy i ręcznikiem w dłoni. - Coś się stało? - Jej głos zabrzmiał zadziwiająco spokojnie.

- Nic. Po prostu chciałam ci powiedzieć dobranoc.

W pokoju było ciemno, jednak światło ulicznej latarni pokazało zarys otwartego pudełka na buty leżącego obok okularów, a także stos wycinków z gazet na łóżku w nieładzie. Kathryn przeszła przez sypialnię i zaczęła zbierać wszystko, nim Laurel cokolwiek zauważyła. Czowała, że córka jej się przygląda.

- Tylko spójrz na ten bałagan. Czytałam stare artykuły dotyczące nakładania polewy.

Laurel najwyraźniej szukała sposobu, by wyrazić swoje myśli, a gdy już się odezwała, słowa popłynęły wartkim strumieniem.

- Polubiłaś Cale'a, prawda, mamo?

Jego ojciec upił się i zabił twojego tatę - pomyślała. A przecież Laurel potrzebowała aprobaty - czegoś, czego nigdy nie będzie mogła jej dać.

- Nie znam go na tyle dobrze, by go lubić czy też nie lubić.

- To nie brzmi dobrze.

- Jest przystojny, wywołuje twój śmiech i... nie wiem... jest w porządku. - Postanowiła zmierzyć się z córką. - Co chcesz, żebym powiedziała?

- Teraz zaczynasz się wkurzać.

- Nie wkurzam się. Po prostu nie chcę wydawać pośpiesznych sądów. To nie w porządku wobec ciebie, mnie oraz tego młodego człowieka.

- Czy nie możesz się cieszyć ze względu na mnie?

- Cieszyć się dlatego, że właśnie go spotkałaś?

- To nie tak.

- Kiedy go poznałaś?

- W sobotę.

- Dzisiaj jest środa. Znasz go od czterech dni.

- Od pięciu, ale już zaplanowaliśmy, że będziemy się widywać, kiedy wrócimy na stały ląd. Loyola nie jest tak daleko od mojej uczelni i mieszkania.

Kathryn chciała głośno zawołać: „Uciekaj od niego!”. Jednak w oczach Laurel nie było już dawnej pustki. Czy to naprawdę ważne, kto dawał szczęście jej córce? Toczyła wewnętrzną walkę, ale instynkt macierzyński podpowiadał jej, by ostrożnie dobierała słowa.

- Nie staram się krytykować ciebie czy ignorować twoje uczucia, nie chcę tylko, żebyś została skrzywdzona.

- Dlaczego już zakładasz, że on mnie skrzywdzi? - Laurel spojrzała zdenerwowana na matkę. - Dlaczego jesteś taka pewna, że mnie rzuci?

Jej słowa zawierały w sobie całą niepewność dziewczyny myślącej, iż nie jest wystarczająco dobra, by ktoś ją pokochał.

- Och, kochanie, wcale nie to miałam na myśli. Każdy chłopak byłby szczęśliwy, gdyby mógł umówić się z tobą. On wybiera się ponoć na studia medyczne. Z tego, co słyszałam, studenci medycyny nie mają zbyt wiele wolnego czasu.

- Nie zastanawiałam się nad tym, czy studia medyczne mogą wszystko zepsuć. - Laurel wyglądała na zamyśloną, a Kathryn nie miała pojęcia, o czym myśli jej córka, póki nie padło pytanie: - Skąd wiadomo, czy człowiek jest zakochany?

Czy Laurel naprawdę się zakochała? Czy to wilgotne, przymglone spojrzenie, zaróżowiona skóra oraz niepewność w zachowaniu tego wieczoru stanowiły oznaki prawdziwej miłości? Kathryn poczuła, że krew zaczyna wrzeć jej w żyłach. Co, u diabła, zdarzyło się na tej łodzi? W głowie dźwięczały jej słowa: „Pozwól jej to zrobić, Kay. Po prostu pozwól. Dzieci nie są odpowiedzialne za grzechy ojca”.

- Nieważne. - Laurel odwróciła się z przygarbionymi plecami, jakby ktoś ją pobił.

- Zaczekaj!

Dziewczyna obejrzała się za siebie.

- Mogłabym ci powiedzieć, że jesteś za młoda, by to zrozumieć, ale to nieprawda. - Zamiast słuchać swoich lęków Kathryn przemówiła

słowami, które dyktowało jej serce. - Mogłabym ci powiedzieć, że za krótko znasz Cale'a. Jednak sama zakochałam się w twoim ojcu w ciągu tygodnia.

Nie powiedziała nic więcej. -I to wszystko?

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- To jedyna odpowiedź. - Kathryn otoczyła Laurel ramieniem, podprowadziła ją do drzwi sypialni i powiedziała coś, co w jej przekonaniu było prawdą. - Kiedy jesteś zakochana, nie musisz o to pytać innych. Po prostu to wiesz.

RS

14

Wschody słońca w kwietniowe poranki w Newport Beach były pełne głębokich kolorów, czasem do złudzenia przypominały ilustracje autorstwa Maxfielda Parrisha. Wyglądanie na zewnątrz i podziwianie złotej jasności stanowiło dla Juda nieodłączną część mieszkania tutaj. Nauczył się doceniać dom w Newport, bezkompromisową geometrię i minimalistyczny styl monolitu ze szkła stojącego na brzegu. Ten budynek o prostych liniach i dużych, otwartych przestrzeniach wydawał się zupełnie nieskomplikowany. Stanowił więc kontrast w stosunku do złożonej osobowości mężczyzny, który tu mieszkał. Był to Victor. Podczas spokojnej i chłodnej rozmowy telefonicznej wezwał Juda na łód. Zresztą starszy pan wydawał się ostatnią osobą na świecie, która mogłaby stracić panowanie nad sobą.

Jud usłyszał, jak drzwi na piętrze się zamykają, a potem spojrzał na zegarek. Była siódma rano. Jego dziadek funkcjonował jak zegarek. Kilka minut później Jud wziął swoją kawę i upił łyk. Gdy pojawił się Victor, napój stanowił pewną rozrywkę, jednak zimna kawa była niemal tak samo trudna do przełknięcia jak duma.

- Porozmawiamy w gabinecie.

Nie czekając na odpowiedź, dziadek podszedł do drzwi kuchni i poprosił Marię, by przyniosła mu śniadanie do pokoju.

Jud podlał swoją kawę kaktusa w doniczce, a potem wziął sobie ciepłej, żeby tylko nie podążać krok w krok za Victorem i nie pogarszać swojego położenia. Jego dziadek nie znosił pochlebców, ale też ludzi, którzy zawsze przytakiwali.

Gdy Jud wszedł do gabinetu, Victor powiedział:

- Od piątku rozmawiałem przez telefon z siedmioma członkami zarządu. Dzwoniłeś do każdego z nich.

- Kazałeś mi dowiedzieć się czegoś o Marvettim. Czy to nie dziwne, że żaden z nich do mnie nie oddzwonił? Wspaniały przykład rzucania kłód pod nogi. - Jud uniósł kubek w fałszywym geście brawury, podczas gdy milczący dziadek zdawał się wypełniać cały pokój. Byli ludzie, którzy tu wchodzili i znikali. Inni stawali się niezauważalni, jeszcze nim pokonali drzwi. Było jednak kilka osób, które tak jak Victor potrafiły przejąć kontrolę nad każdym pomieszczeniem. Jud wiedział, że nie należy do tego wąskiego grona, nawet jeśli bardzo tego pragnął.

- Usiądź. - Victor rzucił na biurko „Los Angeles Times”. —
Przeczytaj stronę drugą. - Dodał kolejną gazetę. — Strona piąta. - I dołożył jeszcze jedną. - Strona trzecia. - Potem pofrunęła następna. - Strona pierwsza.

Victor dobrze przygotował ten pokaz. Każdy artykuł przynosił świeże wiadomości o śledztwach dotyczących Marvetti Industries, poczynając od oszustw podatkowych aż po niejasne powiązania z mafią. Kiedy Jud czytał artykuł za artykułem, zaczynał się czuć tak, jakby w żołądku miał ogromny kamień. Odłożył ostatnią gazetę ze słowami:

- Jestem idiotą.

- Gdybyś był idiotą, nie pracowałbyś dla mnie. Jud nie potrafił wymyślić rozsądnej odpowiedzi.

- Jednakże - tutaj Victor zrobił pauzę i odchylił się do tyłu w fotelu - każdy telefon do członka zarządu dowodzi twojej słabości. Popelniałeś jeden błąd za drugim.

- Podczas gdy wszystko, co należało zrobić, to poczekać i przeczytać gazety? - Jud roześmiał się niewesoło. Nienawidził przegrywać i kiepsko sobie z tym radził, ponieważ jego życie było pasmem sukcesów - szkoła, sport, praca w lecie, studia. Po ukończeniu nauki trafił do rady nadzorczej, a przedsiębiorstwo stało się jakby przedłużeniem kampusu uniwersyteckiego. Problem polegał na tym, że wszystko, co dotychczas doskonale funkcjonowało, teraz przestało działać. Jud zdecydował właśnie, że czas przestać poganiać cały świat.

- Czego chcesz, Jud?

- Chcę kierować tą firmą.

- Nie radzisz sobie, a ja nie mogę forsować twojej kandydatury.

- Nigdy nie prosiłem, byś pchał mnie w górę. Nikt by mnie nie szanował. Tego bym nie zniósł.

Jud musiał udowodnić, że jest kimś - nie Victorem, ale innym rodzajem człowieka.

Dziadek przyglądał mu się. To był poranek pełen objawień. Jud wszedł do tego pokoju, spodziewając się dostrzec rozczarowanie w oczach starszego pana, zobaczył jednak coś wyglądającego na dumę.

- Zamierzam wypracować sobie drogę na wyżyny. Jeśli coś mi dasz, udowodnię ci, że na to zasługuję.

- Stara dobra, purytańska etyka pracy? - Victor roześmiał się. - To już nie działa, synu. Słowa „wypracować” i „zasłużyć” nie mają zastosowania w biznesie. Jeśli czegoś chcesz - dziadek Juda przerwał i wzruszył ramionami - po prostu to bierzesz.

Chwilę potem weszła Maria ze śniadaniem, skutecznie uciszając ich obu. Victor powiedział już to, co chciał, żeby Jud usłyszał.

Cale obudził się, słysząc dzwonek telefonu. Przyciągnął słuchawkę do ucha, wciąż w połowie zakopany w poduszkach.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego.

- Podnieś głowę z poduszki, leniwy palancie. - Po drugiej stronie linii odezwał się Jud, Pan Słoneczko. - Powtórz mi, proszę, w jaki sposób radzisz sobie każdego ranka z wstawaniem na zajęcia?

- Nie mam rano żadnych zajęć. - Cale ziewnął i przeciągnął się, wciąż nie do końca przytomny. - Przesuwam je w grafiku na popołudnia i wieczory.

- Czy Linda była smutna z powodu mojej nieobecności ostatniego wieczoru?

- Odpieprz się. - Cale usiadł na łóżku. - Wiesz, jak ma na imię. Laurel cię nie zna, więc nie mogła być smutna z powodu twojej nieobecności. Bardzo smakowały nam twoje steki.

- No cóż, wygląda na to, że będziesz miał Lori i jedzenie tylko dla siebie. Nie wracam. Victor wyjeżdża na początku przyszłego tygodnia i jest tu zbyt wiele do roboty.

- Jak tam stary palant?

Ze słuchawki dobiegł śmiech Juda.

- Był zaskakująco ludzki.

- Interesujące. To jest oblicze, którego nie widuję.

- Może miałbyś na to szansę, gdybyś częściej bywał w domu.

- Taak, cóż, zostawiam Victora tobie. To ty musisz z nim współpracować, nie ja.

- Jeśli nie uda ci się dostać na medycynę, pewnie również wyładujesz w tej firmie, więc nie bądź taki pewny siebie. A tak przy okazji, znalazłem ci pracę na lato.

Cale zdusił odruchowe jęknięcie i przeciągnął dłonią po włosach. Ostatnie lato okazało się piekłem. Przez trzy miesiące zajmował się obsługą dwóch biur dla dziadka - starszy pan przez cały czas mu dokuczał i nigdy nie zapominał powiedzieć, co zostało źle zrobione. Przez większość czasu Cale czuł się jak małpa, którą zawieszono nad niszczarką.

- Jesteś tam?

- Taak, jestem. Co to za robota?

- Praca z dala od biur. Sprowadzamy zaopatrzenie dla floty cystern - mógłbyś wozić coś z fabryki. To praca, która nie jest pod bezpośrednim nadzorem Victora, a do tego będziesz miał przynajmniej trzy dni wolne w tygodniu. Założyłem, że będziesz potrzebował trochę czasu dla siebie, żeby zabawić się z Lucy.

Cale roześmiał się z ulgą. Czasami jego brat był w porządku.

- Dzięki, Jud.

- Nie ma sprawy.

Zaraz potem rozłączyli się, a chwilę później Jud zaczął interwencję w sprawie brata. To był zwyczajowy schemat komunikacji: Victor-Jud-Cale, Cale-Jud-Victor. Jud stał pomiędzy nimi niczym mur berliński. Cale wiedział, że jego zażyłość z bratem stanowiła skomplikowany związek, zrodzony z pokrewieństwa ciała i ducha. Ta bliskość została jednak bardzo zmieniona przez Victora, który odciągał ich od siebie, a potem zbliżał w najdziwniejsze, jednak zawsze nieprzewidywalne sposoby. Cale kochał

brata, ale odniósł głębokie, niewidoczne rany spowodowane świadomością, że nigdy nie będzie taki jak on.

Cale poczuł, jak zalewają go przytłaczające uczucia. Nadzieje i marzenia nie opuszczały go, wyglądało jednak na to, że ich spełnienie znajduje się bardzo, bardzo daleko. Studia medyczne rozmywały się we mgle, jak zarysy snu znikające w czystym świetle poranka. Nie powiedział Laurel o swoich obawach, porażkach i wątpliwościach. Nie mógł tego zrobić, jeszcze nie. Nie był pewien, na jakim gruncie stoi, jeśli chodzi o ich znajomość - miał wrażenie, że znajdują się na krawędzi czegoś, jednak wciąż była to niebezpieczna okolica. Zbyt często stapał po cienkim lodzie, a chciał wiedzieć, że coś w jego życiu ma solidne podstawy.

Listy z odmowami przemknęły mu przez głowę niczym przypomnienie błędów, a twarda rzeczywistość wyczerpała go, położył się więc z powrotem, naciągnął poduszkę na głowę i uciekł w świat snów.

W piątkowe popołudnie Jud sprawdzał jakieś liczby na spotkanie z urzędnikiem finansowym, kiedy zadzwoniła do niego sekretarka Victora z informacją, że dziadek chce się z nim widzieć. Zatrzymał się przed biurkiem Victora i przysiadł na rogu jej biurka.

- Jakie warunki atmosferyczne panują w środku?

- Pogodne niebo i świeci słońce, jednak za pół godziny ma spotkanie z Rosenem. Może się okazać, że pogoda ulegnie zmianie.

- Wiesz, o co mu chodzi? Sekretarka potrząsnęła głową.

- Właśnie wyszedł stąd jego prawnik. Gdy Jud wszedł do środka, Victor pchnął w jego stronę jakieś papiery. Dokumenty wprawiły Juda w zdumienie.

- Co to takiego?

- Dokładnie to, co widzisz. Oddaję ci dwadzieścia pięć procent moich udziałów.

Przez głowę Juda przebiegły dziesiątki myśli, ale zdołał wypowiedzieć tylko jedno pytanie:

- Dlaczego?

- Ciągłe martwisz się o to, że powinieneś na wszystko zapracować? Sądysz, że na to nie zasługujesz? - Victor wręczył mu pióro. - Nie pytaj dlaczego, tylko podpisz papiery podatkowe i transferowe.

Jud wpisał swoje nazwisko we wszystkich zaznaczonych miejscach, a potem oddał dziadkowi dokumenty. Czuł jednak walenie serca i nie mógł pozbyć się poczucia, że coś tutaj jest nie tak. Przed oczami pojawił mu się wyraz twarzy brata, kiedy dowiedział się, iż to Jud dostał mg. W głowie zabrzmiało jednak: „Zamknij się i bierz”.

Victor uniósł wzrok.

- To wszystko. Możesz iść. Jud nie ruszył się ze swojego fotela.

- Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym? - Victor odłożył raport na biurko.

- Chodzi o Cale'a.

- Co z nim?

- Nie może się dostać na studia medyczne.

- To jego wina.

- Możesz rozwiązać ten problem. Kilka telefonów wystarczy, by dostał się na USC.

Victor nie zaprzeczył, choć Jud widział, jak starszy pan nad czymś myśli. W końcu powiedział:

- Cale nie udowodnił mi, że nadaje się na lekarza.

- Popęlnił głupi błąd. Nie wymagaj od niego perfekcji.
- Wszystko, co chcę zobaczyć, to pewna doza samokontroli.
- Cale chce być lekarzem. Zawsze tego chciał, a ty dobrze o tym

wiesz.

- Wpakował się w ten bałagan z własnej winy.
- I jest tego świadom.
- Dlaczego miałbym przychodzić mu z pomocą?
- Z tego samego powodu, dla którego przekazałeś mi te akcje.
- Czyli?
- Chciałeś, żebym ci coś zawdzięczał.

Victor rozparł się zamyślony w fotelu, w końcu powiedział:

- Spodziewam się, że nie popełnisz więcej tego samego błędu. Cale ryzykuje swoją przyszłość za każdym razem, kiedy na scenie pojawia się jakaś dziewczyna, która zakręci tyłkiem. Niewiele brakowało, a nie dostałby się do college'u. Cheerleaderka? On nie ma nawyku uczenia się, powieła wciąż wzorzec złych wyborów.

- Fakt, schrzanił to, a kobiety stanowią jego słaby punkt. Jednak czy w ogóle prowadzilibyśmy tę dyskusję, gdyby nie miał tak odległego numeru na liście poborowej?

- Nie wiem. - Głos Victora był ostry i podenerwowany.

Jud wiedział, jaka jest opinia jego dziadka na temat wojny. W tej chwili praktycznie nie istniała szansa, by Cale został powołany do służby wojskowej. Jud był jednak pewien, że gdyby jego brat znajdował się wyżej na liście poborowej, Victor z pewnością pociągnąłby za kilka sznurków, by zapewnić mu dostanie się na studia medyczne.

- Miał wysokie wyniki z egzaminów uprawniających do podjęcia studiów medycznych, Victorze.

Dziadek znów zamilkł, a Jud po prostu pozwolił mu wszystko przemyśleć. Poznał już kilka sposobów na osiągnięcie tego, co chciał dostać.

- Skąd u ciebie ta nagła troska o brata?

Jud nie udzielił błyskawicznej odpowiedzi - zamiast tego zaczekał, nim powiedział Victorowi to, co starszy pan chciał usłyszeć.

- Jeśli nie dostanie się na studia medyczne, nie będzie miał żadnego wyboru, tylko przyjdzie pracować tu, w firmie.

- Obawiasz się konkurencji?

- Po prostu nie mam ochoty się irytować. Victor przyglądał mu się przez długą chwilę, a potem powiedział:

- Zastanowię się nad tym.

Miłość wypełniała myśli Laurel, kiedy sprawdzała w lustrze makijaż i fryzurę. Odpowiedź, której udzieliła jej matka - że dziewczyna pozna miłość, gdy ją spotka - nie stanowiła żadnego ułatwienia. Kathryn wciąż opłakiwała męża. Czy rodziców Laurel łączyła prawdziwa miłość? A może aktualny stan Kathryn lepiej było określić jako całkowitą bierność? Ulotna miłość... To było coś, o czym wszyscy rozmawiali, pisali, uczucie, którego ludzie pragnęli, dla którego żyli i które opłakiwali. A mimo to nikt nie potrafił go zdefiniować. Eskimosi mieli setki słów określających płatki śniegu, a w języku angielskim miłość wyrażał tylko jeden wyraz. Czy prawdziwa miłość lubiła nagle zaskakiwać, czy też skradała się niczym jakiś ciemny, oślizgły

Obcy z filmu klasy B, czekając na okazję, by wsunąć się w czyjeś ciało i sprawić, że już nic nie będzie takie jak przedtem?

Może ona nigdy nikogo nie pokocha. A może już kochała. Poddała się i wyłączyła światło w łazience, a następnie ruszyła w kierunku korytarza. Usłyszała, jak matka rozmawia przez telefon w kuchni, stanęła więc cicho przy drzwiach i wytężyła słuch.

- Przepraszam. Po prostu koniec końców stwierdziłam, że nie dam rady.

Cisza.

- Nie - powiedziała Kathryn niskim, pewnym głosem. -Wiem, ale nie potrafię tego zmienić. Powodzenia, Stephen. Musimy kończyć tę rozmowę.

Laurel usłyszała cichy odgłos odwieszanej słuchawki. Kiedy dziewczyna weszła do kuchni, jej matka wyrzucała właśnie do kosza bukiet nieco uschniętych żonkili.

- Kim jest Stephen?

- Nikim.

Kathryn postawiła wazon na ladzie i przeszła z koszem na śmieci obok córki, potem rzuciła na nią okiem i spytała poirytowanym tonem:

- O co chodzi?

Laurel nie odpowiedziała.

- Stephen Randall to po prostu ktoś z Rady Biznesu. Kathryn głośniejsz niż zwykle zamknęła za sobą drzwi. Nieco później Laurel usłyszała brzęk metalowej pokrywy kosza na śmieci na podwórku obok domu.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi, sygnalizując przybycie Cale'a. Była sobota, następnego dnia popołudniowym statkiem

oboje wracali na stały ląd. W poniedziałek znów rozpocznie się zwyczajne życie, a oni podejmą swoje dotychczasowe zajęcia.

Po przejściu na drugą stronę ulicy Laurel odwróciła się i zobaczyła matkę stojącą na tyłach domu, przyglądającą się im z nieprzeniknioną twarzą. Przez szaloną chwilę zastanawiała się, czy jej matka jest zazdrosna. Coś tu się nie zgadzało. Ostre, urywane odpowiedzi... Kompletna niezdolność matki do spojrzenia na córkę i uśmiechnięcia się... Zamiast tego Kathryn przyglądała się jej zmartwiona, jakby się czegoś bała. Jednak Laurel nie bała się ani nie martwiła. W końcu była szczęśliwa.

- Wszystko w porządku? - Cale ujął jej dłoń i Laurel poczuła to delikatne, nieokreślone uczucie, przypływ podniecenia. Jej ciało ożywało.

- Jasne.

Laurel uśmiechnęła się do niego i przestała oglądać się za siebie. Spędziła z matką dosyć czasu. Całe życie aż do tej chwili. Teraz przyszedł moment dla Cale'a i dla niej - nadeszła pora na szczęście. Koniec końców to był czas na miłość. Laurel była tego niemal pewna.

Było późne popołudnie, chociaż na podstawie światła wpadającego przez okna opuszczonego budynku Golden State Tire nie dawało się oszacować pory dnia. Spoglądanie przez przymglone ze starości tafle szkła przypominało patrzenie na świat przez szklanekę chudego mleka. Ruch uliczny ze znajdującej się zaledwie sto metrów dalej Santa Ana Freeway brzmiał zaskakująco głośno wśród olbrzymich, pustych przestrzeni na parterze, gdzie beton nie pozwalał na wytłumienie odgłosów z zewnątrz. Victor wszedł do starej windy towarowej, która chwilę wcześniej zatrzymała się ze zgrzytnięciem.

Na najwyższym piętrze otworzył prowadzące na strych drzwi z niecierpliwością człowieka ogarniętego obsesją. Minęło zbyt wiele pozbawionych emocji lat. Miesiącami nawet nie zaglądał na ten strych. Nie pamiętał, kiedy był tutaj po raz ostatni. Wczoraj dostarczono jednak obrazy.

Na początku dostrzegł tylko cienie olbrzymich płócien. Ta sytuacja zmieniła się, gdy Victor pstryknięciem przełącznika sprawił, że pomieszczenie zalało jaskrawe, fluorescencyjne światło. Na ścianach wisiały jeden obok drugiego obrazy w jaskrawych kolorach. Zbyt często w przeszłości wchodził tutaj i spodziewał się zobaczyć Rachel, przyciągającą uwagę, otoczoną przez swoje prace i tłumy. Zapach perfum Arpège czasami wydawał się Victorowi aż zbyt realny. Może właśnie dlatego trzymał się z daleka - jakby chciał udowodnić sobie, że potrafi to zrobić. Był właścicielem wszystkich obrazów synowej, poza dwoma. Za jej życia nigdy nie potrafił posiąść nawet pojedynczej komórki, która do niej należała.

Malarka nie polubiła go podczas ich pierwszego spotkania, ale dzięki temu wydała mu się bardziej interesująca. Kobieta składająca się ze światła i płomieni zniszczyła jego syna, marzyciela i chodzącą porażkę. Płonący w niej ogień był tak silny, że powinien ją samą natychmiast spalić. Zamiast tego ona niszczyła mężczyzn, którzy bezradnie ją kochali niczym ómy światło, urzeczeni otaczającymi ją płomieniami pasji.

Victor także należał do tej grupy. Rachel Espinosa poruszyła jego ciało i poraziła go żarem, który zniszczył mu duszę, nawet jeśli był przeklęty już na długo przedtem, nim ją spotkał. Ogarnęła go mroczna obsesja i nic nie miało znaczenia - nawet fakt, że ona była żoną jego syna.

To było jedno z licznych wcieleń nieprzewidywalnej i dzikiej Rachel. Jakaś część Victora musiała się jednak przekonać, czy zdoła zapanować nad tą kobietą. Rachel poraziła go mieszanką namiętności, pożądania i uzależnienia. To ona była jedyną kobietą, którą darzył miłością. Jej nieuchwytność i tajemniczość podsyciała wyzwanie, które było jego zwyczajowym kryterium przy wybieraniu kobiet.

Chciał osiąść kogoś, kto nie spojrzał na niego po raz drugi. Z każdą niedostępną kobietą, którą zdobył, Victor zyskiwał to, czego nie mógł osiągnąć w dzieciństwie. Wygrywał. Nie potrafił trzymać się z dala od Rachel, a później nie był w stanie przezwyciężyć manii dotyczącej jej obrazów. Jego obsesja stała się tworem żyjącym własnym życiem. W ciągu tych lat zdarzały się długie okresy, kiedy unikał tej kobiety - nie dlatego, że płomień namiętności się wypalił, lecz z powodu przerażenia, które w nim budziła. Victor musiał zachować choć część kontroli nad wszystkim.

Rachel nigdy nie zwykła zdradzać nikomu swoich tajemnic, a już na pewno nie jemu. Miała swoje powody. Była mroczną duszą, potężnym mistycznym tworem, który sięgał korzeniami najciemniejszych głębi egzystencji. Nikt nie potrafił odczytać jej miazmatycznych myśli.

życie zmieniło się, kiedy prawda wyszła na jaw - ona i Rudy nie żyli, a u niego pojawili się chłopcy. Zobaczył wtedy w Judzie jakąś część siebie, ale Cale był taki sam jak Rudy.

Temperatura na strychu była stała, a panujące tu warunki doskonale nadawały się, by przechowywać dzieła Rachel. Victor przyjrzał się najnowszemu obrazowi. Na razie stał oparty o ścianę, czekając na powieszenie. Victor podszedł do przodu, potem cofnął się, spoglądał z

różnych stron, jednak nie znajdował tutaj żadnych odpowiedzi. Rachel po śmierci była tak samo nieprzenikniona jak za życia.

Cofnął się myślami w czasie, przywołując jej postać i głos, gdy stała tutaj z dziwnym, mrocznym wyrazem twarzy. Nawet dzisiaj Victor chciałby wiedzieć, dlaczego tak długo zwlekała z powiedzeniem mu, że jeden z chłopców był jego synem.

RS

15

Uroczystość rozdania dyplomów, Loyola University

To był trzeci z rzędu dzień upałów. Coś takiego wytrącało z równowagi tubylców, więc ludzie tłumnie ciągnęli na bezkresne plaże nad Pacyfikiem lub też kierowali się do Angeles Forest, nad chłodną i czystą wodę w górskich jeziorach. W ten upalny weekend pod koniec maja rodziny absolwentów szkół siedziały i smażyły się na twardych składanych krzesłach w murach budynków college'ów. Młodzi ludzie kończący właśnie naukę należeli do roczników, które poszły do szkół jako nowa generacja Kennedy'ego, a teraz przyszło im brać udział w loterii poborowej Nixona.

Jud był już spóźniony, kiedy wjechał swoim mg na zatłoczony parking przed Loyola University, zaparkował więc samochód na trawie i ruszył biegiem, wkładając po drodze marynarkę. Z głośników płynęły nazwiska tegorocznych absolwentów. W pobliżu kaplicy znajdowała się scena i rzędy siedzeń. Rodziny zajmowały miejsca za absolwentami w czarnych nakryciach głowy.

- W samą porę - powiedział Victor, kiedy Jud go odnalazł.

- Stałem w korkach - usłyszał w odpowiedzi. Przez tłum przetoczyła się nagle fala śmiechu. Była to reakcja na wbiegnięcie pomiędzy studentów a podium dziwnego osobnika. Jego cały strój stanowiła czapeczka, twarz i włosy miał pomalowane w barwy szkoły. Wszyscy absolwenci poderwali się na nogi, gwizdali i wiwatowali. Biegacz zatrzymał się, niczym mistrz bokserski złożył teatralny ukłon z pięściami

uniesionymi w powietrzu, a potem zniknął między budynkami, tuż przed nosem strażników.

- Powiedz mi, że to nie był Cale - rzucił Victor.

- To niemożliwe. - Jud się roześmiał. - Nie biegła przed nim żadna dziewczyna.

Victor oparł się na swoim krześle.

- Nie musisz się przesuwac, moja droga. Jud zajmie miejsce obok ciebie. To przyjaciółka Cale'a.

Obok Victora siedziała Nimfetka, wyglądająca świeżo, wręcz zachwycająco, a więc tak samo jak na statku. Na początku zmarszczyła czoło - najwyraźniej usłyszała wymianę zdań dotyczącą Cale'a - a potem ogarnęło ją podobne zdziwienie i zaskoczenie jak Juda. W nieruchomym powietrzu czuć było jej świeży zapach - woń kwiatów, cukierków i niewinności. Jud ciężko usiadł, ale odezwał się całkiem niezobowiązująco:

- Masz na imię Laurel, prawda?

Wyglądała tak, jakby próba odezwania się mogła zakończyć się kompletną katastrofą. Na jej czerwieniącej się twarzy pojawiła się cała gama emocji, przepływając kolejno falami. Jud przypomniał sobie twarz dziewczyny, która stała zarumieniona w barze na statku. Odtworzył w pamięci urazę, widoczną w chwili, kiedy zostawił tę małą, oraz odgłos jej płaczu, gdy biegła wzdłuż Crescent Street.

- A ty jesteś Jud?

- Owszem.

Sięgnął po dłoń sąsiadki, ale powstrzymał ten ruch. Nie mógł jej dotknąć. Victor ciągle ich obserwował. Cale był idiotą. Ostatnią rzeczą, którą Victor chciał zobaczyć, był Cale z dziewczyną. A do tego okazało

się, że dziewczyną jego brata była Nimfetka. Cholera, ten cały dzień był kompletnie popieprzony.

- Wyglądasz tak znajomo - powiedziała niezobowiązującym tonem. Przywołała na usta sztuczny półuśmiech, a jej ciemne oczy pełne były emocji, gdy spoglądały na niego spod brwi rozdzielonych małą zmarszczką.

- Cale i ja wyglądamy podobnie. - Jud wychylił się do przodu. - Wszyscy mężczyźni z rodziny Banningów wyglądają podobnie. - Uderzył programem o nogę. - A więc to ty jesteś Laurel. Cale nieustannie o tobie opowiada.

- Naprawdę? - spytali jednym głosem Victor i Nimfetka. Dziewczyna roześmiała się, ale dziadek Cale'a tego nie zrobił. Ten jego przeklęty brat. Cholera, cholera, cholera. Nie powinno go obchodzić, w kim zakochał się Cale, przeklinał jednak brata za wystawienie Victorowi do odstrzału właśnie tej dziewczyny.

Laurel. Wawrzyn. To do niej pasowało. Wieńce z liści wawrzynu wręczano w dawnych czasach poetom, bohaterom oraz zwycięzcom pojedynków atletycznych. Tak właśnie wyglądał symbol chwały i korona jako nagroda dla najlepszych.

- Wiesz, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś cię widziałam - powiedziała swobodnie.

- Nie sądzę. Pewnie myślisz o Cale'u.

Dziewczyna milczała przez kilka sekund, wreszcie powiedziała:

- Zaczekaj... Wiem. Wyglądasz jak uczestnik pewnej bójki, którą widziałam.

Jud roześmiał się głośno i przypomniał sobie, dlaczego na początku tak bardzo mu się spodobała.

- Stoczyłem kilka walk.

Z głośników dobiegł pisk sprzężenia. Na podium starano się przywrócić porządek ceremonii, a rektor zaczął wyczytywać nazwiska. Kiedy pojawił się Cale, jego brat uśmiechnął się i powiedział:

- Ponoć przewidziano nagrodę w wysokości trzystu dolarów dla pierwszej osoby, która pokaże publiczności tyłek.

- Chwała Bogu, że twój brat tego nie zrobił. - Victor powiedział te słowa całkiem poważnie.

Laurel wyglądała na zaszokowaną.

- Cale nigdy nie zrobiłby czegoś takiego - zapewniła.

Nimfetka знаła tego chłopaka lepiej niż jego własny dziadek, a Jud zastanawiał się, jak dobrze jego brat zna ją samą. To go niepokoiło - ta dziewczyna i Cale. Na kilka minut myśli Juda popłynęły w zupełnie inne miejsce.

Rozległy się ogłuszające brawa i na podium jak na boisko do koszykówki wskoczył Will Dorsey. Poniżej krawędzi jego togi widać było gołe nogi. On to robi - pomyślał Jud. To on pokaże wszystkim tyłek.

Za nimi rozległy się słowa pani Dorsey:

- O nie... niech ktoś go powstrzyma.

Will odebrał swój dyplom, zszedł po schodach, rozpiął togę i z szerokim uśmiechem na ustach zdjął ją jednym szarpnięciem. Rozległy się głośne wiwaty. Został w spodenkach do koszykówki i górnej części oficjalnego stroju uczelni. Na szyi miał zawieszony plakat głoszący wielkimi literami: ZESPÓŁ ZWYCIĘZCÓW.

Czas posuwał się niemrawo do przodu, a słońce paliło głowę Juda. Pot na jego skórze niczym dodatkowa warstwa ubrania pokrywał większą część ciała, podczas gdy myśli dotyczące siedzącej obok dziewczyny ponownie zawędrowały w ślepią uliczkę. Victor rozmawiał z Laurel, co przypominało Judowi dialog pająka z muchą. Dziewczyna niewinnie odpowiadała na pytania dotyczące Cale'a. Nie zdawała sobie sprawy, że każde słowo stanowiło gwóźdź do jej własnej trumny.

Ceremonia wręczenia dyplomów dobiegła wreszcie końca przy akompaniamencie hałasu wystarczającego, by spowodować trzęsienie ziemi, oraz czapkach fruujących w powietrzu. Cale podszedł do nich tanecznym krokiem. Victor potrząsnął jego dłonią, kładąc drugą rękę na ramieniu wnuka.

- Udało ci się - odezwał się Victor, który nie wydawał się tym zaskoczony.

- Udało mi się - powiedział Cale bez wyrazu i odwrócił się. - Jud! - Przywarł do niego w niedźwiedzim uścisku i obaj klepali się nawzajem po plecach.

- Gratulacje. - Jud zmierzwił włosy brata, a Cale się na niego zamachnął. - Cieszę się, że to Dorsey się popisał, a nie ty.

- Taak, no cóż, uznałem, że nie znieślibyście, gdybym zrobił coś takiego.

- Poprawne rozumowanie - stwierdził Victor. - Twoi koledzy z roku stanowią gwarancję twojej przyszłości. To mogą być powiązania zawodowe na całe życie. Po latach będziesz pamiętany jako ktoś, kogo szanowali, a nie klaun klasowy.

Starszy pan mówił te słowa ze śmiertelną powagą.

Jud wymienił spojrzenia z Cale'em, podczas gdy Laurel wciąż stała z boku. Jud uznał, że muszą stanowić dziwny widok - rodzina kierowana przez człowieka, który miał tak wiele, a dawał tak niewiele, a w dodatku trudno było uznać go za duszę towarzystwa. Szczerze mówiąc, żaden z nich nie nadawał się do tej roli. Czuło się, że jest w nich zbyt wiele zahamowań, powstrzymywanych słów, które chcieli powiedzieć, ale nigdy tego nie zrobili.

- A co sądzicie o mojej dziewczynie? - Cale otoczył Laurel ramieniem.

Victor ledwie na nich spojrział. Ułamek sekundy trwała cisza. Jud uznał, że Laurel dobrze sobie radzi, i pozwolił odezwać się jej jako pierwszej.

- Twój dziadek i ja ucieśliśmy sobie miłą pogawędkę - oznajmiła i uśmiechnęła się do Cale'a, a ich ramiona splotły się w pasie.

Jud musiał odwrócić wzrok i skierować go na cokolwiek innego, byle nie na to, na co chciał patrzeć.

- Tak. Rozmawialiśmy ze sobą - potwierdził Victor tonem, który Jud od razu rozpoznał. Cale był jednak tego dnia w euforii, a dziewczyna nie miała pojęcia, co się święci. Właśnie ukazała się mroczna, ukryta strona Victora, stanowiąca zagrożenie dla tych dwojga. Prawda była jednak taka, że z dwóch braci to Jud zawsze lepiej radził sobie z rozumieniem dziadka.

- Wszyscy wybierają się na przyjęcie w Bird's Nest. - Cale rzucił okiem na zegarek. - Powinniśmy iść. Potem mamy jeszcze w planie parę następnych imprez.

- Kiedy musisz wyprowadzić się z akademika? - spytał Victor już w drodze.

- Jutro.

Cale i Nimfetka trzymali się za ręce, a on spoglądał na nią tak często, że obserwowanie tego widoku stało się niezręczne. Ten chłopak był zakochany, tymczasem starszy z braci pragnął chronić dziewczynę.

W trakcie przyjęcia Jud ustawił się w kolejce do stolika z winami, choć miał jednak ochotę na coś mocniejszego. Victor rozmawiał z rektorem. Cale i Laurel ciągle stali przy drzwiach w grupce studentów, w większości patykowatych członków drużyny koszykarskiej oraz ich dziewczyn. Kilka minut później pojawił się przy nich Jud.

- Laurel? - spytał i wyciągnął plastikowy kieliszek. - Pomyślałem, że może masz ochotę na białe wino.

Pierwszy spojrzał na niego Cale.

- Dzięki, Jud. - Pochylił się w jej stronę i powiedział: - Widzisz? Mówiłem ci, że on jest w porządku. Weź drinka. Śmiało.

Dziewczyna zawahała się, w końcu wzięła kieliszek, nie patrząc na Juda.

Cale roześmiał się, opacznie rozumiejąc całe zajście, i zaraz ścisnął jej ramię.

- Laurel, Laurel. Nikt tutaj zupełnie nie przejmuje się tym, ile masz lat.

Spojrzenie, które wymieniła z Judem, mówiło wszystko, jego brat stał jednak tuż obok w kompletnej nieświadomości. Przez krótką chwilę Jud poczuł się niewiarygodnie wściekły, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie ma do tego żadnych podstaw. To, że ta dziewczyna związała się z jego bratem, stanowiło jakiś głupi żart losu. Była po prostu jedną z milionów dziewczyn na świecie. Była nimfetką.

Z jakiegoś idiotycznego powodu nie mógł stamtąd odejść, został więc dłużej, niż powinien, rozmawiając z Cale'em na każdy temat, jaki przyszedł mu do głowy, równocześnie obserwując Laurel, gdyż jakieś nieokreślone uczucie zmuszało go, by tam został. Gdy oboje w końcu wychodzili, żeby dalej się bawić, odprowadził ich do drzwi, jak przystało na wesołego starszego brata. Potem stał, póki nie zniknęli mu z oczu.

Kiedy położył się tej nocy do łóżka, upał i nieruchome powietrze tworzyły rodzaj martwej ciszy, która uniemożliwiała sen. Bezksiężycowe niebo za oknem było tak samo ciemne jak cały pokój, ale Jud wiedział, że nie tkwi w aż takich ciemnościach jak jego brat. Na całe szczęście Laurel nic nie powiedziała, jednak za każdym razem, gdy Jud był w pobliżu, zachowywała się jak królik w światłach reflektorów. Jej twarz i cała reszta wcale nie powinny go interesować. Przedmiotem zainteresowania wszystkich był jednak Victor, a przynajmniej tak powinno być. Cale był głupcem, jeśli wierzył, że tym razem wszystko potoczy się inaczej. Ktoś musiał uratować tę dziewczynę. Nie ja - przysiągł sobie Jud. - To nie będę ja. Laurel była dziewczyną Cale'a, a zarazem jego najnowszym kłopotem.

Cale był zakochany po uszy, wręcz zaślepiony tym uczuciem. Laurel pojawiła się w jego życiu w chwili, kiedy jego przyszłość rysowała się czarno na skutek listów z odmowami przyjęcia na studia. Kiedy wreszcie się odważył, by powiedzieć jej o tym, wcale nie zmieniła swojego nastawienia wobec jego osoby. Po prostu wierzyła w niego. Sam nie potrafił się na to zdobyć, więc przylgnął do dziewczyny, która tak myślała. Niekontrolowany przymus sprawiał, że Cale pożerał ją wzrokiem i nieustannie jej pożądał. To uczucie go zdominowało i przekroczyło ramy fascynacji. Była w nim jakaś pierwotna, prowokująca do działania

potrzeba, tak jakby Laurel wydzielala jakiś związek chemiczny, któremu on nie mógł się oprzeć. Fascynowało go jej ciało. W nocy zamykał oczy i widział obraz dziewczyny tak wyraźnie jak na jawie. Zdawało się, że nic nie przytłumi intensywności tego pociągu do Laurel, który przeniknął głęboko w jego tkanki, stając się czymś nieuleczalnym.

Razem opuścili na piechotę ostatnią imprezę po rozdaniu dyplomów, potykając się z powodu nadmiaru drinków z tequila, wyścigów w picciu piwa i zbyt długiego świętowania. Gdy chwiejnym krokiem zmierzali ramię w ramię przez trawnik w stronę akademika, była czwarta nad ranem.

- Tej nocy wypiałś niemal tyle, co ja — zauważył Cale.

- Naprawdę?

- Powinnaś mnie podtrzymywać.

- Robię to - odparła, nim zdążyła upaść, bo ją złapał. Oboje zaczęli się śmiać jak szaleńcy. Cale przyciągnął ją do siebie. Powinien usłyszeć tykanie, które nagle się rozległo, jednak we mgle oparów alkoholowych ledwie stał, rozglądając się wokół.

Nagle z sześciu różnych punktów zaatakowały ich zraszacze do trawników. Laurel wrzasnęła i próbowała go odciągnąć. Cale uznał, że na zewnątrz wciąż może być ponad dwadzieścia pięć stopni, więc przewrócił ją na mokrą trawę. Laurel krzyknęła, po czym zaczęła się śmiać. Oboje starali się zmoczyć nawzajem i beztriosko się całowali, gdy zraszacze oblewały ich wodą.

Cale leżał na plecach mokry, zabłocony, ubrudzony trawą, z otwartymi ustami.

Laurel oparła się na łokciu.

- Co robisz?

Cale zaczekał, aż strumienie wody ze zraszaczy skierują się w inną stronę, potem wypuścił małą fontannę wody w powietrze na jakieś sześćdziesiąt centymetrów.

- Pluję wodą.

- Potrafię robić to lepiej niż ty. Cale roześmiał się.

- Doprawdy? Proszę bardzo. To będą rozbierane zawody w płuciu.

Laurel ze śmiechem położyła się na plecach, nabrała wody w usta i pobiła Cale'a o dobrych kilkanaście centymetrów.

- Dorastałam w Seattle. Ściągaj gatki. Kiedy mieli już na sobie tylko bieliznę, Laurel wstała, porwała swoje ubrania i zaczęła biec.

- Zaczekaj! Przegrałaś!

Pobiegł za nią, pozwalając, by prześcignęła go na schodach budynku.

Wreszcie znaleźli się w jego pokoju, sami w ciemności wśród piętrzących się pudeł przygotowanych do przeprowadzki. Zaczęli się dotykać i całować. Cale nie potrafił przestać, nigdy tego nie umiał. Jej smak, jej skóra i oddech sprawiały, że puszczały mu wszelkie hamulce. Laurel bała się przekroczyć pewną granicę. Powstrzymywała go nawet w łóżku. Wszystko przerywała. Zawsze. Jednak tej nocy tego nie zrobiła.

Kiedy nauka dobiegła końca, Cale nie mógł już chować się w swoim akademiku. Wrócił do Newport i walczył z dziwnym samopoczuciem, które powodowało towarzystwo dziadka przez dwa dni pod rząd. Unikanie go przestało być takie łatwe. Cale mógł dłużej spać i opuszczać śniadania, ale nie kolacje. Tego wieczoru Maria przygotowała tamale z sosem czekoladowym, gdyż to było jego ulubione danie. Dziadek cierpiał na niestrawność, więc wnuk sądził, że pewnie sam zapach wystarczał, by

wprawić starszego pana w kiepski nastrój już w momencie, w którym przekraczał próg jadalni.

On jednak wcale nie krzywił się, ale zmierzał korytarzem w stronę Cale'a, siedzącego w salonie i popijającego lodowate piwo. Juda nie było w domu, więc tego wieczoru jedli tylko we dwóch. Cale czekał pełen obaw, gotów na zwyczajową utarczkę. Obserwował dziadka i robił to baczniej niż zwykle, gdyż rozmowy pomiędzy nimi wciąż utrzymywały się na tym samym poziomie. Jeszcze się nie pokłócili.

Od Bożego Narodzenia włosy Victora stały się bardziej białe, a twarz bardziej opalona. Rysy twarzy miał znajome - Cale widział je za każdym razem, gdy spojrzał na brata lub w lustro. Wyobrażał sobie wtedy samego siebie starszego o czterdzieści lat. Zaskoczyło go to, że dziadek wcale nie porusza się jak osoby w jego wieku. Krok starszego pana był pewny, plecy wyprostowane, ruchy pełne zdecydowania. Victor Banning chodził jak mężczyzna, który zmierza w jakieś ważne miejsce.

- Cale - przywitał krótko wnuka. Zabrzmiało to jak wezwanie lub reprimenda.

- Victorze.

- Cieszę się, że pamiętałeś, gdzie jest twój dom.

- Ja też się cieszę, że cię widzę.

Cale przysiągł sobie, że nie da wciągnąć się w kłótnię pierwszego wieczoru po powrocie do domu.

Dziadek usiadł na sofie i skrzyżował swoje długie nogi. Wybiła siódma - starszy pan pracował przez cały dzień, ale nie było tego po nim widać. Fryzurę miał w nienagannym porządku. Był ubrany w szyty na miarę, srebrnoszary garnitur oraz elegancką białą koszulę ze spinkami z

lapis lazuli i niebieskim jedwabnym krawatem. Victor wręczył wnukowi kopertę.

Adres zwrotny wydrukowany w lewym rogu głosił: Keck School of Medicine of USC.

Cholera. Spieprzyli wszystko i przysłali list z odmową tutaj — pomyślał Cale. Rozłożył list, wściekając się na myśl, że Victor przeczytał go wcześniej niż on sam. Jeszcze większą złość powodowała zawartość tego listu. Żołądek chłopaka znajdował się gdzieś w okolicach przełyku. To był największy wstyd, jaki poczuł Cale, na dodatek w obecności człowieka, który nigdy mu tego nie zapomni. Jego marzenia umrą, a zarazem zostanie przypieczętowana jego niepewna przyszłość.

W Wietnamie szalała wojna. Sztywno wyprostowani generałowie i doradcy wojskowi pojawiali się w wieczornych wiadomościach, mówili o liczbie poległych. Młodzi buntowali się, urządzali marsze, uciekali z kraju i wściekali się na niesprawiedliwość. Nie dało się legalnie wypić piwa, wolno było jednak umrzeć za kraj. Co gorsza, ci młodzi ludzie nie mogli nawet zagłosować przeciwko człowiekowi, który posyłał ich na śmierć. W najbardziej demokratycznym państwie na świecie dla młodych mężczyzn nie istniało coś takiego jak wolność.

- Będziesz tu tak siedział czy go przeczytasz?

Słowa na kartce były stanowcze i wyraźne. Cale chciał jedynie zamknąć oczy. W tym momencie ból, który odczuwał, stał się nie do zniesienia.

Drogi Panie Banning. W imieniu Keck School of Medicine przy University of Southern California z przyjemnością informujemy Pana...

Trzymał w dłoni dokument potwierdzający przyjęcie na studia medyczne na University of Southern California oraz przyszłość, o której myślał, że jest stracona. Poczul przyływ wzruszenia. Cholera... Już wyobrażał sobie, co powie dziadek, jeśli jego wnuk się rozklei.

- Wykonałem kilka telefonów w twojej sprawie - usłyszał.

Radość, którą właśnie poczuł, a także wzruszenie, ulga i odrobina dumy - to wszystko przewróciło się w nim, tak samo jak żołądek. Victor pociągnął za kilka sznurków, lub co gorsza, wystawił czek, więc Cale znalazł się na liście studentów. Dziadek chciał mu dać do zrozumienia, że na to nie zasłużył. Pragnienie podarcia tego listu i rzucenia go Victorowi w twarz było tak silne, że ręka chłopaka zadrżała.

- Ten list należy do ciebie, Cale. To twój bilet. - Victor przewiercił go wzrokiem. Cale czuł się tak, jakby był preparatem zanurzonym w formaldehydzie, a starszy pan zbliżał się właśnie do niego z nożem służącym do przeprowadzania sekcji zwłok. - Jest tylko jeden warunek.

Cale niemal się roześmiał.

- Oczywiście, musi być jakiś warunek.

- Żadnych dziewczyn, Cale.

- To studia medyczne, nie seminarium.

- Wiesz, co powiedziałem. To mój warunek. Akceptujesz go lub nie.

- Mówisz poważnie?

- Całkiem poważnie.

Victor jak zwykle znalazł sposób, by zapewnić sobie nad nim kontrolę, a Cale poczuł, jak jaskrawoczerwona wściekłość wybucha gdzieś w jego wnętrzu.

- Spodziewasz się, że będę żył jak eunuch?

- To studia medyczne. Wątpię, czy będziesz miał dużo wolnego czasu. Możesz sypiać z tyloma partnerkami, na ile znajdziesz czas, jednak bez wiązania się z jedną kobietą. Żadnych dziewczyn takich jak ta, którą spotkałem ostatnio.

Złość Cale'a była tak duża, że nie odważył się otworzyć ust.

- Jeśli mam poprzeć cię moim nazwiskiem, nie możesz zawieść. Za każdym razem, kiedy w twoim świecie pojawia się dziewczyna, Cale, efekt jest taki sam. Niezależnie od tego, na jak długo ona w nim zagości, twoje życie wkrótce potem rozpada się na kawałki.

- Ty stary draniu! - Cale zaczął miąć list w zaciśniętej pięści.

- Zobaczymy, jak bardzo chcesz zostać lekarzem. - Victor siedział tak beztrosko jak diabeł u bram piekła. - Tu nie ma wyboru. Jeśli chcesz iść na studia medyczne, musisz zapomnieć o swojej słabości do kobiet i powracającego nawyku rujnowania swojego życia dla jakiejś ładnej panienki.

Nagłówek listu zlał się Cale'owi w jedną plamę. Te właśnie słowa od tak dawna pragnął przeczytać - to były jedyne otwarte drzwi, jakie miał przed sobą. Nie mógł ich zamknąć. Nie potrafiła go do tego zmusić nawet urażona, podeptana duma. Powoli wygładził zagięcia na liście i włożył go z powrotem do koperty. Zauważył, że na kopercie nie było znaczka ani stempla pocztowego.

Wyraz twarzy Victora wydawał się nieprzenikniony, a jego oczy patrzyły jak zawsze ostro i przenikliwie. Ten wzrok mówił wszystko. Coś tliło się we wnętrzu Victora, coś głębokiego i intensywnego. Cale zastanawiał się, czy gdyby przepołowić tego człowieka, okazałoby się, że jest w nim ogień czy lód. Potem dziadek wzruszył ramionami, jakby nic,

co dotyczy Cale'a, nie uważał za istotne. Tak jak zawsze w przypadku Victora to był test.

- Zgadzasz się?

- Tak, zgadzam się - odpowiedział Cale z pełną świadomością, że kłamie. Z powodu Laurel, z powodu tamtej nocy, z powodu tysięcy pęknięć na jego wierze w siebie i samoocenie była to obietnica, której nigdy nie zdoła dotrzymać.

Laurel przekroczyła próg kliniki świadomego macierzyństwa w Santa Monica i znalazła się w zaskakująco pustym holu. Za dużą szybą siedziała recepcjonistka, rozmawiając przez telefon. Podenerwowana Laurel poprawiła torebkę, czując, że rzuca się w oczy niczym Alicja w maleńkich pomieszczeniach Krainy Czarów. Kobieta otworzyła okienko i gestem wskazała kartkę, na której należało wpisać swoje dane, potem wróciła do rozmowy. Laurel wypełniła kwestionariusz i usiadła na niewielkim krześle w kolorze akwamaryny, stojącym obok stolika zasłanego kobiecymi pismami.

Musi chyba istnieć jakaś ogólna zasada, która powoduje, że wszystkie poczekalnie lekarskie wyglądają tak samo: nakrapiana wykładzina dywanowa w ziemistych kolorach; krzesła z nogami z zimnej stali i siedziskami ze sztucznej skóry w niemodnych kolorach; stół z płyty wiórowej oklejony jakimś laminatem. Te pomieszczenia miały w sobie zazwyczaj coś nierealnego, nadającego im charakter dekoracji scenicznych. Laurel usiadła więc na niewygodnym krześle i postanowiła zająć się czasopismami o wychowywaniu dzieci — choć przyszła tu właśnie nie po to, by temu zapobiec.

- Pani Peyton?

Recepcjonistka stanęła w drzwiach. Przez pełen zakłopotania moment Laurel myślała, że ktoś szuka jej matki. Szybko jednak wstała i ruszyła za recepcjonistką wąskimi, przypominającymi labirynt korytarzami, głośno stukając butami, co doskonale pasowało do rytmu bicia jej serca. Przejście rozszerzało się na końcu i przechodziło w większą poczekalnię, oświetloną jaskrawym światłem i wypełnioną również okropnymi meblami. Jakaś kobieta karmiła niemowlę, a u jej stóp na barwnym chodniku bawiły się trzy szkraby. Młoda, podenerwowana para siedziała w kącie, rozmawiając szeptem. Obok kobieta po czterdziestce nie unosiła wzroku znad czasopisma poświęconego prowadzeniu domu.

- Proszę. - Recepcjonistka wręczyła Laurel jakieś druczki i podkładkę do pisania z przyczepionym czarnym długopisem. - Proszę to wypełnić. Bez pośpiechu. Mamy dzisiaj opóźnienie.

Zniknęła tak błyskawicznie jak Biały Króliczek.

Laurel wypełniła formularze mieszanką prawdy i kłamstw. W rubryce „ubezpieczenie” wpisała „płatne gotówką”. Potem odłożyła podkładkę na kolana i starała się nie okazywać podenerwowania. Zdobycie pigułek nie było proste. Ostrzegano ją. Dziewczęta, które próbowały to zrobić przed nią, nieraz usłyszały „nie”, w związku z czym były zmuszone radzić sobie same. Bywało jeszcze gorzej - lekarze rodzinni dzwonili do rodziców. Zważywszy na surowe i dziwne zachowanie matki, Laurel nie miała ochoty mierzyć się z taką ewentualnością.

Godzinę później leżała na fotelu z przymocowanymi do jego końców metalowymi strzemionami i starała okryć się szeleszczącym, papierowym strojem wielkości czterech serwetek. Drzwi otworzyły się i do środka

weszła niska, starsza kobieta w fartuchu, ze stetoskopem na szyi, trzymając kartę informacyjną Laurel oraz prostą, szarą teczkę.

- Witaj, Laurel. Jestem doktor Davidson. W czym mogę ci pomóc?

- Chciałabym dostać receptę na pigułki antykoncepcyjne. Lekarka spojrziała na kartkę i z powrotem na Laurel.

- Masz dwadzieścia jeden lat?

- Tak - skłamała Laurel.

- A mąż?

- Jest w Wietnamie. - Uśmiech zamarł na ustach Laurel. - Wraca jednak do domu w przyszłym miesiącu.

- Rodziny wojskowych mają zapewnioną opiekę w szpitalach armii.

- Czuję się pewniej, mając do czynienia z lekarzem kobietą. Po przejrzeniu w milczeniu najważniejszych danych lekarka cofnęła się o krok.

- Muszę przeprowadzić badanie narządów rodnych. Kobieta wezwała pielęgniarkę.

Laurel nigdy wcześniej nie przechodziła takich badań, leżała więc tam, krzywiąc się i denerwując. Patrzyła w górę, na sufit przypominający strukturą ser, i modliła się, by badanie szybko minęło. Było bolesne i trwało całe wieki. Zacisnęła ręce na boku fotela i zamknęła oczy.

- Proszę oddychać - powiedziała delikatnie pielęgniarka. - Proszę się rozluźnić.

Laurel miała ochotę się roześmiać, gdyż to rozluźnienie było niemożliwe. Kiedy otworzyła oczy, pielęgniarka spoglądała na zegarek ze śmiertelnie znudzoną miną mówiącą, że ma do zrobienia milion innych

rzeczy. Nie było na jej twarzy uprzejmości, podobnie jak zrozumienia u badającej lekarki.

Czy Laurel dostrzegła potępienie, czy może wyobrażała sobie coś, co w rzeczywistości nie istniało? Zamknęła oczy i po prostu mocno trzymała się fotela. Pod koniec badania była bliska płaczu.

- Proszę usiąść. Wygląda na to, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Lekarka odwróciła się od pacjentki, a pielęgniarka wyszła, nim rękawiczki pani doktor wylądowały w koszu na śmieci. Doktor Davidson zanotowała kilka słów na karcie i potem wręczyła Laurel dwa połyskujące pudełeczka z różowego plastiku oraz kilka błyszczących broszur.

- Tutaj jest kilka próbek pigułek oraz informacja o efektach ubocznych i chorobach wenerycznych. Powinnaś wyrobić w sobie nawyk brania pigułek o tej samej porze każdego dnia, tak by stało się to rutyną. Równie dobrze może to być rano, jak i wieczór. Niektóre kobiety trzymają pigułki obok szczoteczki do zębów. Przypuszczalnie przybierzesz trochę na wadze, a twoje piersi będą początkowo bardziej wrażliwe. Mogą pojawić się upławy i może się zdarzyć, że przez pierwszy miesiąc lub dwa nie będziesz miała normalnego krwawienia. To wszystko jest normalną reakcją organizmu. - Coś zanotowała, potem oderwała kartkę z notatnika i wręczyła ją Laurel. — Oto recepta na kolejnych dziesięć miesięcy. Dzwon, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

Pani doktor zostawiła ją samą, przykrytą serwetkami i panicznie obawiającą się naukowej, zimnej strony miłości. Jednak przyszła tutaj po pigułki. Czowała się wciąż nieswojo. Szybko się ubrała, zapłaciła gotówką i

wyszła na zewnątrz, gdzie świat ponownie wyglądał normalnie. Powitało ją upalne powietrze i ruch uliczny. Odgłosy życia.

Laurel powiedziała sobie, że to cisza panująca w przychodni tak wytrąciła ją z równowagi. Wrzuciła okrągłe pudełko z pigułkami i receptę do torebki, po czym zbiegła po schodach, naprzeciw promieniom słonecznym. Przystanek autobusowy znajdował się zaledwie jedną przecznicę dalej. Mogła jeździć dzisiaj cały dzień - to były jej osiemnaste urodziny.

RS

16

W sierpniu nastąpiła kulminacja letniego najazdu na wyspę, przez co w przeliczeniu na metr kwadratowy było tam więcej gości ze stałego lądu niż tubylców. Stałych mieszkańców tej okolicy ogarniało spokojne, rozmarzone rozleniwienie, które sprawiało, że niechętnie stąd wyjeżdżali. Ten spokój przyciągał też gości, wiodących zwykle szalone życie i mających absorbujące zajęcia, pochłaniające więcej czasu, niż zostawało im na sen.

Po przyjeździe do Avalonu mężczyźni łowili ryby i przesiadywali w chłodnych, mrocznych tawernach, oglądając mecze baseballowe i popijając piwo. Mężatki i matki wygrzewały się na słońcu - ich skóra nabierała miodowego koloru, podczas gdy ich pociechy bawiły się jaskrawymi plastikowymi wiaderkami na plaży, a także wzdłuż miękkiej, spienionej linii krystalicznie niebieskiej wody. O tej porze roku powietrze na wyspie było przesycone zapachem olejku do opalania i masła kakaowego. Słowem: wszystko zdominowała turystyka.

W ciągu zaledwie dwóch dni tego tygodnia Kathryn zarobiła ponad pięć tysięcy dolarów na sprzedaży prac, które stały na witrynie sklepu, na półkach jej pracowni i magazynu. Ostatniej nocy zanurzyła się w pracy, co często jej się zdarzało. Wykorzystywała tę czynność do oczyszczenia się z części kłopotów, które ją trapiły.

Od nadejścia wiosny nie była w stanie zasnąć na dłużej niż dwie godziny. Powstrzymywanie się od powiedzenia Laurel o Banningach stanowiło ogromny ciężar, którego obecność nieustannie odczuwała - jak

kamyk, którego nie można wytrząsnąć z buta. Kathryn знаła wschody słońca tak samo dobrze jak zachody. Jej nowe prace odzwierciedlały barwy brzasku i zmierzchu na wyspie, a ich kształty pochodziły z mrocznych zakamarków jej duszy oraz bezsenności.

Było już popołudnie, kiedy przeniosła cztery kolejne wyroby z pieca do wypalania na półki znajdujące się w pomieszczeniu na tyłach. Wcześniej w tym tygodniu dzwonili do niej z galerii - nie w sprawie jej prac ani dlatego, że Kathryn powinna była do nich zadzwonić. Ktoś chciał kupić obrazy Espinosy, nabyte wiele lat temu przez Julię. Kathryn nigdy nie pozwoliła, by znalazły się one w jej małym lokum, gdzie niczym zepsuty owoc zniszczyłyby jej dom, powodując jego gnicie od środka. Trzymała je oparte o ścianę w magazynie, zasłonięte beczkami z gliną oraz kadziami z chemikaliami służącymi do wyrobu glazur. W ten sposób starała się zapomnieć o ich istnieniu. Dzisiaj nie mogła jednak przejść obok nich. Zajrzała pod opakowanie w jednym z rogów. Z przodu znajdował się obraz, który został zniszczony przez jej teściową.

W chwilach takich jak ta, kiedy wywołana fatum tragedia ponownie przetaczała się przez Kathryn, kobieta wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła odciąć się od tego bólu. Przeszłość leżała tutaj, czekając w każdej godzinie życia i wracając, by przypominać jej o radości i przyszłości, które wtopiły się w asfalt na jakiejś ulicy w Los Angeles.

- Cześć, mammo!

Kathryn zakryła obraz i wróciła do pracowni. W otwartych drzwiach stała Laurel, ubrana w szorty, siatkowe pończochy oraz obcisłą bluzkę w kolorze prażonej kukurydzy. W ciągu ostatnich miesięcy nabrała ciała - jej patykowatość zamieniła się w słodkie krągłości, a biust stał się tak obfity

jak u jej babci. Te zmiany zaniepokoiły matkę, zwłaszcza że Laurel od wielu tygodni nie była w domu.

- Cale właśnie tu leci. Muszę spotkać się z nim na molo za kilka minut. - Laurel przerwała, nie próbując nawet spojrzeć matce w oczy. - Chciałam ci powiedzieć, że nie wracam na noc do domu.

- Co ma znaczyć ten komunikat, że nie wracasz do domu? -W wyobraźni Kathryn wszędzie w koło widać było czerwone flagi. Sypiali ze sobą - to fakt, który podała Laurel, by zaznaczyć linię dzielącą matkę i córkę.

- Zostaję z Cale'em. - Laurel zrobiła krok, by wyjść na zewnątrz.

-Nie.

To słowo wyrwało się Kathryn, zanim zdołała je powstrzymać. Córka odwróciła się.

- Owszem. - Na jej twarzy pojawił się upór. - Mam osiemnaście lat.

- To nie twój wiek powoduje moje obawy.

- W takim razie czego się boisz? Nie dasz rady wiecznie trzymać mnie przy sobie. Nie mogę być całym twoim życiem, mammo.

Czy Laurel sądziła, że to właśnie robi jej matka? Kathryn musiała zagryźć wargę, by nie powiedzieć dziewczynie prawdy.

- Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

- Powtarzasz mi to w kółko.

- Zastanów się nad tym, co robisz, Laurel.

- Nie, mammo. Nie. Nie będę zastanawiać się nad życiem. Chcę je przeżyć. Zobaczymy się jutro.

Po tych słowach Laurel wyszła. Kathryn nie była w stanie ruszyć się ani niczego powiedzieć. Ręce opadły jej ciężko, a ona sama nie mogła

oderwać wzroku od pustego miejsca, gdzie kilka sekund wcześniej stała Laurel. Begonie i niecierpek zwisały w pobliżu drzwi i wyglądały całkiem radośnie. Róże na ściennym stelażu były pełne i dorodne. Powinny zwiędnąć. Płatki powinny opaść i brązowieć przy brzegach.

Kiedy Kathryn pomyślała o Laurel i synu Banningów, niemal wyczuwała w powietrzu gryzącą woń zniszczonej przyszłości. Wszystko, czego chciała dla swojej córki, zapadało się w niebyt.

W oczach osoby spoglądającej z okna hydroplanu żagłówki i motorówki stojące w zatoce wyglądały niczym kropki na planszy służącej do gry w okręty. Luksusowe, lśniące białą jachty cumowały poza ciasnymi granicami przypominającej półksiężyc zatoki, otoczonej przez wzgórza pełne domów zdobionych stiukiem oraz grabów. W kilku miejscach parasole na piasku przywoływały na myśl obraz rozgwiezdy, a duże pasiaste ręczniki plażowe układały się we wzór przypominający pasjansa. W pobliżu linii brzegowej przez przezroczystą wodę już z powietrza widać było dno oceanu. Cały krajobraz wyglądał tak, jakby to miejsce znajdowało się gdzieś nad Morzem Śródziemnym.

Samolot dotknął wody i zaczął się po niej ślizgać, a potem podpłynął do pontonowego pomostu. Cale prawie od tygodnia nie widział Laurel, bo rozkłady ich zajęć zupełnie do siebie nie pasowały. Dziewczyna stała na molo i machała ręką, jednak on dostrzegłby ją nawet wśród gęstego tłumu. Złapał swoją torbę i wyskoczył na pomost. Laurel rzuciła mu się w ramiona i pocałowała go. Upuścił bagaż.

- Ten dwudziestopięciominutowy lot trwał tak krótko w porównaniu z czekaniem na ciebie. Tęskniłem za tobą, kochanie.

- Minęły zaledwie cztery dni.

- Pięc, a my przez większą część lata bawiliśmy się w berka.

Program staży w jej szkole ruszył tydzień po zakończeniu semestru i Laurel pracowała teraz w eleganckiej francuskiej restauracji w Westwood. W lokalu tego typu stoliki są rezerwowane z wielotygodniowym wyprzedzeniem i nawet gwiazdy telewizji nie mogą tam po prostu wejść z ulicy, prosząc o stolik. W tym samym czasie Cale kursował ciężarówkami po opustoszałej autostradzie numer 5, a przy zdrowych zmysłach utrzymywało go jedynie CB-radio oraz magnetofon.

- Nie wiedziałam, że staże zaczną się w czerwcu, Cale. Pojawił się wakaty, a ja nie mogłam z tego zrezygnować.

Jej słowa brzmiały tak, jakby się broniła. Cale nie miał do niej pretensji, lub przynajmniej wydawało mu się, że ich nie ma. Zdawał sobie sprawę jednak, że nie do końca było to prawdą.

- Wiem. - Otoczył ją ramieniem, kiedy szli przed siebie. - Ale ja za dwa tygodnie zaczynam naukę.

- Chcesz wrócić do nauki?

- Nie. - Roześmiał się. - Chcę zostać lekarzem. Studia są tutaj wymogiem.

Przeszli obok sklepu ze słodyczami. Na oknie wystawowym było duże koło wypełnione toffi i Cale gwałtownie skreślił, ciągnąc Laurel za sobą.

- Co robisz?

- Idę kupić ci toffi.

- Nie. Zbyt przytyłam od pigułek.

- Wyglądasz wspaniale.

- Tak ci się wydaje, gdyż moje ubrania są o numer za małe. Nie jestem Corkie - warknęła.

- Dobra, dobra, nie wściekaj się. - W milczeniu przeszli drogę prowadzącą do domu. Cale otworzył drzwi, a potem upuścił swoją torbę, podenerwowany jej postawą. - Zaczynam być zmęczony nieustannym wysłuchiowaniem od ciebie komentarzy dotyczących mojej byłej dziewczyny. O co chodzi?

- Starasz się sprowokować kłótnię?

Cale pomyślał, że to on powinien zadać to pytanie. Laurel była podenerwowana i nadwrażliwa. Położył dłonie na jej ramionach i spojrzał na jej zmartwioną twarz.

- Dzieje się coś niedobrego?

- Mojej mamie nie spodobał się fakt, że zostaję z tobą.

- Masz wystarczająco dużo lat, by samodzielnie o tym decydować.

- To moja mama, Cale. W jej oczach nigdy nie będę wystarczająco dorosła. Ona o wszystkim wie, ale mnie to nie obchodzi. - Pomimo tych słów twarz Laurel mówiła coś zupełnie odmiennego.

- Chodź tutaj. Dla mnie jesteś wystarczająco dorosła. Pragnę cię - szepnął przy jej ustach, wiedząc, że powinien nakłonić ją, by zapomniała o matce i myślała tylko o nim. Tak bardzo jej pożądał i dotykał jej w sposób, który musiał sprawić, że stopnieje, a potem obserwował, jak Laurel powoli rozplywa się pod jego dłońmi. Coś w jego umyśle ostrzegało go - posługiwał się nią, by osiągnąć to, czego chciał. W tej chwili stało mu się wszystko obojętne. Pragnął tylko jednego.

Jud potrzebował zaledwie pół godziny, by z parowca poprzez rynek dotrzeć do domu. Otworzył kluczem drzwi wejściowe, rzucił na podłogę

swój worek marynarski i ruszył w stronę kuchni z torbą zakupów. Zatrzymał się jednak w progu, widząc Cale'a przytulonego przy pustej ladzie do półnagiej Laurel. Dziewczyna owinęła rękę wokół jego szyi, odrzuciła do tyłu głowę, a wargi jego brata pieściły jej pierś, podczas gdy jej dłoń poruszała się głęboko w spodniach Cale'a.

Widok Laurel z jego bratem wstrząsnął światem Juda, rujnując to mroczne miejsce, w którym chował swoje najgłębsze, najbardziej skrywane pragnienia. Przez krótką chwilę zamierzał udawać, że niczego nie widział. Nie chciał niczego odczuwać, ale było inaczej. Pragnął oderwać od niej swojego brata, a każdy kolejny wdech miał posmak spalenizny.

Laurel z nieobecny wzrokiem, zaślepionym ziemską namiętnością, zrywała podkoszulek z Cale'a. Jej dłonie wędrowały po jego opalonych plecach, dopóki nie musiała z jękiem oderwać od siebie jego ust, by zdjąć ubranie przez jego głowę. Spojrzała nad ramieniem Cale'a i zobaczyła Juda. Zapanowała jakaś niesamowita cisza, taka święta cisza, jaka następuje przed największymi trzęsieniami ziemi.

- O nie... - Laurel odepchnęła Cale'a od siebie i starała się okryć ubraniami.

Cale zrobił krok do tyłu i potknął się.

- Co się, do diabła, dzieje? Laurel walczyła z szortami, a Cale obrócił się.

- Jud? Cholera! - Chłopak podciągnął dżinsy i niezręcznie próbował je zapiąć. - Co ty tu robisz?

- Oglądam widowisko. To lepsze niż film o rogaczach.

- Zamknij się, do cholery, Jud!

Laurel zapięła spodenki z twarzą czerwoną jak burak, a potem spojrzała w dół i zaczęła w ciszy zapinać bluzkę. Jud podniósł biustonosz.

- Zgubiłaś jeszcze to. Cale złapał bieliznę.

- Wynoś się stąd!

- Miło znów cię zobaczyć, Laurel. Miło zobaczyć was oboje. Jud mówił niskim, spokojnym i opanowanym głosem, ale czuł, że trzęsą mu się ręce. Trawiła go bezsilna wściekłość i miał ochotę tylko na to, by uderzyć Cale'a. Ten podszedł do Juda.

- Przestań! - Złapał Juda za koszulę.

- Puść mnie. - Starszy z braci był bliski utraty panowania nad sobą. -

Już!

Laurel stała na środku kuchni i zapinała sandały.

- Wychodzę. Cale puścił Juda.

- Nie. Nie rób tego.

- Idę do domu. - Przeszła obok nich, nie podnosząc wzroku.

- Kochanie, zaczekaj!

- Pozwól jej iść - powiedział Jud z napięciem. Cale spojrział na niego, a potem ruszył ze słowami: -Ty dupku!

Jud potrzebował zaledwie dwóch kroków, by złapać brata i szarpnąć go do tyłu. Zaraz potem odwrócił go i przycisnął do ściany, przygniatając ramieniem jego szyję.

- Powiedziałem: „pozwól jej iść”.

- Nie! - Cale starał się go odepchnąć.

Jud mocniej nacisnął ramieniem gardło brata. To było takie łatwe.

- Pozwól mi za nią pójść, ty kutasie! - rzucił Cale zduszonym głosem. Zebrał siły, a potem wyciągnął ramię Juda spomiędzy ich ciał i popchnął brata w stronę krzeseł w jadalni. - Chcę, żebyś się stąd wyniósł.

Zanim Jud wygrzebał się spod mebli, jego brat był już dawno za drzwiami.

Drogę do domu Laurel pokonała biegiem, wybierając różne ulice tak, by Cale nie mógł podążać jej śladem. Na zewnątrz panował zmierzch - nie było więc wystarczająco ciemno, by się ukryć. Laurel chciała, by otworzyła się ziemia i pochłonęła ją. Kiedy mijala róg Descanso, włączyły się lampy uliczne. Cudem uniknęła upadku na schodach - tylko dzięki temu, że oparła się o słupek otwartej bramy. Szybko przycisnęła dłonie do policzków palących ją z powodu własnej głupoty. Słyszała jedynie dzwonięcie w uszach oraz bicie własnego serca. Światło na frontowej werandzie było wyłączone, ale lampa w oknie paliła się. Dziewczyna zastanawiała się, czy matka wciąż jest na nią wściekła. Co powie, kiedy Laurel wejdzie do środka?

- Laurel?

Cale wysunął się z cieni pomiędzy budynkami. Dyszał jeszcze ciężiej niż ona. Laurel odwróciła się od niego.

- Boże, Cale. Nie teraz. Idź do domu. Proszę. Złapał ją za ramię i odwrócił w swoją stronę.

- Chodź tutaj. Przepraszam, dziecinko. Bardzo mi przykro. Jud zachował się jak dupek. Nie wiem, co się stało. Może był pijany. Coś było nie tak. To do niego niepodobne.

Laurel nie mogła mu powiedzieć, że spotkała Juda już wcześniej. I zazwyczaj uciekała od niego biegiem, zapłakana i zawstydzona. Cale próbował ją objąć, ale Laurel potrząsnęła głową.

- Nie, proszę.

- Jesteś na mnie wściekła?

- Jestem wściekła na siebie. - Trudno było przeoczyć obrzydzenie w jej głosie. Miała dość tego pokręconego świata, w którym żyła. Nocne powietrze było ciepłe, ale Laurel drżała i obawiała się, że za moment zacznie dzwonić zębami. Ku jej przerażeniu po nabraniu kolejnego wdechu zaczęła płakać.

- Przepraszam, dziecinko - szepnął Cale. - Przepraszam. Na twarzy chłopaka widać było panikę. Ścisnęła w dłoni jego koszulkę, szlochała z twarzą przyciśniętą do jego ramienia i nie mogła przestać. Najwyraźniej Cale nie wiedział, co powiedzieć lub zrobić. To była okropnie niezręczna chwila.

- Nie rozumiem, skąd on się tam w ogóle wziął - stwierdził Cale, jakby mówił sam do siebie.

- Czy wiedział, że przyjeżdżamy na wyspę?

- Nie rozmawiałem z nim w tym tygodniu. Ale on wyjedzie. - Na twarzy Cale'a pojawił się upór i determinacja. - Upewnię się, że się stamtąd zabrał. Nie pozwolę, by zniszczył tę odrobinę wspólnego czasu, która nam została.

Cale uniósł jej twarz, by móc na nią spojrzeć. Miał niezwykle życzliwe spojrzenie. Laurel pamiętała, że to właśnie o tym pomyślała, kiedy pierwszy raz go spotkała. To był mężczyzna, który nigdy by jej nie skrzywdził.

- Kocham cię, dziecinko.

- Wiem, że to prawda.

Gdy jej to mówił, czuła się bezpieczna. Ktoś ją kochał.

- Mam pomysł. Weźmiemy jutro łódkę i wybierzemy się na lunch na przesmyk wyspy. Może być?

Laurel kiwnęła głową.

- Twoja matka stoi w oknie.

Laurel odwróciła się i spojrzała w stronę domu, ale nie zobaczyła nic poza miękkim, żółtym światłem lampy.

- Widziałem ją w głębi pokoju.

Czy matka właśnie ich obserwowała? Czyżby aż tak bardzo się zmieniła? Czy teraz kryła się, by ich podglądać? Co się stało z matką, z którą mogła porozmawiać, z osobą, która jej nie osądzała?

- Lepiej pójdę do środka. Pokłóciłyśmy się wcześniej.

- Wszystko jest już dobrze? - spytał. - Tak.

Laurel wiedziała jednak, że to kłamstwo. To, co stało się tego wieczoru, wywołało u niej potworne zażenowanie. Zobaczyła ciemną stronę miłości. Zniknęło gdzieś cudowne uczucie sprawiające, że człowiek unosił się w powietrzu. Tej nocy wszystko dotyczyło wstydu.

- Wpadnę po ciebie rano, koło dziesiątej.

Cale obdarzył Laurel szybkim całusem, potem pomachał jej i odszedł.

Laurel zamknęła za sobą drzwi wejściowe i stanęła niemal twarzą w twarz z matką, która spoglądała na nią z ciemnego kąta salonu.

- Co on ci zrobił?

- Nic mi nie zrobił, mamó. On mnie kocha.

- Płakałaś. Widziałam was.

- Wiem, ale teraz nic mi nie jest. Nie chcę o tym rozmawiać. Proszę. Zostaję dzisiaj w domu, nie nocuję u niego. Powinnaś się cieszyć.

- Laurel, proszę... co się z nami dzieje?

- Jestem zmęczona, mam. Dobranoc. Laurel zamknęła drzwi swojej sypialni, nie mówiąc nic więcej. Nie zamierzała rozmawiać. Nie miała ochoty myśleć. Nie chciała niczego odczuwać. Chciała po prostu pójść do łóżka.

RS

Szereg wysokich palm daktylowych ciągnących się wzdłuż jasnej, piaszczystej plaży we wschodniej części przesmyku wyspy przypominał zielonych strażników strzegących sennej niebieskiej zatoki, długiego prostego mola oraz przyległych do nich budynków, wśród których część pamiętała czasy wojny secesyjnej. Rejs łodzią Cale'a pomógł uleczyć zranioną duszę Laurel. Kiedy człowieka ogarniał bezkresny ogrom błękitnej wody, wszystko inne na świecie zdawało się nagle mało ważne.

Niedaleko brzegu urządzili sobie piknik i zjedli solidny posiłek - kurczaka w sosie curry, kanapki, jajka nadziewane mięsem kraba i zapiekane z pieprzem cayenne, a do tego ciasteczka z masłem orzechowym - wszystko to Laurel przygotowała wcześniej tego ranka. Po jedzeniu pływali, póki Cale nie wypatrzył w wodzie gigantycznego rekina-młota. Potem, upojeni nadmiarem pikantnego jedzenia, seksu i promieni letniego słońca, mogli już tylko wylegiwać się na piasku niczym leniwe lwy morskie.

Kiedy opływali półwysep, zmierzając w stronę domu w zatoce, dochodziła czwarta po południu. Nagle Cale zeszywniał przy kole sterowym, nerwowo rozejrzył się wokół, potem szybko wyłączył silnik i z przekleństwem na ustach zagłębił się w fotelu.

- Coś nie tak?

- Victor tu jest.

- Twój dziadek? - Laurel spojrzała na cichy dom. - Jesteś pewien?

Nikogo nie widzę.

- Och, jestem pewien. Spójrz. - Wskazał ruchem głowy na południe, gdzie po przeciwnej stronie stał zacumowany przy cyplu biały jacht.

- Mój Boże. - Laurel spojrzała na niego zaszokowana. - Musi mieć prawie trzydzieści metrów.

- Trzydzieści trzy. - Cale podpłynął bliżej domu, gdzie zauważył przycumowaną biało-niebieską motorówkę. Tego typu luksusowe jachty wykorzystywały takie łódki, by przewozić pasażerów z miejsc postoju znajdujących się na głębokich wodach. Cale roześmiał się gorzko. - Victor nie robi niczego w subtelny sposób. - Przybił do pomostu za motorówką i wyłączył silnik, a Laurel umocowała liny. - Mamy kłopoty, dziecinko.

Ton jego głosu wywołał u niej zaniepokojenie.

- Chcesz, żebym stąd zniknęła?

- Nie wiem. - Cale zamilkł, przyglądając się okolicy. - Teraz jest na to za późno.

Niski dach i płaszczyzny domu rozciągały się za wybieloną werandą, na której stał jego dziadek ubrany w marynarską czerwień i błękit. W ułamku sekundy powietrze wypełniło kłębowisko tłumionych emocji, a cały świat stał się zbyt skomplikowany.

- Czy powinniśmy pomachać ręką?

- Ja mogę najwyżej podnieść środkowy palec.

- Cale - szepnęła. - To okropne.

- Mam przeczucie, że zaraz zobaczysz coś paskudnego.

- Dlaczego? Czy musicie walczyć?

- Nie, ale coś takiego właśnie się zbliża. - Wziął jej dłoń. - Chodź.

Victor Banning pozwolił im do siebie podejść, stojąc nieruchomo niczym głaz i wyglądając tak samo przerażająco. Czy on w ogóle oddychał? To był człowiek, który z niczym się nie zdradzał.

- Witam, panie Banning. Cieszę się, że znów pana widzę. -Laurel nie podeszła bliżej. Victor Banning nie był kimś, kogo miałyby ochotę ścisnąć.

- Laurel - skinął ostro głową. - Muszę porozmawiać z Cale'em. Sam.

- Nie. Ona zostaje.

- Czy sądzisz, że jeśli ona tu zostanie, to powstrzymam się od porozmawiania z tobą o przyczynie, dla której tu jestem?

- Nawet przez moment o tym nie myślałem. Chcę, żeby ona tu była. To jej dotyczy, prawda?

Dziadek Cale'a spojrzał. Surowe rysy jego twarzy trochę zmiękły.

- Nie chodzi o ciebie, moja droga.

- Myślę, że chyba powinnam zostawić was samych, żebyście mogli porozmawiać.

- Nie. - Cale nie wypuścił jej ręki. - Chodzi o naszą przeszłość, a nie o ciebie.

Victor skierował swoje słowa w jej stronę.

- Pociągnąłem za kilka sznurków, żeby umieścić Cale'a w USC, Laurel, a on przyrzekł mi, że skoncentruje się na nauce.

- To nieprawda. - Cale był wściekły. - Powiedział, że mam wybrać - studia albo dziewczyna. Mogłem wybrać tylko jedno. Zmusił mnie do wyboru pomiędzy studiami medycznymi a tobą. To dlatego tutaj jest.

Laurel poczuła, jak opuszczają ją siły. Agresja wyczuwalna pomiędzy Cale'em i jego dziadkiem sprawiała, że każdy oddech miał

zjęczały posmak. Dłoń Cale'a pobieliała od mocnego uścisku na rękę Laurel, jednak nawet promienie jasnego, popołudniowego słońca oraz jego dotyk nie mogły pokonać jej wrażenia lodowatego chłodu.

- Zmusił mnie do wyboru dwa dni po odebraniu dyplomu - powiedział Cale.

Laurel zrozumiała. Jego dziadek nie wiedział, że było to po tym, jak pierwszy raz się ze sobą kochali.

- Za każdym razem, gdy w życiu Cale'a pojawia się dziewczyna, jego oceny szybują w dół. Konsekwentnie przedkłada kobiety nad odpowiedzialność. To studia medyczne. Nie ma możliwości, by nauka pozostawiła jeszcze czas na randki z dziewczyną. Przykro mi, Laurel, ale możesz zaszkodzić jego przyszłości.

Zduszone pokrzykiwania mew nad ich głowami pojawiły się we właściwym momencie, gdyż nie było już nic więcej do powiedzenia.

- Nie odejdę od niej, Victorze. Dziadek złapał Cale'a za ramię.

- Posłuchaj mnie. Kupiłem ci to miejsce i teraz mogę zapłacić za to, byś je stracił. Wybieraj. Wracasz teraz ze mną albo idziesz z nią.

Cóż to za wściekłość i zazdrość sprawiała, że mężczyźni widzieli wszystko w czerni i bieli - preferowali wybory z gatunku „wszystko albo nic”? Żaden z nich nie wyobrażał sobie nawet, że większość życia może być w odcieniach szarości. Laurel odwróciła się do Cale'a.

- Nie chcę być powodem, dla którego miałbyś nie zostać lekarzem.

Wyrwała rękę i cofnęła się, korzystając z dystansu jak z tarczy.

- Laurel, nie rób tego. - Głos Cale'a drżał z emocji, gdy wyciągnął rękę w jej stronę. Laurel nie mogła na niego spojrzeć, nie chciała również patrzeć na jego dziadka.

- Nie podejmiesz właściwej decyzji, Cale. Ja muszę to zrobić - powiedziała, a potem odeszła. To była taka prosta i nieskomplikowana czynność, ale dopiero kiedy znalazła się na drodze, a pod jej stopami zaczął chrzęścić żwir, zdała sobie sprawę, że płacze.

Przez kilka długich sekund Cale nie mógł się ruszyć. Słowa Laurel rozbrzmiewały w jego głowie, jedno po drugim niczym paciorki różańca. Czuł złość, upokorzenie i jakąś pustkę spowodowaną tym, że ona tak po prostu odeszła. Połączenie tych wszystkich emocji pozbawiło go możliwości logicznego myślenia. Oniemiały i pełen bólu, wpatrywał się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stała.

- Cóż, sądzę, że nie ma już żadnego wyboru. - Jego dziadek nawet nie drgnął.

- Muszę z nią porozmawiać.

- Zostaw ją w spokoju. To mądra dziewczyna. Pozwól jej znaleźć kogoś, kto będzie dla niej lepszy.

Cale zaatakował Victora.

- Nigdzie z tobą nie popłynę, dopóki z nią nie porozmawiam, do jasnej cholery!

- Nie masz mocnej pozycji do negocjacji. - Victor roześmiał się sarkastycznie. - To ja podejmuję decyzje. Czy naprawdę chcesz odrzucić to wszystko? Ona zostawiła cię bez specjalnych oporów, Cale. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Victor potrafił ranić z tak niesamowitą łatwością. Ugodził Cale'a w najbardziej bolesny punkt.

- Daję ci pięć minut, a potem odpływam motorówką. Jeśli do tego czasu nie wrócisz, nici ze studiów.

Cale pobiegł w ślad za dziewczyną.

- Laurel! Zaczekaj!

Odwróciła się i idąc tyłem, uniosła ręce do góry.

- Cale. Nie rób tego. Wracaj. - Płakała. - Musisz wrócić. Im szybciej biegł, tym głośniejsze krzyki słychać było.

- Wracaj! Wracaj!

On jednak złapał ją i przytulił do siebie, trzymając nawet wtedy, gdy uderzyła pięściami w jego klatkę piersiową.

- Nie rób tego. Nie możesz tego zrobić. Nie możesz tego zrobić!

- Kocham cię. Kocham cię. - Pochylił się i szepnął: - Nie opuszczaj mnie. Nie opuszczaj mnie. - Kiedy oparła się o niego, zrozumiał, że ma szansę. - Posłuchaj. Posłuchaj, dziecinko. Nie ma takiej możliwości, by Victor wiedział, co robisz w szkole. Będziemy ostrożni.

- Już raz starałaś się skradać za jego plecami, a on to odkrył. Nigdy mi o tym nie powiedziałaś, Cale. Ukrywałaś przede mną to ultimatum, a teraz mówisz, że mnie kochasz?

- Kocham cię. Chciałem cię chronić. Studia medyczne to nie tylko moja przyszłość. To nasza przyszłość. Obiecuj mi, Laurel. Musisz mi to obiecać.

- Cale, spójrz na ostatnie dwa dni. Moja matka. Twój brat. Twój dziadek. Świat stara się nam coś powiedzieć.

- Co takiego? Że mój brat i dziadek są dupkami?

- Może powinniśmy posłuchać?

- Naprawdę potrafisz tak łatwo odejść? Ja nie, Laurel. Chcę walczyć o ciebie. Dzisiejszy dzień był tak piękny. Nie potrafię tego zapomnieć.

- Nigdy nie sądziłam, że miłość może być tak trudna - powiedziała.

Zanurzyli się w bólu w nieprzeniknionej ciszy. Cale zrozumiał, że Laurel musi mieć potężne, niemożliwe do zniesienia wrażenie, że wszyscy są przeciwko nim.

- Uwierz mi. - Uniósł jej brodę, tak że musiała na niego spojrzeć. - Zajęcia zaczynają się za dwa tygodnie. Początkowo nie będę się z tobą widywać, ale zadzwonię do ciebie. Zaczekamy. Będziemy cierpliwi. Będziemy udawać. Będziemy sprytniejsi niż on. Kiedy już będę tam na pierwszym roku, nie będzie mógł mnie powstrzymać. Nie wyrzucą mnie. Udowodnię, co jestem wart. Będę zdobywał dobre oceny. Nie możesz mnie opuścić - za bardzo cię potrzebuję. Uda nam się.

- Nie wiem, co robić, Cale.

- Pozwól mi zająć się moim dziadkiem. Muszę z nim wrócić. Zanim pójdę, powiedz mi, że mnie nie opuścisz.

Laurel zdawała się wypatrywać czegoś na jego twarzy, ale wzięła głęboki wdech i powiedziała:

- Nie opuszczę cię.

- Przysięgnij.

- Przysięgam.

- Uśmiechnij się do mnie, Laurel-niczym-wawrzyn Peyton i powiedz mi, że mnie kochasz.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też. - Puścił ją. - Pamiętaj, ja ciebie też.

Pobiegł z powrotem w stronę przystani i usłyszał warkot silnika łodzi. Jego tenisówki zadudniły na deskach mola, kiedy Victor płynął wzdłuż niego motorówką, zupełnie jakby drwił z wnuka. Cale dał potężnego susa i wylądował tak ciężko, że łódka zakołysała się i

przechyliła. Chłopak musiał chwycić się burty, żeby nie wylecieć ze swojego miejsca, a woda prysnęła na pokład i zamoczyła Victora, który dodał gazu i ruszył w stronę jachtu.

Cale wdrapał się na pokład „Catalana” tak szybko, jak tylko się dało. Silnik jachtu pracował, a chłopak usłyszał, jak kotwice idą do góry. Dwugodzinny rejs do Newport miał być piekłem.

Cale popijał już piwo w salonie, gdy wszedł tam Victor.

-Jesteś głupcem, Cale. Myślałeś, że uda ci się bawić ze mną w chowanego? Wydaje ci się, że nie wiem wszystkiego o twoim życiu?

Chłopak zastanawiał się, dlaczego Victora w ogóle interesują te sprawy, wliczając w to jego życie i przyszłość, gdy z kabin znajdujących się niżej wyszedł Jud. Nie trzeba było intelektu fizyka jądrowego, by wpaść na to, co się stało.

- To twoja robota... To ty powiedziałeś mu o Laurel, prawda? Niech cię szlag, Jud.

Jego brat nie zaprzeczył.

Cale był tak wściekły, że rzucił w niego piwem, jednak chybił, a potem rzucił się na niego i trzy razy porządnie mu przywalił, nim starszy brat zdołał mu raz oddać. Cale poczuł w ustach słony smak soli, podjął walkę i po chwili obaj potoczyli się po pokładzie. Złapał brata za włosy i nadal go okładał.

Jud trafił go ciosem podbródkowym, potem przytrzymał go nogami i przerzucił na plecy, więc Cale zaatakował brata na oślep kolaniem, trafiając w nerki. Potoczyli się w stronę szklanego stolika. Lampa zachwiała się, uderzyła o podłogę i roztrzaskała się tuż obok głowy Juda. W pewnym momencie Cale usłyszał załogę i zobaczył, jak wbiegają do środka i coś

mówią. Ktoś złapał go za rękę, ktoś inny złapał Juda... dzięki czemu Cale wbił mu kolano w żołądek.

- Przestańcie! - To był głos Victora.

Załoga trzymała ich za ramiona, więc używali nóg. Cale rzucał wszystkie obelgi, jakie tylko znał, a na każde z tych słów Jud odpowiadał czymś jeszcze bardziej obraźliwym.

- Przestańcie ich trzymać! - krzyknął tym razem Victor. - Wracajcie do pracy i pozwólcie im rozstrzygnąć to między sobą.

Kiedy obaj bracia zostali gwałtownie uwolnieni, upadli na podłogę. Victor stał tam niczym Bóg, obserwując, jak okładają się ze wszystkich sił. Cale odwrócił się z zamiarem powiedzenia Judowi, by przestał i popatrzył na tego starego drania, ale w tej samej chwili pięść brata trafiła go w podbródek, a wszystko wokół pociemniało.

W ciągu pierwszych tygodni jesieni Laurel rozmawiała z Cale'em każdego wieczoru. Chłopak miał po sześć specjalistycznych wykładów w ciągu dnia, był zmęczony i niewyspany, często więc zasypiał przy telefonie. W końcu przestali rozmawiać ze sobą codziennie. Laurel brała teraz wieczorne zmiany w restauracji i wracała do domu po jedenastej, pachnąc daniem wieczoru.

Bardzo szybko wpadła w rutynę - dom, prysznic, telefon, łóżko. Jej życie zaczęło ograniczać się do mycia zębów, ścierania gałki muszkatołowej, przyrządzania sosu béarnaise i robienia prania. Nie myślała o rzeczach, które wydawały się tak istotne zaledwie kilka miesięcy temu, nie zastanawiała się już nad prawdziwą miłością ani jej tajemnicami. Nie kładła się do łóżka z głową pełną marzycielskich myśli typu „co by było, gdyby”, a gdy szła, jej stopy miały solidny kontakt z podłożem, nie tak jak kiedyś, gdy unosiła się nad ziemią w czystym zachwycie. Nawet spojrzenie odbite w lustrze nie było już przesłonięte tkliwą mgiełką - wszystko stało się ostre, twarde i rzeczywiste.

Któregoś tygodnia w dwa kolejne dni wypadły jej popołudniowe zmiany. Cale zresztą w obydwie wieczory miał wykłady.

Laurel przyszła więc do domu o czwartej po południu i roztoczyła woń rozmarynu, cebuli i łososia. Zaledwie pięć minut później rozległ się dzwonek u drzwi. Gościem okazał się Jud Banning, który opierał się o słupek werandy, tak jakby stał tam już dłuższą chwilę. -Jud.

- Laurel.

Chwila powitania ciągnęła się w nieskończoność. Żadne z nich nie było w stanie ruszyć się ani odezwać, a ciekawość i oczekiwanie były naprężone niczym naciągnięta do granic wytrzymałości struna.

- Każesz mi tutaj stać?

- Powinnam zamknąć ci drzwi przed nosem.

- Pewnie tak. - Oparł jedną rękę o framugę. Pachniał wodą kolońską English Leather i płynem, w którym wyprana była jego sportowa koszulka. Laurel przeczuwała kłopoty.

- Dlaczego tutaj przyszedłeś?

- Chciałem porozmawiać z tobą na temat Cale'a.

Na pierwszy rzut oka był pewny siebie i doskonale pasował do wizerunku, który znała. Jednak pod tą warstwą pozorów Laurel dostrzegła prawdę - frustrację i skrywane drżenie osoby samotnej. Cale powiedział jej, że nie pogodzili się obaj, a za każdym razem, kiedy wspominał o bracie, w jego głosie słychać było bardziej gorzyc niż złość.

- Wejdz.

Stanął na środku małego salonu, zajmując zbyt wiele miejsca.

- Ładnie tu.

- To wynajęte mieszkanie. Wszystko jest tu beżowe.

- Podoba mi się beż. Nadmiar kolorów sprawia, że robię się nerwowy.

- Nie sądzę, by cokolwiek mogło zdenerwować Juda Banninga.

- A więc nie znasz mnie zbyt dobrze.

- To prawda. - Nie chciała patrzeć na niego jak na ludzką, wrażliwą istotę. - Chcesz się czegoś napić?

- Nie miałbym nic przeciwko szkockiej.

- Mam butelkę wina, ale nie proponuję jej - powiedziała poirytowanym głosem. - Nie mogę kupować alkoholu - pamiętasz? Możesz napić się herbaty cytrynowej lub miętowej... -W tym miejscu zrobiła dziwną minę. -... wody sodowej, piwa korzennego albo coli.

- W takim razie poproszę piwo korzenne. Może masz jakieś lody?

- Tak. Chcesz? - Otworzyła lodówkę i wyjęła dwie butelki z długimi szyjkami.

- To był żart, Laurel.

Otworzyła butelki i wręczyła mu jedną.

- W twoim przypadku ciężko powiedzieć, kiedy żartujesz.

- To i tak szczęście, że przy dziadku takim jak Victor w ogóle mam jakiegokolwiek poczucie humoru.

- Cale zawsze jest zabawny.

Dlaczego ona to zrobiła? - pomyślał.

- Owszem. Taki jest od dzieciństwa. - Jud przerwał i upił łyk piwa. - Jak on sobie radzi?

- Mógłbyś sam go spytać.

- Musiałby jeszcze odpowiadać na moje telefony. Zaglądałem do akademika, ale jego nigdy tam nie ma. Nie rozmawialiśmy, odkąd spakował rzeczy i pojechał na studia. - Jud roześmiał się. - Dwa tygodnie przed czasem.

- Czemu sądzisz, że się z nim kontaktuję? Wasz dziadek ustanowił reguły - nie chce, żebym widywała się z Cale'em.

- Znam mojego brata. Nie będzie robił tego, czego życzy sobie Victor.

- A jeśli potwierdzę, że się z nim widuję, to powiesz o tym waszemu dziadkowi?

- Przykro mi, że tak was załatwił.

Brzmienie jego głosu nie potwierdzało tych słów. Potrzebowała sporo czasu, by zapomnieć wyraz twarzy Juda w kuchni tamtego popołudnia. Nawet teraz czuła, jak na jej twarzy pojawiają się rumieńce. Wzięła opakowania z jedzeniem przyniesione z pracy i włożyła je do lodówki.

- Wasz dziadek zagroził, że Cale w każdej chwili może zostać wyrzucony ze studiów. Widocznie jeśli ktoś ma wystarczająco dużo pieniędzy, może zapewnić komuś przyszłość lub też ją zniszczyć.

- Victor z chęcią kierowałby całym światem, gdyby tylko było to możliwe.

- Podaj mi te dwa ostatnie opakowania.

- Co to takiego? Chińszczyzna? Myślałem, że jesteś szefem kuchni.

- No cóż... powoli robisz postępy. Nie nazwałeś mnie kucharką.

Jud skończył piwo i odstawił butelkę.

- Teraz mogę już tylko piąć się do góry.

- To prawda. - Otworzyła jedno z pudełek. - Przyrządzamy eksperymentalne dania, takie jak to. Jedną z korzyści mojej pracy są darmowe produkty. Oto nadziewane filety z kurczaka. Kiełbasa i cebule wypełnione pieczywem kukurydzianym. Świeży łosoś rzeczny gotowany w białym winie. Zupa z marchewką, groszkiem i dzikimi grzybami. Kawalki gruszek z dodatkiem kirszu i kremu miodowego.

Jud spoglądał na jedzenie takim samym wygłodniałym wzrokiem, jaki widywała u chudych psów przy tylnych drzwiach prowadzących do restauracyjnej kuchni. Nie rób tego, Laurel -pomyślała.

Jud wziął od niej opakowanie.

- Pachnie niezwykle apetycznie.
- A na dodatek wystarczy dla dwóch osób.
- Czy proponujesz, żebym został na kolacji?
- Niekoniecznie.
- Ale chciałbym.
- W porządku. W takim razie nakryj do stołu.

Dała mu do ręki dwa talerze, a sama włożyła jedzenie do naczynia, by podgrzać je w piekarniku. Potem postawiła na stole dwa kieliszki i otworzyła swoją drogocenną butelkę pouilly-fuissć.

- Nie musisz jej dla mnie otwierać.

Wyciągnęła korek i powąchała wino.

- Oczywiście, że nie. Otwieram je dla siebie. Jeśli będziesz się grzecznie zachowywał, może się z tobą podzielić.

Kolacja przebiegła zaskakująco przyjemnie. Jud był zainteresowany jej życiem, podjętymi przez nią wyborami, jej pracą, a do tego opowiadał zabawne historie o figlach płatanych wspólnie z Cale'em. Kiedy jednak zadzwonił telefon, cisza pomiędzy sygnałami wydawała się głośniejsza od samego dzwonka. Oboje wiedzieli, że to Cale. Brzmienie jego głosu wskazywało na skrajne zmęczenie. Laurel miała koszmarne poczucie winy, gdy brnęła przez krótką rozmowę, podczas gdy drugi z braci siedział o metr od niej.

Gdy się rozłączyła, Jud powiedział:

- Nie zamierzam mówić Victorowi. Cale marzy o tym, żeby zostać lekarzem. Cholera, to ja sam poprosiłem Victora, żeby pomógł mu się dostać na studia.

-Ty?

To słowo wyrwało się z jej ust, a zawierało w sobie zarówno zaskoczenie, jak i oskarżenie.

- Kocham brata, Laurel.

- Może powinieneś mu to powiedzieć. Wydaje mi się, że te studia są o wiele trudniejsze, niż przewidywał.

- Ach, te przekonania młodości...

- Faktycznie, jesteś taki stary.

- Pod pewnymi względami jestem o wiele starszy od Cale'a. Trudno było odgadnąć, co Jud ma na myśli. Nasuwało się zbyt wiele odpowiedzi, a niektóre z nich wydawały się aż nazbyt sugestywne. Mimo to Laurel zastanawiała się, co on właściwie chciał powiedzieć.

- Przyszedłem tutaj, żeby sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku.

- Jest wyczerpany, ale uwielbia to, co robi.

Jeśli Jud właśnie po to przyszedł, dostał już odpowiedź.

- Lepiej pójdę. - Wstał i wyjął kluczyki od samochodu. Zatrzymał się w drzwiach. - Czy jeśli mój durnowaty brat do mnie nie zadzwoni, mógłbym raz na jakiś czas spytać cię przez telefon, co u niego słychać?

- Jasne.

- Dzięki.

Przeszedł przez ulicę i wskoczył do fantastycznego, klasycznego mg w kolorze czerwonym. Pomachał ręką i odjechał.

Tej nocy spała jak kłoda, a ze snu wyrwało ją dopiero dzwonięcie budzika. Kiedy wychodziła do pracy, na werandzie znalazła duże pudełko zawinięte w błyszczący, biały papier, ozdobione na dokładkę wielką, czerwoną kokardą. W środku znajdowała się skrzynka kosztownego, francuskiego białego wina z napisaną odręcznie karteczką.

Droga Nimfetko,

dziękuję, że mnie nie wyrzuciłaś. To dla Ciebie. Dzięki temu nie będziesz musiała znów kłamać, że zostawiłaś dokumenty w domu.

Jud

Laurel zdołała spotkać się z Cale'em dopiero w następnym tygodniu. Nie chciał, żeby przyjeżdżała autobusem. Teren miasteczka uniwersyteckiego wydawał się bezpieczny, ale nie można było już powiedzieć tego samego o najbliższej okolicy, tak więc zdecydowali spotkać się na plaży.

Jego pick-up wjechał na parking, a Laurel podeszła z plaży.

- Witaj, nieznajomy.

- Cześć, dziecinko. - Głos Cale'a stał się chrypliwy i słysząc w nim było to samo zmęczenie, które malowało się na jego twarzy. Chłopak wyglądał starzej i chudziej niż ostatnio, miał matowe włosy i ziemistą cerę, a na dodatek się nie ogolił. Zaskoczył Laurel, namiętnie ją całując - mocniej, niż się spodziewała lub pragnęła. Nie mogła oddychać, a gdy próbowała się poruszyć, przyszpilił ją do błotnika, tłumiąc językiem wszelkie protesty. Kiedy wreszcie ją puścił, zrobił to jedynie dlatego, żeby powiedzieć:

- Tak bardzo cię pragnę.

- Cale, zaczekaj.

- Słucham?

- Jesteśmy w miejscu publicznym. Daj spokój. - Poirytowana, wygładziła ubranie. Jego ręce były wszędzie. Spoglądał na nią, jakby chciał spytać: „Coś z tobą nie tak?”. Laurel pociągnęła go w stronę koca rozłożonego na piasku.

- Przyniosłam dla nas kolację.

- Nie chcę jedzenia. Chcę ciebie.

- Wyglądasz tak, jakbyś bardziej ode mnie potrzebował pożywienia.

Straciłeś na wadze.

Cale ziewnął.

- Byłem zbyt zajęty, by jeść.

- Kiedy po raz ostatni coś jadłeś?

- Która jest godzina?

- Czwarta.

- A jaki dzień?

- Środa - Laurel roześmiała się.

- Ubiegłej nocy zjadłem banana. Przynajmniej wydaje mi się, że to była ostatnia noc...

Na jego czole, wokół ust i oczu pojawiły się zmarszczki spowodowane zmęczeniem, miał również przekrwione białka. Jego krok nie był zbyt pewny, a potem Cale niemal padł na koc na piasku i leżał z oczyma zasłoniętymi ramieniem. Kilka sekund później już spał.

Laurel poczuła się samotna. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na piasku i obserwowała mewy. Do jej uszu dochodziły pokrzykiwania z meczu siatkówki rozgrywanego na plaży. Para czarnych psów ścigała się, próbując łapać w powietrzu latające dyski. Tuż nad wodą jacyś zakochani

puszczali latawca w kształcie smoka, którego długi ciemnozielony ogon unosił się nad pianą. Laurel chciała cieszyć się życiem. Kolejna fala przyniosła powiew bryzy i dziewczyna poczuła na opuchniętych wargach słone powietrze. Nie podobał jej się sposób, w jaki Cale jej dotykał - zupełnie jakby miłość uważał za konieczność, a nie dar. Co było nie tak? Czy chodziło o niego, czy też o nią?

Cale spał głęboko, leżąc obok niej. Laurel przyglądała się wznoszeniu i opadaniu klatki piersiowej chłopaka i przypominała sobie, jak kiedyś odpoczywała w jego ramionach. Dzisiaj ten dotyk nie był czuły, lecz brutalny. W jego głosie i ruchach wyczuwała desperację. To nie był jej Cale. To nie była miłość, delikatna, słodka i mająca trwać bez końca.

Nie potrafiła patrzeć na to, jak ten niespodziewanie obcy jej człowiek śpi obok, więc rozpakowała jedzenie. Powykładała nadziewane mięsem kraba jajka pieczone w pieprzu cayenne, bochenek świeżego chleba, cienko pokrojoną pieczoną wołowinę z kawałkami chrzanu, a do tego owoce i miękkie sery. Otworzyła piwo i usiadła na piasku.

- Cale? - Potrząsnęła jego ramieniem. Poderwał się gwałtownie.

- Co takiego? Laurel? - Jęknął głośno i spojrzał na nią bez wyrazu. -

Przepraszam.

-Chodź jeść.

Spałaszował wszystko, nie tracąc czasu na rozmowę. Laurel nie miała apetytu, wykorzystała jednak tych kilka kęsów jako usprawiedliwienie, by nic nie mówić. Jakie to dziwne, że nie miała mu nic do powiedzenia. Kiedy to się stało?

Na tle bursztynowego nieba słońce dotykało krawędzi wody, dzięki czemu stawała się ona purpurowa. Bryza robiła się chłodniejsza, a w

powietrzu czuło się cierpki smak soli i wodorostów. Zerwał się wiatr, obrzucając ich piaskiem. Cale, podpierając się ramieniem, leżał na boku i kończył pić piwo.

- Niedługo powinniśmy się zbierać.

- Kiedy musisz być z powrotem?

- O wpół do dziewiątej. - Ziewnął, a potem podał jej dłoń. - Chodź.

Zawiozę cię do domu.

Kilka minut później jechali samochodem do jej mieszkania.

- Chodź bliżej, dziecinko. Jesteś za daleko. - Zarzucił jedną rękę na jej ramię, a drugą kierował samochodem. Kiedy dotarli na miejsce, niebo nabierało koloru ciemnoniebieskiego atramentu.

- Która jest godzina? - spytał Cale.

- Dwadzieścia po siódmej. Gdzie twój zegarek?

- Nie wiem. Musi być gdzieś pomiędzy laboratoriami, biblioteką i salami wykładowymi. Dwadzieścia po siódmej? Mamy czas. Wejdźmy do środka.

- Nie sądzisz, że powinieneś się przespać? Laurel nie powiedziała mu, że chce być sama.

- Potrzebuję ciebie, nie snu. - Pociągnął ją w górę po schodach i otworzył drzwi. Gdy znaleźli się w środku, natychmiast był przy niej, ściągał ubranie i wpijał się w jej szyję i usta. Laurel zamknęła oczy, czując przerażenie, ponieważ zaczynała wzdragać się pod jego dotykiem. Nie mogła oddychać. Nie czuła niczego cudownego. Popchnął ją na łóżko, a potem był wszędzie wokół, w niej i na niej.

Cale znajdował się w jakimś dziwnym stanie wywołanym brakiem snu. To, co robił, sprawiło, że Laurel poczuła strach, leżała więc bardzo

spokojnie. Wciąż go kochała i dlatego dała mu to, czego od niej chciał, choć trapiła ją jedna myśl: To nie jest miłość, to nie jest miłość.

Wszystko nie trwało długo. Zsunął się z niej i opadł na poduszkę, niemal natychmiast zasypiając, podczas gdy ona leżała pogrążona w emocjonalnym chaosie. Wcześniej miłość wydawała się czymś prostym, teraz jednak uczucie zniknęło, jakby gdzieś się zagubiło. Czy Laurel uda się znów je odnaleźć? Już nie topniała pod jego dotykiem. Mimo to wiedziała, że Cale jest cudowny. Skąd wziął się więc ten chłód i oziębłość? Jej miłość nagle stała się ulotnym uczuciem, które przypominało rozwiewający się w powietrzu dym z wygasłego ogniska.

Obudziła go o ósmej. Stojąc w drzwiach, patrzyła, jak odjeżdża, ale zdała sobie sprawę, że cieszy się z tego powodu. Laurel zaczęła się zastanawiać, jaka to miłość potrafi tak nagle się skończyć. Może to była tylko kwestia czasu spędzonego oddzielnie... Ciśnienia? Pogody? Myśl o tym, że może będzie musiała z nim zerwać, była wyjątkowo bolesna. Laurel nie potrafiła sobie wyobrazić, że mówi mu: „Zegnaj”.

Gdy znalazła się w łóżku, zasnęła głębokim snem. Obudziła się zwinięta w kłębek z rękami zaciśniętymi w pięści. Niepewnym krokiem poszła na sztywnych nogach pod prysznic. Dopiero kiedy woda oblała jej ciało, dziewczyna zaczęła płakać bez żadnego powodu.

Cale poświęcał nauce tyle czasu, że aż rozboleła go szyja, rozmazywał mu się obraz przed oczami, a kręgosłup zdawał się przybierać kształt przecinka. Brnął przez histopatologię i fizjologię, wypijając przy tym niezliczone litry kawy i używając gumy do żucia, by pozbyć się z ust smaku kofeiny. W ten sposób żywił ciało, podczas gdy jego umysł był zajęty włóknami nerwowymi i transferazą glutaminową.

Studia medyczne były trudne. To zdanie wydaje się zbyt proste, by opisać jego wysiłki, które stawały się tak samo bezowocne jak pisanie po wodzie. Nawet najlepsi wykładowcy upychali w trakcie zajęć tyle wiadomości, ile tylko się dało. Było tego zbyt wiele, by wszystko ogarnąć, nie mówiąc już o zapamiętaniu. Na szczycie listy wykładów, zajęć laboratoryjnych i doprawdy niełatwych egzaminów znajdowały się zajęcia wprowadzające studentów pierwszego roku w realia szpitalne w charakterze dobrych samarytan. Mieli się uczyć, obserwując, jak inni radzą sobie - skutecznie lub też nie - z różnymi problemami, od prostych dolegliwości po schorzenia zagrażające życiu.

Zadanie wprowadzenia Cale'a w życie oddziału szpitalnego zostało powierzone studentce trzeciego roku medycyny, pomagającej przy operacjach. Miała ona głos Minnie Mouse i zachowywała się tak radośnie, jakby uczestniczyła w konkursie Miss Ameryki. Na pierwszej lekcji Cale przerabiał przypadek alkoholiczki, która jęczała na noszach, podczas gdy zespół paramedyczny starał się założyć jej wenflon.

W czasie kiedy Minnie komentowała te szalone próby, biedna pacjentka zwinęła się jak embrion. Traktowana przedmiotowo, wciąż żałośnie jęczała, kiedy podenerwowana ekipa skupiała się na procedurze, a potem na gratulowaniu sobie, gdy wreszcie udało im się osiągnąć cel. Nikomu nie przyszło do głowy, by dotknąć chorej. A przecież już na pierwszych zajęciach wpajano studentom medycyny, że należy nawiązać kontakt z pacjentem: zmierzyć mu temperaturę, ciśnienie, cokolwiek.

Kiedy zespół opuścił pomieszczenie, Cale wziął pacjentkę za rękę, odsunął jej wilgotne włosy z twarzy i cicho coś mówił, póki pielęgniarki jej nie zabrały. Potem odwrócił się do Minnie.

- To niewiarygodne.

- Czyż to nie było wspaniałe? - spytała bezpośrednio. - Mam nadzieję, że uda mi się założyć jeden czy dwa wenflony, nim tu skończę.

Kocham medycynę, bitą śmietanę i pokój na ziemi - pomyślał Cale zde gustowany. Ta paskudna scena zmroziła go i prześladowała przez cały dzień. Później poszedł na spotkanie z Edem Strovichem, swoim szpitalnym opiekunem, którego szczerze lubił i szanował. Spotkał go już przy windzie, zajętego rozmową z korpulentną, siwą kobietą. Po powrocie do swojego biura Ed położył na stole tacę pełną bakławy i pchnął ją w stronę Cale'a.

- Poczęstuj się.

- Boże, to jest pyszne. - Cale zjadł dwa wielkie kawałki i opowiedział Edowi wydarzenie, którego był świadkiem tego poranka.

- Jednym z wielkich pytań medycyny jest to, jak zdecydujesz się do tego podejść jako lekarz. Kilka miesięcy temu musiałem zrobić badania na syfilis tej Greczynce, z którą przed chwilą rozmawiałem.

- Jest pewnie po sześćdziesiątce - powiedział Cale. - Pozytywny wynik musiał być wynikiem jakiegoś błędu.

- Zapytałem ją, czy była wierna mężowi, a ona przysięgła na Boga, że tak. Zainteresowałem się więc jej mężem - okazało się, że cztery lata wcześniej miał wylew i był impotentem. Założyłem, że test dał fałszywy wynik, jednak zanim ją wypuściłem, zadałem jej pytanie, czy była napastowana seksualnie.

- Chyba nie przyszłoby mi do głowy, żeby postawić takie pytanie kobiecie po sześćdziesiątce.

- Niestety, gwałcone są kobiety w każdym wieku. To skrywana tajemnica wielu domów spokojnej starości, szczególnie tych państwowych. Jednym z faktów związanych z praktykowaniem medycyny jest to, że szybko poznajesz ciemne strony życia.

Ed Strovich nie przedstawiał medycyny w różowych kolorach ani nie rzucał oszczerstw. Po prostu mówił prawdę.

- Nigdy nikomu o tym nie mówiła i czuła się głęboko upokorzona. To zdarzyło się tuż po przybyciu tutaj z Grecji. W tamtym czasie prawie nie mówiła po angielsku i bała się policji. W rozumieniu swego serca i umysłu nie naruszyła wierności. Wyjaśniłem jej, że po kuracji będzie musiała ponownie poddać się badaniom. Zalała się łzami, gdyż nie miała pieniędzy, by opłacić nawet te pierwsze testy. Powiedziałem jej, że nie będzie musiała za nic płacić. I od niej dostałem właśnie to - wskazał talerz.

- Niczym wiejski doktor opłacany kurami i świniami.

- Przypuszczalnie tacy ludzie sypiają lepiej niż reszta lekarzy. Bóg świadkiem, że na pewno lepiej od nas jadają. - Ed oparł się o fotel. - Nie musisz zachowywać się jak ci ludzie, których dzisiaj widziałeś, Cale, zresztą z czasem przywykniesz do tego rodzaju praktyk. Możesz zostać takim lekarzem, jakim chcesz być. Najlepsza rada, jakiej mogę ci udzielić, jest taka, byś sam próbował znaleźć własną drogę.

Słowa Eda stanowiły pierwsze pozytywne stwierdzenie, jakie słyszał od wielu tygodni. Te słowa dawały mu nadzieję i budziły w nim entuzjazm w stosunku do medycyny, zapewniały coś więcej niż wiadomości o wydzielinach trzustki i kosmkach jelitowych. Tak zawsze wyobrażał sobie swój sposób na medycynę. Tego właśnie pragnął, to chciał robić.

Później tego wieczoru Cale siedział z Laurel w samochodzie przed restauracją, opowiadając jej historie z całego dnia. To z nią omawiał wszystkie wydarzenia - i te dobre, i te złe. Zastanawiał się, czy Laurel wie, jak wiele dla niego znaczy. Mówił jej rzeczy, których nie powiedziała by nikomu, gdyż ona nigdy go nie osądzała.

- Czy oni potraktowali tę kobietę tak podle dlatego, że była alkoholiczką? - spytała Laurel.

- Nie wiem. Może. Ale to nie jest usprawiedliwienie.

- To prawda.

Miała zabandażowaną rękę - coś, czego nie zauważył wcześniej.

- Co ci się stało?

- Przez cały dzień miałam problemy z koncentracją. Skaleczyłam się, spaliłam chleb i upuściłam zupę na podłogę. Richard pewnie z chęcią odesłałby mnie od siebie jak najdalej.

- No cóż, ja za tobą tęskniłem. Bycie z dala od ciebie to piekło. Jednak pewnego dnia to wszystko się opłaci. - Włączył radio, w którym nadawano właśnie przebój zespołu Jay and the Americans. - Usiądź odrobinę bliżej - powiedział. - Moje noce były o wiele za długie.

Przesunęła się, a on objął ją i zaczął gwizdać. Nie był już zmęczony.

- Jesteś naprawdę szczęśliwy, prawda?

- Dzisiejszego wieczoru jestem szczęśliwy - powiedział. — Jestem z tobą.

Kiedy wrócili do mieszkania, przez większość czasu to Cale podtrzymywał rozmowę, opowiadając jej o życiu na uczelni. Laurel nie mówiła zbyt wiele, a Cale wypił butelkę wina, która stopniowo zdołała go uspokoić. Leżał zwinięty na sofie z głową na jej kolanach.

- To nasza przyszłość, kochanie.

- Cale - Laurel zamknęła oczy.

Dotknął jej policzka, by zatrzymać jedną z łez, podążającą w kierunku ust.

- To wszystko zadziała. Ty jesteś powodem, dla którego to robię. Ty we mnie wierzysz. Kiedy tylko przychodzi mi do głowy, że się załamie, za każdym razem, gdy mam wszystkiego dość i jestem wyczerpany czy chory, myślę o tobie i mogę iść dalej. - Ziewnął, a potem dodał: - Nie sądzę, bym był zdolny robić to bez ciebie.

- Owszem, możesz. Jesteś mocny, Cale, jesteś mocniejszy niż ja. Nie potrzebujesz mnie.

- To nieprawda. Potrzebuję cię. Potrzebuję, kochanie. Zaraz potem zapadł w głęboki i spokojny sen, którego od dawna mu brakowało.

19

Laurel zrozumiała, że słowa „kocham cię” wypływają z ust aż nazbyt łatwo. Natomiast powiedzenie „już cię nie kocham” wydawało się jej czymś niesamowicie trudnym. Wcześniej patrzyła na matkę z pogardą, teraz jednak zachowywała się tak jak ona - nie miała odwagi powiedzieć „żegnaj”. Otoczona przez ciepło tchórzostwa, niezdolna do powiedzenia prawdy i tym samym skrzywdzenia mężczyzny, który spał z głową na jej kolanach, zamknęła oczy, czując się wyczerpana tym, co robiła i czego nie czuła. Gdy ponownie otworzyła powieki, był ranek, a ona leżała sama na sofie, przykryta kocem. Przeciągnęła się jak kot, a potem zobaczyła śnieżnobiałą kartkę papieru złożoną na pół i postawioną niczym mały namiocik na wykonanym z przydymionego szkła blacie stolika do kawy.

Śpij mocno. Muszę pędzić na zajęcia. Odezwę się do Ciebie.

Kocham Cię, Cale

Już samo trzymanie tego liściku w ręce miało w sobie coś ze zdrady. Natychmiast ogarnął ją szalony smutek, którego nie mogła się pozbyć. Mimo poranka, kiedy to wszystko wydaje się bardziej oczywiste, nie rozumiała swoich mieszanych uczuć ani odrobinę lepiej niż w dniu, w którym spotkała Cale'a. Spojrzała na kartkę i powiedziała na głos:

- Nie kocham cię. Nie wiem nawet, czym jest miłość. Puste pokoje jednak nie mają wrażliwych serc, które można zranić. Puste pokoje nie mówią człowiekowi, że jest jedynym powodem, dla którego dają radę podążać za swoimi marzeniami. W pustym pokoju można wyrzucić z siebie wszystko, nawet w jaskrawym świetle nowego dnia, a to i tak nie jest równoznaczne z pożegnaniem.

Dzień minął, jakby wisiała nad nim ciężka, szara chmura. Czas płynął, nawet jeśli nic nie zostało rozwiązane. Cale zadzwonił do niej następnego dnia, uprzedzając ją, że na studiach zbliżają się egzaminy końcowe. Prosił, żeby się nie martwiła, gdyby przez jakiś czas się nie odzywał. Harmonogram sesji okazał się wybawieniem dla Laurel.

Jud pojawił się któregoś wieczoru w restauracji na późną kolację, a ponieważ padało, nalegał, że odwiezie ją do domu. Przed drzwiami wyłączył silnik i spytał:

- Co słyhać u mojego brata?

- Zaczyna sesję. Jest zmęczony i wyczerpany. Wydaje mi się, że gdybyś teraz spróbował do niego zadzwonić, mogłoby ci się udać. Nie sądzę, by miał siłę się na ciebie wściekać.

Deszcz przestał padać. Laurel sięgnęła po torebkę. Gdy oparła się o fotel, pocałował ją po bratersku w policzek.

- Zadzwonię do niego. Laurel czuła się dziwnie - miała wrażenie, że wszystko wokół jest zbyt gorące. Pośpiesznie opuściła ciasne wnętrze sportowego samochodu, odzyskując tym samym zdolność oddychania.

- Dzięki za podwiezienie.

- Nie ma sprawy.

Nie odjechał, ale siedział w samochodzie i patrzył, jak Laurel wchodzi po schodach. Kiedy otworzyła drzwi i obejrzała się za siebie, Jud zawołał:

- W środku jest bezpiecznie, Nimfetko.

Potem pomachał jej i odjechał, a ona stała, czując dziwne ciepło i zadowolenie z powodu jego niezobowiązującej opiekuńczości.

Dorastała bez ojca. Gdyby żył, pewnie szedłby chodnikiem bliżej krawężnika, trzymał ją za rękę lub pomagał jej przejść przez ruchliwą ulicę. Zasad dbania o bezpieczeństwo dzieci nauczyła się od samotnych kobiet, a nie od mężczyzn, którzy troszczą się o swoich bliskich. Było to coś, czego braku nie uświadamiała sobie aż do tej pory. Przy Judzie stawała się inną, nie tak zamkniętą w sobie osobą.

Idąc następnego dnia na przystanek autobusowy, zwróciła uwagę na woń unoszącą się w powietrzu po deszczowej nocy, ciepło i bezmiar błękitnego nieba. Poczowała również na skórze powiew leniwego wiatorku i wychwyciła aromatyczny, podobny do cytrusów smak późnej jesieni w Kalifornii.

Dwa dni później jej telefon zaczął uparcie dzwonić. Spodziewała się telefonu od Cale'a i bez końca wpatrywała się w dzwoniący aparat, aż wreszcie odważyła się go odebrać.

- Jestem ci winien kolację - powiedział Jud na drugim końcu linii.

Laurel zagłębiła się w miękkie poduszki sofy i przechyliła na bok.

- Podarowałeś mi skrzynkę wina.

- Nie chcesz zjeść ze mną kolacji...

- To nie tak. Niczego nie jesteś mi winien, Jud.

- Nienawidzę jeść sam. - Potem skusił ją niemożliwą do zdobycia rezerwacją, którą miał tego wieczoru w nowej restauracji opisywanej w działkach kulinarnych wszystkich gazet w Los Angeles. - Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

Mężczyźni z rodziny Banningów nie przyjmowali łatwo odmowy.

Kolacja była wyjątkowa, a oni opuścili lokal o dziewiątej. Kiedy znaleźli się przed jej domem, siedzieli w milczeniu. Dziwne, zważywszy

na to, jak łatwo układała się rozmowa podczas całej kolacji. W bladym, naturalnym świetle księżycy i sztucznej poświacie lamp na rogu ulicy wyraziste rysy jego twarzy skrywały się w cieniu, a blask światła nadawał jego włosom odcień jasnego złota. Uderzyła ją myśl, że Jud przypomina jakiegoś mężczyznę ze starego portretu - na przykład arystokratę mającego wstąpić na tron. Tak wyglądali ludzie nieosiągalni, mogący być niebezpieczni dla serc innych.

- Dziękuję za towarzystwo, Nimfetko.

- Wiesz, że moje urodziny miały miejsce w maju?

- A więc nie jesteś już nimfetką? - Wzruszył ramionami. - Prawda jest taka, że lubię sposób, w jaki reagujesz na to określenie.

- Reaguję? Jak na nie reaguję?

- Na twojej twarzy pojawia się mina, jakbyś właśnie zjadła cytrynę.

- To nieprawda.

- Dobra, Nimfetko. Skrzyw się i pozwól mi popatrzeć. Laurel zrobiła minę, a on szybko ją pocałował, delikatnie dotykając wargami, tak jakby była bardzo krucha. Cofnął się i obdarzył ją uśmiechem.

To dlatego przyszło jej na myśl, że on jest niebezpieczny.

- Sprytny podstęp, Jud. Czy to często działa? Po tych słowach wysiadła z samochodu.

- Sądzisz, że jako kolejnego argumentu użyłbym wobec kobiety sznura? Miałbym to robić w czasach wielkich reform? Betty Friedan i podobne jej feministki zniweczyłyby moje szanse.

- Kobiety mogły się zmienić, ale faceci pozostali tacy jak dawniej.

Jud roześmiał się, a Laurel zamknęła drzwi samochodu.

- Dzięki za kolację. Miło spędziłem ten czas.

- Ja również.

Jud zaczekał, aż Laurel znalazła się w środku. Po chwili usłyszała, jak odjeżdża. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

Po tygodniu Jud znów zabrał Laurel na kolację. Pomimo starań nie mógł trzymać się od niej z daleka. Spotkali się w małym bistro w Westwood i jedli *pintade a la Medici*, perliczkę nadziewaną truflami. To danie zostało stworzone dla Katarzyny Medycyjskiej. Laurel opowiedziała swojemu towarzyszowi historię truflి, podczas gdy on drażnił się z nią, nazywając je zabawnymi, ale brzydkimi grzybami.

- Nie da się ich uprawiać, przynajmniej nie jest to możliwe w przypadku najbardziej aromatycznych, dzikich gatunków. Ludwik XIV zamówił rozprawę dotyczącą hodowania truflి. Niektóre gospodarstwa we Francji wykorzystywały do hodowli leśne dęby, jednak wszyscy eksperci uznawali, że efektem są produkty pośledniego gatunku. - Uniosła widelec. - To jest naturalny okaz o bogatym aromacie, ciemny - taki jak las, w którym wyrósł. W smaku czuć wilgotną ziemię. To dzikie trufle z lasów Perigrod w południowej Francji. Mmmm. Spróbuj.

Jud nigdy nie sądził, że grzyby mogą mieć w sobie tyle erotyki.

- Setki lat temu do szukania truflิ używano świń. Zdaje się, że teraz wykorzystuje się do tego celu psy. - Roześmiała się. - Chyba łatwiej powstrzymać od pożarcia znalezionej truflิ psa niż świnie. - Włożyła kęs do ust. - To przysmak.

Przez całą kolację rozmawiali, a płomień świec ustawionych na stole migotały delikatnie na twarzy Laurel. Jej lśniąca, brązowa włosy sięgały ramion. Miała na sobie brązowe, zamszowe buty, obcisły golf i długą spódnicę z bardzo wysoko sięgającym rozcięciem. Dziewczyna

zakrywała szyję, natomiast odsłoniła uda. Kiedy na chwilę odeszła, a potem wróciła do ich stolika, Judowi przyszła na myśl jej opowieść o ciemnej trufli, rozwijającej się jedynie w głębokim wilgotnym lesie, gdzie rzadko staje ludzka stopa... Rzadko spotykany, ziemisty przysmak, który nadawał jedzeniu wyjątkowy smak. Laurel była rarytasem, wyjątkową nagrodą, którą zdobywało się tylko wtedy, kiedy szukało się w najciemniejszym lesie. Jej piękno cały czas się zmieniało, tak jakby miała na nie wpływ każda upływająca sekunda. Na jej twarzy pojawiały się setki rozmaitych wrażeń -były one bardzo subtelne i dla większości ludzi niemożliwe do wychwycenia, ale Jud wyłapywał najdrobniejsze niuanse. Uznał, że mógłby spędzić całe życie po prostu na patrzeniu na tę dziewczynę.

Tej nocy zobaczył, jak powoli i ostatecznie znika jej strach przed nim. Do przeszłości odeszło nieufne spojrzenie zwierzęcia zapędzonego w kąt. Zachowywała się naturalnie, wyrażała normalne emocje, zniknęła też chroniąca ją niewidoczna bariera. Za każdym razem, gdy przebywał w towarzystwie Laurel, uświadamiał sobie, że spędził większość życia w świecie mężczyzn, gdzie wszystko było proste i oczywiste. Nie spotkał dotychczas kobiety, dzięki której poczułby błysk emocji, wzloty i upadki. Brakowało mu w otoczeniu również dodatkowej pary subtelnych oczu, które patrzyły z większym wyrafinowaniem na otaczający świat. Po kolacji Jud siedział w samochodzie, przyglądając się profilowi Laurel. Trudno było nie zauważyć, czego brakuje w jego życiu.

- Popatrz na te wszystkie gwiazdy - powiedziała z głową opartą o siedzenie. — Gdy byłam mała, siadywałam na kolanach babci Peyton, a

ona opowiadała mi, że największa, najjaśniejsza gwiazda, którą zobaczę, to mój ojciec spoglądający na mnie z góry.

Jud musiał obrysować palcem kształt jej szczęki.

- Co robisz? - spytała głosem pełnym emocji, drżenia i wibracji, który brzmiał tak, jakby utknał jej w gardle.

- Dotykam cię.

- To niebezpieczne.

- Wiem. To najlepszy gatunek niebezpieczeństwa. - Dotknął palcem wskazującym dolnej wargi Laurel. Odtwarzał delikatne rysy jej twarzy w umyśle lub może starał się je zapamiętać.

- Jesteś dla mnie zbyt stary, pamiętasz?

- Wiem, ale nic mnie to nie obchodzi.

Opuściła wzrok, a potem odsunęła się od niego z ręką na klamce drzwi.

- Lepiej już pójde.

- Odprowadzę cię.

Gdy już dotarli na miejsce, Jud oparł się o słupek werandy i przyglądał się Laurel; wchodząc do środka, zawahała się, ale powiedziała:

- Nie mogę dać ci tego, co chcesz.

Nie naciskał. Nic nie mówił. W tamtej chwili zrozumiał jej uczucia i myśli. Tylko ta twarz będzie nadal go prześladowała.

- Przykro mi - zdołała powiedzieć.

- Wiem, że to prawda.

- Dobranoc.

- Dobranoc, Nimfetko.

Odszedł szybkim krokiem. Tak trudno było to zrobić, kiedy trawiło go przytłaczające poczucie żalu. W samochodzie usiadł nieruchomo, a potem spojrzął za siebie na zamknięte drzwi. Z obiema rękami na kierownicy starał się bezskutecznie pokonać tę tęsknotę. W końcu włożył kluczyk do stacyjki.

Laurel stała w kuchni i popijała trzy aspiryny dużą szklanką wody. Pukanie do drzwi zaskoczyło ją. Otworzyła je z rozmachem.

- Nie powinnaś tego robić - zauważył Jud.

- Czego?

- Otwierać drzwi w ten sposób. Ktoś mógłby po prostu się tu wpakować.

- Ktoś taki jak ty?

- Ktoś taki jak rodzina Mansona.

- Dobra, punkt dla ciebie. Powinam teraz zamknąć drzwi?

- Proszę. - Wyciągnął rękę, w której trzymał jej portfel. - Znalazłem to na podłodze w samochodzie.

- Musiał wypaść mi z torebki. Dzięki. - Nie zbliżyła się do drzwi. Nie chciała tego robić. Zastanawiała się, czym było to pragnienie, które sprawiało, że człowiek nie mógł normalnie funkcjonować.

Jud nie zrobił żadnego ruchu w stronę wyjścia.

- Kiedy tak na mnie patrzysz - powiedział - zastanawiam się, czego szukasz.

- Och, Jud. - Spuściła wzrok na podłogę, później znów spojrzała na niego. - Niczego nie szukam. Sądzę, że już to znalazłam.

- Masz na myśli Cale'a?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

-Nie.

Prawda zawisła między nimi w powietrzu. Jud również badawczo przyjrzał się jej twarzy, po czym podszedł do krawędzi drzwi i oparł ramię o framugę, patrząc na Laurel.

- Nie podejść bliżej, dopóki mnie o to nie poprosisz.

- Nie wiem, czy potrafię.

- Chcesz to zrobić.

- To prawda - przyznała i poczuła lzy w oczach. Jej serce waliło jak oszalałe, a ona była zaskoczona pierwszą myślą, która przyszła jej do głowy - że znajduje się dokładnie tam, gdzie powinna być.

- Nie chcę niczego żałować.

Teraz to ona podeszła bliżej. Dzielilo ich już zaledwie kilkanaście centymetrów, szerokość ościeżnicy. Laurel znalazła się na krawędzi czegoś niezwykle ważnego.

Jud nie ruszył się z miejsca.

- Możesz się cofnąć, Nimfetko, zamknąć mi drzwi przed nosem, a ta chwila się skończy.

- Skończy się - powiedziała - ale to nie minie.

- Nie. Nie minie.

W tej jednej, przepełnionej emocjami chwili przemknęło jej przed oczami całe dotychczasowe życie. Powody, chęci i potrzeby. Wybory życiowe okazały się rzeczą najtrudniejszą. Wreszcie znów zobaczyła Juda, a na jego obliczu odbicie swoich uczuć, potem dostrzegła niebieski błysk jego oczu i wyraz twarzy mówiący o żalu z powodu straconego czasu, niewykorzystanych szans i myśli „co by było, gdyby”. Jud miał już zamiar

się poddać, ale w tym momencie Laurel chwyciła go za krawat i wciągnęła do środka.

RS

20

Porozrzucane ubrania znaczyły drogę do sypialni Laurel. Przez okno wpadał do pomieszczenia blask księżyca, rozlewając się na łóżku i połyskując na białych prześcieradłach oraz nagiej skórze. Wokół unosił się zapach morza. Języki wyczuwały smak soli, nogi splotły się ze sobą rozpaczliwie, a gładka skóra dotykała szorstkiej. Ramiona obejmowały się nawzajem. W powietrzu płynęły pieszczotliwe słowa szeptane w rytm ruchu ich ciał.

Laurel nie czuła strachu ani obawy. Jej myśli krążyły tylko wokół tej chwili i tego mężczyzny. Z pewnością nie żałowała. Udawała się tam, gdzie pokierowały ją jego zręczne ręce i ciało. Całkowicie zagubiona w uniesieniu, podążała naturalnie za nim. Jego ruchy były rytmiczne i powolne. Zdawało się, że chce sprawić, by ta chwila trwała jak najdłużej.

Każdy pocałunek, każde dotknięcie i każda wspólna sekunda zdawały się Laurel czymś niezwykle słusznym. Myślała, że nawet za sto lat, mając za sobą całe życie, przypomni sobie każdy moment tak, jakby to było poprzedniego dnia. Wiedziała, że tej nocy gwiazdy spadały, ziemia drżała, a niemożliwe stało się rzeczywistością.

Jud przeniósł orgazm partnerki na płaszczyznę wyższą niż fizyczna. Dreszcze przebiegające jej ciało przypominały słabe trzęsienia ziemi, a serce waliło jak szalone. Jej umysł wypełniała jedynie słodka, ciepła biała mgiełka spełnionego pożądania. Gdy odzyskała trzeźwość umysłu, otworzyła oczy i zobaczyła, że Jud na nią patrzy. W milczeniu ujął jej twarz w swoje ciepłe dłonie i okrył pocałunkami czoło, policzki, brodę i wargi. Raz za razem zatracali się w sobie nawzajem.

Kiedy obudziła się, naga wśród ciepłych prześcieradeł i zapachu czyjejś skóry, słońce już grzało i znajdowało się wysoko na niebie. Jud leżał obok niej na brzuchu pogrążony we śnie. Miłość zawsze wydawała jej się czymś mitycznym i magicznym, historią, którą opowiadała sobie w myślach każdej nocy, póki nie stała się jej wyznawcą. Miłość była końcem wszystkiego, była wszechbytem.

Jednak teraz leżała bez doświadczenia i wiary we własne odczucia. Nawet gdyby uwierzyła temu, co mówiły jej umysł i serce, czyli zaakceptowała jarzący się przed oczyma neon z napisem „To jest miłość”, i tak musiała stawić czoło okropnej prawdzie. Wciąż była związana z jednym z braci, a zakochana w drugim.

- Ja, czyli bałagan - powiedziała na głos.

- Cóż, nawet jeśli tak, to jesteś moim bałaganem. - Długie męskie ramię objęło jej ciało. Jud patrzył na nią z zaspanym uśmiechem, a jego oczy w porannym świetle były tak niebieskie jak bezkresne letnie niebo. - Dla mnie wyglądasz pięknie - powiedział.

Jakie to dziwne, że i ona tak myślała. Nie wyjaśniła, że bałagan dotyczył spraw wewnętrznych.

- Podobasz mi się, rozczochrana i naga. - Przycisnął wargi do jej biodra, a potem przesunął pościel i odrzucił na bok. - Chcę zobaczyć cię w świetle słonecznym.

Dziwne, ale nie czuła się odsłonięta, lecz czczona. A gdy szepnął, że jej pragnie, powróciła w bezpieczne schronienie jego ramion i zatraciła się w słodyczy.

Po dwóch godzinach snu Jud w kuchni popijał mocną, stawiającą na nogi kawę i rozmawiał z Laurel, delikatną i cudowną, jaśniejącą po

minionej nocy. Wpadające przez okno promienie słońca malowały dzień swoim ciepłym, bursztynowym blaskiem. Ziemia była cudownym, spokojnym miejscem, a on czuł, że od dziesięciu godzin rozumie życie. Kawa miała cierpki smak - espresso robiło się gorzkie, kiedy ostygło - nalał więc sobie kolejną filiżankę. Rozmyślał przy tym o swoich poprzednich doświadczeniach, ocenach kobiet, seksu i spraw sercowych. Wszystkie dotychczasowe założenia zostały zmiecione z powierzchni ziemi przez jedną wstrząsającą noc.

Nagle odezwał się dzwonek u drzwi. Jud ruszył, by powstrzymać dziewczynę.

- Laurel?

Ona jednak otworzyła drzwi na oścież. Do środka wszedł Cale, i to tak śmiało, jakby to mieszkanie należało do niego.

- Co tutaj robi samochód Juda? - Cale spojrzał na niego, wciąż stojącego w kuchni. - Co ty sam tu robisz?

Twarz Laurel śmiertelnie zbladła. Zniknął ciepły blask, w to miejsce pojawił się błysk strachu i przerażenia w oczach. Jud upił łyk kawy i powiedział:

- Ostrzegałem, jeśli chodzi o drzwi.

- Co tu się dzieje? - Cale żądał odpowiedzi od Laurel i stał w połowie drogi między nią a bratem. Jud uświadomił sobie, że młodszy brat już od dawna znajdował się między nimi.

Laurel położyła rękę na ramieniu Cale'a.

- Próbowałam ci powiedzieć.

- Słucham? - Cale podniósł głos pełen emocji. - Kiedy? - Jeszcze nie krzyczał, ale niewiele brakowało. - Powiedz mi teraz.

Spojrzał na nich oboje, ale żadne z nich się nie odezwało. Skierował więc pytanie w stronę Juda:

- Spałeś z nią? -Nie.

- Tak - odpowiedziała w tej samej chwili Laurel. Odgłos, który wyrwał się z piersi młodszego z braci, mówił wszystko. Był to pełen cierpienia dźwięk, nad którym żaden człowiek nie może zapanować. Cale zdawał się kurczyć, jakby zapadał się w sobie, a może po prostu coś rozpadało się w jego wnętrzu. Spojrzał na Juda z kompletnym niedowierzaniem.

- Jesteś moim bratem. Jesteś moim bratem. Dwukrotne powtórzenie tego stwierdzenia sprawiło, że słowa raniły jeszcze bardziej. Jud nawet nie drgnął.

- To moja wina - powiedziała Laurel.

Na twarzy Cale'a na moment pojawiło się coś niedobrego, co zniknęło chwilę później, gdy potrząsnął głową.

- Och, Laurel. Zastanawiam się, czy to ma cokolwiek wspólnego z tobą.

- Co masz na myśli?

Cale wpatrywał się w brata oczyma pełnymi złości, płonącymi od potępienia. Jud pomyślał, że chłopak wygląda tak samo jak Victor.

- Ty draniu... - Cale wyrzucił z siebie krótki, bolesny śmiech, który trafił Juda prosto w najbardziej czuły punkt jego przepelnionego winą serca. - Wyjaśnij to, wielki bracie.

To powiedziawszy, wyszedł za drzwi.

Laurel pierwsza ruszyła się z miejsca.

- Cale! Zaczekaj! - Zatrzymała się na progu. - Proszę, nie odchodź w ten sposób.

- Zegnaj, Laurel - powiedział, nie oglądając się za siebie.

Dziewczyna chwyciła się klamki. Gdyby tego nie zrobiła, pewnie upadłaby na podłogę. Kiedy zebrała siły, odwróciła się do Juda.

- Co myśmy zrobili?

- Nie myśl tak. Po tej nocy i tak by się dowiedział, Laurel. Jego słowa zabrzmiały zbyt swobodnie i beztrosko. Cale był jego bratem. Laurel przypomniała sobie wyraz twarzy Juda w kuchni na wyspie Catalina. Zamknęła delikatnie drzwi - ten zwyczajny dźwięk długo rozbrzmiewał w sytuacji, w której nic nie było normalne.

- Powiedział, że to nie ma nic wspólnego ze mną. Co miał na myśli?

- Sądzi, że przespałem się z tobą, ponieważ byłaś jego dziewczyną. Zawsze wydawało mu się, że z nim rywalizuję.

- A rywalizujesz?

- Nie - powiedział ostro. - To, co jest między nami dwojgiem, nie ma z nim nic wspólnego.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak. - Ruszył w jej stronę, ale Laurel uniosła rękę.

- Nie, proszę. To wszystko moja wina. - Czuła, że robi jej się niedobrze. - Nie widziałeś wyrazu jego twarzy? Boże... Chciałam zerwać z nim tamtej nocy, ale zasnął z głową na moich kolanach. Chwilę wcześniej powiedział, że to ja jestem powodem, dla którego zdoła przejść przez studia. Jestem tchórzem. Mogłam mu powiedzieć, że już go nie Kocham. Zamiast tego zasnęłam, a kiedy się obudziłam, już go nie było.

- Nie jesteś tchórzem, Laurel. Jesteś człowiekiem.

- Doprawdy? Nie czuję się zbyt ludzko po tym, co zrobiłam.

Wszystko wydaje się takie okrutne i nieludzkie. Wyszło paskudnie. - Nie mogła spojrzeć na Juda, na dywanie nie można było znaleźć żadnych odpowiedzi. Nie było ich również w pokoju ani za oknem, gdzie jasno świeciło słońce, co zdawało się dziwne w tej sytuacji. — Nie potrafię tego zrobić. Nie chcę wchodzić między was dwóch.

- Nie ma prostego sposobu, by zakończyć związek. - Przeszedł przez pokój i położył dłonie na jej ramionach. - Spójrz na mnie. On i tak w jakiś sposób by ucierpiał. Nie możemy nic poradzić wobec swoich uczuć.

- Zrobiliśmy to paskudnie, Jud. Naprawdę paskudnie.

- Jest za późno. Nie wyrzeknę się tego, co do ciebie czuję.

- A co dokładnie do mnie czujesz? - Pomyślała, że być może musiał ostrożnie dobierać słowa. - Nie potrafisz tego powiedzieć?

Laurel przyglądała się jego twarzy w poszukiwaniu odpowiedzi, ucieczki i rozluźnienia. Zobaczyła jedynie Juda, to samo spojrzenie, które widziała już na statku krótko przed tym, jak ją przeprosił i odszedł.

- Mogę to powiedzieć, Laurel. Chcesz, żebym powiedział, że cię kocham. Jak ty nazwiesz swoje uczucia?

- Nie wiem, co czuję.

Jego ręce odsunęły się i ułożyły wzdłuż ciała. Wyglądał tak, jakby Laurel go uderzyła.

- Przykro mi, ale to prawda. Sądziłam, że wiem, czym jest miłość. Myślałam, że kocham Cale'a, jednak myliłam się. Jak mogę ufać temu, co czuję do ciebie?

- Nic do mnie nie czujesz - powiedział Jud bez wyrazu.

- W stosunku do ciebie czuję wszystko.

Wyciągnął dłoń w jej stronę, ale Laurel zrobiła krok do tyłu.

- Potrzebuję czasu, żeby to zrozumieć.

- Ile czasu?

- Nie wiem. Muszę trzymać się od ciebie z daleka, Jud. Muszę zrozumieć, co się ze mną dzieje. Kiedy tu jesteś, nie potrafię myśleć.

- To przecież wyraźna wskazówka, Laurel. - Jego głos był pełen goryczy i sarkazmu.

Sekundy zamieniły się w minuty, aż w końcu Laurel powiedziała:

- Proszę, daj mi trochę czasu, by uporządkować myśli.

Jud stał, dusząc się, rozglądając się wokół z rękami w kieszeniach.

Potem spojrział na nią.

- W porządku. Wycofuję się. Masz tydzień. Nie więcej. - Złapał swój portfel i klucze ze stołu, a potem podszedł do drzwi. Zatrzymał się, szukając czegoś na jej twarzy.

- Kocham cię, Nimfetko.

Laurel zaczęła płakać.

- Po prostu pamiętaj o tym, dobrze?

- Porozmawiaj z nim, Jud. Idź z nim porozmawiać. Proszę. Nie potrafię wejść między was dwóch. Nie potrafię.

- Złożyłem ci dzisiaj wystarczająco dużo obietnic.

- On jest twoim bratem.

- Pomyślę o tym. - Wyszedł tak samo jak Cale, nie oglądając się za siebie.

Laurel zamknęła drzwi, czując mdłości jak po wizycie w wesołym miasteczku. Najwyraźniej życie potrafiło zmieniać się z prędkością przejażdżki kolejką. Dziewczyna łapała głęboko powietrze między

strumieniami łez, starając się opanować poczucie winy i wstyd z powodu tego, co zrobiła. W tej chwili nie mogła spojrzeć w lustro. Poczucie zdrady widoczne na twarzy Cale'a pojawiło się przed jej oczami. W końcu pobiegła do łazienki i zaczęła wymiotować.

RS

21

Cale szedł bez celu ścieżkami swojego życia, niezbyt wyraźnie zdając sobie sprawę z tego, co robi. Gdzieś we wnętrzu cierpiał niczym po okropnie spartaczonej operacji. Faktu, że Laurel wybrała Juda zamiast niego, nie mogło zatrzeć nic - ani potężne dawki alkoholu, ani piękne kobiety, ani nawet ucieczka w sen. Odniesione rany były głębokie i krwawe, a jego samoocena gwałtownie się załamała. Ponownie spotkała go porażka, a co gorsze, Laurel go nie kochała. Wróciła przeszłość, przypominając mu, że kobiety, które kochał, zwykle go porzucały.

Od miesięcy - a może nawet dłużej - żył w niemal całkowitym odosobnieniu, a telefony do niej dawały mu nowy zastrzyk sił. Kim był bez tego, co ich łączyło, i bez niej? Czy został jeszcze ktoś, kto w niego wierzył? Myśli o niej i świadomość, że nie będą wiecznie razem, niszczyły go komórka po komórce. Jeszcze gorsze było myślenie o Laurel stojącej u boku Juda. Miłość okazała się okropnym światem dla kogoś, kto w nim zamieszkał. To uczucie usypiało czujność. Świat miłości przypominał jakiś mroczny komiks, gdzie czarny charakter grożący zagładą bywał raz przyjacielem, a raz wrogiem, nosił w połowie ciemną, a w połowie jasną maskę. W takich historiach jedynie kwestią czasu było wyjście na jaw smutnej prawdy, że zdrada to coś nieuniknionego.

Każdego dnia koncentracja przychodziła Cale'owi coraz trudniej. Nawet doktor Strovich musiał wypomnieć mu głupie błędy i stwierdzić, że dobrze, iż Cale ma już egzaminy za sobą. Chłopak dryfował bezmyślnie przez czas, póki pewnego popołudnia nie wyszedł przed budynek, w

którym znajdowały się laboratoria. Na frontowych schodach natknął się na Judasza -swojego brata.

Jud ruszył w jego stronę.

-Cale!

- Idź do diabła!

Jud złapał brata za ramię, ale Cale mu się wyrwał.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Zaczekaj. Posłuchaj mnie.

- Nie. - Cale nie zatrzymywał się, ale Jud deptał mu po piętach.

- To ja pierwszy ją spotkałem.

Cale odwrócił się w stronę brata.

- O czym ty mówisz?

- O Laurel. To ja ją pierwszy spotkałem.

- Nie zauważyłem, by miała gdzieś zatknietą flagę z napisem „Jud Banning”.

Cale drżał z bólu wywołanego tłumioną, oślepiającą złością. To on ją pierwszy spotkał - a jakie to, do cholery, ma znaczenie? Potem ponownie zaczęło się powolne, bolesne umieranie jakiejś części jego osoby, którą uznał już za martwą.

- Laurel była tą dziewczyną z „Cataliny”. To o nią się biłem. Cale ponownie ruszył przed siebie.

- Właśnie odkryłem w sobie nowe pokłady szacunku dla faceta, który wtedy tak ci dowalił.

- Zaczekaj. - Jud stanął przed bratem, blokując mu drogę. -Śmiało. Uderz mnie.

Dłonie Cale'a były zaciśnięte w twarde jak kamień pięści. Naprawdę miał ochotę przywalić bratu w twarz.

- Nie zapewnię ci tak łatwego wyjścia z sytuacji.

- Przecież chcesz to zrobić. Śmiało, uderz mnie. - Starszy z braci stał w bezruchu.

- Odejdź, Jud. Biegnij do Laurel. Pragnąłeś jej tak bardzo, że postanowiłeś ją zdobyć. - Cale spojrzał bratu prosto w oczy. - A może już nie chodzi o Laurel? Może w ogóle o nią nie chodziło?

- Wydaje ci się, że ona nic mnie nie obchodzi?

- Nie mam pojęcia. Podbój dobiegł końca. Ty wygrałeś. Ja poniosłem porażkę. Zabawne... Czyż nie tak zawsze to wygląda? Ja czegoś pragnę, a ty to dostajesz.

Wciąż byli braćmi, połączonymi więzami krwi i mającymi wspólnych rodziców. Zostali poczęci przez te same osoby i wyszli na świat z tego samego łona. Jednak Laurel nie była meczem koszykówki czy sportowym samochodem. Ona należała całym sercem do Cale'a. Jud ją zabrał, a Cale nie sądził, by kiedykolwiek mógł mu to wybaczyć.

- Nie potrafię zmienić jej uczuć. Jestem tutaj, bo prosiła, żebym z tobą porozmawiał.

Cale roześmiał się gorzko.

- Och, to urocze. Czy chciała również, żebym cię uderzył? -

Potrząsnął głową i skupił wzrok na jakimś nieokreślonym punkcie za plecami brata. - Po prostu tego nie rozumiesz, Jud. Nigdy tego nie zrozumiesz. Ty jesteś kimś innym - złotym chłopakiem, a ja jestem sobą - totalną pomyłką.

Po tych słowach Jud przestał iść za nim. Gdy Cale oddalił się o kilka metrów, obejrzał się za siebie. Jud stał pod drzewem pieprzowca brazylijskiego w pobliżu Norris Library. Co za drań... Cale zrobił kilka kolejnych kroków i zawołał:

- Biegnij, wielki bracie. Biegnij, byś nie marnował czasu z dala od niej.

Czas stracił dla Cale'a wartość, podobnie jak wszystko inne w jego życiu. Po nocach prześladował go obraz Laurel. Czasami budził go zapach toffi cynamonowego, smak miodu lub też czysty dźwięk jej śmiechu. Prześladowała go chęć, by zamknąć oczy na zawsze. Ciemność wydawała się czymś łatwiejszym, stanowiła ucieczkę. Życie bez Laurel oznaczało, że będzie musiał nauczyć się sam oświetlać swoją drogę.

Potężna, pełna spokoju, ciszy i niesamowitości warstwa mgły unosiła się tuż nad wybrzeżem San Pedro i otulała prom „Catalina”. Laurel zajęła czerwone, skórzane siedzenie przy oknie w płytkim, otwartym kambuzie i wyglądała na zewnątrz, obserwując ścianę bieli. Co kilka minut rozlegał się głęboki, tęskny głos syreny okrętowej używanej w przypadku żeglugi we mgle, boje podzwaniały na falach, a silnik parowca wydawał z siebie dudnienie, gdy prom pozostawiał za sobą rzeczywisty świat i stały ląd.

Wszystko zaczęło się właśnie tutaj, w tym kambuzie, a minione miesiące przesuwały się w jej myślach klatka po klatce, pokazując, w jaki sposób dotarła do tego miejsca. To przypominało zgadywanek „co by było, gdyby?”. Każda decyzja, jaką podjęła, niezależnie od tego, czy słuszna, czy też nie, wracała teraz w formie wątpliwości. Dlaczego poszła do łóżka z Cale'em? Ponieważ go kochała? Dlatego, że to on ją kochał? Ponieważ chciała, żeby on - lub ktokolwiek inny - ją pokochał? A może dlatego, że

Jud jej nie chciał? Prawda, przed którą nie dało się uciec, wyglądała tak, że zdecydowała się pójść z Cale'em do łóżka w dniu, w którym odkryła, że Jud jest jego bratem. Teraz było to jasne. Zakochała się po uszy w Judzie w chwili, kiedy przyniósł jej tamten kieliszek wina. Nie wiedziała tylko, kogo zdradziła w większym stopniu - Cale'a, Juda, a może samą siebie.

Te godziny nie przyniosły jej żadnych konkretnych odpowiedzi. Statek wpłynął do portu Avalon, gdzie woda wydawała się szarzielona, a niebo miało barwę cyny. Powietrze było przesycone solą i równie gęste jak mgła, która nadciągnęła już wcześniej. Laurel spodziewała się, że w domu na wyspie odnajdzie jasność myśli, odkryje sposób na naprawienie bałaganu, którego narobiła w życiu trzech osób. Dom stanowił bezpieczne miejsce, w którym można się zaszyć. Chroniła się właśnie na wyspie, z której jeszcze kilka miesięcy temu uciekała. To dobrze oddawało niezdecydowanie obecne w jej życiu, przypominającym ciąg pomyłek. Laurel dobrze wiedziała, że stałym elementem w jej życiu jest jej matka - osoba, która bezwarunkowo ją kochała.

Laurel siedziała i czekała ponad godzinę, aż Kathryn wróci ze sklepu. Wreszcie powiedziała jej o Cale'u i Judzie. Reakcja matki dziewczyny była okropna. Kathryn krążyła niespokojnie po salonie.

- Wiedziałam, że zdarzy się coś takiego, Laurel. Nie uwierzyłabys mi, ale czułam, że to się zbliża.

- Skąd wiedziałaś? Nawet nie znasz Juda.

- Wiedziałam, że cię skrzywdzą. To Banningowie. Jak mogliby zrobić nam cokolwiek innego? - W głosie Kathryn pojawiła się pasja. - Oni zniszczyli nasze życia. - Tak mocno zaciskała ręce na oparciu krzesła, że aż pobielaly jej kostki. Matka Laurel nie mówiła, lecz krzyczała - to był

ten rodzaj krzyku, którego nie da się powstrzymać i z którego czasem człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy. To wołanie dochodziło z jakiegoś pełnego desperacji zakątka umysłu, widać było również, że emocje wypalają Kathryn od środka. - Ci dwaj bracia zniszczyli twoje życie. Mówisz, że kochasz Juda, a nie kochasz Cale'a. No cóż, ja powiedziałabym, że nie powinnaś się zbliżać do żadnego z nich. Tu musiała zajść jakaś pomyłka - pomyślała Laurel.

- Mamo. Proszę... Przykro mi, ale nie rozumiesz. To była moja wina. To ja weszłam między nich dwóch.

- Ty? Nic podobnego. To zaczęło się wiele lat temu.

- O czym ty mówisz?

- Oni zabili twojego ojca, Laurel.

Zdaniem córki Kathryn zaczynała wariować. W jej głosie słychać było panikę. Jej szaleńcze reakcje i rzeczy, które wygadywała, dowodziły tylko, że trzeba się martwić o jej zdrowie psychiczne. Desperackie poszukiwanie miłości w wykonaniu Laurel również spowodowało rozdźwięk między nią a Kathryn.

- Mamo... To, co mówisz, nie ma sensu.

- Zaczekaj tu. - Kathryn opuściła pokój. Kiedy wróciła do niego z pobladłą twarzą, niosła pod pachą stare, niebieskie pudełko na buty. Wręczyła córce pożółkły wycinek z gazety.

Laurel przeczytała i powoli zaczęła docierać do niej przerażająca prawda.

- Ich rodzice byli w tym drugim samochodzie?

- Nie tylko byli w tym drugim samochodzie. Ich ojciec był pijany i prowadził jak szaleniec. Wjechał na skrzyżowanie i uderzył w samochód

twojego taty. Za wypadek i śmierć twojego ojca winę ponosi wyłącznie Rudy Banning.

- Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, że Cale jest ich synem? -Wtedy jak przyprowadziłaś go do mnie, Shannon powiedziała mi, jak brzmi jego nazwisko. Próbowałam cię znaleźć. Wybrałam się do domu przy zatoce i natknęłam się na jego brata.

- Czy oni wiedzą?

-Nie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Czy to zmieniłoby twoje uczucia?

Czarne litery na pożółkłej kartce zaczęły się rozmazywać. Laurel wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Czuła kompletną pustkę w głowie.

- Nie wiem.

Z powodu jakiegoś dziwnego fatum Laurel ponownie wprowadziła w ich życie śmierć ojca i to czarne bagno bólu. Twarz matki zmieniła się niemal nie do poznania, jej oczy wskazywały na bezsenność, a skóra była blada jak ściana. Kobieta straciła na wadze, miała wyostrowany podbródek i usta zaciśnięte w sposób godny osoby o dziesięć lat starszej. Przed Laurel stała jeszcze jedna zraniona osoba.

A więc to tak wyglądała miłość.

Jud dotrzymał słowa i nie pokazywał się przez tydzień. Siódmego dnia znalazł się przed mieszkaniem Laurel już o ósmej rano, chcąc dać jej do zrozumienia, że jego uczucia są prawdziwe. Po tym jak dostał to, czego chciał, zamierzał o nią walczyć. Kupił pierścionek już w dniu, w którym rankiem ją opuścił. Od tej chwili aksamitne pudełko przez cały czas znajdowało się w kieszeni jego marynarki lub płaszcza - trzymał je w wewnętrznej kieszeni, zaledwie kilka centymetrów od serca. Jud wszedł po schodach, wypowiadając w myślach słowa, które powtarzał od tygodnia. Zapukał do drzwi i kręcił się w miejscu z rękami w kieszeniach. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, zaczął dobijać się do drzwi.

- Laurel! Laurel! Otwórz! Cofnął się o krok.

We frontowym oknie wisiała mała, czarno-biała tabliczka z napisem „Do wynajęcia”. W chwili, kiedy dotarła do niego paraliżująca świadomość tego, co się stało, Jud nagle poczuł, że brakuje mu tchu. Przyszło mu do głowy, że okazał się głupcem, który teraz żałował dania Laurel chociażby jednego dnia czasu.

Po niekończącej się chwili przeskoczył barierkę, po czym przycisnął twarz i dłonie do szyby. W mieszkaniu wciąż stały stare meble, ale zestaw stereo zniknął, podobnie jak zrobiona na drutach narzuta na sofę, naczynia matki Laurel i zdjęcia. Jud poczuł przypływ paniki mocniejszej niż kiedykolwiek wcześniej. Drżącymi rękami zapisał numer, pod który należało dzwonić w celu wynajęcia tego lokum, po czym skierował się do najbliższej budki telefonicznej. Telefon Laurel został odłączony, a właściciel nieruchomości nie odpowiadał.

Pot przesycony metalicznym posmakiem strachu pokrył całe jego ciało. Wskoczył do samochodu i ruszył na poszukiwania dziewczyny. Kiedy poczuł, że potrzebuje powietrza, musiał zacząć łapać je wielkimi haustami, a utrzymywanie kierunku jazdy wymagało ściskania kierownicy obydwoma rękami. Pojechał do jej szkoły, gdyż restauracja była jeszcze zamknięta. Powiedziano mu, że Laurel odeszła, ale to nie było przeniesienie ani zmiana szkoły. Jud czekał przed restauracją, aż ktoś wpuści go do środka. Powiedziano mu, że Laurel zadzwoniła do nich dwa dni temu, przeprosiła i oznajmiła, że już nie wróci. Co godzinę dzwonił do właściciela mieszkania, aż w końcu zdołał się dodzwonić w nocy. Dowiedział się tylko, że Laurel Peyton zrezygnowała z kaucji i poinformowała właściciela o swoim wyjeździe.

O północy wyczerpany i zdesperowany Jud położył się do łóżka i zasnął pozbawionym marzeń i myśli snem człowieka, który nie może stawić czoła swoim czynom. Następnego ranka wsiadł do pierwszego hydroplanu, który zmierzał na wyspę.

Kathryn siedziała w fotelu z pudełkiem chusteczek higienicznych na kolanach. U jej stóp leżało otwarte stare, niebieskie pudełko na buty, a w dłoni trzymała filiżankę zimnej herbaty. Żadna ilość cukru nie mogła złagodzić goryczy cytryny. Na zewnątrz wczesny poranek zdawał się pozbawiony oznak obecności ludzi i mamił wrażeniem bezpiecznego miejsca, w którym można się ukryć. Kathryn zastanawiała się, czy Laurel da radę znaleźć sobie kryjówkę.

Widok Juda Banninga wchodzącego po schodach nie był żadną niespodzianką. Jego pojawienie się stało się jeszcze jednym ponurym

wydarzeniem ostatnich dni. Jej córka uciekła od nich wszystkich - nawet od Kathryn. Zwłaszcza od Kathryn.

Na niebie za plecami Juda wciąż widać było róż porannego wschodu słońca. Zegarek na stole wybił ósmą, uprzedzając o włos jego stukanie do drzwi. Kathryn otworzyła.

- Wiedziałam, że któryś z was tu przyjedzie - powiedziała w miejsce zwyczajowych uprzejmości w rodzaju powitania. - Miałam rację, żywiąc obawy tamtego dnia.

- Szukam Laurel.

- Nie ma jej tutaj.

- Gdzie w takim razie jest?

- Zadzwoiła do mnie dwa dni temu, żeby powiedzieć mi, że musi uciec od wszystkich. - Miała zamiar gorzko się roześmiać, ale ten dźwięk przypominał raczej odgłos tłuczenia szkła. - Musiała uciec nawet ode mnie.

- Muszę ją znaleźć. Kocham pani córkę.

- To samo mówił twój brat. Sądzę, że obaj ją wykorzystujecie. To nie jest miłość, ale nieczysta walka o to, który z was wygra.

- Czy właśnie coś takiego pani powiedziała?

- Powiedziała mi, jaka była reakcja Cale'a, kiedy natknął się na was oboje. To jakaś sprawa między wami dwoma.

- Mój brat się mylił.

- Mimo to utknęła między wami dwoma - w miejscu, w którym nie chciała się znaleźć.

- To nie tak. Musi pani zrozumieć... Ona musi to zrozumieć.

- Odejdź i zostaw nas w spokoju. - Zaczęła zamykać drzwi.

- Proszę zaczekać! Wiem, że ona pewnie jest w Seattle.

- W takim razie dlaczego tu jesteś?

- Muszę jej to wyjaśnić. Nie mogę jej stracić.

Nie może jej stracić? Zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział. Zdobywanie, tracenie i niszczenie. Otworzyła szerzej drzwi.

-Wejdz.

Jud milczał i rozglądał się po domku. Wręczyła mu pudełko z wycinkami i patrzyła, jak czyta ten znajdujący się na wierzchu.

Obserwowała, jak na jego twarzy pojawiło się zrozumienie powodujące bladość i odpływ krwi z twarzy - była to reakcja identyczna jak u Laurel. Zniszczone życie za zniszczone życie.

- Jeśli kochasz moją córkę bardziej niż siebie samego, po prostu odejdz. Powinieneś kochać ją na tyle, by pozwolić jej poskładać z drobnych kawałeczków własne życie - i to takie bez osób o nazwisku Banning. Wasza rodzina wyrządziła nam już wystarczająco dużo krzywd.

- Czy ona wie?

- Teraz tak, ale w ubiegłym tygodniu o niczym nie wiedziała.

- A więc to tylko kolejny powód, dla którego powinienem z nią porozmawiać. Przykro mi z powodu pani męża. To jednak był mój ojciec, a nie Cale czy ja. W takim samym stopniu jesteśmy ofiarami tamtego wypadku.

- Trzymaj się z dala od życia mojej córki.

- Chce mnie pani ukarać, ale karze pani również Laurel.

- Gdyby cię kochała, nie odeszłaby. Ja natomiast nie chcę nikogo karać. Chcę ją chronić.

- Ona nie potrzebuje ochrony przede mną. Nigdy bym jej nie skrzywdził.

- Już to zrobiłeś. - Głos Kathryn załamał się. - Odejdź. Po prostu idź sobie. - Jedyne, co mogła zrobić, to wyciągnąć rękę, by trzymać go z daleka od siebie. W jej własnym domu kradł nawet powietrze, którego potrzebowała, by oddychać. - Proszę. Wyjdź z mojego domu.

Kiedy Jud zamknął za sobą drzwi, Kathryn ciągle płakała. Opadła na krzesło, odchyliła do tyłu głowę, zamknęła oczy, a w jej głowie rozbrzmiewały słowa, które Laurel powiedziała przez telefon.

- Nie chcę wchodzić pomiędzy dwóch braci. I jeszcze jedno, mamó, po prostu nie mogę ci wybaczyć tego, że nie powiedziałaś mi prawdy. Zadzwoń do ciebie za kilka tygodni i dam znać, gdzie jestem. Do widzenia.

Po tych prostych słowach jej córka zniknęła.

Zanim Kathryn zdołała się ruszyć, zegar odmierzył kolejne pół godziny. Wzięła prysznic i poszła do pracy, gdzie usiadła przy biurku i zadzwoniła do galerii w Seattle. Po chwili rozmawiała już z mężczyzną reprezentującym Victora Banninga -powiedziała mu, że ma obraz Espinosy, który chciałaby sprzedać. Ustalono warunki, po czym Kathryn zakończyła rozmowę. To było takie łatwe. Już po sprawie.

Poszła do swojego magazynu i z trudem wyciągnęła obraz Espinosy, po czym resztę popołudnia spędziła na pakowaniu. Dopiero potem zadzwoniła do firmy trudniącej się przeprowadzkami, by ktoś przyjechał następnego dnia i zapakował obraz w pudło, żeby przygotować całość do wysyłki na stały ląd.

Sklep z materiałami budowlanymi stanowił jedynie krótki przystanek na jej trasie do domu. Trzydzieści minut później stała w swojej sypialni, gdzie w mocnym świetle lampy widać było wszystkie pęknięcia tynku na ścianach i całą fałszywą krzykliwość żółtego koloru, z którym starała się żyć. Nie była Evie. Miała inny gust niż jej siostra czy też Julia. Kathryn przesunęła wszystkie meble na środek pokoju, wyjęła wałek i zaczęła malować sypialnię na niebiesko.

Dwaj mężczyźni w strojach firmy przewozowej zdjęli zawierającą obraz skrzynię z ciężarówce zaparkowanej obok lincolna należącego do Victora. Harlan przekazał dostawcom wskazówki, jak dotrzeć na strych. Victor odwrócił się i stanął przed jedyną wolną ścianą, na której można było powiesić dwa zaginione obrazy Rachel. Serce mu waliło i wrzała krew, powodując niemalże zawroty głowy, tak podobne do tych, które czuł, kiedy byli razem. Czas nie wymazał głębokich wspomnień związanych z Rachel.

Spotykali się w budynku podobnym do tego, ze zgrzytającą windą towarową i widokiem na posępny krajobraz przemysłowy Los Angeles. Kiedy jednak przebywało się wewnątrz tego odludnego lokum, cały świat przestawał istnieć, gdyż nie było tam żadnych wewnętrznych ścian. Pomieszczenie na planie kwadratu nie miało okien, było tam jedynie ustawione na drewnianej podłodze łóżko, a obok znajdowała się otwarta łazienka ze stalowym prysznicem, ubikacją i stojącą umywalką. To wszystko razem wzięte sprawiało wrażenie celi. Przez ponad dziesięć lat sypiali ze sobą w pomieszczeniu bez światła dziennego, widoku na błękit nieba czy słońce. Ta sytuacja wyraźnie obrazowała to, jak wiele mieli do stracenia.

Rachel była dla niego zarówno namiętnością, jak i trucizną. Te dwie dusze kierowały się pożądaniem, władzą i czymś, czego żadne z nich nie umiało nazwać. Oboje starali się kontrolować drugą osobę, a jednak żadne z nich nie mogło odejść i trzymać się z daleka.

- Już po wszystkim, Victorze.

Jej głos był zawsze pozbawiony emocji, kiedy mówiła te pełne zdecydowania słowa. Ta opanowana Rachel w niczym nie przypominała płonącego ciała, które jeszcze kilka chwil wcześniej znajdowało się pod nim. Serce Victora nadal waliło po odbytym stosunku. Ona leżała obok odwrócona, a jej skóra była tak samo biała jak pościel i ściany. Wyraźne kości długiego, gibkiego kręgosłupa tworzyły ciąg kończący się na szyi, skąd rozchodziła się woń perfum Arpège i farb. Jej włosy kontrastowały ze skórą, swoją czernią przypominając mroczność łączącego ich związku. Victor widział odciski swoich palców na jej pośladkach, a kiedy usiadła i zapaliła papierosa, dostrzegł czerwonopomarańczową farbę za jej paznokciami, żółtą kreskę na łokciu i zieleń na palcu.

Kiedy Rachel odwróciła się od niego, wyglądała na kogoś odległego i samotnego, stanowiącego jedyny kolorowy obiekt w tym bezbarwnym pomieszczeniu. Ściana, którą wznosiła, by oddzielić ich od siebie, była wyraźnie widoczna, nawet jeśli zawsze nadchodziła chwila, kiedy ten mur zaczynał się kruszyć. Dym unoszący się z jej papierosa rozplýwał się w powietrzu. Victora zastanawiał fakt, że namiętność zawsze opisywano terminami pasującymi do ognia - „rozżarzona do czerwoności”, „tłąca się”, „buchająca”. Ogień można było jednak zawsze zdusić.

Rachel nachyliła się nad nim, wcisnęła mu papierosa do ust, potem wstała i założyła przez głowę swoją sukienkę.

Nienawidził smaku tytoniu, wrzucił więc papierosa do stojącej na podłodze szklanki zawierającej whiskey z wodą.

- Wychodzisz

. -Tak.

- Rozumiem. A więc dostałaś to, po co przyszłaś.

- Tak samo jak ty. - Wsunęła buty i spojrzała na niego z góry.

- Sądzę, że tak.

Kłamstwo brzmiało bardziej wiarygodnie, kiedy wypowiedano je na głos. Victor był znakomitym łgarzem.

Rachel wzięła swoją torebkę, po czym wrzuciła do niej papierosy i zapalniczkę.

- Chciałabym z tym skończyć.

- Pragniesz tego tylko dlatego, że w ten sposób mogłabyś pokazać mi, że nie mam nad tobą żadnej władzy. Nie powinnaś się martwić, moja droga. W naturze ludzkiej leży skłonność do uporczywego trwania przy czymś.

- Ja uczepiłam się nieodpowiedniej rzeczy.

- No to odejź. Nie uda ci się jednak utrzymać z dala.

- Tobie też nie, Victorze. - Otworzyła drzwi z zamiarem wyjścia, ale jeszcze się odwróciła. - Nie kocham cię.

Victor do perfekcji opanował sztukę ukrywania delikatnych uczuć.

- Wiem. Stanowimy dobraną parę, bo ja też nie potrafię nikogo pokochać - powiedział, po czym przez krótką chwilę spoglądali na siebie, widząc nagą prawdę pomimo wszystkich kłamstw.

Wiszące nad nim fatum sprawiało, że pragnął miłości w sposób zbyt destrukcyjny, a do tego potrzebował jej niczym powietrza. Od chwili

śmierci Rachel nie było dnia, by nie marzył o spędzeniu z nią jeszcze kilku chwil. Nawet teraz, po upływie tylu lat, kiedy stał na poddaszu otoczony przez niemal wszystkie jej dzieła, jakaś część jego osoby znajdowała się daleko stąd. Nie żałował, że powiedział synowi prawdę - nie potrafił zmusić się do wrócenia do tej sprawy. Rozpaczał tylko nad tym, że postępując w taki sposób, stracił na zawsze Rachel.

Przeżywając jeszcze raz dawne wydarzenia, stał przed ostatnią pustą ścianą, póki winda towarowa nie dojechała ze stukotem na najwyższe piętro. Przytrzymał otwarte drzwi, kiedy dostawcy wnieśli obraz, wyjęli go ze skrzynki i oparli o ścianę. Victor zdał opakowanie dopiero wtedy, kiedy na ulicy ucichł odgłos oddalającej się ciężarówki.

Samotnie spoglądał na obraz z wyciętym centralnie wielkim X, przez co płótno zapadało się w środku. Owładnęło nim dziwne uczucie - było to coś pomiędzy szokiem, wściekłością i zdziwieniem. Czując zawroty głowy, w milczeniu opuścił strych. Było mu bardzo gorąco, miał wrażenie, że płoną mu włosy i głowa - mógłby przysiąc, że czuje zapach dymu. Wgramolił się na tylną kanapę samochodu.

- Zawieź mnie do domu, Harlan.

Zanim znaleźli się na autostradzie, Victor zadzwonił z radiotelefonu do swojego prawnika.

- Kto sprzedał ci ten obraz?

- Coś nie tak?

- Nie jestem pewien.

Prawnik po chwili podał informację.

- Właściciel chciał, by pieniądze przekazać na cele charytatywne.

Chodziło o Fundację Pamięci Jimmy'ego Peytona.

- Zadzwoń do ciebie później. - Victor rozłączył się, czując mdłości i nie mogąc nabrać tchu. - Jimmy Peyton i the Fireflies - powiedział na głos. To była nazwa, o której po raz ostatni myślał kilka dni po tamtym wypadku. Peyton. Peyton. Ostatnia dziewczyna Cale'a nazywała się Laurel Peyton. Jimmy Peyton i the Fireflies. Laurel Peyton. To jednak niemożliwe. Jej rodzina nigdy nie pozwoliłaby na taki związek. Victor nie troszczył się o sprawdzanie jej, ponieważ ta dziewczyna była mało ważna. Cóż za ironia, że samo jej nazwisko mogło sprawić, że zostaliby rozdzieleni.

Jednak obraz najwyraźniej został zniszczony z rozmysłem. To było ucieleśnienie ich zniszczonego życia, ich złamanych dusz. Strzępy kłamstw, którymi karmili się, wmawiając sobie, że to prawda. Victor opuścił szybę, gdyż powietrze zrobiło się duszne i nieruchome.

- Harlanie, zwiększ dopływ powietrza. - Victor poczuł dziwne, ostre uderzenie w prawy policzek. To odczucie przez chwilę krążyło, by minąć w chwili, kiedy zdrętwiała mu cała twarz. Starszy pan poczuł w ustach metaliczny posmak.

- Co pan mówił, panie Banning?

- Zwiększ dopływ powietrza. Nie mogę oddychać.

W swoim umyśle usłyszał te słowa, ale z jego ust wypłynął jedynie przytłumiony bełkot. Imię kierowcy zabrzmiało jak coś w rodzaju „Szzzzzluban”. Na obrzeżu pola widzenia Victora pojawiła się biel. Chwilę później całe otoczenie zaczęło znikać, więc zamknął oczy. Wszystko było gorące i wirowało.

Gdy ponownie otworzył oczy, samochód stał, a Harlan nachylał się nad tylnym siedzeniem, trzymając dłoń na ramieniu pracodawcy.

- Nie rozumiem pana.

Powietrza - pomyślał Victor. - Jest tak gorąco. Potrzebuję powietrza. Jednak jego usta nawet nie drgnęły.

W piątek po południu Jud zadzwonił do Cale'a z informacją, że Victor miał wylew. Chłopak potrzebował ponad godziny, by dotrzeć z uczelni w Los Angeles do szpitala w Santa Ana. Cale prosto z dyżurki pielęgniarek ruszył na OIOM, gdzie jego dziadek leżał podpięty do monitorów i kroplówek. Twarz starszego pana wyglądała jak groteskowo biała maska - połowa przypominała Victora, którego znał, z wyraźnymi kośćmi i mocnymi mięśniami, druga połowa wydawała się martwa, tak jakby mięśnie i kości zostały rozgniecione. Skóra pacjenta była szara, włosy wilgotne od potu, a on sam leżał nieprzytomny.

Jud stał przy oknie z rękami w kieszeniach spodni od garnituru i z wyrazem zdenerwowania na twarzy, najwyraźniej nie mając pojęcia, co powiedzieć. Cale nie wiedział, czy przyczyną takiego zachowania był ich dziadek, czy też on sam. Nie widział brata od tego dnia, kiedy Jud przyszedł do niego na uczelnię po swoiste rozgrzeszenie.

- Co się stało?

- Byli na autostradzie. Harlan powiedział, że Victor zachowywał się bez sensu - opuszczał szyby i bełkotał. Kierowca zadzwonił do jego lekarza, a ten zasugerował, by nie wzywać karetki, tylko przywieźć go prosto do szpitala. Jak się obudzi, będą musieli wykonać następne badania. Nie może mówić, ale wylew go nie zabił.

Cale nic nie powiedział. Jud stał przy oknie. Ich dziadek leżał na łóżku, a ich obydwu dzieliła przepaść pełna bólu.

- Skoro już tu jesteś, muszę wykonać kilka telefonów. - Jud skierował się do drzwi.

- Do Laurel? - Cale nie zdołał się powstrzymać.

- Nie. - Jud odwrócił się w stronę brata. - Nie wiem, gdzie ona jest.

Wszystko porzuciła - mieszkanie, szkołę, restaurację... Jej matka mówi, że nie wie, gdzie jej szukać. Uważa, że Laurel nie chciała wchodzić między nas dwóch.

- Na to jest już trochę za późno.

- Za tym wszystkim kryje się coś więcej, niż ci się wydaje. Starszy brat miał przegrany wyraz twarzy i było to coś dziwnego - taka mina do niego nie pasowała.

- Próbowalesz w Seattle?

- Zatrudniłem kogoś, kto jej tam szuka. Sądzę jednak, że ona nie chce, żeby ją znaleźć. - Jud otworzył drzwi. - Idę do Harlana.

Kiedy Cale został sam, przyjrzał się karcie Victora. Były tam wyniki badań. Wylew był poważny, ale dziadek miał szansę z tego wyjść. Cale otarł rogiem prześcieradła ślinę ciekącą z ust dziadka. Starszy pan z obrzydzeniem spojrziałby na coś takiego.

Pytanie: czy Victor będzie taki sam? Dotychczas tryskał siłami i zawsze chętnie zamieniał w piekło życie wszystkich w koło. Cale chciał nim gardzić, ale łatwiej było żywić do niego nienawiść, kiedy nie leżał tak żaloszny i nieruchomy, niczym jedna z tych ogłuszonych mew, które ratował w dzieciństwie. Chłopak dotknął ręki dziadka, a starszy pan otworzył oczy i starał się coś powiedzieć. Skrzywił się, gdy rozległy się jedynie gardłowe odgłosy.

- Nie rób tego, Victorze. Wezwę kogoś.

Dziadek złapał rękę Cale'a i nie chciał go puścić, więc chłopak sięgnął ponad nim i nacisnął przycisk wzywający pielęgniarkę. Kiedy

przyszli zabrać Victora na badania, siostra musiała siłą rozginać palce pacjenta. Chwilę później Cale został w pomieszczeniu sam, z zaczerwienionymi kostkami dłoni, czując pulsowanie w ręce. Ku swojemu przerażeniu zaczął płakać - był to głęboki szloch, którego nie mógł powstrzymać. Ta rozpacz wzbierała w jakimś odległym, pustym miejscu, a teraz złamała jego ciało, skradła mu oddech i całkowicie go opanowała. Opadł na krzesło przy łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

Minuty mijały niepostrzeżenie, póki Jud nie dotknął ramienia brata. Cale potrzebował jeszcze trochę czasu, by się opanować, ale nawet kiedy już to zrobił, między braćmi nie zawiązała się rozmowa. Poprzecinane żyły krwawiły w milczeniu. W końcu Cale otarł z zakłopotaniem oczy.

- Nie wiem, dlaczego to się stało.

- Przykro mi z powodu Laurel, Cale. - Jud nie zrozumiał brata.

- Nieważne. To już mnie nie obchodzi. Te słowa wyrwały się z jego ust nader szybko, jak zwykle w przypadku kłamstw. Cale wiedział, że będzie go to jeszcze obchodziło przez długi czas.

Część trzecia 2002

Mężczyzna jest coś wart wtedy, gdy wydaną bitwę rozpoczyna we własnym umyśle.

Robert Browning



Newport Beach, Kalifornia

Każdego tygodnia Cale Banning na jedno popołudnie porzucał swój gabinet zabiegowy, by pokonać osiemnaście dołków w Harborview Country Club. Do gry w golfa namówiła go jego żona, Robyn, jakieś dwadzieścia lat temu. W tamtym czasie długie godziny spędzane na operacjach kompletnie wyczerpywały jego koncentrację. Wracał do domu podenerwowany, a w wolne dni snuł się wśród rodziny bez żadnego celu.

- Cale, najdroższy... Wiemy, że nas kochasz. Twoi koledzy cię szanują, a pacjenci ci ufają, jednak tempo życia może cię zniszczyć. Na litość boską, idź pograć w racketball, piłkę nożną czy tenisa. Grzmotnij parę razy porządnie piłkę golfową. Zrób coś dla siebie.

W końcu na któreś urodziny żona i chłopcy podarowali mu zestaw kijów golfowych. Jud dołączył do nich i wręczył bratu kosztowną kartę członkowską klubu golfowego, mówiąc przy tym bratankom:

- Wasz tata spędził połowę dzieciństwa na ratowaniu rannych mew. Teraz może w wolnym czasie zająć się innym ptactwem, takim jak golfowe birdie* czy eagle**.

** Jedno uderzenie poniżej normy. ** Dwa uderzenia poniżej normy*

W tym tygodniu Cale grał jak zwykle z Loftym Collinsem, kardiologiem i kolegą ze studiów medycznych na USC. Prawdziwe imię jego przeciwnika brzmiało Karl, jednak w ciągu lat przyłgnęło do niego przywisko Lofty. Wzięło się ono stąd, że jednym uderzeniem kija potrafił posłać piłkę bardzo daleko i wysoko, gdzie wyglądała tak, jakby

zawieszona w powietrzu, oczekiwała na oklaski, nim spadnie z powrotem na ziemię. Collins machnął kijem.

- Stawiam sto dolców, że podetniesz za bardzo w prawo i piłka wyląduje wśród drzew.

- Przyjmuję zakład.

Cale wybił piłkę, a pięć minut później stał za gigantycznym drzewem eukaliptusa bez widoków, by powrócić na teren w pobliżu dołka.

- No cóż. - Lofty roześmiał się. - Teraz masz okazję posłać piłkę prosto w pułapkę.

- W pułapkę? Niech to szlag trafi... A ty mógłbyś przestać pisać z zachwytu.

Cale zamachnął się i posłał piłkę w miejsce, z którego od dołka dzieliły go jeszcze dobre trzy uderzenia. Przed czwartą był winien Loftyemu sześćset dolarów.

- Mam zamiar dać ci spokój, Banning. W grę wchodzi cała stawka. Jeśli uda ci się teraz, nie będziesz mi nic winien.

Cale spojrzał na obcy przedmiot, który trzymał w dłoni. Miał całą torbę kijów, a mimo to byłby szczęśliwszy, gdyby mógł rzucić piłką w stronę dołka.

- Pieprzyć pieniądze. Ta rozgrywka po prostu kompletnie mi nie wyszła.

- Chętnie wygrasz lub - jak kto woli - nie lubisz przegrywać. Coś ci powiem. Zamiast zakładać się o twoją kiepską grę założymy się o moją. Jeśli skończę ten dołek z wynikiem dwóch uderzeń poniżej normy, zgodzisz się zbadać jednego z moich pacjentów.

- Układanie harmonogramu moich wizyt pozostawiam Sharon.

- Nie chrzań.

- Zadzwoń do Madisona. To dobry chirurg.

- W przypadku tej osoby nie chcę Brada Madisona. Chcę, żebyś to był ty.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś najlepszy, dupku.

- Jestem najlepszym dupkiem? - Cale rzucił okiem na dołek. - Dużo ćwiczyłem.

- Cieszę się, że nie straciłeś poczucia humoru, nawet jeśli gdzieś zniknęła twoja odwaga.

Tu już nie chodziło o grę ani o krytykujących się wzajemnie dwóch przyjaciół. Cale stanął twarzą w twarz z Loftym.

- Co to, do diabła, miało znaczyć?

- Zmieniłeś się od śmierci Robyn.

- To prawda. Byliśmy małżeństwem przez prawie trzydzieści lat.

Tęsknię za żoną.

- Nie to miałem na myśli, dobrze o tym wiesz. Zgasł twój wewnętrzny ogień.

- Musi być jakaś niepisana zasada, według której ludzie, którzy nie stracili współmałżonka, mówią tym, którym się to przydarzyło, jak powinni się czuć, działać i radzić sobie.

- Jestem wystarczająco dobrym przyjacielem, by zignorować twoje słowa i powiedzieć, że byłeś jednym z najlepszych kardiochirurgów w okolicy. Nigdy nie sądziłem, że dożyję chwili, w której ktoś z twoimi zdolnościami do ratowania życia świadomie będzie odmawiał takiej pomocy.

- Spytaj moich pacjentów o ich życie. Od dawna nikogo nie straciłem.

- Od chwili, gdy zmarła Robyn.

- No cóż, w jej przypadku medycyna okazała się zawodna. -

Otoczające ich powietrze miało trochę ponad dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, nie było wiatru, bryzy od morza ani mgły. Jak okiem sięgnąć, rozciągało się błękitne niebo i świeciło słońce. W świecie, w którym nie było żony Cale'a, to wszystko wydawało się nie na miejscu. - Sam wybieram swoje operacje. Wszyscy to robią.

- Robyn była dumna z twojej pracy.

- Gdybyś nie był jednym z moich najstarszych przyjaciół, Karl, rozkwaślibym ci nos w taki sposób, że nawet Evanston nie zdołałby go zrekonstruować. - Cale zamachnął się kijem i patrzył, jak piłka szybuje w prawo. - Jestem w pułapce.

- Myślę, że tkwisz w niej już od dłuższego czasu, stary.

- Jestem cholernie dobrym chirurgiem.

Słowa Cale'a zabrzmiały zadziwiająco defensywnie.

- Byłeś cholernie dobrym chirurgiem.

- Dobra, dobra. - Cale podniósł dłoń. - Jesteś upartym draniem.

Przyślij mi kartotekę, a ja się wszystkiemu przyjrzę. Czy teraz się zamkniesz?

- Jasne. - Lofty złożył się do oddania uderzenia i wziął zamach.

- Jak nazywa się pacjent?

- King. - Collins wrócił do pozycji wyjściowej i przyglądał się dołkowi. - Pacjentka nosi nazwisko King.

Santa Ana, Kalifornia

Annalisa King kochała ojca, nawet jeśli czasem nie było to łatwe. Takie właśnie wrażenie miała w tej chwili, gdy jechała samochodem po autostradzie i z komórką przyciśniętą do prawego ucha słuchała jego niemającej końca tyrady.

- Masz talent, Annaliso. Jesteś moją córką - powtórzył po raz tysięczny w tym roku. Telefon komórkowy sprawiał, iż jego głos był mocniejszy i akcent wyraźniejszy. - Już ci to mówiłem. Pracując ze mną, za kilka lat będziesz miała własną restaurację. U Annalisy. Potrafisz sobie wyobrazić własne imię na szyldzie? Pomyśl, jak wyglądałyby okna z wytrawioną na szybach literą A.

- Nie chcę mieć własnej restauracji.
- Sądzisz, że jesteś zbyt dobra, by być szefem kuchni?
- Wiesz, że to nieprawda.
- Masz to we krwi. Marnujesz swój talent, wyrzucając go do kubła.
- Do śmieci, tato. Do śmieci.
- Do kubła ze śmieciami. O to przecież chodzi... Zmieniasz temat.

Jak twoja matka. Projektowanie kuchni... Obie jesteście szalone.

- King Design cieszy się dobrą renomą. Mama zaprojektowała wszystkie twoje restauracje.

- Musisz mnie posłuchać, *ma petite jeune*.

Chciała powiedzieć: „Nie jestem już twoją małą dziewczynką, a ty nie możesz mówić mi, co mam robić!”. On jednak wciąż mówił, bezustannie naciskając i chcąc osiągnąć swój cel. Nie potrafił wybaczyć jej tego, że wybrała własną drogę, rezygnując z tej, którą on dla niej przewidział. W jego przekonaniu przedkładała też matkę nad niego.

Ojciec w końcu przestał mówić i Annalisa nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi się po niej spodziewa.

- Kocham cię, tato. Straszne tu korki... Muszę kończyć. Do usłyszenia później, pa.

Wyłączyła telefon komórkowy i rzuciła go na otwartą aktówkę leżącą na siedzeniu pasażera. Słowa ojca najwyraźniej zostały wypowiedziane w celu wzbudzenia w niej poczucia winy. Teraz rozbrzmiewały w głowie dziewczyny niczym łomot głośnej muzyki, Annalisa otworzyła więc okno i podkreśliła radio.

Piętnaście minut później stała w windzie, żeby pokonać dziesięć kondygnacji w drodze na najwyższe piętro budynku BanCo. Nagle poczuła zawrót głowy, oparła rękę o ścianę. Nad jej brwiami pojawiły się kropelki delikatnego potu - dokładnie takiego jak ten, którego człowiek dostaje, mając niezbyt wysoką gorączkę. Oto co działo się z człowiekiem na skutek zdenerwowania.

W przeciwieństwie do swojej mamy Annalisa nie zamierzała czekać z założonymi rękami i patrzeć, jak Del Mar Company wygra przetarg na projekt Camino Cliff. Nic nie mówiąc matce, umówiła się na spotkanie z osobą, która wszystkim kierowała. Drzwi windy otworzyły się, ukazując delikatnie oświetlony, luksusowo wykończony hol. Dziewczyna zobaczyła również wytworną recepcjonistkę siedzącą za biurkiem - mebel miał kształt półksiężyca i wykończony był szczotkowanym chromem oraz polerowanym mahoniem.

- Jestem Annalisa King z King Design. Miałam umówione spotkanie z panem Banningiem.

Kobieta sprawdziła rejestr spotkań.

- Bardzo mi przykro, nie widzę pani na dzisiejszej liście.
- To spotkanie dotyczące projektu Camino Cliff.
- Ach, więc chce się pani spotkać z Matthew Banningiem... -

Sekretarka otworzyła kolejną oprawioną w skórę księgę. - Zgadza się. Proszę usiąść. Przekażę mu informację, że pani tu jest.

Annalisa usiadła na wygodnej sofie i założyła nogę na nogę, stukając czerwoną podeszwą swojego stylowego buta w wykonany ze szkła i chromowanych elementów stolik, na którego blacie leżały błyszczące numery czasopisma „Orange Coast”. Lampy z kloszami ze szkła murano rzucały miękkie światło na obite zamszem ściany, a sofa była wykończona kosztowną miękką tkaniną. Annalisa przechyliła się na bok i spojrzała za siebie - ujrzała różę *Miro* wznoszącą się na jakieś dwa metry. Wszędzie wokół widać było pieniądze.

Trzy miesiące temu King Professional Design złożyło ofertę dotyczącą nowego kompleksu wypoczynkowego, a dokładniej: planowanych tam siedmiu restauracji i dziesięciu profesjonalnych kuchni. To oznaczało kontrakt wart pięć milionów dolarów. Camino Cliff zajmowało tysiące akrów najlepszego terenu na wybrzeżu południowej Kalifornii - zaledwie kilka kilometrów od Pelican Point i luksusowego Ritz-Carltona. Pola golfowe projektowała firma Arnolda Palmera. Hotel i apartamenty, odpowiednio kosztowne, oferowałyby wspaniałe widoki na Pacyfik, a także najwyższej klasy centrum odnowy biologicznej. Restauracje miały proponować pełną gamę możliwości - od oryginalnej japońskiej herbaciarni i restauracji z sushi aż po wykończoną marmurami, zamkniętą pod szklaną kopułą jadalnię, oferującą wspaniałe widoki oraz najlepszą kalifornijską *haute cuisine*.

Annalisa liczyła, że uda jej się wyprzedzić konkurencję dzięki zbliżającemu się właśnie spotkaniu. Nie skierowała się do zarządu Del Mar Ranch Company, gdzie składali dokumentację, ale do firmy kontrolującej tamto przedsiębiorstwo - do BanCo.

- Pan Banning zaraz panią przyjmie.

Annalisa ruszyła za recepcjonistką długim korytarzem, wzdłuż którego znajdowały się biura oraz elegancka, przeszklona sala konferencyjna. Na chwilę zatrzymały się przed masywnymi drzwiami z palisandru, na których wyryto wizerunek przechylonej przez wiatr sosny kalifornijskiej, po czym obie weszły do środka.

- To pani Annalisa King z King Design.

Annalisa zatrzymała się z wyciągniętą dłonią, kiedy ujrzała mężczyznę wstającego zza biurka. Był młodszy, niż się spodziewała - wyglądał na niecałe trzydzieści lat i miał w sobie coś zniewalającego.

- Matthew Banning.

Uściskał jej dłoń i stał tam, a jego niski głos, ciemne włosy i niebieskie oczy sprawiały, że wyglądał jak ucieleśnienie tekstów piosenek o miłości. Był wyższy od niej o dobre piętnaście centymetrów, chociaż Annalisa miała na nogach szpilki od Christiana Louboutina z ośmiocentymetrowymi obcasami. Spojrzała na jego lewą dłoń i nie dostrzegła obrączki.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Jest pan taki młody - wypaliła. Roześmiał się szczerze.

- To samo pomyślałem sobie właśnie o pani.

- Jestem cudownym dzieckiem.

- Świetnie. Lubię pracować z błyskotliwymi kobietami. Proszę usiąść.

Nie wrócił za biurko, jak się tego spodziewała, ale oparł się o jego krawędź i skrzyżował nogi.

- Jeśli usiądę na tym fotelu, a pan będzie stał w taki sposób, będę miała wrażenie, że rozmawiam z Bogiem.

- Dobrze. Cieszę się, że ustaliliśmy prawidłowe relacje -odparł, udając śmiertelną powagę.

- A więc powinnam się modlić, jeśli chcę dostać kontrakt związany z Camino Cliff? — Starła się zachowywać swobodnie i podziękowała Bogu, że nie palnęła niczego o padaniu na kolana.

- Konkurencja jest silna.

- Wiem. Cuttler pracował dla Ritza, dla Palms w Indio oraz robił odnowę w Santa Ynez dla Ranches. Firma Rivertona miała kontrakty przy Pelican Point oraz hotelu w Cote de Casa. My zajmowaliśmy się pracami dla Megryl's Del Sol, Jonathans, Tommy Bahama's i Cutter's. - Sięgnęła do aktówki po portfolio firmy. Kiedy jednak uniosła wzrok, zobaczyła na jego twarzy ślady zaskoczenia. - Nic pan nie wie o naszych pracach.

-Nie.

Wstała i wyprostowała się, żeby wyglądać na trochę wyższą niż w rzeczywistości.

- W ogóle nie brał nas pan pod uwagę, jeśli chodzi o ten kontrakt.

-Nie.

- To zabawne, bo nie wygląda pan na kogoś, kto popełnia błędy. - Nie ruszył się ani nie odpowiedział. - Chcę dostać ten kontrakt, panie Banning.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego miałbym wam go dać. Był dobry. Poważny wyraz jego twarzy nie zdradzał absolutnie niczego.

- Może dlatego, że moja matka lepiej niż ktokolwiek inny rozumie funkcjonowanie restauracyjnego zaplecza? Potrafi pracować nawet z najbardziej wymagającym szefem kuchni. Sama zajmowała takie stanowisko w Camaroon.

- Czy mówimy o restauracji Berica Kinga w Los Angeles? -Zawiesił na chwilę głos. - King Professional Design... - powtórzył powoli. - Zakładam, że ta zbieżność nie jest całkiem przypadkowa.

Annalisa przywołała uśmiech na usta.

- Matka przez wiele lat radziła sobie z moim ojcem. Wciąż to robi, mimo że rozwiedli się dawno temu. W rodzinie Kingów znamy się na prowadzeniu restauracji i na projektowaniu.

- Cuttler i Riverton mają większe doświadczenie. Obie firmy funkcjonują na rynku od ponad dwudziestu lat. Wykonują większość wielkich projektów.

- Kiedy tu weszłam, powiedział pan, że jestem młoda. Skończyłam dwadzieścia dwa lata. Może jestem niedoświadczona, ale dorastałam w tej branży. Mam to we krwi. - Zacytowała swojego ojca, a Matthew Banning jej słuchał. To był dobry znak w dniu pełnym ryzyka.

- Jesteśmy małą firmą i na tym polega nasza przewaga -ciągnęła. - Będziecie mieli gwarancję, że skupimy się wyłącznie na tym projekcie, póki nie zostanie ukończony. Cała nasza uwaga poświęcona będzie wyłącznie waszemu zleceniu.

- Riverton proponuje niższą cenę.

- A pan w to wierzy? Nie odpowiedział.

- Nie ma innego sposobu na obniżenie cen niż zwyczajowe rabaty przy dużych zamówieniach. Nie istnieją żadne cudowne wyprzedaże, więc wszyscy płacimy tyle samo. Podejrzewam jednak, że Riverton powie wam, że może dostać jakąś zniżkę, a potem zawyży koszty gdzie indziej. Droższa o piętnaście procent stal nierdzewna, kilka centów więcej na oświetleniu, trochę wyższe ceny na materiały kamieniarskie. Dopuszczacie w kontrakcie możliwość przekroczenia kosztorysu o dziesięć procent, prawda?

- Zgadza się.

- Riverton i Cuttler przekroczą go i zbliżą się do tej granicy tak bardzo, jak tylko im się uda. Może pan zadzwonić do firm, dla których wykonywali poprzednie prace, i spytać, czy zmieścili się w kosztorysie. Odpowiedź może pana zdziwić.

Wciąż wyglądał na skonsternowanego. Annalisa wręczyła mu skompletowane wcześniej, błyszczące portfolio.

- Oto wykaz prac, które wykonywaliśmy. Może pan zadzwonić do zleceniodawców i spytać o nas każdego z nich. Nigdy nie przekroczyliśmy naszego wstępnego kosztorysu. - Wziął od niej portfolio i widać było, że zaczyna się zastanawiać. - Ani moja matka, ani ja nie składamy obietnic, których nie możemy dotrzymać. Nie będzie pan musiał przyjmować dziesięcioprocentowej poprawki. - Zagrała va banque. - Dajcie nam ten kontrakt, a będziecie mogli usunąć zapis dotyczący poprawki na przekroczenie kosztorysu.

- To pół miliona dolarów.

- Owszem.

- Ryzykowna propozycja.

- Nie składam obietnic, których nie mogę dotrzymać. - Podniosła aktówkę, wyjęła wizytówkę i wręczyła mu. - Proszę zadzwonić, gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania.

Wziął wizytówkę i wyprostował się.

- No cóż, z pewnością poruszyła pani kilka spraw, które muszę przemyśleć.

- W to nie wątpię - odpowiedziała z brawurą osoby niemającej nic do stracenia. Pozbierała swoje rzeczy i uścisnęła jego dłoń. - Chcę dostać to zlecenie.

- To widać.

- Nie muszę więc zajmować więcej pańskiego czasu. - Szła już w stronę wyjścia, ale zatrzymała się na progu. Banning przyglądał się jej nogom. Jeśli para kosztownych butów i krótką, zaprojektowaną we Włoszech spódniczka pomogą dostać to zlecenie, były warte każdego wydanego centa. - Nie podejmuj złej decyzji, Matthew.

Ruszyła w stronę windy, nie oglądając się za siebie. Kiedy drzwi windy zamknęły się za nią, oparła się o ścianę z walącym sercem, warstewką lepkiego potu na linii włosów i pod pachami. Niełatwo było walczyć o to, czego się chciało.

Surfside, Kalifornia

Laurel Peyton King dobrze wiedziała, że małżeństwo nigdy nie jest czymś łatwym, a czas weryfikuje prawdziwość każdego związku serc. Mimo to rozwód był dla niej ciężkim przeżyciem. W sprawach miłości poniosła porażkę - wyszła za mąż z niewłaściwych powodów, zbyt niedoświadczona i zraniona, a potem trwała długo w związku, podczas gdy powinna posłuchać własnej dumy i odejść. Po rozwodzie jej życie stało się

mniej skomplikowane, a ona sama zdała sobie sprawę, że bycie razem ze względu na córkę okazało się jeszcze jedną kiepską decyzją podjętą w imię miłości. Beric King był mistrzem kuchni i twórcą wszystkich ekstrawaganckich potraw podawanych na przyjęciach po ceremonii rozdania Oscarów. Potrafił być czarujący i pełen energii, gdy gotował coś w porannych programach kulinarnych w telewizji. Jego nazwisko widniało na zielonych markizach na słynnych ulicach noszących nazwy Hollywood czy Fairfax. Jako mąż sprawiał jednak, że wspólne życie przypominało gar z kipiącą wodą.

Jedyną rzeczą, którą Laurel chciała dostać po rozwodzie, był ich domek na plaży, ulokowany na skrawku lądu obejmującym tereny pomiędzy piaskiem a nadbrzeżną autostradą. Domy stały tam w jednym szeregu niczym książki na półce, ale ich wygląd kontrastował ze sobą tak, jak różnili się ludzie, którzy tworzyli Kalifornię.

Laurel i Beric odkryli swój szary domek z białymi wykończeniami zupełnie niespodziewanie. Zobaczyli go zaledwie kilka godzin po wywieszeniu na nim szyldu „Na sprzedaż” i natychmiast kupili. Wkrótce potem świeżo pomalowana weranda, zapełniona gigantycznymi donicami z pelargoniami i bujnymi niecierpkami, stała się bezpieczną przystanią Laurel. Będąc tutaj, znajdowała się obok wypieczonego słońcem kalifornijskiego piasku, a do tego słyszała odgłosy fal uderzających o plażę. Mogła również smakować unoszące się w powietrzu słone drobinki, a także przyglądać się jaskrawym zachodom słońca, podczas gdy nad jej ramieniem świecił już księżyc. Noce były tutaj zimne i ciemne, a światła gwiazd nie przyćmiewały lampy uliczne. Po zachodzie słońca niebo

stawało się ciemnogrnatowe i nie zmieniało się, póki nie zaczął się nowy dzień.

W tej krainie jednorodności, w której codziennie było dwadzieścia pięć stopni, gdzie wokół znajdowało się dwieście domów (cztery różne projekty i pięć wersji) i zbyt dużo wyprodukowanych w Niemczech białych kabrioletów sunących po niekończącej się autostradzie, jej własny kawałek wybrzeża nie wyglądał na dostosowany do otoczenia. Dzięki temu szerokiemu widokowi na Pacyfik Laurel odnajdowała tu samą siebie i żyła samotnie ze swoimi błędami.

W większość dni w porze lunchu opuszczała biuro, by wpaść do domu, zjeść jakąś kanapkę, zaczerpnąć trochę przesyconego solą powietrza i rzucić okiem na wiadomości. Dzisiaj lunch wypadł później niż zwykle - był już środek popołudnia, gdy z kanapką z tuńczykiem usiadła przed telewizorem, stojącym w kącie w kuchni. W dole ekranu na niebieskim pasku przewijały się nagłówki najnowszych wiadomości, podczas gdy dziennikarze zajmujący się prawem i eksperci zgromadzeni w studiu dyskutowali o przykuwającym uwagę społeczeństwa morderstwie, za które groziła kara śmierci. Bohaterem wrzawy medialnej był jakiś kierownik z Seattle, złapany przez policję niedaleko granicy. Mężczyźnie stawiano zarzut zamordowania żony. Pokazywano ujęcia z sądu, na których widać było rodzinę i dzieci oraz rzekome kochanki jak w makabrycznej kreskówce.

Kamera skupiła się na znajomej twarzy eksperta powołanego przez obronę.

- To sprawa o charakterze poszlakowym. Brak narzędzia zbrodni i konkretnych dowodów. Prokuratura ma przed sobą mnóstwo pracy.

- Ale wszyscy wiemy, że jest winny - wtrącił analityk i były prokurator, w którego głosie słychać było obrzydzenie i ustalony pogląd. - Ten człowiek zadzwonił do swojej kochanki dzień po odnalezieniu ciała jego żony i powiedział, że on sam bawi w Hongkongu.

- To, że jest kłamcą, nie oznacza jeszcze, że zabił żonę. Pomocnik prokuratora będzie musiał przenieść uwagę sądu na ofiarę. - Ekran telewizora wypełniło zdjęcie młodego prawnika. - Dziewięćdziesiąt procent spraw, w których oskarża Greg O'Hanlon, kończy się skazaniem podsądnego. Prokurator jest synem sędziego Patricka O'Hanlona, co potwierdza tezę, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Laurel wyłączyła telewizor, dochodząc do wniosku, że nie powinna go w ogóle włączać. Wyrzuciła swoją kanapkę do śmieci i pojechała z powrotem do biura w Irvine Business Park, w którym King Professional Design zajmowało południowo--zachodni narożnik czwartego piętra budynku.

- Dzwoniła twoja matka w sprawie najnowszej wystawy - powiedziała sekretarka, gdy tylko Laurel przekroczyła próg. - Chciała sprawdzić, czy mamy aktualne daty. Dlaczego ona nigdy nie pozwala, by ktoś z rodziny pojawił się na otwarciu?

- To jakiś przesąd. Całe lata temu zrezygnowałam z prób zrozumienia mojej matki.

- Kilka minut temu dzwoniła Annalisa. Będzie tutaj o wpół do piątej. Zajął się również rezerwacją biletów lotniczych i hotelu na targi.

- Świetnie - powiedziała Laurel z roztargnieniem, a potem położyła na uporządkowanym biurku Pat pokwitowanie wpłaty na konto. W swoim pokoju otoczyła się planami projektu. W końcu przestała się zmuszać do

pracy i otworzyła szufladę na akta w biurku. Gruba koperta w ostatniej teczce nie była otwierana od ponad roku - to rekord.

Listy w środku zostały nadane przez agencję detektywistyczną. Było tam również zdjęcie wysokiego młodego mężczyzny z jasnymi włosami, stanowił część jej młodości. Nagle jakiś gorzki smak wypełnił usta Laurel, zupełnie jakby ugryzła się w język. Minęło tyle lat, a ona wciąż nie mogła się uwolnić od wspomnień. Niszczarka do dokumentów znajdowała się za jej plecami, a obok stał kosz na śmieci. Spojrzała na jedno i drugie, a potem jak zwykle zamknęła kopertę.

Chwilę później drzwi otwarły się z impetem.

- Nie muszę uzgadniać terminu. Ona jest moją żoną!

Pat stanęła w drzwiach.

- Byłą żoną.

Do środka wsunął głowę Beric King.

- Czy nie możesz powstrzymać tej kobiety?

- W porządku, Pat. Wpuść go.

- Oczywiście, że to jest w porządku. - Beric popatrzył na sekretarkę tak, jakby była opadniętym sufletem.

Pat przewróciła oczami i zamknęła drzwi. Beric wygładził marynarkę i zrobił nachmurzoną minę, a potem zwrócił się do Laurel, ostrymi szarpnięciami naciągając mankiety koszuli.

- Powinnaś zwolnić tę kobietę.

- Dlaczego? Bo ty jej nie lubisz? -Tak.

- No cóż, masz pecha. Ona świetnie się spisuje.

Beric wydał z siebie jeden z pogardliwych dźwięków, których Francuzi używają zamiast powiedzenia komuś, że jest głupcem.

- Może dam jej podwyżkę.

- Zawsze próbujesz mi robić na złość.

- Mam w życiu ważniejsze rzeczy niż spędzanie dnia na zastanawianiu się, jak mogłabym cię zdenerwować. Zresztą doprowadzenie cię do irytacji jest niezwykle łatwe.

Usiadł na krześle i wygodnie się rozparł.

- Nie wiem, co takiego zrobiłem, żeby tak cię rozwścieczyć. Laurel ukryła twarz w dłoniach.

- Boże, proszę, nie dzisiaj.

Beric milczał, swobodnie przerzuciwszy ramię za oparcie krzesła. Założył jedną nogę na drugą i oparł but ze skóry strusia na kolanie. Ciemnorude włosy miał zaczesane do tyłu i spięte w długi koński ogon. Był w marynarce z mieszanki jedwabiu i lnu, którą teraz rozpiął, ukazując cienki, ciemny podkoszulek, i w dżinsach.

Laurel przez bardzo wiele lat starała się kochać tego mężczyznę.

- Po co tu przyszedłeś?

- Chciałem porozmawiać z tobą o Annalisie.

- W takim razie to z nią powinieneś się spotkać. Ona ma dwadzieścia dwa lata.

- Nie posłucha mnie.

- Mówisz o sytuacji, w której ona nie zrobi tego, co ty chcesz.

- Powinna pracować ze mną. Jestem jej ojcem.

- A ja jestem jej matką. Pracuje tutaj i całkiem dobrze sobie radzi.

- Marnuje swój talent.

Laurel spojrzała na byłego męża. Ranienie jej przychodziło temu człowiekowi niezwykle łatwo.

- Nasza córka ma więcej niż jeden talent.

- Gdy była małą dziewczynką, zawsze powtarzała: „Chcę być szefem kuchni tak jak ty, tatusiu”.

- Gdy miałam sześć lat, chciałam być postacią z kreskówki. Kiedy miałam dziesięć lat, chciałam być taka jak bohaterka filmu *Gidget*. W wieku dwudziestu jeden lat żadne z tych pragnień nie było już aktualne.

- Nie, w tym czasie byłeś już szefem kuchni, i to samo powinna zrobić Annalisa. Ty. Ja. Mój ojciec. Moja matka. Mój brat. -Beric wymachiwał rękami i mówił coraz głośniejsze. - Mówię jej, że ma to we krwi! Owoc na ziemi jest taki sam jak drzewo.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - powiedziała, w myślach dodając: „zupełnie jak w przypadku O'Hanlonów”.

- Właśnie to miałem na myśli. Annalisa jest moim jabłkiem. Chcę powstrzymać ją od zrobienia największego błędu w życiu.

- Doprawdy? - Spojrzała na niego z uporem. - Sądzę, że po prostu chcesz postawić na swoim.

- Tu nie chodzi o nasze małżeństwo, Laurel. Ten człowiek potrafił wszystko przekreślić.

- Nie, chodzi o naszą córkę. Musisz przestać ją napastować. Kocha cię, ale chce pracować ze mną. Nie zmuszam jej, żeby była częścią mojej firmy.

Wychylił się do przodu i szturchnął biurko jednym palcem.

- To dzięki mnie masz tę firmę.

Laurel również zbliżyła się do biurka i położyła na nim obie dłonie.

- A ty dzięki mnie masz Annalise.

Beric wyglądał w tym momencie na tak samo wściekłego jak ona. Gwałtownie wstał, odsuwając krzesło do tyłu.

- Widzę, że przychodzenie tutaj było błędem.

- Tak samo jak zwykle.

Zatrzymał się w drzwiach. Nadszedł czas na clou programu - jedną z sentencji pożegnalnych Berica.

- Nasza córka nic cię nie obchodzi.

- Wyjdź, Beric. Proszę. - Laurel machnęła ręką. - Idź... idź coś ugotować.

Ponownie wydał z siebie gardłowy dźwięk i wyszedł.

Laurel połknęła kilka tabletek na nadkwasotę, a potem obróciła krzesło w stronę okna. Rozjazd na autostradzie przypominał z oddali betonowy węzeł, za nim wznosiły się wysokie budynki z fasadami ze stali i szkła, okalające teren South Coast Plaza. Niebo miało tę żywą, niebieską barwę charakterystyczną dla Kalifornii. Późnopołudniowe słońce odbijało się niczym złocista kula w lustrzanych oknach wieżowca. Laurel pracowała w kuchni w restauracji na szczycie najwyższego budynku, niedługo po tym, jak sprowadzili się tu z Francji. Sama zdobyła tę pracę - w tamtych czasach nikt nie wiedział, kim jest Beric King. On jednak zmienił się bardzo, gdy tylko zaczął odciskać piętno na otaczającym go świecie. Umieszczał swoje nazwisko na wszystkim niczym Donald Trump *haute cuisine*. Ona użyła tej marki, by nazwać nią swoją firmę. Kiedy pierwszy raz powiedziała mu, że chciałaby założyć biuro projektowe, śmiał się z jej pomysłu. Teraz natomiast przypisywał sobie wszystkie zasługi. Powiedzenie, że to firma Laurel wypłynęła na fali sławy Berica, podziałało niczym wiadro zimnej wody wylane prosto w twarz.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. To była Annalisa.

- Tata już poszedł, prawda?

- Teren czysty.

- Słyszałam jego głos, jak tu weszłam, więc udałam się prosto do mojego pokoju. Musiałam wysłuchiwać go przez komórkę przez cały tydzień.

- Zawsze można poczekać, aż włączy się automat zgłoszeniowy.

- On dzwoni, dopóki nie zapełni mojej skrzynki.

- Nikt nie może zarzucić twojemu tacie, że nie stara się osiągnąć tego, na czym mu zależy.

Dziewczyna wydała z siebie ten francuski, gardłowy dźwięk.

Annalisa była jedyną dobrą rzeczą, jaką Laurel miała po byłym mężu.

- Twój tata mógłby zrezygnować. - Laurel zawahała się, a potem powiedziała to, co przyszło jej do głowy. - Może powinnam była nazwać tę firmę „Peyton Design”.

- Nie. Nazywam się King - powiedziała bezpośrednio Annalisa.

Laurel ledwie spojrzała na córkę. Z jej ciała zaczęło uchodzić napięcie, z którego obecności nawet nie zdawała sobie sprawy. W ich małżeństwie jednym z problemów było to, że Beric zawsze podkopywał jej wiarę w siebie.

- Przepraszam. To wszystko przez świeże rany i nadmiar dramatyzmu zaprezentowanego mimochodem przez twojego ojca.

- W porządku. Ty też jesteś na niego wściekła.

- Dokładniej rzecz biorąc, usilnie pracuję nad tym, żeby nie dać mu się kontrolować.

Pat przerwała im, przynosząc jeszcze ciepły faks.

- Dobre wieści od Jacka Colsona. Uznałam, że będziecie chciały to przeczytać.

Laurel przeczytała wiadomość z niedowierzaniem.

- Sprawdzają nasze referencje. - Przeniosła wzrok z Pat na Annalisę.
- Jack twierdzi, że zadzwonili do niego z Del Mar w sprawie naszej pracy. Biorą nas pod uwagę przy pracach nad projektem Camino Cliff. Dobry Boże!

- Oczywiście, że biorą nas pod uwagę. Jesteśmy najlepsi - powiedziała Annalisa z pewnością charakterystyczną dla młodych ludzi.

Laurel spodziewała się, że kontrakt padnie łupem jednej z większych, starszych firm. Realizacja projektu Camino Cliff była czymś tak pięknym, że aż niemożliwym. To przypominało kupno wygrywającego losu na loterii.

- Nie wierzę.

- Nie możesz ograniczać się do myślenia o małych rzeczach, mamó.

- Patrzę na wszystko realistycznie. Dzięki temu życie staje się bezpieczniejsze.

- Może i jest bezpieczne, ale ja wolę wygrywać - a nie dać się pokonać, bez podejmowania ryzyka. To sprawia, że życie staje się bardziej interesujące. - Annalisa podniosła się z miejsca. - Muszę wcześniej wyjść. Wybieram się na kolację.

Laurel nadal studiowała faks. Jack sugerował, że decyzja została już podjęta i Del Mar wybierze ich ofertę, ale Laurel nie chciała wierzyć, że to możliwe, i bała się o tym marzyć. Z marzeniami skończyła dawno temu.

- Mamó?

Laurel podniosła głowę. Annalisa stała w drzwiach.

- Tata nigdy nie patrzy realistycznie na życie.

24

W ciągu trzech dekad, które upłynęły od wylewu, Victor Banning pojawiał się na otwarciu każdej wystawy prac Kathryn Peyton organizowanej na stałym lądzie. Początkowo poruszał się na wózku popychanym przez Harlana, potem wykorzystywał chodzik, aż wreszcie zaczął chodzić z laską. Tego wieczoru opierał się na zawile rzeźbionym srebrnym przedmiocie, który ktoś mógłby uznać za dzieło sztuki. Tłumy ludzi otaczały oświetlone nisze, gdzie znajdowały się pokryte glazurą naczynia - chociaż biorąc pod uwagę ich wielkość, nierzadko sięgającą wzrostu człowieka, może lepiej byłoby użyć określenia „rzeźby z gliny”. Kolekcja nosiła nazwę *Mroczne miejsca* i zawierała takie dzieła, jak *Nocne niebo*, *Dżungle*, *Sekretna chwila* i *Serce*.

Victor przeglądał program wystawy, dopóki nie natrafił na wypowiedź artystki.

Artysta ma dwa życia. Jedno z nich toczy się w zwyczajnym świecie, drugie natomiast rozgrywa się w każdym stworzonym dziele. Jestem artystką od ponad czterdziestu lat i wykorzystuję ból życia, by tworzyć przedmioty zawierające w sobie przesłanie. Sztuka nie jest sztuką, jeśli nie ma nic do powiedzenia, przesłanie może pochodzić jedynie z ludzkiego doświadczenia.

K. Peyton

Kathryn stała z dala od tłumu, ubrana w coś niekonwencjonalnego. Z głośników rozstawionych po rogach płynęła irlandzka muzyka ludowa, taka, jaką słyszy się na ścieżkach dźwiękowych przydługich filmów, a

obsługa serwowała wyłącznie wino. Kiedy Victor podszedł do niej, Kathryn nie powiedziała ani słowa, jedynie spojrzała na niego z rezygnacją. Starszy pan wykonał laską gest obejmujący całe pomieszczenie.

- Za bardzo się starasz, Kathryn. Wzięła bardzo głęboki wdech.

- Nie wydawałeś mi się aż tak antypatyczny, kiedy nie mogłeś mówić.

Zawsze, gdy się spotykali, Kathryn krzyżowała ręce w geście obronnym. Ich rozmowy stały się częścią takich spotkań artystycznych przez lata. Wszystko zaczęło się wraz z jego pierwszym pojawieniem się na jej wystawie - miał wtedy sparaliżowane usta, bezwładną rękę i nogę, a jakakolwiek spójna rozmowa była wykluczona. W ciągu tych lat ich krótkie rozmowy nabrały większego znaczenia niż jakiekolwiek dzieło sztuki.

- Nie mogę dostać szkockiej - poskarżył się.

- Nie potrzebujesz jej.

- Alkohol sprawia, że ludzie pozbywają się swoich przyzwyczajień.

Koktajle prowokują ludzi do wydawania pieniędzy.

- Wszystko zostało już sprzedane, Victorze.

Nie próbował udawać zaskoczenia. Zamiast tego uniósł broszurę.

- Czytałem twoją wypowiedź w programie wystawy.

- Jest czymś nowym.

- Wiem. Czasami potrzeba wielu lat, by wyraźnie zobaczyć świat. Te słowa brzmią tak, jakbyś chciała mieszkać w pokoju na poddaszu.

Na jej złocistej skórze pojawiły się delikatne zmarszczki mimiczne. Z wyrazu twarzy trudno było coś wyczytać, wyglądała jednak na zamyśloną i nie odpowiadała.

- Klasyczny stereotyp cierpienia i artysty. Znałem kiedyś osobę, której sztuka rodziła się wyłącznie ze skandalu. - Przez krótką chwilę Victor poczuł coś zbliżonego do żalu. Kiwnął głową w stronę najbliższego dzieła, po czym popatrzył po całej sali. - Ta kolekcja jest imponująca. Dojrzałaś, Kathryn.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy powinnam ci podziękować?

- Nie, ale spoglądając na twoje dzieła, zastanawiam się, jakie męczarnie muszą wypełniać twoje życie.

Jej śmiech nie był ani trochę radosny.

- Sądzę, że akurat ty o męczarniach wiesz wszystko. Victor każdego dnia spoglądał w lustro i nie widział żadnego lekarstwa na smutek.

- Znam mroczne miejsca twojego serca.

- Potrafię to sobie wyobrazić, Victorze. Teraz muszę cię przeprosić. Jestem pewna, że chętnie wybierzesz się w miejsce, gdzie można dostać szkocką. Alkohol pewnie potrafi ulżyć umęczonej duszy, ja natomiast muszę utrzymywać kontakty towarzyskie.

Odeszła. Zostawiła go samego i podobnie jak przy innych takich okazjach nie spytała, dlaczego właściwie przyszedł.

W całym pomieszczeniu była tylko jedna fotografia - przedstawiała kobietę, która nigdy się nie zestarzeje. Bohaterka zdjęcia stała na piaszczystej plaży z synami i śmiała się w pogodnej chwili swojego krótkiego życia. Fotografia stała na rogu biurka Cale'a, by mu pomagać.

Zbyt często walczył z kolejnymi dniami niczym człowiek, który cierpi na amnezję po solidnym uderzeniu w głowę.

Popił tabletki przeciwbólowe zimną kawą bezkofeinową - chyba najgorszym napojem, jaki istnieje na tym świecie - i po raz drugi przyjrzał się kartotece pacjentki o nazwisku King. W trakcie wertowania papierów robił notatki, dopóki nie skończył mu się atrament w piórze Mont Blanc, prezencie od Robyn. Zaczął trzaskać szufladami, wmawiając sobie, że to dlatego, iż nie może znaleźć naboju z atramentem. W końcu odłożył pióro na biurko i przetarł dłonią twarz.

U jego żony zdiagnozowano raka we wczesnym stadium - guz miał rozmiar ziarnka grochu. Nie było mowy o chemioterapii. Robyn się udało - jedyne, czego potrzebowała, to naświetlania. Tak trwało, dopóki nie pojawił się następny guz, potem kolejny i jeszcze jeden. Koniec końców wpakowali w nią wystarczającą ilość chemii, by wykończyć raka, a także cień człowieka, który z niej został. Po jej odejściu Cale podnosił wzrok znad gazety i odzywał się do żony zgodnie z przyzwyczajeniem. Wychwytował kątem oka mignięcie jakiegoś żywego koloru i miał pewność, że to ona wchodzi do pokoju. W środku nocy odwracał się, by jej dotknąć, tak jak robił to przez wiele lat. Zamiast tego stwierdzał, że jest sam wśród poduszek, które w miejsce tropikalnej woni jej szamponu rozciągają zapach środków do prania.

Bardzo szybko śmierć, szanse procentowe i wszystkie statystyki z tym związane stały się ciężarem wywołującym ucisk na barkach, ilekroć badał pacjenta lub wchodził na salę operacyjną. Jego chęć do podejmowania ryzykownych operacji po prostu zniknęła. Chirurgów często krytykuje się za ich arogancję, ale tylko ktoś z niezwykle

wybijałym ego może mieć pewność siebie potrzebną do uwierzenia w to, że da się pokonać śmierć.

- Cześć, tato. - Jego młodszy syn, Dane, wpadł przez drzwi tak, jakby należało do niego to pomieszczenie, a może nawet cały świat. Ot, jedna z cech młodości.

- Będzie z ciebie świetny chirurg - powiedział mu Cale.

- Możliwe, jeśli zdołam kiedykolwiek opanować technikę wkłucia centralnego. Dzisiaj rano znów to skopałem i nie trafiłem w żyłę. Nie chciałbym być swoim pacjentem.

- Nauczysz się tego.

- Słyszę to za każdym razem, gdy trafiam w kość.

- Próbuj wbić się głębiej pod obojczyk. Ja przez całe życie nie potrafiłem zawiązać węzła na szwach. Próbuj dalej. Medycyna w większym stopniu opiera się na ćwiczeniu niż na talencie.

- Dzięki Bogu... w innym przypadku zostałemby skreślony z listy lekarzy.

To nieprawda. Jego złoty chłopiec był jednym z utalentowanych, młodych ludzi, którzy instynktownie odnajdowali się w medycynie, mieli sprawny umysł pozwalający na stawianie diagnoz, a skomplikowane techniki przyswajali sobie zwykle z łatwością.

Dane podniósł stojącą na biurku fotografię.

- Pamiętam ten dzień. Mama była wściekła na ciebie - gdy próbowałeś znaleźć odpowiednie miejsce do idealnego ujęcia, wdepnąłeś w kanapki.

Cale roześmiał się, ale tylko dlatego, że to zrobił wcześniej jego syn. Zapomniał już o odciskach swoich pięt w chlebie i reakcji żony. Umysł podsuwał mu jedynie idealne wspomnienia.

Dane odstawił zdjęcie i przyjrzał się podświetlarce.

- Co to takiego?

- To ty mi powiedz. - Cale wstał i oddał do dyspozycji Dane'a swój fotel. - Tutaj jest kartoteka.

Gdy chłopak przeglądał dokumentację medyczną, Cale przysiadł na rogu biurka, gdzie przez wychodzące na południe okno wpadały do środka jaskrawe promienie wiosennego słońca, nadając wszystkiemu kolor pożółkłej gazety. Cale odsunął fotografię od światła.

- Wygląda na to, że ma wszczepioną sztuczną zastawkę aorty. - Dane przekartkował dokumentację. - Operacja miała miejsce siedem lat temu. Podczas rutynowych badań kontrolnych wykryto możliwość występowania arytmii.

- Tu jest ostatnie echo serca. - Cale zinterpretował dla syna wyniki.

- Nie wiem, jak radzisz sobie z tego typu wyzwaniem dzień po dniu.

Cale nie przyznał się synowi, że ręce czasem zaczynają mu drżeć, że nie wie kiedy zniknęła potrzeba, by przytrzymać słabe i zniszczone serce. Nie opowiedział mu również, jak pewnego dnia sala operacyjna zamieniła mu się w coś przypominającego rzymski amfiteatr.

- Co zamierzasz zrobić?

- Potrzebuję więcej wyników badań.

Do pomieszczenia zajrzała sekretarka Cale'a.

- Dzwonił Matt. Zmienił miejsce waszego lunchu - chce spotkać się w Tommy Bahamas.

Cale spojrział na zegarek.

- Czy zmienił też godzinę?

- Nie. Chyba się spóźnicie.

- Cholera. - Cale zrzucił z siebie fartuch laboratoryjny, podczas gdy

Dane zatrzymywał wideo. Chwilę potem chirurg wręczył sekretarce dokumentację. - Zadzwoń do gabinetu doktora Collinsa i poproś, by zlecił zrobienie echokardiografii przez-przełykowej. Nie jestem pewien, czego dokładnie szukamy. -Cale wziął kluczyki. - Chodźmy, synu.

Czterdzieści pięć minut później weszli do Tommy Bahama's, popularnej restauracji w Newport Beach zlokalizowanej przy Pacific Coast Highway. To było jedno z tych modnych miejsc powstałych ostatnimi czasy, gdzie serwowano rybę przykrytą owocami oraz kawałki kurczaka gotowane z kawałkami pora w zalewie z sosu sojowego, wody, brązowego cukru i musztardy.

Dane rozejrzał się wokół i jęknął.

- Palmy i papugi? Ja chciałem tylko dobrego hamburgera, który nie krzyczałby, że został przyrządzony w szpitalnej jadłodajni. Do ideału brakowałoby mi już tylko zimnego piwa i telewizora nadającego program sportowy.

Matt był na tyłach restauracji i rozmawiał z jakimś mężczyzną ubranym w koszulę hawajską. Cale szturchnął syna.

- Twój brat już tu jest.

- Z kim on tam rozmawia? Czy to Carol Gilligan*?

Śmiali się bez przerwy, póki nie znaleźli się w boksie z Mat-tem i nie złożyli zamówienia. Dane odtrącił ręką liść palmy i zaklął, a brat spojrział na niego i spytał:

- Co się z tobą dzieje?

- Jeśli wsadzą do mojego piwa małą parasolkę, wychodzę.

- Zmień zamówienie i poproś o martini, braciszku, a może nabiją oliwki na patyczek ozdobiony plastikową małpką.

- Wpadłeś w dziurę czasoprzestrzenną. Przestałem zbierać takie patyczki po skończeniu dziesięciu lat. Co my tu robimy? Chciałem dostać półkilogramowy befszyk i kopę frytek... Jeśli pojawi się tu ktoś, kto mnie zna, będę musiał kryć się za kartą. Zaczekaj... - Dane odwrócił się w stronę brata. - Wiem, co to oznacza. Masz zamiar wyznać nam, że jesteś gejem. Zawsze uważałem, że jesteś za ładny.

- Bardzo zabawne - powiedział Matt, a potem przerwał na chwilę, gdyż kelner przyniósł zamówione potrawy. - Przyglądamy się ofertom na prace przy projekcie Cliff. Jedna z firm projektowych działa na tutejszym rynku. Ta kuchnia to jedno z ich dzieł - chciałem się temu przyjrzeć.

- Czy Jud widział to miejsce? - Dane rozejrzał się po pomieszczeniu. - Chciałbym tu być, kiedy on przyjdzie.

- Nadzoruję ten projekt i muszę wybrać podwykonawców. Interesuje mnie projekt kuchni, a nie wystrój wnętrza lokalu. Skłaniam się w stronę podpisania tego kontraktu z mniejszą firmą.

** Carol Gilligan - znana amerykańska feministka, ur. 1936.*

- Jud miał swoje powody, dla których oddał ci kontrolę. - Cale wiedział, że jego brat niczego nie lekceważy. - A ty chciałeś mieć swój własny projekt.

- To chrzest bojowy - powiedział Matt, ale Cale miał świadomość, że dla jego syna to coś bardzo ważnego.

Dane roześmiał się.

- Ponoć nienawidziłeś poczucia, że jedyną rzeczą, którą robisz, jest przytakiwanie.

- Owszem. Kiedy dostałem wolną rękę, powiedział mi, że jeśli rozpęta się piekło - co może nastąpić w ciągu tygodnia lub paru dni - nie będę miał na kogo zwalić winy.

- Powinieneś być wdzięczny, że to on jest twoim szefem, synu. Jud uczył się sztuki biznesu od Victora. Masz zdecydowanie więcej szczęścia.

- Skoro mowa o naszym znakomitym przywódcy rodu... -Dane przerwał i zeskrobał ze swojego hamburgera dodatek owocowy -... to stawiam sto dolarów, że na przyjęciu urodzinowym Victora wujek Jud pojawi się w towarzystwie kogoś poniżej dwudziestu pięciu lat.

Matt roześmiał się.

- Kolejna słodka młoda istotka, którą będziesz mógł mu podkraść, tato.

- Tamta miała trzydzieści lat i wcale jej nie podkradłem.

- Przez prawie cały wieczór rozmawiała z tobą, jak tylko usłyszała o mamie. - Dane wziął papierową parasolkę, którą przyozdobiono jego daniem, i wetknął w kanapkę brata. - Proszę bardzo. Nienawidzę ananasa.

- Minał zaledwie rok, odkąd ona straciła męża. Rozumiałem, przez co przechodzi.

Cale wcale nie był zadowolony z tego, że jego słowa brzmią, jakby się bronił.

- Taak, ale wujek Jud był nieźle wkurzony - rzucił Dane.

- Przez tydzień rozstawiał w pracy wszystkich po kątach -dodał Matt.

- Nie mogę mieć do niego o to pretensji. Przyszedł tam w towarzystwie zabójczej kobiety - takiej, za którą każdy facet dałby sobie uciąć jedno jajo

- a ona spędziła cały wieczór, rozmawiając z tobą w ciemnym kącie. On dla odmiany spędził go przy barze, udając, że nic go to nie obchodzi.

- Jud raz zabrał ją na kolację. Niczego między nimi nie było. - Cale poprosił o rachunek i dostrzegł spojrzenia wymieniane przez synów. - Tak samo jak niczego nie było między nami.

- Szkoda - rzucił Dane. - Mógłbyś zacząć inne życie, tato. Cale miał już swoje życie. Nie wiedział tylko, jak sobie z nim poradzić. Kiedy jego synowie skończyli jeść, powiedział:

- Muszę wracać do pracy. Matt położył dłoń na rachunku.

-Ja płacę, tato. I przyjmuję zakład odnośnie do towarzyszki Juda, braciszku. Sto dolarów.

- No to zakład stoi - potwierdził Dane i wstał. Matt otoczył go ramieniem i roześmiał się.

- Jud znów jest razem z Kelly. Chcesz zapłacić już teraz?

- Odwal się, Matt.

Na zewnątrz było zbyt gorąco. Typowy dla południowej Kalifornii upał tworzył falujące obrazy nad asfaltem, postarzał skórę, rozjaśniał włosy, a także wysysał kolory z farb i fotografii stojących na biurkach. Cale założył okulary przeciwsłoneczne i ruszył w stronę swojego samochodu, spoglądając na wysokich, dojrzałych i samodzielnych synów idących przed nim. Patrząc na nich, poczuł się staro, przynajmniej do momentu, kiedy zaczęli udawaną walkę. Okładali się, śmiejąc i podjudzając nawzajem, tak jak robili to w czasach, gdy byli nastolatkami z wielkimi stopami i długimi, chudymi kończynami stanowiącymi elementy ciała, które jeszcze nie dorosły.

Teraz stali się mężczyznami, ale nadal się lubili. Cale przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do Juda. Przystanął obok samochodu i przyglądał się wyglądom swoich synów na parkingu. Bez Robyn, wspierającej się na jego ramieniu, wszystko wydawało mu się zupełnie niestosowne. Cale postanowił zabawić się w grę umysłową tych, którzy zostali pośród żywych - test pamięci. Co powiedziałyby Robyn, gdyby stała tu obok niego? Z najgłębszym żalem zdał sobie sprawę, że nie ma bladego pojęcia.

Jud Banning słyszał zaledwie połowę tego, co mówiła jego towarzyszka - padały słowa dotyczące kupna mieszkania w apartamentowcu. Kelly pracowała jako wydawca gazety - była długonogą brunetką mającą za sobą nieudany, pozbawiony potomstwa związek małżeński. Spotkali się z Judem wiele lat temu, dzięki Robyn. Przez jakiś czas umawiali się ze sobą, potem zerwali, ale sześć miesięcy temu spotkali się ponownie i wrócili do niezobowiązującego, komfortowego związku. Przy tak absorbującej pracy Jud wolał unikać zobowiązań. To, o czym marzył w czasach młodości, nie wyglądało już tak cudownie w średnim wieku, kiedy w ciągu jednego tygodnia musiał być na Alasce, w Nevadzie i Luizjanie, a do domu wpadał tylko po to, żeby - tak jak dzisiejszego ranka - opanować problemy ze związkami zawodowymi w Santa Barbara. Termin „śmiertelnie zmęczony” nabierał teraz zupełnie nowego znaczenia.

Różowe i złociste błyski nadmorskiego zachodu słońca wpadały do restauracji przez okno, oświetlając grawerowane srebro, delikatne kryształy oraz piękne, klasyczne rysy twarzy Kelly. Jud wpadł w pułapkę romantycznej kolacji - w ciągu ostatniego miesiąca coraz częściej spotykali się w takiej scenerii. Upił solidny łyk whiskey.

- Mieszkanie, nad którym się zastanawiam, znajduje się w twoim budynku.

- Dlaczego chcesz się przeprowadzić? - Odstawił kieliszek. Kelner zabrał sałatkę, której Jud nawet nie tknął.

- Zmiany są dobre. - Jej głos był zbyt radosny, co wywołało u niego ponure, acz niewyraźne przeczucia.

- Masz wspaniały dom i fantastyczne sąsiedztwo - powiedział. - Od ilu lat tam mieszkasz?

- Od dziesięciu.

- To twój dom, Kel. Wracasz tam każdej nocy. Obok mieszkają dzieciaki, które możesz wszędzie ze sobą zabrać. Ja ledwie znam swoich sąsiadów. Apartament sprawdza się w moim przypadku. Jedyнным ogródkiem, jaki chciałbym mieć, jest moja przystań.

Ona również nie jadła i utkwiała wzrok w swoim kieliszku do szampana. Spiralka wycięta z cytryny spoczywała na brzegu kryształu tak delikatnego, że wpadał w wibracje po dotknięciu. Jakikolwiek mocniejszy odgłos mógłby go po prostu stłuc.

- Lubisz swoich sąsiadów, otaczającą cię przestrzeń, trawniki i kwiaty.

- Kwiaty mogą rosnąć również w doniczkach na balkonie. Przez głowę przemknęło mu sto powodów, dla których jej plan był naprawdę kiepskim pomysłem.

- Tu nie chodzi o hodowanie kwiatów - powiedziała w końcu.

- Ani o kupowanie mieszkania - dokończył Jud, dopijając swoją szkocką.

Trzeba przyznać, że Kelly nie zaprzeczyła, jedynie potrząsnęła głową.

- Sądziłeś, że powinnam była się tego nauczyć z czasów naszego poprzedniego związku.

Gdzieś w oddali zatrąbił samochód, a z pobliskiego stolika dobiegł ich śmiech. Potem rozległo się stuknięcie srebra o porcelanę. Jud słyszał dochodzące z baru dźwięki fortepianu — piosenkę Billy'ego Joela.

- Podoba mi się to, że jesteś w moim życiu, Kel.

- Wiem o tym. Chcę jednak czegoś więcej - ja cię kocham.

Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń, było mu przy tym naprawdę przykro. Nigdy nie reagował dobrze na sytuację, w której został zapędzony do narożnika.

- Wiesz, że jesteś dla mnie ważna. Mamy czas. Czy coś jest nie tak z pracą? Może mógłbym jakoś rozwiązać ten problem?

Kelly jedynie spojrzała na niego z lekkim zaskoczeniem, po czym zaczęła się śmiać, dając mu do zrozumienia, że stanowił beznadziejny przypadek.

- Robyn mnie ostrzegała. Ja sądziłam jednak, że jesteś tylko pracoholikiem, który nie ma dla nikogo czasu.

- Prowadzę interes rodzinny.

- Trudno nazwać BanCo interesem rodzinnym, Jud.

- Firma zawsze była zajmującym miejscem pracy. Nie rozumiem, dlaczego Robyn miałyby cię ostrzegać.

- Nie ostrzegała mnie przed twoją pracą. Powiedziała mi, że nie zaangażujesz się w związek, w jakikolwiek związek. Nazwała cię typowym Jackiem Nicholsonem.

Nienawidził, kiedy nazywano go kimś typowym, nawet jeśli robiła to zmarła bratowa, którą uwielbiał.

- Miałam nadzieję, że z nami będzie inaczej. - Kelly wstała i odłożyła serwetkę na talerz. - Chcę żyć w dobrym związku i spędzić życie z kimś, kto będzie mnie kochał tak bardzo, jak ja jego. Zaslужuję na to, Jud.

On również wstał.

- Zaczekaj, Kelly. Porozmawiajmy o tym.

- Czy masz zamiar się ze mną ożenić?

- Nie wiem. Może kiedyś.

- Jud, proszę... Zaslужuję na prawdę. Minęło kilka sekund, zanim jej odpowiedział.

- Prawda wygląda tak, że w tej chwili nie chcę z nikim się żenić.

- Wiem. - Podniosła swoją torebkę. - Nie martw się. Nie kupię tego mieszkania. Ale proszę, więcej do mnie nie dzwoń.

Patrzył, jak odchodzi od niego, czarnowłosa, szczupła i elegancka, a jej czarna suknia wieczorowa ukazywała smukły kręgosłup i nagie ramiona. Wiedział, że jej włosy pachną hawajskimi kwiatami, a skóra ma woń dziecięcego pudru. Kelly sypiała na prawej części łóżka. Używała jego sportowych skarpetek, by ogrzać stopy, i pijała mleko z pepsi. Kochała go, ale on za żadne skarby świata nie chciał za nią pobiec.

Realista nigdy nie pozwala sobie na marzenia, ponieważ niespełnione pragnienia przypominają w jakiś sposób koszmar senny. życie kolejnymi nadziejami potrafiło być wyniszczające. W kolejne dni wkradały się strzępy rozważań: „co by było, gdyby...”. Umysł zaczynał wędrować rzadko uczęszczanymi ścieżkami i świat takiej osoby zbyt

szybko tracił kontakt z rzeczywistością. Tacy ludzie szukali po prostu nieosiągalnego ideału.

Wszystkie pokusy doskonałego świata zaatakowały Laurel, gdy King Design dostało kontrakt związany z Camino Cliff. W ślad za tą wiadomością przyszło w kopercie ze złotym tłoczonym nadrukiem wypisane na welinowym papierze zaproszenie; dla wszystkich podwykonawców związanych z projektem organizowano specjalne przyjęcie. To oznaczało szybką wizytę w salonie w celu kupienia dodatków oraz wypad z Annalisą po sukienkę i buty. W rezultacie Laurel włożyła klasyczną, czarną suknię wieczorową oraz modne szpilki. Potem swoim realistycznym umysłem wychwyciła ironię, kiedy uzupełniła ten zestaw o idealny dodatek - koszmarne drogie, brylantowe kolczyki, kupione po trzecim romansie Berica.

- Mamo?

Laurel usłyszała odgłos zamykających się drzwi wejściowych.

- Już idę - odpowiedziała. Spotkała się z Annalisą przed schodami. - Te buty mnie wykończą.

- Potrzebowałam czegoś seksownego.

- Naprawdę to potrzebuję ubezpieczenia na wypadek, gdybym wywaliła się gdzieś na twarz. Jeśli się nad tym zastanowić, te buty kosztowały więcej niż moje ubezpieczenie pokrywające leczenie. - Laurel weszła do garażu i zatrzymała się. - Chodzę niczym jakaś beznadziejna aktorka.

- Mamo...

- Zmienię te buty na czółenka.

- Przestań. Wyglądasz wspaniale. Dobrze chodzisz. Czy naprawdę chcesz zrezygnować z dziesięciu centymetrów, dzięki którym wyglądasz dwadzieścia lat młodziej?

- Jesteś okrutnym dzieckiem. - Laurel zdjęła buty i wsiadła do samochodu. - Nie będę w nich prowadzić. Zrobiono je z myślą o kobietach, które są wożone limuzynami.

Restauracja okazała się modnym miejscem, z kamiennymi kolumnami, szkłem i marmurowymi podłogami. Znaki „Prywatne przyjęcie” kierowały w stronę baru i na taras z widokiem na jasną plażę i błękitną wodę oraz dobrze znany zielony cień wyspy Catalina widoczny na horyzoncie. Kelnerzy serwowali z kryształowych tac przystawki oraz szampana. Goście zbijali się w grupki i tłoczyli przy barze.

Wysoki, przystojny młody mężczyzna w szytym na miarę garniturze odłączył się od jednej z grupek.

- Annaliso... - Dziewczyna wyglądała na dziwnie podenerwowaną, kiedy ujął jej rękę. Odwrócił się, a moment wydawał się znaczący, gdyż nie puścił dłoni Annalisy. - Pani musi być Laurel King. Widziałem pani prace. To rozstrzygnęło o losach kontraktu. Annalisa miała rację.

Nie pozwalając Laurel zaczerpnąć powietrza, jej córka rzuciła:

- Mamo, to jest Matthew Banning.

Na dźwięk tych słów Laurel poczuła się tak, jakby jakiś wampir właśnie wyssał z niej całą krew. Po głębokim wdechu pozbierała się na tyle, żeby nawiązać rozmowę, wziąć kieliszek szampana i zacząć go saczyć. Wydało jej się, że salę nagle wypełniła mgła.

Annalisa wyjaśniła wszystkie powiązania z BanCo, a Matthew Banning opisał Laurel spotkanie z jej córką. Kobieta miała wrażenie, że

ściany coraz bardziej ograniczają przestrzeń w pomieszczeniu i tlen w pobliżu po prostu przestał istnieć. Laurel chciała przyłożyć zimny kieliszek do czoła, ale jedyne, co mogła zrobić, to spojrzeć na twarz rozmówcy i zobaczyć inne oblicze. To był syn Juda.

Miał bardzo ciemne, kręcone włosy, w niczym nieprzypominające piaskowych czupryn znanych jej mężczyznom z rodziny Banningów. Jednak to pojedyncze słowo „Banning”, a także jego oczy, rysy twarzy, zarys szczęki i dołeczki widoczne, gdy się uśmiechał, sprawiły, że Laurel znalazła się z powrotem w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Zastanawiała się, jaka była jego matka. Kiedy się roześmiał, Laurel przypomniała sobie ten dźwięk. Czowała się bardzo dziwnie, stojąc tutaj po wielu latach jako postronny obserwator i patrząc, jak jej córka rozmawia z synem Juda.

Kiedy rzuciła okiem ponad ramieniem Matthew, w myślach podziękowała Bogu za każdy centymetr swoich obcasów. W drzwiach stał Jud, patrząc w stronę drugiego końca sali. W tym momencie przestała być już silną kobietą. Nie była przygotowana. Nie dostała na to czasu. Ze sztucznym uśmiechem na twarzy powiedziała:

- Przepraszam. Wyjdę na zewnątrz zaczerpnąć trochę powietrza.

Po wyjściu na taras odwróciła się plecami do pomieszczenia i mocno chwyciła za poręcz, bojąc się walenia własnego serca. Łapała długie, głębokie wdechy chłodnego powietrza, przesyconego zapachem morza. Słońce przesuwało się w dół na niebie, chociaż miało zajść dopiero za jakąś godzinę. Założyła okulary przeciwsłoneczne, a potem usiadła przy stoliku w odległym kącie, który wydawał się dobrą kryjówką. Czas mijał. Odgłos fal rozbijających się o brzeg odmierzał upływanie kolejnych minut.

Laurel zbyt szybko wypila swojego szampana i odstawiła pusty kieliszek. Obok przeszło kilka osób, ona jednak nadal spoglądała w kierunku morza. Nagle poczuła chłód i znalazła się w cieniu. Kilkanaście centymetrów od siebie ujrzała sylwetkę Juda, pozbawioną kolorów przez jej okulary przeciwsłoneczne. Trzymał w dłoniach jakiś bursztynowy koktajl oraz szampana. Ten drugi kieliszek postawił przed nią. I nagle odniosła niemal komiczne wrażenie *déjà vu*.

- Zobaczyłem panią przez okno - zaczął. - Zadałem sobie pytanie, dlaczego piękna kobieta siedzi samotnie na zewnątrz. - Przerwał na chwilę, po czym przedstawił się: - Jestem Jud Banning.

Nastąpiła chwila ciszy i moment olśnienia. Laurel nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Jud najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, z kim rozmawia.

Jud odsunął krzesło.

- Czy ma pani coś przeciwko temu, żebym usiadł? Blondynka wahała się tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy nie zostanie zaraz odesłany z kwitkiem.

- To interesujące, panie Banning, że w ciągu tych wszystkich lat twoje metody podrywu w ogóle się nie zmieniły.

Cholera. Musiał się już kiedyś z nią przespać...

Opuściła głowę, by zdjąć ciemne okulary. Włosy zasłoniły jej twarz. Chwilę później Jud odbył podróż trzydzieści lat wstecz.

- Nimfetka?

Laurel parsknęła śmiechem.

- Mamy drobny kłopot. Nie jestem już nawet w pobliżu wieku, do którego można by stosować to określenie.

- Zmieniłaś fryzurę. - Usiadł i upił spory łyk drinka.

- Tak. - Ze skrepowaniem dotknęła swoich włosów. - Dobrych kilka lat temu. Po rozwodzie potrzebowałam zmiany.

Ciągle była cudowna. Teraz wyglądała trochę bardziej miękko i ciężej, jak dojrzała kobieta o bujnych kształtach. To był ten rodzaj sylwetki, który sprawiał, że człowiek miał ochotę nie wychodzić z łóżka. A więc była rozwiedziona. Kolejny głupiec ją utracił. Jud nie wiedział, co powiedzieć.

- To niezręczne, nieprawdaż?

- Co ty tu robisz? To zamknięte przyjęcie. - Wypowiedział te słowa niczym bramkarz pilnujący terenu, gotów wyprowadzić ją za ucho.

- Dostałam zaproszenie. Wraz z córką prowadzimy firmę zajmującą się tworzeniem profesjonalnych kuchni. Twój syn zatrudnił nas, byśmy zaprojektowały je w jego restauracjach.

- Ja nie mam syna.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na jego lewą dłoń.

- Myślałam, że Matthew jest twoim synem.

- Jest starszym synem Cale'a.

- Cale ma synów?

- Dwóch.

- Czy on też tu jest? - rozejrzała się dokoła.

- Został lekarzem, Laurel. Kardiochirurgiem. Jej twarz zrobiła się blada jak papier.

- Naprawdę?

- Tak. Ukończył studia medyczne z najlepszymi wynikami na roku. - Skoro była tak zaskoczona profesją Cale'a, nie pamiętała go zbyt dobrze. Jud poczuł się zdradzony. - Zawsze mówił tylko o tym, że chce zostać lekarzem.

- Pamiętam - powiedziała Laurel tak miękko, że Jud jej wszystko wybaczył. Po chwili poczuł ukłucie zazdrości o brata.

Chciał dodać coś jeszcze, ale była to jedna z tych chwil, kiedy wokół robi się coraz głośniejsze i milion rzeczy, które człowiek powinien powiedzieć, ulatuje nagle z umysłu bez śladu.

Laurel wstała.

- Sądzę, że powinnam już iść.

Nagle obrazy Laurel i Kelly połączyły się w jedno. Kiedy zaczęła się oddalać, złapał ją za rękę.

- Zaczekaj, Laurel.

Zaskoczona, spojrzała znacząco na jego dłoń i na niego.

- Co ty wyprawiasz, Jud?

Nie trzymał jej mocno, ale nie pozwalał jej uciec.

- Mamo? - Olśniewająco piękna młoda kobieta z długimi, rudymi włosami podeszła do Laurel. Jud puścił jej ramię. -Szukałam cię.

- To moja córka, Annalisa King. - Laurel cofnęła się, by znaleźć się poza jego zasięgiem. - To Jud Banning.

- Jest pan wujkiem Matthew. Miło mi pana poznać. Dziewczyna użyła wyrazistej farby do włosów – odcienia z gatunku tych, który zwraca na siebie uwagę. Jednak to nie kolory przykuły jego wzrok. Dziewczyna miała twarz Laurel, delikatną i młodą, a jednocześnie jej uroda dawała rzadko spotykaną gwarancję, że ta kobieta będzie piękna przez całe życie. To samo pomyślał o matce Laurel, gdy kiedyś stanęła na progu domu Banningów i błagała Juda, by powiedział, gdzie znajduje się jej córka. Uderzyło go, że Laurel była teraz znacznie starsza niż jej matka w tamtej chwili. Minęło tyle lat, tamta chwila, będąca drobiazgiem w skali całego życia, nigdy jednak nie straciła swojej wagi.

Annalisa złapała matkę za rękę.

- Musisz wejść do środka. Czekają tam architekci, którzy będą projektować restaurację. Widzieli Megryl's i Cutter's. Teraz chcieliby cię poznać.

Laurel spojrzała na Juda i powiedziała jedynie:

- Do widzenia.

Jej córka, która stała metr dalej, odwróciła się ze słowami:

- Nie, mam, zczekaj. Pan Banning rwnieŹ powinien z nami iŹ. Z pewnoŹciĄ jest zainteresowany King Design, tym, jak pracujemy i kim jesteŹmy.

Jud zobaczył bġagalne spojrzenie Laurel i zwrócił się do jej córki:

- Idźcie same. Wierzę, Źe Matthew wybrał do tych prac najlepsze firmy. Chyba zostanę tutaj i popatrę na zachód sġońca. - DġoniĄ, w ktšorej trzymał szklanke, wykonał gest w stronę horyzontu, aŹ łšd zagrzechotał niczym garstka koŹci.

- Do widzenia, Jud.

Laurel odeszła z cšrkĄ i nie obejrzała się za siebie, nawet kiedy zniknęły za otwartymi, przeszklonymi drzwiami.

Mewy krĄżyły w gšrze i gġoŹno pokrzykiwały. Woda rozbijała się o skały pod kamiennym tarasem. Niebo było olŹniewajĄce, przesycone czerwieniĄ, purpurĄ i zġotem. Te barwy przysġaniały wszystko inne, nawet uczucia Juda. Widok w tym momencie nie ršźnił się zbytnio od tego sprzed wielu lat z pokġadu promu „Catalina”. To zabawne, Źe po ponad trzydziestu latach tak dokġadnie pamiętał tamten zachód sġońca. Odwrócił się, oparł o betonowĄ balustradę i obserwował Laurel przez delikatnie barwione szyby, popijajĄc swojego drinka. Dał jej uciec, ale nie miaġ zamiaru pozwolić jej odejŹć.

Matthew Banning zbyt dġugo trzymał Annalisę za rękę, bez pytania przynišł wġaŹciwego drinka, otarł się o niĄ w tġumie i w trakcie przeprosin poġożył dġoń na jej odkrytych plecach, adresujĄc przy tym swšj zabšjczy uŹmiech wġĄcznie do niej. To zabijaġo Annalisę. Gdyby coŹ takiego miaġo miejsce w barze, poszliby razem do domu.

Zamiast tego robiła wszystko, co mogła, by Laurel znajdowała się w pobliżu i działała na niego jak odstraszacz. W którymś momencie wyszła z sali i zobaczyła go na korytarzu. Jego mierzająca ponad metr osiemdziesiąt sylwetka wprost ociekała seksapilem i gwarantowała kłopoty. Matt rozmawiał właśnie z jednym z podwykonawców, skorzystała więc z okazji, by przemknąć obok niego i dopaść drzwi.

- Annaliso, zaczekaj. Przepraszam... - Odwrócił się z powrotem do mężczyzny. - Porozmawiamy w poniedziałek. - Matt ruszył szybko w jej stronę. - Szukałem cię. Tutaj wszystko powoli dobiega końca. Może miałabyś ochotę pójść gdzieś coś zjeść? Znam przytulne miejsce w pobliżu, gdzie serwują wspaniałe steki.

- Przyjechałam tu z mamą. Właśnie wychodziłam, by spotkać się z nią koło budki obsługi parkingu, ale jeśli jakaś grupa wybiera się coś zjeść, powiem jej o tym.

- Posłuchaj, staram się zaprosić właśnie ciebie.

- Masz na myśli randkę - powiedziała bez wyrazu. Roześmiał się i odwrócił wzrok, a potem potarł dłonią kark.

- Taaak, miałem na myśli randkę.

- Sądzisz, że to dobry pomysł?

- Jestem o tym przekonany od chwili, kiedy weszłaś do mojego biura i powiedziałaś, dlaczego powinienem was zatrudnić.

- Skoro jednak już to zrobiłeś, nie wydaje mi się, by umawianie się na randki było dobrym pomysłem.

- Zaprzecz, jeśli się mylę, ale mam wrażenie, że coś się tu dzieje...
Coś między nami.

Jego ciało znajdowało się ćwierć metra od niej, ale wyczuwała je przez skórę - odbierała to jako uderzenia malutkich cząsteczek energii, podobnych do unoszących się w powietrzu podczas burzy.

- Nie zaprzeczę temu, że coś się dzieje, ale to największy kontrakt, jaki kiedykolwiek dostała nasza firma, i powiem otwarcie - jest dla nas zbyt ważny. Powinieneś być szczęśliwy, wiedząc, że to dla mnie naprawdę istotne.

- Cieszę się, że poważnie traktujesz pracę, ale to nie ma nic wspólnego z zaproszeniem na kolację.

- Wydaje mi się, że oboje wiemy, że to nieprawda. Randki w pracy? To brzmi jak szukanie kłopotów.

- Właściwie nie pracujemy razem ze sobą.

- Nie przyjmuję tego argumentu.

- A powinnaś. Nic nie ma wpływu na moją pracę. Moje prywatne życie towarzyskie jest całkowicie odseparowane od interesów.

- To byłoby możliwe tylko w idealnym świecie, Matthew. Przykro mi. - Odsunęła się od niego o krok. - Nie mogę. Moja matka czeka. Do zobaczenia później. - Korytarz zdawał się ciągnąć kilometrami, a fakt, że Matt patrzył za nią, jedynie dodatkowo go wydłużał. Kilka osób wokół słyszało rozmowę i przyglądało się wychodzącej Annalisie. Na zewnątrz powietrze ochłodziło jej rozpalone policzki. Zamknęła drzwi samochodu i zapięła pasy.

Laurel nie spojrzała na nią - zły znak - i oparła ręce na kierownicy.

- W porządku, młoda damo - powiedziała z absolutnym brakiem wycucia chwili. - Musimy porozmawiać.

- Twój słuchacz nie ma wielkiego pola manewru. Strzelaj, mamó -
odpowiedziała dziewczyna.

Annalisa wyjrzała przez okno. Po przejechaniu kilku metrów Laurel zatrzymała samochód.

- Ty prowadź. Ja wypiałam szampana.

Właściwie mogła prowadzić, ale pozwoliła córce sięgnąć za kierownicą, dać jej szansę odpowiedzi na pytania, wzniecić kłótnię i zwalić wszystko na matkę. Laurel odezwała się dopiero wtedy, gdy od restauracji dzieliły je już dwa skrzyżowania.

- Powinnaś była mi powiedzieć, co zrobiłaś.

- Spotkanie w BanCo przyniosło nam ten kontrakt. Dlaczego do tego wracamy?

- Dlaczego na mnie burczysz?

- Ponieważ ktoś się właśnie do mnie przystawiał.

- Czy to coś złego?

- Po prostu denerwuję się. Nie chcę już o tym rozmawiać. Posłuchaj, mamó. Nigdy nigdzie nie zajdziemy, siedząc na miejscu i czekając, aż świat sam do nas przyjdzie. Żeby ruszyć do przodu, musimy zacząć walczyć. Musimy podjąć ryzyko. Czy kiedykolwiek pomyślałabyś o czymś rozmiarów Del Mar? Czy przyszłoby ci do głowy, by walczyć o ten kontrakt?

Prawda stała się bolesna, zwłaszcza wypowiedziana tak drwiącym tonem. Jeszcze bardziej przykra była myśl, że Annalisa uważa matkę za osobę pasywną. Matki i córki potrzebowały tak niewiele słów, by zacząć się nawzajem ranić. Do tego obraz wyłaniający się ze słów córki wcale nie pasował do wyobrażenia, jakie Laurel miała o własnej osobie.

- Nie - przyznała. - Nie zrobiłabym tego. Jednak nie sądzę, bym musiała się tym zajmować. Najwyraźniej mam od tego ciebie.

- Nie będę przepraszać. Jedna z nas musiała coś zrobić. Ciężarówka zajęła im drogę, a Annalisa wcisnęła klakson.

- O wiele łatwiej jest skoczyć na łeb na szyję w kłopoty, nie mając na karku bagażu doświadczeń błędów całego życia.

- Gdzie jest ten błąd? Nie mamy absolutnie nic do stracenia. Albo dostałybyśmy ten kontrakt, albo nie.

Ryzyko nie istniało. Jej córka miała rację. Laurel zadała sobie pytanie, jak często doszukiwała się ryzyka w sytuacjach, w których ono w ogóle nie istniało. Stała się osobą bojącą się wykonać krok do przodu. Gdzie ona właściwie pogrzebała samą siebie?

Laurel siedziała w milczeniu, utknąwszy w otchłani zwątpienia, podczas gdy wewnątrz pojazdu rozświeślały mijane neony przydrożnych przedsiębiorstw oraz reflektory innych samochodów. Wszystko to razem tworzyło grę kolorowych cieni na przedniej szybie, lusterku i ich sylwetkach. Atmosfera nabrała cech surrealizmu, wręcz cyrkowości, tak charakterystycznych dla filmów Felliniego oraz pełnych zakłopotania pierwszych chwil po tym, jak człowiek zostaje wyrwany ze snu.

Zanim Annalisa skrzyła w drogę prowadzącą na ich osiedle domków, atmosfera w samochodzie zgęstniała tak bardzo, że pełne milczenia powietrze dałoby się niemal kroić nożem.

- Cieszę się, że podjęłaś tę walkę - powiedziała Laurel do córki. - Musimy jednak mówić sobie nawzajem, co myślimy i co robimy. To podstawa partnerstwa w biznesie. Zaraz po wszystkim powinnaś była powiedzieć mi, co zrobiłaś, a nie wysyłać mnie tam dzisiejszego wieczoru

bez żadnej wiedzy. Zostałam wzięta z zaskoczenia. To nie jest dobry sposób na robienie interesów.

Zmierzyć się z Banningami bez ostrzeżenia? To koszmar. Annalisa nie wiedziała jednak nic o przeszłości matki. Tajemnice były ciężkimi, ponurymi zmartwieniami, które stanowiły balast przez całe życie, bardzo często powstrzymując kogoś od ruszenia przed siebie lub od poszukiwania szczęścia.

Annalisa wjechała na dróżkę za domem przy plaży.

- Powinam była ci powiedzieć. Jednak czasami, no cóż, sama nie wiem... to wygląda tak, jakbyś się bała, mamó. Nie chodzi tylko o interesy. To trochę tak, jakbyś bała się życia. -Wewnątrz garażu Annalisa wysiadła z samochodu i odwróciła się w stronę matki stojącej po drugiej stronie pojazdu. - Powiedziałaś, że musiałaś poddać się operacji serca, żeby wreszcie odejść od taty. Uruchomiłaś ten interes wbrew niemu, ale teraz wygląda to tak, jakbyś bała się podjąć kolejne kroki... Jakbyś utknęła w czasie, niezdolna do ruszenia się do przodu albo do tyłu. Naprawdę nie mam zamiaru cię krytykować, ale nie jesteś szczęśliwa.

- Ty dajesz mi szczęście. - Laurel odebrała od córki kluczyki.

- Nawet wtedy, gdy robię coś za twoimi plecami?

- Więcej tego nie zrobisz. - Laurel pokonała schody prowadzące do kuchennych drzwi, nadal czując się niezręcznie w swoich szpilkach. - Myślę, że szczęście bywa przeceniane. Z pewnością jest czymś ulotnym, a nie fundamentem, na którym należałoby opierać swoją przyszłość.

- Och, mamó. Co jest takiego strasznego w popełnianiu błędów? Musisz żyć.

Laurel spojrzała na córkę - była taka młoda, pewna siebie i stała na jednej nodze w szpilkach na obcasach jeszcze wyższych niż matki, swobodnie stukając drugim butem o nogę. Przybrawszy taką właśnie pozę, bez zajknięcia pouczała ją w sprawach dotyczących ryzyka i błędów, życia i szczęścia.

Przez Laurel przemówił czysty ból doświadczenia:

- Błędy potrafią nieodwracalnie zmieniać życie.

- Ale zmiany nie są czymś złym.

- Chciałabym ponownie być taka młoda i pewna siebie. -Laurel potrząsnęła głową i delikatnie roześmiała się z odrobiną czegoś przypominającego tęsknotę. - Chętnie rzuciłabym się w życie z szeroko otwartymi ramionami, gotowa na wszystko, nie zastanawiając się nad tym, że coś złego może się kiedykolwiek zdarzyć mnie lub komuś spośród tych, których kocham.

- Więc zrób to. Ruszaj! Właśnie tak... - Annalisa rozłożyła ręce i pobiegła - naprawdę pobiegła w tych butach — do swojego samochodu. - Dobranoc, mamo.

Laurel patrzyła, jak córka odjeżdża, a następnie zamknęła drzwi garażu. Poszła w stronę schodów, niefortunnie postawiła obcas i upadła na twarz. Poczowała ból promieniujący z ramienia, brody, biodra i kolana. Zaskoczona, leżała przez moment, potem zaczęła się śmiać, zakłopotana, mimo że była sama. Jednak już minutę później płakała. Zakryła głowę ramionami i szlochała, przytuliwszy twarz do zimnej podłogi. Minęła dobra chwila, zanim usiadła i zdjęła szpilki, pociągając nosem i nazywając samą siebie durną idiotką.

Człowiekowi trudno przyznać się do tego, że jest nieszczęśliwy, gdy podejrzewa, iż tak żałosne położenie jest wynikiem jego własnego błędu. Zupełnie jak ktoś zagubiony w lesie, Laurel podążała we wszystkich możliwych błędnych kierunkach. Jej marzenia wydawały się nieosiągalne. Dzisiejszego wieczoru zmierzyła się z jednym z nich, mając na nogach szpilki na dziesięciocentymetrowych obcasach.

Obcasy o takiej wysokości nie odejmowały jej jednak lat. Nie potrafiła stuknąć butami i odnaleźć drogi do domu. Dziesięć centymetrów ani trochę nie zbliżało jej do szczęścia. Te dziesięć centymetrów nie mogło wymazać przeszłości.

Seattle, 1970-1971

W okresie, który nastąpił po tym, jak Laurel opuściła Cale'a, Juda, matkę i Los Angeles, jej życie stało się pasmem kłamstw. Kłamstwa zaczęły się od stwierdzenia, że tabletki antykoncepcyjne są niezawodne. W dziewięćdziesięciu ośmiu procentach... Laurel mieściła się w tych pozostałych dwóch procentach i była w ciąży. W panice wróciła do Seattle, bo to miejsce było kiedyś jej domem. Okłamała matkę, mówiąc jej o przeniesieniu się do innej szkoły, podczas gdy naprawdę pracowała w kuchni jakiejś restauracji. Kłamała w sprawie ojca dziecka, kiedy nie mogła już dłużej ukrywać swojej ciąży. Nie powiedziała prawdy lekarzowi z kliniki, gdzie ją leczono. Okłamała prawnika zajmującego się sprawami przysposobienia, który zorganizował adopcję dla jej dziecka. Powiedziała temu człowiekowi, że sypiała z wieloma mężczyznami i nie wie, kto jest ojcem dziecka. W czasach wolnej miłości, częstych zmian partnerów seksualnych i życia w komunach dziewczęta wyjeżdżały, by dokonać aborcji w brudnych pokojach na tyłach barów i sklepów w Triuanie. Jedna

z dziewczyn z jej szkoły wykrwawiła się jednak na śmierć po źle przeprowadzonym zabiegu, a inna była zmuszona poddać się histerektomii.

Laurel bardzo bała się ciąży, ale jeszcze bardziej bała się przerwania jej. Tak naprawdę nie sądziła, by była zdolna do zrobienia czegoś takiego. W jej wnętrzu rosło życie. Inna kobieta wybrałaby aborcję, ale Laurel po prostu nie mogła. Kłamała więc, żeby przetrwać - była przerażona, młoda i miała świadomość, że jeśli któryś z braci Banningów dowie się prawdy, ten fakt zdruzgoce ich na zawsze.

Okłamywała nawet samą siebie, wmawiając sobie, że to, co robi, wcale nie jest takie straszne, że to najlepsze rozwiązanie. Jednak wyjście, które wydaje się najlepsze, nie zawsze jest najłatwiejsze. Nocami leżała w łóżku, czując ruchy dziecka i zastanawiając się, który błąd był gorszy.

Rodzice adopcyjni okazali się miłą parą - prokurator i jego żona byli po trzydziestce i usilnie starali się o potomstwo. Ta kobieta o mały włos nie umarła podczas ostatniego poronienia pięć miesięcy przed terminem. Laurel spotkała ich tylko jeden raz - w spojrzeniu, które kobieta skierowała na jej wydęty brzuch, dziewczyna natychmiast dostrzegła tęsknotę tak silną, że z trudem na to patrzyła.

Laurel pracowała w restauracji aż do ostatnich tygodni poprzedzających poród. Potem siedziała samotnie w swoim mieszkaniu i mówiła do dziecka. Opowiadała mu, jak wspaniałe będzie miało życie u O'Hanlonów, chociaż tak naprawdę starała się przekonać samą siebie.

Poród trwał długo, dwadzieścia jeden godzin. Może to właśnie była kara za grzechy? Na ścianie widniały ślady zostawione przez jej pięść, a właściwie przez fałszywą obrączkę, którą kupiła sobie i nosiła publicznie

aż do ostatniego miesiąca ciąży. W okresie poprzedzającym poród musiała nosić ją stale, gdyż miała tak spuchnięte palce, że obrączki nie dało się zdjąć.

Dziecko okazało się chłopcem ważącym nieco ponad cztery kilogramy. Przyszło na świat w zadziwiającej ciszy, tak jakby po całej tej karze Bóg okazał swoją litość. W pamięci Laurel nie zachowało się wspomnienie płaczu dziecka. Zatkła sobie rękami uszy, by nie słyszeć wydawanego przez nie kliwienia. Spytano ją, czy chce zobaczyć dziecko, ale ona zamknęła oczy i odwróciła głowę, obawiając się, że kiedy już na nie spojrzy, nigdy nie zdecyduje się go oddać. Kochała je wystarczająco mocno, by to zrobić. Zasługiwało na rodziców takich jak O'Hanlonowie, którzy tyle przeszli i pragnęli mieć dziecko, a ona sama nie czuła takiej potrzeby. Nie teraz. Nie tutaj. Nie w ten sposób. Chłopiec zasługiwał na matkę, która będzie na niego patrzeć tak jak Barbara O'Hanlon.

Laurel wciąż była obolała od szwów założonych po porodzie, gdy podpisywała dokumenty. Złożyła podpis, a prawnik wręczył jej kopertę.

- To od Barbary - powiedział. Laurel obróciła list w dłoniach.

- Nie musisz tego czytać.

Z dziwnym dystansem przyglądała się własnemu nazwisku, pięknie wypisanemu błękitnym atramentem. Widziała drobne żyłki biegnące od każdej litery swojego imienia. Koperta była gruba, wykonana z kosztownego, kremowego papieru. Nie została zaklejona - skrzydełko wsadzono po prostu do środka.

Droga Laurel,

nie wiem, czy potrafię wyrazić tym listem, ile znaczy dla nas ten cudowny dar życia. Nazwaliśmy chłopca Gregory Patrick O'Hanlon i będziemy otaczać go miłością.

Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, opowiem mu o tym, że kobieta musi być bardzo mocna i musi kochać swoje dziecko bardziej niż kogokolwiek na świecie, żeby dać mu szansę na lepsze życie i pozwolić, by ktoś inny kochał je każdego dnia w jego życiu.

Tak właśnie będziemy postępować.

Barbara O'Hanlon

Laurel zwinęła się w kłębek i szlochała z listem zaciśniętym w dłoni. Pielęgniarki zostawiły ją samą. Później któraś z nich przyniosła jej gorącą czekoladę i najnowszy numer magazynu „Glamour”. Laurel otworzyła czasopismo i zaczęła płakać, ponieważ poczuła się o wiele starzej od modelek widocznych na zdjęciach. Sprawy, o których tam pisano - randki i przyjęcia na studia, wybór długiej lub krótkiej fryzury, reportaż z wiecu antywojennego, legginsy i zamszowe buty - to wszystko było już dla niej nieważne. Nie wiedziała jednak, co określić jako ważne.

Pierwszego dnia po porodzie wielokrotnie wstawiała i kierowała się do sali noworodków. Być może chciała się po prostu pożegnać z dzieckiem, jednak nigdy tam nie dotarła. Doszła wprawdzie do końca korytarza, gdzie znajdowało się okno, przez które można było zajrzeć na tę salę, ale w jej polu widzenia nie zdążyły się jeszcze pojawić niemowlęta, gdy dostrzegła stojących tam, przytulonych do siebie O'Hanlonów, równocześnie śmiejących się i płaczących. Laurel wróciła więc do swojego pokoju, a następnego dnia do domu.

Tydzień później opuściła Seattle. Spakowała to, co chciała zachować, choć nie było tego wiele: koszula z frędzlami, dwa swetry, ponczo z alpaki i dzinsy zszywane z kawałków materiału. Zostawiła właścicielowi klucz od mieszkania, oddała starą odzież ciężową do domu opieki w dzielnicy uniwersyteckiej, przesłała pieniądze ze swojego funduszu powierniczego na konto w banku i wyjechała.

Na lotnisku kupiła tani bilet na lot na wschodnie wybrzeże. Tam na lotnisku JFK spędziła osiemnaście godzin na niewygodnym, twardym siedzeniu. Było to szczególnie dokuczliwe, gdyż nadal krwawiła. Poszła do damskiej toalety gdzie z zamkniętymi oczyma beznamiętnie zmieniła podpaszkę. O jedenastej w nocy wsiadła do samolotu linii PanAm lecącego do Paryża. Ze swojego miejsca przy oknie obserwowała znikające stopniowo światelka na ziemi. Zostawiała wszystko za sobą, jakby to było życie należące do kogoś innego.

26

Cale nigdy dotychczas nie upuścił żadnego narzędzia chirurgicznego, ale kilka dni temu na sali operacyjnej stracił panowanie nad sobą. Komplikacje nie były niczym nadzwyczajnym - w końcu w chirurgii rzadko pojawiała się rutyna. Cale zawsze miał jakąś wrodzoną zdolność dostosowywania się do sytuacji, a w razie pojawienia się niesprzyjających okoliczności do głosu dochodziły doświadczenie i opanowanie.

Operacja zastawki serca nie niosła ze sobą podwyższonego ryzyka - Dan Hardt nie osiągnął jeszcze podeszłego wieku, organ funkcjonował poprawnie, nie była to również kolejna operacja przeprowadzana na otwartym sercu. A mimo wszystko nie udało się uratować pacjenta. Cale poczuł, jak ogarnia go odrętwienie, jakby ktoś oddzielił go od własnego ciała. Po wielomiesięcznej walce z tym potworem we własnym umyśle we wtorek przywłókł go ze sobą na salę operacyjną. W efekcie trzydziestodwuletni ojciec trojga dzieci stracił życie.

W ciągu trzech dni po tym wydarzeniu Cale przeprowadził pięć udanych operacji. Wczoraj jednak był mimowolnym świadkiem szczerzej rozmowy członków swojego zespołu.

- Biedaczysko - powiedziała jedna z pracownic do kolegi. - Stracił ducha.

- Macie na myśli mnie? - spytał Cale, ujawniając swoją obecność. - Czy może Dana Hardta?

Kobieta zarumieniała się i skłamała, a mężczyzna zachował stoicki spokój. Cale słyszał jednak, jak rozmawiali o upuszczonych narzędziach chirurgicznych, o miesiącach, gdy rozstawiał wszystkich po kątach, będąc

w złym nastroju, o dniu, w którym tak rozzłościła go muzyka rockowa płynąca z prywatnego sprzętu grającego, że kazał go wyłączyć. I pomyśleć, że takie polecenie wydał doktor Banning, który często mył ręce przy dźwiękach piosenek Janis Joplin i Joego Cockera.

On sam nigdy nie uważał się za lekarza trudnego we współpracy, jednego z ludzi znanych jako tyrani, a jednocześnie geniusze. Zarówno w świecie medycyny, jak i wśród zwykłych ludzi utarło się przekonanie, że wybitne zdolności są nieodłącznie związane z temperamentem, przez co naganne zachowania stawały się możliwe do przyjęcia.

Cale siedział na krześle w poczekalni kolegi, wpatrując się w podłogę i wspominając tę chwilę, kiedy żonę zmarłego pacjenta ogarnęła rozpacz. Wyraz twarzy Sally Hardt prześladował go w lusterku wstecznym, gdy jechał ze szpitala do domu. Ten obraz pojawiał się również w jego głowie, gdy próbował zasnąć, a potem zobaczył go nawet w oknie jadalni w czasie uzgadniania menu na przyjęcie urodzinowe Victora.

- Wejdz, Cale. - Rick Sachs szeroko otworzył drzwi swojego gabinetu. To były drzwi, którymi się wchodziło. Gabinet opuszczało się innym wyjściem, prowadzącym prosto na parking, dzięki czemu pacjenci mogli zachować anonimowość. Sachs był wysokim i szczupłym mężczyzną, szanowanym psychologiem, specjalizującym się w pomaganiu lekarzom w kłopotach. Miał do czynienia z przypadkami wypalenia zawodowego, uzależnieniami, chorobami i zniedołężnieniem starczym. Niektórych pacjentów przysyłały tutaj działy administracyjne szpitali, gdyż byli oni po prostu kiepskimi lekarzami, nękanymi zbyt wieloma procesami sądowymi i obciążonymi licznymi skargami.

Rick usiadł naprzeciwko niego.

- Co cię tu sprowadza?

- Przypadek śmiertelny podczas operacji - powiedział Cale.

Spotkania poświęcone zgonom szpitalnym były cotygodniowym rytuałem we wszystkich szpitalach akademickich w całym kraju. Podczas takich dyskusji omawiano skomplikowane przypadki, operacje, które dały problematyczne wyniki, lub takie, w których wystąpił błąd w procedurach bądź diagnozie.

- We wtorek straciłem pacjenta i dostałem ataku na sali operacyjnej.

Upuściłem tacę z narzędziami chirurgicznymi.

Rick zapisał coś w notatniku.

- Czy coś takiego zdarzyło ci się już wcześniej? -Nie.

- Traciłeś już pacjentów.

- Tak, ale od ostatniego takiego przypadku minęło bardzo dużo czasu. Kilka lat.

Rozmawiali o procedurze, okolicznościach, prywatnym życiu Cale'a i jego bólu. Mężczyzna otwarcie płakał. Nawet gdyby mógł powstrzymać łzy, nie próbowałby tego robić. Stanowiły one dowód, że wciąż jeszcze coś czuje. Koniec końców spędził u Sachsa ponad godzinę i umówił się na kolejne spotkanie.

- Nie masz opinii osoby trudnej we współżyciu - powiedział mu psycholog. - Cieszysz się dużym szacunkiem, ale ten incydent nie pomoże ci w walce ze zwątpieniem w siebie, które odczuwasz.

Cale wysłuchał zapewnień Ricka. Na koniec zadał pytanie, którego postawienie wiele go kosztowało.

- Czy proponujesz, żebym zawiesił praktykę... przynajmniej na jakiś czas?

- Fakt, że sam do mnie przychodzisz, mówi mi wystarczająco dużo. Z pewnością coś musi się zmienić, ale w tym tygodniu przeprowadzałeś już kolejne operacje. To nie kwestia braku umiejętności, Cale, a ty nie jesteś Jacobem Wilsonem.

Jacob Wilson był szanowanym niegdyś chirurgiem, który odmawiał zaprzestania wykonywania operacji. W końcu musiano odebrać mu uprawnienia do wykonywania zawodu, bo jego nadpobudliwość doprowadziła do śmierci trzech pacjentów.

- Nie bierzesz narkotyków ani nie pijesz - ciągnął Rick. -Przeżyłeś ogromną stratę i czujesz, że zawiodła cię wykonywana profesja.

- Nie mnie, ale Robyn.

- Wykonywana profesja zawiodła ciebie, Cale, bo medycyna nie ocaliła twojej żony. Najwyraźniej problemem jest tutaj depresja, a ja nie mówię ci niczego, czego już byś nie wiedział. Depresji nie można samodzielnie zdiagnozować. Coraz więcej oczekujemy od samych siebie. Żyjemy w świecie, w którym często łyka się antydepresanty. Jesteś tylko człowiekiem, nawet jeśli pacjenci często widzą w tobie kogoś więcej, a ty wymagasz od siebie niemożliwego. Istnieje powód, dla którego ten zawód nazywa się praktyką lekarską - już sama nazwa wskazuje, że dalecy jesteśmy od doskonałości. Pojawiają się błędy, ale twoja reakcja na nie uległa zmianie. To właśnie tym musimy się zająć.

Ustalili termin kolejnego spotkania. Cale wstał, żeby skierować się do wyjścia.

- Jest jedno ważne pytanie, nad którym chciałbym, żebyś się zastanowił. Odpowiedź przedyskutujemy podczas kolejnej wizyty.

- Jasne. O co chodzi?

- Spytaj samego siebie, czy jesteś przygnębiony dlatego, że straciłeś pacjenta, czy dlatego, że zepsułeś statystyki.

W niedzielny wieczór Kathryn postawiła swoją walizkę na podłodze położonego przy plaży domu Laurel, po czym ciężko opadła na krzesło w salonie.

- Miło będzie dla odmiany przespać się w miejscu, które nie jest hotelem. Ciągle zapominam, jak męczące są takie wystawy.

- Nie wiem, dlaczego nadal je organizujesz - odezwała się Laurel z kuchni. - Zrobię nam jakąś herbatkę ziołową. Galerie przyjęłyby twoje prace w ciemno. Starzejesz się, mamo.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś. Nie widzę tego po moich obolałych nogach, słabnącym wzroku, siwych włosach i powyginanych palcach. - Roześmiała się, żeby złagodzić te ostre słowa, choć zgodne z prawdą. Okulary miała coraz mocniejsze, ręce często bolały ją po nocach, a do tego robiła błędy, gdy przygotowywała polewy, których używała od lat. - Nieustannie gubię klucze od mojego studia, a czasami po prostu gapię się na telefon, bo po prostu nie mogę sobie przypomnieć twojego numeru.

Annalisa, przechodząc, dotknęła jej ramienia.

- Ja mam dwadzieścia dwa lata, a wchodząc do kuchni, zapominam, po co się tam wybrałam. Wcale nie jesteś stara, babciu, a dzisiejszy wernisaż uważam za wspaniały. To nie było zwykłe otwarcie wystawy - uważam, że w tej sali czuło się jakąś energię, tak jakby te dzieła zaczynały

wibrować pod twoim wpływem. Widziałam respekt na twarzach ludzi i to, że twoje prace zmusiły ich do myślenia. Dyskutowali o nich. - Zrzuciła buty i przycisnęła do piersi małą dekoracyjną poduszkę. - Zastanów się. Żyjesz samotnie. Tworzysz w odosobnieniu. Wystawy to jedyna okazja, by zobaczyć własne dzieła oczyma innych ludzi. Zresztą ta kolekcja jest cudowna i zasługuje na to, by ją wystawiać.

- Przyznaję, że wystawy dostarczają mi jakiejś uzależniającej energii - powiedziała Kathryn. To mogło być również dowodem osłabienia jakiejś istotnej części jej osoby, gdyż nie miewała już tak euforycznych odczuć jak dawniej. Zbyt często czuła się pusta i pozbawiona sił. Jej córka mogła mieć rację. Była stara. - Może z tym skończę. Sama nie wiem.

- A może powinnaś robić to częściej - rzuciła Annalisa z cudowną przekorą.

- Dobry Boże, nie zachęcaj jej. - Laurel postawiła tacę z herbatą, ale nie usiadła. - A niech to... zapomniałam o cytrynie. — Przez ramię dorzuciła jeszcze. - Twoja babcia się wykończy.

Annalisa mrugnęła do niej.

- Babcia nie wygląda na zmęczoną.

Wnuczka Kathryn była pierwszą osobą, która ogarniała sens całości. Patrząc na nią, starsza pani miała dziwne wrażenie, że obserwuje działania własnego umysłu. Niektórzy ludzie wyznawali teorię, że pewne cechy przeskakują jedno pokolenie. Kathryn chętnie wierzyła w to, że ona i Annalisa są niemal takie same, a rude włosy wnuczki pochodzą właśnie od niej, a nie od Berica Kinga.

Między nimi dwiema zdarzały się lekkie tarcia, było także nieco podziwu ze strony wnuczki, nigdy natomiast nie dochodziło do osądów.

Laurel była zupełnie inna. Zbyt często zdarzało się, iż Kathryn wraz z córką krążyły wokół siebie na paluszkach. Na dodatek matka ciągle miała Laurel za złe jej ucieczkę do Francji, małżeństwo i wychowywanie Annalisy przez pierwsze lata w tak odległym miejscu. Stracony czas gdzieś się ulotnił. Nie dało się tych lat z powrotem włączyć do ich życia.

Laurel wręczyła Annalisie talerzyk z cytryną i usiadła.

- Nie chciałam cię krytykować, mamó. Po prostu wyglądasz na zmęczoną.

- I tak też się czuję - przyznała Kathryn. Jej głos wydawał się tak kruchy jak jej kości. Ciągle słyszała w uszach komentarze Victora Banninga, które ją irytowały. Nie podobało jej się myślenie o samej sobie w kategoriach stereotypu. Jej sztuka wywodziła się z bólu. Cierpienie było równoznaczne ze sztuką, takie niosła przesłanie. Sztuka bez przesłania wydawała się jedynie pustą retoryką.

Jednak takie podejście powodowało dla Kathryn pewien dyskomfort. To fatalnie świadczyło o dokonanych przez nią wyborach. Popijając herbatę z cytryną, zapadła się głębiej w poduszki. W całym pokoju porozkładane były jej wyroby - poustawiano je na stołach, na gzymsie i w oświetlonych wnękach. Duże, niedawno powstałe dzieło znajdowało się w jednym z kątów.

- Dziwne wydaje mi się, że mogę tutaj siedzieć i patrzeć na ewolucję, jaką przeszły moje prace. Nigdy nie zachowywałam ich wystarczająco dużo, by spojrzeć z dystansu. - Miała przed sobą retrospektywę swojej twórczości. - On miał rację. Dorosłam.

- Kto miał rację? - Annalisa i Laurel uważnie jej się przyglądały.

A więc wypowiedziała te słowa na głos?

- Pewien krytyk powiedział coś takiego podczas otwarcia wystawy - skłamała. - W początkowym okresie twórczości nie byłam dobra.

- To nieprawda, mamó - zaprzeczyła szybko Laurel z zaskakującą pasją w głosie.

Te słowa były tak niespodziewane, że Kathryn zamilkła na chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście, że to prawda. Miałam na myśli moje najwcześniejsze prace. Byłaś zbyt mała, by pamiętać cokolwiek z rzeczy, które stworzyłam przed śmiercią twojego ojca.

Laurel gwałtownie wstała.

- Chodźcie.

Kathryn i Annalisa wymieniły zaskoczone spojrzenia, ale Laurel już pięła się po schodach. Dogoniły ją w głównej sypialni, gdzie w powietrzu unosił się ostry zapach róż.

- Spójrz na te kwiaty. Te róże mają rozmiar mojej pięści. -Annalisa podeszła do stołu. - Czy to waza w stylu Baccarat?

- Tak wygląda - przyznała Kathryn. Dziesiątki białych róż i ciemnozielone liście wypełniały dużą wazę stojącą w pobliżu narożnego okna. - Ledwie widać plażę.

Laurel zdjęła z półki białe naczynie i pokazała je córce i matce.

- Chciałam, żebyście się temu przyjrzały.

- Kto dał ci te kwiaty, mamó? - Annalisa podniosła pustą kopertę ze znaczkiem kwiaciami.

- Wpadłam na kogoś ze starych przyjaciół.

- A więc to ktoś z przyjaciół. Co zawierał liścik? Laurel zamarła, ale po chwili szybko rzuciła:

- Życzenia powodzenia w interesach.

Matka zawsze potrafi wychwycić kłamstwo dziecka. Kathryn zrozumiała, że jej córka nie miała zamiaru rozmawiać o kwiatkach i że warknie na Annalisę, jeśli ta zada kolejne pytanie.

- Mam nadzieję, że to mężczyzna, mamó. Przydałby ci się jakiś romans w tym klaustrofobicznym życiu.

Laurel zrobiła się tak blada jak naczynie, które trzymała w rękach.

- To moja praca - przyznała zaskoczona Kathryn. To była wczesna waza, jedna z tych, które podobały się Jimmyemu. W ciągu minionych lat mogło się zdarzyć, że po prostu przeszła obok niej. W tamtym wczesnym okresie rzadko sprzedawała swoje wyroby - była artystką walczącą z porażkami, wciąż czekającą na to, że zostanie odkryta.

- Uwielbiam tę wazę - powiedziała Laurel cicho. - Nie mów mi, że nie miałaś talentu, mamó. Nigdy nie widziałam niczego, co można byłoby z tym porównać.

- Jest taka inna, babciu. - Annalisa wzięła wazę z rąk matki. - Nawet twój podpis wygląda inaczej.

- Moje wczesne prace nie były dobrze odbierane. Pewien krytyk - najmiłszy z tego całego grona - stwierdził, że są zbyt eleganckie i proste.

Tego wieczoru, gdy dokonania czterech lat zostały zmiażdżone przez krytykę, wypłakała się w ramionach Jimmy'ego. Była młoda i niepokieszona, miała cienką skórę i odniesione rany wydawały się głębokie. Koniec końców Jimmy zebrał stos swoich negatywnych recenzji - snobistycznych i złośliwych - a potem przeczytał je na głos w taki sposób, że życie zaczęło przedstawiać się jako coś zadziwiająco śmiesznego.

W tej chwili Kathryn czuła jednak okropne zmieszanie. Waza była gładka, ale wcale nie była prosta. Nie sądziła, żeby mogła stworzyć teraz coś takiego - nawet ze swoją techniką i wieloletnim doświadczeniem. Kay Peyton, która podpisała to dzieło, nie odczuwała już charakterystycznej dla młodości szczerzej niewinności i szczęścia. Teraz była K., nie Kay, i wiedziała, że najtrudniej jest stworzyć coś prostego. Tak naprawdę prostota była czymś złożonym.

Przed oczami stanęły jej wcześniejsze prace, tworząc układankę zapomnianych, ale bardzo konkretnych obrazów. Jakaś część jej przeszłości otworzyła się, sprawiając, że ona sama zaczęła z przerażeniem w tym tonąć. Z chęcią porozmawiałaby o kwiatach Laurel, ale zamiast tego powiedziała:

— Nie jestem już tą artystką.

Spojrzenie, którym obdarzyła ją Laurel, niemal powaliło Kathryn na kolana. W ułamku sekundy zrozumiała, że cała ta wymiana zdań nie miała nic wspólnego ze sztuką.

Później tego wieczoru, kiedy jej matka poszła do łóżka, a Annalisa wróciła do własnego domu, Laurel przebrała się do snu i wyłączyła światło w łazience. Jedną nogą stała już w sypialni, gdy poczuła zapach róż, przebijający się przez ziołową woń mydła i szamponu. Nagle ponownie ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie. Było w nim coś z tęsknoty, podekscytowania i dreszczyku podniecenia. Tego popołudnia, gdy do jej biura dostarczono kwiaty od Juda, powróciły emocje, które odczuwała, mając siedemnaście czy osiemnaście lat. Laurel nie miała jednak prawa do tych uczuć. Zbyt wiele się między nimi wydarzyło, a przeszłość skrywała za dużo problemów.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi sypialni.

- Laurel?

W progu stała jej matka, szczelnie owinięta szlafrokiem, przez co wyglądała na jeszcze mniejszą, starszą i bardziej kruchą. Trzymała w dłoni kartkę z kwiaciarni.

- To leżało na ladzie w kuchni.

- Dzięki - powiedziała Laurel i wzięła kartkę od matki.

- O co tu chodzi, Laurel?

- Co masz na myśli?

- Nie udawaj idiotki. „Jeden kwiat za każdy rok. Trzydzieści lat to zbyt dużo czasu”. Podpisano: Jud.

- Nie jestem siedemnastolatką, mam.

- Masz czterdzieści osiem lat, a ja sądziłam, że do tego czasu nauczyłaś się, by w swoim życiu się nie cofać.

- No cóż, sadzę, że mogłabym po prostu pogрузić się w przeszłości tak jak ty. - Gdyby uderzyła matkę w twarz, wcale nie zachowałyby się gorzej, jednak słowa już padły i nie można ich było cofnąć. Emocje odczuwane przez Laurel wzięły górę nad opanowaniem. - Tylko popatrz, do czego doszliśmy. Z powodu twojej złości nie wystarcza już miejsca dla mnie. Nigdy go dla mnie nie było, ponieważ otuliłaś się w żal, złość oraz ból, zamknęłaś w swoim studiu i wewnątrz swoich prac. Wiesz, dlaczego uwielbiam tę wazę? Dlatego, że bije z niej radość. Nie jest pokręconym przedmiotem przedstawiającym ciemną stronę życia. Jest po prostu piękna.

- Po chwili Laurel dodała: - Chętnie poznałabym osobę, którą wtedy byłaś.

- Byłam inną osobą żyjącą w innych okolicznościach. Szczęście i radość nie trwają długo - tyle już wiem. Kiedy po raz ostatni związałaś się

z tą rodziną, Laurel, straciłam cię. - Głos Kathryn załamał się, a ona sama odwróciła głowę. Wydawało się, że jeszcze bardziej się skurczyła. - Wyjechałaś i zamieszkałaś we Francji. Wyszłaś za męża. Urodziłaś Annalisę. Wszystkie te najważniejsze momenty w życiu miały miejsce dziesięć tysięcy kilometrów od domu.

- Byłaś na ślubie.

- Jako gość. Przyleciałam w ostatniej chwili, ponieważ właśnie wtedy mi o wszystkim powiedziałaś. Zastanawiałam się, czy to było celowe. A potem ślub, który odbył się na pastwisku.

- To było pole lawendy. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku uważałam, że to romantyczne. Z perspektywy czasu widzę wiele błędów, które popełniłam tamtego dnia. Żaden z nich nie ma nic wspólnego z chwilą obecną.

- Dla mnie ma. Za każdym razem, kiedy w naszym życiu pojawia się ktoś noszący nazwisko Banning, tracimy coś... coś, czego nie da się odzyskać.

Laurel obeszła łóżko i postawiła kartkę na stojącym obok stoliku.

- Musiałam uciec, mamo.

- Z ich powodu. Musiałaś uciec przez dwóch braci. Znalazłaś się pomiędzy nimi. To była ich wina.

- To była moja wina. Moja.

- Musiałaś uciec ode mnie. - Mówiąc te słowa, matka płakała. Laurel była wściekła, że to ona jest źródłem jej bólu.

- Posłuchaj, przykro mi, że to cię boli. Przykro mi, że to przypomina ci o trudnych wydarzeniach z przeszłości. Za nic w świecie nie chciałam sprawiać ci bólu po śmierci taty. Wszystko jednak minęło. To historia,

która miała miejsce dawno temu. Nie potrafimy tego zmienić. Musisz zrozumieć, że tu chodzi o interesy.

- Jakie interesy?

- BanCo jest spółką matką firmy Del Mar, która zajmuje się projektem Camino Cliff. Gdy składałam ofertę, nie wiedziałam o tych powiązaniach, ale ten kontrakt to szansa dla King Design, by rozwinąć skrzydła. To szansa, która trafia się raz w życiu. Annalisa postanowiła powalczyć i zdobyła dla nas ten kontrakt. To umowa opiewająca na pięć milionów dolarów.

- Pięć milionów dolarów - powtórzyła Kathryn bez wyrazu. - Nie potrafie konkurować z pięcioma milionami dolarów.

- Tu nie chodzi o ciebie. To ważne dla Annalisy i dla mnie. Ona jest bystra, a ja jestem z niej dumna. Nie wie ani o twoich, ani o moich powiązaniach z Banningami, a ja nie pozwolę, by twój strach odebrał jej to, co mnie.

Słowa Laurel zabrzmiały surowo i gorzko, niemal tak gorzko jak słowa jej matki. Kathryn podeszła do drzwi, ale zatrzymała się i odwróciła.

- Chciałam jedynie cię chronić.

- Nie rób tego, mamó. - Laurel wzięła głęboki oddech. - Proszę, nie rób tego.

Następnego ranka Kathryn zniknęła. Zostawiła jedynie liścik, w którym napisała, że w najbliższych dniach przenosi się do Los Angeles, gdzieś bliżej galerii. Laurel nie mogła zasnąć przez większą część nocy. Poczucie winy było okropnym ciężarem, bo relacje pomiędzy kobietami często przypominały skomplikowany węzeł emocjonalnych reakcji. Laurel nie mogła cofnąć słów, które powiedziała. Coraz trudniej było jej zrozumieć otaczający świat.

Ledwo drzwi windy w pracy zdażyły się zamknąć za jej plecami, gdy zauważyła na podłodze przed drzwiami swojego pokoju dwie pojedyncze róże. Każda z nich miała kwiat wielkości pięści oraz przypiętą karteczkę.

Lunch. Zadzwoń, kiedy będziesz gotowa.

Jud

Reszta dnia pograżyła się w chaosie, ponieważ Pat była na urlopie, a Annalisa miała spotkanie z pracownikami Del Mar i załatwiała sprawunki. Telefon dzwonił niemal bez przerwy przez cały poranek i popołudnie. Plany projektów dostarczono do nieodpowiedniej firmy, więc Laurel musiała tkwić w korkach, żeby je odebrać. Do tego przez cały dzień co godzinę obsługa kwiaciarni dostarczała jej po jednej róży we wszelkich możliwych kolorach: krwistoczerwonym, jasnożółtym, ciemnoczerwonym, pomarańczowym, ciemno- i jasnoróżowym. Każdy liścik dołączony do kwiatów zawierał numer telefonu i tę samą wiadomość.

Pod koniec dnia ustawiła liściki niczym rzymskich żołnierzy wzdłuż krawędzi biurka, zabezpieczając flanki tego papierowego oddziału różami.

- Nie zadzwonię - powiedziała, po czym wycelowała długopis w liściki i jeden po drugim pozrzuciła na podłogę. Po chwili pozbierała karteczki i kwiaty, wrzuciła je razem do kosza na śmieci, a następnie wróciła do pracy nad listą urzędzeń, które zostaną wykorzystane w projekcie.

Kilka minut później dziewczyna z kwiaciarni dostarczyła różę w jej ulubionym kolorze - to był lawendowoszary odcień zwany srebrem najwyższej próby.

- Niech go diabli! - zaklęła Laurel pod nosem i ciężko usiadła na biurku Pat.

- Z pewnością jest wytrwały - powiedziała dziewczyna, a potem dodała: - To ja przyjąłem zamówienie i wypisywałem liściki.

Laurel spojrzała na zegarek.

- Ile jeszcze zostało?

- Dwie. Mam je tu w samochodzie.

- Czy możesz je przynieść?

- Jasne.

Kiedy dziewczyna wróciła, Laurel wręczyła jej kawałek papieru, na którym zapisała numer swojej karty kredytowej.

- Czy jest jeszcze szansa na dostarczenie lokalnej przesyłki?

- Została na to godzina.

- Macie w sklepie jakieś kaktusy?

- Mamy wszystko.

- W takim razie wyślijcie mu największego i najbardziej kolczastego kaktusa, jakiego znajdziecie, i napiszcie w liściku: " Nie".

Dziewczyna śmiała się jeszcze wtedy, gdy zamykała za sobą drzwi.

Laurel wróciła do pokoju, rzuciła okiem na kwiaty w koszu i uznała, że jest bardzo słabą kobietą. W szafce znalazła jakąś gigantyczną wazę, napełniła ją letnią wodą. Gdy obcinała końcówki łydełek róż, żeby je wstawić do wody, zauważyła, że mają usunięte kolce. życie powinno być takie proste. Ktoś powinien po prostu pozbawić je kolców.

- Wróciłam! - Annalisa pojawiła się na korytarzu z zapasem kawy i innych artykułów, po czym zniknęła w małej kuchni. Chwilę później opadła ciężko na krzesło naprzeciwko matki, zrzuciła buty i oparła nogi o krawędź biurka Laurel. - Ta waza jest za duża - rzekła, wskazując naczynie czerwonym lukrecjowym cukierkiem, którego właśnie jadła.

- To jedyna, jaką tutaj mamy. Jak wszystko ci się dzisiaj układało?

- Dobrze. Powoli, ale to chyba nic złego. Chcę zaczekać z robieniem listy ewentualnych elementów instalacji, póki nie wrócimy z targów w Chicago. Te kwiaty są od tego samego faceta?

- Nie chcę o tym rozmawiać. Potrzebujemy jakichś przykładowych szkiców, ale nie powinnyśmy na razie ustalać żadnych konkretnych konfiguracji. Odebrałam dzisiaj plany, będę też musiała niedługo spotkać się z szefami kuchni.

- Nie masz co próbować... nie podpisano jeszcze umów. Laurel odłożyła długopis.

- Żartujesz?

Annalisa potrząsnęła głową.

- To przecież stawianie wszystkiego na głowie. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby twojemu ojcu przyszło pracować w kuchni, której ogólny układ i rozmieszczenie poszczególnych urządzeń zostały już wcześniej zrobione? — Laurel roześmiała się. - Musieliby zaczynać

wszystko od nowa, po prostu dla zasady. Wściekałby się o wszystko, nawet gdyby było zrobione dokładnie tak, jak by sobie tego życzył.

- Powiedziała im to. Wtedy spuścili bombę. Rozmawiają z tatą w sprawie restauracji na wybrzeżu.

Laurel zaklęła i zakryła dłonią czoło.

- Gdybym ja powiedziała to słowo, zmusiłabyś mnie do trzymania mydła w buzi.

- Nauczyłam się tego wyrażenia od twojego ojca.

- To nie było francuskie przekleństwo.

- Twój ojciec klnie w anglosaksońskim narzeczu języka angielskiego.

Nie robi tego tylko wtedy, gdy w pobliżu jest jego mała dziewczynka. -

Laurel z powrotem rozparła się w fotelu i zaczęła myśleć. - Przynajmniej mogę zrozumieć twojego ojca. Moim największym problemem będzie powstrzymanie go od mówienia nam, jak mamy zrobić każdą kuchnię wchodzącą w skład tego projektu.

Annalisa ciężko opadła na krzesło.

- Tata przez cały czas będzie mnie napastować, żebym z nim pracowała.

- Może nie. Gdy zobaczy, jak dobra jesteś w tym, co robisz, powinien wreszcie dać ci spokój.

- Jasne... A ja wygram w totka i do tego wcale nie przytyję po zjedzeniu połowy wiadra tych cukierków. - Uniosła czerwonego cukierka lukrecjowego i odgryzła jego koniec. - Możemy mieć nadzieję, że się na to nie zgodzi.

- Twój ojciec? Nie licz na to. Czy to twoja kolacja, czy masz ochotę wpaść do mnie?

- Jasne. Zaraz odłożę tego cukierka.

Kilka minut później Laurel zamykała drzwi do biura, kiedy rozległ się dzwonek windy. Wybiegł z niej Beric, machając szarą kopertą.

- Och, jesteście tu obydwie. Świetnie. Świetnie. Mam dla was niespodziankę. Zgadnijcie, co to takiego.

- Kontrakt na restaurację na wybrzeżu w Camino Cliff - powiedziała Annalisa prosto z mostu.

- Tak! Skąd wiedziałaś?

Annalisa spojrzała na matkę, później na Berica.

- Powiedzieli mi dzisiaj, że prowadzą z tobą rozmowy.

- Na początku pomyślałem, że odmówię, ale oni w końcu mnie przekonali. A teraz najlepsza wiadomość. - Stał, śmiejąc się, pewny siebie i arogancki, z rękoma na biodrach. - Dostałem wszystkie restauracje związane z tym projektem. To będą lokale Berica Kinga.

Laurel nie mogła powstrzymać cichego jęknięcia. Annalisa była blada jak ściana.

- Świetnie. Chodźcie, chodźcie. Uczymy to. - Beric otoczył ramionami byłą żonę i córkę, przytulił je do siebie z galijskim entuzjazmem, niczym Francuz ściskający dwie boje, by pozostać na powierzchni wody. - Tylko sugeruję takie rozwiązanie - tutaj ścisnął mocniej Annalisę - nazwiemy jedną z nich U Annalisy, a *ma petite jeune* sama zaprojektuje swój lokal. Potem mogłaby pracować dla *mamon* i *papa*.

- Tato. Proszę.

- Wiem, wiem, wiem. Za dużo tego wszystkiego naraz.

Porozmawiamy później. Cała rodzina Kingów znów będzie razem

pracować. - Beric zapędził je w kierunku windy. Spojrzał na byłą żonę, choć ona miała ochotę się wzdrygnąć. - To będzie świetna zabawa, prawda, Laurel?

- Świetna zabawa, Beric. Po prostu świetna... zupełnie jak nasze małżeństwo.

Kolacja z rodzicami zawsze była niemałym przeżyciem dla Annalisy. Chociaż rozwiedli się wiele lat temu, jej ojciec wciąż kochał swoją byłą żonę. Czasami był to bolesny widok, gdyż Beric kompletnie nie potrafił zauważyć tego, co się działo. Miał także trudności ze zrezygnowaniem ze swojego wyobrażenia o życiu. Annalisa kochała ich oboje, ale w tamtych czasach jako niewinny i nieświadomy widz patrzyła, jak małżeństwo jej rodziców rozpada się tym gwałtowniej, im dłużej ze sobą pracują.

Bez Berica jej matka nie była już zagubiona, ale ich rozwód bolał dziewczynę. Przeżywała okres burzy i naporu, pełen poczucia winy, złości, żalu oraz chęci obarczenia kogoś odpowiedzialnością. Przez pewien czas wyładowywała się na matce w sposób, w jaki robią to nastolatki, kiedy poczują własną siłę. Matki zawsze kochają dzieci, niezależnie od tego, jak okropnych rzeczy im się nagada w chwilach, kiedy ból staje się zbyt wielki, by się z nim uporać.

Dzisiejszego wieczoru jej matka cierpiała jednak z powodu entuzjazmu i założeń ojca Annalisy, a także potrzeby powiedzenia obu kobietom jego życia, co powinny robić. To była wizja świata według Berica Kinga, szefa kuchni, ojca, męża, byłego męża (co było zdecydowanie gorsze) i wrzodu na tyłku.

Po wyjściu rodziców, kłócących się o szerokość stalowych lad, Annalisa nie miała ochoty jechać do domu, do swojego pustego

mieszkania. Zeszła do baru, gdzie grał cieszący się lokalną popularnością zespół jazzowy. Usiadła na stołku barowym i popijała drinka. To było lepsze niż siedzenie w pustym mieszkaniu, oglądanie beznadziejnie romantycznych filmów i jedzenie popcornu z mikrofalówki. W zanadru miała jeszcze gorszy scenariusz - opróżnienie półlitrowego opakowania lodów, które kupiła sobie w chwili słabości.

Robiło się tu coraz tłoczniej i głośniejsze, bo goście kończyli kolację i przynosili się do baru. Wkrótce zespół zrobił sobie przerwę. Annalisa poczuła, że wśród otaczających ją ludzi znika napięcie, które czuła podczas kolacji z rodzicami. Nie spędzała też czasu samotnie w domu. Bała się wtedy, że nikt nigdy jej nie pokocha, świat będzie nadal szedł naprzód i wszyscy wokół będą zakochani w sobie do szaleństwa. Gdy odwróciła się, żeby odstawić swojego drinka, ujrzała przed sobą twarz Matta Banninga.

- No proszę. Witaj - powiedziała.

- Zobaczyłem, że tu siedzisz. - Oparł się o bar blisko niej w nadziei, że przesunie swój stołek.

- Lubię jazz - wyjaśniła. - Przyszedłeś posłuchać zespołu?

- Nie. Byliśmy tutaj na kolacji.

Rozejrzała się wokół.

- Byliśmy... ?

- Tata właśnie wyszedł. Staramy się co tydzień spotkać na kolacji.

Cementowanie związku między mężczyznami - dodał ze śmiechem, ale jego słowa były szczerze. Annalisa poczuła, że mogłaby mu pozazdrościć więzi łączącej go z ojcem.

- Ja byłam na kolacji z rodzicami, ale nigdzie was nie zauważyłam.

- Jedliśmy na górze, tam jest ciszej. Tata nie lubi hałaśliwych restauracji.

- Takie lokale to środowisko naturalne moich rodziców. Zazwyczaj sami wytwarzają sporą część tego hałasu. - Przerwała niezręczny moment ciszy, wyciskając cytrynę w swoim drinku. Wrażenie spowodowane obecnością Matta było niepokojące, alarmujące i przypominało syrenę alarmową, którą jedynie ona słyszała. Kiedy znajdowała się blisko niego, czuła narastające, niemożliwe do opanowania pożądanie, wypływające z jakiegoś tajemnego miejsca, z którego istnienia nie zdawała sobie do-tychczas sprawy. Siedział zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej, a powietrze między nimi aż wibrowało. Annalisa wyczuwała jego bliskość najbardziej delikatnymi częściami ciała - na karku, wzdłuż ramion i gdzieś w głębi serca. To było nieznane terytorium, a ona uważała się za zbyt dużą samotniczkę, żeby wierzyć tego typu niewytłumaczalnym uczuciom.

- Pozwól, że przyniosę ci kolejnego drinka - powiedział. - Co pijesz? Wódkę?

- Wodę sodową z cytryną. Wolę mieć trzeźwy umysł. - Kiedy przekazał barmanowi zamówienie, pożałowała wypowiedzi, która tak dużo o niej mówiła. - Czasami piję alkohol, ale rzadko w godzinach pracy, a już na pewno nie wtedy, gdy jestem samochodem.

Wręczył jej kolejną wodę sodową.

- Lubisz panować nad sytuacją.

- Nie bardziej niż ty - powiedziała ze śmiechem. - Tamtego wieczoru na przyjęciu piłeś colę. Widziałam, jak zamawiałeś.

- Nie możesz oderwać ode mnie oczu, prawda?

- No właśnie. Tak się w tobie zadurzyłam, że zrobię wszystko, byleby znaleźć się blisko ciebie. Mam na twoim punkcie obsesję. Za każdym razem, kiedy obejrzysz się przez ramię, ja tam będę. Żyję tobą. Oddycham tobą. Marzę o tobie.

- Chciałbym, żeby to była prawda.

Nagle przestała się śmiać i zauważyła, że on sam spoważniał.

- Proszę... nie rób tego, Matt.

- Byłem szczery. Chcesz, żebym kłamał? Pomyślała, że może w tej chwili wolałaby skłamać.

- Dlaczego ja? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- W hrabstwie County są tysiące kobiet, a wiele spośród obecnych w tej sali podskoczyłoby na samą myśl o spotkaniu z tobą. Wybierz jedną z nich.

- Jedną z kobiet w tej sali? -Tak.

- Już to zrobiłem. Nie chciała się ze mną umówić.

- To prawda. Nie chciała - powiedziała pewnie Annalisa. -A więc jakie masz plany?

- Pozostanę samotny, z nikim się nie zwiążę i nie będę się z nikim spotykał. - Nachylił się bliżej. - Nie jest ci mnie żal?

- Nie zwalisz na mnie tego, że się z nikim nie umawiasz.

- Więc wytłumacz mi, dlaczego ty się z nikim nie spotykasz.

- Nigdy nie powiedziałam czegoś takiego.

- Racja. To będzie nasza pierwsza randka.

- Nie. Nie będzie. - Zdecydowanie odstawiała swoją szklankę. -
Znajdę ci dziewczynę. Tam. Widzisz tę blondynkę? Jest wyjątkowo
piękna.

- Jest opalona.

- Każda blondynka tutaj jest opalona. Odkąd to opalenizna
przeszkadza facetom?

- Przez nią powstają zmarszczki.

- Matthew... Matthew... Matthew... Faceci nie myślą o kobietach pod
kątem przyszłości. Interesuje ich jedynie chwila obecna.

- W świetle twoich słów wyglądamy na dwulatków.

- Nie będę się z tobą sprzeczać.

- Z kim ty się dotychczas spotykałaś?

- Z nieodpowiednimi facetami.

- Wszyscy zachowywali się jak dzieci?

- Nie.

- W takim razie robiła to większość ich?

Wzięła do ręki drinka, przez chwilę marząc o tym, żeby to była
wódka, a potem pożałowała, że rozmowa zeszła na takie tematy.

- Opowiedz mi o ostatnim facecie, z którym się umówiłaś.

- Nic z tego.

- Dlaczego? Wciąż się z nim umawiasz?

- O Boże, nie! - Nie spotykała się z nikim, jednak przyznanie się do
tego przed Matthew Banningiem mogło sprawić, że zacznie wyglądać
załośnie. Coś w wyrazie jego twarzy sugerowało, że gotów jest siedzieć
tam, póki nie usłyszy odpowiedzi. - No dobra, prawda wygląda tak -

Annalisa skrzywiła się w tym miejscu - że kiedy ostatnim razem umówiłam się z facetem, to była randka w ciemno.

- Nikt nigdy nie powinien chodzić na randki w ciemno.

- To była przysługa wyświadczona przyjaciółce. - Na chwilę przerwała i zaraz dodała: - Powiedział jej potem, że jego zdaniem jestem za duża.

Matthew zakrztusił się swoim drinkiem, po czym popatrzył na nią tak, jakby kłamała. Annalisa podniosła rękę do góry.

- Przysięgam. To prawda.

- Był niski?

- Nie. Wysoki, miał jasne włosy i pracował jako makler giełdowy.

- To był ciemniak, a nie randka w ciemno.

Annalisa przez chwilę milczała, gdyż to, co powiedział o niej tamten facet, wciąż ją trochę irytowało. Na wszelki wypadek trzymała więc w domu w zamrażarce pojemnik lodów, a w pracy wiaderko cukierków lukrecjowych. Brakowało jej silnej woli, nawet teraz, kiedy powinna opuścić bar i odrzucić pokusę, póki jeszcze mogła to zrobić. Nie było łatwo odejść, bo dobrze im się rozmawiało, pochlebiał jej sposób, w jaki na nią patrzył i drażnił się z nią, stojąc blisko, lecz jej nie dotykając. Był ubrany swobodnie - w koszulkę polo i džinsy, a na nogach miał mokasyny na gołych stopach. Wykorzystywał milczenie i przyglądał jej się wystarczająco długo, by Annalisa zaczęła się zastanawiać, o czym on myśli.

- Musisz mieć... jakieś niecałe pięćdziesiąt osiem kilogramów i nosisz ósemkę.

- Skąd wiesz?

- Fart.

- Po prostu patrzysz na kobietę i potrafisz ocenić jej wagę oraz rozmiar ubrania? To nie był szczęśliwy traf. Musisz mieć siostry.

- Mam jednego brata. W college'u zakładaliśmy się z chłopakami o wagę i rozmiary ubrań dziewczyn. W grę wchodziły pieniądze, więc sporo wygrywałem.

W jej głowie rozległ się ostrzegawczy dzwonek. Miała przed sobą mężczyznę, który potrafił dokładnie oszacować wagę kobiety. Ta umiejętność powiedziała jej jedno - jak na kogoś, kto nie miał siostry, zbyt dobrze znał kobiety. Bill, facet, z którym spotkała się na randce w ciemno, jeździł czarnym porsche carrerą. To była południowa Kalifornia, kraina samochodów, w której marka określała człowieka. Wszystko, co dotyczyło Billa, aż krzyczało od sztuczności. Annalisa powiedziała sobie, że Matt może być taki jak Bill, który poszukiwał po prostu wspaniałej ozdoby, najbardziej przejmując się tym, co mówią o nim jego samochód i kobieta, z którą się pokazuje. Zdaniem Annalisy taka gra była substytutem miłości. Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Wy, mężczyźni, jesteście niezwykle płytkimi stworzeniami.

Spojrzenie jego szeroko otwartych oczu zawierało w sobie obietnicę, że jeszcze jej się odwdzięczy.

- Nie chcę rozmawiać z tobą o mojej wadze ani rozmiarze, który noszę. Chcę znaleźć ci towarzystwo, żebyś przestał patrzeć na mnie tym żalonym spojrzeniem mówiącym: „Jestem samotny, proszę, pokochaj mnie”.

Matt roześmiał się.

- Tak właśnie wyglądam w twoich oczach? Nic dziwnego, że nie chcesz dać mi szansy.

Annalisa wyciągnęła rękę i delikatnie odwróciła jego głowę w stronę przeciwnego końca baru.

- Popatrz na tę blondynkę siedzącą na ostatnim stolku. Widzisz? Ma włosy do karku i jest ubrana na czerwono.

Przez chwilę przyglądał się wskazanej kobiecie, a potem się skrzywił.

- Zbyt koścista.

- Dobrze, że nie pracujesz w Hollywood. W porządku, weźmy zatem kogoś innego. - Rozejrzała się po barze, w końcu nachyliła się bliżej. - Tamta z brązowymi, falującymi włosami. Tam, obok telefonu - wskazała głową. - Wygląda zupełnie jak Drew Barrymore.

- Bo to jest Drew Barrymore.

Annalisa uważnie jej się przyjrzała i po chwili wzruszyła ramionami.

- No cóż, spróbuj. Matt potrząsnął głową.

- To trudny przypadek.

- Zawsze chciałam wiedzieć, co według mężczyzn oznacza określenie „trudny przypadek”.

- Zaakceptuje każdego, kto pojawia się w wiadomościach.

- Jesteś okropnie wybredny.

- Dlaczego mam wrażenie, że miałaś ochotę dodać na końcu tego stwierdzenia jeszcze „jak na faceta”?

- To nie fair. - Annalisa uniosła dłoń. - Przecież nie słyszałeś, jak wypowiadam te słowa, prawda? - Matt po prostu patrzył na nią, docierając

niemal do prawdy. Z trudem ukrywała swój cynizm. - Wkładasz te słowa w moje usta, by mnie zdekoncentrować.

- Wiem, jaki jestem. Potrafię bardzo ostrożnie wybierać.

- To niemożliwe. Jesteś mężczyzną.

- A widzisz? Miałem rację. Masz jakiś paproch na ramieniu.

- Dobra, żartowałam - skłamała. - A teraz przestań mnie do siebie zrażać. - Wyraz jego twarzy powiedział jej, że nie zdołała go oszukać. - Co powiesz na brunetkę siedzącą trzy stołki dalej?

- Zmieniasz temat.

- Staram się znaleźć ci kobietę. Proszę o skupienie. Popatrz. Jest fantastyczna i zmysłowa. Faceci to lubią, prawda? Widzisz, jak się śmieje?

- Lubię rudowłose kobiety.

- Sądzisz, że uwierzę, że umawiasz się jedynie z kobietami, które mają kasztanowe włosy?

- Mój gust dotyczący kobiet ostatnio uległ zmianie.

- Nie zamierzam się z tobą umówić, Matt.

- Zaczekam.

- Boże, ależ ty jesteś uparty. Musisz być szalony. Realizacja tego projektu zajmie prawie dwa lata.

- Jestem cierpliwym facetem.

- To oksymoron.

- Zabawne. Już widzisz, dlaczego cię lubię?

- Oszalałeś - oto cała prawda.

- Oszalałem na twoim punkcie.

- Nie potrafisz przestać, prawda?

- Nie możesz winić faceta za to, że ciągle próbuje.

Czas się zbierać - pomyślała Annalisa, po czym wstała i wzięła swoją torebkę.

- Dzięki za drinka. Dla mnie robi się tutaj za głośno. Chłopak odstawił swoją szklankę.

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Nie trzeba. Zostań, posłuchaj zespołu. Są dobrzy.

Matt zdjął z oparcia krzesła barowego sweter Annalisy, ale nie podał go jej.

- Odprowadzę cię. Na parkingu jest ciemno.

- Potrafię się sama obronić.

- Widziałem to tego wieczoru, Annaliso.

- Nie, mówię poważnie. - Spojrzała na niego przez ramię. - Mam czarny pas.

- Świetnie. Możesz więc mnie obronić w razie potrzeby. Założył sweter na jej ramiona i przez moment przytrzymał

tam swoje ręce. To był prosty gest, staromodna uprzejmość, ale sprawiał wrażenie intymnego i seksownego. Po prostu dotknął jej ramion, po czym delikatnie je ścisnął. Przez jedno uderzenie serca zapomniała o tym, że powinna oddychać. Kiedy wyszli z baru, zatrzymali się, a ona odwróciła się, by życzyć mu dobrej nocy.

- Zaparkowałem tam. - Wskazał pilotem alarmu na zachód. Cholera. Ona też zostawiła samochód w tamtej okolicy.

- Gdzie stoisz? - spytał. Zaczekał chwilę i w końcu zapytał: - O co chodzi? Zapomniałaś, gdzie zaparkowałaś samochód? Naciśnij przycisk alarmu.

- Nie. Moje auto również stoi w tamtym miejscu. Poprowadził ją, ujmując za łokieć.

- Dobrze, w takim razie nie będziesz mogła uciec ode mnie ani od potencjalnych złodziei samochodów.

Annalisa nie miała wyjścia, musiała się roześmiać.

- W porządku. Odprowadzę cię do twojego samochodu i pobiję wszystkich kryminalistów, których mógłbyś potencjalnie przyciągnąć.

- Bardzo śmieszne.

- Ależ z ciebie biedny, kruchy mężczyzna! O ile jesteś ode mnie wyższy - o piętnaście centymetrów?

- Mam metr osiemdziesiąt osiem.

- W takim razie dwadzieścia. Ja mam metr sześćdziesiąt osiem.

- Wiem - odparł z uśmiechem wyrażającym pewność siebie.

Przeszli przez parking, a żadne z nich więcej się nie odezwało.

Annalisa nacisnęła przycisk pilota alarmu i zaraz potem błysnęły światła jej samochodu.

Matt zaczął się śmiać.

- Co cię tak rozbawiło?

Podniósł pilota do swojego samochodu i użył go, włączając światła białej półciężarówki zaparkowanej obok pojazdu Annalisy.

- Masz obsesję na moim punkcie - powiedział, nadal się śmiejąc.

Parking miał ponad sto miejsc, a oni zaparkowali tuż obok siebie. Słowo „przeznaczenie” błysnęło w umyśle Annalisy. Była przekonana, że to, co spotyka ludzi w życiu, dzieje się z jakiegoś powodu. Wierzyła w powtarzalność zachowań. Jej uczucia były niezwykle silne, a za każdym razem, gdy na niego patrzyła, czuła coś, co powodowało, że starała się

wszystko bagatelizować. Nie była gotowa na związek, który mógłby ją spalić. Matthew Banning sprawiłby, że stanęłaby w płomieniach, a ona nie chciała umawiać się z facetem, z którym pracowała. To dawało gwarancję, że miłość zostanie zniszczona.

Matt otworzył przed nią drzwi jej samochodu. Wsiadła do środka, po czym włożyła kluczyk do stacyjki. Nie zamykała jednak drzwi, jedynie się o nie oparła. Położyła jedną dłoń na kierownicy, a w drugiej ręce trzymała kluczyk. Była gotowa, by odjechać, potem jednak zawahała się na ułamek sekundy i popełniła błąd, zwracając wzrok w jego stronę.

Matt delikatnie wypowiedział jej imię.

- Naprawdę myślę to, co mówiłem. Jesteśmy do siebie podobni.

Próbujemy zdobyć to, czego pragniemy.

- Nie mogę tego zrobić, Matt.

- Owszem, możesz.

Zacząła mówić coś kompletnie nieważnego, ale on uniósł rękę i zatrzymał ją.

- Pragnę cię, ale chętnie zaczekam, aż będziesz gotowa.

Po tych słowach Annalisa poczuła, że zaczyna mięknąć. Miał zamiar ją złamać. Był bogaty, sprytny, przystojny i odnosił sukcesy. Na jego miejscu czerpałaby garściami z życia. Może to właśnie robił - pomyślała. Może to była jego przynęta, jego metoda - ten pościg za pojedynczym celem. Przestraszona i zdziwiona, pozwoliła, by jej umysł podążył za tą myślą. Instykt samozachowawczy podpowiadał jej, że nie powinna zaczynać niczego z tym mężczyzną, który naprawdę może złamać jej serce.

- Dobranoc - powiedział, odsuwając się od jej samochodu.

- Dobranoc, Matthew - odparła Annalisa i zamknęła drzwi. Włożył ręce do kieszeni, a ona obserwowała, jak wsiada do swojego samochodu. To nie było porsche, dodge viper czy ferrari. To nie był samochód na pokaz. Ten pojazd był lśniący i nieskazitelny - biała półciężarówka marki Chevrolet.

Kiedy Jud wchodził do biura King Professional Design, więcej w nim było determinacji niż pewności siebie. Córka Laurel siedziała przy biurku, przyciskając telefon do ucha, i coś zapisywała. Podniosła na niego wzrok, uśmiechnęła się dokładnie tak samo jak jej matka, po czym uniosła jeden palec, dając znak, że za minutkę będzie mogła z nim rozmawiać.

Wzdłuż ścian stały obite zamszową tapicerką sofy, otoczone stolikami ze szklanymi blatami. Miękkie światło sączyło się z instalacji oświetleniowej założonej na ścianach i na suficie, a przez narożne okno wpadały promienie słońca, rozjaśniając fragment pokoju pomalowany na ciepły, piaskowy kolor. Ta barwa stanowiła miękkie tło dla oprawionych w czarne ramki, ozdobionych białymi obramowaniami fotografii. Obok nagród branżowych, tabliczek potwierdzających wyjątkową fachowość oraz komentarzy przedstawicieli lokalnego biznesu wisiały zdjęcia przedstawiające projekty firmy. Były tam stoły kuchenne z nierdzewnej stali wzdłuż ciągów stalowych szafek, chłodziarki przemysłowe oraz różnorodne urządzenia do gotowania i przyrządzania żywności. Niektóre ze zdjęć przedstawiały szefa kuchni w dobrze skrojonym uniformie, w eleganckim miejscu pracy. Na brzegu obramowań znajdowały się odręcznie wypisane nazwy restauracji, nazwiska kucharzy oraz daty.

Tuż obok wisiał kolaż zrobiony z błyszczącego czasopisma pod tytułem „Profesjonalne Gotowanie”, a konkretnie - z zawartego tam

wywiadu z Laurel. Zawsze myślał o niej jako o dziewczynie żyjącej w odosobnieniu. Dorastanie bez ojca sprawiło, że była w jakiś sposób zagubiona, a w jej osobowość wyraźnie wpisała się bardzo osobista mieszanka zwątpienia i bólu. Na fotografii, na którą Jud właśnie patrzył, Laurel wyglądała na osobę otwartą, pewną siebie i dumną. Jawne pokazywanie własnej osobowości wydawało mu się czymś dziwnym - Laurel, którą pamiętał, starała się unikać takich sytuacji.

- Panie Banning - Annalisa podeszła do niego. - Przepraszam, że musiał pan czekać.

- Mów mi Jud. „Pan Banning” sprawia, że czuję się staro - powiedział. A pomyślał, że mógłby być jej ojcem.

- Z pewnością nie masz powodów, by czuć się w ten sposób. - Nastąpiła dziwna chwila, w której Annalisa stała z wyrazem zakłopotania na twarzy i pytającym spojrzeniem. - Czy przegapiłyśmy jakieś spotkanie?

- Nie. Nie. - Machnął ręką i dodał kłamstwo, które przyszło mu wyjątkowo łatwo. - Mam dzisiaj spotkać się z twoją matką podczas lunchu.

- Naprawdę? Nie wspomniała o tym ani słowem. Nasza sekretarka jest na urlopie, a gdy jej nie ma, biuro zawsze pogrąża się w chaosie. Najgorzej wygląda sytuacja z harmonogramem mamy. Jest u siebie. Tędy.

- Annalisa pokonała krótki korytarz, potem przeszła przez jakiś pokój, pracownię projektową ze stołem kreślarskim, regałami pełnymi katalogów i ciężkich segregatorów, potem jeszcze przez mały pokój wypoczynkowy z aneksem kuchennym. Zastukała i otworzyła drzwi.

- Mamo?

Laurel stała przy biurku. Jasne światło wpadające przez okno oświetlało jej sylwetkę.

- Słucham, kochanie? Ja... - Jej wzrok spoczął na Judzie. Od razu zacisnęła usta.

Przez ułamek sekundy poczuł panikę - to uczucie zaatakowało go z zaskoczenia. Zapomniał już o tym silnym i nieokreślonym uczuciu, które nachodziło go, ilekroć ją widział.

- Jud przyszedł spotkać się z tobą na lunchu. - Annalisa odwróciła się w jego stronę. - Miło było znów cię zobaczyć. Pa, mamó.

Laurel skrzyżowała ręce na piersiach. Jej postawa i mina wyrażały upór.

- Cóż to za historia z lunchem?

Wszystkie jego róże stojące razem w wazonie na biurku powiedziały mu więcej niż słowa Laurel. Dotknął jednego z kwiatów i powiedział:

- Nie zadzwoniłaś, więc przyszedłem osobiście. Dzięki za kaktusa.

- To śmieszne. - Usiadła w fotelu, zaczęła coś mówić, ale jej spojrzenie powędrowało ponad jego ramieniem. Annalisa przechodziła właśnie przez korytarz, pomachała do matki, a potem zniknęła w innym pomieszczeniu. Sekundę lub dwie później rozległy się odgłosy pracy kopiarki. Na twarzy Laurel widać było wyraźną frustrację, kiedy nachyliła się w stronę Juda i szepnęła:

- Dlaczego to robisz?

- Co takiego?

Annalisa wetknęła głowę do pokoju.

- Wychodzę na teren budowy. Miłego lunchu.

Jud zaczekał, aż do jego uszu dotarł odgłos zamykanych frontowych drzwi.

- Chcę zabrać cię na lunch. Nasza przeszłość kryje kilka nierozwiązanych spraw, a teraz mamy wspólnie robić interesy. Powinniśmy zakopać topór wojenny.

- Dlaczego nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nie chcesz go zakopać, ale zatopić, i to we mnie?

Jud uniósł ręce do góry.

- Zawieszenie broni.

- Nie wierzę ci.

- To powinna być moja kwestia. Laurel wyglądała tak, jakby Jud właśnie uderzył ją w twarz.

To smutne, że męskie ego potrafiło się tak nadać na przestrzeni lat. Stanowił paskudny przypadek urażonej dumy - to uczucie właśnie znalazło swoje ujście. Zamiast przeproszać powiedział spokojnie:

- Pogadajmy przy kanapce.

- O czym mamy rozmawiać?

- O twojej firmie. Twojej córce. Twoim życiu po roku siedemdziesiątym.

- Nie zrezygnujesz, prawda?

-Nie.

Przyglądała mu się. Rysy jej twarzy wyrażały napięcie, potęgowane stukaniem palcami o blat biurka - mogło to być zarówno przejawem złości, jak i nerwowości. Kilka sekund później Jud dostrzegł jednak, że Laurel podjęła jakąś decyzję.

- W porządku, chodźmy - powiedziała, biorąc torebkę.

Na zewnątrz słońce odbijało się od metalowych i szklanych elementów fasad. Pojedyncze złote promienie harcowały również we włosach Laurel.

- Do twarzy ci z jasnymi włosami - powiedział, a ona zatrzymała się i dotknęła włosów tak jak kiedyś. Jej fryzura sięgała do połowy szyi, a końce włosów delikatnie podwijały się do wewnątrz, co tworzyło obramowanie podkreślające piękno jej twarzy.

- Zmiana to coś dobrego - odparła z ożywieniem. - Pozwolenie, by sprawy toczyły się własnym torem, bywa jeszcze lepsze.

W taki sposób wyglądała ich rozmowa w drodze do restauracji. Mówiła niewiele, serwując mu jedno- lub dwuwyrzowe odpowiedzi, pełne niedomówień. W końcu Jud uznał, że może nigdy nie uda mu się dotrzeć do tej Laurel z fotografii.

Po pięciu pełnych napięcia minutach jego towarzyszka rozsiadła się swobodnie w fotelu. Nie miała już tego przerażonego wyrazu twarzy, który widział podczas służbowego przyjęcia oraz w jej biurze.

- Nie bardzo nam idzie z tym rozejmem, prawda?

- Nie. Wiem, że cię do tego zmusiłem - powiedział. - Możesz wierzyć lub nie, ale nie planowałem tego. Annalisa spytała mnie, co robię w waszym biurze.

-I co robiłeś?

- Chciałem się z tobą zobaczyć, a szansa na lunch pojawiła się sama z siebie.

- A więc skłamałeś.

- W tym świecie nie dostaniesz tego, co chcesz, jeśli pozwolisz, by szansa przeszła ci koło nosa.

- Wiesz, jesteś drugą osobą, od której to słyszę. Czy ja wyglądam na kogoś tak pasywnego?

- Nie mówiłem o tobie. Miałem na myśli siebie samego - wyznał.
Gdy podjechał pod restaurację, nastrój Laurel uległ zmianie. Zaczęła się śmiać.

- Często tu bywasz? - spytała. Oparł ręce na kierownicy i stwierdził:

- Pewnie nie lubisz tego lokalu.

- Jest wspaniały. Nie mogę przepuścić okazji, żeby tu nie zajrzeć - odparła pogodnie. - Chodźmy.

Szybko wysiadła z samochodu. Jud dogonił ją dopiero wewnątrz lokalu.

- Co cię tak cholernie bawi?

- Laurel! - Szef kuchni objął ją w niedźwiedzim uścisku. Od razu oboje pograżyli się w rozmowie dotyczącej ich córek, menu z ubiegłego miesiąca, świeżych kwiatów i homarów. Jud stał obok, czując się głupio i kompletnie bezużytecznie. Dopiero chwilę później został zauważony przez gospodarza.

- Panie Banning... Nie zauważyłem pana.

- Przyszliśmy razem, Thomas - powiedziała Laurel.

- Macie do dyspozycji najlepszy stół - usłyszeli w odpowiedzi.

Thomas zaprowadził ich w ten sam zaciszny kąt, z którego Jud obserwował, jak odchodziła od niego Kelly. Przez okno mieli wspaniały widok na Pacyfik. Promienie słońca odbijały się od jego niebieskiej, falistej powierzchni. Niebo wydawało się jeszcze bardziej błękitne niż woda. To był jeden z tych dni, w który można było dać się zwieść pozorom i uznać, że zakochanie się w kimś to łatwa rzecz.

W ciągu kilku sekund kelnerzy i służba z wózkami kręcili się wokół ich stolika. Natychmiast nalano lodowatą wodę, porozkładano im na kolanach serwetki, a kilka pierwszych minut upłynęło Laurel na krótkich rozmowach z niemal każdą spośród zatrudnionych tu osób.

Kiedy ostatnia z nich się oddaliła, Jud powiedział:

- Dobra. Zrozumiałem dowcip. To jedno z miejsc, które projektowałaś.

- Nigdy wcześniej tu nie byłam - powiedziała z powagą na twarzy.

- Dlaczego mam wrażenie, że szef kuchni przyjdzie, żeby osobiście przyjąć od ciebie zamówienie? - Spojrzał do menu i wreszcie prawda uderzyła go prosto w twarz. W jednej chwili poczuł się jak dumny palant. - To restauracja Berica Kinga... to samo nazwisko pojawia się w nazwie King Professional Design...

- Beric to mój były mąż.

Jud nie był przygotowany na taką wiadomość. Znał tego człowieka, jadał podczas różnych przyjęć jego wyśmienite, niezrównane potrawy. Często bywał także w lokalnych restauracjach Berica. Obsługa знаła go tam z nazwiska, tak jak tutaj. Jednak obraz Laurel jako żony tego enigmatycznego człowieka spowodował u Juda lekki wstrząs. Po tylu latach zapomniał, jak dotkliwa potrafi być zazdrość, chociaż rozsądek podpowiadał mu, że taka reakcja w tej sytuacji jest czystą głupotą. Zamówił szkocką, Laurel poprosiła o viognier*.

** Białe wino z jednego z mniej znanych szczepów winogron, rozpowszechnionego nad Renem i w Kalifornii.*

- Na pewno wiesz, że Matthew właśnie podpisał z nim kontrakt, oddając mu restauracje w projekcie Camino Cliff.

- Wiem - odpowiedziała. - I to jak dobrze wiem...

Jej ton mówił wszystko na temat relacji łączących ją z byłym mężem. Jud zrozumiał, że to ona rozwiodła się z Berikiem Kingiem, a nie odwrotnie. Miał też nadzieję, że szef kuchni był fatalnym mężem, choć Laurel wcale nie należała do osób, które się poddawały. Wcale nie żałował, że zamówił szkocką, bo nie zawsze potrafił poradzić sobie ze swoimi emocjami.

- Beric pomachał nam kontraktem przed nosem. Nigdy nie robi niczego na pół gwizdka. Stworzy zamęt na etapie planowania, będzie chciał kierować całym projektem, wytknie wszystko, co źle robisz, a do tego nieustannie będzie zmieniał zdanie. - Laurel uniosła kieliszek w geście udawanego toastu i upiła łyk. - Witam w moim koszmarze.

- To Matthew kieruje tym projektem, więc to on będzie musiał radzić sobie z Berikiem. Jednakże... - Jud potrząsnął głową i lekko się roześmiał. Cóż innego można zrobić, gdy przypadek sprawia, że świat nagle staje się mały, a człowiek stwierdza, że znalazł się w pułapce w konsekwencji własnych czynów? - To ja zaproponowałem jego kandydaturę.

- Może powinieneś zabrać mi nóż, nim zaczniesz przyznawać się do takich rzeczy?

Jud odłożył kartę menu i oparł łokcie na stole, a potem spojrzał Laurel prosto w oczy.

- Mam pomysł. Zamów coś w moim imieniu. Masz szansę, żeby wyrównać rachunki.

- Niech cię diabli, Jud. Wiesz, że nie potrafię używać żywności jako broni. Mój zmysł kulinarny pozwala mi zamawiać jedynie najlepsze rzeczy. Przestań się szczerzyć, draniu - powiedziała słodko - bo zamówię

dla ciebie mózdzki cielece. To rarytas, a Bóg mi świadkiem, że dodatkowa odrobina mózgu nigdy nie zaszkodzi facetowi.

- Auć - powiedział, upijając łyk drinka. - Nie potrzebujesz noży, Nimfetko. Twój język jest wystarczająco ostry.

Laurel nachyliła się do przodu i szepnęła:

- Powinieneś przestać mnie tak nazywać. Jud wzruszył ramionami.

- Łączy nas przeszłość. Nie da się uciec przed tym faktem. Minione wydarzenia nie znikną tylko dlatego, że czujesz z ich powodu dyskomfort.

- Odstawił swojego drinka i zadał pytanie: - Dlaczego tak się dzieje?

Laurel potrzebowała dłuższej chwili na odpowiedź.

- Prawda jest taka, że nie wiem, czego ode mnie chcesz.

- Ja również tego nie wiem - skłamał ponownie Jud.

Po chwili pojawił się kelner i przyjął zamówienie od Laurel. Jud zastanawiał się, dlaczego się tu znajduje. Ich intymny związek w jego oczach nigdy nie stracił blasku. Musiał przyznać, że pamięć o Laurel towarzyszyła mu przez te wszystkie lata - było to wyraźne, bolesne i zaskakujące uczucie. Czasami myśl o niej potrafiła przyćmić wspaniałą chwilę. Dziwaczne uczucie czegoś niedokończonego podążało za nim przez całe życie.

Kelner powiedział coś, co znowu wywołało śmiech Laurel - ten chrapliwy dźwięk stworzony przez naturę do przyciągania uwagi mężczyzn. Jud rozsiadł się wygodnie na krześle, a gdy kelner oddalił się od stolika, skomentował:

- Złożyłaś zamówienie, nawet nie zaglądając do karty dań.

Imponujące.

- Wiem o jedzeniu wszystko, co trzeba. Nie wiem natomiast, dlaczego tutaj jestem. - Jakiś cień przemknął przez jej twarz. Ten rodzaj ponurego bólu mało kto potrafi ukryć.

- Kiedy patrzysz w ten sposób, nie mogę uwierzyć, że życie tak bardzo cię skrzywdziło, Laurel.

Zamknęła oczy, jakby mogła w ten sposób przed nim się ukryć. Zaczęła powoli i miarowo oddychać, w końcu spytała:

- Dlaczego przyszedłeś? Skąd te kwiaty?

Jud zastanowił się przez chwilę, a potem przyznał:

- Nie potrafię przegrywać.

- Przegrałbyś jeszcze więcej, gdybym została i dalej tkwiła między tobą a Cale'em.

- Wiesz, jest coś, czego nie rozumiem.

- Co takiego?

- Przecież odrzuciłaś go już wcześniej. Laurel opuściła wzrok na własne ręce. Wypiła wino. Nalała sobie kolejny kieliszek i spytała:

- Jak długo to trwało?

- Chodzi ci o Cale'a?

- Tak, o niego.

Jud wzruszył ramionami.

- Był wściekły przez jakieś pół roku, potem spotkał kogoś innego.

Chociaż Jud i Cale byli sobie bliscy, najbardziej bolesnych wydarzeń z przeszłości nie dało się wymazać, a w przypadku tej zdrady nie pojawiła się druga szansa. Obaj bracia odczuwali ból otwartych ran, brak zaufania wciąż ich dzielił mimo upływu lat. Pewne rzeczy, których człowiek

doświadczy w życiu, na zawsze stają się jego częścią - do nich należą głębokie rany szarpane i nic ich nie może uleczyć.

Urywany sposób mówienia Laurel zdradzał, jak bardzo się pilnowała, zupełnie jakby chciała wypełnić dziwną, pełną ciszy pustkę, w którą wpadali, gdy jego uporczywe pytania wymagały odpowiedzi, które sięgały zbyt głęboko. Tak więc Jud dolewał jej kosztownego wina, obserwował i słuchał, a w tym czasie na stole pojawiały się sałatki i kolejne dania.

Wino sprawiło, że Laurel się rozluźniła. Wkrótce zaczęła swobodnie rozmawiać o restauracjach, gotowaniu, miejscach, które oboje dobrze znali, kartach dań. Omawiała każdą potrawę, pikantne sosy, pachnące dymem lub świeżymi ziołami, a także różnice pomiędzy amerykańskim i francuskim jedzeniem. Jud zastanawiał się, dlaczego Laurel musiała uciec na inny kontynent.

- Gdy spędzisz dużo czasu za granicą, po powrocie wiele rzeczy widzisz inaczej. Sama tego nie rozumiem - powiedziała. - Ten kraj ma tyle bogactw i wiedzy, a mimo to wpadamy do przydrożnych knajp, żeby kupić hamburgery zrobione z wołowiny naszpikowanej hormonami. Owoce w sklepie mają ładny kolor, zwłaszcza jeśli odpowiednio obficie się je nawoskuje i wyhoduje pod lampami w szklarni, ale nigdy nie będą miały soczystego smaku owoców dojrzewających w promieniach słońca i pochodzących z zielonego krzaka zasadzonego w ziemi. Tam truskawki można jeść prosto z krzaka, śmietanę oddziela się od mleka każdego ranka, a masło robi się godzinę przed posiłkiem. Bagietka jest podawana prosto z pieca, a jajka są naprawdę świeże. - Przerwała nagle swój monolog. - Dlaczego się śmiejesz?

- Posiłek z tobą zawsze jest czymś niezwykłym. - Nalał jej ostatni kieliszek wina z drugiej butelki. Na szkle widać było wyraźny, czerwony ślad ust. Jej opowieść sprawiła, że Jud przeniósł się w czasie i znalazł się w trakcie zupełnie innego posiłku. Przez krótką chwilę był o trzydzieści lat młodszy i czuł ciepło czegoś, co utracił. Laurel kierowała słowa dotyczące jedzenia do mężczyzny, którego nękał inny głód. - Czas wcale nie zmienia wszystkiego. - Uniósł kieliszek i skierował go w jej stronę, gdyż nagle wyglądała tak, jakby poczuła się niezręcznie. - Za starych przyjaciół.

Laurel wypiła, ale nie odzywała się, w milczeniu wpatrując się w pusty kieliszek, na którego krawędzi wciąż widniało odbicie jej ust. Jud przypomniał sobie, że całe lata temu też tak słuchał jej, podczas gdy jego głowę wypełniały szalone myśli. Jedyną, którą potrafił określić słowem, było zadowolenie. Lata rozłąki sprawiły, że widział wszystko tak dokładnie, jakby patrzył przez przezroczysty kryształ, rozumiał więc, że jego życie splotło się z jej losem. Laurel była jego pierwszą prawdziwą miłością, a on nigdy nie opłakiwał tego uczucia, ponieważ ono wcale nie umarło.

Nerwowość Laurel, unikanie go oraz cień, który przemknął przez jej twarz - to wszystko sprawiło, że Jud miał podstawy sądzić, że ona walczy z tymi samymi uczuciami. Jednak mógł się również całkowicie mylić. Istniała możliwość, że ona nic nie czuje. Wcale nie było wykluczone, że on pędzi właśnie prostą drogą w kierunku betonowej ściany. Nie mając nic do stracenia, powiedział:

- Nigdy nie wpadłbym na to, żeby szukać cię we Francji.
- To była decyzja podjęta pod wpływem chwili.
- Co sprawiło, że wróciłaś?

- Ambicja Berica oraz Annalisa - odpowiedziała szybko, a po chwili dodała: - No i matka, która błagała, żebym wróciła. Miała po temu powody. Nasze życie się zmieniło, więc wróciliśmy. - Odłożyła serwetkę na stół i nerwowo rozejrzała się wokół. - Lokal opustoszał. Mój Boże... słońce zachodzi. Która godzina?

- Po piątej.

- Musimy iść. - Szybko wstała, po czym usiadła i przyłożyła rękę do głowy. - Ile wina wypiałam?

- Prawie dwie butelki, ale to ja prowadzę.

Ujął ją za ramię i opuścili lokal. Kiedy Jud uruchomił samochód, Laurel spojrzała na niego i oznajmiła:

- Nie mogę prowadzić.

- Nie musisz. To mój samochód.

- Wiem. Nie rozumiesz. Moje auto stoi niedaleko biura.

- Zawiozę cię do domu, Laurel. Po prostu powiedz mi, gdzie mam pojechać.

Ku jego zaskoczeniu mieszkała jakieś kilkanaście kilometrów od jego kondominium w Balboa. Zastanawiał się, jakie zrządzenie losu sprawiło, iż ich drogi życia ponownie się przecięły. Ile razy minęli się na ulicach, ile razy stali niedaleko siebie na stacji benzynowej, w sklepie czy w teatrze? Dzisiaj odkrył, że jadał niemal wyłącznie w restauracjach, które odwiedzała również i ona. Spotkał już wcześniej jej męża. Kilkadziesiąt centymetrów od niego siedziała kobieta, która nauczyła go, że życie jest łagodne, a pewne rzeczy mamy w nim na wyłączność. To ona pobudziła jego ambicję, która zaślepiła go na wiele lat, dzięki czemu delikatniejsze

aspekty życia znalazły się bezpiecznie poza jego zasięgiem. Zawdzięczał ten fakt jej oraz sympatii do poetów minionych stuleci, piszących wersy o miłości i kobietach, które ich opuściły. Jeden z takich wierszy brzmiał:

*Lecz my, miłości tak wspaniale
Pewni, że już nie wiemy sami,
Czym jest - my nie musimy wcale
Stykać się dłońmi czy wargami.*

- Skreć tutaj... Jud?

Wrócił do realnego świata i uświadomił sobie, że przygląda się jej oczom, wargom i dłoniom.

- Słucham?

- Minałeś zjazd.

- Przepraszam.

Zawrócił i kierując się jej wskazówkami podawanymi pełnym napięcia głosem, doprowadził samochód na miejsce parkingowe przy ulicy biegnącej na tyłach ciągu domów.

- Odprowadzę cię do drzwi - zaproponował.

Nie spierała się z nim. Idąc w stronę domu, niosła w ręce swoje buty, a on położył dłoń na jej biodrze. Kiedy szukała kluczy, stał na werandzie z rękami w kieszeniach, otoczony doniczkami pełnymi jaskrawych kwiatów, i patrzył na fale delikatnie uderzające o brzeg.

- Założę się, że w lecie i w weekendy bywa tu dosyć tłoczno - powiedział.

- Owszem. Beric uskarżał się na tłumy. Mówił, że to przypomina mieszkanie w słoju dla rybek. Ja uwielbiam to miejsce. Podoba mi się cały ruch w koło. Mieszka tu kilku zawodowych siatkarzy i często ćwiczą. Na

ogół ludzie są przyjaźni i skupiają się na własnych sprawach. Kiedy mieszka się samemu, czasem dobrze mieć wokół innych ludzi. Hałas oznacza życie. Mogę tu siedzieć i korzystać z tych odgłosów, kiedy tego chcę. Noce zawsze są spokojne. - Laurel wzruszyła ramionami. - W moim przypadku to lokum się sprawdza.

Jud oparł się o poręcz i obserwował ją. Drzwi wejściowe były otwarte, a ona stała w nich w nieco defensywnej pozycji.

- Dziękuję za lunch... i kolację. - Roześmiała się.

- Wszystko w porządku, Nimfetko?

- Wszystko dobrze. Jestem cała i zdrowa w domu. - Weszła do środka i obejrzała się za siebie.

Jud nie ruszył się.

- Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała i zamknęła drzwi.

Jud zszedł po schodach, ominął kępę żółtych kwiatów i skierował kroki w stronę plamiastego piasku. Poczł wiatr od morza, targający go za włosy i kołnier. Kilkanaście kilometrów dalej okna jego kondominium wychodziły na wypełnioną łodziami przystań - przestrzeń spokojnej wody za falochronem. Tutaj odbierał siłę fal i czuł smak soli w powietrzu. Grupa surferów w skafandrach upodabniających ich do fok niosła swoje krótkie deski, idąc wzdłuż domków. Na pobliskim patio siedziała para, sącąc drinki przy akompaniamencie muzyki jakiegoś trębacza jazzowego. Niewysoka, jasnowłosa kobieta spacerowała po piasku z parą psów, podczas gdy mewy hałasowały wysoko w powietrzu, zaróżowione od promieni zachodzącego słońca.

Spojrzał za siebie na dom Laurel, w odległości może piętnastu metrów od niego. Wiatr wiał mu w plecy. Nad głową świecił księżyc i niebo powoli traciło kolory. Z pokoju na piętrze sączyło się ciepłe światło, a on nagle poczuł niewytłumaczalny przyływ spokoju.

Dwie dusze jedną są istotą,
Więc w czas rozłąki się nie zmieniają:
Jak wyklepane w drucik złoto,
Nie przerwą się, lecz rozprzestrzenia.

Jud stał, nie zwracając uwagi na upływający czas. Dopiero kiedy zrobiło się ciemno, poszedł do swojego samochodu i odjechał. Później tej nocy, gdy leżał w łóżku, zadał sobie to pojedyncze, ulotne pytanie - dlaczego właśnie ta kobieta? Odpowiedź była jeszcze bardziej ulotna, żaden człowiek bowiem nie może zrozumieć własnej obsesji.

Annalisa niemal przez tydzień unikała Matta Banninga na terenie budowy. Gdy w trakcie jej spotkania z jednym z podwykonawców pojawili się Matt oraz Beric King, rzuciła pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy:

- Co ty tu robisz?

Matt wydawał się tak przestraszony, że chciała cofnąć swoje słowa.

- Czy tak powinna się zwracać córka do ojca? - spytał porderwowany Beric. - Czy potraficie uwierzyć, jak ona się do mnie odnosi? Nauczyła się tego od matki.

Za pomocą tych trzech zdań potraktował ją jak małą dziewczynkę na oczach mężczyzn, których szacunek starała się sobie zaskarbić ciężką pracą. Beric odwrócił się do Matthew:

- Słyszałeś to?

- Pewnie - przyznał Matt z rozbawieniem. Doskonale wiedział, że słowa Annalisy były skierowane do niego.

Dziewczyna usiadła na rogu stołu roboczego i wykorzystała chwilę, by odłożyć długopis i notatnik.

- Zaskoczyłeś mnie - wyjaśniła ojcu, ale go nie przeprosiła. - Dlaczego tutaj jesteś?

- Muszę natychmiast porozmawiać z tobą na temat planów restauracji Camino Cliff.

Matt wysunął się o krok do przodu.

- Beric twierdzi, że potrzebuje więcej przestrzeni na kuchnię.

To był idiotyzm, gdyż wewnątrz kuchni nie zostało jeszcze zaprojektowane. Annalisa stanęła twarzą w twarz z ojcem.

- A po co? Jest tam mnóstwo przestrzeni.

- Nie. Nie. - Beric potrząsnął głową, obszedł stół i ciężko opadł na skórzany fotel. - Jest o wiele za mała.

- Ale nie zaprojektowaliśmy jeszcze rozmieszczenia urządzeń. Do targów został zaledwie tydzień. Nie możesz mówić o problemie, gdy widziałeś jedynie plany.

Beric obrócił się wraz z fotelem, a potem nachylił się nad stołem, którego całą powierzchnię pokrywały projekty.

- To już jest olbrzymi problem. Widzę to. Popatrz tylko. - Szturchnął palcem plany. - Ja to wiem. Po prostu czuję takie rzeczy.

Gdy zaczął mówić o swoich odczuciach, Annalisa zrozumiała, że robi to wszystko celowo. Nie mogła tylko uwierzyć, że w tak ewidentny sposób próbuje podkopać jej autorytet.

- Pokaż nam, gdzie wyczuwasz problem. Proszę. - Nachyliła się nad ojcem, żeby znaleźć coś poza faktem, który już dostrzegła. Oboje na łeb na szyję pędzili w stronę mety w wyścigu, który on rozpoczął. - Nie możemy niczego naprawić, jeśli nie wiemy, co jest nie w porządku.

Sekundy mijały, a Beric nie odezwał się ani słowem. W milczeniu spojrział na plany.

- Jeśli uważasz, że coś jest nie w porządku, przyjrzyj się i powiedz nam, co wywołuje to odczucie.

Gdy Annalisa wypowiadała te słowa, jej ojciec powoli podniósł na nią wzrok.

- Nie sądzę, bym potrafił wyrazić to słowami.

- Nie musisz. Po prostu pokaż.

Kierownik budowy odkasznął, ale Annalisa nie spuszczała wzroku z ojca.

- Pozwól mi dokończyć... proszę - powiedział jej ojciec tym irytującym tonem, stanowiącym mieszankę cierpliwości i łaskawego zniesienia się do czyjegoś poziomu. - Nie sędzę, bym potrafił wyrazić to słowami, które zrozumiesz, *ma petitejeune*.

W tej chwili Annalisa poczuła się tak krucha, że gdyby ktoś jej dotknął, rozpadłaby się na drobne kawałki. Matt położył dłoń na ramieniu jej ojca.

- Wiesz, Beric, Annalisa jest jedną z najinteligentniejszych młodych kobiet, z którymi miałem przyjemność pracować. Na spotkaniu kilka dni wcześniej rozmawiałem o tym z Jimem i Peterem, naszymi architektami. Jesteśmy przekonani, że Annalisa potrafi zająć się każdym problemem lub kwestią w tym projekcie, który poruszysz.

Nie wiedziała, czy powinna uściskać Matthew, czy też porządnie mu przywalić. Chciała jedynie, by mężczyźni obecni w tym pomieszczeniu zrozumieli, że ona potrafi sobie samodzielnie radzić.

- Jim? - zwróciła się do wykonawcy. - Jak kłopotliwa na tym etapie będzie zmiana powierzchni kuchni?

- No cóż, mamy dwie możliwości. - Jim przyjrzał się planom. - Możemy przenieść tutaj zamrażarki, a tu zyskać dwa i pół metra. To dałoby nam niecałe dziesięć metrów kwadratowych. Możemy również przesunąć ścianę i zlikwidować patio pomiędzy zachodnim narożnikiem a miejscem na kubły na śmieci. W ten sposób zyskalibyśmy kolejnych piętnaście metrów kwadratowych.

- Które rozwiązanie jest droższe? - spytała Annalisa.

- Likwidacja patio, ponieważ w ten sposób zmieniamy zewnętrzny obrys budynku.

- A więc przeniesiemy zamrażarki. Porozmawiam z producentami i wykonam kilka projektów. Zobaczę, czy na targach nie znajdę czegoś nowego. - Nie pytała nikogo o opinię, zwłaszcza ojca, który rozparł się w fotelu i przyglądał córce z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Chwilę później gwałtownie wstał ze swojego miejsca.

- Sądzę, że moja córka znalazła doskonałe rozwiązanie. „Jego córka”. Annalisa użyła całej siły woli, by nie jęknąć i nie ukryć twarzy w dłoniach. Wszystko wokół zawsze musiało jakoś wiązać się z Benkiem.

- Zostawiam was, pracujcie. - Machnął ręką do Matta. -Siedź, siedź. Znajdę drogę do wyjścia. - Podeszedł tylko do córki i pocałował ją w policzek. Beric King był mężczyzną, który zaznaczał wszystko, co do niego należało - umieszczał swoje nazwisko na markizach restauracji, odciskał je na urządzeniach kuchennych i stojących w chłodni paczkach z zamrożonymi składnikami. W ten sam sposób traktował również córkę, próbującą osiągnąć niezależność. - Zadzwoń do ciebie później, *ma petite jeune*.

Zaraz potem opuścił pokój. Przez kilka sekund nikt się nie odezwał. Annalisa pierwsza przerwała ciszę:

- Tata mógłby mierzyć się z Gretą Garbo, jeśli chodzi o efektowne schodzenie ze sceny. - Położyła dłoń na stole, a potem dodała: - Matka jest święta.

Jim wybuchnął śmiechem i wstał.

- Całym sercem jestem z tobą, mała. Idziemy po kawę. Czy wy też się do nas przyłączycie?

- Nie - odpowiedzieli jednocześnie Annalisa i Matt.

Gdy wszyscy wyszli, dziewczyna skrzyżowała ramiona i spojrzała na Matta.

- Nie musisz bronić mnie przed moim ojcem.

- Wszystko, co powiedziałem, to szczerą prawdą.

- Cieszę się, że faceci zaangażowani przy tym projekcie darzą mnie zaufaniem. Jak już wcześniej zaznaczyłeś, jestem młoda.

- Słyszałem już uwagi na ten temat, gdy ci ludzie spotkali cię po raz pierwszy - powiedział Matt ze szczerością, którą u niego lubiła. - Niektórzy sądzą, że zatrudniłem cię z zupełnie innych powodów.

Annalisa roześmiała się frywolnie.

- Trzech z nich widziało, jak próbowałeś mnie zaprosić po oficjalnym przyjęciu.

- Normalnie nie zachowuję się tak paskudnie. Prawda wygląda tak, że w krótkim czasie zdołałaś przekonać wszystkich, którzy mieli jakieś zastrzeżenia.

- Dzięki, że to mówisz. - Annalisa rozluźniła się. - Powinieneś wiedzieć, że mój tata ma inne plany. Chciałby, żebym została szefem kuchni - małym, żeńskim klonem jego osoby. Odmówiłam i pracuję z mamą. Sądzę, że właśnie o to dzisiaj chodziło.

- Jeśli tak było w rzeczywistości, dobrze sobie poradziłaś. - Matthew Banning stał ponad pół metra od niej - wystarczająco blisko, by mogła wyczuć zapach jego wody kolońskiej. Chwilami chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go. Spoglądanie na własne stopy było bezpieczniejsze. Annalisa

strzepnęła ze spódnicy wymaginowany pyłek i skrzyżowała ramiona. Tak właśnie działał instynkt samozachowawczy.

- Sposób, w jaki poradziłaś sobie z ojcem, zrobił na mnie duże wrażenie.

- Nabrałam wprawy, a do tego przez wiele lat obserwowałam matkę. Mój ojciec nie wie tylko, że koszty tych zmian będą musiały odbić się na jednym z pozostałych elementów jego budżetu. Nie przekroczę pierwotnych planów finansowych, a już na pewno nie zrobię tego z powodu jego delikatnego ego. -Dopóki nie wypowiedziała tych słów na głos, sama nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest urażona i rozżłoszczona. - Jak wrócę z targów, znajdę sposób, by zrównoważyć koszty.

- Nie wątpię w to, Annaliso.

W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy. Przez ułamek sekundy na jego twarzy pojawił się zawód, później przeprosił ją i odszedł kilka kroków, by odebrać.

Ona również oddaliła się i zanotowała coś w terminarzu. Rozmawiał przyciszonym głosem, a na koniec powiedział:

- Ja również.

Annalisa poczuła ostre ukłucie rozczarowania. „Ja również” stanowiło uniwersalną odpowiedź na wyrażenia typu „kocham cię”, „pragnę cię” czy „tęsknię za tobą”.

Gdy współpracownicy wrócili, Matt włożył telefon do kieszeni, obdarzył Annalise krótkim spojrzeniem i oznajmił:

- Muszę wracać do biura. Pogadamy później.

Annalisa wpatrywała się w drzwi długo po tym, jak się zamknęły. Słyszała, jak Matt uruchamia silnik. Spod opon jego samochodu wystrzelił żwir, podczas gdy w tle słychać było Johna Mellencampa śpiewającego piosenkę *I Need a Lover*. W swoim samochodowym odtwarzaczu CD miała płytę z tą samą piosenką w wykonaniu Pat Benatar. Nagle zapragnęła wybuchnąć śmiechem lub uciec z tego miejsca. Jim zadał jej pytanie dotyczące zmian w projekcie i Annalisa wróciła do pracy, jednak gdy tylko mogła, wyglądała na zewnątrz przez metalowe żaluzje. Mając przed oczyma teren budowy, zastanawiała się, czy Matthew Banning prowadzi jakąś grę.

Cale jeszcze kilkakrotnie spotykał się z Rickiem Sachsem, a każda sesja przynosiła odpowiedzi na pytania wymagające coraz głębszego zastanowienia. Ludzkie ego było ważne dla medycyny, ale nic nie było ważniejsze nad życie pacjenta. Chirurg jasno przedstawił swój punkt widzenia Sachsowi.

Kwestie poruszane podczas tych rozmów Cale dobrze znał, jednak nie były dla niego całkiem oczywiste i miał kłopot z tym, by samodzielnie się z nimi uporać. Nie potrafił zastosować swojej wiedzy w praktyce - a właśnie ta umiejętność pozwalała chirurgowi na wykorzystanie empatii i współczucia, a także pomagała podejmować niezbędne decyzje bez okazywania słabości.

- Dokonujesz cięcia i znajdujesz coś nieoczekiwanego - wyjaśniał Cale. - Nigdy nie ma wskazówek. Później możesz przejść przez wszystko jeszcze raz, przejrzeć wyniki badań i notatki, odtworzyć w umyśle każdy swój ruch, a mimo to i tak czujesz jakieś zakłopotanie.

Rick zdjął okulary.

- Pacjenci umierają na skutek powikłań.
- Owszem.
- Ja o tym wiem, Cale. Ale czy ty to rozumiesz?

Tak postawione pytanie kołatało mu w głowie długo po opuszczeniu gabinetu Sachsa. Jak to się stało, że dotarł do punktu, w którym było zagrożone wszystko, czego nauczył się na temat medycyny? Musiał jakoś przez to przejść. Pod tym względem nie różnił się wcale od swoich pacjentów - spodziewał się, że lekarz powie właśnie to, co on chce usłyszeć, i wtedy w mgnieniu oka w niebyt odejdzie dramat iluzjonisty utrzymującego, że stracił swoje zdolności magiczne. Cale uznał, że musi odkryć jakiś sposób, by je odnaleźć.

Było już całkiem ciemno, kiedy sfrustrowany, niepewny i zły na siebie Cale pokonał drogę dzielącą garaż od jego domu przy Harbor Ridge.

- Tato! Dobrze, że jesteś. - Dane wyłonił się z salonu. Był nieogolony, miał zmierzwioną fryzurę, pogniecione ubranie i krzywo zapiętą koszulę.

- Wszystko w porządku?

- Miałem dzisiaj przypadek pacjentki z ubytkiem w przegrodzie międzyprzedsionkowej. Trzynastolatki. Coś naprawdę niebywałego. - Dane był zaczerwieniony i podekscytowany, chodził tam i z powrotem, nie mogąc ustać w miejscu, oczy mu błyszczały. Opowiadał o swoim pierwszym zabiegu kardiologicznym, chwilami zacinając się, gdy za pomocą określeń medycznych i tak dobrze znanych ojcu opisów chirurgicznych pośpiesznie streszczał pełne napięcia godziny spędzone na sali operacyjnej.

Cale wrócił myślami do czasów, gdy jego synowie byli całkiem mali i fascynowały ich zjawiska tak zwyczajne, jak kopiący norę krab, muszla zaplątana w wodorosty czy też pelikan nurkujący w poszukiwaniu pożywienia. Z tamtego okresu pochodziło wspomnienie jasnowłosego szkraba ścigającego przez całe podwórko motyla. Chłopiec śmiał się i tryskał radością, nawet gdy stworzenie wymykało mu się z rąk. Codzienne stresy przesłaniały Cale'owi wtedy wszystkie zwyczajne rzeczy, podczas gdy w oczach jego małego syna były one małymi cudami. Teraz Dane, zrodzony z pełnej napiętności chwili pomiędzy rodzicami, stał przed ojcem rozczochrany i z gorejącymi oczami. Jeszcze niedowierzał, że sam tego dokonał. To uczucie aż promieniowało od niego, tak samo jak podniecenie, pasja i coś, co Cale również odczuwał, ale jakby w innym życiu, wiele lat temu. Boże, jak bardzo chciałby być teraz na miejscu swojego syna...

- Początkowo to było dziwne, wiesz? Byłem zdenerwowany. Czuję się, jakbym wkraczał na zabronione terytorium. Chwilę później trzymałem już w dłoni ludzkie serce, przypominające schwytanego ptaka. Potem wszystko poszło idealnie. Boże... Tato, jesteś szczęściarzem, że możesz to robić przez całe życie. - Dane przestał krążyć po pokoju i zatrzymał się z podniesionymi rękami, zwracając się w stronę ojca z respektem, który sprawił, że Cale poczuł się jak oszust. - Ja też chciałbym się zająć kardiologią.

Cale nie potrafił powiedzieć, kiedy sam poczuł powołanie. Zawsze gdzieś tam było, jakby podszeptywane przez Boga. Kiedy Dane zdecydował się studiować medycynę, Cale zastanawiał się, czy to naprawdę był wybór jego syna, czy też chęć zachowania tradycji

rodzinnej. W tej chwili zobaczył jednak powołanie chłopaka, z całą szczerością i cudem tego zjawiska. Otoczył Dane'a ramieniem.

- Nie mam wątpliwości, że będziesz w tym lepszy ode innie.

Dane mocno go uściskał.

- To niemożliwe.

Laurel kilka dni wcześniej dowiedziała się od matki, że Kathryn i Annalisa mają zamiar spotkać się na kolacji, zanim starsza pani wróci na wyspę. Zgodnie z tradycją w trakcie rozmowy w ogóle nie zostało poruszone to, co wydarzyło się między nimi tamtego wieczoru w jej sypialni. Dlaczego zmieniać zwyczaj ignorowania prawdy? Wszystkie te niewidoczne emocje wciąż tam były - tkwiły pomiędzy nimi tak samo uparcie jak nazwisko Banning.

Córka Laurel dotarła do stolika biegiem, z trudem łapiąc oddech.

- Przepraszam za spóźnienie. - Annalisa opadła na ratanowe krzesło między mamą i babcią. - Co za tydzień! - Upuściła torebkę na podłogę, po czym przyjrzała się im obu. Dopiero potem nachyliła się do przodu, przeszukując wzrokiem restaurację. - Gdzie jest kelner? Potrzebny mi kieliszek wina. Gdyby nie fakt, że jestem samochodem, zamówiłabym całą butelkę.

- Aż tak źle? - spytała Laurel.

- Tata wpadł w trakcie mojego spotkania z wykonawcą.

- Boże... Zaczęło się.

- Co się zaczęło? - zdziwiła się Kathryn.

- Beric.

Gdy pojawił się kelner, Annalisa zamówiła wino, po czym wyjaśniła:

- Po podpisaniu kontraktu na wykonanie projektu, babciu, firma zaczęła negocjacje z tatą jako z potencjalnym szefem wszystkich restauracji w kurorcie.

- Potrafię sobie wyobrazić, jak musiałyście zareagować na tę wiadomość - powiedziała Kathryn. - Beric zawsze był niezłym egzemplarzem. Nigdy nie podobała mu się wasza firma.

Annalisa upiła łyk wina.

- Chce, żebym była szefem kuchni.

- Tego samego chciał w przypadku twojej matki.

- Przez długi okres byłam szefem kuchni - powiedziała Laurel. - Trwało to do chwili, dopóki nie wypędził mnie z kuchni i z naszego związku.

- Pamiętasz tamto Święto Dziękczynienia? Kłóciliście się o coś z tatą, a on się wściekł i rzucił przez całą kuchnię twoim indykiem.

- Taaak, nasza wojna na artykuły spożywcze...

- Nigdy nie daruję sobie, że tamtego roku wybrałam się do Evie - rzuciła Kathryn. - Straciłam szansę, by odpłacić Bericowi za część tego teatru, który serwował nam latami.

- Nic nie mogło go powstrzymać - wspominała Annalisa ze śmiechem. - Krążył po kuchni z ziemniaczanym puree na głowie, instruując wszystkich, jak należy doprawiać i przybierać drób.

- Te ziemniaki dotarły prosto do celu. - W tamtym czasie Laurel odkryła, że Beric od sześciu miesięcy sypiał z producentką swojego telewizyjnego show. Jej mąż wściekał się dlatego, że został przyłapany, a cała afera z indykiem była jedynie pretekstem. - Rzucenie tej łyżki

ziemniaków dało mi więcej satysfakcji niż przygotowanie jakiegokolwiek posiłku w życiu.

- Ja ostatnio miałam ochotę wywalić mu na głowę całą miskę ziemniaków. Tata jest tak cholernie uparty... Wiecie, próbował robić wszystko, żeby zniszczyć mój wizerunek. - W słowach Annalisy słysząc było złość i niedowierzanie. - A kiedy mu się to nie udało, właśnie sobie przypisał moje pomysły, projekty i fakt, że w ogóle istnieję.

- To cały twój ojciec.

- To cały on - powiedziały jednym głosem.

Kathryn spojrzała na Annalisę.

- Wygląda na to, że przydałaby ci się przerwa. Od wielu miesięcy nie byłaś na wyspie. Jutro rano kończę swoje sprawy związane z wystawą - może wrócisz ze mną na weekend na Catalinę?

- Sama nie wiem, babciu. Ten projekt jest tak trudny...

- Musisz pracować również w weekendy?

- Nie, ale...

- Annaliso - wtrąciła się Laurel. - Czy to nie Matthew?

- Gdzie? - Dziewczyna rozejrzała się wokół.

Stał samotnie przy drzwiach wejściowych, ale chwilę później podeszła do niego długonoga blondynka i ujęła go pod ramię. Laurel zaczęła unosić rękę. W tym momencie spojrzała na matkę i zdała sobie sprawę, jakie głupstwo chciała popełnić. Zamarła więc w bezruchu. Dlaczego nie potrafiłam utrzymać języka za zębami? - spytała samą siebie.

Matt pomachał im, powiedział coś do swojej towarzyszk i szedł do nich.

Annalisa skończyła wino i odstawiła kieliszek.

- Muszę wyjść do toalety.

Chwyciła torebkę i wstała, jednak nim zdołała wydostać się z za stołu, on stał już obok.

- Laurel. - Skinął głową i zaraz dodał: - Annaliso.

Córka Laurel utknęła pomiędzy stołem a Mattem i nie wyglądała na zbyt szczęśliwą ze swojego położenia.

- Witaj, Matthew - powiedziała Laurel. - To moja matka, Kathryn Peyton.

Kathryn podała mu dłoń i uśmiechnęła się. - Witam, Matthew... ?

Matt z uśmiechem wziął jej rękę i odpowiedział:

- ... Banning, proszę pani. Kathryn zbladła, ale nie cofnęła ręki.

- Matthew kieruje projektem Camino Cliff, mam - wyjaśniła Laurel.

Annalisa nie ruszyła się, wyglądała za to na zdenerwowaną.

- Przepraszam - powiedziała, a potem niegrzecznie obeszła go i udała się w kierunku toalet.

Matt popatrzył w jej stronę, zmarszczył czoło, a potem odwrócił się.

- Miło było panią poznać, pani Peyton. - Uśmiechnął się do starszej pani. - Do zobaczenia, Laurel.

Kiedy odszedł, Kathryn pochyliła się nad stołem i surowym szeptem spytała:

- Kolejny Banning?

- Syn Cale'a.

- Mój Boże! - Kathryn przyłożyła rękę do czoła.

- Obie z nim pracujemy. Matthew kieruje tym projektem. To on przydzielił nam ten kontrakt.

Zanim matka Laurel zdołała odpowiedzieć, wróciła Annalisa i położyła dłoń na ramieniu Kathryn.

- Babciu? Miałaś rację. Od dawna nie byłam na wyspie. Myślę, że wybiorę się jutro z tobą, jeśli możemy skorzystać z któregoś z późniejszych rejsów. Rano mam jeszcze coś do zrobienia.

- Możemy wybrać każdy rejs, który będzie ci odpowiadał - odparła Kathryn.

- No cóż, to z pewnością dość szybka zmiana decyzji - zauważyła Laurel.

Annalisa wzruszyła ramionami, na jej twarzy pojawiło się zmęczenie.

- Może ty też się z nami wybierzesz, mamó?

- Nie. Nie mogę - powiedziała zbyt szybko, w panice szukając wymówki. - W sobotę mam dostać ze szkoły leśnej japońskie klony.

Laurel zanotowała w pamięci, by zadzwonić jutro do szkoły i zamówić drzewka. Kiedy kelner przyjmował ich zamówienia, zastanawiała się, czy popada w szaleństwo. Wyobraziła sobie, jak zareagowałyby jej matka, gdyby wiedziała, że trzy godziny temu Laurel umówiła się na sobotę na kolację z Judem.

Kathryn przespała całą noc z piątku na sobotę - było to coś, co zdarzyło się po raz pierwszy od tygodnia. Obudziła się mniej rozdrażniona, a obecność Annalisy pomagała jej zapomnieć o sprzeczce z Laurel. Relacje z wnuczką nigdy nie były napięte ani gorzkie. W sklepie Kathryn nie było ruchu, wywiesiła więc tabliczkę „Zaraz wracam” i wyszła tylnymi drzwiami. W ciepłym powietrzu unosił się zapach gardenii. Na płyty chodnikowe w ogrodzie zajmującym atrium pomiędzy

budynkami padały promienie słońca. Kathryn przystanąła, by podać kwitnącą purpurową bugenwillę, pnącą się po ścianie. Widok donic z kwiatami i miniaturowymi drzewkami cytrusowymi sprawił jej prawdziwą radość. Z okapów zwisały skomplikowane gliniane karmniki dla ptaków, które zrobiła w przyływie dobrego nastroju. Upierzony na czerwono koliber wlatywał i wylatywał z karmnika. Z sąsiedniego podwórka dochodził śmiech.

W pracowni unosiła się woń ziemi i spalenizny - zapachy wydzielane przez wilgotną glinę oraz piec do wypalania. Południowa część budynku została przeszklona, dzięki czemu zawsze było tutaj dobre światło. Czasami aż tak dobre, że przekroczenie jej progu przypominało wyjście z ciemnej pieczary na pełne słońce świecące w środku dnia.

Na półkach znajdujących się na ścianach stały naczynia z jej ostatniej kolekcji. Wszystkie wyroby ozdobione zostały intensywnymi kolorami wyspy, będącymi znakiem rozpoznawczym dzieł Kathryn - akwamaryną i turmalinem wód morza, głębokim bursztynowym kolorem przypominającym słońce nad Cataliną, świeżą zielenią tutejszych wzgórz oraz jaskrawą, ciemnoróżową barwą pochodzącą od rosnącej wszędzie bugenwilli.

Annalisa wyszła z pomieszczenia na tyłach, ubrana w brązowy fartuch wykonany z grubego płótna. Twarz, włosy i ubranie nosiły ślady zaschniętej gliny, a mocne, rude włosy dziewczyny zostały zaczesane do góry i częściowo wymykały się z niestarannie związanego ogonka.

Kathryn spojrzała i krótko skomentowała:

- Wygląda na to, że glina zwyciężyła.

Annalisa popatrzyła na siebie. Stała zrezygnowana z opuszczonymi rękoma. Po chwili wierzchem dłoni odsunęła włosy z twarzy.

- Jestem beznadziejna. Zapomniałam wszystko, czego mnie nauczyłaś.

- Mówiłam ci, że zbyt długo tu nie byłaś.

- Za każdym razem, gdy uruchamiam koło, ta głupia glina wylatuje w powietrze.

- Pokaż mi, jak to robisz.

- Dobra, ale nie śmieję się.

Kathryn parsknęła, nim dziewczyna zdołała rozpocząć kolejną próbę.

- Boże... - Annalisa ukryła twarz w ubrudzonych dłoniach.

- Usiądź.

Annalisa rozpakowała porcję gliny wielkości sporego kalafiora, a następnie powoli umieściła ją na środku koła garncarskiego.

- To twój pierwszy błąd.

- Co takiego? Przecież jest na środku.

- Z jakiegoś powodu tę czynność nazywa się rzucaniem. Podnieś glinę, a teraz rzuć ją.

Annalisa wykonała rzut z wdziękiem gracza baseballowego ze złamaną ręką.

- Dobrze się czujesz? - Kathryn położyła dłoń na czole wnuczki.

- Dlaczego pytasz?

- Masz w sobie tyle energii co zdychający leniwiec.

- Dzięki.

- To tylko stwierdzenie faktu.

- Co mam zrobić?

- Włóż w to odrobinę emocji. To jest sztuka. Sztuka oznacza emocje, uczucia, pasję - niezależnie od tego, czy dobrą, czy złą, radość czy też złość.

Annalisa podniosła porcję gliny i rzuciła nią na koło garncarskie tak mocno, że odgłos uderzenia zabrzmiał niczym wystrzał z broni palnej. Popatrzyła przestraszona, po czym zaczęła się śmiać.

To była pierwsza jawnie okazana emocja, jaką Kathryn zobaczyła u wnuczki od chwili ich przyjazdu na wyspę.

- To już jakiś postęp. Nie wiem, co wywołało taką pasję, ale zadziało.

- Po prostu musiałam wyobrazić sobie jego twarz na środku koła garncarskiego, reszta była całkiem prosta.

- Czyja to twarz?

- Matthew Banninga.

Kathryn poczuła się tak, jakby podłoga gwałtownie ruszyła na spotkanie z jej twarzą. Wyciągnęła rękę i złapała Annalise za ramię.

- Tylko nie mów, że ty też.

- Babciu? Co się dzieje? - Annalisa szybko wstała i złapała Kathryn za ramię. - Usiądź, zanim upadniesz. - Dziewczyna otworzyła butelkę wody i podała babci. - Wypij to. Zrobiłaś się zupełnie szara.

Kathryn siedziała i czuła, jak ogarnia ją przerażenie. To się ciągle powtarzało, tylko że za każdym razem było gorzej. Zupełnie jakby jakieś niedobre, złośliwe bóstwo postanowiło zniszczyć wszystkie kobiety w jej rodzinie. Narzędziem służącym do tego celu stali się mężczyźni z rodu Banningów.

- Powiedz mi, co cię tak zdenerwowało. Co miałaś na myśli, mówiąc „ty też”?

Kathryn nie potrafiła kłamać w tej sprawie. Przy nazwisku Banning zawsze puszczały jej hamulce i słowa same wypływały z ust.

- Nienawidzę tego nazwiska. Nienawidzę go. Banningowie niemal zniszczyli twoją matkę.

- Nie rozumiem.

- To Jud Banning był powodem, dla którego twoja matka uciekła do Francji.

Jud stwierdził, że w ciągu następnych dwóch dni wszystko stało się łatwiejsze. Pogwizdywał w pracy, co sprowokowało kilka zdziwionych spojrzeń, chodził szybciej, w klubie sportowym wyczyścił podłogę swoim partnerem do squasha, zaczął śpiewać pod prysznicem. W sobotni poranek ustawił swoje samochody na podjeździe, a potem umył i nawoskował wszystkie trzy - białego suburba, czarnego mercedesa oraz mg. Kiedy tego wieczoru brał prysznic, przyszło mu na myśl, że przyjęcia Victora nie były czymś zwyczajnym. Robyn, żona Cale'a, przejęła ich organizację całe lata temu, a po jej śmierci nikt niczego nie zmieniał. Tak więc nadal przyjęcia urządzano u Cale'a, w jego chaotycznie zbudowanym, rozległym domu przy Har-bor Ridge, ze wspaniałym widokiem, basenem oraz boiskiem do koszykówki.

Jud za wcześnie znalazł się pod lokum Laurel, wstąpił więc do małego baru niedaleko nabrzeża Huntington Beach, by czegoś się napić. Usiadł i przyglądał się, jak część ludzi, korzystając z wieczornego wiatru, puszcza latawce, podczas gdy inni przechadzają się z psami o zachodzie słońca.

Światło na werandzie Laurel było włączone, chociaż jeszcze nie zapadł mrok. Obok wycieraczki leżała para rękawic ogrodniczych i gumowe chodaki oblepione piaskiem. Szary pręgowany kot zaczął ocierać się o spodnie Juda, miaucząc niecierpliwie i czekając, aż ktoś wpuści go do środka.

- Cześć, kiciu. - Podrapał kota za uszami. - Wyrzucili cię na zewnątrz? - Jud wyprostował się i przycisnął guzik dzwonka, po czym włożył ręce do kieszeni i czekał.

Przez trawione szkło dostrzegł sylwetkę Laurel, a gdy otworzyła drzwi, poczuł niezwykłą radość, że znowu ją odnalazł.

- Witaj, dziewczyno.

- Niezupełnie trafiłeś. Mam czterdzieści osiem lat.

- Co w takim razie powinienem powiedzieć? „Witaj, kobieto w średnim wieku”?

Laurel roześmiała się.

- Pozwól, że wezmę torebkę.

- Zaczekam tutaj.

Jud stanął przy poręczy i obserwował, jak horyzont przybiera ciemnogrnatowy kolor. To był jeden z tych wieczorów, gdy na niebie widać już kawałek księżyca i w powietrzu czuć smak soli. Dało się również wyczuć fale uderzające gdzieś w pobliżu o piasek. Jud zdał sobie sprawę, że bicie jego serca jest niemalże tak samo głośne.

- Jestem gotowa.

- Wyglądasz niesamowicie, Nimfetko.

- Naprawdę nie możesz mnie tak nazywać. Dlaczego nie chcesz używać mojego imienia?

- To zbyt bezosobowe. - Kiedy szli w stronę mg, położył dłoń na jej plecach.

- Wciąż masz ten samochód.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek się go pozbył. - Kilka minut później jechali Pacific Coast Highway. Laurel wciąż używała tych samych perfum. Zapach minionych lat rozszedł się po niewielkim wnętrzu samochodu i Jud wciągał go w płuca z każdym oddechem. Ciszę wypełniały piosenki nadawane w radiu, gdyż nie rozmawiali przez kilka kilometrów. Gdy Jud skręcił w ulicę prowadzącą do domu Cale'a, Laurel wyglądała przez okno, przyciskała torebkę do żołądka i sprawiała wrażenie, że czuje się niezręcznie.

- Jesteś taka milcząca.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie na to namówiłeś.

- To tylko wieczorne przyjęcie. - Wjechał na podjazd, ale zatrzymał się, nim dotarł do zatrudnianych zawsze pracowników obsługujących parking.

- Kim są ci ludzie? Pewnie powinnam coś o nich wiedzieć, tak by nie zrobić z siebie kompletnej idiotki.

Jud zastanawiał się, jak powiedzieć Laurel, gdzie się znajdują.

- Czy nie powinieneś powiedzieć mi czegoś o tym przyjęciu, nim wejdziemy do środka?

- Dzisiaj świętujemy urodziny mojego dziadka. - Jud zacisnął mocniej ręce na kierownicy. - To dom Cale'a.

- Słucham? - Laurel zrobiła się blada jak ściana. - Powiedziałeś, że to przyjęcie.

- Bo tak jest. Czy przyjechałabyś, gdybym powiedział ci, z jakiej okazji wydano to przyjęcie i gdzie je zorganizowano?

- Nie. Nie jestem również pewna, czy starasz się mną manipulować, czy też traktujesz mnie w sposób protekcyjny.

- Zawsze byłaś zbyt bystra. - Minęła sekunda lub dwie pełnej napięcia ciszy. - Jeśli naprawdę tego chcesz, zawiozę cię do domu.

- Zgoda - odparła, mocniej ściskając torebkę i patrząc prosto przed siebie. - Jedźmy.

Jud nie wykonał żadnego ruchu - nadal siedział tam i pozwolił jej to przemyśleć, a potem podjął jeszcze jedną próbę:

- Nie będzie tak źle. Zresztą w którymś momencie będziesz musiała ich wszystkich spotkać. Nie lepiej mieć to już z głowy?

- Dlaczego miałabym ich spotkać, jeśli zdecydowałam nigdy więcej się z tobą nie umawiać?

- Naprawdę sądzisz, że to możliwe?

- Czy zostawisz mnie w spokoju, jeśli powiem ci, że nie chciałam nigdy więcej widzieć cię na oczy?

- Nie. A naprawdę mi to powiesz? -Nie.

- Daj spokój, Nimfetko. Nikt cię tam nie zje. - Laurel nie odpowiedziała. - No dobra. Zabiorę cię gdzieś indziej. - Wrzucił wsteczny.

Laurel położyła dłoń na jego ręce.

-Nie.

Nie zdążyła się już rozmyślić, bo Jud podjechał do pracowników obsługujących parking.

29

Laurel nigdy nie potrafiła zrozumieć - o ironio losu! - dlaczego wszyscy zazwyczaj uciekają od ludzi i miejsc, którym najlepiej byłoby stawić czoło, a zamiast tego stają twarzą w twarz z osobami, przed którymi powinni uciec na koniec świata. Trudno powiedzieć, co sprawiło, że przekroczyła próg domu Cale'a Banninga. W końcu ludzie nieustannie pojawiali się i znikali z życia innych bez pytania czy usprawiedliwienia. Ona była jednak typem uciekiniera - do takiego wniosku dochodziła w każdym razie w tych rzadkich chwilach, gdy spoglądała wstecz na swoje życie, przyglądając się początkom i zakończeniom różnych wydarzeń. Koleje jej losu składały się z samych pomyłek - byłoby o wiele łatwiej, gdyby mogła po prostu zacząć od końca.

Spodziewała się zobaczyć w środku eleganckie wnętrze z wapiennymi posadzkami, robionymi na zamówienie meblami, importowanymi dywanami, delikatnymi alabastrowymi wykończeniami, może nawet jakimiś dziełami sztuki... Tymczasem ujrzała przeszkloną ścianę z widokiem na światła Newport, ciemne wody Pacyfiku oraz niebo. Bezkres przestrzeni wywoływał wrażenie, że to miejsce unosi się nad światem. Kilka par tańczyło przy dźwiękach zespołu na tarasowym patio. Pod wiszącymi światłami rozmieszczono stoliki, do których kelnerzy przynosili dania z ulokowanego niedaleko baru. Tam właśnie stał Jud, zamawiając dla nich drinki.

- Witaj, Laurel.

Ten głos sprawił, że cofnęła się w czasie o trzydzieści lat. Po chwili się odwróciła.

- Minęło wiele czasu.

- Cale.

Kiedy ujrzała go po raz pierwszy w życiu, uosabiał jaskrawe cechy młodości - problemy, połączenie niecierpliwości i niewinności typowe dla ludzi, których życie nie pozbawiło jeszcze wrodzonej naiwności. Laurel mogła jedynie sobie wyobrazić, jak ona sama zmieniła się przez te wszystkie lata. Gdyby doświadczenie osłabiało kolory ludzkiego życia, stałaby się już czarno-białą fotografią.

Mężczyzna stojący przed nią był przystojniejszy niż dawniej, choć wśród przyciemnionych przez czas włosów można było dostrzec ślady siwizny, a w kącikach ust i wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Został jednak pozbawiony jakiejś części własnej osoby.

- Podoba mi się twoja fryzura.

- Dziękuję. - Roześmiała się nerwowo. - Jud mnie nie poznał. Oboje spojrzeli w stronę baru, gdzie stał odwrócony do nich tyłem i czekał na drinki. Z nogą wspartą na pobliskim stołku, równocześnie rozmawiał i żartował ze znajomymi.

- No to jest głupcem. Zauważyłem cię, jak z nim przyszedłaś — Jud zawsze potrafi sprawić niespodziankę — i rozpoznałbym cię nawet, gdybyś ufarbowała włosy na niebiesko.

- Jak smerf?

- Raczej smerfetka - poprawił ją z uśmiechem. - Czy mogę ci coś zaproponować? Koktajl na bazie soku porzeczkowego, pepsi, a może drinka o wdzięcznej nazwie Szafir z Bombaju?

- Najchętniej poprosiłabym o bilet na lot do Meksyku.

- Czyżbyś czuła się tu źle?

- Troszkę.
- Powiniennem porozmawiać z bratem.

To, co wydarzyło się między nimi dwojgiem, zdawało się dziwnie proste. Powracało przekomarzanie się jak za dawnych czasów. Laurel powinna odczuwać skrępowanie, podenerwowanie lub też chęć ucieczki, jednak dwie minuty spędzone z Judem spowodowały większe wzburzenie niż pierwsza rozmowa z Cale'em po tak długiej przerwie.

- Laurel? - zdziwił się Matthew, który przyłączył się do nich. - Co za niespodzianka! Czy Annalisa też tu jest?

- Znasz mojego syna? - spytał Cale.

- Laurel i jej córka wykonują projekty pomieszczeń kuchennych w kurorcie Camino Cliff, tato.

- Annalisy tu nie ma, Matthew.

Jud podszedł do nich i wręczył jej kieliszek wina. Potem spojrzał na Cale'a i dodał:

- Zupełnie jak za dawnych czasów.

Laurel chciała go kopnąć, Cale natomiast się roześmiał.

- Dawniej zachowywałeś się jak kretyń i robisz to nadal. Dlaczego się z nim umówiłaś, Laurel?

- W tej chwili nie jestem pewna. Stanowi niezłe utrapienie i nie przyjmuje odpowiedzi odmownej.

- Czegoś tu nie rozumiem - zauważył Matt, przenosząc zdumione spojrzenie z jednego na drugie.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - wyjaśnił Cale.

- Co się tu dzieje? - Do grupki przyłączył się Victor Banning. Swoje lata nosił z taką samą elegancją jak laskę. Był teraz drobniejszy,

szczuplejszy, a rysy jego twarzy stały się bardziej wyraziste. Miał nieco obwisłą połowę ust i powiekę oraz niezbyt wyraźną wymowę. Dyskusja nagle została przerwana. Przez chwilę wszyscy stali tam jak koty nad zapędzoną w róg myszą. Laurel zastanawiała się, kto rzuci się na nią pierwszy.

- Wszystkiego najlepszego, panie Banning.

- Dziękuję. Cieszę się, że jeszcze mogę oddychać. Pamiętam cię. Jesteś tą dziewczyną z rodziny Peytonów. - Przeniósł wzrok z Cale'a na Juda. - Kiedy to było?

- W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym - powiedział Jud.

- Twoja matka wciąż mieszka na wyspie?

- Tak. Od lat ma tam swoją pracownię. - Laurel ważyła słowa, rozmawiając o swojej matce z kimś takim jak Victor. Dawno temu Cale zapewniał ją, iż jego dziadek jest typem człowieka, który na wiele kilometrów potrafi wyczuć najlżejszy ślad odmienności w poglądach.

- Znam jej prace. Robią wrażenie. Jej ostatnia wystawa była dużym sukcesem.

Laurel wyobraziła sobie, jak matka zareagowałaby na ten komplement wygłoszony przez Victora Banninga. Zaczęła zastanawiać się, jak starsza pani przyjęłaby sam fakt znajomości jej twórczości przez tego człowieka lub też jak postąpiłaby, gdyby pojawił się na jednej z jej wystaw. Prawdopodobnie obrzuciłaby go krótkim spojrzeniem, po czym uciekłaby gdzie pieprz rośnie. To był kolejny Banning, na którego mogła zepchnąć odpowiedzialność za własne błędy.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział Matt pod nosem. - Jak w ogóle się poznaliście?

Cale podniósł rękę.

- Moment. Ktoś musi ocalić Laurel od inkwizycji rodu Banningów.

Obok basenu i przy barze jest jedzenie. Jud, jeśli nie masz zamiaru jej tam zabrać, sam to zrobię.

- Znajdź sobie własną towarzyszkę - powiedział Jud.

- Chyba nie jesteś sympatią Juda? - spytał Matt.

- Owszem - stwierdził znacząco Jud.

- Kto jest sympatią wujka Juda? - Młody mężczyzna obdarzony przystojną fizjonomią Banningów podszedł do grupki, przeżuając skrzydełko kurczaka. - Miałem nadzieję, że to będzie dziewczyna z rozkładówki z ubiegłego miesiąca.

- Jaki ojciec, taki syn - powiedział Victor.

- Dlaczego tak twierdzisz, dziadziu?

- Nienawidzę, kiedy tak do mnie mówisz.

- A jak myślisz, dlaczego to robię? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu skierowanym w stronę Victora, a potem mrugnął do Laurel. - Cześć, jestem Dane.

- Witaj, Dane. Przykro mi, że nie okazałam się dziewczyną z rozkładówki.

- To jest Laurel - przedstawił ją Jud. - Byłoby cudownie, gdybyście wszyscy dali jej święty spokój. Jest przyjaciółką z dawnych czasów.

- Czyją przyjaciółką? - spytał Dane. - Wujka Juda, dziadka czy taty?

- Nie mam bladego pojęcia. Sądziłem, że jest jedynie partnerem biznesowym - odpowiedział Matt.

- Jasne, że tak, wielki bracie. Tobie wszystko kojarzy się z interesami.

Jud spojrział na Cale'a.

- Zrób coś. To twoi synowie.

Cale spojrział na Laurel, a ułamek sekundy później oboje wybuchnęli śmiechem.

- Czyżbyś cieszyła się, że przyszłaś?

- No cóż, już się tak nie denerwuję.

- To dobrze - orzekł Jud. - Kiedy tu podjechałem i powiedziałem ci, gdzie się znajdujemy, wyglądałaś tak, jakbyś miała ochotę mnie zastrzelić.

- Jeszcze nie zapomniałeś? - Szturchnęła go z całej siły w ramię palcem. - Powiedział mi, że wybieramy się na wieczorne przyjęcie.

Jud ujął jej dłoń i wsunął swoje palce pomiędzy jej, co, sądząc po twarzach rozmówców, było znaczącym gestem.

- Nie skłamałem. Jesteśmy na przyjęciu. Miałem wystarczająco dużo trudności, by nakłonić cię do umówienia się ze mną. W końcu sama przyznałaś, że gdybym powiedział ci, gdzie się wybieramy, nigdy byś się nie zgodziła.

- Dlaczego w ogóle się zgodziłam?

- Nie dałem ci wyboru.

- Gdzie jest twoja gorąca towarzyszka? - spytał Matt brata.

- Nie mogła urwać się z pracy. - Dane wzruszył ramionami, a potem wziął z przenoszonej w pobliżu tacy kolejne skrzydełko kurczaka. -

Wygląda na to, że jestem całkiem sam.

- A kobieta, którą ja chciałem zaprosić, nie chce nigdzie ze mną pójść - powiedział Matt.

- Kim jest ta mądra osoba? - spytał Dane.

- Pewnie przyjaciółką twojej sympatii - tej, która jako wymówki użyła pracy.

- I tak właśnie wygląda smutny stan rzeczy - podsumował Victor. - Tylko Jud przyszedł z partnerką.

- No cóż - powiedział Dane. - Wszyscy wiemy, że tata z nikim się nie umawia.

Cale odwrócił się w stronę synów.

- Możecie się nabijać do woli. W tym roku może się okazać, że odbiję dziewczynę Judowi. Co ty na to, Laurel? Rzuć go.

- Masz marne szanse - zauważył Jud. Laurel spojrzała na niego.

- Nie bądź taki pewny swego.

- Podobasz mi się - ocenił Dane. - Jesteś wymarzoną partią dla mojego taty. Piękna, bystra, no i potrafisz pokazać wujkowi Judowi, gdzie jego miejsce.

- Jest wspaniała - dodał Matt. - Ale powinieneś zobaczyć jej córkę.

- Jaką córkę?

- Zapomnij, braciszku. To ja spotkałem ją pierwszy.

- Wyjdźmy na zewnątrz, Laurel - powiedział szybko Jud. - Jest tam jedzenie i muzyka. Zachowam cię w ten sposób dla siebie i uchronię od mojej okropnej rodziny.

Położył rękę na biodrze Laurel i skierował ją do przodu, zostawiając za plecami śmiech Victora Banninga.

Gdy później Laurel zauważyła nestora rodu siedzącego samotnie na swoim krześle i obserwującego przyjęcie, starszy pan już się nie śmiał. Odwrócił się w jej stronę.

- Usiądź przy starym człowieku w jego urodziny.

- Wygląda na to, że ma pan dosyć świętowania.

- Czy to jest aż tak oczywiste? Muszę popracować nad moją miną pokerzysty.

- Sądzę, że miał pan wiele lat, by dopracować do perfekcji ten wyraz twarzy.

- Spryciara z siebie. Robyn była taka sama. To wszystko nie jest już takie jak dawniej, kiedy jej tu nie ma.

- Chodzi panu o żonę Cale'a? - spytała Laurel. Gdy Victor kiwnął głową, dodała: - Zaakceptował ją pan.

- Była dla niego odpowiednia. Pomagała mu się skupić na tym, co ważne. Dodawała Banningom trochę klasy i trzymała nas w ryzach.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś utrzymał pana w ryzach.

Victor roześmiał się.

- To dotyczyło również mnie. Matthew był pod wrażeniem waszej firmy. Rozmawialiśmy wcześniej o tym przedsiębiorstwie, a także o twojej córce.

- Annalisa bardzo chciała dostać ten kontrakt. Jest bystrzejsza ode mnie, ale jest młoda - ma zaledwie dwadzieścia dwa lata. Myślę, że czuje potrzebę sprawdzenia się przed podwykonawcami.

- Chęć działania to dobra rzecz.

- Podejrzewam, że tak - przynajmniej dopóki nie staje się wszystkim, co się liczy. Są inne rzeczy, które są ważniejsze.

- Być może. - Victor wzruszył ramionami. - Żeby odnosić sukcesy, trzeba być gotowym na poświęcenia, podejmowanie trudnych wyborów i za wszelką cenę posuwać się do przodu.

To był właśnie Victor, o którym Cale opowiadał jej wiele lat temu. Beric również był obsesyjnie ambitny. Życie z kimś tak bardzo prącym do przodu i chcącym za wszelką cenę osiągnąć sukces oraz władzę okazało się piekłem na ziemi. Wartości i rodzina stawały się po prostu czymś nieistotnym.

- Tu jesteś - powiedział Jud, przyłączając się do nich. - Myślałem, że się przede mną kryjesz. Jeszcze nie zatańczyliśmy.

- Dziękuję, że zabawiałaś starego człowieka - rzekł Victor i podniósł wzrok na Juda. - Możesz przestać się na mnie krzywić. Jest twoja.

- O nie, nic z tego. - Dane chwycił ją i prawie zaczął nieść. Laurel wciąż się śmiała, kiedy znaleźli się na parkiecie. - To ja jestem najmłodszy. Nienawidzę czuć się opuszczony. Zresztą tylko popatrz - wujek Jud zaczyna się wkurzać. Uważa, że dzisiejszego wieczoru ma do ciebie wyłączne prawo, ale nie przyzna tego na głos.

- Wiele lat temu był dość uparty.

- Jud? Skądże znowu! - Dane szeroko się uśmiechnął. - Matt i ja założyliśmy się, ile czasu upłynie, nim Jud wybuchnie.

- Próbujecie doprowadzić go do szału?

- No właśnie. Te spotkania rodzinne są śmiertelnie nudne. Musimy jakoś rozruszać wszystkich.

- Powinniście się wstydzić.

- Na pewno masz rację. Ale w rodzinie Banningów nie lubimy przyznawać się do własnych błędów, wolimy znajdować cudze. Wszyscy potrafimy być głupio uparci, ale to ja mam najwięcej uroku.

- Cóż, sądzę, że to prawda.

- Och... Co za szkoda, piosenka dobiegła końca. - Dane nachylił się bliżej i powiedział: - Patrz, co będzie się działo, jak będziemy wracać do Juda.

Znajdowali się jakieś półtora metra od niego, gdy obok pojawił się Matthew i stanął na ich drodze.

- Moja kolej. - Mrugnął do niej, po czym pociągnął ją z powrotem w stronę parkietu, nie oglądając się za siebie.

- Jesteście okropni.

- Dlaczego ja? Co takiego zrobiłem?

- Ciekawa jestem tylko, jaka jest stawka tego zakładu.

- Jakiego zakładu? Nic nie wiem o żadnym zakładzie.

- Dane mi powiedział.

- Ten dzieciak nigdy nie potrafi utrzymać języka za zębami. Sto dolców - powiedział Matthew, szeroko się uśmiechając. — Dwieście, jeśli Jud wścieknie się w wystarczającym stopniu, by wyzwąć tatę na pojedynek jeden na jednego. - A gdy Laurel nie odpowiedziała, dodał: - Mam na myśli mecz koszykówki.

- Wiem, co to takiego pojedynek jeden na jednego.

- To wpisuje się w istniejącą w rodzinie Banningów tradycję rywalizacji, dominacji i nieczystej gry. - Obrócił Laurel, która się roześmiała. - A co słyhać u Annalisy? Śmiejecie się w identyczny sposób.

- Doprawdy? Wyjechała z babcią na weekend na Catalinę. Ostatnio dość ciężko pracowała. Pod koniec przyszłego tygodnia w Chicago odbędą się duże targi. Zaraz po nich będziemy mogli zająć się pracami nad rozplanowaniem pomieszczeń kuchennych.

- Właśnie coś takiego już mi powiedziała. - Matt wyglądał, jakby przez moment się zawahał.

- Coś nie tak?

- Zdaje się, że jej ojciec postawił ją któregoś dnia w trudnym położeniu.

- Przychodzi mu to z dużą łatwością.

- Nie musiała się obawiać. Przekonała mnie w chwili, gdy po raz pierwszy ją spotkałem. Zrobiła na mnie duże wrażenie.

- Nie miałam pojęcia, że będzie naciskać, by uzyskać przychyłność dla naszej oferty.

- Jej postępowanie było absolutnie etyczne. - Matthew zaczął zmierzać w określonym kierunku, a potem nagle zmienił zdanie. - Jak poznałaś mojego tatę?

- Pewnego lata na Catalinie poznałam jego i Juda. Od tego dnia upłynęło wiele lat.

Matt zatrzymał się.

- Proszę, tato. Zatańcz z Laurel. Rozboliła mnie noga. — Przekazał ją Cale'owi, a sam ruszył, by zasadzić się na Juda.

Laurel niemal współczuła Judowi. Uznała jednak, że on podstępem zwabił ją na przyjęcie, więc nie miała zamiaru przejmować się tym, co z nim wyprawiano. Naprawdę dobrze się bawiła.

- Masz tu cudowny dom. Roztaczają się stąd wspaniałe widoki.

- Przez większość czasu snuję się po nim samotnie - Dane jest stażystą w szpitalu, a Matthew ma już własne cztery kąty. Zastanawiałem się nad sprzedaniem domu, ale jestem zbyt leniwy.

- Nie sędzę, by ktokolwiek nazwał lekarza kimś leniwym. Zawsze słyshałam, jak mówiono, że w tym zawodzie człowiek nie ma czasu dla siebie. Czy medycyna dała ci wszystko, czego oczekiwałeś? Była warta ciężkiej pracy i poświęconego czasu?

- Myślę, że tak. Jestem chirurgiem.

- Wiem. Chirurgia klatki piersiowej. Nie mogłam uwierzyć, gdy usłyshałam od Juda, jaką wybrałeś specjalizację. Świat jest naprawdę dziwny, Cale. Nieczęsto o tym mówię, ale siedem lat temu miałam operację zastawek.

Cale potknął się.

- Co takiego? Laurel przytaknęła.

- Jako małe dziecko cierpiałam na gorączkę reumatyczną. Jej efektem była wada zastawek, która ujawniła się dopiero po czterdziestce.

- Jaki chirurg się tobą zajmował?

- Doktor Sussman z UCLA.

- Dobry fachowiec. Znam. go. Kto jest twoim kardiologiem?

- Karl Collins.

Cale zaczął się śmiać.

- Oczywiście, jego również znasz. Pochodzi z tej okolicy.

- Razem studiowaliśmy. Po dziś dzień kilka razy w miesiącu gramy wspólnie w golfa. Jego żona była dobrą przyjaciółką Robyn.

Laurel dostrzegła, jak Cale zamyka się, wymawiając to imię, jakby wypowiedzenie go na głos stanowiło grzech. Zaczęła zastanawiać się, co mogłaby powiedzieć.

- Robyn była twoją żoną?

- Tak. Zmarła kilka lat temu na raka piersi.

- Przykro mi, Cale. - Ten komentarz zabrzmiał trywialnie nawet w jej własnych uszach. Szybko pożałowała, że cokolwiek powiedziała. - Masz wspaniałych synów. Dane jest czarujący i dowcipny.

Cale potrząsnął głową i roześmiał się.

- Co szykuje tym razem?

- Nie powiem.

- Z nim nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Zawsze taki był.

- Jest bardzo pewny siebie, a Matthew jest wspaniały. - Fakt, że Cale miał synów, stanowił dla Laurel miłe zaskoczenie, i w jakiś sposób dzięki temu tutaj się znalazła. To było jedno z tych usprawiedliwień, których używa się, by utrzymać równowagę w życiu. - Powinieneś być z nich dumny.

-I jestem. Większość zasług przypada mojej żonie. Chłopcy byli bardzo blisko z matką.

Piosenka dobiegła końca, nim Laurel zdołała cokolwiek powiedzieć. Chwilę potem zespół pożegnał się z publicznością.

- Sądzę, że to koniec - powiedział Cale.

Byli ostatnią parą, która tańczyła. Wyglądało na to, że wszyscy inni już sobie poszli. Laurel odwróciła się w chwili, gdy Jud przekroczył drzwi prowadzące na patio. Nie wyglądał na szczęśliwego, kiedy zobaczył pakujący się zespół.

- Chyba nadchodzi noc - oznajmił Cale.

- Victor odprowadza już ostatnich gości - powiedział Jud. -Gdzie są twoi synowie? Uduszę ich gołymi rękami.

- Tato! Wujku! Chodźcie tutaj! - dobiegł do nich gdzieś z dystansu krzyk Dane'a. Potem do Laurel dotarł powtarzający się dźwięk piłki

szybko odbijanej od nawierzchni boiska, znajdującego się na końcu posiadłości. Matt włączył światła i wokół zrobiło się jasno jak na boisku do baseballa. Dane stał na samym środku placu, przerzucając piłkę z ręki do ręki.

Cale szturchnął Juda w bok:

- Stawiam sto dolców, że Dane wygra. Po tych słowach ruszył w stronę boiska.

- Przyjmuję zakład, stary. Matt wyczyści nim boisko. - Przy placu gry Jud zrzucił swoją kurtkę. - Zabierz piłkę, Matt! Ruszaj. Nie bądź mięczakiem!

Dane trafił do kosza, a stojący przy linii bocznej Cale krzyknął i przyklasnął.

- Tylko tak dalej, synu! Utrzymuj swój rytm!

Jud krążył tam i z powrotem niczym uwięzione w klatce zwierzę.

- Cholera, Matthew... Dasz się pokonać młodszemu bratu?

- Zamknij się, Jud! - krzyknął w odpowiedzi Mart. Chwilę później zabrał piłkę i wysokim łukiem posłał ją prosto do kosza.

- Świetnie! Tędy droga! - Jud gwizdnął tak głośno, że Laurel zmarszczyła czoło.

- Dalej, Dane! Pokaż mu! To twoja piłka!

Dane zdobył kolejne dwa punkty, a Cale krzyknął:

- Brawo! Oto mój syn!

Matt zatrzymał się, włożył piłkę pod pachę, a potem spojrzał na ojca.

- Ostatnio wydawało mi się, że ja też jestem twoim synem. Czy jest może coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

- Nie bierz tego do siebie. Postawiłem sto dolarów na wynik tej gry. -
Cale zwinął usta w trąbkę i wrzasnął: - Dołoż mu, Dane!

Victor podszedł do Laurel, przez chwilę przyglądał się grze, w końcu spytał:

- Kto przegrywa?

- Jud i Cale - odparła lakonicznie. Starszy mężczyzna przedstawiony jako Harlan przyniósł kilka składanych krzeseł, więc usiedli.

Jud pokrzykiwał i biegał wzdłuż boiska śladami Matthew.

- Rozluźnij się! Jesteś zbyt sztywny. Do cholery, on ma piłkę!

Zatrzymaj go, Matt! Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Piłka przeleciała przez siatkę zawieszoną pod koszem.

- Cholera! Cholera! Cholera! - Jud wymierzył pięścią cios powietrzu i obrócił się na pięcie.

Cale zapał z zachwytu i szturchnął Juda w ramię.

- Przegrasz.

Jud rozluźnił krawat, rozpiął koszulę, podwinął rękawy i schylił się, opierając ręce na kolanach.

- W porządku. Dasz radę to zrobić, Mattie. Dalej!

Matt trafił do kosza, na co Jud gwizdnął nawet jeszcze głośniejszą niż wcześniej.

- Stać cię na więcej, synu. Co się z tobą dzieje?! - zawołał Cale do Dane'a. - Spuściłeś wzrok z piłki!

Z pewnością u obu graczy kibice wywoływali większą frustrację niż przeciwnik z boiska.

Laurel odwróciła się w stronę Victora.

- Czy to zawsze tak wygląda?

- Nie. Dziś wieczorem są spokojniejsi niż zazwyczaj, chyba z powodu twojej obecności.

Laurel natomiast uważała, że żaden z braci nie pamiętał już o jej obecności.

Ten szalony, niekontrolowany męski pojedynek trwał do chwili, gdy Jud nazwał starszego z graczy mięczakiem. Matt odwrócił się z czerwoną twarzą, po czym rzucił piłką, mierząc w głowę wujka, ale on uchylił się.

- Cholera, celuj w niego... - pokazał na Cale'a-... a nie we mnie. Ja jestem po twojej stronie!

- Jak jasna cholera. Jeśli jesteś taki mądry, sam tu przyjdź i zagraj - powiedział Matt z obrzydzeniem.

Chwilę później Jud i Cale przebrani w sportowe ubrania znajdowali się już na boisku. Gracze połączyli się w dwuosobowe zespoły - Cale i Dane przeciwko Mattowi i Judowi. Taki stan rzeczy trwał około pięciu minut, w końcu z boiska zszedł Matt i zaraz po nim Dane. Starszy z braci użył swojej koszulki jako ręcznika, osuszając twarz i szyję. Potem zwrócił się do Dane'a:

- Jesteś mi winien dwieście dolców. To Jud pierwszy stracił panowanie nad sobą.

- Wiem. Wydawało mi się, że będzie się bardziej pilnował. -Dane rzucił okiem na boisko. - Czy tata właśnie się na niego zamachnął?

- Taaaa... Niestety, nie trafił. Piłka w powietrzu... - Matt zawiesił podkoszulek na szyi. - Hej, Jud! Trzymaj się blisko niego! Nie spuszczaaj oczu z piłki! Nie zgub go. Czy to wszystko, na co cię stać?!

Jud pokazał mu wyprostowany środkowy palec i niemal przewrócił Cale'a, gdy przejmował piłkę i rzucał ją do kosza.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego - zauważyła Laurel. Dane odwrócił się w jej stronę zdziwiony.

- Naprawdę?

- No cóż, cofam to, co powiedziałam - stwierdziła, patrząc, jak Jud okrąża Cale'a i biegnie w stronę kosza. - Może zdarzyło się to, kiedy zmieniając kanały w telewizorze, przypadkiem trafiłam na zawody we wrestlingu.

Patrzenie na nich było męczące, więc po chwili stłumiła ziewnięcie. To nie w ten sposób w jej marzeniach miała skończyć się pierwsza od niemal dwóch lat randka.

Matt spojrzał w jej stronę.

- To może trochę potrwać. Chcesz, żebym odwiózł cię do domu?

Laurel popatrzyła na boisko, gdzie Jud rzucił piłką w plecy Cale'a.

- To bolesne widowisko. Obaj powinniście się wstydić.

- O nie... - powiedział Dane. - Oni to lubią. Pojadę z tobą. Jutro rano wcześniej zaczynam dyżur.

Laurel pożegnała się z Victorem i ruszyła za Matthew i Dane'em w stronę domu. Zatrzymała się w drzwiach patio i spojrzała za siebie.

Wszystko wskazywało na to, że Jud nawet nie zauważył jej zniknięcia.

Dotarcie pod dom Laurel nie zajęło im dużo czasu. Bracia cały czas ją rozśmieszali, pogodnie sprzecząc się o różne rzeczy — począwszy od tego, kto lepiej gra w koszykówkę, a skończywszy na tym, kto ma odprowadzić ją do drzwi. W przypadku tej ostatniej kwestii zgodzili się, że zrobią to obaj. Gdy Laurel znalazła się już w swojej kuchni, wciąż słyszała, jak przekomarzają się ze sobą, idąc wzdłuż ściany domu. Nalała sobie szklankę wody i przysłuchiwała się, póki ich głosy nie przycichły i

samochód nie odjechał z podjazdu. Upłynęło sporo czasu, nim wyłączyła światła i poszła na piętro. Nie wyłączyła lampy w swojej sypialni, jedynie zrzuciła buty i zwinęła się w kłębek na fotelu stojącym blisko okien. Tym razem nie uciekła. Zmierzyła się ze swoją przeszłością, z Judem i jego bratem.

Stawiła nawet czoło dwóm synom Cale'a, cały czas pamiętając, że ma on jeszcze jednego potomka.

Cale leżał rozciągnięty na środku boiska do koszykówki, które zbudował dla swoich synów. Reflektory świeciły mu prosto w twarz, całkowicie go oślepiając. Czuł, jak serce wali mu w piersiach. Wiedział, że ma podarte ubranie, pot spływa mu po skroniach i wzdłuż uszu. Ciało bolało go tak, jakby ktoś poobijał go drewnianą pałką. Wziął dwa głębokie wdechy i po chwili poczuł palenie w płucach oraz powracające czucie w stopach i nogach.

- Jestem na to za stary - jęknął Jud leżący obok niego. - Potrzebny mi masaż serca.

- Zadzwoń po karetkę, kretynie. Ja za ciężko walczę o każdy oddech.

- Obaj dyszeli jak zagonione psy. - Wygrałem? Nie patrzyłem na rezultat ostatniego rzutu.

- Nie widziałeś tego? W takim razie to ja wygrałem.

- Guzik prawda. - Cale znalazł trochę sił, by się roześmiać.

- Kto wygrał zakład?

- Potrzebujesz pieniędzy?

Jud roześmiał się.

- Nie. A ty?

-Nie.

Jud zasłonił oczy ramieniem.

- Te światła są mordercze.

Cale burknął coś pod nosem i podniósł głowę z betonu.

Victor siedział samotnie na swoim krześle. Cale usiadł i oparł ramiona o zgięte kolana, następnie spojrzał na Juda, który jeszcze się nie ruszył.

- Możesz zgasić światła, staruszk. Koniec zabawy. Jud uniósł jedną rękę i machnął nią w powietrzu.

- Wszystkiego najlepszego, Victorze!

- Cholera...

- Co takiego? - Jud odwrócił się dokładnie w chwili, kiedy zgasły światła.

- Twoja sympatia zniknęła.

To zabawne, jednak sekundę później Jud był już na nogach.

- Laurel?

Victor właśnie odchodził, ale zatrzymał się na chwilę.

- Matthew odwiózł ją do domu już jakieś czterdzieści pięć minut temu.

Cale, kuśtykając, zszedł z boiska w ślad za Judem, który nagle dziwnie ucichł. Skierowali się w milczeniu w stronę domu. Przy drzwiach spotkali Dane'a i Matta z piwem w ręku.

- Proszę, wygląda na to, że piwa się wam przydadzą - powiedział Dane. - Czy mogę pożyczyć dwieście dolarów?

- Po co?

- Przegrałem zakład z Mattem.

Cale odwrócił się w stronę Juda ze słowami:

- Zapłać. Wygrałem. Wisisz mi dwie stówy.

Jud otworzył portfel i wręczył pieniądze Cale'owi. Ten podał je Dane'owi, który przekazał je w ręce Matta. Ten ostatni złożył banknoty i włożył je do kieszeni w koszuli, a potem spojrzał na Juda.

- Jesteś naszym dłużnikiem, Jud. Odwieźliśmy do domu twoją sympatię - rzucił Dane.

- Tę samą, od której nie chcieliście odstąpić przez cały wieczór? Koniec końców okazuje się, że jesteście jeszcze gorsi niż wasz ojciec. - Jud wszedł do środka i opadł na krzesło, a jakaś część Cale'a miała nadzieję, że jego brat właśnie pogrzebał swoje szanse u Laurel.

- Nie musisz się tak przejmować - pocieszył go Dane. — Była tylko zmęczona. Nie wyglądała na wkurzoną.

- Była zdziwiona twoją zręcznością, jeśli chodzi o grę. -Matt się roześmiał.

- O kim mowa? - spytał Victor, wychodząc z kuchni.

- O pani King - odparł Matt. Cale pomyślał, że się przesłyszał.

- Proszę?

- O pani King. Laurel - dodał Matt.

- Była żoną Berica Kinga - wyjaśnił Jud, popijając swoje piwo.

„Wyniki pacjentki o nazwisku King... poproś, by zlecił zrobienie echokardiografii przezprzełykowej... Nieczęsto o tym mówię, ale siedem lat temu miałam operację zastawek... ”

Rozmowy powróciły w umyśle Cale'a, który sam zdał sobie sprawę, że to Laurel była ową szczególną pacjentką Lofty'ego.

- Tato? - Dane wciągnął go do kuchni i spytał cicho: - Czy to nie takie właśnie nazwisko nosiła pacjentka, której kartotekę wtedy widziałem?

- Owszem, ale nie możesz tego publicznie mówić.

- Wiem o tym - odparł jego syn z irytacją w głosie. - Jak myślisz, dlaczego cię tutaj zawołałem?

- Przepraszam.

- Co masz zamiar zrobić?

- Chcę jej pomóc.

- Ej, co tu się dzieje? - spytał Matt, a zza jego pleców widać było Juda.

- Prawdopodobnie ustalają jakiś nowy zakład. - Jud wrzucił do kosza na śmieci pustą puszkę po piwie. - Pewnie twój ojciec za mało zarabia.

- Ty sam też jesteś bardzo biedny.

- Idźcie obaj do siebie - powiedział Cale, tylko częściowo żartując. - I zabierzcie Victora do domu. Jest wykończony, tak samo jak ja.

Trochę czasu minęło, nim Cale zdołał się ich wszystkich pozbyć - zanim Matt i Victor odjechali samochodem, nim Jud przestał krążyć w koło i wreszcie sobie poszedł, a także nim Dane położył się spać. O wpół do trzeciej Cale usiadł w swoim gabinecie. Przez chwilę wpatrywał się w telefon, w końcu i tak zadzwonił do Lofty'ego Collinsa.

Było sobotnie popołudnie, za piętnaście szósta, na zewnątrz zrobiło się wilgotno i zimno, gdyż około trzeciej wszystko przesłoniła mgła.

Laurel stała przed otwartą lodówką, a kot Henry spacerował między jej nogami raz w jednym, raz w drugim kierunku.

- Co chcielibyśmy zjeść? Kurczaka w sosie orzechowym? -Spojrzała na kota. - W ostateczności? No dobra, może kotlety z baraniny? Nie, prawda? Suszone na słońcu pomidory, makaron ze szpinakiem i kozi ser? - Przerwała, po czym otworzyła zamrażarkę. - A może to cudowne opakowanie lodów?

Henry miauknął.

- Świetny pomysł. Nie będzie naczyń do zmywania. Tylko łyżeczka i twoja miska. Możemy zjeść przed kominkiem.

Laurel wzięła łyżeczkę i wyjęła miseczkę dla kota - trzeba było boskiej interwencji, by oderwać Henry'ego od lodów -i sięgnęła do zamrażalnika.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi.

- Dokładnie w porze kolacji... Idealne wyczucie czasu. Co będą sprzedawać tym razem - papier do pakowania, książeczki z kuponami rabatowymi, czy może czekoladę? Henry, przygotuj się do ataku. Ktoś chce stanąć pomiędzy nami a naszymi lodami.

Laurel z rozmachem otworzyła frontowe drzwi, po czym stanęła twarzą w twarz z Judem. Nabrała powietrza w płuca.

- Wiedziałam, że nie powinnam była zdradzać ci swojego adresu.

Jud przechylił się i rzucił spojrzenie za jej plecy.

- Słyszałem, jak z kimś rozmawiałaś. Przeszkadzam?

- Tak. - Skierowała łyżeczkę w stronę jego stóp. - Przerzywasz niezwykle ważną rozmowę między mną a moim kotem. -Najwyraźniej Henry miał trochę inną wizję ataku niż Laurel, gdyż ocierał się właśnie o nogi Juda. - W porządku - dodała, po czym machnęła łyżeczką w

powietrzu. - Prawda wyszła na jaw. Stałam się jedną z tych kobiet, które mieszkają samotnie i rozmawiają z kotami. Jutro ubiorę się w purpurę.

Jud podrapał Henry'ego za uszami i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nieważne. Musiałbyś być kobietą, żeby zrozumieć ten dowcip. -

Oparła się o drzwi i w obronnym geście skrzyżowała ręce na piersiach, uderzając łyżeczką o swój bok. — Co tutaj robisz?

- Jestem ci winien przeprosiny. Zwykle nie opuszczam kobiet, z którymi gdzieś wychodzę.

- Byłeś zajęty. - Laurel się ucieszyła, że Judowi zrobiło się głupio.

- Taak... zajęty robieniem z siebie idioty.

Wyglądał na szczerze skruszzonego.

- To fakt, ale przynajmniej potrafisz się do tego przyznać. Niektórzy obwinialiby wszystkich w koło.

- Niektórzy... ?

- Mój były mąż nigdy się nie mylił.

- Im starszy jestem, tym częściej stwierdzam, że się mylę. - Jud delikatnie się roześmiał. - Niech to diabli, pewnie wiedziałem, że dam się ponieść grze, kiedy wszystko już się zacznie. Sądzę, że to stare przyzwyczajenie.

Laurel przez chwilę wahała się, potem spojrzała na kota -mądre stworzenie, które zawsze ignorowało obcych i jej byłego męża. Otworzyła szerzej drzwi.

- Wejść do środka.

- Zaczekaj. Daj mi chwilkę. - Jud odwrócił się i pobiegł w stronę ulicy.

Laurel usłyszała piknięcie alarmu w jego samochodzie. Spojrzała na siebie. Była ubrana w czarne, luźne spodnie do gimnastyki, białą sportową bluzkę i szarą, zapinaną bluzę. Zdjęła z nóg stare, zabrudzone różowe pantofle i kopnęła je w kąt za drzwiami. Henry siedział na mosiężnym progu. Oboje posłusznie czekali. Co nie zgadzało się na tym obrazku?

Drzwi samochodu zamknęły się, a zza zakrętu wyszedł Jud z butelką wina i białą torbą z chińskiej restauracji. Podniósł opakowanie z daniami na wynos ze słowami:

- Dary ułatwiają zawarcie pokoju.

- No cóż, warto było zaczekać. Umieram z głodu. - Zamknęła drzwi.

- Pachnie wspaniale. Chodźmy do kuchni.

Wszedł do środka i postawił jedzenie na stole. Laurel zaczęła przygotowywać talerze, sztućce i tacę. Rzuciła Judowi otwieracz do butelek i wyjęła dwa kieliszki. W końcu rozpakowała jedzenie. Był tam kurczak zawinięty w sałatę, przyrządzane na parze knedle z warzywami, krewetki w chrupiącej miodowej polewie, brązowy ryż i aromatyczny zielony groszek.

- No dobra. - Położyła jedną rękę na stole, a drugą oparła o biodro. - Tu nie ma mowy o szczęśliwym przypadku. To są moje ulubione potrawy.

- Zamówiłem je wcześniej.

Laurel włożyła łyżki w opakowania.

- Skąd wiedziałeś, że tam jadam?

Jud dotknął głowy palcem.

- Po prostu wybitny umysł.

- Nie sędzę. Nie spadłam właśnie z księżycy, Jud. Wręczył jej kieliszek z winem.

- W dniu, w którym wybraliśmy się na lunch, widziałem opakowania w waszej biurowej kuchni.

- Jak długo tam byłeś? Pięć minut?

- Coś takiego.

Podniosła tacę z jedzeniem i poszła do salonu.

- No cóż, wykazałeś się spostrzegawczością - rzuciła przez ramię.

- Zawsze byłem spostrzegawczy.

Postawiła tacę na niskim stole i rozłożyła na dywanie poduszki do siedzenia.

-Jasne. Jesteś naprawdę spostrzegawczy. To właśnie dlatego nie zauważyłeś, jak wczoraj wieczorem wyszłam z Matthew.

- Jeśli o to chodzi, jestem jego dłużnikiem.

- Tak. Cóż, dzięki temu dowiedziałam się o tobie wielu rzeczy.

- Na przykład?

- To wino jest wspaniałe.

- Zmieniasz temat.

- Owszem.

- Odpowiedz, proszę.

- Uwielbiam pouilly-fuisse. .

- To akurat pamiętam.

Czas i wszystkie minione lata zniknęły, w ich miejsce pojawił się obraz schodków prowadzących na werandę małego domku w Los Angeles. To właśnie tam znalazła skrzynkę drogiego francuskiego wina i liścik zaczynający się od słów „Droga Nimfetko...”. Laurel poczuła coś głębokiego i pierwotnego -uczucia, których nigdy nie umiała kontrolować mimo usilnych starań. Nie była w stanie nawet odwrócić głowy, choć

wiedziała, że jej myśli byłyby łatwe do odczytania, gdyby Jud tylko na nią popatrzył.

Odsunięcie w niepamięć tamtej skrzynki wina nie oznaczało, że Laurel zapomniała o wszystkim, do czego doprowadził ten prezent. Co dobrego przyniosło okłamywanie samej siebie? Obraz Juda zawsze tkwił gdzieś w jej pamięci, w tym bezpiecznym, ciemnym miejscu, w którym mogła ukryć wszystko. Dzięki temu nie musiała myśleć o zakazanej miłości. Czy fakt, że on tak wiele pamiętał, a ona tak dużo zapomniała, nie mówił już sam za siebie?

Laurel odstawiła swój kieliszek, a Jud dolał jej jeszcze trochę wina.

- Dzięki - powiedziała, a potem urwała i spojrzała na niego.

Mężczyzna, którego widziała wczoraj na boisku do koszykówki, nie myślał o takich rzeczach. Zdawał się na instynkt i emocje. To był właśnie Jud. - Ostatniego wieczoru zostałeś wrobiony, wiesz o tym?

- W jaki sposób zostałem wrobiony?

- Dane i Matthew cię wrobili. Ta dwójka kierowała tobą jak precyzyjną maszynką.

Jud jedynie wpatrywał się w nią.

- Założyli się - to właśnie dlatego ciągle się wtrącali i nam przerywali.

Laurel zobaczyła na jego twarzy zrozumienie.

- Obaj są już martwi. Cholera... - Jud nie był naprawdę zły, nie wyglądał też na zmartwionego czy rozwścieczonego.

Wydawało się, że ma raczej ochotę się roześmiać, a Laurel przypomniawszy sobie, dlaczego wiele lat temu tak szybko uległa urokowi tego mężczyzny. - To było całkiem pomysłowe z ich strony - powiedział. -

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mam wrażenie, że to nie pierwsza taka sytuacja. - Roześmiał się. - Jestem pod wrażeniem. Cholera, zastanawiam się, od jak dawna nam to robili.

- Sądzę, że od dawna. Jud potrząsnął głową.

- To wiele wyjaśnia.

- Na przykład?

- Na przykład to, dlaczego po wszystkim, co się wydarzyło, dziś wieczorem tak łatwo mnie tutaj wpuściłaś.

- Współczucie dla frajerów zawsze było moim słabym punktem.

Oboje roześmiali się. W chwili ciszy, która nastąpiła potem, Laurel wstała i pozbierała naczynia. Jud zabrał tacę do kuchni, jednak wracając, przyniósł ze sobą kolejną butelkę wina. Laurel zajęła miejsce na sofie i usiadła na podwiniętych stopach.

Zupełnie jakby robili to już setki razy, Jud podszedł do kominka, przykucnął swobodnie, pogrzebał w ogniu i dorzucił drewna. Usiadł obok Laurel, nalał wina, a potem zrzucił buty, skrzyżował nogi na stoliku i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Ten dom jest naprawdę wspaniały. Te wysokie sklepienia i zdobienia... Takich kominków już się nie widuje.

- Uwielbiam takie szczegóły.

- Jestem zaskoczony, że twój były nie walczył o ten dom.

- Nie odważył się.

- Było aż tak źle?

- To zbyt długa historia, by teraz ją opowiadać.

- Mam całą noc.

W jej głowie pojawiły się nieproszone i niecenzuralne obrazy. Zaledwie kilka słów Juda spowodowało, że Laurel przestała normalnie myśleć.

- Sprawia wrażenie człowieka, który wie, czego chce.

- No cóż... zawsze taki był. Brak pewności siebie to nie jego problem - jest nim raczej jej nadmiar. Francuzi są bardzo stanowczymi i upartymi ludźmi.

- Ty jesteś upartą kobietą.

- Żyłam we Francji dwanaście lat. Nie ma nikogo bardziej upartego od Francuzów, szczególnie jeśli się mylą.

- Mimo to wyszłaś za mąż za jednego z nich.

Laurel popatrzyła na swój kieliszek, jakby zawierał on jakiś magiczny płyn mogący ukryć ją przed prawdą.

- Tak, to prawda. Jest gwałtownym mężczyzną i niezwykle utalentowanym szefem kuchni.

Jej małżeństwo z Berikiem było czymś bolesnym, a jego nieustanne żądanie uwagi stanowiło obciążenie dla ich związku. Cały czas stawiał ją w sytuacji, kiedy musiała wybierać pomiędzy Annalisą a nim. Zbyt często biegł do kogoś innego, jako wymówki używając stwierdzenia, że ona nie zapewniła mu tego, czego chciał i potrzebował.

- Prowadził zajęcia z przygotowywania sosów - dodała po chwili.

Jud roześmiał się.

- Zajęcia z przygotowywania sosów?

- Beric jest mistrzem w przyrządzaniu sosów. - Uśmiechnęła się. —

Właściwie jest mistrzem we wszystkim. Możesz go o to spytać. Potrafi godzinami opowiadać o sobie samym.

- I to właśnie dlatego wyszłaś za niego za męża?

- Nie, oczywiście, że nie. W pewien sposób żartowałam. Byłam jego protegowaną, a on był szefem kuchni. Minęło trochę czasu i wszystko stało się bardziej skomplikowane, choć nie brakowało miłych chwil. Jego rodzina mnie polubiła. Wszyscy jej członkowie to bardzo silne osobowości. Nigdy przedtem nie miałam tak dużej, głośniejszej rodziny. To przypominało sytuację, kiedy otaczają cię balony wypełnione helem. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w moim dotychczasowym życiu. Myślę, że byłam wtedy młoda i beztroska, a przebywanie we Francji wydawało mi się szalenie romantyczne.

- Jak długo byłaś mężatką?

- Zbyt długo. Jednak dla Annalisy przesłabym przez to jeszcze raz. - Odwróciła się do niego. — Nie jestem dumna z moich błędów.

- Zbyt surowo oceniasz samą siebie i wybory, których dokonałaś.

- To ty tak twierdzisz. - Roześmiała się. - Nie musisz przecież z nimi żyć.

- Żyję z większymi błędami, niż może ci się wydawać, Nim-fetko.

Laurel zdała sobie sprawę, że Jud ma na myśli właśnie ją.

- A co z tobą? Wzruszył ramionami.

- Co chcesz wiedzieć?

- Nigdy się nie ożeniłeś? Potrząsnął głową.

- Nie byłeś nawet tego bliski?

- Mam za sobą kilka długotrwałych związków. Żyłem z kilkoma kobietami. Z jedną byłem ponad cztery lata.

- Co się stało?

- Chciała wziąć ślub. Wspaniała dziewczyna, pracowała w dziale finansowym firmy. Myślę, że naprawdę mi na niej zależało...

Nagle głos mu zamarł.

- Co takiego się wydarzyło?

- Nie mogłem podjąć takich zobowiązań, jakich ona pragnęła.

Próbowałem, ale nieustannie przesuwalem datę ślubu. -Upił łyk wina, a potem dokończył rzeczowo. - BanCo jest moim życiem od wielu, wielu lat. Wiedziała o tym, jednak w którymś momencie przestało jej to odpowiadać. Koniec końców poddała się i wyszła za męża za poetę, profesora anglistyki - kilka lat temu wybrałem się na jeden z jego odczytów w Westwood. Myślę, że ona tak naprawdę chciała uciec od świata finansów BanCo. Co roku dostaję kartkę na Boże Narodzenie. Jan jest kierowniczką banku w małym miasteczku w stanie Waszyngton i wydaje się szczęśliwa.

- Jest coś, czego żałujesz?

- Całe moje życie składa się z takich wydarzeń. - Jud roześmiał się. -

Ostatnim z nich jest fakt, że wczoraj wieczorem nie odwiozłem cię do domu.

- To zostało ci wybaczone.

- To dobrze.

Jud dopił swoje wino, odstawił kieliszek, oparł się i odwrócił w jej stronę. Żadne z nich się nie odzywało. Panująca cisza przestała być niezręczna, gdyż zaczęła wyrażać narastające między nimi napięte emocje. Laurel miała zamiar coś powiedzieć, chciała być radosna i zabawna, mówić słowa, które rozbawiłyby ich oboje i które szybko przecięłyby tworzącą się między nimi skomplikowaną sytuację.

Jednak kiedy on patrzył na nią w taki sposób, nie potrafiła myśleć. Gdzieś w odległym zakątku jej umysłu zaświtała myśl, że właśnie tego chciała. Dlatego otworzyła drzwi.

- Nie chcę żałować, że tego nie zrobiłem - powiedział Jud, a potem objął ją za szyję.

Dopiero w chwili, kiedy jej dotknął, Laurel zdała sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech. Jud powoli przyciągnął ją do siebie, aż ich usta się zetknęły. Jego wargi smakowały jak wino. Jego język drażnił jej wargi, a pocałunek był głęboki, swobodny i seksowny - minęło sporo czasu, nim Jud się od niej odsunął.

Laurel potrzebowała czasu, by uzmysłowić sobie, że to on wszystko przerwał. Zapomniała już, w jaki sposób ten człowiek potrafił fizycznie ją kontrolować. To zadziwiające, że pewne rzeczy zupełnie się nie zmieniły. W uczuciu, które żywił do niej Cale, zawsze była jakaś nutka desperacji. Może właśnie dlatego nie mogła wtedy z nim zerwać i powiedzieć, że kocha jego brata.

Jud był inny - bezpośredni, dynamiczny i pewny siebie. Nie doprowadzał do sytuacji, w której patrzyłby na nią i siedział obok, beczynn timerząc, żeby ją pocałować. Po prostu zaczynał działać.

- Wyglądasz tak poważnie - powiedziała. - O czym myślisz?

- O poezji, którą razem tworzymy.

- Słucham?

Uśmiechnął się tak, jakby śmiał się z samego siebie, a potem potrząsnął głową.

- Myślałem o tym, jak bardzo chcę zrobić to ponownie.

- Nie sądziłam, że jesteś człowiekiem, który się waha, gdy czegoś chce.

Wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby ona sama już podjęła jasną i klarowną decyzję. To wrażenie było bardzo odległe od prawdy.

- Nie chcę cię wystraszyć - wyjaśnił.

A więc to od niej wszystko zależało. Wiele lat temu również zachował się w ten sposób - naciskał i naciskał, w końcu jej pozostawił podjęcie decyzji. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego, ale taka postawa przemawiała do niej i zmuszała ją do przyznania, że jej pociąg do tego mężczyzny nigdy nie uległ zmianie. To uczucie było tak przytłaczające jak miłość, którą przeżyła w wieku siedemnastu lat. Laurel musiała przyznać, że nie czuła niczego takiego od bardzo dawna. Wiedziała tylko, że Jud będzie musiał już pójść. W kominku tlił się jedynie żar, butelki z winem były puste. Nadal czuła jego smak na języku. Zastanawiała się, cóż to za potężna siła sprawia, że życie potrafi zatoczyć taki krąg. Nie patrząc na niego, wzięła głęboki wdech i powiedziała:

- Pewnie powinieneś już iść.

- Tak. - Przerwał i przyjrzał się Laurel. - Powiniennem. Nie zrobił jednak żadnego ruchu, by się podnieść, więc to ona wstała. Jud wahał się tylko przez ułamek sekundy, ale wstał z twarzą przepełnioną żalem.

Kiedy Laurel szła w stronę korytarza wejściowego, przed oczami przemknęły jej obrazy całego życia wypełnionego pytaniami z serii „co by było, gdyby...”. Jud podążał jej śladem, jego buty stukały na płytkach, przywołując na myśl znajomy odgłos kroków osoby samotnej. Laurel wahała się przez jedno uderzenie serca, po czym skierowała się w stronę schodów.

W połowie ich wysokości zatrzymała się, spojrzała na niego i powiedziała:

- Sypialnia jest na górze.

RS

30

Jud poszedł za nią, zupełnie jakby nagle zniknęły wszystkie minione lata i wydarzenia z przeszłości. Podążał jej śladem niczym mężczyzna idący za głosem syreny, bez żadnych obaw dotyczących tego, co może nadejść. W końcu szedł za Laurel, a w jej obecności wszystko się zmieniało. W tej chwili nie liczyło się nic innego - tak naprawdę pozostałe sprawy nigdy nie były równie ważne - nawet zaufanie pomiędzy braćmi.

Kiedy dotarli do korytarza na piętrze, Laurel wyglądała tak, jakby zaczęła żywić obawy i pretensje do samej siebie o podjętą decyzję. Jud przytulił ją i bez końca całował, aż jej ciało stało się uległe, fizyczne oznaki napięcia zniknęły, a ich pożądanie zrównało się. Poszli więc do sypialni. Gdy tylko przekroczyli szerokie, podwójne drzwi, Jud zdjął sweter i koszulkę. W trakcie tej czynności prawie się od siebie nie odsuwali. Laurel również ściągnęła ubranie przez głowę, odsunęła je na bok nogą i utonęła w jego objęciach.

Są dwie, lecz dwie tak jak ramiona Cyrkla podwójne; twoja dusza,
Jak igła unieruchomiona, Jednak wraz z moją się porusza.

W sypialni panował mrok, wypełniony sylwetkami i cieniami. Półki, meble, okna i ściany rozjaśniało jedynie delikatne światło odległej lampy ulicznej. Laurel poprowadziła Juda do łóżka. Jej skóra lśniła w takim oświetleniu. Jego wygłodniałe ręce opanowały jej ciało - było ono lepsze, niż pamiętał, inne niż wtedy, wiele lat temu. Stało się delikatniejsze, a brzuch i uda były pełniejsze. Kochał się z nią powoli i spokojnie, jakby chciał nadrobić wszystkie lata rozłąki, wielokrotnie zwalniając tempo, delektując się tym, co ich łączyło. To było coś innego od żaru i

namiętności - coś, czego nie mógł zmienić nawet czas. Kiedy w końcu ich westchnienia ucichły, bicie serc zwolniło, oddech stał się spokojny, a życie po ekstazie wróciło do normy, Jud zamknął oczy i zapadł w sen.

Gdy świat i jego zarysy zaczynały się rozmazywać w ostatnich chwilach świadomości, Jud zrozumiał, że razem tworzą nadzwyczajny duet.

Gdy rano Jud zszedł po schodach z mokrymi włosami po prysznicu i nieogolony, Laurel robiła śniadanie. Podrzucała właśnie naleśnik na patelni.

- Pod umywalką w łazience jest kilka jednorazowych maszynek do golenia.

- Dziękuję, ogolę się w domu. Nie wybieram się do biura. Dzisiaj po południu lecę do Denver na coroczne spotkanie rady zarządu jednej z naszych filii, wrócę dopiero w czwartek. - Nalał sobie kubek kawy. Stał niecałe pół metra od Laurel, wciąż jej się przypatrując. - Co tak wspaniale pachnie?

- Naleśniki szpinakowe z bekonem w miodzie i sosem serowym.

Postawiła na stole talerze i miskę z plasterkami melona oraz malinami.

- Nie musiałaś tego dla mnie robić. Laurel roześmiała się.

- I wcale nie przyrządziłam tego dla ciebie. Najczęściej jadam bardzo obfite śniadania. To najważniejszy posiłek w ciągu dnia - daje siły twojemu sercu.

Jud nachylił się.

- Moje serce nabrało ostatniej nocy wiele sił. Mój zbiornik jest pełny, kochanie.

Laurel uśmiechnęła się do niego tak naturalnie, jakby robili to codziennie od trzydziestu lat. Pocałunek, w którym zaraz się zatracili, był najzwyczajszą rzeczą pod słońcem. Objęła go za szyję, a na swoich plecach i pośladkach poczuła jego ciepłe dłonie.

- Mamo!

Oderwali się od siebie jak para przyłapanych na gorącym uczynku nastolatków.

- Annaliso... Co ty tutaj robisz?

Dziewczyna stała w drzwiach i wyglądała tak, jakby ktoś ją uderzył.

Laurel odwróciła się do Juda, nie wiedząc, co powiedzieć. W odpowiedzi ścisnął jej dłoń, potem spojrzął na jej córkę.

- Dzień dobry, Annaliso.

- Jud... panie Banning. - Głos miała lodowaty. - Co pan tu robi? Jest ósma rano.

- Jud spędził tutaj ostatnią noc.

- Nie żartuj sobie.

- Przestań, Annaliso. - Laurel była poirytowana i zakłopotana.

- Zależy mi na twojej matce. Nie stawiaj jej w kłopotliwej sytuacji.

Nie robimy nic niestosownego. Znamy się od bardzo dawna.

Annalisa przeniosła wzrok z Juda na Laurel, po czym na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. Wybuchnęła płaczem i po chwili wybiegła za drzwi.

Nastąpiła konsternacja.

- No cóż, trudno - odezwała się Laurel.

- Czy nie powinnaś pójść do niej?

- Może powinnam - powiedziała, ale nie wykonała żadnego ruchu.

Jud objął ją i przyciągnął do siebie.

- Wszystko w porządku?

- Nie wiem. Nie żałuję jednak ostatniej nocy.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo - odparła z uśmiechem na ustach.

- Chcesz, żebym zaczekał, aż skończysz z nią rozmawiać?

- Nie. Możesz jechać.

- Zadzwoń później - powiedział i pocałował ją.

Laurel odprowadziła go do drzwi i zeszli razem po schodach. Na ulicy Jud zatrzymał się jeszcze przy samochodzie, Laurel pomachała mu i zaczęła, aż odjedzie. Potem udała się na plażę. Od razu zauważyła swoją córkę stojącą samotnie nad brzegiem oceanu. Laurel kroczyła po chłodnym piasku, omijając połamane muszelki i zielone wodorosty wyrzucone na brzeg przez przyływ. Jej stopy zapadały się z chrzęstem, Annalisa musiała więc słyszeć zbliżanie się matki, ale nie odwróciła się.

- Annaliso? Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego jesteś przygnębiona? Od lat próbowałaś nakłonić mnie, bym zaczęła się z kimś umawiać.

- Nie powiedziałaś mi, że wcześniej się znaliście. - Na twarzy dziewczyny widać było napięcie i różne emocje. - To on przysyłał ci kwiaty, prawda?

-Tak.

- Mogłaś mi powiedzieć, mamo.

- To długa historia.

- Babcia mi ją opowiedziała.

- Co dokładnie ci powiedziała?

- Ponoć wiele lat temu on tak bardzo cię zranił, że uciekłaś do Francji.

- Nieprawda. Zresztą nawet gdyby tak było, to czy dzisiaj miałyby to jakieś znaczenie? Po prostu łączy nas skomplikowana przeszłość.

- Czy darzysz go miłością? Czy wtedy go kochałaś? Ostatnia noc była dla Laurel cudowna. Teraz jednak czuła się wyjątkowo niezręcznie. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć, lub też jak prawdziwe były jej uczucia w tym momencie. Nie była jeszcze gotowa, by dzielić się nimi z kimkolwiek - nawet z Judem. Minęła długa chwila, nim odpowiedziała córce.

- Właśnie pojawił się z powrotem w moim życiu. Zależy mi na nim. Czy to cię martwi?

- Nie. - Annalisa spojrzała na własne stopy. - Tak. Cóż, nie wiem. Babcia powiedziała, że Banningowie nas zniszczyli. Opowiedziała mi o wypadku. Radziła też, żeby nie wiązać się z Matthew, bo on mnie skrzywdzi.

Laurel przypomniała sobie rozmowę sprzed wielu lat i niemal namacalny ból - chwilę, w której Kathryn powiedziała, że ojciec Cale'a i Juda zabił jej tatę. Mówiła córce o tym, że nie powinna czuć się bezpieczna. Spokojny, matczyzny głos Kathryn nagle gwałtownie się wzniosł, zmieniony przez wściekłość, żal, strach i gorycz, które nosiła w swojej zranionej duszy.

Laurel widziała, co dzieje się z Annalisa, ale też dręczyło ją pytanie, czy jej córka czuje coś do Matthew. W tej chwili kobieta miała ochotę na zawsze uciszyć swoją matkę. Laurel otoczyła ręką ramiona Annalisy.

- Przykro mi, kochanie.

Dziewczyna zaczęła płakać.

- Babcia miała rację. Matthew już mnie skrzywdził. - Annalisa opowiedziała całą historię, a potem dodała: - I po tych wszystkich „Jestem cierpliwym facetem, Arinaliso. Zaczekam. Nie pragnę nikogo innego”, po takich deklaracjach pojawił się w restauracji z tą blondynką. Sama widziałaś. Faceci są palantami.

- No cóż, czasami to prawda. Bywa jednak, że my, kobiety, wprowadzamy ich w błąd, a w niektórych przypadkach niewiele potrzeba. - Annalisa nie roześmiała się. - Dobra wiadomość jest taka, że nigdy się z nim nie umówiłaś.

- Martwiłam się co noc, rozmyślając o Matthew, a do tego pracowałam dwa razy ciężiej niż zwykle, bo chciałam zrobić na nim wrażenie. Uwierzysz, że dla niego prawie złamałam swoje zasady?

- Jakie zasady?

- Powiedziałam mu, że nie umawiam się z nikim związanym z moją pracą.

- Mieć zasady to wspaniała rzecz. - Laurel wsunęła kosmyk włosów za ucho córki. - Ale one nie ogrzeją cię w nocy.

- Sądzisz, że popełniłam błąd? Och, jasne, że tak uważasz... W końcu przespałaś się z Judem Banningiem.

W sytuacjach takich jak ta bycie matką mogło doprowadzić do załamania. Czasami człowiek miałby ochotę uderzyć własne dziecko. Zamiast tego Laurel wzięła głęboki wdech i zaczęła starannie dobierać słowa.

- Miłość jest wystarczająco trudno znaleźć, nawet bez szczególnych obwarowań. życie zawodowe to część naszej egzystencji, która kształtuje

relacje z otoczeniem. Miłość w pracy może nie być idealnym układem, ale ludzie robili podobne rzeczy od wielu stuleci.

Annalisa nie odpowiedziała, po prostu żałośnie spojrzała.

- Nie byłoby cię na świecie, gdybym trzymała się takich reguł, kochanie.

- To prawda, ale też rozwiedliście się dlatego, że razem pracowaliście.

- Sądzisz, że z tego powodu?

- Przecież tak było.

- Prawda wygląda inaczej. Rozwiodłam się z twoim ojcem z powodu jego niewierności. Nieustannie mu wybaczałam, ale to go nie powstrzymywało. Wdał się w romans, gdy przechodziłam operację serca.

- Tata zrobił coś takiego?

Laurel nie mówiła córce całej prawdy o rozwodzie, by oszczędzić jej związanych z tym przykrości. Annalisa była wtedy zbuntowaną nastolatką i rozpad rodziny sprawiał jej dodatkowy ból. Teraz Laurel zrozumiała, że swoim postępowaniem chroniła jedynie Berica. Jej córka nie знаła prawdy, wobec tego doszła do własnych wniosków - mylnych konkluzji, które miały wpływ na jej życie.

W takiej chwili fakty musiały wyjść na światło dzienne. Laurel obawiała się jednak prawdy - tak dzieje się, gdy człowiek ma zbyt wiele tajemnic. Zdecydowała, że pewne sprawy nigdy nie zostaną poruszone. Nie potrafiła mówić o swojej największej tajemnicy. Może sama była osobą, która zasługiwała na to, by ją uderzyć.

Ujęła dłoń Annalisy i wyjaśniła córce:

- Kiedy po operacji wróciłam do domu, zdecydowałam, że już więcej tego nie zniosę. Nie miałam zamiaru ani jeden dzień dłużej trwać w związku, który tak bardzo mnie unieszczęśliwił, nawet dla ciebie.

- Nie wiedziałam o tym. Nie chciałam, żebyś tkwiła w tym układzie ze względu na mnie. Tata tak bardzo mnie wkurza. Wiesz, że nieustannie rozpaczał i opowiadał, jak bardzo cię kochał? Mówił o napięciu, które powstaje, gdy pracuje się razem. W ten sposób sugerował, że wasz rozwód był spowodowany wspólną pracą.

- Twój ojciec jest wkurzającym człowiekiem. Wszystko wokół musi się dziać pod jego dyktando.

- Ale to była wyłącznie jego wina.

- Nie. Nie, to nieprawda. W przypadku rozwodu wina rzadko leży tylko po jednej stronie.

- Jaki ty popełniłaś błąd?

Laurel przycisnęła ręce do piersi, a potem wbiła wzrok w horyzont.

- Czasem zastanawiam się, czy kochałam go dość mocno.

- Nie znam nikogo, kto miałby w sobie więcej miłości niż ty. - Teraz to Annalisa objęła Laurel ramieniem. - Nigdy nie wątpiłam, że mnie kochasz.

- Ciebie całkiem łatwo pokochać. Matthew ma pod tym względem rację.

- Nawet nie chcę o nim słyszeć.

- Dlaczego? Chodzi o tę blondynkę?

-Tak.

- Annaliso...

- Słucham?

- Powiedziałaś mu, że się z nim nie umówisz.

-Tak.

- Tylko raz?

Dziewczyna potrząsnęła żałośnie głową.

- Przynajmniej ze dwadzieścia razy.

- Nie widzisz więc, że nierozsądne jest wkurzanie się na to, że on umawia się z kimś innym?

- Tak naprawdę wcale nie jestem zła na niego, mamó. Wkurzam się na siebie. - Uśmiechnęła się niewyraźnie i splótła rękę z ramieniem Laurel. - Nic mi nie będzie. Przepraszam, że przed chwilą narobiłam takiego bałaganu. Byłam po prostu... sama nie wiem... zaskoczona, że widzę tutaj Juda. Szczególnie po opowieści babci.

- No cóż, chyba utnę sobie z nią dłuższą rozmowę. Nie wiedziała, co wtedy się między nami działo, nie wie tego również i teraz. Na dźwięk nazwiska Banning robi się tak przygnębiona, że przestaje racjonalnie myśleć.

- Nie złość się na nią.

- Nie jestem na nią zła - skłamała Laurel.

Naprawdę była wściekła na Kathryn o to, że powiedziała Annalisie o sprawach, o których dziewczyna powinna usłyszeć od matki. Dzięki temu nie zostałyby przepojone jadowitą nienawiścią, którą starsza pani żywiła do rodziny Banningów. Laurel ramię w ramię wróciła z córką do domu, chociaż w powietrzu wciąż wisiało wiele pytań. Kiedy matka Annalisy zmywała piasek z nóg pod prysznicem obok werandy, usłyszała telefon dzwoniący w domu, wbiegła więc do środka. Dzwoniono z gabinetu

doktora Collinsa — nastąpiło jakieś zamieszanie z listą wizyt pacjentów i dlatego proszono, by zgłosiła się do lekarza następnego dnia.

- Według planu jutro powinnam polecieć do Chicago - powiedziała Laurel. - Mój samolot startuje jednak dopiero o wpół do piątej. Tak, mogę przyjść o dziesiątej. - Odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni. Ostatnim razem została wezwana, bo zapomniano pobrać jej krew.

Na ladzie w kuchni leżały zimne naleśniki. Annalisa naląła sobie kawy i zaczęła podjadać owoce.

- Masz ochotę na śniadanie?

- Nie, dzięki. Muszę pojechać odebrać nowe dane dotyczące projektu, później wrócić do domu i spakować się. Wybierasz się do biura?

Laurel spojrzała na zegarek.

- Tak, za jakąś godzinę.

Annalisa wyglądała tak, jakby dźwigała na swoich barkach grzechy całego świata, więc Laurel spytała jeszcze:

- Wszystko w porządku?

Annalisa dokończyła melona, wytarła ręce w dzinsy i przytuliła matkę.

- Nic mi nie jest, mamo. Trudno opłakiwać coś, czego nigdy się nie miało. - Odstawiła kubek po kawie. - Do zobaczenia później.

Kiedy odezwał się telefon, Kathryn nie musiała sprawdzać numeru rozmówcy, żeby wiedzieć, że dzwoni Laurel.

- Mamo, coś ty narobiła? - W głosie córki Kathryn słychać było taką samą złość jak tego wieczoru, kiedy się pokłóciły.

- Ona popełnia ten sam błąd, co ty. Ktoś musi ją powstrzymać.

- Nie miałaś prawa mówić niczego o mnie. To ja jestem matką Annalisy. Sama powinnam jej powiedzieć. Nie masz pojęcia, co wydarzyło się pomiędzy Judem a mną.

- Wiem, że to on był powodem, dla którego mnie opuściłaś. On i ten jego brat. Myślisz, że kiedykolwiek wybaczę coś takiego? Zostałaś przez nich wykorzystana, ty jednak jesteś gotowa z łatwością o tym zapomnieć.

- Uwierz mi, niczego nie zapominam.

- Nie potrafię uchronić cię od ponownego wkroczenia na tę drogę, ale mogę powstrzymać Annalise. Była przygnębiona, a ten Matthew już ją zranił. Powinna wiedzieć, co się kiedyś wydarzyło. Musi zrozumieć, co oni nam zrobili. Nie będę stać z boku i patrzeć, jak moja wnuczka marnuje sobie życie, bo ty nie chcesz mówić o przeszłości.

- Nie muszę wspominać przeszłości, mamo. Ty nigdy nie przestałaś nią żyć.

Pełne goryczy słowa zawisły w powietrzu i przez chwilę żadna z nich nie dodała niczego więcej.

- Skrzywdziłaś Annalise, mamo — powiedziała cicho Laurel.

- To Matthew Banning ją skrzywdził.

- Nie wiem, czy potrafię ci to wybaczyć.

- Nigdy mi niczego nie wybaczyłaś, Laurel.

- Nie pasujemy do siebie, prawda? Na własne oczy widziałam, jak ciężko pracujesz nad tym, by podsycać swój żal, i nie potrafisz przebaczyć.

- Wydaje mi się, że jak na jedną rozmowę powiedziałyśmy sobie już dosyć przykrych rzeczy.

- Do widzenia, mamo.

Laurel rozłączyła się, Kathryn natomiast przez długą chwilę stała w miejscu ze słuchawką w ręce. Słowa, które usłyszała, raniły ją, były też pełne nienawiści. Kathryn nie potrafiła już płakać. Zbyt wiele razy robiła to z powodu swojej córki.

Pięć po dziesiątej w czwartkowe przedpołudnie Laurel weszła do gabinetu kardiologa. Karl Collins wyglądał jak przystojny, ale patykowaty i rozczochrany siedemnastolatek, który nie wyrósł ze swojej niezręczności. Miał orzechowobrzazowe włosy, pełne zrozumienia piwne oczy i mocne dłonie. Pacjenci doceniali jego cierpki dowcip, dziwaczne zwyczaje oraz skłonność do żartowania w obliczu nierzadko przerażającej diagnozy. Jako kardiolog cieszył się nieskazitelną opinią. Kiedy Laurel weszła do gabinetu, Karl wstał - w kieszeni koszuli nosił pióro, a pod szyją krawat. Pacjentka spojrzała dalej, w stronę wysokiej sylwetki odcinającej się na tle okna.

- Cale? Co ty tutaj robisz?

- Witaj, Laurel.

- Usiądź. - Karl wskazał ręką fotel znajdujący się naprzeciwko biurka. Laurel czuła, że coś jest nie tak, usiadła więc ciężko, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Po twojej ostatniej wizycie poprosiłem Cale'a o dodatkową konsultację.

- Dlaczego? Co się dzieje?

- Cierpisz na arytmie. Nieregularna praca serca?

- Czy coś z zastawką?

- Nie mamy pewności. - Cale położył dłoń na jej ramieniu. -

Chcemy, żebyś przeszła TEE, czyli echokardiografię przezprzelykową.

Obraz twojego serca i naczyń krwionośnych da nam trochę więcej informacji.

- Chcemy dokładnie dowiedzieć się, na czym polega problem, Laurel
- dodał Karl.

- Co podejrzewacie? — Widziała wyraźnie, że żaden z nich nie chce wdawać się w spekulacje. - Na litość boską... Przestańcie zachowywać się tak rutynowo.

Cale odezwał się pierwszy.

- To może być jakiś problem z zastawką. Może też być infekcja.

- Ze względu na poprzednią operację nie potrafimy powiedzieć niczego konkretnego. To może być wiele różnych rzeczy, Laurel. - Karl przerwał, a potem spytał: - Byłaś ostatnio u dentysty?

- Tak, usuwałam kamień nazębny i wymieniałam plombę, ale wzięłam antybiotyki. Wiem, że nie wolno o tym zapominać. Co będzie, jeśli zastawka przestała działać? Minęło zaledwie siedem lat. - W przyptywie paniki słowa Laurel padały jedno po drugim.

- Nic sobie z tego nie rób - powiedział surowo Cale. - Nie wiemy, jaka jest przyczyna. Dowiemy się i wkrótce rozwiążemy ten problem.

Laurel pomyślała, że zaraz się rozplacze. Zdała sobie sprawę z własnej słabości i nagle odkrytej kruchości. Chciała, żeby czas cofnął się do dnia wczorajszego i zatrzymał się tam na zawsze, jak w *Dniu świstaka*.

- Chciałbym przeprowadzić krótkie badanie - powiedział Karl i obszedł biurko.

Pacjentka automatycznie wstała i poszła za pielęgniarką do gabinetu, gdzie kobieta włożyła jej termometr do ust i pobrała krew. Następnie wypełniła kartę choroby i wręczyła podopiecznej papierowy fartuch.

- Proszę rozebrać się do pasa. Zna pani zasady.

Laurel odstawiła torebkę na krzesło i przebrała się. Później usiadła sztywno na skraju kozetki, wyraźnie czując każde uderzenie serca.

Nastąpiło głośnie pukanie do drzwi, a potem pojawili się w nich Karl i Cale. Obaj mieli stetoskopy zawieszane na szyjach, a na twarze przywołali te lekarskie uśmiechy, które chociaż powinny uspokoić pacjenta, zazwyczaj odnoszą przeciwny skutek.

Karl przeczytał kartę Laurel.

- Masz niewielką gorączkę. - Wręczył dokument Caleowi. — 37, 2 stopnia. Jak się czujesz?

- Jestem trochę zmęczona, ale od tygodnia źle sypiam.

Karl osłuchiwał jej klatkę piersiową, potem przesunął papierowy strój i przeniósł słuchawkę stetoskopu na plecy Laurel. Po chwili odsunął się na bok i teraz Cale przeprowadził takie samo badanie. Spojrzała na niego, kiedy osłuchiwał jej serce. Miał napięty i poważny wyraz twarzy, z którego nie można było nic wyczytać.

- Boję się - szepnęła i poczuła się tak, jakby miała się rozplakać.

Cale opuścił stetoskop i ujął jej dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, Laurel.

- Gdy pierwszy raz zetknąłem się z takim przypadkiem, moja wiedza nie była zbyt rozległa. Teraz wiem więcej, nawet za dużo. Mam świadomość, że kolejny zabieg zawsze niesie wysokie ryzyko.

- Obecny tutaj twój przyjaciel jest najlepszy. - Wyglądało na to, że Karl szczerze wierzy w swoje słowa. Zaraz potem wyszedł z pokoju, by ustalić z pielęgniarką harmonogram badań.

- Czy możesz to zrobić? - spytała Laurel.

- Co masz na myśli?

- Czy powinniśmy to zrobić? Łączy nas przeszłość.

- W twoich oczach ta sytuacja faktycznie może nie wyglądać idealnie. Posłuchaj, potrzebujesz mnie, a ja chcę to zrobić. — Na chwilę przerwał. - Wybór należy jednak do ciebie.

- Zawsze czułam się podle z powodu tego, co ci zrobiłam.

- Laurel... - Cale roześmiał się i potrząsnął głową. - Czyżbyś obawiała się, że zechcę odegrać się na tobie na stole operacyjnym?

Ten pomysł był tak idiotyczny, że ona również musiała się roześmiać.

-Nie.

- To zdarzyło się dawno temu. Byłem młody i zakochany. Zraniłaś mnie, a Jud mnie zmiądzzył. Poczulem się kompletnie zdradzony, więc przestałem troszczyć się o wszystko wokół i skupiłem wyłącznie na medycynie. Gdybyś to nie była ty, byłaby to jakaś inna dziewczyna. Ważne, że wyszedłem z tego zwycięsko. Udało mi się zostać kimś, kim chciałem być, i znalazłem kobietę, którą kochałem tak samo jak swój zawód. Takim właśnie uczuciem darzyłem ją przez prawie trzydzieści lat.

Cale starał się ukryć swój ból za zawodowym uśmiechem, ale Laurel rozpoznała uczucie, które przemknęło przez jego twarz.

- Przykro mi, że ją straciłeś.

- To były dobre lata, których nie zamieniłbym na nic innego. Tak więc w jakiś sposób muszę to zrobić, Laurel. Masz za sobą jedną operację zastawki i istnieje możliwość, że będziesz potrzebowała kolejnej. Ja jestem natomiast chirurgiem specjalizującym się w operacjach narządów klatki piersiowej. Dla mnie wygląda to tak, jakby w tym, jak potoczyły się sprawy, istniała jakaś logika.

Karl wszedł z powrotem do pokoju.

- Zaplanowaliśmy badania w uniwersyteckim centrum medycznym na jutro, na jedenastą.

- Na jutro? - Laurel nie spodziewała się, że termin będzie tak bliski. - Tak szybko?

- Moi pracownicy powinni byli zapisać cię już dziesięć dni temu. - Karl jasno pokazał, że nie jest zadowolony ze swoich podwładnych.

- Musimy sprawdzić, co się dzieje - powiedział łagodnie Cale. - I powinniśmy to zrobić jak najszybciej.

- Według planów powinnam dzisiaj wsiąść do samolotu, by dotrzeć na targi do Chicago.

- Te plany są już nieaktualne - orzekł Karl.

Laurel ubrała się, wzięła kartkę z informacją dotyczącą wizyty i załamana wyszła z gabinetu. Była już niemal przy drzwiach wejściowych do budynku, gdy Cale zawołał ją po imieniu i podbiegł do niej.

- Dobrze się czujesz?

Laurel najpierw skinęła głową, później nią pokręciła, bojąc się, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, głos jej się załamie. Cale otoczył ją ramionami.

- Wszystko będzie dobrze.

Ruszyli w stronę ławki stojącej przy zainstalowanej w atrium, otoczonej przez bujną roślinność fontannie, której strumienie wpadały do otoczonej granitem sadzawki, gdzie pływały cętkowane ryby i karpie koi w kolorze zachodzącego słońca. Nim dotarli na miejsce, Laurel zaczęła płakać.

- Powiedz coś - poprosił.

- Przez wiele lat zbytnio się nie martwiłam. Miałam szmery w sercu - wiedziałam o tym od dzieciństwa. Jednak kiedy Annalisa miała trzynaście lat, zaczęłam strasznie się męczyć i opadać z sił. Pokonanie schodów zaczęło stanowić problem. Poszłam do lekarza, dostałam skierowanie do specjalisty, a ten stwierdził, że muszę poddać się operacji. Postępowałam tak, jak mi sugerowano, dla lekarzy wszystko było zupełnie oczywiste. Nie wiem, czy byłam naiwna, czy też nie chciałam naprawdę zaakceptować tego, co się działo. Już po fakcie zrozumiałam, przez co przeszłam, a czoło swojej chorobie stawiałam dopiero, gdy wracałam do sił. Ta kwestia była o wiele trudniejsza, niż sądziłam. - Laurel spojrzała na swoje ręce. - Teraz już wiem, czego się spodziewać. Boję się. Kolejna operacja serca niesie podwyższone ryzyko. Już sam fakt twojej obecności tutaj mówi mi, że powinnam się obawiać.

- Nie martw się zbyt wcześnie, Laurel. Chociaż nie mogę powiedzieć, że to błahostka, ale zapewniam cię, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by operacja się udała. Mogę nawet usunąć się na bok, jeśli będziesz wolała innego chirurga.

- Nie chcę nikogo innego.

- Po prostu poddaj się badaniom, a potem nadejdzie dzień, w którym się tym zajmiemy. - Cale wstał. - Chodź, odprowadzę cię. Idę w stronę szpitala.

Kiedy dotarli do jej samochodu, Laurel zatrzymała się na chwilę.

- Dzięki, Cale.

Wyciągnął rękę i odsunął z jej twarzy włosy mokre od łez.

- Przyjdę jutro i zobaczymy, co jest grane.

- Znów pojawiaasz się w moim życiu, gdy cię potrzebuję.

- Może oboje potrzebujemy siebie nawzajem? Laurel roześmiała się.

- Jasne. Jestem pewna, że nie masz innych pacjentów. Cale nie roześmiał się, jedynie odparł:

- Do zobaczenia jutro, Laurel-niczym-wawrzyn.

Laurel rzuciła Annalisie ogólne usprawiedliwienie - coś o niemożliwym do przesunięcia spotkaniu, o którym zapomniała - po czym obiecała przylecieć do Chicago dzień później. We wtorek wieczorem pozwoliła, by automat zgłoszeniowy odebrał dwa telefony z Denver od Juda. Jediną osobą, która wiedziała o tym, co się dzieje, była dyskretna sekretarka Laurel, Pat. To ona podjechała pod jej dom w środę rano i zawiozła ją do skrzydła szpitalnego mieszczącego ambulatorium. Pat powiedziała, że zaczeka i po wszystkim odwiezie Laurel do domu.

Chociaż podczas badań byli obecni dwaj mężczyźni, którym ufała - Cale oraz Karl - Laurel czuła się roztrzęsiona. Wpychanie rurki do ust i konieczność jej połknięcia nie brzmiały zachęcająco, ale pomogły środek uspokajający oraz znieczulenie przełyku. Tak jak w przypadku większości badań medycznych wyobrażenie o ich przebiegu było gorsze niż rzeczywistość.

Laurel leżała z wprowadzoną do ust sondą, starając się spokojnie oddychać. Pielęgniarka nachyliła się i starła ślinę, która popłynęła z ust pacjentki, a technik medyczny mówił do niej jednostajnym, spokojnym głosem, choć trochę pomagając jej wyrównać oddech. Laurel obserwowała otaczające ją twarze, usiłując wyczytać coś z każdej miny. W pewnej chwili Cale podszedł bliżej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Zamknij oczy i rozluźnij się. To nie potrwa już długo. Chwila w świecie medycyny zawsze zdawała się trwać wiecznie. Procedury

przygotowawcze i samo badanie trwały niemal godzinę. Dopiero po tym czasie Laurel została wraz z łóżkiem przeniesiona w miejsce, gdzie mogła odpocząć. Kiedy spojrzała na zegar ścienny, zobaczyła, że jest w szpitalu od niemal dwóch godzin. Dostała jakiś sok ze słomką oraz szpitalny budyń, chciała jednak otrzymać odpowiedź, a nie jedzenie ze stołówki. Kiedy Cale i Karl weszli do sali, starała się znaleźć na ich twarzach wskazówkę dotyczącą wyniku badania, nie zdołała jednak niczego wypatrzeć.

- No cóż - powiedziała wesoło. - Chyba nigdy nie oglądaliście The Blues Brothers. Moglibyście przynajmniej uśmiechnąć się i zapewnić mi poczucie bezpieczeństwa, nim przekażecie złe wieści.

Cale zgodnie z życzeniem obdarzył ją nikłym uśmiechem.

- Za późno. Już widzę, że coś jest nie tak.

Spojrzała na swoje splecione ręce i pobielające kostki dłoni.

- Jak się czujesz?

Cale usiadł na stołku i przysunął się do jej łóżka.

- W porządku.

- Mamy tutaj wynik badania. - Karl pokazał kasetę wideo i wsunął ją do odtwarzacza. - Puszczę to, żebyś mogła zobaczyć, co znaleźliśmy.

Cale użył długopisu, by pokazywać szczegóły czarno-białych ultradźwiękowych obrazów jej bijącego serca.

- Tutaj jest uszkodzenie we wszczepionej zastawce. Nie jest szczelna.

- Co to oznacza? Wszczepianie kolejnej zastawki? Następna operacja?

- Zastawka wygląda na sprawną. Działa dobrze, ale dowiemy się więcej, gdy do niej dotrzemy. Jeśli sprawdzi się optymistyczny scenariusz, jedyne, co będziemy musieli zrobić, to naprawić uszkodzenie.

- Czy to skomplikowane?

- Każda operacja serca jest skomplikowana.

- Nie róbcie tego. Proszę. Muszę dokładnie wiedzieć, o co chodzi.

- Jest jeszcze jedna komplikacja, którą wcześniej musimy rozwiązać.

Masz zapalenie osierdzia.

- Infekcja? - Laurel wiedziała, że to nic dobrego. Wysłuchiwała stosownego wykładu po pierwszej operacji, a potem powtarzano jej to niemal za każdym razem podczas corocznych kontroli. Jak pies Pawłowa na dźwięk słowa „infekcja” zareagowała paniką. - Jaki to ma wpływ na operację?

- Musimy się z tym uporać przed przystąpieniem do operacji, a to oznacza kurację antybiotykami.

- A więc zapiszecie mi lekarstwo i wyznaczycie termin zabiegu?

- Nie. Musisz dostawać antybiotyki dożylnie - oznajmił Karl. -

Wypisuję ci skierowanie do szpitala.

- O Boże... na jak długo?

Przez umysł Laurel przemknęły kolejne obrazy. Chicago. Targi. Annalisa. Jud.

- Na kilka dni. - Karl zanotował coś w jej karcie i nie podniósł wzroku. - Potem będziesz mogła przyjmować antybiotyki w domu.

- Jak tylko pozbedziemy się infekcji - kontynuował Cale - zacznę działać i zobaczymy, z czym mamy do czynienia.

- Jak duże jest ryzyko? - spytała Laurel.

- Znacznie zmniejsza je obecność twojego starego przyjaciela - powiedział Karl, a potem otworzył drzwi i zawołał pielęgniarkę. Odezwał się jego pager, więc sprawdził go ze zniecierpliwieniem. Laurel rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Cale'a. Jego poważna mina jedynie potęgowała jej strach. Karl wręczył pielęgniarce kartę pacjentki.

- Zawieziemy panią King na salę.

- Chwileczkę! - zawołała Laurel. - Czeka tu na mnie Pat, moja sekretarka. Miała zabrać mnie do domu. Możecie ją tutaj zawołać?

- Wyślę kogoś, żeby ją znalazł.

Po tych słowach Karl wyszedł wraz z pielęgniarką.

- Ciągłe się boisz? - spytał Cale. Przytoczył swój stołek na kółkach i ujął jej rękę w obie dłonie.

- Oczywiście. - Przywołała na usta wymuszony uśmiech. - A więc to tak wyglądają dłonie chirurga.

Cale się roześmiał.

- Na szczęście nie trzęsą się, w przeciwnym razie szybko opuściłabyś to miejsce.

- Wierzę ci. - Cale obdarzył Laurel dziwnym spojrzeniem i przez chwilę pojawiło się między nimi coś, co należało do dawnych czasów. Jego zachowanie złagodniało, a w miejsce lekarza pojawił się dawny Cale, patrzący na nią tak, jakby była kimś wyjątkowym. W tej chwili była gotowa zrobić wszystko, o co tylko by poprosił. - Mam kłopot. Nie powiedziałam Annalisie, o co chodzi. Nie chciałam, żeby się martwiła. Już w trakcie poprzedniej operacji była mocno wystraszona. Jakiś tydzień po powrocie ze szpitala do domu obudziłam się w środku nocy, bo ona stała nade mną i patrzyła, czy oddycham. - Laurel wciąż pamiętała przerażenie

widoczne na twarzy córki pomimo mroku panującego w pokoju. - Miałam lecieć do Chicago i tam się z nią spotkać.

- Czy mam do niej zadzwonić i wszystko wyjaśnić?

- O Boże, nie. Wymyślę jakąś wymówkę. Chcę powiedzieć jej o tym w odpowiedniej chwili - nie teraz, gdy wyjechała z miasta. Nie chcę tego robić przez telefon, szczególnie że ma tyle własnych problemów na głowie. - Laurel przerwała, a potem dodała znacząco: - Po prostu nie chcę, żebyś komukolwiek mówił.

- Nie zrobiłbym tego. Informacje dotyczące twojego stanu zdrowia są twoją prywatną sprawą.

- Nie powiedziałbyś nawet swojemu bratu?

- Zwłaszcza jemu.

Laurel roześmiała się.

- W porządku.

Cale wyglądał tak, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili weszła zatroskana Pat.

- Nie chcieli mi powiedzieć, co się dzieje.

- Tylko nie płacz. Mam infekcję i będą mi podawać antybiotyki.

Pat popatrzyła na Cale'a. Laurel przedstawiła ich sobie. Potem lekarz wyszedł, na odchodnym dodając, że zajrzy później.

- Banning? Jeszcze jeden?

- Tak. Jeszcze jeden. Brat Juda Banninga. Ojciec Matthew Banninga.

- Ostatnio zapanował istny urodzaj na Banningów.

Laurel wybuchnęła śmiechem.

- Na to wygląda. Jest jeszcze jeden syn i dziadek.

- Moi lekarze nigdy tak nie wyglądali. - Pat usiadła na krawędzi łóżka. - A teraz może dowiem się, co ci naprawdę jest?

- Mam infekcję. - Pat ledwie popatrzyła na Laurel, więc ta dodała: - To infekcja związana z sercem, więc zatrzymują mnie na kilka dni, żeby zastosować kroplówki z antybiotykami.

- Tak mi przykro...

- Wiem. Mnie również. Na razie nie będę nic mówić Anna-lisie. Powiem jej, że pojawił się problem w pracy i zostaję, żeby go rozwiązać, ona będzie musiała natomiast podjąć decyzje dotyczące wyposażenia i złożyć zamówienia. Wiem, że potrafi sama sobie z tym poradzić, obawiam się jednak, że gdyby tylko dowiedziała się, co się ze mną dzieje, od razu by tu przyleciała. Potrzebuję twojej pomocy.

- W porządku.

- A gdyby dzwonił Jud Banning...

- „Gdyby”??? Wczoraj dzwonił dwa razy.

- Dobra, dobra... Zdaje się, że nie ma go w mieście aż do czwartku. Powiedz mu, że jestem w Chicago i że zadzwonię do niego, jak wrócę. To samo przekaż mojej matce.

- Czy poza okłamywaniem wszystkich wokół masz jeszcze jakieś życzenia?

- Po prostu potrzebuję, żebyś zapewniła mi na jakiś czas ochronę. Nie chcę, żeby wszyscy wisieli mi nad głową, a tak będzie, jeśli się dowiedzą. To mnie zaskoczyło i w tej chwili nie jestem po prostu dość silna.

- Odpoczywaj. Kłamstwa to część mojej pracy. „Pani King wyszła na lunch”. „Pani King nie ma teraz w biurze”. „Pani King jest na spotkaniu”.
A teraz powiedz, czego potrzebujesz z domu.

Pat zrobiła listę, po czym dodała:

- Zaopiekuję się Henrym. Jeśli wpadnie ci do głowy coś, czego potrzebujesz, dzwoń na moją komórkę.

Laurel opadła na poduszki. Czuła wzbierające fale emocji i frustracji. Miała zaciśnięte gardło i piekły ją oczy. Poczwała, że za chwilę się rozpłacze, i obawiała się, że kiedy to nastąpi, nie da rady zatrzymać strumieni łez.

Rozmowa telefoniczna nie mogła jej pomóc. Potrzebowała cudu. Miała nadzieję, że cudownym wybawieniem w jej przypadku będzie Cale Banning.

31

Chociaż strój Victora składał się wyłącznie ze spodni, starszy pan i tak czuł się przesadnie grubo ubrany, gdy wędrował ulicami Avalonu pełnymi półnagich turystów. Ten kawałek raju na ziemi był pełen sprzeczności. Ktoś kiedyś zbudował tu kasyno, ale nigdy nie uprawiano hazardu. Wyspa leżała w południowej Kalifornii, a mimo to niełatwo tu było dotrzeć. Niegdyś ten teren należał do pobożnych Hiszpanów, w końcu stał się rajem przemytników. Teraz stanowił romantyczne schronienie dla gwiazd kina zawodowo łowiących ryby oraz wiecznie żujących gumę magnatów.

Różowa mgiełka skrywała widoczne na wschodzie zarysy stałego lądu. Późny poranek na wyspie był ciepły i spokojny. Zapowiadało się idealne popołudnie. To właśnie z powodu dni takich jak ten ludzie porzucali swoje zimne, szare życia i próbowali zapuścić płytkie korzenie w łagodnej południowej Kalifornii.

A jednak pomimo wszystkich obietnic, które niosły promienie słońca, dni Victora nie były wypełnione oczekiwaniem. Nie liczył swojego czasu za pomocą pór roku pełnych jaskrawego światła czy też lat, zamiast tego wykorzystywał w tym celu tygodnie i godziny. Czas był istotny tylko wtedy, kiedy starszy pan zdawał sobie sprawę z jego upływu. Gdyby spojrzął na którąkolwiek z wystaw sklepowych ciągnących się wzdłuż chodników tego turystycznego miasta, zobaczyłby spoglądającego na niego obcego człowieka, garbiącego się z powodu wieku i utykającego podczas marszu. Kim właściwie był ten starzec?

W tej chwili upływ życia Victora odmierzały przyjęcia urodzinowe, a wszyscy wokół zachowywali się tak, jakby jego długie życie trzeba było czcić za pomocą jakiegoś rytuału. Zabawnym faktem związanym ze starzeniem się jest to, że nie można się cofnąć. Podjęte decyzje przeszły już do historii, wybrane są także drogi życiowe, niezależnie od tego, czy są one gładkie, czy wyboiste.

Gdy Victor wszedł do sklepu Kathryn Peyton, było jeszcze wczesnie, a kąty pomieszczenia nadal skrywały resztki chłodu nocy. Na półkach znajdowały się przypadkowo porostawiane wyroby, mniej wyszukane niż te, które artystka pokazywała na wystawach. Każde z wystawionych tutaj dzieł dla uwypuklenia swoich cech zostało pomalowane odpowiednią glazurą - stała tutaj wąska, niebieska waza, niska, zielona misa, a także wydłużony, czerwony dzban, w jakiś sposób przypominający dzieła Modiglianiego.

- W czym mogę pomóc?

Była jakaś ironia losu w tym, że młoda kobieta za ladą miała takie same hebanowe włosy jak autorka obrazu, którego poszukiwał.

- Chciałbym zobaczyć się z Kathryn. Proszę jej powiedzieć, że czeka na nią Victor Banning.

Oparł się o ladę i zawiesił laskę na przedramieniu, czując ból w nogach - uczucie, które ostatnio często mu towarzyszyło. Skupił się na obserwowaniu ruchu sekundowej wskazówki zegara wiszącego na ścianie. Czas był kapryśnym zjawiskiem - potrafił gwałtownie przyspieszyć, kiedy człowiek robił się stary, podczas gdy w chwilach pełnych napięcia pełznął niczym lodowiec.

Kathryn Peyton wyłoniła się z pomieszczenia na tyłach sklepu. Otaczała ją wyjątkowa aura kobiety, która zbyt wiele lat przeżyła w samotności. Była to głęboko zakorzeniona determinacja, która pomagała najbardziej samotnym duszom strzec swojej wypaczonej osobowości. Victor uznał, że to zabawne, jak człowiek u innych dostrzega swoje własne słabości.

- Witaj, Victorze. - Podeszła do niego, z jasnymi śladami wyschniętej gliny na dłoniach i ramionach, w fartuchu pokrytym plamami kredy i farb.

- Co cię tu sprowadza?

- Rozmawialiśmy na każdej z twoich wystaw, a ty nigdy nie zadałaś mi tego pytania. Dlaczego, Kathryn?

- Wątpię, byś przyszedł tutaj odgrzewać stare wspomnienia. Mnie interesuje chwila obecna.

- To nieprawda. O wiele bardziej zajmuje cię przeszłość. Oboje troszczymy się o nią, ponieważ przyszło nam z nią żyć, może nawet w większym stopniu niż innym ludziom.

- Czego chcesz? - spytała ostro, prostując kręgosłup i przybierając opanowaną minę.

- Jesteś pewna, że czegoś chcę.

Kathryn roześmiała się.

- Victorze... Ty zawsze czegoś chcesz. Po prostu nigdy nie interesowało mnie, o co konkretnie chodzi. Człowiek ma prawo uznać, że mężczyzna, który ma tak wiele, musi być zadowolony.

Coś w jej śmiechu sprawiło, że Victor cofnął się w czasie do chwili, kiedy miał niemal wszystko. W tamtym okresie to właśnie ulotny kobiecy śmiech uświadomił mu, że nie posiada niczego.

- Nie potrafię wyobrazić sobie bardziej nudnej egzystencji.
- Co cię tu sprowadza?
- Jestem stary.

Kathryn nie skomentowała tego stwierdzenia.

- W twoim posiadaniu jest coś, co chciałbym mieć.
- A więc chcesz kupić coś z dzieł sztuki.

- Tak. Dawno temu sprzedawałaś mi coś podobnego, ale ów przedmiot dotarł do mnie zniszczony.

- Nie wydaje ci się, że to było słuszne?

Te słowa w jej zamierzeniu miały go głęboko zranić. Kathryn przybrała niezwykle surową minę. Podobnie było w jej pracach - gruba warstwa przezroczystej glazury miała chronić kruchą glinę znajdującą się pod spodem. Victora ogarnęła chęć walki, ale jednocześnie dobrze rozumiał jej mroczne i skrywane słabości, które u siebie odkrył już wcześniej. Uważał je za czynniki pobudzające go do działania i dające mu siłę.

Victor ciężko oparł się o ladę, nie patrząc na Kathryn.

- Dawno temu oboje straciliśmy cały świat. Pomyślałem, że może moglibyśmy przestać niszczyć z tego powodu swoje życia. - Zamknął oczy i dodał cicho: - Może nadeszła pora, by zapanował pokój.

Cisza między nimi trwała przez kilka uderzeń serca, dopiero potem Kathryn ruszyła się z miejsca.

- Może powinieneś usiąść - tam, w pomieszczeniu na tyłach.

- Za moment tam przyjdę. Być może w ciągu tych lat dopracował do perfekcji swoją obłudę. Może było w nim więcej z jego ojca, niż chciał przyznać. A może dzieciństwo na zawsze pozostawiło w jego pamięci

konkretne wyobrażenia, jak wygląda i porusza się słaby człowiek. Kiedy Victor usiadł, zachowanie Kathryn zmieniło się tak samo jak jej głos. Aby osiągnąć swój cel, musiał dotrzeć do kluczowego punktu osobowości tej kobiety: miejsca, które —z tego, co wyczuwał - było zamknięte przed wszystkimi, nawet przed nią samą.

- Proszę, oto szklanka wody. - Jej głos stał się miękki, a postawa obronna została przysłonięta przez troskę. - Powinna dobrze ci zrobić.

- Dobrze zrobiłaby mi szkocka.

Kathryn opuściła pomieszczenie, a potem wróciła ze szklaneczkami wypełnionymi lodem. Jemu zaproponowała szkocką w małej buteleczce, a sobie naląła wódki.

- Wszystkie luksusy domowych pieleszy... - Victor rozejrzał się wokół. - Czy w ogóle wychodzisz do domu, czy też to właśnie jest twoje miejsce odosobnienia?

- Nie żyję w odosobnieniu, Victorze. Już kiedyś coś takiego mówiłeś. Mylisz się.

Jej zaprzeczenie dało mu pewność. Był na dobrym tropie.

- Tak sądzisz? Jesteś artystką. Powiedziałbym, że coś takiego wiąże się z tą pracą.

- Ale w takim razie ty nie jesteś artystą, prawda?

- Nie. Jestem widzem.

- Wiesz, co ja teraz widzę? Dwoje ludzi pijących o wpół do dziesiątej rano - powiedziała ze sztuczną wesołością.

- To dwoje ludzi, którzy kiepsko przeżyli swoje życie. Kathryn pociągnęła łyk i rzuciła:

- Mów za siebie. Moje życie jest dokładnie takie, jak chcę. A gdybym nawet spędzała je samotnie, to tylko dlatego, że taki los sobie wybrałam.

- W jaki sposób opisałabyś okres własnej młodości?

To była zwykła pułapka. W ten sposób wciągnął ją w rozmowę o przeszłości, potem o bólu po utracie ukochanej osoby, o dzieciach i dzieciństwie. Im dłużej mówiła, tym bardziej się otwierała, była coraz bardziej ożywiona i łatwiej dało się ją zrozumieć. Victor opowiedział jej o chłodzie swojej matki i o tym, że nie umiał zyskać jej aprobaty. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nikim o tej bezdusznej kobiecie, która popełniła jeden z najgorszych błędów rodzicielskich, przedkładając jedno z dzieci nad drugie. Opowiedział również o tym, jak jego matka skazała się na wieczne potępienie, odbierając sobie życie.

Kiedy skończył mówić, zapadła między nimi głucha cisza, wydawała się jednak uzasadniona - tak jakby ktoś zdarł z życia martwą warstwę. Victor wiedział, w jaki sposób człowiek zamyka się w sobie, gdy ból staje się nie do zniesienia. Czasami jedynym bezpiecznym rozwiązaniem była ucieczka do własnego wnętrza, w samotność. Wybór stał się prosty - można było uciec albo też stać się człowiekiem niszczącym wszystko wokół siebie.

- W noc po wypadku niemal poszłam w ślady twojej matki - powiedziała Kathryn. - Są takie sytuacje, gdy życie wydaje się trudniejsze niż śmierć.

Czy wszystkie kobiety mają w sobie coś, co skłania je do tak łatwego poddawania się? - spytał samego siebie Victor. - Dlaczego się poddawać, skoro walka to najlepsza część życia?

Nie po raz pierwszy Victor zaczął zastanawiać się, co zaszło w samochodzie pomiędzy Rudym a Rachel i czy któreś z nich zdecydowało, że powinni zginąć. Ból, który poczuł na tę myśl, był tak żywy, że na krótką chwilę zapomniał o obrazie. Ale czuł się za stary, by ruszyć tym tropem. Kathryn Peyton - ze swoimi zdławionymi emocjami, potrzebą zemsty i lodowatą powierzchownością - kiedyś prawie popełniła samobójstwo.

- Co cię powstrzymało? - spytał.

- Laurel. Moja córka stała i patrzyła, jak biorę do ust garść tabletek.

Wybór nie należał już do mnie.

Opowiedziała o Laurel i o tym, jak córka stała się dla niej powodem dalszej egzystencji w chwili, gdy cały świat nagle legł w gruzach. Coś w tej opowieści jednak powiedziało mu, że relacje między matką i córką były skomplikowane. To spostrzeżenie skłoniło go do spojrzenia na siebie jako na ojca i do zastanowienia nad swoimi synami. Jeden z nich stracił życie z powodu Victora, a drugi nawet nie wiedział, że jest jego synem. Starszy pan rozumiał swoją rolę. Jego jedyną misją było niszczyć wrodzoną słabość Banningów wśród męskiego potomstwa. Używał każdego fortelu i wybiegu, byle tylko zapobiec zniszczeniu mężczyzn ze swojego rodu przez marne genetyczne dziedzictwo swego ojca.

Kathryn dotknęła ręką ust, tak jakby chciała cofnąć wszystko, co powiedziała, później jednak odważnie stawiała mu czoło.

- Nigdy nie chciałam myśleć o tobie jako o kimś, kto miał dzieciństwo, matkę, siostrę i syna. Nie chciałam, żebyś stał się dla mnie realnym człowiekiem. W momencie, kiedy to już się wydarzyło, być może będę musiała cię zrozumieć.

Stało się. Teraz zobaczyła go w innym, ludzkim świetle - takim, które stworzył za pomocą prawdy, nawet jeśli zrobił to z pobudek diametralnie różnych od chęci otwarcia przed kimś duszy. Gdyby nie jego cele, czułby się znacznie gorzej, wykorzystując Kathryn w taki sposób. W życiu Victora nie było miejsca na żal. Ujął dłoń rozmówczynie, następnie wstał. Kathryn spodziewała się, że teraz przejdzie do kwestii obrazu.

- Dziękuję, Kathryn. Pójdę już.
- Nie dostałeś tego, po co przyszedłeś.
- Owszem. Myślę, że dostałem.

Wyszedł z uczuciem, że osiągnął wszystko, czego chciał. Mimo to zostawił kopertę na sklepowej ladzie.

Annalisa zameldowała się w hotelu w Chicago, poszła na wczesne przyjęcie, a później na kolację z grupą pracowników jednego z ich dużych dostawców. Po powrocie do swojego pokoju rzucała się i przewracała w łóżku przez całą noc, nękana przez idiotyczne, powracające wizje Matta Banninga w towarzystwie tuzina różnych blondynek. Przecież to ona powtarzała „nie, nie, nie”, podczas gdy chciała powiedzieć „tak”. Nie chciała popełnić błędu, który zrobili jej rodzice. Co za ironia losu... Niech cię diabli, tato - pomyślała.

Zegarek wskazywał trzecią czterdzieści trzy nad ranem, gdy wyjęła z barku butelkę wody i popiła tabletkę przeciwbólową. Piekły ją oczy - prawdopodobnie były opuchnięte i przekrwione. Żaden facet nie jest wart czegoś takiego. Annalisa spulchniła poduszki, ułożyła się wygodnie, włączyła telewizor i przeskakiwała po kanałach.

Kiedy dotarł do niej dźwięk budzika, przestraszyła się, usiadła i odsunęła włosy z twarzy. Telewizor wciąż był włączony. Niech to licho...

musiała zasnąć, nim dowiedziała się, jak zarobić milion dolarów, kupując domy i nie płacąc nawet zadatków.

Była ósma rano, gdy opuściła chłodne mury hotelu i wyszła na słońce. Zmierzała w stronę budynku, w którym zorganizowano targi. Na wszystkich pasach Lakeshore Drive tłoczyły się samochody osobowe, pojazdy dostarczające zaopatrzenie oraz taksówki. Annalisa pokonała dwie przecznice, gdy odezwała się jej komórka. Sprawdziła numer rozmówcy.

- Cześć, mamó - powiedziała. Właśnie idę na targi.

- To dobrze. - Po tych słowach nastąpiła cisza.

- Coś nie tak? - spytała Annalisa.

- Pojawił się problem z planami herbaciarni, więc będę musiała tu zostać, żeby go rozwiązać. Spotkanie w tej sprawie odbędzie się w sobotę rano.

Annalisa usunęła się z drogi ludziom idącym chodnikiem i zatrzymała się.

- Powinam wrócić?

- Nie. Musisz zająć się zamówieniami podczas targów.

- Sama?

- Tak. Na pewno wiesz lepiej niż ja, czego potrzebujemy. Kochanie, to dla ciebie drobiazg. Gdybym tam była, przez najbliższe trzy dni jedynie stałabym za twoimi plecami.

- To nieprawda.

- Jest w tym więcej prawdy, niż ci się wydaje. Nie ma wyjścia.

Musisz zająć się rzeczami tam na miejscu, a ja zatroszczę się o wszystko tutaj. Nie mamy wyboru. Zresztą nadszedł już czas, byś część spraw zaczęła załatwiać sama.

- Nie chcę robić tego sama - powiedziała Annalisa. W myślach dodała: „nie chcę być tutaj sama”.

- Pomyśl o swoim ojcu. Jeśli wrócisz, załatwiwszy tam wszystko, nie będzie miał możliwości, by zwalić winę na mnie.

- To nie fair... Uczyniłabym wszystko, by udowodnić mu, że robię to, co powinnam. Chciałabym, żeby wreszcie pozwolił mi na samodzielność i zaczął mnie traktować jak równą sobie.

Laurel roześmiała się.

- To trudne dla twojego ojca, by jakkolwiek kobietę traktować jak równą sobie.

- Dobrze się czujesz? Słyszę zmęczenie w twoim głosie.

- Faktycznie jestem zmęczona. Źle spałam. Co u ciebie?

- Stoję właśnie na środku chodnika, pośród porannego ruchu.

- Dobra. Możesz już iść.

Pożegnały się i zakończyły rozmowę. Annalisa wrzuciła telefon z powrotem do swojej torebki.

- Świetnie - mruknęła pod nosem, spojrzawszy na zegarek. Na skrzyżowaniu przed nią popsuka się sygnalizacja świetlna, w związku z czym tłoczny i chaotyczny ruch uliczny kierował policjant stojący na środku ulicy. Może w ogóle byłoby o wiele łatwiej, gdyby ktoś po prostu pojawił się i pokierował twoim życiem w chwili, gdy wszystko staje się zbyt skomplikowane, by to zrozumieć.

Annalisa wpadła do Starbucks, skąd wyszła z waniliową cafe latte oraz niewesołym przekonaniem, że musi zrobić to, co konieczne. Przed wejściem do kompleksu McCormick Place zawiesiła na szyi plakietkę z

nazwiskiem, po czym wkroczyła do środka. Dzisiaj to ona reprezentowała King Design.

Laurel nie oglądała oper mydlanych od czasu ślubu Luke'a i Laury, jednak w sterylnym szpitalnym pokoiku nie miała wielkiego wyboru. Można było oglądać telewizję, spać, jeść galaretkę lub pozbawiony smaku budyń, bądź też przechadzać się ze stojakiem, z którego zwisała kroplówka.

Przybycie Cale'a uchroniło ją przed zapadnięciem w śpiączkę.

- Witaj, piękna.

- To mnie miałeś na myśli? Kiepsko trafiłeś.

Z ochotą wyskoczyłaby z łóżka, by go uściskać - tak bardzo cieszyła się, że kogoś widzi. Cale spojrzał na ekran telewizora.

- To Sam, skrót od Samantha - wyjaśniła mu Laurel - Sam kocha Sonny'ego, ten jednak musi udawać martwego i ukrywać się przed mafią, żeby jego żona Carly nie została zamordowana przez Casadine'ów.

- Kim są Casadine'owie?

- To bajecznie bogata, ale zła rodzina, składająca się z szalonych naukowców, snujących intrygi kobiet, a także młodych łobuzów i złodziejasków, którzy zakochują się i robią dzieci jedynie w Port Charles

- odparła, wyłączając telewizor.

Odpowiedź rozbawiła Cale'a. Po chwili spojrzał w jej kartę i nie podnosząc wzroku, spytał:

- Jak się dzisiaj czujesz?

- Znudzona. - Laurel odstawiła na bok tacę. - Nie muszę też wspominać, że jestem gotowa pójść do kuchni i przejąć tam rządy. Ta

cytrynowa galaretka nadaje się do gry w racketball. -Przerwała na chwilę. -
Czy ty tu jadasz?

- Jestem skłonny zaakceptować wszystko, czego nie muszę sam gotować.

Laurel położyła dłonie na prześcieradle.

- A więc kiedy będę mogła wyjść do domu?

- Niedługo.

- Co oznacza „niedługo”?

- Jak spadnie ci gorączka.

Laurel wychyliła się do przodu, żeby zajrzeć do karty, którą Cale trzymał w ręce.

- Co tam jest napisane?

- Zobaczmy - odpowiedział i spróbował włożyć jej do ust termometr.

Laurel odsunęła go na bok języka.

- Postąpiłeś tak, żeby mnie uciszyć - wydukała.

- Nie zrobiłbym czegoś takiego.

- Czego? - spytał Karl Collins, wchodząc do pomieszczenia.

- Nie włożyłbym jej do buzi termometru, by ją uciszyć.

- Cale miałby to zrobić? - Karl potrząsnął głową. - Nie... Ale ja bym to zrobił.

Cale wyjął termometr i sprawdził odczyt.

- I co tam macie?

- Termometr - odparł Cale i nie podniósł wzroku znad karty, na której coś notował.

- Świetnie - wymamrotała Laurel. — Złożyłam swoje życie w ręce Abbotta i Costello.

- Nikt nie docenia lekarzy. - Karl obdarzył Cale'a żalonym spojrzeniem. - A my tylko próbujemy stworzyć Odporną Laurel.

Cale ze śmiechem rzucił w niego swoim długopisem.

- Tylko nie możemy sobie poradzić z Oporną Laurel.

- Czy wszystkich pacjentów traktujecie w taki sposób?

- Tylko tych, których lubimy - odpowiedział Karl.

- Jakim cudem w ogóle ukończyliście studia medyczne? Cale wybuchnął śmiechem.

- Wszystko dzięki miłości do nadużyć, łapownictwu, uporowi oraz umiejętności egzystowania po godzinie snu.

Po kolejnym żarcie Karl wyszedł, ale Cale wciąż siedział na jej łóżku.

- Gorączka spadła, ale jeszcze poczekaj. Wiem, że chciałabyś już wyjść do domu, ale sądzę, że powinnaś zostać tu trochę dłużej. Zrobisz to dla mnie, prawda?

Kiedy spojrzał na nią w taki sposób i przemówił delikatnym głosem, który prawie zapomniała, pomyślała, że jest gotowa zrobić wszystko, o co ją poprosi. Ta myśl zaskoczyła ją, ale jedyne, co mogła zrobić, to skinąć głową.

- Grzeczna dziewczynka.

Poklepał ją po dłoni, a potem zupełnie naturalnie wsunął jej kosmyk włosów za ucho, tak jakby robił to już wcześniej. To był intymny gest.

Jego dotyk i głos mogły nakłonić człowieka do wszystkiego - Laurel zastanawiała się, czy wykształcił w sobie tę umiejętność na studiach

medycznych. Cale wciąż był przystojny i nadal miał ten sam uśmiech co wiele lat temu. Właściwie teraz wydawał się jeszcze bardziej atrakcyjny niż dawniej: na jego twarzy odbijało się doświadczenie życiowe, ten nie możliwy do opisanía czynnik sprawiający, że nabiera ona niezwykłego uroku. Laurel niemal wybaczyła sobie, a w każdym razie zrozumiała wszystko, co zdarzyło się wiele lat temu, i to, dlaczego uznała, że kocha tego mężczyznę. Cale spojrział na zegarek.

— Lepiej już pójdę, nim przyjdzie pielęgniarka i mnie wyrzuci. - Zawiesił z powrotem kartę pacjenta. - Do zobaczenia jutro.

Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach.

- Dobranoc, Laurel... - A po chwili dodał jeszcze: -... niczym-wawrzyn.

Laurel patrzyła, jak Cale znika na korytarzu, po czym opadła na poduszkę i zaczęła się bawić plastrem przy wenflonie. Samotne leżenie w szpitalnym łóżku stanowiło bezustanne memento, że cierpi na zagrażające życiu schorzenie serca. W nocy ciągle zwracała uwagę na zapach lekarstw unoszący się w powietrzu, hałasy dochodzące z korytarzy, dzwonek windy, czyjś cichy śmiech czy sposób, w jaki pielęgniarka pojawiała się w środku nocy i budziła pacjenta, by zmienić kroplówkę czy zmierzyć temperaturę.

To wszystko przywoływało pełne strachu wspomnienia sprzed siedmiu lat. We wzmożony sposób odczuwała wtedy własny puls — niczym postać z kreskówki, która napotyka miłość swego życia i jej serce zaczyna teatralnie walić, unosząc klatkę piersiową. Laurel czuła też pulsowanie w gardle i szyi, jak po przebiegnięciu kilku kilometrów. Nienawidziła tamtego trzepotania serca. Myśl o tym powodowała zawroty

głowy, więc Laurel zamknęła oczy i wyobraziła sobie Cale'a. Chcąc przetrwać i postępując zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, nigdy nie pozwalała sobie na myślenie o młodszym z braci Banningów. Czasami wspominała Juda - w te samotne noce, gdy próbowała sobie wyobrazić, w jaki sposób mogło potoczyć się jeszcze jej życie. Myślała o nim również w okresach, kiedy Beric wdawał się w romanse, a także po rozwodzie. Starła się traktować to jako swoje życie, swój wybór i swoją decyzję. Jak inaczej mogłaby z tym żyć?

Od chwili, w której wyszła ze szpitala w Seattle, nie dopuszczała do tego, by Cale chociaż na chwilę pojawił się w jej wspomnieniach. W przeciwnym razie musiałaby myśleć o tym, że oddała do adopcji ich syna. Dla nich dwojga nie było szczęśliwej przyszłości. Również powrót do wydarzeń z przeszłości wydawał się niemożliwy.

Teraz to niemożliwe działo się naprawdę, a ona nie miała nad tym żadnej kontroli. Dziwna ironia losu sprawiła, że młody mężczyzna, któremu niegdyś złamała serce, został lekarzem. Teraz to w jego rękach spoczywało jej własne, chore serce.

Kiedy Annalisa wróciła do hotelu, Matthew Banning stał w holu w kręgu ciepłego światła. Gdy tylko spojrzała w jego stronę, poczuła, jak ogarnia ją pierwotny głód, czego nie potrafiła sobie wyjaśnić. Nie wiedziała również, czy pobiec w jego stronę, uciec stąd, czy też czymś w niego rzucić. Na jej widok na twarzy Matthew pojawiło się napięcie. Przez moment wyglądał tak, jakby już nigdy nie miał się uśmiechnąć. Tymczasem Annalisa uspokoiła się i postanowiła, że będzie się przed nim bronić.

Hałas panujący w holu jakby na chwilę przycichł, gdy Matt zawołał ją po imieniu.

- Wszędzie cię szukałem.
- Dlaczego?
- Muszę z tobą porozmawiać.
- Czy to coś związanego z pracą? Mama mówiła, że były problemy...
- Moja obecność tutaj nie ma nic wspólnego z projektem. -To

mówiąc, patrzył tak badawczo, że Annalisa zaczęła się zastanawiać, co on może chcieć. Nadal szła przed siebie, a on deptał jej po piętach. -

Przyleciałem tutaj tylko po to, by z tobą porozmawiać. Spławisz mnie bez wysłuchania, co mam ci do powiedzenia?

Dziewczyna zatrzymała się rozdarta wewnątrz, gdyż wiedziała, że właściwie mogłaby nakazać mu, żeby odszedł. Skrzyżowała ramiona w obronnym geście i po chwili powiedziała:

- Dobra, słucham. Mów.
- Nie tutaj, w holu.

W barze było głośno i pełno gości oglądających jakieś rozgrywki na ekranie telewizora. Annalisa już wcześniej coś jadła, a zresztą w restauracji i tak była kolejka. Matthew wziął ją pod ramię i poprowadził do drzwi.

- Chodźmy stąd.

- Czuję się zmęczona, Matthew. - Cofnęła się o krok. - Jestem na nogach od szóstej rano i ból stóp niedługo mnie wykończy. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to chodźmy do mojego pokoju, gdzie będę mogła usiąść, czegoś się napić i odpocząć.

Matthew wszedł za nią do windy. W lustrze na jednej ze ścian Annalisa spostrzegła ich wspólne odbicie. Jego zdjęcie nadawałoby się na okładkę jakiegoś magazynu dla mężczyzn. Po chwili przyszła jej do głowy szalona myśl, że ona sama ma włosy jak paski na jego krawacie i że on, przytulając się, mógłby oprzeć brodę na jej głowie. Winda szybko się zappełniła, przez co nie musieli podtrzymywać niezobowiązującej rozmowy. Annalisa pomyślała, że pomysł zaproszenia Matthew był albo głupi, albo wynikał z chęci manipulowania nim. W tej chwili nie potrafiła ustalić, które z tych stwierdzeń było bliższe prawdy. Kiedy weszli do jej apartamentu, Annalisa zrzuciła buty, odłożyła torebkę na krzesło i ruszyła do minibaru.

- Napijesz się czegoś?

- Poproszę piwo.

Dolała do dietetycznej coli trochę whiskey, wręczyła mu heinekena, po czym zrobiła parę kroków i usiadła na sofie, żeby stworzyć między nimi choć odrobinę dystansu.

Matt stał na środku pokoju i wyglądał tak, jakby czuł się kompletnie nie na miejscu.

- A więc mów. Co było tak ważne, że przyleciałeś aż do Chicago, by mi to powiedzieć?

Jej słowa zabrzmiały małostkowo, chociaż nie taką miała intencję. Matt pociągnął łyk piwa.

- Kilka godzin wcześniej wydawało mi się, że to niezły pomysł... Wydawało mi się, że to będzie łatwe. Miałem zamiar podejść do ciebie i po prostu powiedzieć: „Twoja mama umawia się z moim wujkiem”.

- Wiem o tym.

- Naprawdę? Świetnie. - Matt zaklął pod nosem. - Teraz czuję się jak idiota. Nie tak to sobie wyobrażałem.

- Moja mama umawia się z twoim wujkiem, więc uznałeś, że my też powinniśmy.

- Na lotnisku wydawało mi się, że to niezły argument. W myślach brzmiał o wiele lepiej, ale wypowiedziany na głos jest głupi. Cała ta teoria upada. Wiem tylko, że nie spotykamy w życiu zbyt wielu osób, na których naprawdę nam zależy. I nie aż tak jak mnie na tobie, rudowłosa.

To były słowa jak z bajki. Na coś takiego liczyła i coś takiego niemal odrzuciła.

- Posłuchaj... mnie coś takiego się nie zdarza. - Matt krążył po pokoju, mówiąc coraz głośniej. - Nie jestem nudziarzem. Nie zdarza mi się, że patrzę na kobietę i się w niej zakochuję, do cholery! - krzyknął.

- Wydaje ci się, że jesteś zakochany?! - krzyknęła w odpowiedzi. - A co z tą blondynką?

- Wiedziałem, że wyciągniesz tę historię. Umówiłem się z nią, by udowodnić sobie, że mogę to zrobić, bo nie jesteś aż tak ważna. Chciałem pokazać, że mogę zatracić się w kimś innym, a tu, proszę: ty siedziałaś w tej samej restauracji, zupełnie jakby świat chciał ze mnie zakpić. Koniec końców, gdy patrzyłem na nią, miałem przed oczami ciebie. To był najdłuższy posiłek w moim życiu. Zaraz odwiozłem ją do domu, a sam przez dwie godziny biegałem po plaży. Nie mogłem uciec od ciebie. Nie udało mi się wyzwolić. - Potrząsnął głową i roześmiał się z obrzydzeniem.

- Naprawdę próbowałem.

- Tak więc postanowiłeś dotrzeć tutaj.

- Nigdy wcześniej niczego takiego nie robiłem. Nie wiem, jak to możliwe... po prostu dłużej tego nie zniosę.

Annalisa zmniejszyła dystans, który ich dzielił.

- Ja również - powiedziała tak cicho, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ją usłyszał.

Sekundę później Matt całował ją, a jego ręce wędrowały po jej włosach, ubraniu i całym ciele. W tym samym czasie Annalisa zastanawiała się, dlaczego wcześniej zawsze mówiła „nie”. Rozwiązała mu krawat i szybko zdjęła górę swojego kostiumu, a on rozpiął swoją koszulę. Potem Annalisa rozpięła mu pasek i spodnie.

Ich usta ani na chwilę nie odrywały się od siebie, to jednak nie wystarczało. Annalisa chciała dostać się do jego wnętrza. Ubrania fruwały wszędzie w koło. W końcu ich ciała połączyły się, jakby były do tego stworzone. Annalisa spojrzała na jego twarz i zobaczyła dokładnie to, co sama czuła - niewysłowioną wrażliwość, bezsilność i potęgę, a wszystkie te emocje wynikały z uczucia zwanego powszechnie miłością.

Spotkanie rady nadzorczej w Denver przeciągnęło się na kolejny dzień, a potem śnieg spowodował zamknięcie lotniska. Jud siedział w barze na lotnisku, czekając wśród innych sfrustrowanych ludzi, popijając letnie piwo i jedząc to, co jeszcze zostało do jedzenia, czyli prażoną kukurydzę oraz precle. W końcu zaczęto wywoływać pasażerów poszczególnych lotów, na co rozległy się wiwaty.

Jakiś mężczyzna usiadł obok Juda i nabrał pełną garść popcornu.

- Od jak dawna pan tu czeka? Jud rzucił okiem na zegarek.

- Od sześciu godzin. A pan?

- Równie długo. Dokąd pan zmierza?

- Do Los Angeles.

- Ja czekam na lot do Chicago, tam mam przesiadkę do Bostonu.

W Chicago w tej chwili była Laurel. Jud rozmawiał z sąsiadem, popijając kolejne piwo, aż wreszcie jego towarzysz wstał i podniósł swoją torbę z laptopem.

- To mój lot. Powodzenia, stary.

Jud objął piwo obydwoma dłońmi. Śnieg przestał padać tak obficie. Płatki nadal były wielkości prażonej kukurydzy. Na pasie startowym zaczęła się krzątanina, odśnieżanie ciężarówek i świateł. Jud czuł się rozdrażniony - chciał już znaleźć się w domu, nawet jeśli Laurel tam nie było. W ciągu zaledwie trzech dni jego życie się zmieniło, zupełnie jakby dopiero teraz się zaczęło. Rozmawiał z nią w poniedziałkowy wieczór i dowiedział się, że wszystkie sprawy między matką a córką zostały wyjaśnione. Mimo to zastanawiał się, jak Annalisa King powita go następnym razem.

Kiedyś wpuścił Laurel do swojego życia, po czym postradał zmysły, a przynajmniej zdrowy rozsądek. Ona przeszła przez jego życie i zostawiła je w drobnych kawałeczkach, których nie umiał pozbierać w całość. Zresztą nawet nie próbował tego robić. Uznał, że nie jest mu pisane pokochać kogoś - to uczucie wypaliło się w nim dawno temu. Teraz jednak spotkali się ponownie, a on miał wrażenie, że życie się zmienia, zupełnie jakby wszystko właśnie zaczynało się od nowa. Niektóre rzeczy i ludzie pozostają z nami na zawsze. Zarówno on, jak i Laurel byli inni niż dawniej. Ludzie się zmieniali, podobnie jak życie - nic nigdy nie powtarzało się w identyczny sposób. Włosy mu posiwiały, a on sam nie był już tak naiwny i niecierpliwy, ale to, co czuł, nie miało nic wspólnego ze starością. Jud pomyślał, że może tym razem wszystko się uda.

Zapłacił rachunek, przerzucił przez ramię torbę z garniturem, po czym udał się w stronę bramek. Na tablicy pojawiła się informacja o kolejnym wielogodzinnym opóźnieniu. W pobliżu bramek nie było gdzie usiąść, więc musiał iść dalej holem. Kobiety głos ogłosił ostatnie wezwanie dla pasażerów zmierzających lotem numer 447 do Chicago. Jud podszedł do kontuaru.

- Chciałbym dokonać zmiany w bilecie. Czy są jeszcze wolne miejsca na ten lot? - spytał.

- Dysponujemy miejscami w klasie biznes - odpowiedziała kobieta. - Ma pan platynową kartę, więc mogę wymienić panu ten bilet. Co z podróżą powrotną?

- Proszę zostawić ją jako bilet open.

Kilka minut później wręczyła mu kartę pokładową i Jud udał się korytarzem do samolotu.

Laurel upuściła szpitalną reklamówkę na podłogę obok swoich drzwi wejściowych, klękła i podniosła mruczącego Henry'ego. Dźwięk ten dochodził gdzieś z głębi klatki piersiowej kota, tak jakby jego serce pracowało w dwójnasób. Wzdrygnęła się i przełożyła zwierzę na drugą rękę. Henry opierał się teraz całym ciężarem na urządzeniu, które stopniowo uwalniało do jej organizmu niewielkie dawki antybiotyku. Weszła do kuchni, wzięła piwo korzenne wraz ze szklanką wypełnioną lodem, po czym usiadła na werandzie z kotem na kolanach. Na wprost jakieś opalone dzieciaki grały w siatkówkę. Niedaleko brzegu pies ścigał latający dysk. Ludzie cieszyli się słońcem i piaskiem. Tylko Laurel zastanawiała się, czy ktokolwiek z nich przysłuchuje się biciu własnego serca.

Wszędzie wokół rozlegały się śmiech, odgłosy muzyki płynącej z radiodbiorników ustawionych na plaży, a także odległy szum fal. Niebo miało nienaturalnie błękitny odcień, a powietrze wydawało się nieruchome i ciepłe. Na glinianych spodkach pod jej doniczkami było widać zacieki po wcześniejszym podlewaniu. Pod wpływem impulsu Laurel wychyliła się do przodu i zerwała zwiędły kwiat niecierpka, potem następny i jeszcze jeden. Chwilę później odsunęła się od doniczki i przeszła do następnej rośliny, zrywając uschłe kwiaty i liście, aż zatrzymała się przy pojedynczym, biało-różowym kwiecie, który kolorem przypominał skórę dziecka. Na środku płatków znajdowała się brudnobrązowa plamka - to był początek końca, znak, że kwiat umiera. Laurel nie mogła go zerwać. Nie potrafiła dokończyć tej pracy. Kwiat wciąż miał wyraźny kolor, zawierał w sobie soki i życie. Cofnęła się i zgarnęła uschnięte kwiaty na brzeg swojej bluzki, po czym wyrzuciła je do śmieci.

Wewnątrz szafki z przyborami ogrodniczymi stała butla nawozu sztucznego. Laurel przez moment zastanawiała się, co by było, gdyby go wypila. Podlewanie kwiatków stanowiło nawyk, podobnie jak przytulanie kota, chodzenie po plaży, darzenie miłością córki, a teraz - po długiej przerwie - uprawianie seksu. To były normalne elementy zdrowego życia. Laurel odłożyła wąż do podlewania i stała w miejscu, gdzie plaża rozciągała się przed nią jak pustynia, a jej strach stał się tak namacalny, że z trudem oddychała.

Jeśli dziewczyna w czerwonym bikini zetnie piłkę, przygotuję sobie jakiś makaron na kolację - pomyślała Laurel. - Jeśli mewa usiądzie na słupie telefonicznym, napiję się dzisiaj białego wina. Jeśli ten kwiatek nie zakończy życia w ciągu najbliższych dwóch dni, to samo będzie dotyczyć i mnie.

Annalisa otworzyła drzwi pokoju hotelowego, gdyż zgodnie ze swoim życzeniem spodziewała się kogoś z obsługi. Jednak zobaczyła własnego ojca.

- Tato... ? Co ty tutaj robisz?

- A jak ci się wydaje, jaki może być powód mojej obecności tutaj? Te restauracje noszą moje nazwisko. Muszę się upewnić, że wszystko zostanie dobrze zrobione. Gdzie matka?

- Nie ma jej tutaj - odparła Annalisa z goryczą w głosie.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś tu sama? Co ta kobieta sobie myśli?! Nie umiesz przecież sama tego zrobić. - Beric potrząsnął głową. - Dobrze, że przyjechałem. Nie martw się. Powiedział to w tak protekcyjny sposób, że Annalisa musiała na sekundę zamknąć oczy. - Ja tu jestem, *ma petite jeune*.

Nagle z sypialni wyszedł Matthew ubrany w same spodnie. Włosy wciąż miał wilgotne po prysznicu, przez ramię przewiesił sobie ręcznik.

- Umieram z głodu, mój rudzielcu. - Zatrzymał się w miejscu, gdy zobaczył jej ojca. - Beric? Panie King...

Annalisa stała, milcząc tak samo jak dwaj mężczyźni jej życia. Była zbyt wściekła, by cokolwiek powiedzieć.

Ojciec przeniósł wzrok z Matta na nią. Pozbierał się w sobie, a potem spytał:

- Co ty tu właściwie robisz z moją córką?

- Tato, proszę...

- Zależy mi na Annalisie - zapewnił Matthew i otoczył ją ramieniem. Jej ojciec tylko zmrużył oczy.

- Nie o to pytałem - powiedział z uporem. - Sypiasz z nią.

- To nie twoja sprawa, tato.

- Owszem, sypiam z nią - przyznał jednocześnie Matthew.

- Masz zamiar się z nią ożenić? - spytał go Beric, ignorując córkę.

Annalisa roześmiała się gorzko.

- To brzmi jak kwestia z kiepskiego filmu kostiumowego.

- Ucisz się, Annaliso - rzucił Matt.

- Jak ty do mnie powiedziałaś? - spytała.

- Kocham pańską córkę. Teraz to Matt ją ignorował.

- Nie pytam, co czujesz. Martwię się o moją dziewczynkę.

Uprawiasz z nią seks. Seks oznacza zobowiązania.

- Tak było w latach pięćdziesiątych - wtrąciła Annalisa, ale żaden z nich jej nie słuchał. Gdyby matka to słyszała, pewnie zaczęłaby się śmiać jak wariatka i ochrzaniłaby Berica za to, co robił i mówił.

- Czego pan ode mnie chce? - Matt przeszedł do sedna.

- Chcę wiedzieć, czy się z nią ożenisz.

- Dość tego! - Annalisa stanęła pomiędzy nimi, wymachując rękami.

- Nie odpowiadaj, Matthew. Nie musisz. I nigdy więcej nie mów, że mam się uciszyć.

- Ona jest zupełnie jak jej matka - zauważył Beric.

- Tak, jestem taka jak mama. Dzięki Bogu, bo gdybym bardziej przypominała ciebie, zachowywałabym się jak osioł. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że to, co robię, nie postawi cię w złym świetle? Jestem dorosłą kobietą. Potrafię sama podejmować decyzje i sama radzić sobie z błędami.

- Wiem.

- Skoro tak, to dlaczego tu jesteś?

- Jesteś *ma petite jeune*. Przyjechałem, żeby ci pomóc - powiedział bezpośrednio.

- Mam dwadzieścia dwa lata. Co pozwala ci sądzić, że nie poradzę sobie ze wszystkim bez ciebie?

Beric milczał.

- Nie wiesz, prawda?

Ojciec nadal nie odpowiadał, tylko zacisnął usta, a na jego twarzy pojawiła się frustracja.

- W takim razie ja ci to powiem. W twoim mniemaniu wszystko zawsze musi dotyczyć ciebie, tato. Cóż, tym razem jest inaczej. To, co jest pomiędzy Matthew a mną, dotyczy nas, nie ciebie. Chcę być z nim i myślę, że będzie nam dobrze razem, ale jeszcze nie mamy pewności.

Jestem szczęśliwa, ale twoja duma została urażona. Ego wielkiego Berica

Kinga jest ważniejsze niż wszystko inne, więc do diabła ze szczęściem jego córki.

- To nieprawda. Jestem tutaj, żeby cię chronić. Nie chcę, żebyś została skrzywdzona.

- To ty mnie krzywdzisz. Nie pozwalasz mi się usamodzielić. Nazywasz mnie swoją małą dziewczynką i niezmiennie traktujesz mnie w taki właśnie sposób. Nie słuchasz mnie. Jestem szczęśliwa, że pracuję z mamą. Nie rozumiesz, że wcale nie przedkładałam jej nad ciebie.

Beric stał sztywno, zdołał tylko wtrącić:

- Powinnaś być szefem kuchni. Marnujesz swój talent, podobnie jak twoja matka.

- Guzik prawda! Robię to, co chcę robić, i jestem w tym cholernie dobra. Ty jednak mi nie ufasz ani we mnie nie wierzysz. Pędem przyleciałeś tutaj i chcesz wszystkim się zająć. Z góry założyłeś, że ja nie zdołam sobie poradzić. Rzecz w tym, że potrafię to zrobić. Siadaj.

- Krzyczysz na mnie i przeklinasz, Annaliso. Córki nie klną i nie krzyczą na swoich ojców.

- Powiedziałam, usiądź, tato.

Zebrała razem wszystkie wykresy, plany i wydruki, nad którymi pracowała codziennie do późna w nocy, a także specyfikacje techniczne i informacje dotyczące sprzętu. To wszystko miało sprawić, że kuchnie będą dziełami sztuki. Annalisa podeszła do stołu i pokazała mu papiery.

- Popatrz na to. - Postawiła przed nim laptop i pokazała mu projekty komputerowe. - To jest herbaciarnia. To knajpa, a tu jest bistro, lokalik na werandzie i dom na urwisku. Popatrz na nie, tato, i powiedz mi, że nie znam się na tym, co robię.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Ja otworzę - powiedział Matthew.

- To chyba obsługa - powiedziała Annalisa, po czym zwróciła się do ojca: - Jestem zmęczona tym, że traktujesz mnie jak kogoś pozbawionego mózgu, własnej dumy i inteligencji. Mam dosyć takiego traktowania.

- Nie robię nic takiego.

- Owszem, robisz - upierała się. - Naprawdę.

Wyraz twarzy ojca świadczył o tym, że słowa córki skłoniły go wreszcie do zastanowienia.

- Matthew? Co ty tutaj robisz? - Jud Banning wszedł do pokoju z torbą na garnitur przewieszoną przez ramię, po czym zmarszczył czoło. - Czyżbym trafił do niewłaściwego pokoju?

- Trafiłeś we właściwe miejsce - powiedział Matt i zamknął za nim drzwi.

- Muszę porozmawiać z Laurel. - Jud spojrzał na córkę Berica. - Witaj, Annaliso. Gdzie twoja matka?

- Nie ma jej tutaj.

Jud odstawił na podłogę swój bagaż.

- W porządku, zaczekam. - Przeszedł przez pokój i uściśnął dłoń Berica. - Miło znów cię widzieć.

- Laurel tutaj nie ma - przypomniał mu Matt.

- Powiedziałem, że zaczekam.

Jud opadł na fotel i oparł stopy na podnóżku.

- Mojej mamy nie ma w Chicago. Została w domu.

Jud zaklął pod nosem, a następnie potarł dłonią twarz i parsknął krótkim, drwiącym śmiechem.

- Nie rozmawiałem z nią od poniedziałku, wtedy powiedziała mi, że wybiera się na te targi. Przyleciałem tutaj prosto z Denver.

- Były jakieś kłopoty na miejscu - wyjaśniła Annalisa. - Coś związanego z budową.

Jud spojrział na Matta.

- Co ty tutaj robisz?

- Sypia z moją córką - wtrącił Beric.

Matt zaklął.

Jud odwrócił się od Berica i spojrział na Annalise i bratanka.

- Jesteście pewni, że to dobry pomysł?

- Ty umawiasz się z jej matką - odparował Matt.

- Powiedz raczej, że sypia z moją matką - wtrąciła Annalisa. Beric spojrział na Juda, taksując go wzrokiem.

- Sypiasz z moją żoną?

- Byłą żoną - poprawiła go córka. Matt podszedł do minibaru.

- Czy ktoś jeszcze ma ochotę na drinka?

- Dla mnie cola z whiskey - odezwała się Annalisa. - I daj sporo alkoholu.

- Ja poproszę jakieś piwo - rzucił Jud.

- Czysta wódka. Absolut. - Beric zwrócił się do Juda: -Widziałeś te plany? Popatrz na tę kuchnię. Jest lepsza niż w mojej restauracji w Los Angeles. - Otworzył plany kuchni w domu na urwisku. - Tylko spójrz. Zaprojektowała to moja Annalisa.

- Nie jestem zaskoczony. - Jud wziął piwo od Matta, przyglądając się równocześnie projektom. - Wszędzie słyszę same pochwały na jej temat -

od wszystkich podwykonawców, a szczególnie od Matta. Nie wiedziałem tylko, że dochodzą tu jakieś osobiste komplikacje.

- Nie ma tu żadnych komplikacji - powiedział Matthew. - Nie możesz mnie krytykować, bo ty też robisz to samo.

- Jestem starszy i bardziej doświadczony.

- Najwyraźniej wcale nie - zauważył Matt. - Przyleciałeś tutaj, a Laurel tu nie ma.

- Moje życie osobiste pozostaje moją prywatną sprawą - oznajmił dobitnie Jud.

- No właśnie.

Matt rzucił gniewne spojrzenie w stronę Annalisy. Dobrze wiedziała, co chciał powiedzieć. Pomyślała też, że może Jud w znacznym stopniu jest podobny do jej ojca. Przywołała na usta niewyraźny, zachęcający uśmiech i miała nadzieję, że ten wyraz twarzy mówi, że zrozumiała.

Matt lekko kiwnął głową, mrugnął do niej i poszedł do sypialni.

- Włożę jakąś koszulę.

Jej ojciec przyjrzał się Judowi z nowym zainteresowaniem.

- A więc jesteś jednym z braci. Którym?

- Tym starszym.

Beric przytaknął i w milczeniu popijał swojego drinka. Natomiast Annalisa zastanawiała się, co ojciec czuł na myśl o Judzie i jej matce. Gdyby naprawdę był dotknięty, pewnie by to dostrzegła. Ojciec popatrzył na nią przez pełną domysłów chwilę i uniósł swój kieliszek, kierując toast do niej. Potem powiedział do Juda:

- Dobrze, że wiesz, jak bardzo utalentowana jest moja córka. Razem sprawimy, że restauracje w twoim kurorcie będą najlepszymi lokalami na zachodnim wybrzeżu.

Annalisa wypłała połowę drinka, by nie roześmiać się na głos. Już miała coś powiedzieć, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Matt wyszedł z sypialni, kończył zapinanie koszuli. Gdy pukanie powtórzyło się, przeniósł wzrok z drzwi na dziewczynę. Na jego twarzy malowała się niepewność.

Annalisa potrząsnęła głową i podniosła rękę.

- Lepiej nic nie mów.

RS

33

Laurel siedziała na wyściełanym krześle przy oknie swojej sypialni, opierając nogi na kanapie. Obok spał Henry i lekko pochrapywał. W kryształowej wazie, którą podarował jej Jud, stały białe chryzantemy, o ton jaśniejsze od nich lilie oraz bladozielone eukaliptusy. Laurel kupiła je, gdy tego ranka wybrała się po niedzielną gazetę. Kwiaty stanowiły znak życia, leżące obok pudełko pełne pączków było wyrazem buntu, natomiast koperta z fotografiami i raportami agencji detektywistycznej przypominała o przeszłości, która nie dawała jej spokoju.

Wystarczyło jedno spojrzenie na pierwszą stronę gazety, gdzie jedną z kolumn otwierał nagłówek dotyczący sprawy Wardwella toczącej się w sądzie w Seattle, by Laurel przed powrotem do domu wstąpiła do biura. W artykule nieustannie cytowano Grega O'Hanlona, powtarzano jego nazwisko oraz to, co i jak powiedział. Ciekawość Laurel została rozbudzona jeszcze w szpitalu, gdy ta sprawa nieustannie gościła w wiadomościach. Teraz, kiedy widmo własnej śmierci unosiło się nad jej głową, zaczęła powątpiewać w słuszność wyborów, których niegdyś dokonała.

Dzwonek do drzwi kompletnie ją zaskoczył, szybko więc schowała zdjęcia z powrotem do koperty i wepchnęła pod obrus. Kiedy była w połowie schodów, na widok wysokiej postaci za matowym szkłem pomyślała, że to Jud. Ale życie ją zaskoczyło i na progu swojego domu ujrzała Cale'a.

- Dzień dobry - powiedział. Miał w ręku pudełko pączków, a pod pachą tę samą gazetę, którą ona czytała.

Laurel nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu.

- Cóż za intuicja, doktorze. Zapraszam do środka.

- Co cię tak bawi?

- Na górze mam pudełko takich samych pączków. Właśnie pławiłam się w tłuszczu, cukrze i białej mące zamiast żywić się białkami jaj, suchymi tostami i odtłuszczonym mlekiem.

Cale podniósł pudełko.

- To jedyny sposób, żeby dobrze spędzić niedzielny poranek.

- I to mówi kardiochirurg?

- Skorzystałem z okazji i znalazłem w twojej kartotece adres domowy - przyznał się, idąc za nią do kuchni. - Ładny dom.

Położył pudełko i gazetę na stole, po czym usiadł na stołku barowym. Cały Cale ze swoją swobodą. Nigdy nie był zakłopotany, niezależnie od tego, gdzie się znajdował.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Świetnie - powiedziała zbyt radośnie. - Może masz ochotę na kawę?

- Jasne. - Otworzył pudełko z pączkami i zjadł jednego. Chwilę potem sięgnął po następnego. - To jakaś kawa bez-kofeinowa, prawda?

- Pozbawienie kawy kofeiny sprawia, że ten napój traci sens istnienia. Nie potrafię przełknąć czegoś takiego. Nie wydaje mi się, by trochę kofeiny tu czy tam mogło wyrządzić komuś krzywdę.

Cale sięgnął po czwartego pączka.

- W takiej sytuacji kluczem jest umiarkowanie.

- Zupełnie jak w twoim przypadku - cztery pączki zjedzone w ciągu trzech minut?

Cale uśmiechnął się szeroko.

- Pięć pączków. Co z twoim wenflonem?

- Ciężko z nim spać. Zawsze go przygniatam.

- Pozwól, że obejrzę. - Dotknął miejsca, w którym założono igłę. -

Czy to boli? Czasami zdarza się, że przestają działać. Sprawdzaj, czy nie pojawia się opuchlizna lub skóra nie zmienia koloru.

Laurel wyjęła pączka z pudełka i zanurzyła go w swojej kawie.

- W porządku.

- Zaplanowałem twoją operację na czwartek.

- Och... - Upuściła pączek na stół. Przełknięty właśnie kęs stanął jej w gardle.

- Wiem, że się boisz. Musimy to zrobić, Laurel.

- Powiedziałeś, że kolejna operacja niesie większe ryzyko. Po czymś takim każdy zaczyna się bać. - Oparła dłonie na blacie. - Jakie są szanse na powodzenie?

- W twoim przypadku myślenie o najgorszym nie jest dobrym rozwiązaniem.

- Boże, nienawidzę, gdy unikasz odpowiedzi. I tak jestem beznadziejnym przypadkiem, zwłaszcza że na poprzednią operację poszłam bez zastanowienia.

Cale wstał i ujął jej dłonie. Laurel znów opuściła wzrok na jego ręce

- to one miały jej pomóc i zoperować jej serce. Zastanawiała się, czy Greg ma dłonie Cale'a.

- Musisz mi zaufać - powiedział.

Znów pojawiał się ten spokojny głos, połączony ze znanym sprzed lat spojrzeniem. Ten wzrok był w stanie skłonić ją do zrobienia

wszystkiego - od rozważenia przejścia na kawę bez-kofeinową aż po rozstanie się z dziewictwem.

- Tak bardzo się boję... Otoczył ją ramieniem.

- Nie bój się. Zaufaj mi.

Laurel zamknęła oczy i pozwoliła, by ją objął. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że przez frontowe okno przygląda im się Jud, trzymając w dłoni bukiet róż.

- O Boże... - Laurel odsunęła się od Cale'a. - To Jud. Pobiegnęła do drzwi wejściowych.

- Co tu się dzieje, do cholery? - Jud przeszedł obok niej i ruszył prosto w stronę brata. - Skąd się tu, u diabła, wzięłeś? - Zaraz potem zwrócił się do Laurel:

- Co on tutaj robi?

- Jestem tu dopiero od kilku minut - odparł spokojnie Cale.

- Z tego, co widziałem, to niewiele brakowało, żebyś zaczął się do niej przystawiać.

- Tak to odbierasz? - spytał Cale ze szczerym zaskoczeniem w głosie.

- Sądziysz, że zrobiłbym coś takiego?

- Przerabialiśmy coś podobnego ponad trzydzieści lat temu.

- Ależ z ciebie dupek!

Jud upuścił kwiaty i gwałtownie podszedł do brata. Laurel stanęła między nimi.

- Co ty wyrabiasz, Jud? To nie jest żadna rywalizacja. Zachowujesz się tak, jakby to był jakiś cholerny mecz koszykówki.

Chwilę później uderzyła ją myśl: „a może naprawdę tyle jestem dla niego warta?”.

- Ona ma rację, Jud. Starasz się zrobić z tego coś, czym nie jest.

- To mi coś przypomina.

- Tobie wszystko coś przypomina. Na tym polega twój problem - powiedział Cale uszczypliwie. - Owszem, Laurel wiele dla mnie znaczy, ale to nie jest to, co masz na myśli.

- A więc dlaczego tu jesteś?

Cale nie odpowiedział, jedynie spojrzał na Laurel.

- Zadałem ci pytanie - powiedział Jud. - Dlaczego tu jesteś?

- On nie zasługuje na prawdę - powiedziała z przekorą Laurel.

- Sądzę, że masz rację.

- Zaraz ci przywalę - rzucił Jud napiętym głosem.

- Dlaczego? - spytał Cale. Jud nie odpowiedział.

- O co chodzi? Powiedz. No, śmiało, wyrzuć to z siebie. Jud stał w całkowitym milczeniu.

- Świetnie, w takim razie powiem. To stare przyzwyczajenie, które zaszczepił w nas Victor znacznie wcześniej, nim ty pojawiłaś się w naszym życiu, Laurel. Widzisz, Jud musi wygrywać - Cale obszedł brata i do niego kierował dalsze słowa. - Nawet wtedy, gdy wszystko, co wiązało się z Victorem i tobą, Victorem i mną bądź też Victorem i nami obydwoma, po prostu mnie niszczyło, Jud, nawet gdy wycofywałem się z rywalizacji, ty zawsze musiałaś stwarzać problemy w sytuacji, w której ich nie było. Robiłaś to jedynie po to, żeby zwyciężyć. Dlaczego? To kompletnie popieprzone. Kiedy nauczysz się, że nie musisz niczego udowadniać?

Jud zwrócił się do Laurel:

- Powiedziałaś mi, że wybierasz się do Chicago. Annalisie przekazałaś, że były tutaj jakieś problemy z pracą. Nic takiego nie miało

miejsca. Nikt do ciebie nie dzwonił. Kłamałaś. Dla mnie wszystko wygląda tak, jakbyś zrobiła to celowo, żeby być z Cale'em.

- Nie zostałam tutaj, by spędzać ten czas z twoim bratem.

- A więc to nie jest miłe śniadanko po nocy spędzonej w łóżku, podobne do tego, które urządziliśmy sobie w poniedziałek?

Laurel zobaczyła czerwień przed oczami. Zaczęła się trząść.

- Spokojnie, Laurel - powiedział Cale i zrobił krok w jej kierunku.

Jud wymierzył mu cios, po którym jego brat potknął się i uderzył o ścianę..

- Cale!

Laurel podbiegła do niego.

- Nic mi nie jest - zapewnił i potarł dłonią szczękę. Laurel zwróciła się do Juda.

- Twój brat przyszedł tu kilka minut przed tobą. Owszem, okłamałam córkę. To jednak nie ma nic wspólnego z tobą. Czasami kłamstwo jest bezpieczniejsze i mniej bolesne od prawdy. W swoim życiu często kłamałam, Jud. Dawniej czułam się z tego powodu winna, ale pewnego dnia ktoś powiedział mi, że wszyscy kłamią. To prawda. Czy potrafisz wyobrazić sobie mówienie wszystkim ludziom w swoim życiu tylko i wyłącznie prawdy? Kto potrafiłby to zrobić? Kłamiemy, by chronić ludzi, na których nam zależy. Mówimy nieprawdę, by dać radość tym, których kochamy. Okłamujemy nasze dzieci, opowiadając im o świętym Mikołaju czy dobrych wróżkach. Jestem gotowa się założyć, że ty też nie jesteś całkiem szczerą, jeśli chodzi o podatki.

- To nie to samo.

- Różnica polega tylko na pompatycznej i zadufanej w sobie nienawiści do kłamstw. Prawda jest taka, że wszyscy to robią. Chcesz wiedzieć, dlaczego okłamałam Annalisę?

- Nie. To już nieistotne. Sama to powiedziałaś, Laurel. To nie ma nic wspólnego ze mną - odrzekł Jud, po czym wyszedł.

Łzy popłynęły po policzkach Laurel. Dyszała z zaciśniętymi pięściami.

- Biegnij za nim, Laurel.

-Nie.

- Powiedz mu, co się dzieje. Wiesz, że ja nie mogę tego zrobić.

-Nie.

- Jesteś tak samo uparta jak on.

- Nie chcę z nim teraz rozmawiać. Nie ufa mi. Musi ochłonać. -

Laurel dostrzegła krew sączącą się z ust Cale'a. - Przyniosę ci lód.

W niedzielny wieczór Laurel obejrzała w telewizji CBS program „60 Minutes” poświęcony sprawie Wardwella, po czym zadzwoniła do Pat z informacją, że nie będzie jej w biurze aż do wtorku. Następnego ranka o siódmej rano weszła na pokład samolotu do Seattle. W trakcie lotu skóra wokół wenflonu zaczęła puchnąć i zmieniać kolor. Laurel wysiadła z samolotu, po czym udała się wprost na ostry dyżur w szpitalu.

Dwadzieścia minut później kobieta o imieniu Donna usiadła obok niej i ujęła ramię pacjentki. Pielęgniarka usunęła stary wenflon i zaczęła zakładać nowy.

- Cokolwiek panią tutaj sprowadziło, musi być dość pilne. Laurel patrzyła, jak kobieta szuka żyły na jej ręce.

- To prawda - przyznała.

Donna spojrzała na nią wyczekująco.

- Przyleciałam tutaj, żeby zobaczyć się z synem, zanim poddam się operacji - przyznała Laurel.

- Słucham? Czy on nie może przylecieć do pani?

- Nie. Jest prawnikiem i występuje właśnie w sądzie w ważnej sprawie. Nie może wyjechać.

- Pani karta choroby zawiera informację, że siedem lat temu miała pani operację zastawki.

- Zgadza się - odpowiedziała Laurel. - Jednak zastawka nie jest szczelna. Lekarze muszą zobaczyć, czy uda im się usunąć ten problem.

- Kiedy chcą to zrobić?

- We czwartek. Muszę się z nim zobaczyć, zanim... - Laurel nie była w stanie dokończyć. Nie chciała wypowiadać tych słów na głos -... nim pójdę pod nóż.

Roześmiała się nerwowo.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. - Spojrzenie pielęgniarki świadczyło o tym, że ją zrozumiała. — Od jak dawna się z nim pani nie widziała?

- Mam wrażenie, jakby ten okres trwał całe życie.

- Dzieciaki... - Donna potrząsnęła głową zdegustowana. - Mój syn jest w college'u i nie dzwoni, dopóki czegoś nie potrzebuje. Starszy jest w piechocie morskiej, jego baza znajduje się w Camp Pendleton i dzwoni co tydzień. - Pielęgniarka wstała. - Proszę. Już wszystko w porządku. Kiedy zobaczy się pani z synem, proszę mu powiedzieć, że powinien do pani dzwonić. W końcu jest pani jego matką.

Co powinna mu powiedzieć? - spytała samą siebie Laurel. „Witaj, jestem twoją matką”? Czy z moralnego punktu widzenia naprawdę nią była?

O jedenastej Laurel opuściła szpital i udała się w kierunku znajdującego się w centrum budynku sądu. Taksówka zatrzymała się za należącym do stacji telewizyjnej białym vanem, na boku którego widniał napis głoszący KOMO TV Laurel zapłaciła kierowcy, następnie przeszła obok kamer oraz dziennikarzy krążących wokół frontowych schodów. Chwilę później utknęła w kolejce przed wykrywaczem metalu, tak więc było piętnaście po jedenastej, gdy usiadła na twardej ławce w korytarzu prowadzącym do sal sądowych. Po drugiej stronie holu znajdowały się wysokie okna wychodzące na teren pokryty bujną roślinnością.

W ogrodzie stali jacyś ludzie, palili papierosy i prowadzili zwyczajne rozmowy. W tym momencie Laurel poczuła dziwny żal. Nigdy nie paliła, nigdy nie robiła też niczego innego, co mogłoby zaszkodzić jej sercu. Po chwili przed oczami stanął jej jednak powód, dla którego tutaj się znalazła. Ta myśl zmusiła ją do zastanowienia się nad tym, jak przeżyła swoje życie. Może dokonane wybory, wśród których było tak wiele błędów, zniszczyły jej serce od wewnątrz?

Laurel nerwowo zerkała na zegarek, co kilka minut sprawdzając aktualną godzinę. Była jedenasta dwadzieścia trzy. Dwóch mężczyzn i kobieta dyskutowali ze sobą, gdy przechodzili obok niej żwawym krokiem. Byli ubrani w dopasowane, ciemne garnitury, na nogach mieli drogie buty, w rękach trzymali aktówki. Adwokaci... Kobieta w ciemnoczerwonej sukience, ze złotą plakietką z nazwiskiem i w butach na płaskim obcasie przemknęła przez hol, w biegu narzucając na siebie biały

sweter. Czyżby spóźniona urzędniczka spiesząca się na lunch? Obok przeszła para młodych ludzi z dzieckiem mogącym mieć niecały rok oraz kobieta ubrana jak adwokat. Kiedy znajdowali się obok Laurel, prawniczka powiedziała:

- Prześlę wam papiery adopcyjne, jak tylko zostaną podpisane.

Para uśmiechnęła się. Było coś szczególnego w sposobie, w jaki matka przytulała dziecko, w spojrzeniach pełnych radości, w zachwycie na ich twarzach i w ich głosach. Laurel słyszała taki śmiech i widziała takie spojrzenia trzydzieści lat temu.

Jedenasta trzydzieści sześć.

Laurel otworzyła torebkę, wyjęła jego fotografię i zadała sobie pytanie, po co ją tutaj przywiozła. Czyżby naprawdę sądziła, że go nie rozpozna? Greg O'Hanlon... Nawet gdyby nie widziała go w telewizji i nie miała zdjęć zrobionych przez detektywów, wierzyła, że jeśliby znaleźli się w jednym pomieszczeniu, intuicja by jej nie zawiodła.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi do sali rozpraw numer 3, ludzie zaczęli wychodzić. Laurel wstała, zaciskając dłonie na torebce. Hałas narastał, a dźwięk odbijał się od marmurowych posadzek. Greg okazał się wyższy, niż sugerowały zdjęcia. Był zadbany, miał na sobie szary garnitur z jasnoniebieskim krawatem i wyglądał zupełnie jak Banningowie. Laurel ruszyła mu naprzeciw z głową wypełnioną dziwnym szumem, nie wiedziała, co zrobić lub powiedzieć. Po prostu szła przed siebie. Ktoś zawołał go po imieniu, wtedy Greg gwałtownie się odwrócił i wpadł prosto na nią, pozbawiając ją tchu. Laurel zaczęła osuwać się na ziemię, ale on chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

- Przepraszam!

Spojrzała na niego i przez ułamek sekundy w wyrazie jego twarzy dostrzegła coś z własnej matki.

- Nic pani nie jest? - spytał ze szczerą troską.

Czy nic jej nie jest? Czy może wypowiedzieć te słowa? „Jestem twoją matką... biologiczną matką... ” Kimś w rodzaju matki?

Porzucony przez nią syn trzymał ręce na jej ramionach i czekał na odpowiedź.

- Wszystko w porządku.

- Na pewno? Bardzo mi przykro, proszę pani. Nie zauważyłem pani.

- Wszystko w porządku. Naprawdę.

Ktoś ponownie zawołał go po imieniu. Tym razem głos dochodził z bliska.

Greg puścił ją, po czym odwrócił się z uśmiechem na twarzy.

- Cześć, tato!

Wysoki, elegancki mężczyzna, którego twarz widziała wiele lat temu przy szybie pokoju noworodków, klepnął go po ramieniu.

- Może skoczmy do Smarty'ego na jakąś kanapkę? Na którą musisz wrócić, synu?

- Mam czas do pierwszej - powiedział Greg.

- Dobrze. Zabierajmy się z tego zoo.

Laurel patrzyła, jak obaj odchodzą, tworząc aż nazbyt idealny obraz ojca i syna. Greg zatrzymał się jednak i odwrócił, patrząc na nią i sprawdzając, czy na pewno wszystko w porządku. Robił to dla niej - dla osoby całkiem mu obcej. Laurel ogarnęło w tym momencie niezwykle głębokie uczucie ciepłej i pełnej blasku miłości. Było to wrażenie całkiem odmienne od namiętności, która potrafi spalić człowieka. To była czysta i

instynktowna miłość, którą może odczuwać jedynie kobieta. Właśnie dotarła do niej słodycz jednego z największych sekretów życia - naturalnego instynktu macierzyńskiego, niedostępnego dla mężczyzn. Czuła to każdą komórką swojego ciała i zrozumiała, że jest to coś wiecznego.

Laurel uniosła rękę i uśmiechnęła się do syna. Odwzajemnił uśmiech nieznajomej kobiety, potem odwrócił się i odszedł ze swoim ojcem. Laurel stała tam jeszcze długo, aż hol opustoszał i zrobiło się cicho. Wypełniło ją poczucie spokoju, jakiego nigdy wcześniej nie doznała - to była jedna z tych rzadkich chwil w życiu, kiedy wydaje się, że każda cząstka świata jest na swoim miejscu. Laurel wyszła na zewnątrz, stanęła pod czystym niebem Seattle, później wsiadła do taksówki i pojechała na lotnisko.

Było wpół do ósmej w poniedziałkowy wieczór, gdy Annalisa otworzyła drzwi domu Laurel i zawołała:

- Mamo?!

Dziewczyna znalazła ją w salonie - matka grzebała w kominku, gdzie duża żółta koperta zwijała się i znikwała w płomieniach.

- Co robisz? - spytała Annalisa.

- Palę stare papiery, których dawno zamierzałam się pozbyć. Weź sobie colę. Jadłaś coś?

- Pizzę - odparła córka z kuchni. Po kilku minutach wróciła do salonu z kubkiem herbaty. Laurel siedziała w rogu sofy z podkurczonymi kolanami, przyciskając do piersi jedwabną poduszkę.

- Proszę - powiedziała Annalisa i podała jej koc. - Wyglądasz tak, jakbyś dosłownie zamarzała. Chcesz, żebym podsyciła ogień?

- Nie - odrzekła szybko Laurel. - Siadaj.

Annalisa zdjęła buty i rozłożyła koc, by przykryć je obydwie. Jak była mała, zawsze wykorzystywały narzutę w ten sposób. W mgliste wieczory siadywały razem, popijając gorącą czekoladę z dodatkiem mięty i delektując się cukierkami prawoślazowymi domowej roboty. Również kilka miesięcy temu spędziły noc pod kocem - jadły wtedy popcorn przygotowany w kuchence mikrofalowej i oglądały filmową wersję *Dumy i uprzedzenia*.

- Całkiem szybko tu dotarłaś.

- Przyleciałam dziś po południu. Gdy do mnie zadzwoniłaś, byłam u przyjaciół w Huntington Harbor.

A naprawdę była wtedy z Mattem. Łączące ich uczucie wydawało się tak cudowne.

- Jak było w Chicago?

Pierwszym określeniem, jakie przyszło Annalisie na myśl, było „cudownie”. Zamiast tego powiedziała jednak:

- Chaotycznie.

- Zawsze tak jest. Wiedziałam jednak, że sobie poradzisz. Miałaś jakieś kłopoty?

- Nie dotyczyły one targów ani dostawców. Wszystkie plany są w biurze, więc do przeglądania list weźmiemy się, gdy tam dotrzemy.

Na chwilę zapadło milczenie.

Teraz jej powiem - pomyślała Annalisa, ale gdy spojrzała na matkę, słowa nie popłynęły. Ogień trzaskał i strzelał. A ona popijała herbatę. Za oknem ocean znikał za zasłoną gęstej, białej mgły.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyrzuciły z siebie jednocześnie, po czym nerwowo się zaśmiały.

Laurel poprawiła narzutę, zagłębiła się w kanapę i zaproponowała:

- Mów pierwsza.

- Tata przyleciał do Chicago. Mówił, że pojawił się tam, bo wiedział, że będę potrzebowała jego pomocy.

- Mam nadzieję, że zdołałaś go powstrzymać.

- Zanim dotarł, miałam już za sobą większą część pracy. -Annalisa postawiła kubek z herbatą na ceramicznej podkładce. - Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że to ciebie naprawdę szukał. Był tam jeszcze Matthew.

- To chyba dobrze.

- Niezupełnie.

Laurel potrafiła logicznie myśleć. Spytała córkę:

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- Spotykam się z Matthew. To zaczęło się w Chicago... To znaczy on pojawił się tam, a ja przypominałam sobie, co mówiłaś na temat życia, związków, i przestałam walczyć z tym... i z nim. Potem w hotelu pojawił się tata i odkrył, co jest grane. Matthew miał z nim niezłą przeprawdę... Tata chciał go zmusić do małżeństwa ze mną. Brakowało mu tylko strzelby...
Przestań się śmiać!

- Przepraszam. To jednak typowe dla twojego ojca. Jak Matthew sobie z tym poradził?

- Całkiem niezłe, przynajmniej dopóki nie pojawił się Jud.

- Jud był w Chicago?

- Przyleciał tam z Denver i szukał ciebie.

- A znalazł ciebie, Matthew i Berica.

- Czulałam się tak, jakby w moim pokoju hotelowym zainstalowano drzwi obrotowe.

- Nic dziwnego, że kiedy go widziałam, wyglądał na całkiem wykończonego.

- Świetnie sobie radził z tatą, szczególnie gdy powiedziałam, że ze sobą sypiacie.

Laurel jęknęła.

- To ci się udało, Annaliso.

- Tata i tak by się dowiedział, mamó.

- Byłabym zadowolona, gdyby udało się zachować tę wiadomość w tajemnicy, przynajmniej na jakiś czas.

- No cóż, już o tym wie. Zresztą powiedziałaś mi, że Jud jest dla ciebie kimś ważnym.

- Naprawdę?

- Tak, tamtego dnia na plaży. Nie mówiłabyś tego i nie stosowałabyś uników, gdybyś nic do niego nie czuła. - Annalisa podwinęła nogi pod siebie. - Nie martw się. Cieszę się, że w końcu zaczęłaś się z kimś umawiać. A teraz - o czym ty chciałaś mi powiedzieć?

- Kiedy byłaś w Chicago, nie było żadnych kłopotów związanych z pracą. Zostałam na miejscu, ponieważ we wtorek miałam wizytę u lekarza.

- Co to za wizyta?

- Badanie u mojego kardiologa, doktora Collinsa. Kiedyś go poznałaś. Zadzwoił do specjalisty, a właściwie do mojego starego przyjaciela. - Laurel roześmiała się krótko. - Do taty Matthew.

- Żartujesz?

- Nie. Znałam go jeszcze w czasach, gdy studiował medycynę. Annalisa zrozumiała właśnie komentarz swojego ojca dotyczący braci.

- W środę miałam kolejne badanie, które wykazało pewne problemy.

Żołądek Annalisy gwałtownie się skurczył, a ona sama nagle poczuła się słabo. Przypomniała sobie bladą i poszarzałą twarz matki sprzed lat. Budziła się wtedy po nocach sparaliżowana strachem, że Laurel może umrzeć.

- Uważają, że zastawka nie jest szczelna, i chcą do niej dotrzeć, sprawdzić dlaczego i usunąć problem. - Przez wzgląd na córkę głos Laurel był mocny i pewny. - Cale Banning jest kardiochirurgiem, i to najwyraźniej całkiem niezłym.

- Kiedy będzie operacja?

- W czwartek.

- Wszystko będzie dobrze, mamó. Wszystko będzie dobrze. Annalisa starała się pocieszyć matkę, ale zamiast tego wpadła w jej ramiona niczym mała dziewczynka.

- Płaczesz?

-Tak.

Laurel pozwoliła córce się wypłakać, a potem powiedziała:

- Nie chciałam ci mówić tego przez telefon, gdy dzieliła nas tak duża odległość. Rozumiesz to, prawda?

- Zaczęłabym zachowywać się jak histeryczka.

- Jesteś na to zbyt silna. Annalisa odsunęła się od matki.

- Tylko na mnie popatrz. To takie głupie. Ty jesteś chora, ale to ja płaczę. Chciałabym być bardziej podobna do ciebie, mamó. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.

- Cieszę się, że tu jesteś. Jestem również szczęśliwa, że jesteś starsza, bo tym razem mogę powiedzieć ci prawdę. W tej chwili wcale nie czuję się zbyt silna, kochanie.

Wyraz twarzy Laurel mówił wszystko. Annalisa pamiętała to spojrzenie z dzieciństwa. Pewnego razu oddaliła się od matki i zgubiła w niezmiernych meandrach centrum handlowego. Kiedy po kilku godzinach znów były razem, twarz Laurel wyglądała tak samo jak w tej chwili.

Nagle życie uległo zmianie. Jej matka była krucha. Idąc za płynącym gdzieś z głębi serca głosem instynktu, Annalisa wysunęła się z ramion matki i sama ją objęła.

- A teraz nadchodzi najtrudniejszy moment.

- Operacja... - powiedziała córka ze zrozumieniem. Laurel cicho się roześmiała.

- To też. Jest jednak coś gorszego. Muszę zadzwonić do babci i powiedzieć jej, że to Cale Banning będzie mnie operował.

- Nie, mamo. - Annalisa wyprostowała się. - Nie „musisz”, ale „musimy” zadzwonić do babci.

Kathryn zdrętwiała, gdy usłyszała najnowsze wieści przekazywane jej przez Laurel. Z tego stanu wyrwała ją dopiero okropna, przesycona strachem i niechęcią w głosie córki wiadomość, że to w rękach Cale'a Banninga będzie spoczywać jej życie.

Zanim Kathryn zdołała powiedzieć chociaż jedno słowo, wtrąciła się Annalisa, a w jej szorstkim głosie słyhać było ostrzeżenie:

- Babciu, nie uprzedzaj się do lekarza tylko dlatego, że nosi nazwisko Banning. Cale jest kardiochirurgiem, i ponoć bardzo dobrym.

Reszta rozmowy była dziwnie wyzuta z emocji. Kathryn miała przylecieć jutro pierwszym promem, a Annalisa obiecała, że odbierze ją z portu. Operację zaplanowano na pojutrze.

Kathryn odwiesiła słuchawkę i otarła pot, który pojawił się wraz z przyływem naturalnego, lodowatego strachu - czuła się bezradna, bo nie mogła ochronić swojego dziecka. Ciężko usiadła na krześle stojącym na środku jej pracowni. Nazwisko chirurga nie miało znaczenia. Kathryn przyciskała dłonie do walącego serca. To nie miało znaczenia. To nie miało znaczenia.

Pełne złości słowa, często rzucane ostatnimi czasy przez Laurel, prześladowały jej matkę. Nie rozumiała, dlaczego wszystko tak źle się ułożyło. Jak ona mogła tak się pomylić? Teraz w oczach Kathryn wszystko stawało się coraz bardziej oczywiste: Banningowie stanowili zabawkę w rękach losu, ale to ona sama wybrała fatalny sposób na życie. Mściwość zrobiła z niej kogoś, kogo córka nie mogła znieść. Sprawy, o których Kathryn nie chciała zapomnieć, przerodziły się w obsesję. Jej artystyczne credo mówiło wszystko. Wykorzystywała ból życia, by tworzyć dzieła pełne emocji. W końcu sztuka nie byłaby sztuką, gdyby nie zawierała w sobie pasji.

To właśnie miał na myśli Victor Banning. Gdyby żyła gdzieś na poddaszu - cóż, po prostu tam by egzystowała. Ona jednak zamieniła swój dom w samotnię, a własne życie przekształciła w ucieleśnienie ludzkiego bólu. Mieszkała w pokojach pomalowanych na niebiesko, żeby nie zapomnieć o jątrzących się ranach, ożywiających jej sztukę. K. Peyton, artystka, która wciąż rozpamiętywała swój ból, była kobietą egzystującą w zamkniętym świecie, co pozwalało jej panować nad własnym życiem.

Artyści i pisarze chronili się w odosobnieniu z powodu jakiegoś dziwnego lęku przestrzeni. Otaczali się kokonem, bo w wielkim świecie ryzykowałiby, że może im się przydarzyć coś złego. I tak w jednej minucie

można było jechać ulicą w Los Angeles, a w kolejnej już nie żyć. Z tego powodu Kathryn spędziła wiele lat u boku innych ludzi, a potem stworzyła własny świat, w którym było miejsce wyłącznie na sztukę. Brakowało go nawet dla Laurel.

Kathryn zobaczyła nagle wszystkie swoje błędy, jak na makabrycznym filmie dokumentalnym, opisującym, jak zrujnować sobie życie. Nie była w stanie krzyknąć ani mówić, ale straciła panowanie nad sobą i zaczęła niszczyć swoje prace. Dobrze było słyszeć, jak pękają, a jeszcze lepiej poczuła się, gdy roztrzaskiwała je o ścianę. Unicestwiła swój dorobek - przedmioty, które stały się jej życiem i były jedynymi elementami wykraczającymi poza chorobliwą mściwość.

Kiedy nie zostało już nic więcej, co mogłaby rozbić, stanęła nad owocami bitwy i zdyszana zaczęła liczyć. Dwadzieścia pięć wyrobów zostawiło ślady na ścianie - jak budzik rzucony w noc po śmierci Jimmy'ego. To był dowód gniewu. Dowód złości. Dowód na to, że zmarnowała życie i zraziła do siebie własną córkę.

W przypływie siły wyciągnęła z pomieszczenia na tyłach olbrzymi obraz Espinosy i brutalnie zdarła opakowanie. Nie przyglądała się temu obrazowi od czasu, gdy wisiał między oknami w sypialni Julii. Teraz oglądała go inna artystka - K. Peyton. Dzieło kipiało od emocji, stanowiło płataninę ciemnych linii i krzywizn, a kolory były niesłychanie ostre.

Nie знаła tytułu tego obrazu i nie szukała go, ale namalowane w lewym rogu słowo *Obsesja* samo rzuciło jej się w oczy. Kathryn cofnęła się, aż nazbyt dobrze rozumiejąc przesłanie. Przez pewien czas stała, miała przed sobą obraz oraz nagą prawdę. Ta chwila mogła równie dobrze trwać

minutę, jak i pół godziny. Gdy człowiek spoglądał na swoje zrujnowane życie, czas przestawał się liczyć.

Koperta, którą Victor zostawił na ladzie tamtego dnia, wciąż leżała w jej biurku, a czek nie został zrealizowany. Napisała na nim kilka słów i włożyła go do koperty. Przekreśliła na niej swoje nazwisko, wypisała jego dane, po czym zadzwoniła po firmę spedycyjną.

Minęły dwa dni, odkąd Jud rozstał się z Laurel. We wtorkowy wieczór około północy zdjął marynarkę, rozluźnił węzeł krawata i zaczął przesłuchiwać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

- Jud? Tu Laurel. Czy mógłbyś do mnie zadzwonić po odsłuchaniu tej wiadomości? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Czy mógłby zadzwonić do niej po odsłuchaniu tej wiadomości? Piętnaście minut po północy? Leżał na łóżku i wahał się, trzymając w dłoni telefon. Do diabła, miał u niej tak kiepskie notowania, że nie miało znaczenia, czy zadzwoni w środku nocy.

Odebrała, ale mówiła szeptem.

- Laurel? Mówi Jud. Właśnie odsłuchałem twoją wiadomość.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała. - Dziś w nocy jest u mnie Annalisa, a chcę pomówić z tobą na osobności. Czy możesz wpaść do mnie rano?

- Kiedy?

- Koło dziesiątej.

- Dobrze.

Nie pożegnał się, bo szukał odpowiednich słów przeprosin. Kiedy ona również nie dodała nic więcej, spytał tylko:

- U ciebie wszystko w porządku?

- Muszę przekazać ci kilka wyjaśnień dotyczących niedzieli.

Jud wciąż miał ochotę udusić brata.

- Będę o dziesiątej.

- Dziękuję, Jud. Dobranoc.

Rozłączył się, słysząc stuknięcie słuchawki na drugim końcu linii, podłożył ramiona pod głowę i zsunął buty ze stóp. Poprzedniej nocy wściekł się i koniec końców wylądował w czynnym dwadzieścia cztery godziny na dobę ośrodku sportowym, gdzie przez wiele godzin grał w racketball. Nawet to nie pomogło mu pozbyć się złości. Czuł się tak cholernie bezradny. Gdy tylko kładł się spać, przed oczami pojawiała mu się jej twarz z wyrazem potępienia po tym, jak uderzył swojego brata. Po tylu latach to on znalazł się na miejscu Cale'a.

Za pięć dziesiąta rano podjechał pod jej dom i przez kilka minut siedział w samochodzie, opierając się chęci, by po prostu odjechać i nie zatrzymywać się. Kiedy zapukał do drzwi, miał spocone ręce i obolały żołądek.

Laurel szybko otworzyła.

W ciągu ostatnich dni pełnych gniewu zapomniał już, co zawsze czuł, gdy na nią patrzył.

- Cześć - powiedziała i otworzyła szerzej drzwi. - Wejdz. Wszedł za nią do salonu, gdzie na stoliku naprzeciw sofy stała taca z kawą. Laurel wręczyła mu filiżankę i usiadła.

- Chcę ci powiedzieć, skąd Cale wziął się tutaj w niedzielę.

- Posłuchaj, wiem, że zachowałem się jak dupek.

- Zaczekaj. Proszę... Pozwól mi mówić. To trudne. - Uniosła dłoń. -

Powinam przeprosić twojego brata. Jest moim lekarzem, Jud.

To było ostatecznie wyjaśnienie, jakiego by się spodziewał.

- Cale przeprowadzi operację, by usunąć uszkodzenie w mojej zastawce. Wpadł w niedzielny poranek, by przekazać mi wiadomość o ustalonym terminie operacji, a także zapytać, jak się czuję. Nie polecałam do Chicago, bo byłam w szpitalu na badaniach, a później podawano mi dożylnie antybiotyki. Ciągłe je przyjmuję - tutaj mam wenflon. -

Wyciągnęła rękę. — Zabieg zaplanowano na czwartek.

- Na jutro?

Laurel przytaknęła.

- Dziś wieczorem muszę zgłosić się do szpitala.

- Annalisa niczego mi nie powiedziała.

- Aż do poniedziałkowego wieczoru sama o niczym nie wiedziała.

Czułam, że muszę ją chronić. To nie było dla niej łatwe, a ja obawiałam się, że jeśli powiem jej przed targami, może się załamać. Sama dowiedziałam się zaledwie dzień wcześniej. Mój lekarz poprosił Cale'a o konsultację, o czym nawet mi nie wspomniał. Poszłam na umówioną wizytę, a on po prostu tam był.

Jud miał przed oczyma jedynie Cale'a z zakrwawionymi ustami.

Odstawił kawę, bo dręczyły go mdłości i poczucie winy.

- Cale nie mógł mi powiedzieć, prawda?

- Z racji etyki zawodowej - nie. Szczerze mówiąc, gdy wyciągnąłeś tak mylne wnioski, byłam zbyt wściekła, by ci powiedzieć. Wkurzyło mnie twoje założenie, że mogłabym powtórzyć ten sam błąd, który popełniłam wiele lat temu. Jestem starsza i chyba zmądrzałam. I jeszcze coś - byłam zła, że nam nie uwierzyłeś i że go zaatakowałeś.

- Jestem słabym mężczyzną. Jeśli chodzi o ciebie, ponoszą mnie emocje. Nie lubię tej części mojej osobowości, nie mogę jednak udawać, że ona nie istnieje. - Gdy Laurel nie odpowiedziała, przeprosił ją. - Ja też jestem starszy i nie mogę ponownie cię stracić. Nie stracę cię. Chodź tu, Nimfetko.

Objął ją i położył na swoich kolanach.

- Powinnam być szczerą wobec wszystkich, ale łatwiej to powiedzieć niż zrobić - wyznała, opierając głowę na jego ramieniu. - Musiałeś być wykończony. Annalisa opowiedziała mi, że przyleciałeś do Chicago.

- Miałem zamiar cię zaskoczyć.

- Zamiast tego trafiłeś na Berica. - Laurel roześmiała się na moment.

- Szkoda, że tego nie widziałam.

- Dobrze się rozumiemy. Obaj cię straciliśmy i więcej nas łączy, niż dzieli.

- Nie straciłeś mnie, Jud. Już nigdy od ciebie nie ucieknę.

- Czy to poważna operacja?

- Kolejne operacje serca są zawsze trudniejsze.

- To brzmi niczym gotowa odpowiedź odtwarzana z taśmy,

Nimfetko.

- Owszem, ale powiedziałam ci prawdę.

Słowa, których żadne z nich nie wypowiedziało na głos, zawisły w powietrzu. Ironia losu. Znów zdołali się odnaleźć, ale co będzie, jeśli teraz ona nie zdoła pomyślnie przejść tej operacji? Jud powiedział jedynie:

- Wierzę w nas.

Laurel położyła palce na jego wargach.

- Nie musisz niczego wyjaśniać. Powinam była ci powiedzieć, co się dzieje.

- Gdzie jest Annalisa?

- Pojechała po moją matkę. Kathryn przyływa tutaj z wyspy najbliższym promem. Muszę zgłosić się do szpitala dzisiaj późnym popołudniem.

Jud zrozumiał, że zostało im tylko parę godzin, a na dodatek nie wszystkie będą mogli spędzić sami. Powiedział sobie, że w tej chwili wystarczy mu to, że siedzą razem na kanapie, a jego podbródek opiera się na czubku jej głowy. Z każdym oddechem nie wchłaniał już zapachu szamponu Laurel, ale ją samą.

- Powiedz mi, co czujesz. Mów do mnie.

Laurel zaczęła wszystko opowiadać - mówiła o tym, co wydarzyło się wcześniej, o ryzyku, o przyczynach, dla których bała się komukolwiek o tym powiedzieć. Wprawdzie rozmawiała o tym z Cale'em, ale to było coś innego niż mówienie na ten temat teraz, po przyjacielsku. Laurel nie wspomniała na głos tylko o tym, czego oboje bali się najbardziej: o możliwości śmierci.

Kto kocha jak przyziemny sknera,

Ciałem, nie duszą - temu biada:

Rozłąka wszystko mu odbiera,

Co się na miłość jego składa.

Te słowa pasowały do ich sytuacji i przenosiły ludzki ból w wieczność. Jud znał je na pamięć. Poezja opiewająca miłość i stratę zawsze przypominała mu, że inni mężczyźni czuli to samo, co on.

Gdy Laurel zamikła, powiedział:

- Już nigdy więcej nie róbmy sobie czegoś takiego, kochanie.

Możesz na mnie polegać.

- Dobrze. Tylko mnie trzymaj, Jud. Chcę czuć, że żyję.

RS

34

Praca w zawodzie lekarza w przypadku Cale'a przestała już przypominać zgadywanie - częściej zdawał się na instynkt. Jego fartuch lekarski nie sprawiał już wrażenia stroju roboczego. Dwukrotnie dopiero w swoim garażu stwierdził, że na szyi wciąż ma stetoskop. W wieczór poprzedzający dzień operacji Laurel Cale wyszedł ze szpitalnej windy i minął Elizabeth Madison. Była jego koleżanką i specjalistką od anestezjologii, z którą blisko współpracował od niemal ośmiu lat.

- Właśnie wyszłam od twojej pacjentki. Twoja kolej, generale.

Gdy przechodziła obok, wykonała lekceważący salut.

- Chciałbym, żeby jutro była pani punktualnie, pani doktor - powiedział, naśladowując nieustępliwy głos i słowa, które każdy chirurg słyszał w trakcie swojej edukacji. - I proszę uklęknąć, jak będę wchodził na salę operacyjną.

- Słucham? - Odwróciła się i zaczęła iść tyłem. - W tym tygodniu nie będę musiała składać pocałunku na pierścieniu?

- Nie, ale możesz pocałować mnie w tyłek.

- Wszyscy to robią, doktorze Boski.

- Wszyscy poza tobą.

- Ktoś musi dbać o twoją skromność. - Roześmiała się i zatrzymała obok windy. - Do zobaczenia jutro, Cale.

Drzwi windy zamknęły się, a Cale poszedł korytarzem swoją stałą trasą, wytyczoną jeszcze wtedy, gdy był dyżurnym chirurgiem. W czasie obchodu odwiedzał pacjentów w wieczór poprzedzający zabieg, odpowiadał na pytania, a także starał się złagodzić strach zarówno ten

bezpodstawny, jak i całkiem zasadny. Uznał, że Laurel ma powody do obaw, a do tego były z nią jej córka i matka. Porozmawiał z nimi, szczerze odpowiadał na pytania i usilnie starał się nie stosować uników, dobrze wiedząc, że ogólniki martwią pacjentkę bardziej niż prawda. Jednak wciąż prześladowało go milczące przerażenie, które zobaczył niedawno w oczach brata. Ten widok męczył go nawet w poranek poprzedzający operację.

O piątej rano Cale otworzył drzwi, by wziąć z progu gazetę. Zamiast czasopisma zobaczył Juda siedzącego na ziemi, opartego o donicę z hibiskusem. Starszy z braci, ubrany w to samo, co dzień wcześniej, siedział z kolanami pod brodą i z twarzą pozbawioną kolorów z powodu zmartwienia.

Widok brata tak zaskoczył Cale'a, że aż zaniemówił. Jud podał mu gazetę i spytał:

- Masz może kawę?

- Jasne, ale nie przyniosę ci jej. Będziesz musiał ruszyć swój tyłek.

Cale wszedł do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Jadł właśnie tosta i czytał nagłówki prasowe, gdy zdał sobie sprawę, że Jud stoi na środku kuchni niczym człowiek cierpiący na amnezję.

- Wiesz, gdzie są kubki - powiedział do brata. - Nalej sobie kawy i usiądź, bo upadniesz.

Cale wciąż był wściekły z powodu tego, co zaszło w niedzielę, choć właściwie obwiniął Juda o błędy popełnione przez samego siebie. Teraz miał przed sobą trudne pytanie - dlaczego wcześniej nie dostrzegał prawdy o ich wzajemnych relacjach? Zawsze czuł się spychany na drugi plan przez starszego brata, ale w młodości to sam Cale starał się nadażyć za Judem.

Po ślubie Cale nie chciał ani nie próbował stać się podobny do brata. Teraz jednak Robyn odeszła, a on wrócił do życia w cieniu Juda. Nic dziwnego, że nawet na sali operacyjnej dopadały go wątpliwości, zgubił gdzieś własne „ja”. Kim tak naprawdę był Cale Banning? Chirurgiem, ojcem, bratem? Mężem opuszczonym przez Robyn? Nie zastanawiał się nad tymi sprawami, dopóki nie zdał sobie sprawy, że Laurel i Jud z ich poplątaną przeszłością w jakiś sposób złożyli w jego ręce terażniejszość i może dadzą mu też szansę na przyszłość.

Po kilku minutach Jud usiadł naprzeciwko Cale'a, przyglądając się bratu z takim zakłopotaniem, z jakim kot patrzy zazwyczaj na psa sąsiadów.

- Jak twoja szczeka?
- Boli, palancie.
- Przepraszam za tamten poranek.
- Zapomnij o tym.
- Nie, naprawdę mi przykro, Cale. Postąpiłem fatalnie.

Cale odłożył gazetę.

- Jeśli coś dotyczyło Laurel, zawsze zachowywałeś się w taki sposób.

Jud ukrył twarz w dłoniach i bardzo długo się nie odzywał. Potem z napięciem na twarzy wyrzucił z siebie:

- Kocham ją.
- Wiem, że to prawda, debilu. To cię wykańcza. Ta świadomość sprawia ci ból od trzydziestu lat. Niegdyś mi to odpowiadało, bo chciałem widzieć, jak cierpisz.

Dopiero gdy Laurel wróciła do ich życia, Cale zdał sobie sprawę z pustki w życiu brata oraz z konsekwencji dla siebie samego po tym, jak ją utracił.

Jud przetarł oczy i ścisnął nasadę nosa.

- Chciałbym poznać prawdę o tej operacji. Jakie są szanse?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Olej tę głównianą etykę zawodową i powiedz mi.

- Tutaj nie chodzi o etykę. Dopóki nie zacznie się operacja, sam nie znam odpowiedzi na to pytanie. Zabiegi tego typu bywają skomplikowane. Niecały miesiąc temu straciłem kogoś na stole operacyjnym. To przypomina trochę działanie po omacku.

Jud zaklął, najwyraźniej bardzo cierpiąc.

- Musisz ją uratować - powiedział.

Potem Jud zrobił coś, co Cale widział na własne oczy zaledwie trzy razy. Starszy z braci załamał się i zaczął płakać. Było to głośne, zachrypnięte szlochanie podobne do tego, które Cale słyszał, kiedy zmarli ich rodzice, kiedy rak zżarł Robyn, no i teraz, kiedy kobieta, którą Jud kochał, była bliska śmierci.

W jednej chwili Cale zrozumiał, czym obdarzyła braci Laurel, wracając do ich życia w czasie, gdy obaj czegoś potrzebowali. Wydała mu się tak samo atrakcyjna jak dawniej, w tamte letnie dni. Był nawet jeden czy dwa momenty - na przyjęciu Victora i w jej kuchni, nim pojawił się tam Jud - gdy pomyślał, że mógłby znów się w niej zakochać. Jednak starszy z braci przeżywał od ponad trzydziestu lat istne piekło. Jud potrafił kochać tylko Laurel - i to było coś, co ich od siebie różniło.

Cale pozwolił bratu się wypłakać. Mężczyźni płaczą, ale nie chcą, by ktoś to widział. Gospodarz więc zaczekał, aż Jud odzyska panowanie nad sobą. Dopiero wtedy powiedział:

- Idź wziąć prysznic, a potem włóż coś z moich rzeczy. Przygotuję ci śniadanie. Później razem pojedziemy do szpitala.

Dwie pielęgniarki i ktoś z obsługi wytoczyli łóżko Laurel oraz stojak z kroplówkami z jej sali i skierowali się do windy. Pacjentka leżała, spoglądając na zaniepokojone twarze córki, matki i Juda, idących obok niej. Pielęgniarki były cudowne -snuły niezobowiązujące rozmowy, stroiły sobie głupie żarty i starały się złagodzić napięcie, które odczuwali. Na piątym piętrze wszyscy zatrzymali się w pobliżu poczekalni przed salą operacyjną. Nadszedł czas, by wypowiedzieć słowa, które powinny paść w takiej sytuacji.

Jud nachylił się i pocałował ją. Dzień wcześniej poprosiła go o zaopiekowanie się jej matką i córką, gdyby operacja się nie udała. Wierzyła, że w razie potrzeby faktycznie to zrobi. Nie było już nic więcej do powiedzenia.

- Zawsze cię kochałem, Nimfetko - szepnął jej do ucha, zanim odsunął się od łóżka.

Twarz Kathryn przypominała maskę stoika, kruchą jak gliniane wyroby, które starsza pani tworzyła. Położyła rękę na czole Laurel, osłoniętym przez chirurgiczny czepek.

- Nic mi nie będzie, mammo.

- Wiem.

Nawet teraz nie były ze sobą szczere. Kathryn wyglądała staro, wąskie usta miała blade, a jej oczy przeskakiwały nerwowo z jednego obiektu na drugi.

Annalisa tak mocno chwyciła rękę Laurel, że ta aż poczuła ból w opuszkach palców.

- Mamo, posłuchaj... Jeśli cokolwiek ci się przydarzy, będzie mi ciebie brakowało tak, jakbym straciła rękę, nogi albo serce.

Te proste i szczere słowa zostały wypowiedziane bardzo szybko, jakby to był jedyny moment, w którym mogły paść.

Laurel nie była przygotowana na tak emocjonalną wypowiedź własnego dziecka, wyciągnęła tylko rękę i położyła ją na gorącym, zarumienionym policzku Annalisy. Dobrze wiedziała, że ta piękna, młoda kobieta jest głównym powodem jej istnienia, a zarazem najważniejszą osobą, którą zostawiłaby na tym świecie, gdyby umarła.

Dziecko... dzieci nadają życiu najgłębsze znaczenie. Być może dotychczas nie zastanawiała się nad tym z powodu swojej przeszłości. Czyżby unikała myślenia o sprawach związanych z macierzyństwem, przecież dobrze wiedząc, że żadna matka nie oddaje swojego dziecka? Laurel zaczęła płakać, choć była to głupota, bo już dawno podjęła decyzję w tej sprawie. Na szczęście nikt nie znał prawdziwej przyczyny jej łez.

- Mamo... - Annalisa dotknęła jej ręki.

- Do zobaczenia za jakiś czas - pożegnała się pewnie Laurel, musiała jednak zamknąć oczy na widok wzruszenia na twarzy córki. Gdy uniosła powieki, spojrzała ponad ramieniem Annalisy na Kathryn,

- Mój Boże, mamo... byłam wobec ciebie taka surowa. - Po tych słowach wyciągnęła rękę w jej stronę.

- Laurel - odpowiedziała Kathryn, która wśród szlochów wyrzucała z siebie „przepraszam” oraz „to moja wina”, aż wreszcie Annalisa odsunęła ją i zaczęła uspokajać starszą panią.

Kiedy Laurel po raz ostatni spojrzała na bliskich, Jud obejmował obie kobiety. Chwilę potem została oślepiąca przez jaskrawe, fluorescencyjne światło z sufitu korytarza prowadzącego na salę operacyjną. Mignął jej jeszcze przed oczami czerwono-biały napis „Wyjście”, a także gaśnica zamontowana na ścianie. To były jedynie krótkie migawki, jakby obserwacje świata z okna pociągu jadącego w miejsce, którego człowiek nie zna, ale i tak nie ma ochoty nigdy więcej go oglądać. Na sali operacyjnej uderzyła ją absurdalna myśl, że to pomieszczenie wygląda niczym profesjonalna kuchnia. Były tu wiszące lampy, łatwe do dezynfekcji stalowe powierzchnie robocze. Obrazu dopełniały białe ściany i armatura, różne urządzenia, stoliki na kółkach oraz paskudna podłoga.

- Musimy przenieść panią na stół operacyjny.

Pielegniarki pomogły jej i chwilę później leżała już tam, oddychając głęboko i starając się zachowywać spokojnie, a przy tym odważnie. Gdzieś z oddali dochodziły przytłumione dźwięki typowe dla lat sześćdziesiątych.

- Słyszę głos Janis Joplin... - powiedziała Laurel. Ktoś się roześmiał.

- Taak, on powrócił. Nie zrozumiała tej odpowiedzi, ale zanim spytała, co miało znaczyć to stwierdzenie, obok pojawił się Cale w zielonym fartuchu. Spoglądał na nią człowiek, którego we własnym przekonaniu niegdyś kochała.

- Jak się masz?

- Bywało lepiej. Ścisnął jej ramię, zachowując się całkowicie swobodnie. To był właśnie Cale, któremu nigdy nie udzielała się nerwowość. Nic dziwnego, że stał się tak dobry w swoim zawodzie. Pewnie nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby zawieść.

- Kiedy skończymy, poczujesz się lepiej - zapewnił ją. -Zrobimy wszystko tak, żebyś nie musiała już więcej przez to przechodzić.

Puścił do niej perskie oko, tryskając pewnością siebie, a ona zapomniała o wszystkich zmartwieniach. Nawet gdyby nie przemawiał z takim przekonaniem, i tak musiała w niego wierzyć.

Długie godziny czekania wystawiły na próbę nawet cierpliwość Juda, który irytował się i niepokoił. Opuścił Kathryn, Annalisę i Matthew tylko po to, by przynieść kawę. W końcu ogarnęły go mdłości, kiedy córka Laurel zaczęła zabijać czas za pomocą jedzenia. Matthew przyniósł jej chipsy, colę, cukierki i precle. Żuła gumę i popijała słabą czekoladę z automatu. W południe zjadła indyka, rozpaćkane grzyby, sos mięsny i nieśmiertelny stołówkowy groszek.

Kathryn prawie nie ruszała się z miejsca. Siedziała w niewielkiej poczekalni otoczona przez Banningów, niczym w najgorszych koszmarach sennych. Jud był w tym samym pomieszczeniu co ona, pojawił się także z powrotem w życiu jej córki, która znalazła się z kolei w rękach Cale'a. Na dodatek koło dziewiątej przyłączył się do nich Matthew i nie odstępował Annalisy. Kathryn już nie płakała, czytała czasopismo za czasopismem. Niewiele mówiła, przypominała własny cień. W którymś momencie Jud wręczył jej butelkę zimnej wody.

- Wygląda pani tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

Jej nieobecne spojrzenie powiedziało mu, że nic nie rozumiała. Dopiero potem dotarły do niej wspomnienia, wtedy kiwnęła głową i wzięła wodę.

- Dzięki.

- Wszystko w porządku?

- Nie wiem.

Wydawało się, że Kathryn ma kłopot ze znalezieniem właściwych słów.

Jud założył, że matka Laurel jest silniejsza od niego, dopóki nie przyjrzał się temu, co wertowała. Było to czasopismo wędkarskie. Tylko ślepiec mógłby przeoczyć znaczenie tego, co wydarzyło się pomiędzy nią a Laurel tuż przed operacją. Jud stwierdził, że powiązania między kobietami są tak złożone, że być może nigdy ich nie zrozumie.

- Musiały się wydarzyć wszystkie te okropne rzeczy, by w końcu wróciła z Francji do domu - powiedziała wreszcie Kathryn. — Usiądź, proszę. Nie powinnam była obwiniać ciebie i twojego brata. To ja byłam jedynym powodem, dla którego Laurel musiała wyjechać. Zawsze będę tego żałować. - Upiła łyk wody. - Nieustająco.

Po drugiej stronie pokoju siedzieli razem Annalisa i Matt. Chłopak otoczył ją ramieniem i słuchał wtedy, gdy musiała się wygadać, i milczał, gdy nie chciała mówić. Biedaczysko, jeśli chodzi o tę dziewczynę, wpadł po uszy. Jud zobaczył w swoim bratanku odbicie samego siebie sprzed wielu, wielu lat.

- Mają przed sobą całe życie. - Kathryn potrząsnęła głową - Boże, mam nadzieję, że będą dokonywać jedynie słusznych wyborów.

Jud nie powiedział na głos tego, co przyszło mu na myśl - że złe wybory wydają się błędne tylko wtedy, gdy człowiek ogląda się za siebie.

Później dołączył do nich Beric King, który zachowywał się, jakby był w telewizji. Jego długie, kasztanowe włosy związane w koński ogon opadały na kaszmirową marynarkę pasującą do szytych na miarę spodni. Do tego nosił włoski pasek i buty, a w wyciągniętej przed siebie ręce trzymał kosz kanapek sygnowany swoim znakiem firmowym - zupełnie jakby właśnie miał zamiar nakarmić pięć tysięcy głodnych ludzi. Trudno było nie zwrócić uwagi na jego zachowanie. To postępowanie człowieka, który potrafił wywalczyć sobie miejsce w pomieszczeniu pełnym obcych mu ludzi, a także chętnie akcentował swoją pozycję wśród tych, którzy już go znali.

- Witaj, Jud.

Beric przyciągnął uwagę pielęgniarek w wystarczającym stopniu, po czym wygodnie się rozsiadł. Patrzył, jak Annalisa je swoją kanapkę, a potem bułkę Juda. Później porozmawiał chwilę z Kathryn, a kiedy pełna napięcia cisza trwała zbyt długo, wymówił imię córki.

- Chciałem porozmawiać z tobą na temat szerokości stalowych lad.

- Słucham? - Annalisa wyglądała tak, jakby miała zamiar się na niego rzucić.

- Chodzi o lady.

- Myślałam, że dogadaliście się z mamą.

- Nie wypracowaliśmy żadnego kompromisu.

- Tato - wyrzuciła z siebie Annalisa — mama leży tam gdzieś bliska śmierci.

- Dobrze... Widzę, że jesteś zbyt przygnębiona, by uporać się z pracą. Zaczekam.

Cisza w pokoju mówiła wszystko o Bericu i jego córce. Być może pośrednio świadczyła również o więziach pomiędzy słynnym kucharzem a kobietami jego życia.

- Chodź ze mną, rudowłosa. - Matt pociągnął ją za sobą. - Poszukamy ci czegoś do jedzenia. Za chwilę wracamy - rzucił przez ramię.

Beric podniósł jakieś czasopismo i przestał się odzywać. Chociaż Jud nawet w najmniejszym stopniu nie miał do niego pretensji o to, że poślubił Laurel, szczerze współczuł temu człowiekowi z powodu poniesionej przez niego porażki. Zastanawiał się, czy cała brawura Berica Kinga nie była jedynie zasłoną dymną, mającą ukryć nagą prawdę, że Laurel już go nie kocha, a on nie sprawuje kontroli nad kobietami swojego życia.

Czas pełznął w żółwym tempie. Czytanie nie zajmowało całej uwagi Juda. Zanim przyszedł tu rano, zabrał książkę z tylnego siedzenia samochodu. Faktycznie była mała i mieściła się w kieszeni, ale pomysł odwracania uwagi za pomocą poezji metafizycznej stanowił świadectwo otepienia jego umysłu. Nie znajdował żadnego pocieszenia w pełnych żałoby słowach napisanych przez innych ludzi w innych czasach. Nie potrafił czuwać i równocześnie czytać o miłości i śmierci - zagłębiać się w sonety do zmarłych kobiet, które mężczyźni wynosili na ołtarze poezji, wykorzystując w tym celu słowa płynące prosto z serca, a także westchnienia oraz potoki łez. Jud nie potrafił myśleć w taki sposób o swojej miłości do Laurel.

Im dłużej tam siedział, tym lepiej dostrzegał głupie szczegóły tego pokoju, którego nie chciał już nigdy więcej widzieć na oczy. Zegar ścienny

z czarną obwódką musiał być zepsuty lub pochodzić z którejś z książek autora *Alicji w Krainie Czarów*. Wydawało się, że w tym mechanizmie porusza się jedynie wskazówka sekundowa. Ściany wymagały malowania, i to na pewno czymś innym niż bladozieloną farbą, a linoleum miało kolor wilgotnego cementu.

Od Cale'a nie było żadnych wiadomości, co niepokoiło Juda, który na terytorium brata nie czuł się zbyt pewnie. Zabijał więc czas, jak mógł, ale jego myśli pędziły niczym kolejka górską, wzbijając się na szczyty zdenerwowania. Zawierał też pakt z Bogiem, obiecując Mu w przyszłości zmianę swojego postępowania.

W czasie wielogodzinnego czekania myślał też o takich sprawach jak niedzielny incydent w kuchni Laurel. Stanowił on doskonały przykład tego, co powstrzymywało braci od takiego zbliżenia się, jakie sugerowałyby im pokrewieństwo. W tej chwili dostrzegł koleje ich losów, chwilami niezwykle podobne. Ostatnim razem, kiedy tak czekał, przebywał z całą rodziną w hospicjum, gdzie cichy i podstępny rak kradł im słodką Robyn. Niemożliwy do zniesienia ból straty, wypełniający godziny spędzone przy jej łóżku, zniszczył Cale'a, a Jud nie był pewien, czy jego brat od tego czasu podniósł się.

Teraz starszy z braci czuwał przy kobiecie, którą bez wątpienia darzył miłością, ale Laurel dostała szansę, jakiej Robyn nigdy nie miała. Jud właśnie po raz kolejny bezmyślnie omiatał wzrokiem pomieszczenie, gdy w drzwiach pojawił się Cale w fartuchu lekarskim. Triumfalny uśmiech na jego twarzy powiedział Judowi wszystko. Jak kibic sportowy podskoczył z pięścią uniesioną do góry, czym wystraszył Kathryn, wywołując bladość na jej twarzy. Starsza pani, która zachowywała stoicki

spokój przez długie godziny, wyglądała teraz tak, jakby zaraz miała wpaść pod podłogę.

- Przepraszam, Kathryn. Już wszystko w porządku - usłyszała od Cale'a.

Nagle oparła się o niego, bo poczuła się zbyt słaba, by ustać na nogach, w końcu załamała się, zacisnęła dłonie na jego ubraniu i zaczęła płakać, mówiąc coś niezrozumiałego.

- Babciu... - Annalisa wzięła Kathryn za rękę i pomogła jej usiąść.

- Wszystko w porządku. Operacja przebiegła pomyślnie -zapewnił Cale, patrząc na wszystkich po kolei. - To twarda sztuka. - Wciąż szeroko się uśmiechał. - Niedługo będziecie mogli tam wejść.

W tej chwili Jud pomyślał, że jego brat w końcu wygląda na odrobinę wyższego, tak jakby wreszcie trochę się wyprostował.

Gigantyczny słoń siedział na jej klatce piersiowej, jakby się przyssał swoją trąbą. Laurel nie była w stanie przełknąć śliny. Nie mogła otworzyć oczu. Wokół siebie słyszała jakieś obce głosy. Jedyne dźwiękami, jakie potrafiła wydać, był niski bulgot dochodzący gdzieś z głębi gardła, a także chrapliwy oddech. Pod ręką wyczuła flanelowe prześcieradło, zaczepiła je paznokciem, po czym zdołała otworzyć oczy. Skraj jej pola widzenia był niewyraźny, tak jakby przesłaniała go mgła znad plaży. Powoli świat przestawał być mlecznoszary i zaczął nabierać kolorów. Sklepienie nad głową okazało się zielonym sufitem szpitalnej sali. Z jej ust wychodziły jakieś rurki, a ona sama zaczęła wszystko sobie przypominać. Nagle tuż obok rozległo się jakieś pikanie, które stopniowo przyspieszało. To był odgłos życia.

Usłyszała kroki.

- Witaj, Laurel.

W jej polu widzenia pojawiła się twarz pielęgniarki, która dotknęła ręki pacjentki.

Laurel poczuła, jak po jej twarzy i włosach spływają łzy.

- Wszystko w porządku. Operacja zakończyła się pomyślnie. Doktor Banning zaraz tu przyjdzie.

Laurel mocniej ścisnęła dłoń pielęgniarki.

- Zostanę tutaj. Nigdzie nie wychodzę.

Wkrótce nadszedł Cale. Opowiedział jej, co znaleźli i naprawili, a na końcu stwierdził, że wszystko będzie dobrze.

- Jud udusiłby mnie gołymi rękami, gdybym cię z tego nie wyciągnął. Chyba sam nie miał pojęcia, że tak naprawdę to ty przez cały czas stanowiłaś jego siłę napędową. Ty również nie jesteś tego świadoma, prawda? On cię kocha, Laurel. Przez te wszystkie lata Judowi brakowało jakiejś części samego siebie. Nie zdawałem sobie sprawy, co to dokładnie jest, dopóki nie pojawiłaś się z powrotem w naszym życiu. - Cale wydał kilka poleceń pielęgniarce, a potem odwrócił się do pacjentki. -

Wpuszczę tu twoją rodzinę i mojego brata, po dwie osoby. Potem musisz się przespać. Zajrzę do ciebie później.

Matka i córka Laurel płakały, trzymając pacjentkę za rękę tak, jak zasugerowała im pielęgniarka. W ten sposób mogła ścisnąć ich dłonie w odpowiedzi, gdy obydwie mówiły o rzeczach, które zrobią w najbliższej przyszłości. Wreszcie wyczerpał im się zapas obietnic i obie musiały się pożegnać. Wyglądały bardzo podobnie i być może niewiele je od siebie różniło, pomijając kwestię wieku. Kiedy wyszły razem, Laurel poczuła, że ogarnia ją tajemnicze i rzadko spotykane wrażenie spokoju.

Otoczające ją monitory pokazywały sygnały i odczyty, które nic jej nie mówiły. Laurel zamknęła oczy i poczuła się jak robot, jakby bliżej jej było do komputera niż do istoty ludzkiej - nawet w oddychaniu pomagała jej jakaś aparatura. Chłód tego otoczenia wcale jej nie odpowiadał. Jednak według słów Cale'a żyła i miała się nieźle.

Kiedy Laurel otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że jest coś pociesznego i surrealistycznego w widoku ukochanego mężczyzny, który wchodzi do pomieszczenia w towarzystwie jej byłego męża. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, została podyktowana przez próżność: musiała wyglądać koszmarnie, z tymi rurkami podłączonymi do rąk i ciała. Włosy miała w nieładzie. Wszędzie w koło stała aparatura, monitory, słychać było pikanie i brzęczenie, a pielęgniarki sprawnie poruszały się po sali.

Beric ujął jej dłoń pierwszy i zaczął opowiadać, ile błędów popełnił w ich małżeństwie. Słuchanie tej historii opowiedanej na głos przypominało wykład dotyczący głupoty. Jud uśmiechnął się do niej kilka razy, po czym przystąpił do działania.

- Beric, ona nie może odpowiedzieć. Dlaczego nie zaczekasz i nie porozmawiacie o tym później?

Beric spojrzał na nią i roześmiał się.

- Wiem, co by mi powiedziała. Że uwielbiam widownię, która nie może przede mną uciec. Widzisz? Ścisnęła moją dłoń.

Laurel dotarła do takiego punktu w swoim życiu, że nie żałowała już małżeństwa, co najwyżej szkoda jej było straconego czasu. Jej były mąż wyszedł wreszcie, a jego miejsce zajął Jud. Chociaż nie - to nie była

prawda. Laurel zrozumiała teraz wszystko z całkowitą jasnością. To Beric od wielu lat zajmował miejsce Juda.

Zamknięcie oczu było dobrym pomysłem. Kiedy Jud był u jej boku, nie musiała pozostawać świadoma i dodawać mu otuchy. On wszystko wiedział. Ucisk w jej klatce piersiowej i głowie stał się trudniejszy do zniesienia. Ciałem Laurel zaczęły wstrząsać dreszcze, po chwili usłyszała, jak Jud prosi pielęgniarkę, by przyniosła ciepły koc. Kobieta zajęła się kroplówką, powiedziała, że dodała do niej leki przeciwbólowe, i zasugerowała, by pacjentka spróbowała zasnąć.

- Jestem tutaj, Nimfetko.

Jego głos przypominał burbona. To idiotyczna myśl, najpewniej efekt działania leków. Laurel była jednak pewna, że czuje jeszcze, jak on przyciska usta do jej dłoni i całuje ją. Dopiero później lekarstwa wysiały ją daleko od szpitalnego łóżka, w pełen dziwnych marzeń świat, w którym słyszała, jak Jud Banning czyta poezję miłosną.

35

Wraz z upływem lat samochody Victora zmieniały się, nawet jeśli wciąż były lśniące i czarne. Żadnym przekształceniom nie uległ natomiast budynek kupiony w 1960 roku. Otaczająca go dzielnica przemysłowa nie zmieniła się w zbyt wielkim stopniu. Stara, wąska, wykonana z betonu autostrada stanowa przecinała ten teren przez sam środek, a wokół arterii komunikacyjnej stały fabryki produkujące lakiery, przedsiębiorstwa przetwórcze, firmy wytwarzające opakowania oraz widoczna w oddali rafineria, wyrzucająca w powietrze parę i dym. Tutaj nie wdrażano żadnych projektów rekultywacyjnych, a czas niemal zatrzymał się w miejscu, pokazując czarną stronę kalifornijskiego przemysłu z czasów poprzedzających procesy dotyczące skażenia środowiska i uruchomienia odpowiednich agencji. To było miejsce, w którym nikt nie miał ochoty nabierać głębiej powietrza w płuca.

Victor wysiadł z samochodu, poruszając się wolniej, niżby sobie tego życzył. Ostatnimi czasy jego ciało reagowało na wszystko z większym opóźnieniem. Harlan zamknął drzwi i oparł się o przedni błotnik - czynił to od tak wielu lat, że nie sposób ich zliczyć. W pobliżu drzwi wejściowych spał wyleniały, rudy kot, wyglądający teraz na chudsze niż kiedykolwiek wcześniej.

- Jak długo ten dachowiec kręci się po tej okolicy? - spytał Victor starego przyjaciela.

Wyrazista twarz byłego boksera pomarszczyła się niczym suszona śliwka, a sam Harlan wydawał się teraz niższy niż dawniej. Jego głowa ledwie wystawała ponad dach lincolna town cara.

- Ten stary kocur? Zbyt długo... Zupełnie jak my.

Czas i życie po prostu rozplýwały się w powietrzu podobnie jak wszystkie wyziewy pochodzące z okolicznych fabryk. Kiedy Victor rozglądał się dookoła, obok zatrzymała się ciężarówka należąca do firmy przewozowej. Starszy pan skierował przybyłych mężczyzn do windy towarowej. Na najwyższym piętrze otworzył drzwi i włączył światło palcami, które powyginały się niczym przecinki. Okna były przysłonięte metalowymi roletami, by nie wpuszczać do środka niszczących promieni słonecznych, a to całe miejsce było utrzymywane w idealnej czystości przez ludzi, którzy nigdy nie rozumieli, co tak naprawdę się tu znajdowało.

Olbrzymie obrazy ze smugami krzykliwych kolorów wisiały na ścianach niemalże od sufitu do podłogi, oświetlane przez lampy stosowane w muzeach. Harlan spytał kiedyś Victora, czy zamierza trzymać te dzieła pod kluczem i jaka jest tego przyczyna. Nawet teraz starszemu panu nie przychodziła do głowy żadna rozsądna odpowiedź. Wspomnienie Rachel było obecne w jego życiu od wielu lat. Wychował jej synów - to pokuta za zdradzenie i pozbawienie życia własnego potomka. Starał się nie przyznawać, że wiele lat temu z łatwością mógł okłamać Rudy'ego, a tym samym zmienić bieg wydarzeń. Kiedy zaczął kupować obrazy, takie postępowanie wynikało z wewnętrznej potrzeby, a nie jakiegoś konkretnego planu.

Victor usłyszał zgrzytnięcie drzwi windy i po chwili dwóch mężczyzn wniosło skrzynię z dużym obrazem.

- Gdzie mamy to postawić? - spytał jeden z nich.

- Tutaj, pod ścianą.

Powyżej tego miejsca już zostały zainstalowane haki do powieszenia obrazu. Pracownicy firmy przewozowej rozmontowali skrzynię. Do opakowanego obrazu była przyklejona znajoma koperta, na której wypisano nazwisko Victora. Starszy pan dał mężczyznom z firmy transportowej napiwek i powiedział:

- Możecie już iść. Sam to rozpakuję.

Victor znalazł w kopercie złożony liścik oraz swój czek na dwa miliony dolarów - chociaż wcale niepodarty. Zastanawiając się, czy taki właśnie los spotkał płótno, odwinął warstwę zabezpieczającą. Obraz o wymiarach półtora na dwa i pół metra nie był uszkodzony. Stanowił burzę żywych kolorów - pomarańczowe, niebieskie, czerwone i czarne linie przedstawiały jaskrawe emocje przelane na płótno przez kobietę, którą kochał tak mocno, że zdradził dla niej własnego syna.

Rachel była jego życiem i powietrzem, którym oddychał. Kochał ją ponad wszystko i nic innego się nie liczyło. To uczucie bez żadnej moralności nie zmieniło się nawet po jej śmierci. Czy teraz postąpiłby inaczej? Przypuszczalnie nie. Victor uważał, że żal zniknął z jego serca w dniu, w którym wybuchnął niekontrolowanym płaczem, rozpaczając po śmierci swojej bezdusznej matki. Kiedy rzucił okiem na tytuł obrazu, nie przywiązywał do niego większej wagi. To zmieniło się w chwili, kiedy otworzył liścik Kathryn.

Ludzie twierdzą, że obsesja dotyczy rzeczy, których nie potrafimy zapomnieć.

To jednak nieprawda. To uczucie obejmuje sprawy, których nie umiemy wybaczyć.

K. Peyton

Victor podarł liścik i czek. Następnie poszedł do innego pomieszczenia, ulokowanego na tyłach budynku. Pod ścianami stały tam gliniane wyroby oraz rzeźby gromadzone przez wiele lat. Były to zarówno najwcześniejsze dzieła Kay Peyton, które kupił bardzo dawno temu, nie podając swojego nazwiska, jak i kilka jej wyrobów nabytych po wystawach. Takie okazje zdarzały się teraz rzadko, ponieważ artystka wysoko ceniła swoje nazwisko i talent.

Victor wyłączył światło, ustawił krzesło przed najnowszym obrazem opartym o ścianę i usiadł. Po chwili poczuł, że powietrze wokół zaczęło robić się coraz rzadsze. Oddychanie przychodziło mu z trudem, przestał więc walczyć.

Na pogrzebie Victora pojawili się dawni i obecni gubernatorzy, senatorowie i kongresmeni - niektórzy wygłaszali mowy pochwalne. Elokwentni i przesiąknięci polityką mówcy opowiadali o surowym ładzie oraz pokrytych dzikimi kwiatami wzgórzach nad Pacyfikiem. Przywoływali historie opisujące wybrzeże po wojnie oraz rozrastające się przedmieścia tak rozległe, że do życia niezbędne stały się samochody, ropa i gaz. Mówili także o przemyśle, który zmienił krajobraz tego stanu. Oddając hołd zmarłemu, okrzyknęli go jednym z ostatnich wizjonerów, którzy tworzyli historię Kalifornii. Wspominali go w superlatywach pasujących bardziej do bogów. Victor byłby tym zachwycony, gdyby nie fakt, że nienawidził pochlebstw.

Cała ceremonia w większym stopniu obracała się wokół władzy i pieniędzy niż kwestii religijnych. Dokładnie czegoś takiego chciałby starszy pan - była więc muzyka, zatłoczony kościół i rodzina siedząca posłusznie w pierwszym rzędzie. Jud słuchał, jak ci ludzie wychwalają

Victora Banninga z okładek gazet. On i Cale znali dziadka jako człowieka, który stworzył im dom i dziwną rodzinę. Brakowało w niej estrogeneru, wstrząsały nią konflikty i problemy, ale łączyła ich jakaś duchowa i genetyczna więź. Nikt nie wiedział, dlaczego Victor był takim człowiekiem, jakim był, a już na pewno nie mieli o tym pojęcia ludzie przemawiający z taką pewnością, jakby go znali. Nie wiedzieli tego nawet Jud ani Cale. Większość swojej historii dziadek zabrał ze sobą do grobu.

Po śmierci Victora najbardziej rozpaczał Dane. Uwielbiał starszego pana w sposób, który zdumiewał wszystkich wokół. Tajemnicze podobieństwa wiążące się z pokrewieństwem potrafiły pomijać niektóre pokolenia. Widząc, jak Dane walczy ze swoim żalem, Jud cofnął się w czasie do pustej sali szpitalnej, gdzie patrzył, jak bezradnie rozpacza Cale. Teraz obaj stali spokojni i opanowani. Byli mężczyznami niepokazującymi swoich uczuć publicznie.

Przy dźwiękach trąbki ruszyli przez kościół wypełniony cierpkim aromatem kalifornijskich dzikich kwiatów. Mężczyźni z rodu Banningów, Harlan oraz wieloletni prawnik Victora nieśli trumnę, kierując się ku wyjściu. Jud mijał różne twarze -część ich wydawała mu się znajoma, aż wreszcie wyraźnie dostrzegł Kathryn Peyton siedzącą na końcu kościoła.

Na teren wokół grobu dopuszczono jedynie rodzinę oraz Harlana, który zdecydował się pożegnać i odszedł wraz z duchownym. Jud, Cale, Matthew i Dane, ubrani w ciemne garnitury, z kwiatami w butonierkach, stali milcząco obok siebie, wpatrując się z zakłopotaniem w trumnę ułożoną w otwartym grobie. Ozdobna łopata z mosiężną rączką została wetknięta w kopczyk świeżej, brązowej ziemi.

- Czy nie powinniśmy zasypać trumny ziemią? - spytał wreszcie Matthew.

- Najpierw kwiaty.

Jud odpiął swój od garnituru i rzucił go do grobu.

- Na trumnę, Jud...

Kwiat wylądował pod postumentem.

- Za późno. Rzućcie wasze.

- Victor nie był człowiekiem przywiązującym wagę do kwiatów. Matt wziął do ręki łopatę.

- Sądzę, że powinniśmy zająć się tą ziemią. W końcu to ona dała mu wszystkie pieniądze.

- Trafne stwierdzenie.

Jud roześmiał się i zauważył, że Cale potrząsa głową, ale również się uśmiecha. Śmiech wśród tego dziwnie poważnego i niepasującego do rzeczywistości widowiska okazał się czymś, co dało im nagle zadziwiającą swobodę. Victor uwielbiał teatr, najbardziej lubił jednak pełne dramaturgii momenty, które sam tworzył.

Matthew rozsypał ziemię z łopaty na wieku trumny.

- Żegnaj, Victorze. Wybaczam ci to, że na Boże Narodzenie w 88 roku mój mały braciszek dostał motor, o którym to ja marzyłem.

- Uwielbiałem ten motocykl - dokończył Dane, odbierając łopatę od brata. - To była najwspanialsza niespodzianka, jaka kiedykolwiek mnie spotkała. - Wysypał swoją porcję ziemi. -Dzięki, dziadziu.

- Zapomniałem już wydarzenia tamtego wieczoru - odezwał się Jud.

- Ja natomiast nie - rzucił Cale. - Gdy wyszliśmy od Victora, zostawiłem was, dzieciaki, z mamą i ruszyliśmy z Judem, starając się znaleźć taki sam motocykl, żebyś nie był rozczarowany, Matthew.

- Dostałem go dopiero po miesiącu.

Sądząc po tonie Matta, Jud wątpił, czy chłopak wybaczył to starszemu panu.

- Wiem. Musiałem go specjalnie zamówić. Daj tę łopate. Cale wbił łopate w kopczyk i zaraz spora bryła ziemi wylądowała na postumencie z głośnym łomotem.

- Ciekaw jestem, czy on to usłyszał - rzekł Jud, a potem sam wziął łopate.

- Zaczekajcie. - Dane uniósł dłoń. - Niczego nie róbcie.

Ruszył biegiem w stronę limuzyny. Po chwili wrócił z butelką rzadko spotykanej, niezwykle drogiej whisky.

- Dziadek ją uwielbiał - powiedział, po czym zaczął wylewać ją na trumnę.

- Oszalałeś? - Matthew wyrwał butelkę z jego ręki, przyciskając ją w ochronnym geście do piersi. - Nie marnuj jej.

- Daj ją Judowi - nakazał Cale. - On jest tu najstarszy. Zaczynaj, Jud. Powiedz coś, a potem się napij.

Jud rozluźnił krawat i podniósł butelkę z whisky.

- Za Victora, który nauczył mnie wszystkiego o współzawodnictwie - rzucił, po czym pociągnął solidny łyk.

- To nie była łatwa lekcja - zauważył Cale. Wziął butelkę od brata, wyprostował się i powiedział: - Za Victora, który traktował mnie jak bękarta i niezmiennie utwierdzał w przekonaniu, że nie jestem dobry.

- Naprawdę to robił, tato?

Cale opuścił butelkę szkockiej i przełknął.

- Spytaj Juda.

- Był twardym draniem, nawet kiedy byliśmy dziećmi. Gdy po raz pierwszy go spotkałem, przestraszył mnie jak diabli.

Matt z konsternacją wpatrywał się w butelkę.

- Nie wydaje mi się, bym mógł powiedzieć coś wystarczająco okropnego.

- Ja nie zamierzam źle o nim mówić - oznajmił Dane.

- Zawsze byłeś mięczakiem.

- Jasne. To mnie Victor lubił najbardziej. Znałeś tego człowieka przez całe życie i nie potrafisz mówić o niczym innym, tylko o tamtym motocyklu?

Matt zdjął marynarkę i zawiesił ją na rączce łopaty.

- Daj mi butelkę, tato. - Przez długą chwilę wpatrywał się w grób. Wszyscy spoglądali na niego z wyczekiwaniem. - No dobra. Za Victora, który...

- ... był dupkiem - dokończył Cale, siadając na trawie. - A teraz napij się, synu, i podaj butelkę dalej. Mam listę, która wystarczy dla nas wszystkich. To może chwilę potrwać.

Zanim udało im się opróżnić butelkę, był już niemal wieczór, a kierowca limuzyny spał od dobrej godziny. Banningowie rozłożyli się przed grobem w koszulach z krótkimi rękawkami, przyozdobiwszy krawatami postument.

- Za Victora, który uwielbiał moją żonę. - Cale upił łyk, odstawił butelkę i oparł się na łokciach, krzyżując stopy.

- Naprawdę kochał mamę...

- Po tamtej wpadce z motorem ucięła sobie z nim długą rozmowę.

Już nigdy nie wyskoczył z żadnym pomysłem w tym stylu.

Dane usiadł, opierając ramiona na podciągniętych kolanach.

- Czy ktoś zauważył, że mówimy o nim miłe rzeczy?

- Taak. Odnotowałem to jakieś pół godziny temu, kiedy przegrałeś zakład dotyczący rzucania krawatami.

Matt uniósł butelkę i oszacował jej zawartość.

- Wygląda na to, że wystarczy jeszcze na dwie kolejki. To dobrze, bo zaczynam być pijany. Za Victora, mojego pradziadka, który nawet jeśli nie był dobrym dziadkiem, przyjął mnie do firmy w dniu, w którym skończyłem studia. - Pociągnął z butelki. - Zawsze uważałem, że to miłe.

-I słusznie - przyznał Jud. - Victor uważał, że byłeś najlepszym nabytkiem dla BanCo. Kiedyś powiedział: „Ten chłopak ma jaja do biznesu”.

Roześmiali się - starszy pan nie był specjalistą od wygłaszania długich przemów i używania wielkich słów. Jud mógł się jednak założyć, że Matt puścił w niepamięć historię z motorem, wybacząc Victorowi ten oraz wszystkie pozostałe błędy. Złagodniał też Cale i mówił o starszym panu z humorem, a nie z goryczą. Ostatnie kolejki w większym stopniu koncentrowały się na wspomnieniach i zabawnych wydarzeniach niż na pozbywaniu się urazów i uzasadnionych żalów.

- I to już koniec. - Dane podniósł się, trzymając pustą butelkę.

Kiedy wstali, powrócili do punktu wyjścia - byli szeregiem mężczyzn stojących nad grobem Victora.

- Czas na ostatnie pożegnanie - orzekł Jud.

Dane uniósł wysoko butelkę w eucharystycznym geście, po czym powiedział:

- Za Victora, człowieka silniejszego niż śmierć. Dokończył whisky, po czym rozbił butelkę o postument, a szkło rozprysnęło się, łącząc ich jakąś dziwną, ostateczną więzią. Nikt nie dodał niczego więcej. Przez chwilę obserwowali wspólnie, jak słońce zachodzi nad grobem Victora Gaylarda Banninga, który dotarł do kresu swoich dni wśród wspomnień najbliższej rodziny.

Wszyscy wzięli swoje marynarki i połączyli się ramionami w braterskie pary, po czym zeszli z pokrytego trawą, cichego cmentarnego pagórka i wsiedli do limuzyny.

RS

36

Nie minęło wiele czasu, a Victor potwierdził słuszość słów Dane'a. W związku z otwarciem testamentu starszy pan z hukiem wrócił z grobu, wdzierając się z powrotem do życia rodziny. Prawnik Victora przesłał dokumenty do biura Juda, który jako wykonawca ostatniej woli miał zająć się wszystkimi formalnościami. Sam zainteresowany był wcześniej na Alasce, potem w Nowym Jorku, po czym przyleciał z powrotem do Kalifornii tak, by zdążyć zabrać Laurel ze szpitala do domu. Tak więc było późne popołudnie następnego dnia, kiedy zdołał przebrnąć przez korespondencję, zostawione wiadomości, wszystkie ważne sprawy i wreszcie znalazł chwilę, by zajrzeć do testamentu.

Dokument leżał otwarty na biurku, a Jud przeczytał go dwukrotnie. Dopiero potem podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer prawnika Victora.

-Właśnie czytam testament, Tom. Widzę tutaj słowa: „mojemu synowi, Cale'owi Banningowi". Czy to jakiś błąd w zapisie?

- Victor był bardzo dokładny, jeśli chodzi o używanie słów. Zadałem mu podobne pytanie.

- Co jeszcze wiesz?

- Tylko to, że matką Cale'a była Rachel. Jezu...

Jud potrzebował chwili, by pozbierać myśli.

- Jest tu również coś o dziełach sztuki wycenianych na ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. Byłem w domu Victora... Taka kwota oznacza cholernie dużą kolekcję lub też kilka pojedynczych dzieł na tyle wartościowych, że na pewno bym o nich wiedział.

- Większa część tej sumy to wartość obrazów twojej matki, Jud. Skupowałem je od wielu lat. Do testamentu dołączyłem zestaw kopert, w których znajdują się kopie aktów notarialnych oraz klucze do wszystkich nieruchomości. Dzieła sztuki znajdują się w magazynie w dzielnicy przemysłowej. Chcesz, żebyśmy się tam spotkali?

- O tak. - Jud wstał, złapał swoją marynarkę i zaczął przerzucać koperty. - Zaraz wyjeżdżam. Powinienem dotrzeć tam na czwartą.

O siódmej Jud wyjechał ze swojego garażu i ruszył w stronę domu Laurel. Nie był pewien, co miał zamiar zrobić - porozmawiać z nią o wszystkim? Wiedział jedynie, że nie może dłużej siedzieć w domu i rozmyślać nad tym bałaganem. Kiedy jechał Pacific Coast Highway, starał się uporządkować fakty, które dzisiaj poznał. Niech szlag trafi Victora za to, że zostawił mu taką bombę.

Mógł zmienić testament, wtedy Cale nigdy by się nie dowiedział prawdy. Taka propozycja wyszła od Toma, który zapewnił, że poprze każdą jego decyzję. Wykonawca testamentu mógł też wyznać swojemu bratu - cholera... bratu i równocześnie wujkowi - prawdę, czyli to, że Victor miał romans z ich matką. Jud doszedł do wniosku, że sam byłby wściekły, gdyby ktoś miał podobną wiedzę dotyczącą jego osoby i o niczym mu nie powiedział.

Ruch uliczny nie był zbyt płynny, a Jud przegapił zjazd na osiedle, musiał więc cofnąć się o półtora kilometra. Zapukał do drzwi, a potem je otworzył.

- Laurel?

- Tu jestem.

Znalazł ją w kuchni, gdzie gotowała coś, co pachniało lepiej niż w najwspanialszej paryskiej restauracji. Położył dłonie na jej ramionach i pocałował ją w szyję.

- Czy nie powinnaś odpoczywać?

- Przespałam niemal cały dzień, a teraz umieram z głodu. Wygląda na to, że nigdy nie mam dosyć dobrego jedzenia. - Wskazała drewnianą łyżką stołek barowy, po czym przyjrzała się jego twarzy. - To ty wyglądasz jak ktoś, komu przydałby się sen. Co się dzieje?

„Mój dziadek sypiał z moją matką, a mój brat nie wie, że jest synem Victora". Jud nie był w stanie powiedzieć tych słów na głos, obszedł więc stół, by uniknąć kolejnych pytań.

- To był kiepski i długi dzień. Otworzę butelkę wina.

Nie chciał mówić jej prawdy. Już jadąc samochodem, doszedł do wniosku, że nie powinien tego robić. Kobiety nie były zbyt dobre, jeśli chodzi o kłamstwa i tajemnice. Zawsze chciały ustalić całą prawdę, wszystko przedyskutować, pospekulować na temat uczuć i motywów kryjących się za danymi wydarzeniami. Laurel nie miałyby pojęcia, jak poradzić sobie z czymś takim. Dylemat moralny, z którym musiał się uporać, był wyłącznie jego problemem, a niezależnie od tego, jak łatwo byłoby ukryć prawdę, wiedział, że nie zrobi tego Cale'owi.

Od chwili śmierci ich rodziców - a może i dłużej - Jud starał się chronić swojego brata. Przez większość czasu jedynym skutkiem takich działań był bałagan. Cale miał prawo znać prawdę. To do niego należała decyzja, czy powiedzieć o tym innym, czy też zachować wszystko w tajemnicy.

Problem tkwił w tym, że Jud musiał powiedzieć to Cale'owi. Potrzebował więc pobyć z Laurel, żeby się podbudować psychicznie, nawet jeśli ona nie wiedziała dlaczego i nigdy miała się tego nie dowiedzieć.

Po kolacji usiedli razem na sofie, żeby posłuchać muzyki płynącej z głośników oraz docierającego tu z rzadka odległego dźwięku fal rozbijających się o brzeg. Laurel oparła głowę na jego ramieniu i spytała, czy ma ochotę na kawę.

- Nie, dziękuję... Już czuję się jak tuczone prosię.

- Jesteś gotów, by cię upolować?

- Upolowałaś mnie dawno temu, kochanie. - Spojrzał w dół i zobaczył jej uśmiech. - Dobrze się czujesz?

Umościła się głębiej na sofie i w jego ramionach.

- Cudownie, nawet jeśli jestem zmęczona i trochę obolała. Głębokie wdychy sprawiają mi trudności. Na razie nie będzie żadnych przeciągłych westchnień.

- Mamy mnóstwo czasu. Nie pozwolę ci nigdzie uciec.

- Nigdzie się nie wybieram. Zresztą to takie miłe - mam na myśli fakt, że jesteśmy tu razem. Czuję się wspaniale, gdy przy mnie jesteś.

Jud zaczekał chwilę, zanim powiedział coś, co mu chodziło po głowie.

- Może powinniśmy sprawić, by taki stan stał się czymś trwałym?

Laurel usiadła i odwróciła się w jego stronę.

- Co masz na myśli?

- Może powinniśmy się pobrać.

- Czy to spekulacja, czy oświadczyzny?

- To zależy. Powiedziałaabyś „tak”?

- To ucieszyłoby moją matkę. Nigdy nie wybaczyła mi tego ślubu na lawendowym polu w Prowansji. W końcu miałyby takie wesele, jakiego chciała.

- Brałem pod uwagę cichy ślub w Vegas, kiedy tylko lepiej się poczujesz. Moglibyśmy polecieć prosto na miesiąc miodowy, a po powrocie urządzić wielkie przyjęcie i powiedzieć wszystkim już po fakcie. To sprawiłoby, że ta chwila należałaby wyłącznie do nas.

- Naprawdę myślałeś o czymś takim... ?

- Jedenaście i pół godziny twojej operacji to szmat czasu na myślenie.

- No cóż, moja matka się wścieknie, ale pomysł naprawdę mi się podoba. Taka ucieczka byłaby bardzo atrakcyjna. - Laurel zaczęła się śmiać, aż w końcu jęknęła. - To boli.

- Powinnaś leżeć w łóżku.

- Chodź ze mną. - Stała i wyciągnęła ręce. - Wiem, wiem, ale po prostu pójdziemy spać.

- Mam jutro ważne spotkanie. Powinienem jechać do domu.

- Myślałam, że jesteś w domu - powiedziała Laurel miękko.

- Sądzę, że masz rację. — Otoczył ją ramieniem i weszli po schodach, zwalniając tempo, gdyż Laurel zabrakło tchu. Usiadła na łóżku, a on wyciągnął rękę i włączył lampkę. Na stoliku leżał otwarty tomik poezji. Jud podniósł go.

- Co to takiego?

- Poezja. Nie zaglądałam do tej książki od lat, ale tuż po operacji zdarzyło się coś dziwnego. To musiał być efekt działania leków, gdyż odniosłam wrażenie, że recytujesz wiersz Johna Donne'a.

Jud roześmiał się.

-Ja?

- Tak, ty.

Odłożył tomik z powrotem na stolik nocny i odwrócił się ze świadomością, że kocha tę kobietę nad życie. Był gotów spełnić wszelkie obietnice złożone Bogu, niebiosom, losowi i wszystkim bóstwom w czasie, kiedy tkwił w szpitalnej poczekalni. Ujął dłoń Laurel.

- *„Taka bądź, choć nam nie po myśli/To, że odległym błędę kołem:
/Stalość twa obieg mój uściśli. ”*

Laurel położyła palec na jego ustach i dokończyła:

- *„I każę skończyć, gdzie zacząłem. ”*

Cale zareagował na wiadomość o swoich rodzicach bez śladu gniewu lub złości, zadał natomiast kilka pytań - najważniejszym z nich było: „Czy wiedziałeś o tym wcześniej?”. Potem zamilkł na długą chwilę. Ktoś mógłby uznać jego milczenie za opanowanie, ale Jud wiedział, że emocje targające jego bratem nie mają nic wspólnego ze spokojem.

Razem pojechali do magazynu Victora. Docierały tu jedynie przytłumione odgłosy ruchu na Santa Ana Freeway, a wokół kryły się dzieła sztuki warte miliony dolarów. Cale zareagował tak samo jak Jud dzień wcześniej - kompletnym niedowierzaniem. Młodszy z braci chodził od pomieszczenia do pomieszczenia, potem zatrzymał się, wciąż starając się ogarnąć wszystko wzrokiem.

- To zabawne... Spędziłem tyle lat, chcąc być kimś takim jak ty.

Victor postrzegał cię jednak inaczej.

- Teraz wiemy, dlaczego. Niemoralny stary drań.

- Od chwili, kiedy przyjechaliśmy do Newport, traktował mnie jak ucieleśnienie niespełnionych oczekiwań.

- Tamten dzień wszystko zmienił, prawda?

- Masz rację. - Cale odwrócił się z rękami w kieszeniach i powiedział: - Chciałbym go nienawidzić, ale nie potrafię się do tego zmusić.

- Wiem. Patrzę na to wszystko, myślę o tym, co zrobił, i czuję się dziwnie - przyznał Jud. - Spędziłem sporą część mojego życia, starając się spełniać jego życzenia.

Cale roześmiał się gorzko.

- Ja dla odmiany usiłowałem odkupić swoje winy. Jak mało wtedy wiedziałem .

- Myślę, że patrząc na to miejsce, widzimy, że Victor miał do odkupienia znacznie więcej niż którykolwiek z nas. - Jud zobaczył przejście i ruszył w jego stronę. - Nikt nie musi się o niczym dowiedzieć. Do ciebie należy decyzja, czy komukolwiek o tym powiesz.

- Chciałbym, żeby była tutaj Robyn - powiedział szczerze Cale, po raz pierwszy wyglądając na zranionego, a więc tak, jak musiał czuć się naprawdę. - Była jedyną osobą, której bym o tym powiedział, ale nie ma jej już z nami. Victor odszedł. -Cale potrząsnął głową. - Nie ma nikogo więcej, kto powinien wiedzieć.

- Byłem wściekły, że musiałem ci to powiedzieć. Niech go jasny szlag!

- To po prostu takie dziwne. Nagle stwierdzasz, że twoje życie jest jednym wielkim kłamstwem.

- To wciąż twoje życie, Cale. Ja nadal jestem twoim bratem. Matt i Dane wciąż są twoimi synami.

Cale wyglądał na zagubionego, skonsternowanego i otepiałego, zupełnie jak ptak, który uderzył w okno. Jud dał mu tyle czasu, ile tylko mógł. Zdawał sobie sprawę, że to może jednak nie wystarczyć, a jego brat może potrzebować nawet całego życia, by uporać się z tym, co dzisiaj usłyszał. Gdyby Jud mógł wziąć na siebie ból Cale'a, zdecydowałby się na to.

- Zostawił nam te dzieła sztuki. Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić z tym wszystkim?

- Przekazać muzeum. Tylko popatrz - jej sztuka wciąż wygląda efektownie. Fakt, że te obrazy były tutaj zamknięte przez tyle lat, to po prostu zbrodnia - jedna z wielu.

- Sądzę, że to samo powinniśmy zrobić z pracami Kathryn. Musiał kupować je z poczucia winy. Jeśli ona się o tym dowie, gotowa jest uznać, że Victor miał udział w jej sukcesie.

- Powinny zostać anonimowo wystawione na aukcji lub przekazane instytucjom kulturalnym. Pieniądze możemy przeznaczyć na kampanię promowania trzeźwości wśród kierowców, pomoc dla samotnych matek lub coś równie pożytecznego. - Cale obrzucił pomieszczenie jeszcze raz zamyślonym spojrzeniem i ruszył do drzwi. - Chodźmy stąd.

Zamknęli pomieszczenie, zjechali starą windą na parter i wyszli na zewnątrz na słońce. Obaj zatrzymali się, na moment oślepieni. Przed nimi

stał czerwony samochód - pierwszy z wielu środków, których Victor użył, by ich ze sobą poróżnić. Jud wyciągnął kluczyki z kieszeni.

- Proszę. Łap.

- Co to takiego?

- Kluczyki do mg. Jest twój.

- Nie. Nie mogę go przyjąć. Rudy był twoim ojcem, nie moim.

Jud otoczył brata ramieniem, po czym powiedział szczerze:

- W ciągu tych paru lat był dla ciebie ojcem w większym stopniu niż Victor przez resztę czasu. - Jud zacisnął dłoń Cale'a na kluczykach i stali razem w milczeniu, być może wreszcie się rozumiejąc. - Jest twój, stary. Ten samochód należy do ciebie. - Jud odsunął się i otworzył drzwi pasażera. - Ja natomiast biorę dziewczynę.

Trzy miesiące później

Ściany we wnętrzu małego domku przy Descanso Street nie były już niebieskie. Kathryn malowała je razem z wnuczką, podczas gdy Laurel pracowała przy wykończeniu okien. Odsunęła się i obejrzała efekt swojej pracy, po czym odwróciła się do Kathryn:

- Bardzo podoba mi się ten miodowy kolor na tle białych wykończeń, mamó. To wszystko wygląda tak ciepło. Nigdy nie podobały mi się te niebieskie pokoje. Zawsze były dla mnie zbyt zimne.

Kathryn po prostu się uśmiechnęła i zaczęła malować ostatnią część ściany.

- Uwielbiam ten nowy kolor.

- Widzisz, mamó? Bierz z tego przykład. - Annalisa uniosła wałek do malowania. - Ludzie potrafią się zmieniać nawet wtedy, kiedy są już starzy.

- Słucham? - powiedziała Kathryn, która odwróciła się równocześnie z Laurel.

- Tylko żartowałam...

Kathryn rzuciła w nią starym wałkiem, ale chybiła.

- Ty i cała ta twoja cudowna młodość. Uważaj, życie wciąż może sprawić ci przykrą niespodziankę.

Kathryn wiedziała, że ma za sobą całe życie pełne ciężkich ran. Ciągłe dochodziła do równowagi, ale ona i Laurel nie krążyły już wokół siebie na paluszkach. Nie było już zranionych uczuć i milczenia. Chwile spędzane wspólnie, tak jak ten weekend, były dla Kathryn cenniejsze niż wszystkie stracone lata. Przeszłość po prostu minęła. Kathryn nauczyła się żyć chwilą obecną.

- Uprzątnijmy ten bałagan.

- Dobry pomysł - poparła ją Annalisa. - W kuchni czekają ciasteczka. Potrzebna mi świeża porcja czekolady.

Z tymi słowami wyszła z pokoju.

- Boże, ta dziewczyna to ma apetyt. - Kathryn złożyła brezent. - Niezmiennie mnie zadziwia.

- Odziedziczyła metabolizm po ojcu - wyjaśniła Laurel, a następnie przeniosła puszkę z farbą na tylną werandę.

Potem usiadły razem przy kuchennym stole, zajadając ciasteczka. Annalisa opowiadała o tym, co zrobią na kolację, i układała plany dotyczące powrotu na stały ląd.

- Powinnam popłynąć porannym promem - powiedziała Laurel. - Muszę się jeszcze spakować.

- Faktycznie - przytaknęła Annalisa. - W poniedziałek wybierasz się z Judem do Vegas. Wasza pierwsza wspólna wyprawa.

Laurel uśmiechnęła się, a Kathryn zrozumiała, że jej córka wreszcie jest szczęśliwa. Starsza pani wstała.

- Prawie bym zapomniała - powiedziała, po czym wzięła reklamówkę leżącą na ladzie i wręczyła ją Annalisie. - Proszę. Coś ci kupiłam.

- Czy to czekolada?

- Nigdy nie masz dosyć? - spytała Laurel.

Annalisa jęknęła.

- Babciu... Czasopisma dotyczące organizowania ślubu? Znowu?

- Ktoś w tej rodzinie musi urządzić tradycyjny ślub. Liczę na ciebie, moja droga.

- Matthew i ja jesteśmy ze sobą zbyt krótko. Powinnaś zrobić coś nietypowego i sama umówić się na randkę. Wtedy mogłabyś urządzić ślub.

- Ja? Jestem za stara.

- Wystarczy skorzystać z serwisu randkowego w Internecie - rzuciła dziewczyna, po czym wytarła palce ubrudzone czekoladą. - Tylko popatrz...

Annalisa uruchomiła laptop i pokazała im stronę serwisu kojarzącego pary. Już zaczęła sprawdzać możliwości dla Kathryn, podczas gdy starsza pani cierpliwie się wszystkiemu przyglądała. W głębi ducha była przekonana, że prędej skóra zacznie odpadać jej płatami, niż w wieku emerytalnym będzie umawiać się na randki przez Internet. W końcu miała ponad sześćdziesiąt pięć lat. Wysłuchiwała jednak cierpliwie wnuczki, obiecała się nad tym zastanowić, a następnie zagoniła Laurel i Annalisę do salonu, by pozawieszały świeżo pomalowane półki.

Kiedy skończyły, na środku jednej ściany zostało puste miejsce.
Annalisa cofnęła się o krok.

- Co tutaj umieścimy?

- Coś specjalnego. Zaczekajcie... Kathryn wyszła. Po kilku minutach wróciła, niosąc białą, prostą wazę. Trzymane przez artystkę naczynie miało miękkie, niewinne, wręcz idealne linie.

- To moja waza, mamó - zauważyła Laurel. - Zrobiłaś ją wiele lat temu, a ja ją uwielbiam. Zabrałaś ją z mojej sypialni?

Kathryn postawiła wazę na półce i odsunęła się.

- Nie. Zrobiłam sobie dwa dni temu.



Epilog

Cale znowu z pasją zaczął się zajmować trudną i nieprzewidywalną sztuką leczenia. Dawno temu poświęcił się temu zajęciu - przyczyniła się do tego między innymi zdrada tak bolesna, że trudno mu było żyć. Jego serce za młodu zostało złamane przez dziewczynę już wtedy pisaną jego bratu. Dziwne, ale właśnie ten fakt spowodował, że Cale odnalazł się w dziale medycyny, który zajmował się leczeniem tej części ludzkiego ciała.

Dzisiaj nie był pewien, czy gdyby nie wydarzenia sprzed lat, pozostałby tą samą osobą. Ostatnio udało mu się już uporać ze wszystkim, co wiązało się z Victorem, mimo że nie dostał szansy, by powiedzieć mu to, co chciał, i zadać prześladowające go pytania.

Wczesny okres jego życia został naznaczony tragedią. Potem utracił Robyn, co okazało się największym dramatem. Zawsze wydawało mu się, że nie potrafi zrozumieć swojego powołania za pomocą intelektu. Patrząc jednak na wszystko z perspektywy czasu, doszedł do wniosku, że może chciał ratować ludzkie życie dlatego, że tak wcześnie zetknął się ze śmiercią. Niektórzy uważają, że los przygotowuje nas na przyjscie najcięższych chwil. Być może, gdy Cale tracił ukochane osoby, zaczął rozumieć, czym jest śmierć. Może medycyna i chęć praktykowania jej stały się i będą stanowić sposób na zbilansowanie tego rachunku.

Niecałą godzinę temu zakończył trzynastogodzinną operację serca. Pacjentka miała siedemnaście lat i chciała iść na studia medyczne. Cale zdjął swój czepek chirurgiczny i rzucił go na biurko, potem wpisał swoje nazwisko w karcie zabiegowej dziewczyny i skończył robić notatki.

Przez ułamek sekundy przypomniał sobie salę operacyjną, gdzie pod rozgrzewającymi powietrze lampami spędził wiele godzin, trzymając w dłoniach serce dziewczyny - cud sam w sobie. W jakiś sposób mówił: „Tej nie oddamy. Uratujemy ją”. Podczas każdej operacji walczył z uporem, którego we własnym przekonaniu nauczył się od swojego brata. Cale nie zawsze wygrywał, ale walczył ze wszystkich sił, by nie przegrać.

Usłyszał brzęczyk włączony przez pracowników kardiologii. Włączyło się zielone światło, jednak nie migało, a więc nie sygnalizowało nagłego problemu. Kilka sekund później odezwał się wewnątrzszpitalny telefon.

- Obudziła się, doktorze.

- Zaraz tam przyjdę.

Oparł się o fotel i przeciągnął. Poczł, że ma obolałe plecy i mięśnie. To był jednak dobry ból. Zrozumiał, że otrzymał dar. Medycyna, życie i ludzie nie byli już częścią gry, w której ustawiałyby kości tak, by zawsze mógł zwyciężyć.

Cale pomyślał ponownie o swoim ojcu - człowieku, który chciał wszystko kontrolować. Biedny Victor. Cale dobrze wiedział, że on sam był dla starszego pana żywym przypomnieniem popełnionych błędów i słabości. Pomimo całej swojej władzy i chęci kontrolowania innych jego ojciec nie okazał się na tyle silnym człowiekiem, żeby stawić czoło wszystkim problemom. Dla kogoś obdarzonego tak wielką dumą musiało być niezwykle trudne spoglądanie na syna, w którym widziało się to, czego nienawidziło się w sobie samym. Victor w świecie biznesu stał się zwycięzcą, ale jako ojciec i człowiek poniósł całkowitą porażkę, i miał tego świadomość. Cale potrafił mu to wybaczyć, ponieważ wiedział, że nie

jest taki jak on. W życiu lekarza były jednak chwile, gdy widział podobne sytuacje, wypełnione emocjami, bólem i z wątpieniem.

W przeciwieństwie do Victora Cale kochał swoich synów i oni o tym wiedzieli. Nie traktował ich jak pionki we własnym życiu. Wszyscy należeli do tej samej rodziny i okazywali sobie miłość. Tak samo otwarcie kochali kobiety swojego życia.

Cale wstał, jeszcze raz się przeciągnął, po czym wyszedł z pokoju i udał się w kierunku ruchliwych korytarzy oddziału kardiologicznego. Kiedy zmierzał do celu, wróciło wspomnienie sprzed wielu lat. Był to obraz Victora z siwymi włosami i opaloną twarzą, idącego ku niemu. Jego wysoka sylwetka emanowała pewnością siebie i siłą. Ten wizerunek ukazywał dokładny obraz Victora jako człowieka i doskonale oddawał wrażenie, jakie wywierał na innych.

W tej chwili na Cale'a czekała młoda, pełna marzeń pacjentka. Podobnie jak jego syn mogła powiększyć nowe pokolenie lekarzy. Życzył im, żeby w przyszłości wszystko było łatwiejsze. Cale od pewnego czasu chodził trochę szybciej i bardziej wyprostowany. Stał się człowiekiem, który potrafił samodzielnie sobie radzić, ale też zawsze miał oparcie w tych, którzy go kochali. Na moment zatrzymał się przed salą, a potem otworzył drzwi, pamiętając, że ma przed sobą ważne zadanie.

Podziękowania

Przez wiele lat słyszałam opowieści pisarzy o książkach, które przychodziły im z taką łatwością, jakby były darami Boga. Może kiedyś coś takiego spotka i mnie, ale ta książka wcale nie powstała w ten sposób.

Muszę podziękować mojej cudownej redaktorce, Brendzie Copeland. Jej błyskotliwe spostrzeżenia pomogły mi stworzyć książkę, która dorównała mojej pierwotnej wizji. Jestem jej wdzięczna także za cierpliwość i wsparcie, nawet jeśli to oznaczało zmuszenie mnie do samodzielnego przebijania się przez fabułę tej powieści. Brendo, jesteś najlepsza!

Dziękuję wszystkim pracownikom Atrii, szczególnie Judith Curr, za to, że dali mi to, czego ta książka potrzebowała najbardziej - czas, bez ponaglania.

Szczególne podziękowania składam Lindzie Goodman z biblioteki w Avalonie, a także tym mieszkańcom wyspy, którzy podzielili się ze mną wiadomościami o Catalinie.

Dziękuję doktor Barbarze Snyder za konsultacje medyczne i poświęcony mi czas.

Jestem bardzo wdzięczna mojej pisarskiej grupie wsparcia: Kristin Hannah, Megan Chance, Jenny Crusie, Christinie Dodd, Kim Fisk, Jill Landis, Debbie Macomber, Teresie Me-deiros, Lindzie Nichols, Susan Elizabeth Phillips, a także paniom z RomEx - szczególnie Heather McAllister oraz Suzanne Forster.

Chciałam podziękować za przyjaźń i hojność Meryl Sawyer, która udostępniła nam swój niezwykły dom w Newport Beach i podzieliła się wiedzą na temat profesjonalnych stołów kucharskich.

Jestem niezwykle wdzięczna Marcy Posner za jej niegasnącą wiarę w tę książkę i w to, że naprawdę uda mi się ją napisać.

Dziękuję Kassandrze Corinne Stadler, Jan Barnett, Kelly Walker i Lindzie Crone za zrozumienie, cierpliwość i miłość. Szczególne podziękowania kieruję do Kasey, która mnie wspierała, gdy grzęzłam po nocach w pracy, szukając właściwych słów. Zawsze byłyście i zawsze będziecie moim największym skarbem.

I wreszcie wyrażam wdzięczność wszystkim kobietom, które zdecydowały się oddać do adopcji swoje dziecko. Brak słów, którymi można byłoby wam podziękować. Pamiętajcie, że kobiety, które otrzymały wasz dar, wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny, jak jesteście silne.

*Życie można zrozumieć tylko wtedy, kiedy się oglądamy za siebie;
jednak żyjąc, trzeba patrzeć przed siebie.*

Soren Kierkegaard